

# Profesor Wilczur



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

## Profesor Wilczur

### ROZDZIAŁ I

Profesor Jerzy Dobraniecki powolnym ruchem odłożył słuchawkę i nie patrząc na żonę, powiedział pozornie obojętnym tonem:

— W sobotę mamy ogólne zebranie Związku Lekarzy.

Pani Nina, nie spuszczać zeń oczu, zapytała:

— I czegoż jeszcze chciał Biernacki? Bo to on telefonował?

— Ach, drobiazg. Pewne kombinacje organizacyjne — machnął ręką Dobraniecki.

Zbyt dobrze знаła męża, by maska obojętności na jego twarzy była dla niej nieprzenikniona. Przeczuwała, że oto znowu spadł na jego głowę jakiś cios, że oto znów poniósł klęskę, a przynajmniej dotkliwą porażkę, że oto znowu spotkało go niepowodzenie, które chce przed nią ukryć.

Ach, ten słaby człowiek, ten człowiek, który nie umie walczyć, który pozycję po pozycji oddaje innym i coraz bardziej spychany jest w cień, w szare szeregi drugoplanowych lekarzy. Nienawidziła go prawie w tej chwili.

— O co chodziło Biernackiemu? — zapytała z naciskiem.

Wstał i chodząc po pokoju, zaczął mówić tonem wyrozumiałej perswazji:

— Zapewne... Oni mają rację... Należy się to Wilczurowi... A i mnie odpoczynek. Przez tyle lat byłem prezesem związku... A przy tym nie możemy zapomnieć, że Wilczurowi należy się jakaś rekompensata moralna za wszystkie jego nieszczęścia...

Pani Nina zaśmiała się krótkim, ostrym śmiechem. Jej wielkie, zielone oczy błysnęły pogardliwą ironią. W skrzywieniu ust, tych pięknych ust, których wizji nie mógł się pozbyć nawet podczas swej pracy, zarysowała się linia niemal wstrętu:

— Rekompensata?... Ale już od dawna otrzymał ją z nadwyżką! Chyba jesteś ślepy! Odbiera ci jedno stanowisko po drugim. Wydarł ci kierownictwo lecznicy, słuchaczy, pacjentów, dochody... Rekompensata!

Dobraniecki zmarszczył brwi i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Wszystko to mu się należy. Wilczur jest wielkim uczonym, genialnym chirurgiem.

— Tak, więc czymże ty jesteś? Gdy przed sześciu laty wychodziłam za ciebie, wierzyłam, że ty sam myślisz, iż jesteś najlepszym chirurgiem i sławą w nauce.

Dobraniecki zmienił ton. Oparł się o brzeg biurka, pochylił się nad żoną i zaczął łagodnie:

— Kochana Nino, musisz przecież zrozumieć, że są pewne gradacje, jest pewna hierarchia, są różne stopnie uzdolnień i wartości ludzkich... Jakże możesz mi robić zarzut z tego, że mam dość samokrytycyzmu, by ocenić, że Wilczurowi ustępuję i muszę ustępować pod wielu względami?... A zresztą...

— Zresztą — wpadła mu w słowo — nie mamy o czym mówić. Znasz dobrze moje zdanie w tej materii. Jeżeli tobie brak ambicji i woli zwycięstwa, ja mam jej aż nadto. Nie pogodzę się z rolą żony jakiegos zera. I ostrzegam cię, że jeśli dojdzie do tego, że w końcu będziesz zmuszony przenieść się na praktykę do jakiegos Pikutkowa, ja z tobą nie pojadę.

— Nino, nie przesadzaj.

— O, bo na tym się skończy. Myślisz, że nie wiem. Już teraz Wilczur forytuje docenta Biernackiego. Zepchną cię na sam dół! Ja nie mam za co wykupić mego futra od kuśnierza! Ciebie to oczywiście nic nie obchodzi, ale ja tego nie ścierpię, ja nie jestem stworzona do tego, by być żoną jakiegos nędzarza. I ostrzegam cię...

Nie dokończyła, lecz w głosie jej zabrzmiała aż nazbyt wyraźna groźba.

Profesor Dobraniecki powiedział cicho:

— Nie kochasz mnie, Nino, nigdy mnie nie kochałaś...

Potrząsnęła głową.

— Mylisz się. Ale kochać mogę tylko prawdziwego mężczyznę. Prawdziwego, to znaczy walczącego, zwycięskiego, takiego, który nie zna granic ofiarności dla swojej kobiety.

— Nino — odezwał się z wyrzutem w głosie. — Czyż nie robię wszystkiego, co w mojej możliwości?

— Nic nie robisz. Jesteśmy coraz biedniejsi, coraz mniej z nami się liczą, jesteśmy usuwani w cień. A ja nie jestem stworzona do życia w cieniu i pamiętaj, że cię o tym ostrzegłam!

Wstała i skierowała się do drzwi. Gdy już miała rękę na klamce, zawołała:

— Nino!

Odwróciła głowę. W jej oczach, które przed chwilą jeszcze jarzyły się gniewem, dostrzegł przerażający chłód.

— Co mi chcesz jeszcze powiedzieć? — zapytała.

— Czego ode mnie żądasz?... Jak mam postępować?...

— Jak?...

Zrobiła trzy kroki ku niemu i powiedziała dobitnie:

— Zniszcz go! Usuń z drogi! Stań się tak bezwzględny jak on, a potrafisz zachować swoją pozycję!

Zatrzymała się przez chwilę i dodała:

— I mnie... Jeżeli ci na tym zależy.

Gdy został sam, opadł ciężko na fotel i zamyślił się. Nina nie rzucała nigdy słów na próżno. A tak dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że ją kocha, że bez niej życie straciłoby dlań cały urok i całą wartość. Gdy przed sześciu laty prosił o jej rękę, mógł uważać, że nie prosi o łaskę. Wprawdzie bowiem był znacznie starszy od niej, ale znajdował się w pełni powołania, rozgłosu, ba, sławy. No i zdrowia.

Ostatnie trzy lata i pod tym względem odbiły się na nim fatalnie. Niepowodzenia zawodowe i pieniężne poderwały system nerwowy. Ukrywał wprawdzie przed Niną powtarzające się coraz częściej ataki wątrobiane, ale nie mógł ukryć ich skutków. Tył coraz bardziej, źle sypiał, na obrzmiałej twarzy wystąpiły zielonkawe worki pod oczyma.

Nina nawet nie domyślała się, jak ciężko przeżywa swoje porażki. Zarzucała mu brak ambicji, jemu, który przez całe życie właśnie ambicją tylko się kierował, którego ambicja wyniosła na szczyty!

Upadek zaczął się owego fatalnego dnia, gdy odnaleziono, gdy on sam odnalazł zaginionego profesora Rafała Wilczura. Jakże dobrze pamiętał ten dzień! Mroczna sala sądowa i na ławie oskarżonych brodaty chłop w zniszczonej sukmanie, znachor, wiejski znachor z dalekich kresów, sądzony za niedozwolone praktyki, za operacje przeprowadzane przy pomocy prymitywnych, zardzewiałych narzędzi ślusarskich, za operacje, które uratowały życie wielu biednym chłopom na zapadłej wsi...

Znachor...

Profesor Jerzy Dobraniecki pierwszy i jedyny poznał w nim swego dawnego szefa i nauczyciela, profesora Rafała Wilczura, po zaginięciu którego w ciągu lat kilkunastu stopniowo, lecz stale zajmował, zdobywał i osiągał jego stanowiska w nauce, w praktyce i w życiu.

Czyż miał wtedy prawo zataić swoje odkrycie, czyż miał prawo tym samym skazać Wilczura na dalszą wegetację w nędzy i w nieświadomości własnej osobowości, nazwiska, tytułów, pochodzenia?... Dziś profesor Dobraniecki nie chciał zastanawiać się nad tym. Wiedział jedno: ów pamiętny dzień przed trzema laty stał się przekleństwem jego życia.

Rafał Wilczur łatwo wyleczył się z wieloletniej amnezji. Pamięć odzyskał tak szybko, jak ją niegdyś utracił, a wraz z pamięcią odzyskał wszystko to, co było jego światem przed tragicznym wypadkiem. Powrócił na swoją katedrę, przy czym Dobraniecki w zamian otrzymał drugorzędną, objął kierownictwo lecznicy, a także uniwersyteckiej kliniki chirurgicznej, a głośne jego odnalezienie jeszcze więcej przysporzyło mu sławy. Sławy, pieniędzy, zaszczytów.

Ot, i dziś znowu domagano się od Dobranieckiego, by dobrowolnie ustąpił z prezesury związku i zaproponował kandydaturę Wilczura, która może liczyć na przyjęcie przez aklamację. Tak, oni wszyscy uważają to za rzecz zupełnie zrozumiałą. Oni, to znaczy koledzy, oni, to znaczy pacjenci, oni, to znaczy słuchacze wydziału medycznego. Dla nich wszystkich jest rzeczą oczywistą, że prymat należy się Wilczurowi. I przecież on sam, Jerzy Dobraniecki, przed chwilą powiedział żonie, że i on to uznaje.

Ale to nie była prawda.

Wszystko w nim buntowało się przeciw rzeczywistości, przeciw konieczności ustawicznego rezygnowania ze zdobytych pozycji. Im bardziej przyginały go do ziemi niepowodzenia, tym prężniej i potężniej rósł w nim gniew, rosła rozpacz, rosła nienawiść. I dlatego bał się rozmów z Niną na ten temat. Bał się, by z jej namiętnej i niepohamowanej natury nie przerzuciła się iskra wybuchu na zgromadzone w nim pokłady buntu.

A gromadziło się ich coraz więcej. Dziś Nina po raz pierwszy powiedziała mu wyraźnie, powiedziała mu bezlitośnie, że nie ma za co wykupić futra. Wprawdzie miała ich wiele i bez nowego mogłyby się doskonale obyć, ale pomimo to jej słowa odczuł jak policzek. Przecież dumny był z tego, że nie odmawiał jej nigdy niczego, że zasypywał ją kosztownymi podarkami, że dla niej kupił ten pałacyk we Frascati, że dla niej trzymał liczną służbę, luksusowe samochody, że dla niej wydawał wspaniałe przyjęcia. Może nie tylko dla niej, może i dla siebie, ale w tym bogactwie największą rozkosz znajdował wtedy, gdy w jej oczach odnajdował ów znany błysk dumy, dumy z panowania, dumy z pierwszeństwa, jakie zapewniało jej w świecie stanowisko i sława męża.

Nina... Utracić ją... To byłoby dla Dobranieckiego wręcz niepodobieństwem, a wiedział, że jeżeli nie stanie się jakiś cud, katastrofa będzie nieunikniona. Od trzech lat nieustannie topniały jego dochody, natomiast nigdy nie mógł się zdecydować na zmniejszenie stopy życiowej swego domu. Jeżeli brak pieniędzy zmuszał go do ograniczeń, ograniczał właśnie wydatki, starając się to ukryć przed żoną. Pracował coraz więcej, przyjmował coraz więcej operacji, nie gardząc nawet drobnymi honorariami, które kapwały mu często nawet ratami od prawie niezamożnych pacjentów. Jednocześnie długi rosły. Na hipotekę pałacyku trzeba było zaciągnąć poważną pożyczkę, lecz nie było z czego płacić procentów.

„Mniejsza zresztą o to — myślał ponuro. — Umiałbym się z tym pogodzić, a nawet przenieść się do jakiegoś skromnego mieszkania, gdyby Nina mogła to przyjąć bez dramatu”.

Sam Dobraniecki bardziej cierpiał nad utratą swojej wysokiej pozycji w świecie, którą, jak zdawało mu się, zdobył na zawsze podczas nieobecności Wilczura.

Nie dalej jak wczoraj przeżył nowe upokorzenie. Na wykład nie stawił się ani jeden student. Uciekł z auli, jakby go gonili szydercze spojrzenia pustych ścian. Bliski był myśli o samobójstwie. Skończyło się na bolesnym ataku wątrobianym i później przez cały dzień szumach w uszach po nadmiernych dawkach belladonny. Na szczęście dnia tego miał szereg łatwych i prostych operacji, które nie wymagały szczególniejszego napięcia uwagi i inwencji i udały się zupełnie.

— Zniszcz go...

Tak powiedziała Nina. Zaśmiał się krótkim, smutnym śmiechem. Jakże mógł zniszczyć Wilczura!... Czy na korytarzach uniwersyteckich łapać studentów za poły, by ściągać ich na swoje wykłady, czy mścić się na tych młodych lekarzach, którzy wolą asystować przy operacjach w klinice Wilczura, czy wykradać mu bogatych pacjentów, bo przecie konkurencja i tak tu nie skutkowałą, chociaż wszyscy wiedzieli, że Dobraniecki znacznie taniej bierze za operacje i — o wstydzie — poniża się do ustępstw w cenie. Spojrzał na zegarek. Zbliży się piąta. Dziś był dzień przyjęć Niny. Niedługo zaczną schodzić się goście. Coraz mniej gości. Ich salon stawał się coraz mniej atrakcyjny dla znajomych. Tłumniej bywało tylko wówczas, gdy uprzednio rozchodziła się wieść, że przyjdzie profesor Wilczur...

— Zniszcz go — powiedziała Nina.

Zniszczyć Wilczura to znaczyło zniszczyć jego sławę, to znaczyło zniszczyć wiarę pacjentów w nieomylność jego diagnozy, w niechybność jego ręki.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Były i inne sposoby. Sposoby mrówczej, a raczej kreciej pracy podrywania, żmudnego podkopywania tej wiary przy pomocy wykorzystywania tych słabości, które pozostały Wilczurowi z okresu jego amnezji. Lecz Dobraniec-

ki brzydził się takimi środkami walki. Wiedział, że Wilczur zachował ze swojej praktyki znachorskiej szczególniejsze zamięłowanie do różnych ziół i maści wątpliwej wartości, wiedział jednak również, że owe prymitywne środki nie mogą wyrządzić szkody chorym i nie pochwałal postępowania Niny, która wyzyskiwała każdą sposobność, by wysmiewać się z tego znachorstwa i używać wszystkich swoich uroków, by zarazić własną ironią różnych młodych, a bawiących w ich domu lekarzy.

Uprawiana przez nią w ten sposób agitacja przeciw Wilczurowi dawała jednak pewne nikłe rezultaty. Po szpitalach i klinikach zaczęły krążyć liczne anegdoty, w których, gdy do niego docierały, Dobraniecki poznawał złośliwy dowcip swojej żony. Najmłodszy narybek lekarski z właściwą swemu wiekowi niechęcią do wszystkiego, co nie tchnie nowoczesnością, chętnie podchwytując te ironiczne nuty, by przez umniejszenie prestiżu uznanego mistrza podnieść własny. Zdarzało się też czasem, że tacy właśnie kategorycznie odradzali swym pacjentom wzywania na konsylia Wilczura, lecz były to wypadki rzadkie.

Przed paru tygodniami w kilku dziennikach warszawskich ukazały się wzmianki i felietoniki wykorzystujące materiał anegdotyczny. Nie podawano tam wprawdzie nazwiska Wilczura, ale i tak wszyscy łatwo mogli się domyślić, o kogo chodzi. O autorstwo tych rzeczy Dobraniecki również, i nie bez słuszności, posądzał Ninę. W ostatnich czasach spotykał w domu kilku dziennikarzy, którzy przedtem u nich nie bywali. Nagle zainteresowanie się Niny ludźmi z prasy nie mogło ująć uwagi Dobranieckiego.

Nie tylko niesmak wzbudzała w nim cała ta akcja Niny. Wzbudzała w nim również i smutne przeświadczenie o bezsilności tych półśrodków w walce o byt.

— Zniszcz go — powiedziała — jeżeli zależy ci na mnie...

Dobraniecki przygryzł wargi i zatrzymał się przy oknie. Przez nagie gałęzie jesiennych drzew przeświecały gęste, białe światła latarni, coraz jaskrawsze w gęstniejącym mroku. Dalekie miasto mrucało jednostajnym szumem. W pobliżu na mokrym asfalcie zaświergotały pneumatyki i przed drzwiami pałacyku zatrzymał się samochód.

Pierwsi goście. Należało się przebrać.

## ROZDZIAŁ II

Profesor Wilczur umilkł na chwilę. Jego oczy z wolna przesuwają się przez wypełnioną po brzegi aulę. Panowała zupełna cisza. Czuł w tym audytorium, że każde jego słowo trafia wprost do serc, że każde serce odpowiada mu żywym oddźwiękiem.

— Bo powołanie lekarza — zabrzmiał znów jego głos — jest tworem tej największej i najszczytniejszej miłości, miłości bliźniego, jaką Bóg zasiał w naszych oschłych sercach. Powołanie lekarza to wiara w braterstwo, to szczytne świadectwo wspólnoty ludzkiej. I gdy pójdziecie w świat, by swe posłannictwo pełnić, pamiętajcie przede wszystkim o jednym: kochajcie.

Stał jeszcze chwilę nieruchomy i milczący, później uśmiechnął się, lekko skinął głową i swoim ciężkim, sprężystym krokiem wyszedł z auli.

Ileż to razy, ileż setek razy po skończonym wykładzie przemierzał ten szeroki korytarz, goniony głośnie falą wrzawy, która wybuchała w auli po jego wyjściu. Ale dziś nie był to zwykły wykład i nie o zwykłych rzeczach mówił profesor Wilczur swoim słuchaczom. I sam nie był w zwykłym nastroju.

W ciągu ostatnich tygodni docierały do niego coraz dłań dziwniejsze i coraz boleśniejsze wiadomości. Pierwotnie zaskoczyły go tak dalece, że nie mógł się w nich zorientować. Wydały mu się czymś przypadkowym, niezrozumiałym, wręcz absurdalnym. Nie dlatego, że dotyczyły jego osoby: gdyby podobnie uwłaczające rzeczy opowiadano o profesorze Dobranieckim, o doktorze Rancewiczu, Biernackim czy bodaj o młodym Kolskim, wstrząsnęłoby to Wilczurem równie silnie.

Do dziś dnia nie chciał i nie mógł uwierzyć, by ta kampania oszczerstw przeciw niemu była akcją zorganizowaną i wychodziła z jednego źródła. Nie wierzył, gdyż nie miał przeciw wrogów. Nikomu zła nie życzył, nikomu krzywdy nie wyrządził. Przez całe swoje życie wierny był tym wskazaniom, którymi zakończył dzisiejszy wykład.

— To niemożliwe — powtarzał sobie idąc jasnym korytarzem.

Dopiero przed drzwiami dziekanatu spojrzął na zegarek. Była jedenasta. W pierwszym pokoju ku swemu zdumieniu zobaczył kilku nieznanym sobie panów. Wstali, gdy wszedł, a sekretarz objaśnił:

— Właśnie to panowie z prasy. Chcieli prosić pana profesora o wywiad.

Wilczur uśmiechnął się.

— Jeszcze panom mało? Sądziłem, że po trzech latach już wreszcie zdołaliście nasycić ciekawość waszych czytelników. Zanudzicie ich moją osobą i moimi przeżyciami.

— Nie, panie profesorze — odezwał się jeden z dziennikarzy. — Tym razem chodzi nam o pańskiego nowego pacjenta.

— O pacjenta? O którego pacjenta?

— O Leona Donata.

Wilczur rozłożył ręce.

— Cóż ja panom o tym mogę powiedzieć... To nic poważnego. O ile wiem z relacji moich mediolańskich kolegów, operacja będzie łatwa i nie grozi żadnymi, nawet błahymi następstwami.

— Jednak, panie profesorze, to jest operacja gardła, gardła, które daje kilka milionów złotych rocznie. No i popularność Donata. Pan profesor rozumie, że ta operacja jest zdarzeniem najbardziej interesującym dziś nie tylko Warszawę, lecz i całą Europę, ba, cały świat. Cokolwiek by pan profesor nam o niej zechciał powiedzieć, będzie zawsze sensacją.

— No, dobrze — zgodził się Wilczur. — Muszę jednak już jechać do lecznicy i po drodze służę wam wszystkimi informacjami.

Na dole czekała wielka czarna limuzyna profesora. Zajęli w niej miejsce i podczas gdy auto sunęło zatłoczonymi ulicami, dziennikarze skrzętnie zapisywali w notesach wywody Wilczura.

W nawale zajęć teraz dopiero uświadomił sobie, że istotnie na jego lecznicę w dniu tym będą zwrócone oczy milionowych rzesz wielbicieli wielkiego śpiewaka. Doktor Łucja Kańska już wczoraj mu mówiła, że cała prasa polska z wielkim zadowoleniem zanotowała wiadomość o decyzji Donata, który nie ufając chirurgom włoskim, francuskim i niemieckim, postanowił powierzyć operację swego gardła właśnie jemu, profesorowi Wilczurowi, i dlatego zdecydował się na daleką podróż do Warszawy.

Chociaż z opisów i zdjęć wynikało, że operacja w istocie była błaha i łatwa, Wilczur nie mógł się dziwić obawom śpiewaka, dla którego głos był całą racją istnienia, a małe drgnięcie ręki chirurga podczas zabiegu pozbawiłoby go sławy i kolosalnych dochodów.

Po przybyciu do kliniki Wilczur zauważył, że i tu panuje podniecenie. Przede wszystkim przed bramą zebrał się ogromny tłum w oczekiwaniu na przyjazd śpiewaka. W hallu i na korytarzach panował wielki ruch. Wilczur pożegnał się z dziennikarzami i po drodze do swego gabinetu zajrzał jeszcze do pokoju dyżurnego internisty. Zastał tu pielęgniarkę i zapytał:

— Kto dziś ma dyżur?

— Doktor Kańska, panie profesorze.

Skinął głową.

— To dobrze.

U siebie zastał profesora Dobranieckiego dyskutującego o czymś z młodym Kolskim. Obaj byli jakby podnieceni rozmową, lecz umilkli, gdy Wilczur wszedł. Przywitali się w milczeniu, po czym Kolski w krótkich i rzeczowych zdaniach zreferował Wilczurowi stan zdrowia kilku pacjentów i zakończył:

— Inżyniera Lignisa pan profesor miał sam dziś zbadać. Pani Laskowska i pan Rzym-ski również prosili, by pan profesor ich odwiedził osobiście. To wszystko na trzecim piętrze. Ten biedak, którego przywieziono wieczorem z pogruchotaną miednicą, miał nad ranem wylew wewnętrzny i jest w agonii. Zdaje się, że już mu nic nie pomoże.

— Dziękuję panu, kolego — odpowiedział Wilczur i spojrzawszy na zegarek dodał: — Muszę przede wszystkim obejrzeć gardło Donata. Czy mała sala operacyjna przygotowana?

— Tak jest, panie profesorze.

— Dużą pan dzisiaj, kolego, zajmie na dobre cztery godziny, prawda? — zwrócił się Wilczur do Dobranieckiego. — Cieszyłbym się, gdyby pan go zdołał uratować.

Dobraniecki wzruszył ramionami.

— Rzecz zupełnie beznadziejna. Jedna szansa na sto.

Podczas gdy Wilczur nakładał kitel, pod oknami rozlegały się okrzyki coraz głośniejsze i głośniejsze. Lekarze uśmiechnęli się do siebie. Zrozumieli się bez słów. Kolski jednak zauważył:

— Ludzie jednak wyżej cenią sztukę niż zdrowie. Żadnemu z nas nie robiono by takich owacji.

— Zapomina pan, kolego, o profesorze Wilczurze i o jego popularności — lekko rzucił Dobraniecki.

— Popularność tę zawdzięczam nie temu, że jestem lekarzem, lecz temu, że byłem pacjentem — odpowiedział Wilczur i wyszedł z gabinetu. Zaraz po nim wyszedł Kolski.

Dobraniecki ciężko opadł na fotel. Jego twarz jakby zastygła w skupieniu. Po chwili nacisnął dzwonek. Weszła pielęgniarka.

— W którym pokoju umieszczono Donata? — zapytał krótko.

— W czternastym, panie profesorze.

— Moja operacja o pierwszej?... Proszę dopilnować, by zawiadomiono doktora Bierackiego. Dziękuję pani.

Gdy wyszła, wstał i spojrzął na zegarek. Przeczekał pół godziny, po czym wyszedł. Na pierwsze piętro prowadziły szerokie marmurowe schody. Numer czternasty był tuż przy nich. Zapukał i wszedł. Donat przebierał się przy pomocy pielęgniarce. Ujrawszy Dobranieckiego, zawołał wesoło:

— O, profesorze! Jakże się cieszę, że pana widzę. Będziecie mnie dziś zarzynali.

— Dzień dobry, mistrzu. Wygląda pan świetnie — przytrzymał rękę śpiewaka w swojej — ale dlaczego pan używa liczby mnogiej? Przecież wyraźnie pan zażądał, by operował pana Wilczur. Nie ma pan zaufania, drogi mistrzu, do swego dawnego lekarza.

— Pełne zaufanie mam do pana, profesorze — z przymusem zaśmiał się Donat.

— Dajmy pokój tym sprawom — swobodnym tonem odpowiedział Dobraniecki. — Niechże mi pan powie, co się z panem działo, oczywiście nie o swoich sukcesach artystycznych, bo tego jest pełna prasa, ale jak tam z pańskimi prywatnymi historyjkami. Czy wciąż pan tak niepohamowanie korzysta ze swoich sukcesów miłosnych?

Donat wybuchnął szczerym śmiechem:

— Ach, tego nigdy nie dosyć! — Zaświeciły mu się oczy.

— Powinien pan bardziej oszczędzać serca kobiet w przenośni i własne bez przenośni — zażartował Dobraniecki.

Nie mówił tego bez podstaw. Donat mimo swego kwitnącego wyglądu, niemal atletycznej budowy i żywiołowego temperamentu już od lat młodości nie odznaczał się zbyt mocnym sercem. Jego matka, korzystając z zażyłych stosunków z Dobranieckim, nieraz zwracała się doń w owych czasach po poradę dla syna.

Donat z ożywieniem opowiadał właśnie o jakiejś swojej nowej przygodzie, gdy zapukano do drzwi. Była to doktor Kańska. Zgodnie z regulaminem miała zbadać pacjenta przed operacją. Zastawszy tu jednak profesora i pacjenta już przygotowanego do stołu operacyjnego, zatrzymała się w progu.

— Pani mnie szuka? — zapytał Dobraniecki. — To bardzo dobrze, że panią widzę. Niech pani będzie łaskawa, koleżanko, zbadać tego mego staruszka. Pani wie, pokój 62. Wkrótce idzie na stół. Parę zastrzyków wzmacniających, o ile uzna to pani za wskazane, przydałoby się. Dziękuję pani, niech się pani pośpieszy.

Doktor Łucja chciała o coś zapytać, lecz Dobraniecki odwrócił się już do Donata ze słowami:

— I cóż dalej, mistrzu?

— Bardzo ładna dziewczyna — zaciekał się Donat. — Czy to lekarka?

— Tak, to nasza młoda internistka — wyjaśnił Dobraniecki.

Po kilku minutach zjawił się doktor Kolski z pielęgniarką.

— Już czas, mistrzu, na salę operacyjną.

Punktualnie rozpoczęła się operacja.

Zabieg nie należał ani do ciężkich, ani do trudnych. Ze względu jednak na bezpieczeństwo gardła pacjenta zastosowanie miejscowego znieczulenia nie było wskazane i Donata poddano ogólnej narkozie.

Przy operacji asystowali doktor Januszewski i doktor Kolski. Silne światło projektora odbijało się w lustrzanej tarczy i z wielokrotnie oświetlało wnętrze gardła operowanego. Z prawej strony, poza gruczołem występowała nieco ciemniejsza od otaczającej błony śluzowej narośl w kształcie połowy orzecha laskowego. Na razie wprawdzie nie zagrażała ona głosowi Donata, a nigdy jako nowotwór dobrotliwy nie mogła zagrażać jego zdrowiu, jednakże wciąż się w ostatnich czasach powiększała i bezpieczniej było ją usunąć. Przy sposobności trzeba było załatwić się z niedużymi zrostami, pozostałością po zeszłorocznym zapaleniu gardła. Wszystko razem według przewidywań profesora Wilczura nie powinno było zająć więcej niż dwadzieścia pięć do trzydziestu minut.

W ciszy sali operacyjnej elektryczny zegar wybijał takty sekund z niezmienną ścisłością. Dłuższa strzała zbliżała się właśnie do jedenastej minuty, gdy doktor Kolski, czuwający nad pulsem pacjenta, szybko odwrócił się do stojącej za nim sanitariuszki i dał ręką niecierpliwą znak.

Nie trzeba było słów.

Wprawne palce sanitariuszki już napełniły strzykawkę i po chwili igła zanurzyła się pod skórę pacjenta. Minęły dwie dalsze minuty i zabieg trzeba było powtórzyć.

W osiemnastej minucie profesor Wilczur musiał przerwać operację.

Sala wypełniła się tupotem szybkich kroków. Wózek z aparatem tlenowym. Sztuczne oddychanie. Nowe zastrzyki.

W dwudziestej piątej minucie pacjent nie żył.

Przyczyna śmierci nie wymagała żadnych wyjaśnień. Dla wszystkich było jasne: serce operowanego nie zniosło narkozy. Profesor Wilczur zdjął rękawice i maskę, jego twarz zastępyła w jakimś kamiennym wyrazie. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, a jednak śmierć człowieka w jego lecznicy podczas przeprowadzanej przezeń operacji, operacji w dodatku tak błahej, była dlań ciosem.

Nie zastanawiał się jeszcze w tej chwili nad tym, jakie echa ten tragiczny wypadek wywoła, jakie skutki za sobą pociągnie. Dla niego osobiście było rzeczą straszną, że w lecznicy, której był kierownikiem, przez jakieś niezrozumiałe zaniedbanie, przez czyjś błąd czy niesumienność zadano śmierć człowiekowi, który jeszcze przed półgodziną uśmiechnięty i pełen ufności powierzał mu troskę o swoje zdrowie i życie.

W spojrzeniu personelu Wilczur odkrył odbicie własnych myśli. Bez słowa wyszedł z sali operacyjnej. W ubieralni powoli zdejmował kitel jakby przygnieciony ogromnym zmęczeniem.

Gdy przyszedł do swego gabinetu, zastał w nim niemal cały wyższy personel zakładu: doktora Rancewicza, docenta Biernackiego, który dostał swego nerwowego tik, Dobranieckiego w milczeniu palącego papierosa, Kolskiego, bladego i z ponurą twarzą, Żuka, doktor Łucję Kańską i jeszcze kilka osób. Panowało zupełne milczenie. Profesor Wilczur zbliżył się do okna i po dłuższej chwili, nie patrząc na nich, zapytał:

— Który z kolegów internistów miał dziś dyżur?

Odezwał się po krótkiej pauzie drżący i cichy głos doktor Kańskiej:

— Ja, panie profesorze.

— Pani? — jakby z lekkim zdziwieniem zapytał Wilczur. — Badała go pani przed operacją?

Teraz odwrócił się i patrzył na nią z wyrzutem w oczach. Właśnie ona, dla której żywił najwięcej sympatii, którą darzył największym zaufaniem, której rokował jako młodziutkiej lekarce najlepszą przyszłość, właśnie ona popełniła to straszliwe zaniedbanie...

— Czy pani zapomniała go zbadać?

Doktor Łucja potrząsnęła głową.

— Nie zapomniałam, panie profesorze, ale kiedy przyszłam do jego pokoju, zastałam tam pana profesora Dobranieckiego. Pan profesor Dobraniecki kazał mi zbadać innego pacjenta... więc sądziłam, że Donata zbadał już sam... Tak zrozumiałam, takie odniosłam wrażenie.

Oczy obecnych zwróciły się na Dobranieckiego, który zaczerwienił się z lekka i wzruszył ramionami.

— Czy kolega badał go? — zapytał go Wilczur.

W spojrzeniu Dobranieckiego błysnął gniew.

— Ja? Z jakiej racji. Przecież to należy do obowiązków dyżurnego internisty.



Jego wyniosłe podniesiona głowa i ściągnięte rysy wyrażały oburzenie.

— Zdawało mi się... — zaczęła doktor Łucja ze łzami w głosie — odniosłam wrażenie...

— I cóż z tego? — ironicznie zapytał Dobraniecki. — Czy pani zawsze spełnia swoje obowiązki, obowiązki, od których zależy życie pacjenta, tylko wtedy, gdy się pani nic nie zdaje, gdy pani nie odnosi jakichś tam wrażeń?...

Doktor Łucja przygryzła wargi, by nie wybuchnąć płaczem. W ciszy odezwał się wzburzony głos doktora Kolskiego:

— Spotkałem koleżankę na korytarzu i powiedziała mi, że pan profesor to załatwił... Że pan profesor jest osobistym znajomym Donata...

Dobraniecki zmarszczył brwi.

— Właśnie, wstąpiłem doń jako do dawnego znajomego, by zamienić kilka zdań. Oczywiście zbadalbym mu serce, gdyby mi mogło przyjść na myśl, że pani tak lekko-myślnie zaniedba wykonania swego obowiązku.

Po twarzy Łucji spływały łzy. Wargi jej drgały, gdy mówiła:

— Nie zaniedbałam... Byłam przekonana, że... Nie mogę przysiąc, ale niemal jestem pewna, że dał mi pan do zrozumienia, że się sam tym zajmie, bo przecie... Ja... nigdy...

Ostatnie słowa zagmatwały się i rozplynęły się w łkaniu.

— Jeżeli tu jest czyjaś wina — wybuchnął Kolski — to w każdym razie nie panny Łucji!

Na twarzy profesora Dobranieckiego wystąpiły ciemne wypieki. Cofnął się o krok i zawołał:

— Ach, tak? Więc to są takie metody? Widzę, że knuje się tu przeciw mnie jakaś intryga! To na mnie chcecie zwalić swoje winy! To może ja mam być odpowiedzialny za brak dyscypliny w lecznicy, za nieobowiązkowość niektórych uprzywilejowanych osób z personelu?... Byłoby to oburzające, gdyby nie tkwił w tym zbyt oczywisty absurd. O, nie, moi drodzy państwo! Nie boję się intrygi i kłamstwa. Nie boję się odpowiedzialności, wtedy gdy istotnie spada ona na mnie, ale teraz, gdy mnie zmuszacie, nie zamierzam dłużej ukrywać tego, co myślę. Tak, powiem otwarcie. Przez szereg lat kierowałem tą instytucją i u mnie podobne wypadki były absolutnie wykluczone. U mnie panowała absolutna dyscyplina, u mnie nikt nie cieszył się jakimiś specjalnymi względami, u mnie każdy ponosić musiał pełną odpowiedzialność za wykonanie swoich ściśle określonych obowiązków. Może uważano mnie z tego powodu za zwierzchnika zbyt surowego, wymagającego, bezwzględного, ale za to nie igrało się wówczas życiem ludzkim!... Otóż Donat to ofiara tych porządków, które teraz tu panują. One zabiły Donata i, na Boga, nie ja jestem za to odpowiedzialny!...

Nie tylko wypowiedziane słowa, lecz cała postawa, wzrok i wyraz twarzy Dobranieckiego jakby tchnęły oskarżeniem, oskarżeniem skierowanym przeciw wszystkim zebranym.

W ciszy rozległ się głos profesora Wilczura.

— Prosiłbym kolegę o więcej spokoju i o nieferowanie wyroków. Nikt tu przeciw panu nie intryguje, nikt nie podaje w wątpliwość pańskich zasług, nikt nie obciąża pana winą. Za wszystko, co się dzieje w lecznicy, odpowiadam ja, ja ponoszę odpowiedzialność.

— Właśnie. I ja tak sądzę — z ironicznym półśmiechem odpowiedział Dobraniecki, skinął głową i wyszedł z pokoju.

W całej lecznicy na wieść o śmierci Donata na stole operacyjnym zapanował nastrój przygnębienia. Oczywiście wiadomości szybko wydostały się na miasto i w niespełna godzinę później hall lecznicy pełen już był dziennikarzy i fotografów redakcyjnych.

Śmierć Leona Donata, tenora, którego sława znajdowała się właśnie u szczytu, musiała wywrzeć na całym świecie wstrząsające wrażenie. Ponieważ zaś zgon nastąpił w okolicznościach tak wyjątkowych, wypadek nabierał wszystkich cech wielkiej sensacji. Skrzętnie pracowały ołówki reporterów; zbierając strzępy informacji od lekarzy, pielęgniarzy, a nawet od służby szpitalnej. Tylko profesor Wilczur nie chciał przyjąć żadnego z reporterów, oświadczając, że nie ma nic do powiedzenia. Natomiast jego zastępca, profesor Dobraniecki, chętnie udzielił wywiadu.

Podkreślił w nim z całą lojalnością swój szacunek i uznanie dla profesora Wilczura jako świetnego chirurga i dodał, że przeprowadzona przezeń operacja w żadnym wypadku nie mogła zakończyć się wynikiem śmiertelnym i nie zakończyłaby się, gdyby nie pewne niedociągnięcia w organizacji pracy na terenie lecznicy. Mimochodem zaznaczył też, że dawniej podobne wypadki nie zdarzały się nigdy, ani za owych czasów, gdy lecznicą kierował młody wówczas i niedźwigający na swych barkach ciężaru przeżyć profesor Wilczur, ani wówczas, gdy on sam, profesor Dobraniecki, był tu dyrektorem.

— Chcę, by mnie panowie dobrze zrozumieli — mówił. — Kierowanie taką instytucją wymaga bardzo wielu wysiłków, nienadwątłonej energii, nienadniszczonej<sup>1</sup> tragicznymi przeżyciami sprężystości. Każdy z nas, lekarzy, zdaje sobie sprawę, a przynajmniej zdawać sobie sprawę powinien, że ponosi wielką odpowiedzialność za życie powierzonych nam pacjentów, że szczytną swą misję godnie spełniać może tylko wówczas, gdy jest pewien pełni swoich sił duchowych i umysłowych, które przecież z biegiem lat wyczerpują się, nawet wtedy gdy życie płynie normalnie. Dlatego z całą stanowczością muszę stanąć w obronie profesora Wilczura i sądzę, że mam prawo wymagać dlań wyrozumiałości.

Panowie i wasi czytelnicy wiedzą dobrze, jak ciężkie przeżycia wyrwały go na długie lata z normalnego trybu egzystencji. Proszę mi wierzyć, że nie może pozostać bez śladu na psychice, na umyśle i na woli człowieka fakt kilkunastoletniej amnezji, utraty pamięci i wegetowania w strasznych warunkach wśród społeczeństwa, w nędzy. I tak godne podziwu jest, że profesor Wilczur zdobył się na tak wspaniałą dowód siły i żywotności ducha, że po tylu latach potrafił przejść od praktyki znachorskiej, od najprymitywniejszych sposobów leczenia do kierowania wielką lecznicą, gdzie i najmłodszego, najbardziej energicznego człowieka mógłby przerazić nadmiar skomplikowanych zagadnień organizacyjnych wymagających ustawicznej czujności, ustawicznej kontroli. Z naciskiem proszę panów o podkreślenie mego wielkiego szacunku dla profesora Wilczura, który będąc już w tych latach, gdy nawet każdy inny lekarz, któremu życie upłynęło normalnie i spokojnie, szuka odpoczynku, wciąż jeszcze trwa na stanowisku.

Zegnając się z dziennikarzami profesor Dobraniecki uwarunkował umieszczenie wywiadu tym, że będzie wydrukowany jak najściślej.

— Nie mam oczywiście i nie mogę mieć wpływu na rodzaj i jakość komentarzy, którymi panowie zechcą ten wywiad i cały wypadek opatrzyć. Nie chciałbym jednak, by wskutek zniekształcenia wypowiedzianych tu przeze mnie słów ktokolwiek z czytelników mógł wyrobić sobie błędne zdanie o moim stosunku do sprawy.

O godzinie piątej po południu na ulicach Warszawy ukazały się nadzwyczajne dodatki przynoszące wieść o śmierci znakomitego tenora. Korespondenci pism zagranicznych wysłali długie depecze, wszystkie linie telefonów międzymiastowych na Berlin, Wiedeń, Paryż przez długi czas były zajęte.

W mieście o niczym innym nie mówiono. W dodatkach nadzwyczajnych podano tylko suche fakty, ale same tytuły zawierały już osąd: „Wielki śpiewak Leon Donat zmarł pod nożem profesora Wilczura”, „Nie zbadano przed operacją serca”, „Ofiara karygodnego niedbalstwa w lecznicy profesora Wilczura”...

Warszawa się trzęsła. Przed gmachem lecznicy zgromadził się kilkutysięczny tłum wielbicieli zmarłego śpiewaka, z gęstwy ludzkiej raz po raz padały głośne okrzyki pod adresem profesora Wilczura i w ogóle lekarzy. Omal nie poturbowano wychodzącego z lecznicy doktora Żuka, a policja z trudem zdołała tłum rozproszyć, by dać przejazd karetce pogotowia, która przywiozła jakiegoś pacjenta.

W samej lecznicy panował nastrój pogrzebowy. Jeden tylko bodaj profesor Wilczur nie przerwał swoich codziennych zajęć. Zdawał się nie dostrzegać wyrazu twarzy podwładnych ani ich zdenerwowania, zdawał się nie wiedzieć o wzburzeniu na mieście, zdawał się nie słyszeć hałasującego pod oknami tłumy.

Kończył właśnie wieczorną wizytację pacjentów i schodził na dół, w chwili gdy przywieziono nowego. Asystujący profesorowi doktor Kolski chciał zająć się jego przyjęciem, lecz Wilczur sam zbliżył się do lekarza pogotowia, by pacjenta odebrać. Z noszy, z którymi dwaj sanitariusze skierowali się do sali przyjęć, rozległy się ciche pojękiwania, drogę znały gęste krople czarnej krwi.

<sup>1</sup>nienadniszczony — dziś: niepodniszczony. [przypis edytorski]

— Co to jest? — zapytał profesor Wilczur.

Lekarz pogotowia wyjaśnił: rozprawa nożowa, stan beznadziejny, kilka głębokich ran klatki piersiowej i brzucha. Tylko natychmiastowa operacja może coś pomóc. Dlatego właśnie przywiózł go tu, bo było najbliżej.

— Proszę go od razu na stół — zwrócił się Wilczur do Kolskiego.

Kolski zatrzymał się przez sekundę.

— Czy ma go operować doktor Rancewicz?

— Nie, ja sam się tym zajmę — odpowiedział Wilczur.

Kolski pobiegł wydać dyspozycje, po czym dopilnował rozebrania rannego z jego łachmanów. Był to jakiś włóczęga o dawno niegolonej twarzy przeciętej zresztą teraz kilkoma niegłębokimi, lecz krwawiącymi ranami. Dogorywał. Nierówny oddech przesiąknięty odorem alkoholu ustał prawie zupełnie.

Sala operacyjna była gotowa. Przyszła doktor Łucja, blada jak papier, o oczach zaczerwienionych od długotrwałego płaczu.

— Niechże pani idzie do domu — prosząco odezwał się Kolski. — Już ja wszystkiego dopilnuję. A tutaj nie ma nawet po co badać. Nie wiem, czy go doniosą do sali operacyjnej.

Zjawił się profesor Wilczur. Pochylił się nad pacjentem i wyprostował się, przecierając ręką oczy.

— Kto to jest? Ja znam tego człowieka. Ja go na pewno kiedyś widziałem.

— Pogotowie podało tylko imię i nazwisko — wyjaśnił Kolski. — Nazywa się Cyprian Jemioł.

— Jemioł? — powtórzył profesor. — Skąd ja go znam?

Na progu zjawił się sanitariusz i oznajmił, że wszystko gotowe. Po zdjęciu prowizorycznych opatrunków okazało się, że rany nie są ani tak głębokie, ani tak groźne, jak to określił lekarz pogotowia. Jedna tylko była wysoce niebezpieczna. Ostrze noża rozplatało mięsień brzuszny i dość szeroko żołądek. Płuca były nienaruszone, natomiast upływ krwi znaczny i długotrwały był najistotniejszym niebezpieczeństwem.

— Drugi trup w ciągu jednego dnia na tej sali — powiedziała szeptem jedna z pielęgniarek do doktora Kolskiego. — Dlaczego profesor sam robi tę operację?

Kolski nic nie odpowiedział. Tymczasem profesor Wilczur swymi wielkimi, niezgrabnymi rękami ze zdumiewającą wprawą zaszywał jedną ranę po drugiej. Myśl jego jednak wciąż pracowała, jakby szukając w pamięci podobizny tego człowieka.

„Jemioł — powtarzał w myśli. — Cyprian Jemioł... Znam go z całą pewnością”.

Operacja była skończona. Pacjenta zabrano żywego ze stołu. Iskierka życia, która się w nim tliła, równie łatwo mogła zgasnąć, jak i ponownie się rozżarzyć. Umieszczono go na czwartym piętrze w oddziale nieplacących pacjentów, zaś profesor Wilczur musiał wprost z sali operacyjnej udać się do kancelarii, gdzie oczekiwał już go komisarz policji i sędzia śledczy.

Władze pod naciskiem opinii publicznej musiały gruntownie zbadać sprawę śmierci Donata. Profesor Wilczur został poinformowany, że w aktach znajdują się już zeznania wszystkich ważniejszych w grę wchodzących osób, a sędzia śledczy dał mu do zrozumienia, że ciężar oskarżenia kieruje się ku doktor Łucji Kańskiej, która podczas badania nie zaprzeczyła zresztą swojej winie. Potwierdzają to również zeznania profesora Dobranieckiego, ten jednak winę przypisuje w ogóle nieporządkom organizacyjnym panującym w lecznicy.

Wiele trudu i argumentów zużyć musiał profesor Wilczur po to, by przekonać ich, że doktor Kańska nie ponosi tu żadnej odpowiedzialności, że profesor Dobraniecki również nie może być postawiony pod jakimkolwiek zarzutem. Wszystkiemu winno jest nieporozumienie i tylko nieporozumienie. O czyjejkolwiek złej woli nie może tu być mowy, ale nieporozumienia podobnego typu istotnie nie mogą zdarzać się w lecznicy i Dobraniecki ma rację, przypisując winę śmierci Donata złej organizacji.

— Za organizację zaś ja tu jestem odpowiedzialny — zakończył profesor Wilczur — i ja jeden jestem winowajcą.

— Oczywiście, panie profesorze — powiedział sędzia śledczy, składając papiery do teczki — nie może być tu mowy o jakimś procesie karnym. Musi pan być jednak przygotowany na ewentualność, że rodzina śp. Leona Donata lub też towarzystwa asekuracyjne,

w których nieboszczyk był ubezpieczony, mogą rościć sobie poważne pretensje finansowe. Radziłbym też panu profesorowi zawczasu porozumieć się co do tych spraw ze swoim adwokatem.

— Dziękuję panu sędziemu — powiedział Wilczur.

Była już godzina dziesiąta, gdy Wilczur wyszedł z lecznicy. Na dole zobaczył oczekującą nań Łucję. Wzruszył go jej wygląd. Przez myśl mu przeszło, że ta biedna dziewczyna zrozpaczona i przybita zdarzeniami, w których kręgu mimo woli się znalazła, może popęnić jakieś szaleństwo.

Uśmiechnął się i wziął ją pod rękę.

— No, droga pani, więcej hartu, więcej hartu. Nie można tak się przejmować. Żaden człowiek nie może być absolutnie pewien nieomyślności wszystkich swoich działań. I żaden lekarz. Stało się, trzeba nad tym ubolewać, trzeba odtąd zdwoić uwagę, ale nie można popadać w depresję.

Łucja potrząsnęła głową.

— Nie, panie profesorze. To nie jest depresja. To jest rozpacz na myśl o tym, że pan profesor może być istotnie przekonany o moim niedbalstwie. Wszystkie okoliczności składają się przeciwko mnie... Tak chciałabym, by pan pozwolił mi wytłumaczyć się...

Wilczur mocniej przycisnął jej rękę.

— Ależ, droga panno Łucjo...

— Nie, nie, panie profesorze — przerwała mu. — Obiektywnie rzecz biorąc, zasługuję na potępienie i wiem, że nie może pan nadal korzystać z mojej współpracy. Narażać się na współpracę ze mną. Jestem na wszystko przygotowana. Chodzi mi tylko o to, by pan uwierzył mi, by pan nie wątpił... Moją winą nie jest ani niedbalstwo, ani nawet lekkomyślność... Może tylko nadmiar zaufania do dobrej woli i lojalności... profesora Dobranieckiego... Poniosę wszystkie konsekwencje... Jeżeli mi nawet prawo praktyki odbiorą, niech będzie!... Ale niech mi pan uwierzy...

— Ależ wierzę, wierzę, droga pani — zapewnił Wilczur. — I może pani być spokojna, nikt pani niczego nie odbierze, zostanie pani po dawnemu w lecznicy i nie zmniejszy się moje zaufanie do pani ani odrobinę.

Szli przez chwilę w milczeniu i Wilczur odezwał się niezwykle u niego surowym tonem:

— Pani jest młoda, bardzo młoda i dlatego wybaczę pani i to jedyne prawdziwe przewinienie, które pani popełniła. Które pani popełniła teraz... Postaram się zapomnieć, że mogła pani przez chwilę bodaj wątpić o dobrej woli profesora Dobranieckiego, o dobrej woli jakiegokolwiek lekarza. Lekarz może się mylić, ale nie ma takiego na świecie, słyzy pani, nie ma takiego, który by dla jakichkolwiek powodów mógł dopuścić się narażenia na niebezpieczeństwo śmierci pacjenta. To pani jako lekarka powinna zrozumieć... Pani powinna w to wierzyć! Z chwilą, gdy się przestaje w to wierzyć — trzeba przestać być lekarzem.

Łucja odezwała się tonem wyjaśnienia:

— Ja tylko chciałam zaznaczyć, panie profesorze, że profesor Dobraniecki...

— Nie mówmy o tym więcej — przerwał jej stanowczo. — Niech panią Bóg broni przed kimkolwiek zwierzać się z jakichś swoich... No, dajmy temu spokój. Niech pani patrzy, jaką piękną mamy noc. Ile gwiazd.

Pochylił się ku niej z uśmiechem.

— Lubię jesień. Lubię jesień. A pani?

### ROZDZIAŁ III

Treść porannych gazet przyprawiła panią Ninę Dobraniecką o wypieki. Kazała sobie przynieść wszystkie i nie było wśród nich takiej, która by nie podawała wywiadu z jej mężem. Prawie wszystkie też zawierały ostre, potępiające komentarze o karygodnym niedbalstwie w lecznicy, która od lat słynęła z wzorowego porządku i z wysokiego poziomu lekarskiego. Niektóre pisma występowały wręcz z żądaniem ustąpienia profesora Wilczura, inne wyrażały obawy, że jeżeli w tej lecznicy w tak niedbały sposób odniesiono się do pacjenta bogatego i słynnego na całym świecie, to w jakiż sposób traktuje się tam ludzi zwykłych. Wszystkie dzienniki przypominały również, że wieloletnia amnezja profesora Wilczura

nie mogła pozostać bez wpływu na stan obecny jego władz duchowych, czego dowodem są chociażby pozostałości znachorskich upodobań w stosowaniu ziół, nawet takich, które oficjalnie nauka od dawna już uznała za bezwartościowe lub wręcz szkodliwe.

Wywiad udzielony przez męża wydał się pani Ninie za słaby. Ten człowiek pominął oto najświetniejszą okazję do zdruzgotania, do ostatecznego zdruzgotania przeciwnika i usunięcia go z widowni. Niepotrzebne były te przesadne komplementy pod adresem Wilczura. Należało wyraźniej podkreślić jego wiek i przytoczyć coś na dowód objawów nawrotu amnezji. Przewertowawszy pisma, pani Nina nacisnęła guzik dzwonka.

— Czy pan profesor już wstał? — zapytała pokojówkę.

— Pan profesor wyszedł już przed godziną.

— Przed godziną? — zdziwiła się pani Nina.

Wczoraj nie widziała męża. O śmierci Donata dowiedziała się z dodatków nadzwyczajnych. Kilkrotnie próbowała połączyć się telefonicznie z mężem, w lecznicy jednak odpowiadano jej zawsze, że nie może podejść. Wrócił do domu późną nocą, gdy już spała. A teraz przed ósmą wyszedł z domu, czego prawie nigdy nie robił.

— Możesz odejść i przygotuj mi kąpiel — odprawiła pokojówkę.

Pani Nina postanowiła nie próżnować. Przede wszystkim należało się dowiedzieć, jakie rezonans wśród znajomych wywołały artykuły porannej prasy, i postarać się o to, by usposobić różne wpływowo osobistości jak najkrytyczniej do osoby Wilczura. Nie było to zbyt trudne zadanie w tej atmosferze, jaką wytworzyły wypadki. Każdy z interlokutorów pani Niny zdawał sobie przecież sprawę, że pani Dobraniecka, jako żona zastępcy i najbliższego współpracownika Wilczura, może posiadać znacznie ściślejsze i obfitsze informacje o przebiegu operacji i przyczynach śmierci Donata niż prasa.

I pani Nina nie zawiadła tych oczekiwań.

Miała rozległe stosunki i umiała mówić przekonująco. W rezultacie plotki i komentarze dookoła tragicznego zdarzenia wciąż narastały, przybierając formę najbardziej fantastycznych hipotez, domysłów i podejrzeń. Warszawa tak była nasiąknięta tą sprawą, że nie mogła ona zniknąć również i z łamów prasy. Nie była to kampania skierowana wprost przeciw osobie profesora Wilczura, lecz w istocie godziła w jego pozycję w świecie lekarskim i w jego sławę chirurga.

Pani Nina nie należała do osób, które przebijają w środkach walki, nie należała do osób cofających się przed jakimkolwiek krokiem, jeżeli krok ten mógł zbliżyć ją do celu. Po kilku dniach z tego właśnie powodu między nią i mężem doszło do ostrej scysji.

Profesor Dobraniecki podczas konsylium u jednego z pacjentów usłyszał od doktora Hryniewicza tak nonsensowny zarzut pod adresem Wilczura, że przez samo poczucie przyzwoitości musiał mu zaprzeczyć. Zarzut polegał na tym, że rzekomo Wilczur w niektórych wypadkach zamiast leczenia stosuje znachorskie „zamawianie”. Dobraniecki przez moment przypuszczał nawet, że w stosunku do niego Hryniewicz ucieka się do podstępnej prowokacji.

— Nonsens, panie kolego — powiedział, krzywiąc się. — Jak pan może wierzyć podobnym niedorzecznościom?

— Moja siostra słyszała to od pańskiej żony — odpowiedział lekarz.

Dobraniecki bąknął coś o nieporozumieniu, które tu musiało zajść, jednak po powrocie do domu zaczął robić żonie gwałtowne wymówki.

— Ty doprawdy nie znasz miary i nie masz poczucia zdrowego sensu. Przecież w ten sposób tylko mnie kompromitujesz. Przecież nie można w ludzi wmawiać absurdów, którym nikt rozsądny nie uwierzy.

Pani Nina wzruszyła ramionami.

— A jednak widzisz, że uwierzyli.

— Albo udawali, że wierzą — podkreślił z naciskiem.

— Mój drogi, bądź przekonany, że jeżeli o kimś mówisz źle, zawsze ci uwierzą.

— A jednak proszę cię, Nino, byś pohamowała swoją akcję. Wilczur doskonale się orientuje, komu może zależeć na psuciu jego opinii. W jego zachowaniu się w stosunku do mnie w ostatnich dniach dostrzegam coraz więcej rezerwy i chłodu. Gdy zostanie wprowadzony z równowagi, może mi bardzo zaszkodzić.

— W jaki sposób?

— W bardzo prosty. Może mnie oskarżyć o kampanię oszczerczą przeciw niemu.

Uśmiechnęła się ironicznie.

— Przed kim oskarżyć?

— To obojętne. W senacie akademickim, w związku, a bodaj w prasie. Nie zapominaj, że cieszy się on wciąż jeszcze wielkim autorytetem. A jedna operacja śmiertelna... nie może takiego autorytetu obalić.

Profesor Dobraniecki miał rację. Śmierć Donata nie zdołała obalić autorytetu profesora Wilczura, zachwiała nim jednak poważnie. Najdobitniej wyraziło się to na dorocznym zebraniu związku podczas wyborów.

Pozycja Wilczura była wciąż jeszcze tak mocna, że Dobraniecki uważał za rzecz wskazaną cofnąć swoją kandydaturę na stanowisko prezesa i wysunąć kandydaturę Wilczura. Nastąpiło głosowanie i Wilczur został wybrany. Lecz o ile przed dwoma tygodniami wybór nastąpiłby jednogłośnie, tym razem przeszedł tylko nieznaczną większością kilku głosów przy wielu wstrzymujących się od głosowania.

Na zebraniu Wilczur nie był obecny. Głęboko przejęty swoimi troskami po prostu zapomniał o zebraniu, zaś zawiadomiony o wynikach napisał krótki list do związku, oświadczając, że wyboru przyjąć nie może. Tłumaczył się zmęczeniem i tym, że stanowiska publiczne powinni zajmować ludzie młodszy. W istocie przejmowała go wstrętem myśl, że przyjmując wybór, musiałby ustawicznie stykać się z tymi ludźmi, którzy głosowali przeciw niemu, którzy uwierzyli haniebnym plotkom i oszczerstwom krążącym po mieście i znajdującym echa w wielu dziennikach, ba, nawet w pismach fachowych.

Miał jeszcze i inne kłopoty. Mianowicie pewnego dnia zgłosił się doń przedstawiciel towarzystwa asekuracyjnego, w którym Donat był ubezpieczony na kolosalną sumę. Towarzystwo stało na stanowisku, że odpowiedzialność za śmierć śpiewaka ponosi profesor Wilczur i że on też winien uiścić kwotę ubezpieczenia. A to dla Wilczura równało się — ruinie.

Pomimo to bez namysłu oświadczył, iż gotów jest pokryć całą sumę. Czy mógł narażać się na proces, na ekspertyzy, na wywlekanie na światło dzienne tych wszystkich podejrzeń, które się nagromadziły przeciw nie tylko w nim samym, ale Łucji Kańskiej i w Kolskim, i zapewne w wielu innych? Musieliby stanąć przed sądem i na pewno ktoś z nich poruszyłby te sprawy, wystąpiłby z tymi podejrzewaniami, na myśl o których ogarnęło Wilczura przerażenie i obrzydzenie.

Nie, na to się zgodzić nie mógł.

W ten sposób z dnia na dzień utracił niemal cały majątek. Lecznica, willa, kamienica na Puławskiej — wszystko to przeszło na własność towarzystwa asekuracyjnego. Dyrekcja tego towarzystwa wykazała i tak wiele życzliwości i dobrej woli, pozostawiając Wilczura na czele lecznicy i wyznaczając mu względnie wysokie pobory oraz pozostawiając mu prawo dożywotniego zajmowania willi. Dzięki tym okolicznościom sprawa została załatwiona cicho i bez rozgłosu, na czym Wilczurowi najbardziej zależało. Pozornie nic się nie zmieniło. O tym, że Wilczur przestał być w lecznicy wszechwładnym panem i zależał teraz od prezesa Towarzystwa Asekuracyjnego Tuchwica, nikt nie wiedział.

I sam Wilczur zresztą nie odczuwał tej zmiany. Od wielu lat nie przywiązywał do pieniędzy wielkiej wagi. Kiedyś, gdy była z nim jeszcze jego żona, śp. Beata, umiał pracować po kilkanaście godzin na dobę, wierzył, że przepychem luksusowych samochodów, drogich futer i biżuterii może dać jej radość, dać szczęście. I oto pewnego dnia zostawiła to wszystko, zostawiła i odeszła, zabierając małą Mariolę. Wraz z jej odejściem rozwiły się jego złudzenia. Wszystkie dotychczasowe wysiłki, cała ciężka i zawzięta walka o byt wydała się śmiesznym nieporozumieniem, bezsensownym trudem, tragiczną pomyłką.

A potem przyszły lata... zupełnie inne lata... Kto wie, czy nie należy ich błogosławić, tych lat spędzonych na szlakach włóczęgi, lat spędzonych wśród dobrych ludzi, gdy praca z siekierą w ręku lub z ciężkim workiem na plecach była pracą dla zwykłego kawałka chleba... Utrata pamięci. Tak. Przez długie lata nie wiedział, kim jest, skąd pochodzi, jak się nazywa. A czyż utrata pamięci wówczas nie była dlań dobrodziejstwem? Czyż nie powinien błogosławić Boga za to, że mu odebrał świadomość przeszłości, świadomość śmiertelnej rany zadanej w serce, w nieprzytomnie kochające serce, przez kobietę, przez ponad wszystko kochaną kobietę...

Popiół czasu przyprószył przeszłość, popiół czasu przyprószył włosy...

Z przeszłości została mu tylko Mariola... Czy została?...

Od trzech lat, odkąd wyszła za mąż, widział ją tylko jeden raz. Nie miał do niej ani do Leszka o to żalu. Cóż, każdy ma własne życie. Młode ptaki wylatują z gniazd, zakładając własne, i już nigdy do dawnych nie powracają. Leszkowie zamieszkali w Ameryce, a chociaż pisują często, coraz bardziej znac w ich listach tę odległość wielu tysięcy kilometrów, tę przegrodę wielu tysięcy innych, odmiennych, obcych warunków bytu, jakie ich dzieli od niego.

„Nie jestem im potrzebny — myślał Wilczur — a przy ich bogactwie nie odczują nawet tej straty, że w spadku po mnie nic nie dostaną”.

W spadku. Pierwszy raz mu to przyszło na myśl, że jest już stary. Dotychczas nawał codziennej pracy i jego niezmiortowana energia zasłaniały mu przed oczyma fakt, że dobiega już tego wieku, w którym większość ludzi myśli tylko o śmierci. Gdy przeczytał te słowa w wywiadzie Dobranieckiego, wydały mu się tak śmieszne i tak nikczemne, jak i reszta jego perfidnych wynurzeń. Mijały jednak dni i tygodnie, a coraz więcej myślał o swojej starości.

Wprawdzie po dawnemu codziennie już o siódmej rano był na nogach, a o ósmej w lecznicy, ale już popołudnia najczęściej spędzał w domu. Przeważnie samotnie.

Czuł się zmęczony. W związku z nieustającymi napaściami, na które nie odpowiadał, pogarszał się wciąż jego stan nerwowy, a to odbijało się na zdrowiu i samopoczuciu.

W tym to okresie zaczął pić. Nie był to nałóg. Po prostu stary, doświadczony Józef, służący Wilczura, któregoś dnia zaproponował mu wypicie kieliszka koniaku.

— Zmarł pan trochę, panie profesorze. Dobrze to panu zrobi.

Od tego dnia, gdy po obiedzie zasiadał przed kominkiem w gabinecie, zawsze obok czarnej kawy na stoliku stała butelka z koniakiem. Kilka kieliszków rozgrzewało go znakomicie, pozwalało oderwać myśl od przykrew rzeczywistości, dawało złudzenie pogody i zadowolenia. A przede wszystkim usypiało nerwy, nerwy, które w ostatnich czasach naprawdę potrzebowały spokoju.

Nieustające ataki na Wilczura musiały wyrzucić swój wpływ nawet na najbliższe jego otoczenie. W lecznicy, jak to zdołał zauważyć, część personelu odnosiła się doń krytycznie i wyraźnie oscylowała ku Dobranieckiemu czy to z przekonania, czy po to, by pozyskać jego względy w przewidywaniu, że zbliża się ponownie okres jego władzy.

Stosunek Wilczura do Dobranieckiego nie zmienił się pozornie w niczym. Zmuszeni do codziennego stykania się na terenie lecznicy, po dawnemu konferowali z sobą, odbywali konsylia i narady. Obaj jednak starali się ograniczyć wzajemny kontakt do minimum. Unikali też jakiegokolwiek zatargu. Toteż gdy profesor Dobraniecki zapowiedział sekretarzowi, by odtąd nie dawano mu pacjentów z czwartego piętra (oddział bezpłatny), Wilczur przyjął to do wiadomości bez protestu i odtąd sam wizytował ten oddział.

Na tym właśnie oddziale spotkało go niespodziewane przeżycie. Podczas jednej z wizytacji poznał człowieka, którego przywieziono mu pod nazwiskiem Cypriana Jemioła, a raczej Jemioł poznał Wilczura.

Było to tak: profesorowi dano znać, że pacjent ten odzyskał przytomność. Gdy Wilczur wszedł do jego pokoju i pochylił się nad chorym, ten uniósł powieki i przez dłuższą chwilę wpatrywał się przytomnym wzrokiem w twarz profesora, potem lekko się uśmiechnął i powiedział:

— *How do you do, darling*<sup>2</sup>.

— Skąd ja pana znam? — zapytał Wilczur.

Pacjent w uśmiechu odsłonił spróchniałe zęby.

— Przedstawił nas sobie mistrz ceremonii na przyjęciu u księżnej Montecuculi.

Profesor zaśmiał się.

— Naturalnie, poznając też pański głos i sposób mówienia.

— To nietrudno, *mon cher*<sup>3</sup>. Mam zwyczaj zmieniać głos tylko jeden raz w życiu. W okresie pacholejącej mutacji. Co zaś dotyczy sposobu mówienia, nie przestaję nigdy być wytworny.

Profesor przysunął sobie krzesło i usiadł.

<sup>2</sup>*How do you do, darling* (ang.) — jak się masz, kochanie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*mon cher* (fr.) — mój drogi. [przypis edytorski]

— A jednak musiało to być dawno, bardzo dawno — powiedział w zamyśleniu.

Jemiół przymknął oczy.

— Gdybym się jeszcze umiał dziwić czemukolwiek na tym świecie, to bym się dziwił, że nie spotykamy się właśnie na tamtym. Cóż za zbieg okoliczności! Dobrodzieja, o ile mnie pamięć nie myli, wiele lat temu pozbawiono możliwości kontynuowania doczesnego żywota i wyprawiono *ad patres*<sup>4</sup>. Mnie kilku serdecznych przyjaciół wyekspediowało w tymże kierunku niedawno. I oto spotykamy się w ciepłym szpitalu. Pan jest doktorem?

— Tak — potwierdził Wilczur. — Operowałem pana. Był pan nieludzko pokrajany.

— Bardzo mi przykro, że pana trzymałem, *signore*<sup>5</sup>. *Mille grazzia*<sup>6</sup>. Ale skoro pan jest lekarzem, niechże mi pan przede wszystkim powie, czy mi nie ucięto jakiejś kończyny.

— Nie. Będzie pan zupełnie zdrów.

— To jest dość przyjemna wiadomość. Przyjemna dla Drożdżyka, który tam na pewno tęskni za mną i wypłakuje swoje piękne oczy. Przypomina pan sobie Drożdżyka, *dottore*<sup>7</sup>?

— Drożdżyka? — profesor zmarszczył brwi.

— Tak, *my dear*<sup>8</sup>, mówię o słynnym *établissement*<sup>9</sup> Drożdżyk, *rue*<sup>10</sup> Witebska *quinze*<sup>11</sup>... Restauracja z punktu widzenia fiskalnego zaliczona do trzeciego rzędu, ale pierwszorzędną pod względem towarzyskim, obyczajowym i moralnym. *Établissement* Drożdżyk. Nic to panu nie mówi? *Rendez-vous*<sup>12</sup> eleganckiej Warszawy. *High life*<sup>13</sup>... Tam właśnie mieliśmy *zaszczyt* i *przyjemność*.

Profesor Wilczur przetarł czoło.

— Czyżby?... To pan... pan mnie wtedy zaczepił na ulicy?...

— *Si, amico*<sup>14</sup>. *Toczno*<sup>15</sup> tak, tak *imiенno*<sup>16</sup>. Wstąpiliśmy do Drożdżyka, by przy czterdziestopięcioprocentowym roztworze alkoholu poruszyć pewne zagadnienia abstrakcyjne, co się nam też w zupełności udało. O ile sobie przypominam, miał pan wówczas jakieś przykrości i niestety zbyt opasły *pugilares*<sup>17</sup> w kieszeni. Od owego dnia używałem pańskiego przykładu jako argumentu, ilekroć głosiłem cnotę ubóstwa. Zawsze byłem zdania, że bogactwo nie daje *szczęścia*. Gdyby pan nie miał wówczas tyle pieniędzy, nie dzielono by pana łomem po głowie i nie topiono w gliniance.

Jemiół spojrzął w oczy Wilczurowi i dodał:

— *Nein, mein Herr*<sup>18</sup>, *vous vous trompez*<sup>19</sup>. Ja nie brałem w tym udziału. Dowiedziałem się o wszystkim nazajutrz. Wieść gminna. Legenda. Jeszcze jedna legenda do rozmyślań nad znikomością rzeczy ludzkich.

Wilczur odruchowo sięgnął ręką do ciemienia, na którym pozostała blizna.

— Więc to tak było?

— Tak, wodzu. Nie śniło mi się nigdy, że ujrzę cię kiedyś jeszcze.

Od owego dnia profesor dość często odwiedzał Jemiola, który zresztą szybko powracał do zdrowia. Polecił go też szczególniejszej opiece panny Łucji, która zajęła się nim ze zdwojoną gorliwością. Wilczur nie mógł nie zauważyć, że ta młoda dziewczyna z nadzwyczajnym poświęceniem oddaje się pracy, jakby chcąc wynagrodzić błąd, który popełniła. Nie mógł również nie dostrzec, że Łucja darzy go szczególniejszą sympatią, że w jej wzroku znajduje wiele ciepła, serdecznego współczucia, przyjaźni i jakby jakiejś prośby.

<sup>4</sup>*ad patres* (łac.) — do ojców. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*signore* (wł.) — tu W.l.p.: panie. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*mille grazzia* własc. *mille grazie* (wł.) — stokrotne dzięki. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*dottore* (wł.) — lekarz. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*my dear* (ang.) — mój drogi, moja droga. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*établissement* (fr.) — instytucja, zakład, przedsiębiorstwo. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*rue* (fr.) — ulica. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*quinze* (fr.) — piętnaście. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*rendez-vous* (fr.) — spotkanie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*high life* (ang.) — wielki świat, wytworne towarzystwo. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*si, amico* (wł.) — tak, przyjacielu. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*tozno* (z ros.) — dokładnie, ściśle. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*imiенno* (z ros.) — właśnie. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*pugilares* — portfel. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*nein, mein Herr* (niem.) — nie, mój panie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*vous vous trompez* (fr.) — myli się pan. [przypis edytorski]



Czasami wychodzili razem z lecznicy i wówczas odprowadzała go do domu. Mówił najczęściej o sprawach zawodowych, zdarzało się jednak, że rozmowa schodziła na kwestie osobiste. Dowiedział się, że Łucja jest sierotą. Pochodziła z Sandomierza, lecz od dziecka wychowywała się w Warszawie. Na wychowanie jej i wykształceniełożyła stryjka, która również umarła przed kilku laty. Opowiedziała mu też, że kiedyś była zaręczona, lecz po niedługim czasie przekonała się, że młody inżynier, który udawał przed nią miłość, był człowiekiem bezwartościowym, i wtedy z nim zerwała.

— A teraz widzę — zauważył Wilczur — że kolega Kolski jest panią bardzo zajęty.

Lekko wzruszyła ramionami.

— Kolski, profesorze, jest właśnie kolegą, jest bardzo porządnym chłopcem, lubię go i uznaję jego wartości, ale to nie są te wartości, które mogłyby wywołać jakieś głębsze uczucie.

Przez chwilę szli w milczeniu.

— A czyż w kobiecie wywołują uczucia jakieś wartości?... Nie uroda, nie młodość, nie... czy ja wiem... wdzięk?...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, profesorze. To, o czym pan wspomniał, może zainteresować tylko bardzo płytkie kobiety. Sądzę, że my... że ja szukałabym w mężczyźnie przede wszystkim bogactwa jego duszy, że chciałabym w nim znaleźć jakby wielką bibliotekę przeżyć, przemyśleń, tragedii i wznoszeń, jakby muzeum, żywe muzeum... Nie umiem tego określić. Może to są złe porównania. Powiem tak: chcę, by jego dusza była instrumentem wielostronnym, by zawierała w sobie tyle cech i dźwięków, ilu bym przez całe swoje życie w nim odkryć i poznać nie mogła, i nie wydaje mi się, bym miała być pod tym względem wyjątkiem. Zdaje mi się, że to jest bardzo kobiece, ogólnokobiece... Ta chciwość, to pragnienie czuwania nad wieloma, wieloma skarbami, których nasz umysł nie ogarnia, a które można cenić i czcić... Bo tylko czując można kochać.

Biały śnieg pokrył ulice Warszawy i lekko skrzypiał pod ich stopami. Światło latarni załamywało się w sinawych smugach cienia. Upierzone drzewa stały ciche, nieruchome, dostojne.

— To nieprawda — powiedział po dłuższej pauzie Wilczur. — Przekona się pani kiedyś, że to nieprawda.

— Nigdy się o tym nie przekonam — zaprzeczyła z przekonaniem, lecz on zdawał się jej słów nie słyszeć i mówił dalej:

— To młodość dyktuje pani te słowa, to młodość podsuwa te myśli. Brak doświadczenia. Miłość... miłość posłuszna jest ciału... posłuszna prawom natury, a duch? Duch jest duchem, jego miejsce w abstrakcji i nic na to nie pomoże.

W jego głosie zabrzmiała nuta goryczy i Łucja powiedziała:

— Nie przekonałam się o tym i sądzę, że profesor zbyt pesymistycznie patrzy na te rzeczy.

— Bo ja się przekonałem — uśmiechnął się ze smutkiem. — Może kiedyś opowiem to pani, może kiedyś. Ku przestrodze. A teraz: oto mój dom. Dziękuję pani za miły spacer i rozmowę. Pani jest dobra, panno Łucjo.

Pocałował ją w rękę na pożegnanie.

Zdejmując futro w przedpokoju przejrzał się w lustrze i stwierdził, że jest nieogolony.

— Niech mi Józef — powiedział do służącego — codziennie rano przypomina, że muszę się ogolić.

— Codziennie wszystko jest przygotowane — z urazą w głosie zauważył służący.

— Tak, ale ja nie zawsze o tym pamiętam, nie zawsze pamiętam...

Wypowiedziane słowa przywiodły mu na myśl dzisiejszy artykuł w jednym z pism, znowu walczącej sprawę śmierci Donata. Jakiś obskurant ukrywający się pod literami doktor X. Y. dowodził tam, iż całkowite uleczenie z amnezji jest prawie niemożliwe. Pamięć nigdy, zdaniem tego ignorant, całkowicie nie wraca i muszą się powtarzać napady.

Co za absurd. I posługując się takimi sztuczkami usiłują go zmusić do rezygnacji. Gdyby wiedzieli, że lecznica jest obecnie własnością towarzystwa asekuracyjnego, na pewno znaleźliby sposoby nowych intryg.

Przebrał się w szlafrok i zasiadł przed kominkiem. Józef przyniósł gorącą, pachnącą kawę i wieczorne gazety. Może umyślnie je tak położył, a może był to tylko przypadek, że rzuciwszy na nie okiem Wilczur odczytał na pierwszej stronie złożonego dziennika tytuł: „Profesor Wilczur wypłacił rodzinie śp. Leona Donata milionowe odszkodowanie”.

Upłynęło kilka minut zanim wyciągnął rękę po pismo.

„Dowiadujemy się — czytał — że towarzystwo, w którym był ubezpieczony tragicznie zmarły w lecznicy profesora Wilczura światowej sławy śpiewak polski Leon Donat, zagroziło niefortunnemu chirurgowi procesem o odszkodowanie. Wobec tego, że proces taki profesor Wilczur oczywiście by przegrał, gdyż śmierć wielkiego tenora nastąpiła wskutek karygodnego niedbalstwa i nieporządków panujących w zakładzie profesora, musiał on uiszczyć należność asekuracyjną, sięgającą zawrotnej sumy dwóch i pół miliona złotych. Jako pokrycie tej sumy na własność towarzystwa przeszła lecznica profesora, jego willa, niemal wszystko, co posiadał. Trudno nie współczuć znakomitemu chirurgowi, że dotknęła go nagle ruina, z drugiej jednak strony niech wypadek ten będzie przestrogą dla wszystkich tych lekarzy, którzy lekkomyślnie traktują życie powierzonych im pacjentów...”

Wilczur odłożył gazetę i szepnął do siebie:

— A więc stało się...

Znowu dolano oliwy do ognia. Czyjaś niedyskrecja sprawiła, czyjaś niedyskrecja albo zawzięte szpiegostwo, że podszycono znowu plotkę, że zacznie się nowa orgia napaści...

— Nie będę jadł, nie jestem głodny — powiedział służącemu, gdy ten oznajmił, że kolacja jest na stole.

— Może chociaż filiżanka bulionu?

— Nie, dziękuję. Niech mi Józef jeszcze da kawy... Tak, i koniaku.

Tej nocy profesor Wilczur wcale nie położył się do łóżka. Nadmiar wypitej kawy i alkoholu sprawił, że rankiem ujrzał w lustrze swą twarz poszarzałą, zmęczoną i obrzmiałą. Pomimo zmęczenia zmusił się do tego, by ogolić się starannie, i punktualnie zjawił się w lecznicy.

Nietrudno było zauważyć, że wczorajsza wiadomość z pisma była tu już wszystkim znana. Doktor Żuk, referując program dnia i stan chorych, nie ośmielił się wprawdzie zapytać Wilczura o nic, ale jego spojrzenia świadczyły, że pytania miał na końcu języka.

Program przewidywał sześć operacji: jedna trepanacja czaszki, trzy zestawienia złamanych kości w kończynach i wycięcie wyrostka robaczkowego czternastoletniej dziewczynce, którą przywieziono w nocy. Poza pierwszą wszystkie operacje były łatwe i zwykłe.

Po godzinnej wizytacji profesor przeszedł do sali operacyjnej. Od pamiętnego wypadku z Donatem każdego pacjenta dodatkowo badał osobiście, sprawdzając stan jego serca i badając, czy nie cierpi na idiosynkrazję do któregośkolwiek z środków usypiających. Zabierało to sporo czasu, lecz wolał polegać tylko na sobie.

Pierwsza operacja trwała przeszło godzinę i udała się doskonale. Pogrypowy wrzód w mózgu został przecięty i oczyszczony. Następne poszły również łatwo. Ostatnią jednak Wilczur postanowił przesunąć o pół godziny. Musiał odpocząć. Nieprzespana noc i napięcie nerwowe zrobiły swoje. Gdy siedział w ubieralni, przyszedł Dobraniecki, przywitał się i powiedział:

— Mówił mi Rancewicz, że jest pan zmęczony. Może do tego wycięcia wyrostka robaczkowego wyznaczyć kogoś innego?

— Nie, dziękuję panu — blade uśmiechnął się Wilczur.

— Bo ja jestem teraz wolny... Ewentualnie...

— Nie. Dziękuję bardzo — nie mógł opanować poirytowanego tonu Wilczur.

Wstał i nacisnął dzwonek.

— Pacjentkę na salę — rozległ się za drzwiami głos sanitariusza.

Dobraniecki wyszedł. Wilczur otworzył podręczną szafkę, wyjął z niej słoik z bromem, wysypał dość dużą dawkę do szklanki, nalał wody i wypił.

Gdy przystępował do operacji, był już zupełnie opanowany i pewny każdego swego ruchu. Skośne cięcie było trafnie wymierzone. Kilka kropel krwi na białym podkładzie tłuszczowym i sinofioletowa gmatwanina kiszek. Rozżarzony drut aparatu elektrycznego krótkim, ostrym sykiem spełnił swoje zadanie i obrzmiały wyrostek robaczkowy znalazł się

w szklance z formaliną. Operacja dobiegała końca. W czterdziestej piątej minucie profesor Wilczur założył klamry.

— ...dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście — liczył doktor Żuk narzędzia.

Chorą wywożono z sali.

— Brak jednej sztuki — spokojnie powiedział doktor Żuk.

Moment konsternacji. Profesor Wilczur, który już zdejmował maskę, powiedział ochryplym głosem:

— Z powrotem na stół.

Trzeba było po raz drugi otwierać jamę brzuszną dla wydobycia ze zwojów kiszek małego metalowego przedmiotu połyskującego niklem. Upał na sali operacyjnej i zmęczenie sprawiły, że Wilczur tylko ostatnim wysiłkiem woli utrzymywał swój mózg w świadomości, a ręce w sprawności. Czuł, że jest bliski omdlenia. Na szczęście wytrzymał do końca.

Pacjentkę zabrano już w chwili, gdy budziła się z narkozy. Zataczając się wyszedł za nią Wilczur na chłodny korytarz. Zdarł maskę i stał przez kilka minut oparty o parapet okna. Powoli odyskiwał przytomność i siły. Zrozumiał też, że ten szum, który słyszy, jest skutkiem zbyt wielkiej dawki bromu. Z wolna skierował się do rozbieralni. Przy pomocy sanitariusza przebrał się, kazał sobie przynieść tu futro i kapelusz i nawet nie wstępując do swego gabinetu wyszedł na ulicę.

Tymczasem w lecznicy wrzało jak w ulu. Wprawdzie pozostawienie narzędzi operacyjnych w jamie brzusznej jest dość częstym wypadkiem, który się przytrafia wielu chirurgom, powodując konieczność powtórnej operacji, profesor Wilczur jednak słynął z tak niesłychanej przytomności umysłu i spostrzegawczości, że nigdy mu się coś podobnego nie zdarzyło.

Oczywiście osoby asystujące przy operacji dostrzegły również osłabienie profesora, a doktor Żuk, obserwując go uważnie, przewidywał nawet omdlenie i przygotował się do tego, że osobiście zastąpi profesora przy dokończeniu operacji w razie wypadku.

Teraz cała elita zakładu zebrała się w gabinecie profesora Dobranieckiego, który mówił:

— Szanujemy go wszyscy, uznajemy jego zasługi, mamy dlań wiele sympatii, ale to nie powinno nam zamykać oczu na fakty: to jest stary człowiek, należy mu się odpoczynek, a nie daje sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. Przecież podobne wypadki będą mu się zdarzały teraz coraz częściej. Nie wiem doprawdy, co począć.

Wśród ogólnych potakiwań rozległ się drżący głos doktor Łucji Kańskiej:

— Tu nie trzeba nic robić. Tu trzeba pootwierać okna i wywietrzyć tę ohydłą atmosferę, nad której wytworzeniem pracują ludzie złej woli. Trzeba przeciwdziałać wstrętnym plotkom, kłamstwom i oszczerstwom. Nie wiem, czy ktokolwiek zdołałby zachować spokój i równowagę wśród tych kalumnii, podłych, podstępnych intryg i krecich podkopów, którymi otoczono profesora Wilczura. To hańba! To wstyd! Ale myślą się ci, którzy dla własnych brudnych korzyści chcą zmusić profesora Wilczura do upadku. Przeliczają się. Taki człowiek jak on nie ugnie się przed podłością nikczemnych intrygantów, wszyscy uczciwi staną po jego stronie!...

Profesor Dobraniecki przybladł i zmarszczył brwi.

— Wszyscy stoimy po jego stronie — powiedział dobitnie.

— Tak? Czy i pan też, panie profesorze? — spojrzała mu wprost w oczy.

Dobraniecki nie umiał ukryć wzburzenia.

— Moja droga pani. Wówczas kiedy pani jeszcze chodziła w pensjonarskim mundurku, ja wydałem biografię profesora Wilczura! Jest pani za młoda i zanadto pozwala pani sobie lekceważyć pewne dystansy. Nie uważam, bym potrzebował wyjaśniać to pani dobitniej.

Doktor Łucja zmieszała się: rzeczywiście między nią a Dobranieckim był taki dystans, jak między generałem a szeregowcem i tylko nagłe oburzenie pozwoliło jej o tym zapomnieć na chwilę.

Korzystając z tego, że Dobraniecki po ostatnim słowie odwrócił się do docenta Bierackiego, Łucja wyszła z gabinetu. Kolskiego znalazła na drugim piętrze, kończył właśnie opatrunek. Była tak roztrzęsiona, że powiedział:

— Czy się coś stało?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nic. Nic ważnego. Tylko oni znowu coś knują... Chciałam z panem pomówić.  
— Dobrze — skinął głową. — Za pięć minut będę wolny. Niech pani zaczeka w moim pokoju.

W jego oczach był smutek i niepokój.

Gdy przyszedł, siedziała przy biurku i płakała.

— Jakiż obrzydliwy, jakiż wstrętny jest świat.

Kolski delikatnie wziął końce jej palców i odezwał się tonem perswazji:

— Zawsze był taki. Walka o byt nie jest dziecinną zabawą ani grą towarzyską, tylko wojną, nieustającą wojną, w której zarówno zęby, jak i pazury są równie dobrą bronią jak słowa. Trudno. Tak już widocznie musi być. No, niechże się pani uspokoi, panno Łucjo, niechże się pani uspokoi.

## ROZDZIAŁ IV

Prezes Tuchwic w zamyśleniu stuknął ołówkiem po pliku cienkich kartek zapisanych maszynowym pismem.

— Przeczytałem pański memoriał, panie profesorze — mówił, nie podnosząc oczu na siedzącego po drugiej stronie biurka Dobranieckiego — przeczytałem i muszę panu powiedzieć, że stawia pan mnie w niesłychanie przykrych sytuacji. Oczywiście muszę się zgodzić z niektórymi argumentami pańskimi, ale zarówno pod względem prawnym, jak i osobistym nie mogę tu nic zrobić.

Dobraniecki poruszył się w fotelu.

— Wybacz pan, ale nic zrozumiałem.

Na twarzy Tuchwica zjawił się grymas zniecierpliwienia.

— Widzi pan, profesorze, ja się nie znam na tych waszych lekarskich rzeczach. Jestem finansistą i tu znam swoje zobowiązania. Otóż profesor Wilczur postąpił z nami bardzo *fair*. Postąpił jak dżentelmen. Oczywiście, mógł nie przyjąć na siebie winy, mógł zwalić ją na internistkę, która nie zbadła Donata. Oczywiście wówczas miałbym prawo domagać się współodpowiedzialności właściciela lecznicy i sąd na pewno by to przyznał. Jednak wątpię, byśmy wówczas mogli odzyskać całą kwotę, a poza tym sprawa ciągnęłaby się latami. To pierwszy punkt. Winieniem mu jeżeli nie wdzięczność, to przynajmniej stosunek również *fair*...

— Ale chyba nie kosztem życia dalszych pacjentów — sarkastycznie wtrącił Dobraniecki.

— Oczywiście. Jeżeli jest tak, jak pan mówi i jak pan tu napisał, przyznaję, że profesor Wilczur powinien ustąpić. Ale ja go do tego zmusić nic mogę. Zawarłem z nim umowę, na mocy której pozostanie on kierownikiem lecznicy, póki sam zechce. To drugie. Jest i trzeci punkt. Widzi pan, mam w stosunku do Wilczura obowiązek wdzięczności. Przed wielu laty leczył on moją matkę i wówczas uratował jej życie.

W gabinecie zapanowało milczenie. Prezes powoli zapalił fajkę.

— Z tych wszystkich argumentów — odezwał się Dobraniecki — istotnym argumentem jest jeden: pańska umowa z Wilczurem. Ale i tu znajduję wyjście. Czy nie mógłby pan prezes pomyśleć o czymś w rodzaju emerytury? Sądzę, że na takie rozwiązanie sprawy profesor Wilczur mógłby przystać. Oczywiście pod pewnym naciskiem.

— Ale ja nie mogę wywierać żadnego nacisku — zaoponował prezes.

Dobraniecki zrobił pauzę.

— Skoro towarzystwo, którego pan jest prezesem, jest właścicielem lecznicy, musi panu zależeć na renomie tej lecznicy, bo renoma i tylko renoma jest jej główną wartością. Z chwilą gdy lecznica zacznie tracić opinię najlepszego zakładu tego rodzaju w stolicy, spadną też jej dochody, a zatem i obiektywna wartość.

— Rozumiem to dobrze — przyznał prezes. — Dlatego też muszę zapewnić pana profesora, że bynajmniej nie zamierzamy zatrzymać jej dla siebie. Gotowi jesteśmy sprzedać ją pierwszemu reflektantowi, który się zgłosi. Sprzedać nawet z pewną stratą.

Wzrok Dobranieckiego ożywił się.

— Za kilka miesięcy moglibyśmy o tym pomówić.

— Czy pan profesor?... — zaciekał się prezes.

Dobraniecki zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Nie ja sam. Nie rozporządzam takimi funduszami. Ale spodziewam się znaleźć paru lekarzy, którzy wesliby ze mną do spółki. Naturalnie mogłaby być o tym mowa tylko wtedy, gdy kierownictwo przeszłoby w inne ręce. Niech pan mnie źle nie rozumie, prezesie. Nie zależy mi bynajmniej na tym, bym to ja właśnie miał objąć dyрекcję. Chodzi mi przede wszystkim o bezpieczeństwo pacjentów i o utrzymanie na poziomie instytucji, której, śmiało to mogę powiedzieć, jestem współtwórcą.

Prezes wstał.

— Zastanowię się nad tym wszystkim, panie profesorze, i wkrótce dam panu odpowiedź.

— Będę jej oczekiwał z niecierpliwością usprawiedliwioną tym, że przedłużanie się obecnego stanu rzeczy doprawdy grozi poważnymi następstwami.

Prezes odprowadził Dobranieckiego do drzwi i znowu zagłębił się w swoim przepaścistym fotelu. Istotnie sprawa ta miała dlań nad wyraz przykry posmak. Gdyby to od niego zależało, gdyby nie był odpowiedzialny za finanse towarzystwa, wołałby na to wszystko machnąć ręką i zostawić rzeczy ich własnemu biegowi.

Nie podobał mu się Dobraniecki. Oczywiście wiedział, że jest to osobistość ogólnie uznana i szanowana, uczony poważnej miary i człowiek odgrywający niemałą rolę w życiu towarzyskim Warszawy. Jednakże stosunek profesora do Wilczura wydał się prezesowi niesmaczny, a może nawet niełojalny.

Z drugiej wszakże strony o uszy prezesa nieraz się już obijały pogłoski potwierdzające dane zawarte w memoriale Dobranieckiego.

Tego wieczora prezes Tuchwic opowiedział przy kolacji żonie całą sprawę i usłyszał taką radę:

— Mój drogi, najlepiej postąpisz, jeśli zobaczysz się z Wilczurem i rozmówisz się z nim otwarcie.

— Masz rację — przyznał. — Zrobię to w przyszłym tygodniu.

O złożeniu przez Dobranieckiego memoriału w lecznicy wiedziano, gdyż przy jego redagowaniu brało udział kilku lekarzy trzymających stronę autora. Oczywiście rzecz nie dała się utrzymać w tajemnicy i wkrótce dotarła też do wiadomości Wilczura. Wysłuchał tego w milczeniu, uśmiechnął się, wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Nazajutrz w obecności kilku osób zwrócił się do Dobranieckiego:

— Należy mi się krótki urlop. Ponieważ właśnie nadchodzą święta Bożego Narodzenia, chciałbym prosić kolegę o zastępstwo, jeżeli oczywiście nie ma pan innych planów.

— Żadnych. Zostaję w Warszawie na święta. A pan wyjeżdża? Na długo?

— Na dwa, może na trzy tygodnie. Mam przynajmniej takie zamiary.

— Może do córki, do Ameryki?

— O nie — odpowiedział niechętnie Wilczur — to zbyt daleka droga.

Przypomnienie Marioli sprawiło mu przykrość. Właśnie przed paru dniami otrzymał od niej obszerny list. Wiadomości o śmierci Donata dotarły już do nich, jak również i to, że Wilczur zapłacić musiał olbrzymie odszkodowanie, które go zrujnowało. Wiedziała również Mariola o kampanii prowadzonej w Warszawie przeciw jej ojcu, w liście jednak nie znać było tego współczucia, którego tak mu było brak.

„Zmartwiliśmy się bardzo kłopotami Tatusia — pisała Mariola. — Ale Leszek ma słuszość, gdy mówi, że to może i lepiej, że Tatuś nie będzie się przepracowywał. W wieku Tatusia trzeba już więcej dbać o swoje zdrowie niż o zdrowie innych. Dzięki Bogu, nasza sytuacja materialna pozwala na to, by Tatuś mógł odpoczywać. Leszek, który bawi obecnie za interesami w Philadelphii, telefonował wczoraj do mnie i prosił, bym zapewniła Tatusia, że będzie mu wysyłał co miesiąc tysiąc dolarów, a nawet i więcej, jeżeli Tatusiowi to nie wystarczy”.

Poza tym jednym ustępem list zawierał garść informacji o materialnym powodzeniu Leszka i o jakichś nieważnych sukcesach towarzyskich ich obojga.

List ten głęboko zranił Wilczura. Jedyni bliscy mu ludzie uważali, że są wobec niego w porządku, jeżeli zatroszczą się o to, by nie brakło mu pieniędzy. I oni też, jak klika Dobranieckiego, uważali, że powinien wyrzec się swego umiłowanego zawodu, że nie jest już zdolny do pracy, że powinien ustąpić miejsca młodszemu.

Nie rozumieli tego, że dla niego wyrzeczenie się pracy byłoby gorsze od śmierci, że byłoby przyznaniem się przed światem i przed sobą do tego, że ani światu, ani sobie nie

jest już potrzebny, że stał się rupieciem, ot, zużytym narzędziem, które się po prostu wyrzuca na śmietnik. I to wtedy gdy bardziej niż kiedykolwiek pragnie pracować, działać, być użytecznym...

Nieprawdę powiedział Dobranieckiemu.

Nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać. Chciał po prostu na pewien czas odetchnąć w samotności od widoku ludzi, dać wypoczynek nerwom, odzyskać dawny spokój, skupić myśli i odnaleźć w sobie te siły, które pozwolą mu przetrwać kampanię wrogów.

Zapowiedział też służącemu, by wszystkim zgłaszającym się, wszystkim bez wyjątku mówił, że „profesor wyjechał na kilka tygodni nie wiadomo dokąd” oraz by nikogo nie wpuszczał.

Stary Józef dokładnie zrozumiał polecenie pana i odprowadził od drzwi zarówno znajomych, jak i pacjentów profesora. Nie nudził go nawet zdawaniem relacji z tego, kto przychodził. Profesor też nie pytał o to.

Dwa pierwsze dni spędził w łóżku, następnego zabrał się do lektury zaległych czasopism fachowych i paru dzieł naukowych, których jeszcze nie znał. Jego czynna natura zaczęła się jednak prędko buntować. Coraz częściej spoglądał na zegarek, który teraz przecie do niczego go nie przynaglał. Wkrótce stwierdził, że to odpoczywanie w gruncie rzeczy męczy go bardziej niż praca. Skonstatowawszy to, zabrał się do porządkowania notatek i innych materiałów, które od roku zbierał do zamierzonej rozprawy o chirurgicznym leczeniu sarkomy. Gdy już był z tym gotów, natychmiast przystąpił do pisania, a że każda praca absorbowała go bez reszty, od wczesnego ranka do późnej nocy przesiadywał przy biurku, wstając tylko po to, by w pośpiechu zjeść obiad lub kolację.

Skutkiem tego po tygodniu praca była skończona, co bynajmniej nie ucieszyło Wilczura. Zaczęła go ogarniać nuda. Myśli wciąż krążyły dookoła spraw związanych z lecznicą, a to bynajmniej nie wpływało dodatnio na stan jego nerwów. Wydobył z biblioteki kilkanaście tomów dawno zapomnianych, a niegdyś ulubionych poetów, lecz i to przecie nie mogło mu wypełnić nadmiaru wolnego czasu. Chodził bez celu po pokojach, godzinami stawał przed oknem, wyglądając w pustkę nieruchliwej ulicy.

Zaczął nawet skrupulatnie wypytywać Józefa o to, kto przychodził, kto telefonował i co mówił.

Pewnego dnia, stojąc przy oknie, zobaczył człowieka niosącego choinkę. Zajrzał do kalendarza i przekonał się, że to dzień Wigilii. Od lat, od bardzo wielu lat ta data straciła dlań to znaczenie uczuciowe, jakie miała wówczas, gdy dom ten był domem rodzinnym, gdy do stołu wigilijnego siadał z Beatą, gdy pod choinką piętrzyły się stopy podarków dla małej Marioli...

I oto nagle ogarnęło Wilczura wprost bolesne poczucie samotności. Myśl przebiegła szybko przez galerię znajomych, współpracowników, kolegów.

Nie, żaden z nich nie był mu bliski, z żadnym nie łączył go cieplejszy stosunek...

Łucja... Profesor uśmiechnął się do siebie. Tak. To dobry, to genialny pomysł. Zatelefonuje do niej i zaprosi ją na wieczór wigilijny. Panna Łucja na pewno nie odmówi...

Ożywiony pomysłem, profesor Wilczur zaczął wertować szybko katalog telefoniczny. Gdy jednak znalazł numer Łucji, zawahał się.

Było przecie nie do pomyślenia, by ta młoda dziewczyna nie ułożyła już sobie jakiegoś planu spędzenia świąt, by nie została zaproszona przez kogoś już dawniej, przez kogoś na pewno ciekawszego, do jakiegoś wesołego, miłego domu, gdzie będzie choinka, gdzie są dzieci, gdzie zanurzy się w atmosferze rodzinnego ciepła, tego ciepła, za którym on właśnie teraz zatęsknił. Najprawdopodobniej zaprosiła ją rodzina Kolskiego, a może ci państwo Zarzeczy, o których tak często wspominała.

Profesor złożył katalog. Stanowczo nie miał prawa wyzyskiwać jej przychylności — może z litości — i zabierać jej ten piękny wieczór dla zaspokojenia swojej zachcianki.

Pomimo jednak rezygnacji Wilczur nie mógł przestać myśleć o Łucji, o jej dobrym, czułym i wrażliwym stosunku do siebie, o stosunku, w którym tak wyraźnie dźwięczały najlepsze, najszlachetniejsze uczucia. Postanowił w każdym razie jednego z najbliższych dni zobaczyć się z nią, a dzisiaj należało w jakiś sposób sprawić jej przyjemność. Po namyśle nacisnął guzik dzwonka i powiedział do wchodzącego Józefa:

— Niech Józef pójdzie do najbliższej kwaciarni, kupi tam jakieś dwadzieścia róż i każe odesłać pod adresem doktor Łucji Kańskiej. Adres jest w książce telefonicznej.

— Pan profesor napisze kartkę?  
 — Nie, nie — żywo zaprzeczył Wilczur — żadnej kartki.  
 — A jakiego koloru mają być róże?  
 Wilczur z niezadowoleniem zmarszczył brwi.  
 — No... mogą być, czy ja wiem, jakie tam bywają?  
 — Czerwone, żółte, białe.  
 — Białe? To niech będą białe.  
 — A jeżeli białych nie znajdę? — pedantycznie zapytał służący.  
 — Oj, oj, niech Józef mnie nie nudzi. Przecież ja nie mogę się na tym znać. Poradzi się Józef tej pani w sklepie.  
 — Tak jest, panie profesorze.  
 Wrócił po godzinie i oświadczył, że za radą pani w sklepie wybrał różowe.  
 — Bo ta pani pytała, dla kogo, więc powiedziałem, że to dla młodej i nader pięknej osoby, ale bez miłosnych zamiarów. Więc ona rzekła, że najstosowniej będzie właśnie różowe, bo...  
 — Dobrze, dobrze — zachrząknął Wilczur. — Dziękuję Józefowi.  
 Gdy służący wyszedł, Wilczur powiedział do siebie:  
 — Strasznie gadatliwy zrobił się ten Józef.  
 W gruncie rzeczy Wilczur sam był temu winien, gdyż w ostatnich dniach z nudów wyciągał służącego na rozmówki. I tego dnia, gdy o zmierzchu posłyszał, że Józef kłóci się z kimś w przedpokoju, zawołał go później, by wypytać, kto to był i czego chciał.  
 — To jakiś bezczelny obszarpaniec, panie profesorze. Domagał się, bym go wpuścił do pana profesora, i ośmielał się, za przeproszeniem, mówić, że jest pańskim przyjacielem.  
 — Przyjacielem? — zdziwił się Wilczur. — A nie podał swego nazwiska?  
 — Owszem, tylko jakieś dziwne nazwisko. Nie wyglądał na Żyda, a nazywa się zupełnie po żydowsku. Jakoś Szekspir.  
 Profesor zaśmiał się.  
 — A na imię miał William?  
 — Tak właśnie, panie profesorze. A wódką od niego śmierdziało, za przeproszeniem, na trzy metry, więc widzę, że to człowiek nieodpowiedzialny, może nawet jakiś element. A nachalna bestia. Bo mu mówię, że pana profesora nie ma w Warszawie, to on mi powiada, za przeproszeniem, że jemu wystarczy jakieś, tylko nie pamiętam jakie, ale coś paskudnego, ciało spiralne, czy coś takiego. Dopiero jak mnie nazwał cemberem, nie wytrzymałem i wyrzuciłem go za drzwi. Oczywiście później zaraz ręce umyłem, bo od takiego to i różne bakterie mogą na człowieka przeskoczyć.  
 W tej samej chwili w zamkniętym pokoju nieużywanym podczas zimy, a wychodzącym na taras, rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Józef podskoczył do drzwi. Nim zdążył je otworzyć, na progu ukazał się Cyprian Jemioł.  
 — Szekspir! — wrzasnął Józef. — Włamał się! Policja! Ja cię nauczę!  
 Chwył przybysza za kołnierz, a górując nad nim wzrostem i siłą, trząśł nim niczym pies królikiem.  
 Jemioł zawołał bez większego oburzenia.  
 — Prezydencie, każ swemu Atlasowi, by dał spokój temu trzęsieniu ziemi. Każ mu szybko, bo sam go unieszkodliwię.  
 Wraz z ostatnim słowem zdzielił Józefa błyskawiczną sójką między zębra. Ugodzony puścił go od razu i klnąc odskoczył o parę kroków.  
 — Niech Józef mu da spokój — odezwał się profesor Wilczur.  
 — Może zawołać policję, panie profesorze? — z najwyższym oburzeniem powiedział służący.  
 Jemioł zmierzył go pogardliwym wzrokiem.  
 — Zawołaj, archaniele, i każ się okulbaczyć. Pozwól mu, prezydencie, oddać się w ręce policji. Rzecz nie do odżałowania, że taka fizys jak jego nie znajduje się dotychczas w albumie policyjnym. Album czułby się zachwycony jego dostojną fizys. A teraz odejdz, niegodny Leporello, i zostaw nas samych, albowiem ma się ku wieczorowi.  
 Profesor dał znak ręką i Józef, który szykował się do ponownego skoczenia w stronę Jemioła, wzruszywszy ramionami, skierował się do drzwi.

Żyd

— Dawco wszelkich rozkoszy — zawołał pośpiesznie Jemioł. — Rozkaż swemu mamełukowi, *darling*, by przyniósł jakiś płyn żrący, którym byśmy mogli napelnić nasze trzewia. Jako chirurg powinienes wiedzieć, że nic tak dodatnio nie wpływa na gojenie się ran, jak czterdziestopięcioprocentowy roztwór alkoholu. Doprowadź kurację do końca.

Profesor uśmiechnął się.

— Kiedy cię wypisano z lecznicy?

— Dzisiaj, *my beautiful friend*<sup>20</sup>. *Aujourd'hui*<sup>21</sup>. Mglistym, grudniowym porankiem wyszedłem w świat chłodny i obcy, i każ mi dać wody, w imię miłości bliźniego lub jakiegokolwiek inne imię, jakie ci w danej chwili na myśl przyjdzie.

Na pytające spojrzenie służącego profesor odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy. Cyprian Jemioł swobodnie rozsiadł się w fotelu i gdy Józef wyszedł, zaśmiał się krótko.

— O, profan, o, ciemna masa. Sądził, że zamykając przede mną drzwi uniemożliwia mi zobaczenie ciebie, drogi mistrzu. Kiedyś wprawdzie były takie czasy, że drzwi istotnie stanowiły dla mnie jakąś zaporę. Upewniam cię, że to były czasy dawne. Mam zaś dziwne przyzwyczajenie nie wierzyć, że kogoś nie ma w domu, jeżeli go jednocześnie widzę przez okno. A właśnie idąc tu, ujrzałem w oknie twoje popiersie, *darling*.

Profesor powiedział:

— Nie przyjmuję nikogo, bo chcę odpocząć. Dlatego służący otrzymał polecenie...

— *Satis*<sup>22</sup>. Przebaczam ci. Jestem wspaniałomyślny i wyrozumiały. Też czasami szukam odosobnienia, dzieje się to jednak tylko w tych wypadkach, gdy rozporządzając stosunkowo tylko nieznaczną ilością alkoholu narażony być mogę na czyjś łaskawy współudział w konsumpcji. Jak sądzę, ukrywasz się, mój drogi eskulapie, z jakichś innych powodów. Mniejsza o nie. Ja jednak musiałem ci złożyć podziękowanie za to, żeś moje doczesne szczątki pozszywał jakoś i doprowadził do stanu użyteczności publicznej. Właściwie mówiąc, nie wiem, czyś przez to nie obraził wieczności, która czeka na mnie z rozgorączkowaniem. Wyobraź sobie chóry anielskie i nie mniej efektowne chóry szatańskie, przekrzykujące się wzajemnie według wszelkich zasad operowych w sporze o moją wzniosłą duszę. A tu tymczasem jakiś facet, jakiś *homo simplex*<sup>23</sup>, rozporządzający dziwaczną umiejętnością cerowania ludzkich kiszek, wydziera im tę pożądaną zdobycz.

Wilczur zaśmiał się.

— Nie było to tak trudne.

— W każdym razie uważałem za stosowne złożyć ci, *mon cher*, wizytę. I składam. Wybacz mi, że mój żakiet ma nieco przykrótkie poły i że nie wyglądam może *gentleman-like*<sup>24</sup>, ale powierzchowność jest stokrotnie zrekompensowana uroczystym nastrojem wewnętrznym. Patrz w moje oczy, a ujrzysz duszę moją w stroju galowym. Bez przesady muszę ci wyznać, drogi kardynale, że poczułem do ciebie niczym nieuzasadnioną sympatię i pociąg, który zaniepokoiłby mnie samego, gdyby nie pełnia przeświadczenia, że sprawy należące do departamentu Erosa zlikwidowałem już dawno ku obopólnemu, to znaczy mojemu i Erosa, zadowoleniu. Miłość, *cher ami*, jest wynalazkiem ludzi, którzy nie lubią myśleć, którym myślenie sprawia znaczne trudności. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy w sobie tego nie zauważyłem. Myślę tak łatwo, jak ty na przykład łatwo scyzorykiem wycinasz w ludzkim ciele esy-floresy dla zaspokojenia swego instynktu rzeźnickiego.

Wszedł Józef z miną wyniosłą i pogardliwą, niosąc na tacy dwie butelki, koniaku i wódki, oraz kieliszki i kawę. Na jego widok Jemioł zawołał:

— Witaj mi, paladynie, majordomusie i czcigodny fagasie. Cieszę się, żeś dla swego pana przyniósł wódkę, a dla mnie koniak. Dostrzegam w tobie jednak pewne przebłycki inteligencji. Możesz liczyć na moją łaskę, stróżu domowego ogniska. Gdy cię profesor wyrzuci, zgłoś się do mnie. Kto wie, kto wie...

Służący z niezmażonym spokojem postawił na stoliku tacę i majestatycznie wyszedł. Wilczur powiedział:

<sup>20</sup>*my beautiful friend* (ang.) — mój piękny przyjacielu/przyjaciółko. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*aujourd'hui* (fr.) — dziś. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*satis* (łac.) — starczy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*homo simplex* (łac.) — prosty człowiek. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*gentleman-like* (ang.) — jak dżentelmen. [przypis edytorski]



— Czy wiesz, przyjacielu, że dzisiaj jest dzień wigilijny? Może razem spędzimy ten wieczór?

Jemioł zmarszczył brwi w zamyśleniu.

— Mam już wprawdzie wcześniejsze zaproszenie do Prezesa Rady Ministrów i do księcia Radziwiłła, ale wolę zostać z tobą. Polubiłem cię, odkąd przekonałem się, że umiesz słuchać. Bo nie sztuka być zwykłym, głupim człowiekiem i chcieć ciągle gadać, by uzewnętrznić swoją pustkę duchową, sztuką jest umieć słuchać i dlatego, *carissime*<sup>25</sup>, zostanę z tobą pod warunkiem wszakże, że gościnność twoja nie ograniczy się do tej ilości alkoholu, jaką widzę w tych naczyniach, a twoja małowówność do obecnych granic.

Ściemniło się już bardzo i Wilczur zapalił światło. Z sąsiedniej jadalni dobiegały odgłosy przygotowań do wieczery. Józef ustawiał nakrycia. Profesor zajrzał tam i powiedział:

— Józef nakryje na dwie osoby.

Był rad z towarzystwa tego dziwnego człowieka. Jego paplanina działała uśmierniająco. Pod powierzchnią nieokiełznanego gadulstwa kryły się czasem jakieś głębokie lub nieoczekiwane myśli, jakieś zaskakujące skojarzenia, które odrywały myśl od spraw własnych, skłaniając ją do abstrakcji. Czegoż bardziej Wilczur mógł teraz pragnąć?

Gdy zasiedli przy stole, Jemioł jadł mało, natomiast pił i mówił dużo. Józef z nie ukrywanym obrzydzeniem zmieniał mu talerze i przystawiał na nowo napełnione karafki.

— Podobasz mi się, przyjacielu. — Poklepał służącego po ramieniu. — Możesz liczyć na mnie. Jeżeli cię twój patron pewnego pięknego dnia zdymisjonuje, zgłoś się do mnie. Polecę cię memu stałemu hoffliferantowi, ze wszech miar czcigodnemu Drożdżykowi. Powiedz mi tylko, czy potrafisz dość sprawnie wyrzucać mniej sympatycznych gości za drzwi?

Na dostojnej twarzy Józefa wystąpił wyraz gwałtownego pożądanego. Zrobił pół kroku naprzód, a jego ręce wykonały takie pół gestu, jakby natychmiastowym czynem chciał udowodnić, że niczego tak dobrze nie potrafi, jak właśnie wyrzucać niepożądanych gości za drzwi. Jemioł jednak na to nie zwrócił uwagi i mówił do Wilczura:

— Czyś się zastanawiał kiedy, *signore*, nad dziwną tajemniczością mechanizmu socjologicznego, w którym zawsze jest pewne *quantum* ludzi, co upodobali sobie helotyzm? Predystynowani pariasi. Niewolnicy z przeznaczenia i z własnego musu. Ich posłannictwem — służyć...

— Każdy komuś lub czemuś służy — zauważył Wilczur.

Jemioł potrząsnął głową.

— *Tournement de tête*<sup>26</sup>, *amigo*. Nikomu nie służyć. Ja. Oto masz mnie w całej okazałości przed sobą. Nikomu i niczemu. Wolność. Czy rozumiesz słowo „wolność”? Ja je zrozumiałem przed przeszło trzydziestu laty. Kiedyś i ja byłem niewolnikiem, niewolnikiem posiadającym niezliczoną ilość panów. A więc: państwo, a więc naród, a więc religia, a więc uczucia najrozmaitszego gatunku i kalibru, a więc honor, ambicje... Nie do przeliczenia. I nagle pewnego pięknego dnia zobaczyłem, jak straszliwie jestem w tym wszystkim uwikłany. Ogarnęło mnie zdumienie, a później śmiech pusty. I oto pełnym gracji susem wyskoczyłem z tego całego śmietnika, wyzwolony, niezależny, swobodny. Nawet nie obejrzałem się za siebie, by zobaczyć, jakie po sobie zostawiłem gruzu. I nic już dziś nie zdoła zakłócić mojej wolności.

— Chyba policja — mruknął pod nosem Józef.

Jemioł dosłyszał tę uwagę. Podniósł palec do góry i zwracając się do służącego, powiedział:

— O ciemna maso! Ssaku wszystkożerny, związany myślą ze swym cielskiem. Ty nigdy nie trafisz do beczki Diogenesa, ty nigdy nie wzniesiesz się na *dirigeable'u*<sup>27</sup> swego ducha ponad własny kadłub. *Odi profanum vulgus*<sup>28</sup>!... Oczywiście często i chętnie siaduję w więzieniu, ale duch mój nic nie traci ze swej wolności. *Spiritus flat ubi vult*<sup>29</sup>. Nawet

<sup>25</sup> *carissime* (wl.) — najdroższy. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *tournement de tête* (fr.) — tu: zawracanie głowy. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *dirigeable* (fr.) — tu: sterowiec. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *odi profanum vulgus* (lac.) — nienawidzę nieoświeconego tłumu. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *spiritus flat ubi vult* — duch leci, gdzie chce. [przypis edytorski]

wtedy, gdy brak spirytusu. Nalej mi jeszcze i oddal się, gdyż twoja doczesność przesłania mi perspektywy wieczności.

Wilczur skinął głową.

— Może już Józef iść.

Józef skwapliwie skorzystał z tego pozwolenia, zanim jednak poszedł do kuchni, starannie pozamykał wszystkie pokoje, szafy i szuflady. Ten Szekspir nie wzbudzał w nim najmniejszego zaufania. Józef skłonny był nawet przypuszczać, że byłoby wskazane natychmiastowe zadzwonienie do komisariatu, i długo nie mógł zasnąć, zastanawiając się nad tym, czy nie popełnił błędu, zostawiając profesora sam na sam z tym obrzydliwym człowiekiem.

— Tak, cesarzu — mówił tymczasem Jemioł, chwając przed nosem kieliszek opróżniony przed chwilą. — Tak, cesarzu. I znowu cię widzę w nie najlepszej formie. Wtedy, o ile mnie moja genialna pamięć nie myli, jakaś kobieta rozpruła ci serce... Posłuchaj mnie: oddaj diabłu, co jego, wszystkie kobiety, wszystkie, od najstarszej wiedzmy z Łysej Góry, aż do najmłodszej pensjonarki. To jego departament. Niech je wszystkie cholera weźmie! Co mogą inteligentnego człowieka obchodzić stworzenia po obu końcach uwięzione w ciasnocie? W ciasnocie mózgu i pantofli. A w środku brzuch i te tam części rodne. Jakąż satysfakcję może dać człowiekowi przykładanie swoich ust, powtarzam, do umalowanego otworu gębowego istot o kurzym mózdzku, o instynktach zwierzęcych, wyzutych z sumienia! Nie, władco, to nie jest zajęcie dla przyzwoitego człowieka. Zły wybrałeś sobie temat do tragedii.

Profesor Wilczur uśmiechnął się blade.

— Mylisz się. Nie mam żadnej tragedii. Nie przeżywam żadnej tragedii.

Jemioł przymknął lewe oko, a drugie, nabiegłe krwią, wlepił bacznie w twarz Wilczura.

— A jednak dręczy cię jakieś strapienie, *darling*. Jestem złym tenisistą, nieszczególnie boksuję się, śpiewam podobno nie najpiękniej, a jeszcze gorzej gram na organach, ale psychologiem jestem wprost świetnym. Nie namawiam cię do zwierzeń. Nie lubię spowiedzi. Jedną z najnudniejszych rzeczy na świecie jest wysłuchiwanie cudzych grzechów. Ale tym razem zrobię ci łaskę. Znaj pana. Bo trzeba ci i to jeszcze wiedzieć, hrabio, że jestem jedynym człowiekiem na świecie, przed którym możesz się bezpiecznie wywnętrzyć bez obawy, że cię spotka ironia, współczucie, *Schadenfreude*<sup>30</sup>, litość czy jakieś podobne paskudztwa. Będę obojętny jak mur. Jestem bodaj do tego wynaleziony, chociaż Żydzi już przed paru tysiącami lat wynaleźli swoją ścianę płaczu. Przysiadaj tedy, rabbi, u mego podnóża i płacz. Nad kim chcesz płakać, *amigo*? Dzieci, wdowy, sieroty, niepowodzenia w interesach, krach giełdowy czy w ogóle *mirowaja skorb*<sup>31</sup>?

Wilczur potrząsnął głową.

— Ludzie... Ludzie... Żli ludzie.

Jemioł wybuchnął śmiechem.

— Krzysztofie Kolumbie! O Newtonie! O Koperniku! Odkrywco nowych prawd! Cóż za rewelacja, co za spostrzegawczość! Szanowny radca zauważył, że ludzie są źli? A jacyż mają być? Chciałbyś ich, *maestro*, zmienić w chóry anielskie? Wymagałoby to trochę wysiłku. Należałoby ich wysterylizować z tego wszystkiego, co jest treścią życia. Jesteś chirurgiem, przeprowadź więc trzy amputacje: amputację kieszeni, amputację żołądków, no i tak dalej. Wówczas staną się jako barankowie. Żli ludzie... Nie ma innych. To albo tłuste bydłeta warujące nad swoją zdobyczą i przeżuwające własne sadio, albo wściekłe psy skaczące do gardła. Nie ma innych.

Jemioł wstał i waląc pięścią w stół powtarzał w nagłym wybuchu furii:

— Nie ma, nie ma, nie ma!...

— Nie podzielam twego pesymizmu, przyjacielu — spokojnie powiedział Wilczur.

— Sam znam innych...

— Na Marsie? Na Księżycu?... Na jakiej planecie? — wrzasnął Jemioł.

— Na naszej. Na Ziemi.

<sup>30</sup>*Schadenfreude* (niem.) — radość z niepowodzeń innych. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*mirowaja skorb* (z ros.) — cierpienie z powodu tego, jaki jest świat; *Weltschmerz*. [przypis edytorski]

— Ach, tak? — zaśmiał się szyderczo Jemioł i nagle się uspokoiwszy, zapytał układnym tonem:

— Czy może mi szanowny pan podać adres?

Wilczur wsparł podbródek na rękę.

— Dużo takich adresów musiałbym ci podać, przyjacielu. Dużo jest ludzi dobrych.

— W takim razie, ach, jakże świetnie się ukrywają... No, twoje zdrowie, Święty Franciszku. Twoje zdrowie.

Jemioł wychylił duszkiem swój kieliszek, odłupał palcem kawałek łososia z półmiska, przełknął i machnął ręką:

— *Reverendissime*<sup>32</sup>, adres znam tylko jeden: twój. Drugiego podać ci nie mogę, bo nie posiadam stałego miejsca zamieszkania. Kieruj zainteresowanych: *Établissement Drożdżyk. Poste restante*.

— To nieprawda — powiedział Wilczur. — Jest ich wielu. Tylko widzisz, trudno ich dostrzec. Są mniej aktywni od złych. Nie zwracają na siebie uwagi. Zająci swoją spokojną pracą zadowolają się zwykłym kawałkiem chleba, a tamci walczą o byt *per fas et nefas*<sup>33</sup>.

— Ach — przerwał Jemioł. — Taki robisz podział, *my dear*<sup>34</sup>, zgoda. Ale weź w takim razie pod uwagę, że ci aktywni po prostu żywią się tamtymi. Tamci, którzy nie walczą o byt, po prostu spełniają rolę paszy. Rośnie trawka, rośnie, a gdy wyrośnie na chwałę bożą, przyjdzie jakiś sukisyn, zeżre ją, ot i po trawce. Cha, cha. Czyś się zastanawiał kiedyś, co to jest miasto? Miasto to wynalazek szatana, a wieś to trawka. Miasta pożerają wieś. Im więcej żrą, tym są chciwsze. *L'appetit vient en mangeant*<sup>35</sup>. Pęcznieją te potwory, dławią się w gorączce pożerania, pławią się we własnych ekskrementach, bo przecież wszystkiego przetrwać nie mogą... Miasta...

Nalał sobie znowu kieliszek i mówił:

— Nienawidzę miasta, ale pociąga mnie potwornością swoich ohydnych procesów trawienia. Tkwię w jego kiszkiach. I jeżeli nie duszę się, to tylko dlatego, że sam jestem jego produktem. Oto dzieło!

Wstał, upozował się po napoleońsku. Jego zmierzwione włosy błyszczą od potu, nieogolona i brudna twarz, oczy szkliste i pijackie, łachmany jego ubrania, wszystko to składało się na wstrętą i groźną całość.

— Oto *chef-d'oeuvre*<sup>36</sup> — zapał teatralnym tonem. — Oto arcydzieło miasta, oto kwiat naszej cywilizacji, oto kwintesencja postępu!...

Wilczur wzdrygnął się. Istotnie w słowach swego dziwnego gościa odczuł jakąś prawdę, istotnie tragikomiczna postać Jemioła kojarzyła się w jakiś sposób z tym, co mówił.

Profesor wstał i zbliżył się do okna.

„Miasto — myślał — miasto chciwych zwierząt...”

Ulica była pusta. Skądś z daleka dolatywały jakieś miarowe dźwięki. Minęła dłuższa chwila, zanim je rozpoznał: dzwony.

Dzwoniono na pasterkę.

## ROZDZIAŁ V

Wróciwszy od znajomych z willi Łucja zastała w swoim pokoju dużą wiązanekę róż. Przepadała za kwiatami, te jednak były dla niej przykrą niespodzianką. Oczywiście nie wątpiła, że przysłał je Kolski, chociaż przy kwiatkach nie było kartki.

„Po co on to robi, po co on to robi” — pomyślała z przykrością.

W takim anonimowym przysłaniu kwiatów było coś studenckiego i coś mieszczańskiego zarazem. Przecież tyle razy dawała mu do zrozumienia, że z jej strony nie może liczyć na nic więcej poza sympatią i przyjaźnią. Lubiała go szczerze, szanowała jego prawość i charakter, ale był przecież dla niej tylko kolegą i tylko kolegą mógł pozostać.

Ilekcję zdarzało się tak, że zostawali sam na sam i właśnie oboje nie mieli pilnej roboty, Kolski zawsze próbował skierować rozmowy na tory ściśle osobiste. Kosztowało

<sup>32</sup>*reverendissime* (łac.) — z najwyższym szacunkiem. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*per fas et nefas* (łac.) — nie przebiegając w środkach; godziwymi i niegodziwymi sposobami. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*my dear* (ang.) — mój drogi. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*L'appetit vient en mangeant* (fr.) — apetyt rośnie w miarę jedzenia. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*chef-d'oeuvre* (fr.) — arcydzieło. [przypis edytorski]

ją to wiele trudu i dyplomacji, by nie dopuścić do tego. Nie chciała mu przecież sprawiać przykrości. On jednak zdawał się nie rozumieć motywów, jakimi się kierowała, lub nie czuć w jej postępowaniu tego, że na jej uczucia liczyć nie może, gdyż wciąż i uparcie powracał do swego tematu.

Właściwie nic nie miała mu do zarzucenia. Może tylko to, że całkowicie był pochłonięty swoją karierą, że wciąż pracował, uczył się i studiował, że starał się coraz lepiej zarabiać i wprost pojąć nie umiał jej postępowania. Przecież nie dawniej jak przed paru dniami omal się z tego powodu nie pokłócili.

— Nie rozumiem pani stosunku do swojej przyszłości — powiedział. — Traci pani czas na praktykę, która nie tylko nie przynosi pani ani grosza dochodu, ale i nie posuwa pani o krok naprzód w doświadczeniu czy wiedzy lekarskiej.

— Bo pan jest egoistą — odpowiedziała mu obojętnym tonem.

Oburzył się szczerze:

— Wcale nie jestem egoistą, tylko uważam, że na to, by rozdawać, trzeba przede wszystkim mieć. Otóż gdy będę naprawdę lekarzem w całym znaczeniu tego słowa, gdy będę miał dobrą praktykę, pozwalającą mi i mojej przyszłej rodzinie na dostatni byt, zapewnię panią, panno Łucjo, że tak samo jak pani dzisiaj zaopiekuję się jakimś ochronkami czy domami starców. Profesor Wilczur, którego pani stawia tak wysoko, zapewnię panią, a zresztą wiem to ponad wszelką wątpliwość, że na początku swojej kariery też nie miał szalu filantropii, tylko pracował nad sobą i dla siebie.

Łucja wzruszyła ramionami.

— Tu nie chodzi o filantropię. Jakże dalece pan mnie nie rozumie. Ja nie przez filantropię opiekuję się biedakami.

— No więc wszystko jedno. Możemy to nazwać, jeżeli pani z tym dogodnie, poczuciem obowiązku społecznego.

— Ależ nie, panie Janie. Nie może być mowy o obowiązku tam, gdzie jest przyjemność. Ja to robię dla siebie. Sprawia mi radość fakt, że mogę się na coś przydać, że jestem naprawdę potrzebna tym ludziom, których nie stać na lekarza, na lepszego lekarza.

— Zgoda. Akceptuję z jednym zastrzeżeniem: najpierw trzeba się stać owym lepszym lekarzem, więcej czasu poświęcić studiom w klinice, a nie jakimś tam standardowym chorobom, które pani niczego nie nauczą.

Spojrzała mu prostu w oczy.

— Niech pan mi powie, czy tacy właśnie gorsi lekarze jak ja nie będą tej biedocie zawsze potrzebni?

Zirytował się.

— Zapewne, ale dlaczego ma tym zajmować się pani, grzęznąć w tym kosztem swoich zdolności i możliwości na przyszłość!

— O, widzi pan: egoizm. Moich zdolności, moich możliwości. Ale nie liczy się pan z tym, że może właśnie nie szukam żadnych innych możliwości, że może właśnie największą znajduję przyjemność w takim, a nie w innym zużytkowaniu moich zdolności. Jakiż pan jest zabawny w swoim zaślepieniu. Wydaje się panu, że wszyscy ludzie muszą mieć te same upodobania i te same pragnienia co pan.

— Nie te same, tylko rozsądne, rozsądne!

Chciała mu odpowiedzieć, że rozsądek w jego interpretacji redukuje się do kwestii buchalteryjnych, ale pohamowała się.

W każdym razie rozmowa ta nieco oziębła ich stosunki i otrzymane obecnie róże Łucja mogła uważać za formę jakby przeprosin. Domysł ten zirytował ją trochę. Z kilku względów. Po pierwsze znała daleko posuniętą oszczędność Kolskiego, który ze swoich niedużych zresztą wpływów musiał wydać pokąźną sumkę na te kwiaty, oczywiście nie bez namysłu i nie bez tego, że wydatku tego długo nie zapomni.

Po wtóre, miała wrodzoną niechęć do przyjmowania czegokolwiek od ludzi, którym nie mogła lub nie chciała się zrewanżować. Wreszcie zdawała sobie sprawę, iż anonimowość przesyłki była szczególniejszym poświęceniem ze strony Kolskiego. Wierzyła, że należy on do tego typu ludzi, którzy może nie gonią specjalnie za rozgłosem, zawsze jednak dążą do podkreślenia swojej obecności w różnych sprawach, we wszystkich sprawach, w których biorą udział.

Te przywary Kolskiego nie wywoływały w Łucji oburzenia, raczej patrzyła na nie po-  
błażliwie. Pomimo to postanowiła zrobić mu wymówkę za przysłanie kwiatów i wyraźnie  
podkreślić, że nie życzy sobie podobnych dowodów pamięci.

Sposobność ku temu znalazła zaraz po świętach. Już w późnych godzinach wieczor-  
nych, pracując w laboratorium lecznicy przy badaniu mikroskopowym krwi jednego z pa-  
cjentów, usłyszała za sobą kroki Kolskiego. Korzystając z tego, że może wygłosić swoje  
uwagi, nie patrząc w oczy Kolskiemu, odezwała się z pełnią pewności siebie:

— Dobrze, że pan przyszedł. Właśnie chciałam z panem pomówić. Po co pan robi  
takie rzeczy? Proszę mi wierzyć, że nie mogę panu nawet podziękować, bo nie sprawiło  
mi to żadnej przyjemności.

Kolski zdziwił się szczerze:

— Nie wiem, o czym pani mówi, panno Łucjo.

— Niech pan nie udaje. Mówię o kwiatkach. Robi pan bezsensowne wydatki, jakieś  
prezenty, które nie licują ani z panem, ani ze mną.

— Nic nie wiem o żadnych kwiatkach — powiedział stanowczo.

Przyszło jej na myśl, że sam ocenia teraz należyte bezsensowność swego pomysłu  
i wyzyska anonimowość przesyłki, by nie przyznać się do niej.

— Nie sądziłam, że ma pan tak mało odwagi cywilnej — powiedziała chłodno.

Kolski milczał przez dłuższą chwilę.

— Panno Łucjo — zaczął — na pewno zaszło tu jakieś nieporozumienie. Ktoś chciał  
zrobić pani czy mnie, czy nam obojgu kawał i podszył się pod moje nazwisko. Odwagi  
cywilnej nie brakowało mi nigdy, a zresztą dlaczegoż bym miał się wstydzić tego, że pani  
posyłam kwiaty? I zrobiłbym to na pewno — dodał po chwili wahania — gdybym nie  
wiedział, że u pani podobne objawy... przyjaznych uczuć nie znalazłyby aprobaty.

Łucja odwróciła głowę i spojrzała nań zdziwiona: nie ulegało wątpliwości, że mówił  
prawdę.

— Więc te róże to nie od pana?... Przysłano je anonimowo... Wobec tego przypusz-  
czałam... Bardzo pana przepraszam.

Sytuacja obojga była bardzo nieprzyjemna. Łucja czuła się tak, jakby usiłowała w te-  
go człowieka wmówić, że ją adoruje w większym stopniu niż w rzeczywistości. Kolski  
był w rozpaczy, że popełnił karygodny błąd i na święta nie ofiarował Łucji drobnego  
upominku gwiazdkowego. Mogło wyglądać na to, że wcale o niej nie pamiętał. A może  
Łucja umyślnie stworzyła owe róże dla podkreślenia tej jego nieuwagi?...

Stał przy stole laboratoryjnym, patrząc z zażenowaniem na jej lekko pochyloną postać  
w białym lekarskim kitlu, na jasne włosy, na mocniej niż zwykle zarumieniony policzek,  
na bardzo białe ręce, za szerokie może i za muskularne, manipulujące przy mikroskopie.

— Bardzo pana przepraszam — powtórzyła.

— O, nie ma za co — odezwał się niezręcznie.

— Jest za co, bo posadziłam pana o robienie głupstw — odpowiedziała rzeczowo.

— To wcale nie było głupstwo — zaoponował. — Właściwie to ja panią muszę prze-  
praszać, że nie pamiętałem o gwiazdce dla pani.

Lekko wzruszyła ramionami.

— Nie widzę żadnej racji, by właśnie pan miał pamiętać o gwiazdce właśnie dla mnie.  
Najmniej.

Zawahał się.

— Racja jest w tym, że należy pamiętać o tych osobach, które uważamy za najbliższe  
sobie...

Domyślając się, do czego Kolski zmierza, Łucja przerwała mu śmiechem:

— Właśnie. Czy nie za długo jesteśmy blisko. Zdaje się, że pan już powinien być na  
swoim oddziale. Już za kwadrans jedenasta.

Kolski jednak nie dał się zbić z tropu.

— Dlaczego pani nie chce mnie wysłuchać, panno Łucjo? Dlaczego za każdym razem,  
kiedy pragnę pani powiedzieć to, co czuję, co czuję już od dawna, czym żyję, co wypełnia  
moje myśli... Dlaczego pani...

Nie podnosząc głowy znad mikroskopu, powiedziała prędko:

— Dlatego, że to jest niepotrzebne i bezcelowe.

— Przecież pani wie, pani nie może nie wiedzieć, że panią kocham — zawołał porywczo.

— Wiem, że się panu to wydaje. — Szybko wyjmowała szkiełka z mikroskopu. Zrobiła kilka notatek na formularzu i wstała.

On zagroził jej drogę.

— Panno Łucjo, nie odejdzie pani, póki mnie pani nie wysłucha. Dlaczego?... Co pani ma mi do zarzucenia?

— Nic panu nie mam do zarzucenia.

— Więc dlaczego?... Dlaczego pani z taką pogardą, z taką bojaźnią, czy ja wiem, sam tego nie umiem określić, odtrąca moje uczucie?

Potrząsnęła głową.

— Nie odtrącam. Po prostu nie mogę go przyjąć, bo nie jestem w stanie odplacić się panu tym samym.

— Czyż żądam od pani tego? Czyż żądam od pani czegokolwiek? Chcę tylko, by pani mi pozwoliła mówić sobie o mojej miłości. Chcę tylko mieć nadzieję, że kiedyś zasłużę sobie na to, że i w pani sercu odezwie się, już niech tam, nie miłość, lecz bodaj odrobina sympatii, życzliwości, łaskowości...

Spojrzała mu wprost w oczy.

— Panie Janku. Chcę, by pan mnie zrozumiał. Żywię dla pana dużo sympatii i dużo życzliwości, ale wiem, mam sprawdzian, że to jest bardzo mało w porównaniu z tym, co mogę, co musiałabym żywić dla człowieka, z którym pragnęłabym się połączyć. Nie jestem dzieckiem, mam już 26 lat. Powinien pan wiedzieć, że umiem na życie, na ludzi i na siebie patrzeć trzeźwo. Uważam pana za najmilszego z moich kolegów i jeżeli, jak pan to słusznie zauważył, tak długo starałam się nie dopuścić do tej rozmowy, to jedynie z tej przyczyny, że wcale nie chcę stracić pańskiej przyjaźni, którą bardzo cenię. Skoro pan jednak zmusił mnie do tego, obowiązkiem moim jest zapewnić pana, że nie kocham go, że nie kocham i że nigdy nie pokocham.

Kolski stał błądy, z jakimś beznadziejnym uśmiechem na wargach. Żal ścisnął serce Łucji.

— Naprawdę przykro mi, panie Janku — wzięła go za rękę — ale sam pan przyzna, że lepiej postępuję, mówiąc to wszystko panu szczerze, niż gdybym zwodziła pana jakimiś obietnicami, których nie mogę i nigdy nie będę mogła dotrzymać.

— Więc nie zostawi mi pani nawet cienia nadziei? — zapytał cicho.

— Nawet cienia, panie Janku. I niech pan o to nie żywi do mnie żalu.

Zebrała ze stołu formularze i skierowała się ku wyjściu. Gdy już była przy drzwiach, zawołał:

— Panno Łucjo, jeszcze jedno pytanie.

Zatrzymała się.

— Pani... pani kocha innego?

— Czy to jest takie ważne? — zapytała po pauzie.

— Bardzo ważne — powiedział z naciskiem.

— Tak, kocham innego.

— Jeszcze jedno. Kocha pani... Wilczura?

Nic nie odpowiedziała. Kolski zbliżył się do niej.

— Ależ to szaleństwo, panno Łucjo... Przecież to człowiek stary... człowiek sterany życiem... Czego pani może się spodziewać po nim?... Pani sama wie, ile mam dla niego czci i uwielbienia... Nie mówiłbym pani tego wszystkiego, gdybym nie zdawał sobie sprawy z potwornej niedorzeczności samego zestawienia: on i pani. On, który kończy życie, i pani, która je zaledwie zaczyna. On, w którym już niejedno uczucie na pewno zrodziło się i umarło, i pani, która ich wcale nie zaznała. Przecież to szaleństwo. Szanuję go i wiele mu zawdzięczam, ale panią kocham i moim obowiązkiem jest powiedzieć to wszystko pani. Panno Łucjo, niechże się pani sama zastanowi, co on może pani dać! Co on może dać pani!...

Na twarzy Łucji zjawił się uśmiech.

— Dać?... Dać?... Jakże bardzo pan mnie nie zna... najwięcej mi da, wszystko mi da, gdy zechce przyjąć. Przyjąć to, co ja mu dać mogę.

Patrzyła na Kolskiego, lecz on czuł, że go jakby nie widzi. W jej wzroku był smutek i uśmiech jednocześnie.

Stała tak chwilę, potem z wolna odwróciła się i wyszła. Kolski przez kilka minut nie ruszył się z miejsca. Jeszcze przed chwilą buntowało się w nim wszystko przeciw klęsce, teraz jednak ogarnęła go apatia. Stanął oto przed czymś, czego rzeczywiście nie mógł zrozumieć, nie umiałby osądzić kategoriami zwykłego rozsądku, miarami, które przyzwyczaił się stosować do rzeczy ludzkich, miarami opartymi na prawach, którym wierzył. I nagle uświadomił sobie, że zupełnie Łucji nie znał, że nie ma pojęcia o jej psychice, o psychice w ogóle kobiet.

Pomimo ukończonej trzydziestki miał aż nazbyt skąpe zapasy doświadczeń z tej dziedziny. Pochodząc z niezamożnej rodziny, od wczesnego dzieciństwa zdany na własny los, rozwinął w sobie instynkt przetrwania i zrozumienia dla tych praw, które rządzą walką o byt. A ponieważ niczemu nie umiał oddawać się połowicznie, wgrzył się w rzeczywistość, rzeczywistością zaś dlań była praca i ustawicznie czynny bodziec: naprzód, więcej, lepiej!

Pod takim znakiem układało się też jego życie. Na osobiste przyjemności, na rozrywki udawało mu się uszczknąć z rzadka zaledwie kilka godzin, znajomości zaś z kobietami zaliczał właśnie do rozrywek. Do czasu poznania Łucji.

Na oddziale wszystko było w porządku. Noc zapowiadała się spokojnie. Mógł śmiało położyć się w dyżurce, by się przespać, do snu jednak nie miał najmniejszej ochoty. Stopniowo porządkował myśli, a z nich zaczął się coraz wyraźniej wyłaniać projekt: skoro Łucja jest tak dalece nierozsądna, należy zrobić wszystko, by utrudnić jej, by jej uniemożliwić popełnienie takich błędów, które mogłyby zaważyć na całej jej przyszłości.

Naturalnie wszelkie perswazje nie mogą odnieść żadnego skutku. Co do tego nie miał złudzeń. Pozostawało tedy tylko odsunięcie jej w jakiś skuteczny sposób od Wilczura. Ale w jaki?... Na to długo nie mógł znaleźć odpowiedzi. Gdyby był z profesorem w tak bliskich i zażyłych stosunkach, by móc sobie pozwolić na otwartą i szczerą z nim rozmowę, miałby pewne szanse przeprowadzenia swego planu. Kolski nie wątpił, że temu rozumnemu człowiekowi trafiłby łatwo do przekonania. Niestety sama sprawa była zbyt intymna, zbyt osobista, by móc ją poruszyć, a w dodatku narażałaby Kolskiego na to, że Łucja, dowiedziawszy się o jego niewczesnej interwencji, w ogóle zerwałaby z nim wszelkie stosunki.

Nie, to było do niczego.

Zostawała otwarta inna kwestia. Wszyscy w lecznicy zdawali sobie sprawę z tego, że wkrótce, za rok, może za pół roku, profesor Wilczur pod presją opinii będzie musiał zrezygnować i z lecznicy ustąpić. Dotychczas Kolski myślał o tej ewentualności ze smutkiem, teraz jednak wydało mu się to możliwością nader pożądaną. Ze względu na Łucję. Co do niej był przekonany, że uda mu się, pomimo zatargu, w jakim znajdowała się z profesorem Dobranieckim, utrzymać jej pozycję w lecznicy. Wiedział, że Dobraniecki z nim się liczy, że liczy się z jego popularnością u kolegów i że w pierwszym okresie swej władzy nie odważy się na zbyt radykalne zmiany, że będzie unikał zatargów i że raczej postara się zjednać sobie personel. A później jakoś się rzeczy ułożą. Ostatecznie Łucja jako lekarz ma duże zalety: pracowitość, obowiązkowość, intuicję. Z czasem Dobraniecki pogodzi się z nią...

Rozmyślenia te doprowadziły Kolskiego do wniosku, że w interesie własnym, a przede wszystkim w interesie Łucji nie należy działać w kierunku zatrzymania Wilczura jak najdłużej na stanowisku. Przeciwnie, wskazane jest raczej współdziałać z tą grupą, która pracuje nad przyspieszeniem jego dymisji. Z ciężkim sercem powziął doktor Kolski tę decyzję, ale nie mógł powziąć innej.

I Łucja do późna nie mogła usnąć tej nocy. Wzburzyła ją i rozstroiła rozmowa z Kolskim, do której tak brutalnie i tak niepotrzebnie doprowadził. Żywiła doń wiele żalu za ten brak subtelności. Istotnie obawiała się przy tym, że ich stosunki teraz już nie będą mogły wrócić ani do dawnej swobody, ani do tej koleżeńskości, którą tak sobie ceniła. Swoim niezgrabiaszostwem nic nie zyskał, a popsuł wszystko. Idąc do domu, robiła sobie wyrzuty, że potraktowała go zbyt łagodnie. Należało powiedzieć dobitniej, czym są takie wyznania i jak ocenia jego niewczesną natarczywość.

Zajęta tymi myślami, dopiero w swoim pokoju, ujrawszy różę w wazonie, zastanowiła się:

— Skoro nie pochodzą od niego, któż je przysłał?...

Nie miała wielu znajomych, wśród nich zaś bodaj nikogo, kto byłby upoważniony do czegoś podobnego. Wiedziała, że się podoba kilku kolegom i może młodemu Zarzeckiemu, lecz oni z całą pewnością wiedzieli również, że niczego od niej oczekiwać nie mogą.

Więc kto?...

I nagle krew uderzyła jej do głowy. Szalony, niedorzeczny, zuchwały pomysł! A jednak coś jej mówiło, coś zapewniało, coś utwierdzało w najgłębszym przeświadczeniu, że to on, że to profesor Wilczur przysłał te kwiaty.

Serce uderzyło mocniej i szybciej. Wpatrywała się długo w różowy bukiet, jakby czekając odeń potwierdzenia swego domysłu. I wreszcie jakby to potwierdzenie otrzymała, rozjaśniła się w uśmiechu.

Nie, nie. Intuicja jej zawieść w tym wypadku nie mogła. Jakżeby chętnie z całej siły przytuliła te kwiaty do piersi...

Pochyliła się nad nimi. Nozdrza napelniły się lekkim już i ledwie wyczuwalnym zapachem. Chłodne płatki dotykały łagodnie rozpalonych policzków i wiele z nich gęstym deszczem opadło na stolik.

Więc jednak! Więc jednak pamiętał o niej, więc jednak myślał o niej. Pamiętał właśnie w dniu wigilijnym.

I była tak łatwowierna! Uwierzyła mu, gdy powiedział, że wyjeżdża!... Oczywiście jest w Warszawie. Spędził tu całe święta. Samotnie. Zupełnie samotnie...

Gorączkowo spojrzała na zegarek. Było już po dwunastej. Pomimo to postanowiła zadzwonić. Wiedziała, że profesor nigdy wcześniej spać się nie kładzie, że w każdym bądź razie dowie się czegoś od Józefa.

Z nerwowym pośpiechem nakręcała tarczę aparatu. W słuchawce przez długi czas odzywało się miarowe buczenie, zanim wreszcie rozległ się jakiś ochrypły i nieznajomy głos:

— Duszo pokutująca, czego potrzebujesz?

— Czy to... czy to mieszkanie pana profesora Wilczura? — niepewnie zapytała Łucja.

— Istotnie. Zgadłaś, dziewczeczko. To jest właśnie jego doczesne mieszkanie. *Und mein Liebchen, was willst du noch mehr*<sup>37</sup>?

— A czy mogłabym prosić pana profesora? — po chwili wahania odezwała się Łucja zaskoczona.

— Zależy o co, turkaweczko. Jeżeli o złoty zegarek i o kostkę cukru, sądzę, że tak. Jeżeli o wycięcie robaczka wyrostkowego, nie radziłbym. Jeżeli o partię golfa, nie może być o tym mowy. Jeżeli o rękę, rzecz spóźniona o lat co najmniej trzydzieści. Jeżeli o kieliszek alkoholu, nic z tego nie będzie, bo ja postawię swoje *veto*. Więc chociaż Pismo Święte powiada „proście, a będzie wam dane”, zauważ, białogłowo, że bynajmniej nie jest powiedziane, że dane ci będzie to, o co prosisz. Prosisz na przykład o piernik z migdałami, a dostaniesz żółtej febry z komplikacjami. Prosisz o natchnienie, a przynoszą ci jajecznicę z czterech jaj na słonince. *Boîte à surprises*<sup>38</sup>. Ciuciubabeczka z przeznaczeniem. *Suprise-party* z Opatrznością. Więc o co ci chodzi, *mia bella*<sup>39</sup>?

— Chciałabym prosić pana profesora do telefonu — powiedziała przerażona Łucja.

— Niewykonalne — apodyktycznie orzekł chrypliwy głos. — Niewykonalne z trzech przyczyn. *Primo*, profesora nie ma w Warszawie. *Secundo*, nie dalej jak przed kilku godzinami, zdołałem go przekonać i przyznał mi słusność, że na rozmowy z kobietami szkoda czasu. I *tertio*, gdyby nawet był teraz w Warszawie i gdyby chciał stracić na rozmowę z tobą kwadransik, to i tak tego by zrobić nie mógł, gdyż leży tu pod którymś

<sup>37</sup>*Und mein Liebchen, was willst du noch mehr* (niem.) — I, moja kochana, cóż jeszcze chcesz. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*boîte à surprises* (fr.) — szkatułka z niespodzianką. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*mia bella* (wł.) — moja piękna. [przypis edytorski]



ze stolów, nie zdradzając najmniejszej ochoty do odzyskania przytomności. Ja gonię tu resztkami sił. *Addio, signora*<sup>40</sup>, *good-bye*<sup>41</sup>. *Vale et me ama*<sup>42</sup>!

To rzekłszy, położył słuchawkę.

## ROZDZIAŁ VI

Sekretarz prezesa Tuchwica zameldował mu:

— Pan profesor Wilczur powrócił dziś z urlopu i gotów jest pana przyjąć, choćby natychmiast. Pytał, czy panu prezesowi coś dolega. Odpowiedziałem, że nie wiem.

Tuchwic skinął głową.

— Dobrze. Dziękuję panu. Niech pan każe szoferowi zajeżdżać.

W dziesięć minut później był już w lecznicy. Natychmiast wprowadzono go do gabinetu profesora Wilczura, który wstał na jego powitanie.

— Czy przyjmuję pana jako gościa, czy jako pacjenta, czy jako szefa? — zapytał z uśmiechem.

Prezes serdecznie i długo ścisnął jego rękę.

— Dzięki Bogu, na zdrowie nie narzekam. Chciałbym z panem profesorem pomówić trochę o interesach.

— Służę panu — skinął głową Wilczur, wskazując jednocześnie gościowi fotel.

Tuchwic usadowił się wygodnie i ładując fajkę, powiedział:

— Za krótko pan odpoczywał, drogi profesorze. Wygląda pan, że poczęstuję pana żydowskim komplementem, nieszczerólnie.

Istotnie urlop nie przyczynił się do poprawy stanu zdrowia Wilczura i było to po nim znać.

— Moim żywiołem jest praca — powiedział poważnie. — Nic tak nie nuży jak bezczynność.

— Wiem coś o tym — przyznał Tuchwic. — Wchodzi to w krew i kości. Staje się nałogiem, niebezpiecznym nałogiem. Wiem coś o tym. Jesteśmy, zdaje się, z panem w jednym wieku, a wciąż nie mam ochoty porzucić pracy, chociaż domyślam się, że i u mnie, tak jak u pana, profesorze, młodszy i ambitni chcieliby zepchnąć zwierzchnika, by zająć jego miejsce.

Profesor Wilczur zmarszczył brwi. Właściwie mówiąc, od początku był przygotowany na ten właśnie temat rozmowy.

— Przewidywałem — powiedział — że tutejsze intrygi przeciw mnie dotrą do pana w formie plotek czy zręcznie podsuniętych sugestii.

Prezes potrząsnął głową.

— Nie, profesorze. Dotarły w sposób bardziej bezpośredni. Po prostu otrzymałem memoriał podpisany przez kilku lekarzy z naszej lecznicy, memoriał, o którym właśnie chciałem z panem szczerze i otwarcie pomówić. Niech pan oceni to, profesorze, że przyjechałem tu bez żadnego konkretnego zamiaru. Po prostu pragnę przedstawić tę sprawę panu i panu zostawić głos rozstrzygający. Mam do pańskiej uczciwości i do samokrytycyzmu absolutne zaufanie.

— Jestem za to wdzięczny panu prezesowi — Wilczur skinął głową.

— Nie chcę na pańską decyzję wywierać najmniejszego nacisku. Najmniejszego — ciągnął Tuchwic. — Po prostu nie znam się na tym. Otrzymałem jednostronne naświetlenie sprawy. Dodam jeszcze, że mam wrażenie, o którym już wspomniałem przed chwilą, że pańscy przeciwnicy mniej się kierują pobudkami obiektywnymi, a bardziej swoją ambicją. Pomimo to uważam, że akcja wszczęta przeciw panu, drogi profesorze, przez podwładny panu personel lekarski nie może pozostać bez wpływu na dobre funkcjonowanie instytucji. Stosunki te wymagają uzdrowienia. Mówiąc krótko: albo uzna pan własne ustąpienie za wskazane, albo będzie pan musiał usunąć tych, którzy okazali panu dezaprobatę. Obecny stan nie może trwać dłużej.

Wilczur odpowiedział ponuro:

<sup>40</sup>*addio, signora* (wł.) — żegnaj, pani. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*good-bye* (ang.) — do widzenia. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*vale et me ama* (łac.) — bądź zdrow/zdrowa i kochaj mnie. [przypis edytorski]

— Zgadzam się z panem prezesem w zupełności. Chciałbym teraz usłyszeć zarzuty, jakie mi postawiono.

Prezes sięgnął do teczki.

— Mam tu przy sobie odpis memoriału. Nie wziąłem ze sobą oryginału, gdyż są na nim podpisy. Oczywiście rozumie mnie pan, że obowiązuje mnie pewna dyskrecja.

— Bez wątpienia — przyznał Wilczur.

— Naturalnie w wypadku, jeżeli pan poweźmie decyzję numer dwa, wręczę panu oryginał, by mógł pan udzielić dymisji jego autorom. Na razie służę panu kopią.

Podał Wilczurowi kilka kartek maszynopisu. Profesor zagłębił się w czytaniu. Tak jak przewidywał, w memoriale nie znalazł żadnych nowych ani żadnych istotnych zarzutów. Wszystko tu obracało się dookoła podejrzeń, że amnezja zostawiła w jego psychice trwałe ślady, że znachorstwo wypaczyło jego metody lekarskie, że szwankuje organizacja lecznicy wskutek zaniedbań, ślamazarnego administrowania i forytowania niektórych osób z personelu. Przytoczono szereg głosów prasy na potwierdzenie tego, że lecznica traci swoją nieskazitelną renomę, swoją od lat utrwaloną opinię najlepszego zakładu leczniczego w stolicy.

Wilczur złożył kartki i z ironicznym uśmiechem zwrócił je Tuchwicowi.

— Jakież jest o tym pańskie zdanie? — poważnie zapytał Tuchwic.

Profesor Wilczur wziął do ręki ołówek.

— Odpowiem kolejno, na wszystkie zarzuty. A więc jeżeli chodzi o amnezję, żaden ze specjalistów nie wspomina ani słowem, by zdarzyło mu się kiedykolwiek dostrzec u któregokolwiek ze swych pacjentów jej nawroty. Żaden. Domyśla się pewno pan prezes, że sam musiałem bardzo interesować się tą kwestią i że po odzyskaniu świadomości przestudiowałem wszystko, co kiedykolwiek było na ten temat napisane.

— To zrozumiałe — potwierdził Tuchwic.

— Pierwszy więc zarzut odpada. Drugi, dotyczący mego znachorstwa, jest wręcz śmieszny. Nie przypuszczam, by któryś z autorów tego memoriału rozporządzał większą wiedzą lekarską niż ja. A nie przypuszczam dlatego chociażby, że większość zatrudnionego tu personelu właśnie ode mnie tę wiedzę czerpała. Czerpała i czerpie. Otóż rzeczywiście podczas mojej praktyki znachorskiej poznałem kilka środków leczniczych nieznanymi w oficjalnej medycynie lub przez nią zarzuconymi. Środki te w praktyce okazały się dobre i skuteczne. Dlaczegoż nie mam ich stosować? Medycyna nie pretenduje do nieomyślności. Ci panowie, którzy podpisali memoriał, widocznie uważają się za nieomyślnych. Pozostają jeszcze dwa zarzuty. Pierwszy dotyczy złej organizacji lecznicy, wskutek czego traci ona swoją dobrą opinię. Panie prezesie! Tę lecznicę założyłem ja, ja ją zorganizowałem przed wielu laty i sądzę, że właśnie mam prawo twierdzić, iż jej dotychczasowa dobra opinia jest moim dziełem.

— Niewątpliwie — powiedział prezes.

— To prawda — ciągnął Wilczur — że w ostatnich czasach opinia ta zaczęła się psuć. Rozważmy obiektywnie, dlaczego. Otóż nie z żadnych innych powodów jak tylko dlatego, że ludzie, którzy postanowili mnie usunąć, starają się ją zepsuć. To jest zwykła agitacja. Nie będę wymieniał nazwisk. Nie będę wymieniał faktów. Upewniam jednak pana, że wiem kto i w jaki sposób działa na szkodę lecznicy. Nie wyciągnąłem dotychczas z tego żadnych konsekwencji. Miałem dużo wiary w ludzi. Sądziłem, że się opamiętają, że się zreflektują, że odezwie się w nich sumienie. Wreszcie i w to, że społeczeństwo dostrzeże owe grube nici, którymi jest szyta cała ta nieszlachetna robota. Zawiodłem się. Wreszcie zarzut ostatni. Powiadają, że jestem stary i przemęczony, że rozluźnienie porządku w lecznicy jest skutkiem wyczerpania się mojej energii i zdolności kierowniczych. Panie prezesie, przyznaję, że moja energia została w ostatnich czasach bardzo nadwątłona, że moje nerwy znajdują się w stanie pozostawiającym wiele do życzenia, że moje zdrowie zostało zachwiane. To wszystko prawda. Ale właśnie ten mój stan ma przyczynę, ma wyłączną przyczynę w tej brutalnej akcji oszczerstw i podkopów, którą prowadzą moi wrogowie. Rozumiem, że pana, jako przedstawiciela towarzystwa, do którego należy lecznica, mało może obchodzić, dlaczego umniejszyły się wartości kierownika instytucji. Dla pana jest ważny rezultat, fakt obiektywny: umniejszyły się. Otóż dlatego właśnie

nie mogę teraz korzystać z pańskiej uprzejmości i powziąć decyzji, którą pan mi chciał zostawić. I proszę pana o nieobarczanie mnie rozstrzygnięciem tej kwestii.

— A jednak pozwoli pan profesor, że będę obstawał przy swoim. Powtarzam, że mam absolutne zaufanie do pańskiego obiektywizmu i wiem, że decyzja pańska będzie jedynie słuszna.

Wilczur się zamyślił. Po dłuższej chwili odpowiedział:

— Więc dobrze, panie prezesie. Proszę mi jednak zostawić kilka dni czasu. Zastanowię się nad tym, a ponieważ zarzuty przeciwko mnie zostały sformułowane na piśmie, i ja pisemnie chcę na nie odpowiedzieć. Proszę mi wierzyć, że w tej chwili jeszcze nie mam żadnego postanowienia. Muszę całą tę rzecz przemyśleć, muszę gruntownie zbadać sytuację, muszę sprawdzić, czy po usunięciu malkontentów dysponowałbym dostatecznym aparatem dla prowadzenia lecznicy. Nie wspomniał mi pan prezes, ilu z moich podwładnych podpisało ten memoriał, lecz znając ich wszystkich względnie dobrze, mogę pana zapewnić, że znajduje się wśród nich na pewno większość takich, którzy z równą namiętnością staną w mojej obronie, jak tamci stanęli przeciw mnie.

Prezes wstał.

— I ja jestem o tym przekonany. Zostawiam panu ten odpis memoriału i będę oczekiwał pańskiej odpowiedzi. Jeszcze raz najgoręcej zapewniam pana, drogi profesorze, o moim szacunku i największej przyjaźni.

Po wyjściu Tuchwica Wilczur długo się namyślał. Czerwona lampka nad drzwiami jego gabinetu nie gasła i co chwila różne osoby, które chciały się z nim widzieć, na próżno zaglądały do poczekalni.

Na dwóch kartkach papieru Wilczur wypisywał nazwiska tych lekarzy, którzy opowiedzą się po tej czy tamtej stronie. Na początku pierwszej figurował profesor Dobraniecki, na początku drugiej doktor Kolski. Hipotetyczny ten spis wykazał, że Wilczur mógł liczyć na lojalność większości personelu. Postanowił natychmiast zabrać się do rzeczy i po kolei z każdym odbyć konferencję. Pierwszego wezwał doktora Kolskiego.

Przywitał go bez słowa, wskazał miejsce i podając mu memoriał powiedział:

— Kilku kolegów złożyło taką właśnie motywację żądania, bym ustąpił z kierownictwa lecznicy. Może pan będzie łaskaw to przeczytać.

Kolski zarumienił się z lekka i pogrążył się w czytaniu. Gdy skończył, podniósł oczy na profesora.

— Teraz mam do pana prośbę — odezwał się Wilczur. — Chodzi o pańską szczerłość, o bezwzględną szczerłość. Niech pan wypowie swoje zdanie o tym elaboracie.

— Czy... czy — zająknął się Kolski — czy to jest konieczne, panie profesorze?

Wilczur skinął głową:

— Dla mnie tak i jeszcze raz proszę pana o bezwzględną szczerłość.

Kolski był widocznie zdetonowany i zaczął niepewnie:

— No... ma się rozumieć... już sam fakt złożenia takiego memoriału, moim zdaniem, jest swego rodzaju nieprzyzwoitością... Przypuszczam, że nawet Związek Lekarzy mógłby wyciągnąć z tego jakieś konsekwencje... Czy ja wiem, dyscyplinarne. To nie po koleżeńsku. W każdym bądź razie uważam, że powinni byli uprzedzić o swoim kroku pana profesora. Jeżeli tego nie zrobili, nic ich nie tłumaczy. Wyciągnąć wewnętrzne sprawy lecznicy... to doprawdy nieprzyzwoitość.

Przełknął ślinę i umilkł.

— A co pan sądzi o treści memoriału? — zapytał Wilczur.

— Z treścią również nie można się pogodzić — odzyskując stopniowo panowanie nad sobą, powiedział Kolski. — Zarzuty tu wysuwane przeciw panu profesorowi są niewątpliwie przejawiskrawione...

— Przejawiskrawione — półgłosem powtórzył Wilczur.

— Tak, panie profesorze. Przejawiskrawione. Niektóre wręcz nie mają podstaw. Można by nawet w nich dopatrywać się złej woli autorów. Na przykład te nawroty amnezji albo skłonność pana profesora do używania środków leczniczych na ogół obecnie niestosowanych. To są całkiem niepoważne pretensje.

Wilczur, który spodziewał się u swego asystenta wybuchu oburzenia, ze zdumieniem słuchał jego spokojnego, rzeczowego, a nawet jakby chłodnego rezonowania.

— Nadto — ciągnął Kolski — memoriał jest zredagowany z wyraźną niezyczliwością dla pana profesora. Gdybym ja był adresatem, już to wzbudziłoby we mnie nieufność i podważyło wiarę w dobre intencje autorów, nasunęłoby mi myśl, że dla osobistych korzyści, nie zaś dla dobra lecznicy wyzyskują istotne strony sytuacji.

Profesor Wilczur z lekka podniósł brwi i nie patrząc na Kolskiego, zapytał:

— A jakie są te istotne strony sytuacji?

Kolski zawahał się przez chwilę.

— Ponieważ pan profesor taki nacisk położył na to, bym szczerze wypowiedział swoje zdanie...

— Tylko o to mi chodzi — podkreślił Wilczur.

— Tedy będę szczerzy. Wie pan, profesorze, ile żywię dla pana czci, pietyzmu, wdzięczności. Jednak obiektywnie rzecz biorąc, nie można tym panom odmówić racji, gdy twierdzą, że stanowczo pan profesor jest przemęczony i że konsekwencje tego przemęczenia w bardzo niekorzystny sposób odbijają się na lecznicy. Pan profesor ostatnio rzadko i sporadycznie wgląda w to, co tu się dzieje. A tu źle się dzieje. Wśród personelu panuje podniecenie, nie ustają intrygi, plotki, wygryzania się wzajemne. Słowem, rozprzężenie. Do kierowania tak dużą instytucją, sam pan to przyzna, trzeba mocnej i pewnej ręki, silnych nerwów, no i niemal ustawicznej obecności na stanowisku. Ja wiem, że tym, co mówię, sprawiam panu profesorowi przykrość, ale skoro zostałem zapytany, wołę sprawę postawić otwarcie.

Skończył i zapanowało długie milczenie. Wreszcie profesor Wilczur wstał. Chciał uśmiechnąć się, podając Kolskiemu rękę. Nie mógł jednak wymusić na sobie uśmiechu.

— Dziękuję panu, kolego — powiedział.

Kolski bez słowa wyszedł z gabinetu. Gdy się za nim drzwi zamknęły, Wilczur bezwładnie opadł na fotel.

Oto znienacka, ze strony najmniej spodziewanej ugodził go cios tym boleśniejszy, że zadany ręką, od której spodziewał się największej pomocy.

Czyżby więc naprawdę tak dalece zatracił samokrytycyzm?... Czyżby nie umiał w sobie dostrzec tego upadku, który tak jasno widzą w nim już nie tylko wrogowie, lecz i przyjaciele? Czyżby naprawdę stał się już człowiekiem nieudolnym, szkodliwym ramolem, zawadą dla innych?... On, który tak wiele w sobie czuje wciąż siły, wiary, głodu pracy?...

Spojrzał ponuro na biurko, gdzie leżały dwa arkusiki papieru, dwie listy. Powoli wziął je w rękę, zmiął i wyrzucił do kosza. Po cóż miał się zwracać do innych? Wszyscy oni, jeżeli się zdobędą tylko na taką szczerłość jak Kolski, niewątpliwie powtórzą mu to samo. Po to wzywać ich, by doznać jeszcze kilku upokorzeń, by wysłuchiwać tych strasznych, miazdzących słów — wierzył w to — niesprawiedliwych, lecz wypowiedzianych z przekonaniem o ich słuszności...

Walka była przegrana. Zrozumiał to i potrafił postąpić tak, jak nakazuje mu sumienie.

Spokojnie też wyjął arkusz papieru i skreślił na nim:

„Szanowny Panie Prezesie! Po namyśle i zbadaniu sytuacji w lecznicy doszedłem do przekonania, że jedynym słusznym rozwiązaniem kwestii będzie moje ustąpienie. Ponieważ po tej decyzji zbyt trudno byłoby mi pozostać tu dłużej bodaj przez kilka dni, pozwalam sobie zdać kierownictwo profesorowi Jerzemu Dobranieckiemu, dotychczasowemu memu zastępcy, który doskonale jest obeznany ze sprawami instytucji. Łączę wyrazy szacunku i poważania — Rafał Wilczur”.

Złożył arkusz na czworo, umieścił w kopercie, zaadresował ją do prezesa Tuchwica i nacisnął guzik dzwonka.

— Proszę to zaraz wyekspediować — powiedział woźnemu — i proszę zameldować panu profesorowi Dobranieckiemu, że chcę z nim mówić.

Niedługo czekał na Dobranieckiego. Zdążył jednak opanować się o tyle, że przywitał go zupełnie swobodnie:

— Proszę, niech pan siada. Chciałem z panem pomówić, jeżeli pan dysponuje czasem. Dobraniecki spojrzał na zegarek.

— Mam całe dwadzieścia minut do operacji.

— O, tyle panu nie zabiorę.

— O cóż chodzi? — zapytał Dobraniecki.

— Niedawno był tu u mnie prezes Tuchwic. Prezes Tuchwic powiedział mi, że niektórzy z lekarzy naszej lecznicy podpisali się na memoriale, żądającym mego ustąpienia. Nie podał mi żadnych nazwisk. Czytałem ten memoriał i mam powody przypuszczać, że to pan jest jego autorem. Autorem oraz inicjatorem.

Dobraniecki z lekka przygryzł wargi, lecz podniósł głowę i spojrzął w oczy Wilczurowi.

— Tak. Nie mam zamiaru tego się zapierać.

— I nie ma pan powodu — podchwycił Wilczur.

— I nie mam powodu — potwierdził Dobraniecki. — Nie należę do ludzi, którzy czegokolwiek się boją i którzy oportunistycznie wolą pogodzić się z tym, co uważają za złe, zamiast wszelkimi środkami temu przeciwdziałać.

Wilczur uśmiechnął się.

— Bardzo pan to trafnie określił: wszelkimi środkami. Nie zaniedbał pan żadnego. Ale nie o tym chciałem z panem mówić. Otóż Tuchwic postawił przede mną alternatywę, zostawiając mi *plein pouvoir*<sup>43</sup> co do wyboru: albo zatrzymać kierownictwo lecznicy i usunąć z niej tych, którzy działają przez okłamywanie opinii publicznej na jej niekorzyść, albo samemu ustąpić.

Umilkł, oczekując pytania Dobranieckiego. Ten jednak tylko przybladł z lekka, lecz nie odezwał się ani słowem. Wilczur zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

— Tuchwic decyzję zostawił mnie. Już ją powziąłem. Przed chwilą wysłałem doń list z moją rezygnacją.

Na policzkach Dobranieckiego wystąpiły czerwone plamy.

— Komunikuję zaś to panu dlatego, że w tymże liście oświadczyłem, iż kierownictwo zakładu przekazuję w pańskie ręce. Otóż chciałem spytać pana, czy zrobi mi pan tę małą przysługę, by je przyjąć?

Dobraniecki poruszył wargami, lecz nic nie powiedział.

— Ułatwiłoby mi to ogromnie sytuację — mówił Wilczur spokojnym tonem. — Przekazując zarząd komuś innemu, musiałbym wiele czasu stracić na objaśnienia i podobne rzeczy, podczas gdy pan, zastępując mnie niejednokrotnie, świetnie jest obeznany z wszystkim. Przecież dopiero dzisiaj powróciłem z urlopu i mniej wiem o bieżących sprawach niż pan. Więc zgadza się pan?

— Zgadzam się — krótko odpowiedział Dobraniecki.

Wilczur wstał.

— Zatem sprawa załatwiona i żegnam pana.

Dobraniecki wstał również i powiedział:

— Żegnam pana profesora.

Wyciągnął do Wilczura rękę, lecz ten potrząsnął głową.

— Nie, proszę pana. Ręki panu podać nie mogę.

Dobraniecki przez moment stał jak skamieniały, potem nagle odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju.

Profesor Wilczur dość wiele jeszcze miał tu roboty. Po szafach, w gabinecie, w biurku, w różnych szufladach miał sporo książek stanowiących jego prywatną własność, notatek, szkiców wykładów itp. Należało to wszystko posegregować, ułożyć i kazać zapakować. Gdy ukończył tę robotę, na dworze zapadł już zmrok.

Ubrał się i przechodząc przez poczekalnię, zobaczył Łucję. Czekala tu na niego.

— Dobry wieczór, panno Łucjo — ucieszył się. — Myślałem, że pani dziś nie ma w lecznicy. Dlaczego pani nie zajrzała do mnie?

— Ależ byłam tu, panie profesorze, mało kilkadziesiąt razy i wciąż nad pańskimi drzwiami paliła się czerwona lampka.

— A tak, tak. Byłem bardzo zajęty.

— Pan dziś skończył swój urlop?

— Dzisiaj — potwierdził Wilczur.

— Jaki pan niedobry, profesorze! Podczas świąt był pan przecież w Warszawie, a ja o tym nic nie wiedziałam.

Zaśmiał się do niej.

<sup>43</sup>*plein pouvoir* (fr.) — pełna moc; zupełna swoboda (działania). [przypis edytorski]

— A skądże się pani dowiedziała?

— Miałam aż dwa dowody pańskiej obecności.

Wilczur zaciekawiał się.

— Aż dwa?

— Tak. Telefonowałam do pana profesora.

— Nic mi Józef o tym nie mówił.

— Bo to wcale nie Józef odebrał telefon, tylko jakiś dziwny człowiek. Zdawało mi się, że... że... Przepraszam bardzo, ale zdawało mi się, że umysłowo chory.

— Umysłowo chory?

— No tak. Gadał takie głupstwa i był zdaje się zupełnie pijany.

Profesor zaśmiał się i machnął ręką.

— Ach, oczywiście. To Jemioł. Zna go pani. Były nasz pacjent. Przemily człowiek.

— Przemily? — zdziwiła się Łucja. — Zdaje się, że to był taki rzezimieszek na bezpłatnym oddziale.

— Ten właśnie — potwierdził Wilczur. — To jest jakiś zdeklasowany inteligent. Niepodobna zeń wydobyć, kim był kiedyś. Dziś rzeczywiście jest rzezimieszkiem. Nawet nie wiem, jak się nazywa. Poznałem go kiedyś przed laty i wówczas nazywał się, o ile mnie pamięć nie myli, Obiadowski czy Obiedziński, dziś nosi nazwisko Jemioł, za rok prawdopodobnie zmieni je na jakieś wygodniejsze. Tak, to dziwny człowiek. Oczywiście, że jest rzezimieszkiem...

— I pijakiem — dodała Łucja. — Wstydziłabym się panu profesorowi powtórzyć to, co on mi nagadał... Czy rzeczywiście pan profesor z nim pił?

— Piłem trochę... trochę za wiele — uśmiechnął się Wilczur. — Ale co to, pani w futrze? Pani wychodzi?

— Tak. Czekałam tylko na pana profesora, bo mi woźny powiedział, że pan niedługo wyjdzie.

— To doskonale. Chodźmy więc.

Na dworze panował lekki przymrozek. Płuca oddychały z przyjemnością orzeźwiającym powietrzem. Przeszli na drugą stronę ulicy. Profesor Wilczur stanął tu i zaczął się przyglądać gmachowi lecznicy. Prawie wszystkie okna jaśniały łagodnym, białym światłem. Wysoka, wyniosła fasada gmachu miała w sobie coś dostojnego, spokojnego i niezmiennego.

Profesor stał nieruchomo. Mijały minuty. Zdziwiona jego niezwykłym zachowaniem się, Łucja spojrzała na jego twarz i zobaczyła dwie łzy spływające po policzkach.

— Profesorze! — zawołała szeptem. — Co panu jest?

Odwrócił do niej głowę i uśmiechnął się.

— Wzruszyłem się trochę. Wiele tu zostawiłem serca... wiele...

— Zostawił pan?

— Tak, panno Łucjo. Zostawiłem. Nigdy już tu nie wrócę. To pożegnanie.

— Co pan mówi, profesorze!

— Tak, panno Łucjo. Dzisiaj byłem tu ostatni raz. Podałem się do dymisji, przekazałem zarząd panu profesorowi Dobranieckiemu... Stary już jestem, panno Łucjo.

Łucja nic nie mogła odpowiedzieć, zacisnęło się jej gardło, trzęsła się cała jak w febrze. Wilczur zauważył to i łagodnym ruchem wziął ją pod rękę.

— Chodźmy już. Ostatecznie nic tak ważnego się nie stało. Zwykły to porządek rzeczy, że starzy ustępują miejsca młodszym. Było tak od początku świata. Niech się pani tak tym nie przejmuje, panno Łucjo...

— To straszne... to straszne... — powtarzała drżącymi wargami.

— Nic strasznego. Wszyscy tak mnie zapewniali o tym, że powinienem odpocząć, no i uwierzyłem im wreszcie. Dajmy spokój i nie mówmy już o tym. Jakże pani spędziła święta?

Potrząsnęła głową.

— Och, profesorze, doprawdy nie mogę zebrać myśli. Spadło to na mnie jak piorun z jasnego nieba.

Zaśmiał się krótko.

— No, niezupełnie jasnego. Już od dawna ta chmura wisiała nad moją głową i rozlegały się w niej nie tyle grzmoty, ile jakieś syki i gwizdania. Bardzo dziwna chmura.

Pociesza mnie tylko to, że jedyny piorun, jaki z niej padł, padł z mojej woli... No więc, niech mi pani powie, jak pani spędziła święta.

— Po cóż pan profesor pyta? — odezwała się po chwili. — Przecież wie pan, że dla mnie nie mogły to być wesołe święta.

— Dlaczegoż nie? Jest pani młoda, zdolna, życie przed panią stoi otworem. Zaczyna je pani dopiero. Jakież zmartwienia pani miała?

Za całą odpowiedź przycisnęła łokciem jego rękę do siebie. Umilkł i szli tak czas dłuższy w milczeniu.

— Jedną tylko chwilę podczas całych świąt miałam szczęśliwą, bardzo szczęśliwą. To wtedy, kiedy odgadłam, że te róże pan mi przysłał.

Profesor chrząknął zaskoczony.

— Ja wiem, że to pan — mówiła. — Chociaż był pan tak niedobry, że nie napisał nawet ani jednego słowa i że nie dał mi znać o tym, że jest w Warszawie. Ale to i tak niezasłużona przeze mnie dobroć z pańskiej strony, że pan o mnie pamiętał, że pan o mnie pomyślał.

— Pomyślałem, stary egoista, pomyślałem o pani w dniu wigilijnym i przyznam się pani, że przyszedł mi nawet do głowy niedorzeczny koncept, by panią zaprosić na wieczerek wigilijną.

Łucja przystanęła i spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu wyczytała tyle ciepła i radości, że aż ścisnęło mu się serce. By pokryć wzruszenie, zaczął mówić:

— Siedziałem w tej samotności swojej jak borsuk w jamie, więc cóż dziwnego, że najkarkołomniejsze pomysły przychodziły człowiekowi do głowy. I jeszcze akurat w dzień wigilijny. No, ale chodźmy, nie stójmy tu, bo tarasujemy ruch na ulicy. Dzień wigilijny, choinka, siano pod obrusem. Wspomnienia. Wszystko to wytrąca trochę człowieka z równowagi.

— I dlaczego, dlaczego pan mnie nie wezwał? — powiedziała ze szczerym wyrzutem w głosie.

— Zreflektowałem się w porę. Wprawdzie ja chciałbym mieć pani towarzystwo tego wieczora, ale pani na pewno znalazłaby miłsze i weselsze, i bardziej odpowiadające pani wiekowi...

— Nie, nie, nie mówi pan tego szczerze — przerwała mu. — Przecież pan wie, że najbardziej pragnęłabym spędzić z panem nie tylko ten wieczór, ale wszystkie wieczory, wszystkie wieczory do końca mego życia.

Głos mu drgnął, gdy ją ofuknął:

— Niech pani nie opowiada głupstw!

— Do końca życia — powtórzyła.

Zaśmiał się z przymusem.

— No, jeżeli o mnie chodzi, to niewiele by pani nawet ryzykowała, bo pewno niewiele już tych wieczorów do końca mego życia mi zostało. Ale niech pani o podobnych rzeczach nie mówi. Przecież to śmieszne, mógłby nas jeszcze ktoś podsłuchać i ubawić się szczerze. Mam córkę prawie w pani wieku i mógłbym być pani ojcem. Ba, i jak jeszcze.

— To przecież nie ma żadnego znaczenia — zaprotestowała żywo.

— Ma, i to duże.

— Dla mnie ma znaczenie tylko to jedno, że pana kocham, że pana uwielbiam, że wprost nie wyobrażam sobie, jak mogłabym żyć z dala od pana...

Teraz Wilczur zatrzymał się.

— Panno Łucjo — powiedział poważnie, patrząc w jej rozjarzone oczy. — Pani jest jeszcze bardzo niedoświadczona. Niechże pani mi uwierzy, że uczucie pani w całym swoim pięknie i świeżości jest wynikiem li tylko nieporozumienia. Lubi mnie pani, wydają się pani godny podziwu, przyjaźni, wreszcie współczucia z powodu tych przeżyć, które mnie ostatnio spotkały. Ale to nie jest miłość. Za miesiąc czy za rok przeminie to, bo musi przeminąć, i wtedy przekona się pani, że w tej chwili, że dzisiaj nierozważnie zbliża się pani do przepaści. Na szczęście nad brzegiem tej przepaści jest bariera, która panią zatrzyma, bariera ta to moje doświadczenie i moja znajomość życia. Drogie dziecko, kiedyś będzie mi pani za to wdzięczna. Kiedyś przypomni pani moje słowa.

Łucja uśmiechnęła się smutno.

— Panie profesorze. Nie spodziewałam się wcale innej odpowiedzi. Wiem, że nie jestem pana warta. Pod żadnym względem. I wiedziałam, że tak mi pan odpowie. Tak, bo jakże inaczej można odpowiedzieć kobiecie, na której miłość nie znajduje się w sobie oddźwięku.

— Myli się pani, panno Łucjo. — Wilczur ściągnął brwi. — To, co pani mi powiedziała, to, co pani czuje, jest dla mnie wielkim, wielkim i cennym darem. Człowiek, który tak mało w życiu doznał cieplejszych uczuć, umie je cenić wysoko. Nie znaczy to jednak, panno Łucjo, że potrafi również odpowiedzieć na nie takimiż uczuciami. Życie robi swoje, lata robią swoje. Wysycha serce, dusza traci swoje soki ożywcze, staje się cierpka i łykowata, wysycha na pergamin. Trzeba to rozumieć, panno Łucjo.

— Nie wierzę — potrząsnęła głową. — Od trzech lat obcuję z panem, przyglądam się panu, widzę co dzień objawy wrażliwego pańskiego serca, wielkości i żywotności pańskiej duszy. Pańskie serce jest świeże jak serce dziecka. Przecież pan kocha ludzi?

Profesor w zamyśleniu ruszył naprzód.

— Tak, droga pani, ale to już jest coś innego. To nie jest osobiste, to nie przejmuję do dna, to nie targa wszystkimi nerwami, nie stanowi treści dni i nocy. Jakby tu pani powiedzieć? Między sercem kochającym człowieka młodego a moim jest taka różnica jak między płonącym ogniskiem a cichym kościołem... Widzi pani, to są te dwie miłości, dwie miłości różne...

Znowu szli w milczeniu. Mijali ich nieliczni przechodnie.

— I nie kochał pan nigdy? — zapytała Łucja.

Wilczur podniósł głowę, jakby wpatrując się w jakiś punkt między gwiazdami, i powiedział wreszcie:

— Kochałem kiedyś... Na imię jej było Beata.

Zdawał się zapominać o obecności Łucji i mówił jak do siebie:

— Była młoda i piękna i nigdy mnie nie kochała. Była moją żoną. Dawno już temu, przed wielu laty... Była moją żoną... Nie żoną, skarbem, królową, dzieckiem. Już sam dziś nie wiem — była treścią i celem mego życia. Każda myśl moja była myślą o niej, każdy mój uczynek — uczynkiem dla niej. Kochałem. O, ja wiem, co to znaczy kochać. Pamiętam siebie z owych lat, pamiętam też, że nie umiałem, nie potrafiłem zdobyć jej serca. Byłem widocznie zbyt gruboskórny, obsypywałem ją pieszczotliwymi słowami, drżałem na myśl, że jakaś najdrobniejsza jej zachcianka nie będzie spełniona... Ale ona nie miała drobnych zachcianek. Pragnęła tylko jednego: chciała pokochać. A ja nie umiałem stać się tym, kogo by pokochać mogła. Zawsze, codziennie widziałem w jej oczach tę jakby obawę przede mną, tę bezgraniczną odległość, jaka dzieliła jej myśli, jej świat od mego. Była najprzykładniejszą żoną, zdarzały się nawet takie chwile, kiedy zaczynałem wierzyć w to, że się zbliżymy do siebie. Złudzenia jednak rozwiewały się szybko. I znowu stawałem bezradny wobec tej milczącej, niezrozumiałej dla mnie istoty, zapewne tak niezrozumiałej dla mnie, jak ja byłem dla niej. Zachowywała się w stosunku do mnie tak jak małe dziecko, które znalazło się w klatce słonia. Wprawdzie ma doń zaufanie, lecz boi się każdego swego ruchu, każdego swego słowa, bo nie wie, jak na nie zareaguje to wielkie, ciężkie zwierzę.

Umilkł, a po dłuższej chwili Łucja zapytała:

— Nie żyje?

Profesor skinął głową i nagle się ożywił.

— Chodźmy. Niech pani wstąpi do mnie, pokażę pani jej fotografię.

I tak jakby nie spodziewał się najmniejszego protestu ze strony Łucji, zawrócił od razu w stronę domu. Łucja szła obok niego, cała rozdygotana wewnątrz. Wyznania własne, a teraz wyznania profesora wzniciły w niej zamęt myśli i uczuć. Ach, czemuż nie żyła wcześniej, czemuż nie poznała go przed tamtą, przed tamtą głupią i niegodną, która nie umiała ocenić swego szczęścia.

Łucja wiedziała o tym, że Wilczur kiedyś był żonaty i że od wielu lat jest już wdowcem. Poznała nawet przelotnie przed trzema laty jego córkę, panią Czyńską, do której uczuła prawdziwą sympatię. Po mieście krążyło tak wiele sprzecznych historyjek o romantycznej przeszłości rodziny Wilczurów, że trudno było prawdę odróżnić od rzeczy zmyślonych. Łucja zresztą nie miała tej ciekawości, która skłania inne kobiety do grzebania się w cudzych sprawach. Wolała nawet, jeżeli chodziło o Wilczura, by nadal dla niej pozostał ową tajemniczą postacią, na wpół legendarną, na wpół rzeczywistą. Pragnęła go



poznawać dzień po dniu, tak jak poznaje się karta po karcie historię tragicznych przeżyć uwielbianego bohatera, dzieje jego życia, labirynty jego duszy.

Łucja była już kilkakrotnie w willi profesora z okazji różnych spraw zawodowych. Przyjmował ją jednak zawsze w salonie. Tym razem po raz pierwszy wprowadził ją do gabinetu. Zapalił światło i nic nie mówiąc, wskazał wielki portret nad kominkiem.

Z szerokich, srebrnych ram spoglądała na Łucję wielkimi, jakby lekko zdziwionymi oczyma piękna kobieta, o jasnych włosach i dziewczęcym owalu twarzy. Wokół niedużych ust układał się jakby smutek, piękna, wysmukła ręka o długich, rasowych palcach leżała bezwładnie wśród fałd ciemnego jedwabiu sukni.

Zazdrość ścisnęła serce Łucji. Ta pani z portretu wydała się jej stokroć od niej piękniejsza, nieosiągalnie wytworna i subtelna.

— Na imię jej było Beata... — usłyszała za sobą cichy głos Wilczura. — Pewnego dnia wróciłem i zastałem dom... pusty. Odeszła, porzuciła mnie, porzuciła dla innego, dla miłości.

Łucja poczuła, że serce jej podchodzi aż pod krtań. Nagłym odruchem odwróciła się, chwyciła rękę Wilczura i gorączkowo, nieprzytomnie, wśród łkania zaczęła ją całować, jakby tymi pocałunkami chciała mu nagrodzić ową krzywdę, ową zbrodniczą krzywdę wyrządzoną przez tamtą...

— Co pani!... Co pani robi! Panno Łucjo! — zawołał z oburzeniem Wilczur, nagle ocknąwszy się z zamyślenia. — Niechże pani da spokój, to do niczego niepodobne.

Usadowił ją trzęsącą się od płaczu w fotelu, rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu karafki z wodą. Na stoliku przy kominku stał koniak. Nalał kieliszek i podał Łucji, mówiąc stanowczym i łagodnym tonem, tym tonem, którym zwykle skłaniał pacjentów swoich do posłuszeństwa:

— Niech to pani zaraz wypije.

Posłusznie spełniła jego rozkaz i z wolna się uspokajała, podczas gdy on mówił:

— Trzeba panować nad swoimi nerwami, droga pani. Trzymać się w ryzach. Cóż to z pani za lekarz, jeżeli panią cudze cierpienia tak wyprowadzają z równowagi, że w starym, poczciwym profesorze widzi pani nagle kardynała, którego trzeba obcałowywać po rękach? A może pani chciała przez to uczcić mój sędziwy wiek?... Odebrać mi resztę złudzeń? No i jak pani teraz wygląda? Proszę zaraz powycierać sobie te nieprzystojne łzy.

Podał jej swoją wielką chustkę, a Łucja, wycierając oczy, powtarzała:

— Nienawidzę jej... Nienawidzę..

Uspokajała się z wolna.

— No, może jeszcze jeden kieliszek? — zapytał Wilczur.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Dziękuję i bardzo pana przepraszam za ten wybuch hysterii. Zachowuję się rzeczywiście okropnie.

— Przez kurtuazję nie śmiem przeczyć — umyślnie gderliwym tonem powiedział Wilczur. — Nie śmiem przeczyć. Zachowuje się pani jak pensjonarka z blednicą na podłożu skrofulicznym.

Chciał ją rozśmieszyć, lecz słowa jego nie dotarły do świadomości Łucji.

— Czy pan... czy pan ją wciąż kocha? — zapytała i przygryzła wargi, by się znów nie rozplakać.

Brwi Wilczura ściągnęły się.

— Droga pani, tyle już lat minęło, tyle wody upłynęło, tyle razy wiosną grób jej porastał nową trawą... Czas robi swoje... Zostało mi po niej wspomnienie, bolesne i dojmujące wspomnienie. Ot, blizna. Przebaczyłem. To wszystko.

Zamyślił się, a po chwili dodał:

— Widzi pani, i stąd może pani czerpać naukę, co robi czas. Wszystko mija. To, co kiedyś mogło się nam wydawać wszechświatem, w lat kilka później widzimy jako mały pyłek i pojąć nie umiemy, dlaczego wówczas ulegaliśmy złudzeniu.

— O, nie — zaprzeczyła Łucja — przecież pan i dziś wie, że ta kobieta była dla pana wszechświatem. Prawdziwa miłość, choćby nawet wygasła, pozostaje czymś wielkim.

Wilczur machnął ręką.

— To u takich samotników jak ja. Kto wie, jak bym myślał dziś o Beacie, gdyby wkrótce po jej odejściu stanęła na mojej drodze jakaś inna kobieta... jakieś serce czułe, jakieś uczucie głębokie...

Uśmiechnął się i dodał:

— Ale na mojej drodze nie spotkałem serc czułych. Moją drogą nie chodzą kobiety.

Łucja uśmiechnęła się.

— Chodzą, ale pan ich nie dostrzega. Gdy zaś są tak natarczywe, że narzucają się same, zbywa je pan kazaniami o różnicy wieku.

— To nie kazanie — powiedział łagodnie. — To perswazja. I nie tylko o wiek chodzi, nie tylko o wiek, panno Łucjo. Trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę, że właściwie jestem człowiekiem skończonym...

— Co też pan mówi — zaprotestowała.

— No, tak. Starym gratem wyrzuconym za burtę — przekonywał ją poważnie. — Niech się pani zastanowi, jakie mogą mieć przed sobą perspektywy. Mógłbym rozpocząć praktykę prywatną u siebie w domu, lecz oznaczałoby to nieustanny kontakt z tymi wszystkimi ludźmi, których sam widok jest dla mnie nie do zniesienia. Jestem chirurgiem. W domu przecież operacji nie mogę wykonywać, a co stąd wynika, byłbym zmuszony zabiegać o udzielenie mi sal operacyjnych. Sama pani rozumie, że po mojej dzisiejszej rezygnacji narażanie się na jakieś pytania, uwagi, komentarze czy choćby na spojrzenia byłoby ponad moje siły. Więc cóż mi pozostaje? Dogorywanie. *Panis bene merentium*<sup>44</sup>. I to bez masła. Bo trzeba pani wiedzieć, że jestem zupełnie zrujnowany. Ten dom, w którym teraz jesteśmy, też już nie jest moją własnością. Łaskawie zostawiono mnie tu na dożywociu...

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Na dożywociu w nadziei, że to niedługo już potrwa.

— Absolutnie nie zgadzam się z panem — energicznie zaprotestowała Łucja. — Pozostaje przecież panu, dopóki pan nie wyzbędzie się tej zrozumiałej zresztą drażliwości na punkcie stykania się z nimi, tak olbrzymia dziedzina pracy jak działalność naukowa. Wykłady uniwersyteckie, klinika, piśmiennictwo...

Wilczur zamyślił się.

— Nie, to nie leży w moim temperamencie. Mogę pisać tylko wtedy, gdy pisanie wypełnia mi wolne chwile od pracy aktywnej; co zaś do wykładów... Droga pani, i stamtąd mnie wygrzą. Nie, nic mi nie zostało. Ot, zamknąć się w domu i czekać na śmierć. Przyjdzie zresztą ona szybko. Tak już w przyrodzie to jest urządzone, że to, co niepotrzebne, samo się likwiduje. A ja czuję, że jestem niepotrzebny.

— Otóż właśnie o to mi chodzi, panie profesorze. O to mi chodzi, że pan się czuje niepotrzebny. Chcę pana przekonać, że to jest tylko chwilowy nastrój, który wkrótce minie. Chcę pana przekonać, że w niczym nie osłabła pańska żywotność, że nie umniejszył się wcale pański geniusz ani energia. To chwilowa depresja.

— Nie wierzę w to.

— Więc przekonam pana.

— W jakiz sposób?

— Ma pan zacząć tę swoją wielką pracę o nowotworach...

— Nie tyle zacząć, co zarzuconą. Od roku już do niej nie zaglądałem. Brak mi wielu materiałów. Trzeba byłoby je zbierać, wyszukiwać, segregować, a przyznam się pani, że nie odczuwam do tego najmniejszej ochoty.

— Więc będę panu pomagała. Ja się tym zajmę.

— To byłoby poświęcenie z pani strony. Wie pani dobrze, panno Łucjo, że takiej ofiary przyjąć nie mogę.

— Ależ to żadna ofiara. Wydzielili mi pan za to część honorarium autorskiego. Albo na przykład umieści pan przy swoim nazwisku moje. „Przy współpracy dr Łucji Kańskiej”. Ten zaszczyt to nie byle co.

Po długich naleganiach Łucji Wilczur, acz niechętnie, zdecydował się wreszcie i już nazajutrz rozpoczęli pracę. Przychodziła zwykle w godzinach poobiednich. Razem porządkowali rękopis, notowali braki, wykreślali z czasopism fachowych szczegóły biblio-

<sup>44</sup>*panis bene merentium* (łac.) — chleb dobrze zasłużonych; przen. emerytura. [przypis edytorski]

graficzne. Przed wieczorem gawędzili przy kawie, po czym Łucja żegnała profesora, by następnego dnia zjawić się z plikiem notatek czy książek wybranych z biblioteki.

Praca posuwała się opornie, wbrew przewidywaniom Łucji depresja Wilczura nie mijała. Nieraz odkładał pióro i wpadał w kilkugodzinne zadumy, po których nie był już zdolny nie tylko do pracy, lecz nawet i do rozmowy z Łucją.

Pewnego dnia zastała go pijanego. Była bliska rozpaczy, wciąż jednak nadrabiała miną i wciąż wierzyła niezłomnie, że stanie się coś, co zmieni sytuację, zmieni usposobienie Wilczura.

Tak minęły dwa miesiące. Czas upływał Łucji między pracą dla profesora a zajęciami w lecznicy i zabiegami o pracę w jakimś innym zakładzie, wprawdzie bowiem ze strony profesora Dobranieckiego nie spotykały jej przewidywane przez nią na początku szczytów, czuła się tam jednak fatalnie. Pozornie w lecznicy wszystko szło dawnym trybem, nie następowały żadne zmiany ani przesunięcia. Jednakże atmosfera była zupełnie inna. Wrażliwsi, a do nich należała Łucja, wyczuwali to na każdym kroku. Nazwiska Wilczura nikt tu nigdy nie wspominał. W tym milczeniu wyrażał się jakby wstyd, że oto tak łatwo wyparli się go, wyrzekli, zapomnieli.

Z Kolskim stykała się nieco rzadziej. Od czasu ich decydującej rozmowy nie starał się powrócić do tego tematu, lecz nie zmienił się dla niej. O sprawach prywatnych nie mówili ze sobą wcale. Dlatego też nie wiedział, że Łucja współpracuje z profesorem Wilczurem. Nie wiedział też, że poszukuje innej posady. Tylko raz, gdy ją mimochodem zapewnił po rozmowie z Dobranieckim, że jej stanowisko w lecznicy nie jest bynajmniej zachwiane, odpowiedziała krótko:

— Nie zależy mi na tym.

W istocie musiało jej zależeć. Nadmiar lekarzy w Warszawie sprawił to, że o posadę było niezmiernie trudno. Jak dotychczas odwiedziła kilkadziesiąt instytucji bez skutku. Zapisywano jej adres, telefon i obiecywano zawiadomić, gdyby wakans się otworzył.

Tymczasem przyszedł marzec, a z nim wczesna tego roku wiosna. Na ulicach coraz więcej widywało się kobiet w kostiumach i mężczyzn w marynarkach. Drzewa wypuszczały pierwsze pączki, niektóre krzewy już zieleń się z lekka.

Jednocześnie Łucja nie mogła nie zauważyć, że z dniem każdym profesor staje się coraz bardziej posepny i że pogarsza się też jego wygląd. Postanowiła wyciągać go też na spacer. Początkowo nie chciał o tym ani słyszeć. Zgodził się wreszcie pod warunkiem, że będą wychodzili wieczorami, unikając tych dzielnic, gdzie mogliby spotkać znajomych.

— Na wsi teraz musi być pięknie... Czy pani zna wiosnę na wsi?

— Mgliście ją sobie tylko przypominam z okresu dzieciństwa.

— To wiele pani straciła. Wiosna na wsi... Ziemia pachnie, rozumie pani? Ziemia pachnie i powietrze pachnie. Ptaki. Dużo ptaków. Zakłopotane, zaferowane latają, ćwierkają, śpieszą się, dźwigają jakieś źdźbła, jakieś słomki, jakieś kłaczki mchu... A skowronki wysoko na niebie... I krowy wypędzają na pastwisko... Niebo takie jasnobłękitne... Spędziłem takich kilka wiosen na dalekich kresach, na Białorusi... Była pani tam kiedy?

— Nie, nigdy.

— Cichy kraj, piękny kraj. Ziemia lekko faluje pagórkami, między nimi leżą jeziora, lasy gęste, podszyte jałowcem i leszczyną. Chaty słomą kryte... Nie wszystkie. Te zamożniejsze gontem lub dranicą. Ale na ogół biedota. Biedni ludzie, ubodzy, prości... Dobrzy ludzie. O, że też nie przypomniało mi się to, kiedy rozmawiał z Jemiołem. On twierdził, że wszyscy ludzie są źli. Ale on mówił o mieście. O! Poznałby tamten kraj, poznałby tamtych ludzi... Może i miał rację. Miasto to potwór. Oddzieliło człowieka od ziemi asfaltem i betonem. Skądże ma czerpać uczucia? Uczucia idą z ziemi jak wszystkie soki żywotne. W mieście wysychają, kruszą się, zamieniają się w pył, zostaje tylko mózg rozgorączkowany walką o byt, mózg, który niezdolny jest do myślenia, jeno do kom-bi-no-wa-nia! Do planowania jakichś machinacji. Aby pręcej, aby więcej, aby przebieglej. Człowiek nie widzi siebie, nie widzi świata. Niech pani spojrzy na te domy. Zasłaniają widnokrąg. Otaczają nas ze wszystkich stron... Zostają tylko małe otwory, jakby tunele, którymi możemy się wydostać z wnętrza tego potwora. Kilka szos, kilka torów kolejowych.

Zamyślił się, a po chwili mówił dalej:

— Jest na kresach takie małe miasteczko. Nazywa się Radoliszki. Kilka uliczek, kościółek, drewniana cerkiewka i coś tysiąc czy dwa tysiące mieszkańców. Przez Radoliszki

idzie trakt szeroki, wysadzany starymi brzożami, brzoży grube, sęcate, pokrzywione, korę mają ze starości popękaną, szorstką. Trakt niby bity, ale jesienią i wiosną kałuże na nim stoją, a latem tumany kurzu wiatr zrywa. Za miasteczkiem trakt skręca na południe i już po kilku minutach widać z daleka młyn, młyn starego Prokopa Mielnika. Młyn leży nad stawami, nad trzema stawami, to młyn wodny. Jeden staw jest wielki, gęsto obrosnięty wierzbina i łozami, drugi mniejszy w kształcie jakby nerki. Tu brzegi są łagodne, łąka spadzisto splywa aż do samej prawej wody, dno piaszczyste, tu baby na desce kijankami piorą bieliznę, a po drugiej stronie, gdzie bujnie krzewi się olcha, kąpią się... Ale to dopiero od świętego Jana. Wierzą tam, że wcześniejsza kąpiel nie może wyjść na zdrowie... Natomiast dolny staw jest okrągły, tak jakby go ktoś cyrklem wymierzył. Tu pławi się konie i poi się bydło. Z szumem spada kaskada pieniącej się wody, a z góry dobiega nieustannie warczenie żarn. Po stawach pływają gęsi i kaczki, czasem siądzie na wodzie cyranka lub łabędź przelotny, lub nurek. Młyn Prokopa Mielnika... Dobry ludzie, prości ludzie. Od trzech lat tam nie byłem. O, tam pamiętają mnie na pewno. Dla nich nie byłem człowiekiem niepotrzebnym. Dla nich nie byłem zawadą...

Zamyślił się.

— Nie tęskni pan za nimi? — zapytała Łucja.

— Co pani mówi? — Ocknął się.

— Pytałam, czy pan za nimi nie tęskni.

Twarz Wilczura rozjaśniła się uśmiechem.

— Chciałbym ich zobaczyć. Wiele się tam musiało pozmienić. Trzy lata. Wasyl pewno się ożenił, Natalka podrosła. Olga i Zonia pewno też znalazły sobie mężów... Pocziwie baby.

Zaśmiał się i odwrócił do Łucji.

— Zonia nawet gwałtem wybierała się za mnie... Toż by była radość, gdybym tam zajechał...

Łucja pomyślała, że istotnie taka przejażdżka do owych Radoliszek, które tak ciepło wspomina, zrobiłaby doskonale profesorowi. Wpłynęłaby kojąco na jego nerwy, pozwoliła oderwać się od niedawnych przeżyć. Wróciłby z niej odświeżony i z nowym zapasem energii.

— Wie pan co, profesorze, a dlaczego nie miałby pan ich odwiedzić? — powiedziała.

— Odwiedzić? — zdziwił się profesor.

— No, tak. Mówi pan o nich z takim ciepłem, wspomina pan ich tak mile. Byłaby to dla pana przyjemna rozrywka. Od tak dawna nie wyjeżdżał pan z Warszawy.

Wilczur spojrział na nią.

— Ha — powiedział — chce pani pozbyć się mnie bodaj na krótko.

Zaśmiała się.

— Właśnie. Chcę się pozbyć pana. Widzi profesor, jaka jestem bezinteresowna. Namawiam pana do tej wycieczki, chociaż wiem, że tam, pod Radoliszkami, czyha na pana owa Sonia czy Zonia.

Śmieli się oboje. Profesor od dawna nie był w tak dobrym humorze i Łucja zdawała sobie sprawę, że w nastrój ten wprawiły go wspomnienia o owym młynie. Postanowiła kuć żelazo póki gorące.

— Serio, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby pan odmawiać sobie tej przyjemności.

— A wie pani, że to wcale nie jest zła myśl, i sędzę, że tam ucieszyliby się z moich odwiedzin.

— A pan rozerwałby się trochę, obejrzał stare kąty, które tak lubi, odetchnął innym powietrzem. Właściwie mówiąc, nic pana nie trzyma teraz w Warszawie. A mamy taką śliczną wiosnę.

Od tego dnia pomysł Łucji nie dawał Wilczurowi spokoju. Rzeczywiście perspektywa odwiedzin w młynie Prokopa wydawała mu się coraz ponętniejsza. Był ożywiony, opowiadał Łucji coraz to nowe szczegóły o młynie i o swoim tam bytowaniu. Po tygodniu, ustawicznie zachęcany przez nią, powiedział jej wreszcie któregoś dnia:

— Zdecydowałem się. Jadę do Radoliszek. Musimy tylko przedtem dokończyć zbierania materiału do pierwszego tomu, a uporządkuje to już pani podczas mojej nieobecności.

Ucieszyła się bardzo tym jego postanowieniem i ze zdwojoną gorliwością zabrała się do pracy. Pomimo pośpiechu stało się widoczne, że przeciągnie się ona co najmniej na miesiąc, co napełniało Łucję obawą, że tymczasem profesor może zmienić postanowienie.

I stało się tak rzeczywiście, lecz w kierunku zgoła nieprzewidywanym.

Oto pewnego dnia, gdy Łucja jak zwykle po południu przyszła, zastała w gabinecie profesora niebywały nieład. Wszystkie szuflady były pootwierane, na otomanie piętrzyły się stosy książek, na parapecie okien stały pootwierane kasety chirurgiczne.

— Co się stało? — zapytała zdumiona.

Wilczur zerwał się od biurka z wyrazem rozradowania i podniecenia na twarzy. Zapomniał nawet przywitać się z nią.

— Panno Łucjo — powiedział tonem uroczystym — znalazłem. Znalazłem wyjście dla siebie i wiem teraz już, co zrobię, i wiem, po co żyję. Porzucam Warszawę na zawsze. Tak, panno Łucjo. Byłem szalony czy otumaniony, żem wcześniej tego nie zrozumiał. Tak, powracam do nich. Już na zawsze. Tu wmówiono we mnie, że jestem nieprzydatny, ale tam, tam, wiem, że będę potrzebny. Tam dowiodę sobie i innym, że nie jestem bezużytecznym rupieciem, że jeszcze mogę pracować, długie lata pracować dla dobra ludzi. Tylko nie tych tutejszych, złych ludzi złego miasta. Przecież tam byłem taki szczęśliwy. Widzi pani, co to jest miasto. Zatrują, ogłupia. Wśród tych ulic, tego zgiełku, pośpiechu, namiętności człowiek zapomina o tym, czym sam jest, zapomina o swoich upodobaniach i pragnieniach. Dostałem się w ten wir i jak opętany kręciłem się w nim, nie mogąc sobie uświadomić, że przecież nie tu jest moje miejsce, że wszystko mnie pociąga tam, do tamtych!

Podniecony chodził po pokoju, mówiąc:

— Już wszystko sobie ułożyłem. Sprzedaję rzeczy, meble, bibliotekę, różne graty, osiągnę w ten sposób taką sumkę, że będę mógł za te pieniądze jako tako urządzić sobie małe ambulatorium w młynie, podręczną apteczkę i temu podobne rzeczy. Nie może pani sobie wyobrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy. Tam w całej okolicy jest tylko jeden lekarz, który w dodatku klepie biedę i nie może sobie pozwalać na darmowe leczenie chłopów. Zresztą on nie jest chirurgiem. Przypomną się im wszystkim dawne czasy, czasy mego znachorstwa, tylko że teraz będzie to zupełnie inaczej. Będę dysponował środkami dezynfekcyjnymi i pierwszorzędnymi instrumentami. Ho, ho, dużo tam na pewno znajdę roboty. Już teraz przypomniało mi się, że córka gajowego z radoliskich lasów ma guz na wątrobie od strony wewnętrznej, rozumie pani? Oczywiście, nie mogłem jej nic pomóc, nie rozporządzając przyzwoitymi narzędziami. Ale teraz spróbuję. Minęły trzy lata. Może jeszcze żyje.

Łucja stała nieruchomo i wodziła za nim przerażonym spojrzeniem. Mówił coś dalej, ale już tego nie słyszała, całkowicie opanowana myślą, że on wyjedzie, że wyjedzie na zawsze, że nie będzie go mogła codziennie widywać, pomagać mu, czuwać nad nim, dbać o jego sprawy, o jego zdrowie. Goryczą też napełniała ją świadomość, że powziął postanowienie wyjazdu i nie zastanowił się nawet, jakim to dla niej będzie ciosem. I nie przyszło mu do głowy, jak bardzo będzie cierpiała nad tym. Nie pomyślał o niej, nie wziął jej w rachubę. Oto i teraz zdawał się jej nie dostrzegać. Przemierzał szybkimi krokami pokój na ukos i mówił:

— Popeliłem szalony błąd, że w ogóle stamtąd wyjechałem. Bo i po co, po co, skoro mi tam było tak dobrze. Tam moje miejsce, tam odetchnę od tego miasta, tam znajdę ufność i przywiązanie. Otóż to. W tym tkwi szczęście, a jeżeli nie szczęście, to w każdym razie poczucie zadowolenia, poczucie przydatności. To bodaj na jedno wychodzi.

Mówił o nich, mówił o sobie, tylko o niej nie wspominał wcale. Łucja jednak nie zaliczała siebie do tych kobiet, które łatwo rezygnują z pozycji na pozór przegranych. Gdzieś w podświadomości zrodziła się nagle decyzja. Już w następnej chwili myśl skonkretyzowała się w słowach:

— Pojadę z panem, profesorze.

W pierwszej chwili nie zrozumiał.

— Co pani mówi?

Powtórzyła dobitnie:

— Mówię, że pojedę z panem.

— A to doskonale — ucieszył się. — Ale wołałbym, żeby pani przyjechała mnie odwiedzić, kiedy już się tam zadomowię, kiedy wszystko urządzę. Ha, pokażę pani tam wszystko. Zobaczysz pani, jak tam pięknie i jak miło...

— Nie, profesorze — przerwała mu. — Ja chcę jechać z panem. Jechać i zostać tam z panem.

Spojrzał na nią niedowierzająco.

— Cóż to za żarty?

— Wcale nie żarty. Pojadę z panem.

— Cóż za niedorzeczny pomysł!

— Dlaczego niedorzeczny!

— No, bo gdzież pani w tym wieku na głuchą prowincję. Nie, nie ma nawet o czym gadać.

— A jednak pojedę — zacięła się.

Wilczur zatrzymał się przed nią.

— A czy mogę wiedzieć po co? Po co pani tam ma jechać?

— Będę panu pomagała.

— Ale ja nie potrzebuję żadnej pomocy.

— To pan mówi nieprawdę. Przy każdej operacji potrzebna jest pomoc.

Wilczur zachnął się.

— Do tego nie jest potrzebna pomoc lekarki. Wystarczy byle chłopak wiejski lub baba.

— W to nie uwierzę, by ktoś nieobeznany z medycyną mógł przydać się bardziej niż dyplomowany lekarz. A poza tym sam pan mówił, że będzie tam duży napływ chorych, że często musiał pan powierzać opatrunki komuś niewprawnemu. Wiem, że przydam się panu. Zresztą i panu też przyda się kobieca opieka. Dlaczego nie miałabym jechać? Mnie też z Warszawą nic nie wiąże. Nic mnie tu nie trzyma.

Wilczur zirytował się.

— To bardzo źle, bo właśnie powinno panią tu trzymać. Tu jest szerokie pole działania, tu pani robi karierę, znajdzie pani sobie odpowiedniego męża. A w ogóle nie mamy po co tej sprawy walczyć, bo ode mnie zależy, czy zabiorę panią, czy nie, a ja z góry powiadam, że nie zabiorę. Nie miałbym chwili spokoju sumienia i uważałbym siebie za ostatniego łotra, gdybym zabijał pani świat deskami gdzieś na dalekich kresach. Ja jestem stary i niczego już dla siebie nie pragnę. Mnie wystarczy to, że mogę służyć innym ludziom. Ale pani, młoda dziewczyna, ma jeszcze całe życie przed sobą, ma jeszcze prawo do osobistego szczęścia.

Łucja potrząsnęła głową.

— Pięknie. Ale nie bierze pan profesor pod uwagę tego, że moim osobistym szczęściem jest właśnie pomaganie panu.

— To są banialuki. Za kilka miesięcy czy za rok wywietrzeje to pani z głowy i wtedy dopiero poczuje się pani nieszczęśliwa, znudzona, zgorzkniała. A ja będę musiał to znosić w dodatku z pełnym poczuciem własnej winy. Źle mówię, że będę musiał. Bo nie będę. A nie będę dlatego, że pani nie zabiorę, i kwestia skończona. Jeżeli pani chce mi okazać swoją dobroć, pomoże mi pani przy likwidacji całego tego kramu. Z tym będzie dużo roboty, a już pali mnie niecierpliwość. Chciałbym jak najprędzej wyjechać.

Apodyktyczność profesora sprawiła to, że Łucja nie powracała już więcej do tego tematu. Polemizowanie z Wilczurem byłoby zupełnie beznadziejne. Pomimo to nie starała się przewlec przygotowań do jego odjazdu. Zajęła się gorliwie wyszukiwaniem nabywców i targowaniem się z nimi. Jednocześnie pomagała profesorowi przy robieniu zakupów.

Wreszcie wszystko zbliżało się do zakończenia. Wyjazd został ustalony na 14 kwietnia; poprzedniego dnia wieczorem Wilczur pożegnał się z Łucją. Jego pociąg odchodził o siódmej rano, i nie chciał, by tak wcześnie zrywała się z łóżka dla odprowadzenia go na dworzec.

— Gdy już jakoś się tam uplasuję — mówił — napiszę do pani z zaproszeniem. Ucieszę się bardzo, jeżeli przyjedzie pani tam na kilka dni, a choćby i na spędzenie całego urlopu.

Pożegnała go bardzo serdecznie. Z miłym zdziwieniem stwierdził, że nawet nie próbowała upierać się przy odprowadzeniu go na dworzec. Była wesoła, a może tak umiejętnie nadrabiała miną, nie chcąc sprawić mu przykrości.

„Jakie ona ma dobre serce — myślał Wilczur, gdy się rozstali. — To złota dziewczyna”.

I nagle żal mu się zrobiło, że tak kategorycznie odrzucił jej ofiarną gotowość towarzyszenia mu na kresy. Natychmiast jednak siebie zreflektował:

„Nie, to musi być nowe życie, nowa faza. To już nie dla mnie, to dla innych”.

Nazajutrz już o godzinie szóstej był na dworcu wraz z Józefem i z wieloma kufkami, które trzeba było nadać na bagaż. Gdy przed odejściem pociągu przechadzał się po peronie, wciąż spoglądał na zegarek. Sam wprawdzie prosił, sam nalegał, by Łucja nie przychodziła, doznał jednak przykrego rozczarowania, że jej nie było. Na chwilę nawet opanował go głęboki smutek graniczący ze zniechęceniem.

Konduktorzy oznajmili, że czas wsiadać. Pożegnał się z Józefem i wyszedł do swego przedziału. Przez otwarte okno wpadł jasny snop słońca. Oparł się i patrzył na pustawy peron. O oznaczonej minucie pociąg ruszył z miejsca. Wilczur stał w oknie, patrząc na oddalającą się Warszawę, na to złe miasto, które go zmogło, złamało i oto wypluwało ze swego wnętrza jako coś zbędnego już, wyssanego, bezużytecznego...

— Niech im Bóg przebaczy, niech im Bóg przebaczy — powtarzały jego usta, ale w sercu słowa te nie znajdowały żadnego echa. Serce było ściśnięte bolesnym skurczem, zapiekła się w nim krzywda, zaskorupiał żal.

I to straszne poczucie samotności...

Wiedział, że po przybyciu na miejsce uczucie to minie, ale teraz było mu z nim nadmiar ciężko.

Koła wagonu dudniły już na ostatnich zwrotnicach, ostatnie domki miasta oddalały się z przyśpieszoną szybkością, ostatnie dymy kominów fabrycznych potwora roztopiały się w horyzoncie.

Za plecami posłyszał odgłos otwieranych drzwi przedziału.

Odwrócił się.

Przed nim stała Łucja z neseserem w ręku.

## ROZDZIAŁ VII

Doktor Jan Kolski przyszedłszy z rana do lecznicy znalazł na swoim biurku list zaadresowany ręką Łucji. Od razu poznał jej charakter pisma i z najwyższym zaciekawieniem otwierał grubo wypchaną kopertę. Zawierała kilka banknotów i dwa arkusze papieru.

Na pierwszym przeczytał:

„Drogi Panie Janie! Ponieważ mój wyjazd następuje dość nagle, nie zdążyłam się z panem pożegnać osobiście, o co proszę nie mieć do mnie żalu. Okoliczności tak się złożyły, że muszę na czas długi, może na zawsze, opuścić Warszawę. Na pożegnanie chcę pana obarczyć mą prośbą. Mianowicie nie zdążyłam również zgłosić swojej dymisji w zarządzie lecznicy. Załączam ją na piśmie, a wraz z nią zwracam pobraną do końca miesiąca pensję, którą proszę łaskawie wpłacić do kasy. W stosunku do tej instytucji chcę być zupełnie w porządku, chociaż należy mi się urlop. Jestem przekonana, że pan profesor Dobraniecki wiadomość o moim ustąpieniu przyjmie z prawdziwym zadowoleniem. Muszę panu dodać, że i mnie rozstanie się z lecznicą, taką jaką ona jest dzisiaj, sprawia wielką ulgę. Przesyłam panu najlepsze życzenia. Jestem pewna, że się spełnią, bo są szczere, no i dlatego, że pan na spełnienie tych życzeń zasługuje. Będę o panu pamiętała. Jeżeli zajdzie w moim życiu coś godniejszego uwagi — może do pana napiszę. Pozdrowienia dla wszystkich. Specjalnie niech pan pozdrowi ode mnie pacjenta z pokoju 116 i życzy mu rychłego wyzdrowienia. Serdecznie ściskam dłoń — Łucja”.

Kolski trzy razy przeczytał ten list, nie mogąc zrozumieć jego treści. Spadło to nań tak nieoczekiwanie, że cała jego świadomość wzbraniała się przeciwko przyjęciu tego, co się stało, przeciwko wytworzonej rzeczywistości.

Po otrzeźwieniu natychmiast zatelefonował do Łucji, lecz aparat jej nie odpowiadał. Wybiegł z lecznicy, wskoczył do pierwszej spotkanej taksówki i pojechał na Polną. Dozorca domu też nie umiał dać żadnych wyjaśnień. Pani doktor meble sprzedała, a z rzeczami dziś rano wyjechała na dworzec. Gdy ją pytał, dokąd ma ją wymeldować, oświadczyła, że jedzie w podróż i że sama jeszcze nie wie.

— W podróż? — zapytał Kolski.

— Ano tak powiedziała.

— A na jaki dworzec pojechała?

— Tego już nie wiem, proszę pana.

— Dziękuję — bąknął Kolski, wciskając mu do ręki napiwek.

Z ulicy jednak zawrócił. Dogonił dozorcę i zapytał:

— A o której pani doktor wyjechała? Która to mogła być godzina?

Dozorca podrapał się w głowę.

— Ano chyba jeszcze szóstej nie było.

— Tak wcześnie — bez sensu zauważył Kolski. — A może mi pan powiedzieć, czy... odjechała sama, czy może ktoś odprowadzał?

Dozorca potrząsnął głową.

— Nie, nikt, proszę pana.

Wprost z Polnej Kolski pojechał na dworzec i sprawdził, że w okresie między godziną szóstą a siódmą pociągi odchodziły we wszystkich niemal kierunkach i niepodobna było ustalić, który był pociągiem Łucji. Obiecywał sobie jeszcze szczegółowsze studia nad rozkładem jazdy, na razie jednak musiał wracać do lecznicy. Po drodze łamał sobie głowę nad tym całym przygnębiającym zdarzeniem. Pierwsza rzecz — to motywy — starał się rozmyślać metodycznie — motywy wyjazdu. To, że porzuciła lecznicę, było zupełnie zrozumiałe. Nie znosiła Dobranieckiego, nie umiała mu i innym przebaczyć sprawy Wilczura. Dlaczego jednak porzuciła Warszawę? Przecież w każdej chwili Kolski przez swoje stosunki, przez kolegów i przyjaciół mógłby dla niej znaleźć ostatecznie nie gorszą posadę gdzie indziej. Więc dlaczego nie wspomniała o tym ani słowa? W dodatku nie napisała prawdy. Bo jeżeli miała czas na zlikwidowanie mieszkania i na sprzedanie mebli, to również mogła chociażby telefonicznie pożegnać się z nim. Wszystko to wyglądało bardzo tajemniczo.

Kolski wątpił, by mógł tu w grę wchodzić jakiś mężczyzna. Łucja nie należała do typu kobiet, które ulegają nagłym oczarowaniom, a poza tym kochała się przecież w Wilczurze. W grę tu nie mogła wchodzić jej rodzina, z którą nie utrzymywała żadnych stosunków, dalsza rodzina, osiadła gdzieś pod Sandomierzem czy też pod Sieradzem.

Przez cały dzień Kolski chodził i pracował z posępną twarzą. Przed wieczorem zameldował się u Dobranieckiego i wręczając mu list z dymisją Łucji, powiedział:

— Nie umiem sobie wytłumaczyć nagłego wyjazdu doktor Kańskiej. Musiało zajść coś ważnego. Czy profesor nic o tym nie wie?

Dobraniecki uważnie przeczytał oświadczenie Łucji i wzruszył ramionami.

— Nic nie wiem i nawet dziwię się, że doktor Kańska w ten sposób rozstaje się z zakładem. Oczywiście te pieniądze będzie pan łaskaw jej odesłać. Mniejsza o nie. Może pan też napisać, że wyraziłem swoje zdziwienie.

— Nie będę mógł napisać, panie profesorze, gdyż nie zostawiła mi swego adresu. Jestem bardzo niespokojny, bo przypuszczam, że musiało się stać coś złego. Nagle zlikwidowała swoje mieszkanie i wyjechała w niewiadomym kierunku. Telefonowałem do wszystkich jej znajomych i od nikogo nie mogę się dowiedzieć.

Dobraniecki spojrzął nań z półironicznym uśmiechem.

— Czy i pan profesor Wilczur nie mógł panu udzielić żadnych informacji?

Kolski szeroko otworzył oczy.

— Nie zwracałem się do profesora Wilczura. Skądże on może coś wiedzieć?

Dobraniecki zaśmiał się.

— Pan jest jeszcze bardzo niedoświadczony, kochany panie kolego. Gdybym wiedział, że słowo naiwny nie obrazi pana, powiedziałbym właśnie naiwny.

— Zupełnie nie rozumiem, panie profesorze...

— Ach, to nie jest wcale takie skomplikowane — niedbale rzucił Dobraniecki. — Zazwyczaj osobą najbardziej poinformowaną o poczynaniach kobiety jest jej kochanek.



Kolskiemu gwałtownie krew uderzyła do głowy. W pierwszej chwili chciał zerwać się i uderzyć w twarz Dobranieckiego, w następnej jednak wzrok jego spotkał szydercze spojrzenie profesora. Poczł nagle jakby zwiótczenie wszystkich mięśni, jakby paraliż nerwów.

„Ależ tak — tłukło mu się po głowie. — Ten łotr ma rację... Jakiż ja byłem głupi, jaki naiwny...”

Dobraniecki, niedbale bawiąc się ołówkiem, mówił:

— Nie sądzę też, by nasza pupilka wyjechała z Warszawy. W tym, że zlikwidowała mieszkanie, nie widzę jeszcze żadnego dowodu. Mieszkanie się likwiduje nie tylko w wypadku przeniesienia się do innego miasta, lecz i wtedy, gdy się, powiedzmy, przenosi do mieszkania przyjaciela. Mam wrażenie, że odszukanie panny Kańskiej nie sprawi panu ani zbyt wielkich trudności, ani specjalnej... przyjemności.

Z gabinetu Dobranieckiego Kolski wyszedł półprzytomny. Podsunięte przez profesora podejrzenie rosło w nim i pęczniało, zalewało mózg krwią, zaciskało pięści w bezsilnej wściekłości, wyło o zemstę, o karę lub na zmianę zrywało się szlochcm. Kilka razy w ciągu nocy zrywał się, ubierał i chciał biec do willi profesora Wilczura. Układał już w głowie druzgocące oskarżenie, które mu rzuci w twarz, słowa pogardy, którymi ją napiętnuje, a potem znowu płakał i rozpaczał nad tym, że przecież nie ma żadnych praw nie tylko do jej uczuć, ale i do sądzenia jej postępków. Nie jest dla niej nikim. Zwykłym kolegą, przed którym nie jest obowiązana tłumaczyć się ze swoich postępków. Pójdzie tam i cóż jej powie?... Skłamała mi pani w liście... Zawiodłem się na pani... Wszystko puste słowa.

Nad ranem opanowały go optymistyczne refleksje. Dobraniecki jest złym człowiekiem i dlatego innych źle sądzi. To jest niemożliwe, by Łucja była czyjąkolwiek kochanką. Jej oczy patrzyły zbyt śmiało, zbyt jasno. Nic w niej nie było z dziewczki. Wyłączając ową adorację, oczywiście platoniczną adorację Wilczura, była w całym tego słowa znaczeniu człowiekiem.

Zmęczony i rozbity, przyszedł rano do pracy. Długa wizytacja chorych, później asystowanie przy kilku operacjach. Człł się niezmiernie zmęczony. Mimo woli przechodząc korytarzem kilkakrotnie zagłądał do pokoju internistów. Siadywała przy tym biureczku, taka śliczna w białym kitlu, z poważną i rozumną twarzą, z jasnymi włosami...

Tak minęły trzy dni. Sto razy brał do ręki słuchawkę, by zatelefonować do profesora Wilczura, sto razy szedł i zawracał w pół drogi do Alei Bzów. Bał się. Wolał niepewność niż potwierdzenie ohydnych podejrzeń Dobranieckiego. Wreszcie dnia czwartego, ostatecznie złamany, gotów na wszystko, zrezygnowany postanowił dowiedzieć się prawdy. Bodaj najgorszej prawdy. Przynajmniej zobaczy ją, przynajmniej zamieni z nią kilka słów, usłyszcy jej głos.

Zbliżając się do willi profesora, zawałał się jeszcze przez chwilę, lecz wahanie minęło szybko. Był wieczór. Spodziewał się zobaczyć oświetlone okna, lecz willa tonęła w mroku. Stanał przy sztachetach i długo nadsluchiwał, nim nacisnął dzwonek. Wśród ciszy panującej dookoła usłyszczł jego dźwięk wewnątrz willi. Czczał kilka minut i znowu zadzwonił. Jeszcze raz i jeszcze. Wewnątrz albo spano, albo nie było nikogo.

W tym momencie zobaczył na furtce zawieszoną tabliczkę. Zapalił zapalkę i przeczytał: „Willa od zaraz do wynajęcia”.

Dogasająca zapalka sparzyła mu palce. Nawet nie dostrzegł tego. Jak błyskawica przebiegła mu przez mózg myśl:

— Wyjechał. Wyjechali razem...

Nazajutrz rano znowu był w Alei Bzów. W ogródku przed willą jakiś człowiek przekopywał grządki. Niewiele można się było od niego dowiedzieć. Willa rzeczywiście jest do wynajęcia, bo profesor Wilczur wyprowadził się.

— Kiedy profesor wyjechał?

— Ano, czternastego.

Data zgadzała się z datą wyjazdu Łucji.

— Czy rano?

— Wczesnym rankiem.

— I nie wie pan dokąd?

— Skądże mogę wiedzieć. Jeżeli kto może, to chyba Józef. On pana profesora na dworzec odprowadzał.

— A gdzie jest ten Józef?

— Też panu tego nie powiem. Skończyła mu się tu służba, to pewnie służy gdzie indziej. Mnie nie mówił gdzie. Ale niech pan poczeka... Zaraz, zaraz... On na Tamce ma jakich krewnych, co mają pralnię. To może się pan od nich dowiedzieć.

Na Tamce było kilka pralni. Odwiedzając każdą po kolei, wreszcie dotarł do właściwej. Należała istotnie do ciotki byłego służącego profesora Wilczura. Gruba baba o bardzo czerwonych policzkach i małych świdrujących oczkach przyjęła Kolskiego nieufnie.

— A pan jaki ma interes do niego?

— Chciałbym się z nim zobaczyć — wyjaśnił Kolski.

— Pan z policji czy co?

— Ale gdzie tam.

— To może względem posady? Jeżeli tak, to za późno, bo mój siostrzeniec posadę już znalazł. Do września jest zajęty. A jeżeli pan chce, to proszę zostawić adres, to we wrześniu on się zgłosi.

— U kogo on ma posadę? Może mi pani podać adres?

— A tego to ja nie wiem. Mówił mi tylko, że na jakimś okręcie. Za stewarda poszedł.

— Na okręcie... Hm... A czy pani nie wie, mógł pani wspominać, dokąd wyjechał profesor Wilczur?

Babina wzruszyła ramionami.

— A cóż on mnie ma o takich rzeczach wspominać. Skądże ja mogę wiedzieć?

— Przepraszam panią. — Kolski uklonił się i wyszedł.

Na tym skończył się ostatni ślad.

Tegoż wieczora Dobranieccy wydali pożegnalne przyjęcie, na które był zaproszony i Kolski. Pani Nina wyjeżdżała na lato za granicę, jak mówiła, dla poratowania zdrowia. Pani Nina wyglądała kwitnąco. Ożywiona, wesoła, pełna dowcipu i wdzięku, flanowała od jednej grupki gości do drugiej.

Gdy zobaczyła Kolskiego stojącego samotnie przy drzwiach buduaru, wzięła go pod rękę i wyprowadziła na taras. Miała już od męża szczegółowe relacje o jego zmartwiegniach. Wydał się jej teraz bardziej interesujący i nawet przystojniejszy niż dawniej. Urok romantyzmu zawsze podniecał ją do zdobywczości. Ten młody lekarz, zakochany w koleżance, która porzuciła go dla starego profesora, mógł zaciekawiać jako trudna do zdobycia pozycja. Zawsze go zresztą wyróżniała.

— Nie będę chyba zbyt niedyskretna — zaczęła — jeżeli przyznam się panu, że domyślałam się, dlaczego pan jest taki smutny.

Nic nie odpowiedział.

— Może użyłam złego wyrażenia. Pan określiłby to słowem znacznie mocniejszym, prawda?... Przygnębienie, a może nawet rozpacz czy tragedia?... Rozumiem pana. Sama kochałam kiedyś nieszczęśliwie. Wiem, co się przeżywa w te dni. Ma się takie uczucie, jakby się wisiało nad przepaścią, prawda?

Jej miękki, ciepły głos i serdeczność sprawiały wrażenie szczerego współczucia. Powietrze było pełne zapachu bzów, gęstymi kępami rosnących przy pałacyku. Miękkie powiewy przynosiły z parku inne jeszcze zapachy. W Frascati wiosna była w pełni, a wieczór ciepły.

— Prawda — powiedział Kolski.

Oparła się o balustradę i mówiła:

— Pamiętam, była to też wiosna. Siedziałam tu, na tymże tarasie, gdy mi przyniesiono list. List od niego. Jakże straszliwie zimne są takie listy. Trzyma się je w rękę jak kawałek lodu, aż parzą swoim chłodem. A wewnątrz banalne słowa, poprawne, sztywne, uprzejme. Ustawione w szeregi jak wygalonowani lokaje o nieruchomych twarzach. Że żałuje bardzo... że okoliczności... że obowiązek... że nie może osobiście, bo konieczność powstała niespodziewanie. A z tego wszystkiego wyziera jedno mordercze „nie Kocham”. Jedno bezlitosne „porzucam”... I po cóż marnować tyle okrągłych zdań, tyle wyszlifowanych frazesów.

Zrobiła pauzę i dodała:

— Nie może pan sobie wyobrazić, jak bardzo byłam nieszczęśliwa...

Kolski spojrzal jej w oczy i powiedział:

— Ja mogę, proszę pani.

— Czy bardzo pan ją kochał?

— Czy bardzo? — po namyśle odpowiedział Kolski. — Nie wiem, czy bardzo. Nie mam żadnych porównań. Kocham tylko ją i nigdy nikogo poza nią nie kochałem... I nigdy nie pokocham.

— O tak — skinęła głową. — To jest prawdziwa miłość. Poznaję ją. Bo i sama wówczas tak myślałam. Właśnie ta wiara, że już się nigdy nikogo nie pokocha, jest sprawdzianem wielkości uczucia, jego szczerości i głębi. I oburzam się na tych, którzy nie umieją pojąć, że człowiek, który drugi raz pokochał, mógł i pierwszy raz kochać prawdziwie.

Kolski spojrzał na nią.

— Nie rozumiem, co pani przez to chce powiedzieć.

— Przede wszystkim to, że człowiek żyje, że wszystko, co żyje, zmienia się. Bo przecież samo życie nie jest niczym innym jak ustawiczną przemianą, nieprawdą?

— Tak. Z naukowego punktu widzenia...

— Nie tylko z naukowego — przerwała mu. — Zmieniamy się. I niechże pan sam powie, czy moja miłość sprzed lat kilku została obrażona, pomniejszona czy przekreślona przez to, że pokochałam teraz kogoś innego? Po stokroć nie. Wówczas kochałam pełnią uczuć i myśli, całą sobą, niepodzielnie i nie było we mnie miejsca na nic innego, byłam całkowicie owładnięta kochaniem. Ale nie byłam to ja, ja dzisiejsza, jaką pan widzi przed sobą. To już jest zupełnie inna istota. Nawet ciągłość między tamtą i mną została przecięta, brutalnie zerwana. Natura zaś nie znosi próżni. Jest takie przysłowie łacińskie...

— *Natura horret vacuum* — odpowiedział Kolski.

— Tak właśnie. Można kochać niezmiennie i wiernie przez całe życie, ale wtedy tylko, gdy miłość ta jest podsycona, wtedy gdy żyje w nas. Żyje. To znaczy nie jest jakąś mumią czy relikwią, lecz częścią naszej żywej duszy, gdy wraz z nią przechodzi wszystkie nasze przemiany. W przeciwnym razie stopniowo mumifikuje się, wznosimy dla niej gdzieś, w którejś z kapliczek serca smutny ołtarz, gdzie kult jej oddajemy w momentach wspomnień. Jej miejsce zaś zajmuje nowe życie, jeżeli jesteśmy tak szczęśliwi, że uda się nam je spotkać.

— Bardzo dziwnie pani mówi — odezwał się niepewnie Kolski.

— Dziwnie?... Mówię prawdę, mówię to, co przeżyłam, co przemyślałam, co widzę w sobie samej. A mówię to panu dlatego, że wiem, w jakim pan obecnie znajduje się nastroju, wiem, że pan mnie zrozumie, przy pańskiej subtelności i delikatności uczuć.

Kolski był tym nieco zaskoczony. Dotychczas odnosił wrażenie, że pani Dobraniecka niewiele więcej zwraca nań uwagi niż na innych współpracowników jej męża. Nie mogło mu nie pochlebić, że ta świetna pani, słynąca z urody i z elegancji, tak się na nim poznała.

— Naprawdę bardzo jestem pani wdzięczny za ten dowód... za łaskawe... za tak miły sąd o mnie.

— Niech pan nie dziękuje. Będę z panem zupełnie szczerą. Przyznaję się, że to jest nawet nieładnie z mojej strony, iż mówię o tym z panem, o tym, co rozkrwawia panu tak świeżą ranę. I proszę mi darować ten akt egoizmu.

— Egoizmu?... — zdziwił się Kolski.

— Tak, panie Janie. Nie wiem, jakie pan sobie wyrobił o mnie zdanie. Prawdopodobnie sądzi pan jak wszyscy, że brakuje mi tylko ptasiego mleka, że jestem szczęśliwa i niczego więcej nie pragnę. Gdybyż tak było!... Och, oczywiście Jerzy mnie kocha, otacza mnie zbytkiem, nie odmawia niczego. Niczego, co dla większości ludzi jest cenne. Ale my, kobiety, najwyżej cenimy tę czułą bliskość duchową, którą dać nam może kochany mężczyzna. Pan rozumie?

— Oczywiście, proszę pani.

— Mój mąż zbyt pochłonięty jest nauką i pracą, a zresztą ma bardzo rygorystyczny pogląd na sprawy ludzkie. W tych rzeczach jest bezkompromisowy. Czyż mogłabym wobec niego pozwolić sobie na zwierzenia, na wypowiedanie swoich myśli o sprawach tak dla mnie istotnych? Nie, to ja panu jestem wdzięczna, że chce mnie pan słuchać. To może okrutne z mojej strony, ale proszę mi wybaczyć. Wśród tych setek znajomych nie znalazłabym nikogo, z kim mogłabym tak mówić, czyjej dyskrecji byłabym tak pewna.

Kolski chrząknął.

— Pod tym względem może pani na mnie absolutnie liczyć.

Lekko dotknęła jego ręki końcami palców.

— Nie wątpiłam o tym ani przez chwilę. I ponieważ dzisiaj jest noc szczerości, niczego już nie chcę przed panem zatajać. Otóż wtedy, w owych smutnych dniach, gdy otrzymałam ten lodowaty list, bliska byłam samobójstwa i nie wiem, jak by się to skończyło, byłam wtedy jeszcze bardzo młoda i bardzo niedoświadczona, było to moje pierwsze wielkie uczucie. Na szczęście los mi zesłał wówczas ratunek. Poznałam pewnego człowieka. Był to dobry i mądry człowiek, który sam wiele w życiu przeszedł, który umiał patrzeć w cudze serce. Było to piękne z jego strony. Niczego nie chciał ode mnie, niczego nie chciał dla siebie. Po prostu pragnął pomóc mi w kojeniu mojej rozpacz. Ach, te długie z nim rozmowy, te zwierzenia, te dobre, serdeczne rady, ta umiejętność wejrzenia w najskrytsze zakątki mojej duszy. Zresztą nie zamykałam się przed nim. Przeciwnie. Mówiłam to, co czułam. A on był dla mnie lekarzem.

Uśmiechnęła się.

— Nazywałam go lekarzem mego serca.

Kolski zapytał:

— A on rzeczywiście był lekarzem?

Pani Nina przecząco potrząsnęła głową.

— Nie. Był właściwie niczym. Ale dla mnie w owym czasie stał się wszystkim. Był wielkim darem od losu. Wciąż czuję się wobec wszechświata dłużniczką. Tak pragnęłabym móc odplacić się komuś równym darem. Oczywiście wiem, że nie potrafię być tak dobrym lekarzem serc jak tamten człowiek. Brak mi i tego rozumu, i tej głębokości spojrzenia, i tej łagodzącej miękkości dotyku.

Ponieważ umilkła, Kolski uważał za stosowne zaoponować.

— Cóż znowu, proszę pani.

— Sądzi pan więc?...

Kolski nic nie sądził. Czuł się nieswojo i odnosił takie wrażenie, jakby pani Dobraniecka przez pomyłkę jedynie zwróciła się doń z tym wszystkim, biorąc go za kogoś innego. Tym niemniej wydała mu się urocza i bardzo dobra. Nie domyślał się w tej wyniosłej, pięknej pani tylu sentymentalnych możliwości.

— Pani jest bardzo dobra — powiedział.

Zapanowało milczenie. Z salonu dobiegły strzępy muzyki. Pierwsza odezwała się pani Nina.

— Bardzo mało znałam pannę Kańską. Była kilka razy u nas, wywarła na mnie dodatnie wrażenie. To, zdaje się, jedna z tych dojrzałych współczesnych kobiet, które chcą i umieją samodzielnie walczyć o byt. Mój mąż wysoko ceni jej uzdolnienia. Słyszałam od niego zawsze słowa uznania, a pan wie, że nie jest on człowiekiem pobłażliwym.

— O tak — przyznał Kolski.

— Nie dziwi to pana, że z zainteresowaniem przyglądałam się tej czarującej dziewczynie. Nieobojętnie też dowiedziałam się o tym, że łączy pana z nią nic wzajemnej sympatii.

— Niestety, nie wzajemnej — z goryczą powiedział Kolski.

— Teraz się to okazało i było to dla mnie niespodzianką. Któż by to mógł przypuszczać? Wprawdzie nieraz z lecznicy i spoza lecznicy dobiegały liczne pogłoski uwłaczające jej opinii. Prostowałam to z oburzeniem. Byłam przekonana, ach, nie mniej niż pan, że jej stosunek do Wilczura polega wyłącznie na admiracji. Wziąwszy chociażby pod uwagę jego wiek. Przecież to już niemal starzec. Kto by to przypuszczał! Młoda, ładna, niezależna, na pozór nieskazitelna, bezinteresowna... I nagle jak piorun z jasnego nieba pada takie odkrycie...

— Nie wszystko złoto, co się świeci — sentencjonalnie powiedział Kolski. Miał gorycz w ustach, wstręt i pogardę dla całego świata.

Pani Nina znowu dotknęła jego ręki.

— O, nie, panie Janie, nie wolno panu jej potępiać. Skądże pan może wiedzieć, jakie okoliczności moralne czy nawet... materialne skłoniły ją do tego, by zostać przyjaciółką starszego przecież i bynajmniej niepociągającego pana. Życie, nawet życie takiej młodej dziewczyny jest pełne zagadek i tajemnic. Nie można tego brać powierzchownie, nie można *à la lettre*. Zbyt surowo pan ją sądzi. Przyznaję panu rację, że dla obojętnego widza będzie ona tylko metresą pana Wilczura. Ale my, którzyśmy ją znali, nie możemy sprawy tak symplifikować. Z jakichś powodów musiało jej zależeć na nim. Ostatecznie Wilczur nie pożyje już długo, a podobno posiada jeszcze znaczny majątek.

To pociągnięcie było jednak już zbyt silne. Pani Nina wymierzyła źle swój cios, który nie tylko chybił, lecz wywołał gwałtowną reakcję.

Kolski zmarszczył brwi i powiedział nieco podniesionym głosem:

— To nieprawda, proszę pani. Wiem z całą pewnością, że profesor Wilczur jest zupełnie zrujnowany. A zresztą chociażby był milionerem, nie miałoby to dla panny Łucji najmniejszego znaczenia. Zapewniam panią, bo wiem, że dla niej względy materialne w ogóle nie istnieją. O, nie, ona jest zbyt szlachetna, proszę pani, a jej bezinteresowność nawet mnie zdumiewała. Przecież sam nieraz dawałem jej dobrych pacjentów, a ona wymawiała się brakiem czasu i wie pani, w jaki sposób ten czas zużywała?... Za darmo leczyła po różnych ochronkach i przytułkach.

Pani Nina cofnęła się na dawne pozycje.

— Zawsze byłem o niej takiego zdania — powiedziała z naciskiem. — Zawsze. Przyzna pan jednak, że sam musi gubić się w poszukiwaniu motywów jej postępków. Wszystko tłumaczyłaby tylko bezgraniczna miłość. Owszem, zdarzają się wypadki, że młode dziewczęta durzą się czy nawet kochają się w starszych panach. Możliwe, że i tu zachodzi taki wypadek, chociaż nie przypuszczam, chociażby dlatego, że doktor Kańska robiła zawsze na mnie wrażenie istoty wyjątkowo zdrowej zarówno fizycznie, jak i psychicznie, nie ulega zaś wątpliwości, że miłość do człowieka tak starego uważana być musi za coś nienormalnego, za coś sprzecznego z naturą...

Znowu zapanowało milczenie.

— Mówiono mi kiedyś, że znachorstwo polega nie tyle na leczeniu, ile na sugestionowaniu chorych, że się czują lepiej. Podobno zdemaskowano nawet niedawno gdzieś w Małopolsce znachora, który posiłkując się umiejętnością hipnotyzowania, wymuszał od naiwnych wieśniaków pieniądze, a od ich żon i córek to, co mu dać mogły. Świat jest pełen tajemnic i nigdy nie kusiałam się, by je rozwiązywać. Wie pan, jaki ustaliłam dla siebie przepis?

— Jaki, proszę pani?

— Po prostu gdy stykam się z czymś niezrozumiałym, z czymś, co pod pokrywką niezwykłości może kryć jakąś ohydę, szybko przechodzę mimo. Wolę zachować przeświadczenie, że świat jest piękny, a postępowanie ludzi szlachetne i mądre. W ten sposób ratuję siebie przed wszelkim brudem. Przechodzę mimo i choćby mi najbardziej zależało na wnikięciu w nieznanne — rezygnuję. Proszę mi wierzyć, że to jest dobra recepta.

— Nie od wszystkiego tak łatwo można odejść, proszę pani — poważnie zauważył Kolski.

— Któż mówi o rzeczach łatwych. Chcąc cenić siebie i wzmacniać swe wartości ludzkie, trzeba się zdobywać na rzeczy trudne. Nie sztuka jest złamać słomkę, nie sztuka odwrócić się od potrawy, która nam nie smakuje. Moim zdaniem człowiek typu pana jest właśnie stworzony do pokonywania w sobie największych trudności. Pan jest dzielnym człowiekiem. Gdyby pan żył w czasach kolonizacji Ameryki, na pewno byłby pan jednym z pierwszych pionierów.

Na taras wszedł profesor Dobraniecki i zawołał:

— Nino, pan minister wychodzi, chciał ciebie pożegnać.

— Idę w tej chwili — odpowiedziała, wstając i wyciągając rękę do Kolskiego. — Dziękuję panu. To była cudowna rozmowa. Tak mało mam podobnych chwil w życiu. Niezmiernie żałuję, że wyjeżdżam. Niestety, wszystko już postanowione i przygotowane. Nie mogę opóźnić swego wyjazdu. Ale postaram się skrócić mój pobyt za granicą. Tyle mam jeszcze panu do powiedzenia, tyle jeszcze chcę od pana usłyszeć. Czy pozwoli pan, że do niego napiszę?...

Kolski, od początku zdetonowany, zmieszał się do reszty.

— Ależ proszę pani. Będę niezmiernie wdzięczny.

Nisko pochylił się, całując ją w rękę. Gdy się wyprostował, nie było już jej na tarasie.

Wracał do domu oszołomiony. By zebrać myśli, minął swoją kamienicę i wybrał się na dłuższy spacer w Aleje. Już świtało. Nad Łazienkami szarym srebrem przecierało się niebo. Usiadł na jednej z ławek i zaczął segregować wrażenia. Nie uważał siebie za człowieka głupiego i nie był nim w istocie. W tym, co mówiła pani Nina, wyczuł od razu żądło nienawiści do Łucji, zamaskowane jakże zręcznymi komplementami. Broniąc jej pozornie,

w istocie chciała ją zdyskredytować w jego oczach. Ale w jakim celu? Czyżby wyjazd Łucji w jakiś sposób wiązał się z osobą pani Dobranieckiej?... Nie, to nonsens. Było jeszcze jedno wytłumaczenie, ale Kolski zbyt skromne miał mniemanie o sobie, by móc przypuścić, że ta świetna dama zakochała się właśnie w nim.

W każdym razie rozmowa z nią musiała zostawić i zostawiła bardzo silne wrażenie. Pani Dobraniecka zjednała go sobie zwierzeniami, olśniła sposobem bycia i poziomem ujęcia tych trudnych i skomplikowanych spraw, na określenie których on osobiście miał tylko tak proste słowa jak miłość, nienawiść, zazdrość.

Zasypiając, myślał:

„Dziwna, niezwykła kobieta...”

## ROZDZIAŁ VIII

Łucja śmiała się jasnym beztroskim śmiechem.

— A widzi pan, że i tu przydam się — mówiła, otwierając walizkę i wyjmując z niej zgrabnie popakowane w woskowany papier kanapki. — Zasląblby pan z głodu.

— Że też pani o tym pomyślała — dziwił się Wilczur.

— Wcale nie pomyślałam. Po prostu zadzwoniłam do informacji kolejowej i dowiedziałam się, że w tym pociągu nie ma wagonu restauracyjnego. A stąd już nietrudno było wyciągnąć dalsze wnioski. Ponieważ zaś wiedziałam również, że wyjechał pan z domu, oczywiście bez śniadania, przezornie zaopatrzyłam się w to wszystko.

— Ależ to cała spiżarnia.

— Niech się pan nie obawia, profesorze. Najbliższa duża stacja zaopatrzona w bufet, gdzie pociąg na dłużej się zatrzymuje, będzie dopiero o jedenastej. Upewniam pana, że do tego czasu niewiele z tej spiżarni zostanie.

Przepowiednia Łucji sprawdziła się w zupełności. Dobremu apetytowi sprzyjał nie tylko wczesny ranek i podróż, ale i nastrój obojga. Po krótkiej konsternacji i serii wyrzutów, jakie Wilczur zrobił Łucji, musiał pogodzić się z faktem dokonany, pogodzenie to przyszło mu tym łatwiej, że w gruncie rzeczy, chociaż sam przed sobą do tego się nie przyznawał, uszczęśliwiony był jej niesubordynacją.

Z uwagą słuchał jej projektów na przyszłość. Nie zamierzała ograniczyć swojej pracy na wsi do pomocy Wilczurowi. Ułożyła już sobie cały plan działania. Zajmie się na szerszą skalę propagandą higieny w okolicznych osiedlach, w szczególności mieszkań. Z kolei Wilczur zaznajamiał ją z warunkami, jakie zastaną na miejscu. Opisywał ludzi, stosunki, zwyczaje i obyczaje panujące w młynie, w miasteczku i w okolicy.

Byli tak zajęci rozmową, że nie dosłyszeli szmeru lekko rozsuwających się drzwi przedziału i nie dostrzegli ręki, która się przez szparę wsunęła. Wsunęła się zresztą na krótko, po to tylko, by wprawnym ruchem zanurzyć się w wewnętrznej kieszeni palta Wilczura, niebacznie umieszczonego na wieszaku tuż przy drzwiach.

Właściciel tej ręki cofnął ją wraz z zawartością bezszelestnie i również bezszelestnie przymknął drzwi. Następnie nie tracąc czasu, szybko wycofał się z wagonu, przezornie minął jeszcze dwa i w trzecim zatrzymał się na pustym korytarzu. Rozejrzał się uważnie, po czym wydobyl z zanadza dość gruby pugilares. Gwizdnął z cicha i przeciągle na widok poważnego pliku banknotów, po czym precyzyjnym ruchem umieścił je w kieszeni. Wewnątrz pozostały tylko papiery, nie przedstawiające żadnej wartości. Już chciał pugilares wyrzucić przez okno, gdy wpadł mu w oko zielony papierek przypominający dolary. Wyciągnął go spośród innych i przeczytał:

„Otrzymaliśmy od profesora Rafała Wilczura złotych...”

Ręka gotowa już do ruchu zastygła w powietrzu. Ponowne gwizdnięcie wydobyl się z jego ust, zanurzył palce w portfelu. Paszport, legitymacja, bilety wizytowe... Nie ulegało wątpliwości, czyją pugilares stanowił własność. Powolnym ruchem sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej świeżo zainkasowane banknoty i ulokował na ich dawnym miejscu, po czym wsunął portfel do kieszeni i już znacznie wolniej ruszył z powrotem. Z łatwością odszukał ten przedział. Przez rozchylone firanki widać było brązowy płaszcz.

Tym razem już bez zachowania ostrożności otworzył drzwi i wszedł do przedziału.

W pierwszej chwili nie poznali go. Miał na sobie prawie wytworny garnitur, granatowy w szarą kratę, i nieznacznie tylko wygnieciony melonik. W takim stroju jeszcze go nie widzieli.

Profesor Wilczur wpatrywał się weń przez chwilę z niedowierzaniem, aż zawołał:

— Jemio!

— Ha, zgadłeś cesarzu. Trudno. Zostałem zidentyfikowany. Coraz trudniej w tej Polsce podróżować *incognito*. Moje uszanowanie pani. Cóż to za wyprawa lekarska? Jedziecie państwo kogoś zarzynać na prowincji? Czy już zabrakło mięsa w Warszawie?...

Przyjrzał się uważnie i zapytał, podnosząc kapelusz nad głowę:

— Hej, a może to właśnie najsposobniejsza okazja do złożenia życzeń? *Per Bacco*<sup>45</sup>! To mi wygląda na podróż poślubną.

Wilczur zaczerwienił się, Łucja zaś wybuchnęła śmiechem.

— Niestety, nie.

— Nie?... — odetchnął jakby z wielką ulgą Jemioł i rozsiadając się wygodnie powiedział: — W takim razie bez ujemy dla mojej godności mogę z wami pozostać.

— A dokądże pan jedzie? — zapytała Łucja.

— Jest to tak modna dzisiaj „podróż w nieznane”. Oryginalnością mojej jest fakt, że czynnikiem regulującym staje się naprawdę przypadek, to jest ten moment, gdy konduktorowi uda się stwierdzić, że nie posiadam biletu. Konduktorzy mają przesąd, że pociągami jeździć mogą ludzie zaopatrzeni w bilety. Zawsze podczas letnich wakacji usiłuję ich przekonać, że jest inaczej. Niestety, są to ludzie niezdolni do absorbowania nowych pojęć i dlatego nader często muszą wysiadać na najbardziej nieprawdopodobnych stacjach. Ma to wprawdzie ten plus, że stopniowo poznają drogą ojczyznę, ale i ma wady. Mianowicie niektóre jej rejony stają się wręcz niedostępne.

— Czy pan tak lubi podróżować? — zapytała Łucja.

— Podróże kształcą — wyjaśnił. — Ja zaś zawsze miałem zamiłowanie do turystyki. Jestem uspołeczniony. Widząc wszędzie plakaty nawołujące wielkimi literami: „Zwiedzaj Polskę”, „Poznaj swój kraj”, jakże mógłbym się nie skusić.

— Ale plakaty — zauważyła Łucja — nie zalecają podróżować na gapę.

— To tylko niedopatrzzenie — oświadczył Jemioł. — Ostatecznie jaka jest różnica między jazdą na gapę a jazdą z biletem? *Quelle différence?* Ludzie o uproszczonym sposobie myślenia jedno nazywają włóczęgostwem, drugie zaś turystyką. Czy sam osobnik, który w taki czy w inny sposób podróżuje, zmienia się? Bynajmniej. O różnicy decyduje po prostu jego kieszeń, pugilares. Człowiek uprawiający turystykę bez pugilaresu jest włóczęgą, człowiek włóczący się z pugilaresem jest turystą. Dla wykazania państwu, jak nieścisłe i pod względem naukowym niewytrzymałe krytyki jest tego rodzaju definiowanie, pokażę wam coś...

Nie dokończył. Do przedziału wszedł konduktor i stereotypowym tonem powiedział:

— Poproszę o bilety do kontroli.

Bilety Łucji i Wilczura zostały przedziurkowane. Z kolei konduktor zwrócił się do Jemioła, patrząc nań nieufnie:

— Pański bilet?

— Charonie, perfidnie eksploatujący twórczą inwencję Stevensona dla niskich celów kapitalizacji etatystycznej. Czy nie budzi się w tobie spontaniczna dezaprobaty tych tendencji cywilizacyjnych, które wplątały cię w tryby fiskalizmu, paralizującego liberalizm lokomocyjny i intensywną penetrację interregionalną?

Strapiony konduktor powiódł wzrokiem po obecnych i odezwał się już całkiem niepewnie:

— Mnie tam wszystko jedno. Pan będzie łaskaw bilet do kontroli.

— Cha, cha, cha — zaśmiał się Jemioł. — Więc naprawdę pieścisz w swej duszy słodkie złudzenie, że mogę posiadać coś takiego?

— Ja tu nie na żarty przyszedłem — obruszył się konduktor — i niech pan mnie nie tyka, bo z panem świni nie pasłem. Proszę o bilet albo wysadzę pana na najbliższej stacji.

<sup>45</sup>*per Bacco* (łac.) — na Bachusa. [przypis edytorski]

— Nie przyjdzie ci to tak łatwo, *carissime*, albowiem przepisy, którym musisz niewolniczo ulegać, powiadają, że pasażer, który nie zdążył kupić biletu, może to skutecznie w wagonie z pewną nieznaczną dopłatą. Ja właśnie jestem takim pasażerem.

To rzekłszy, przybrał pogardliwy wyraz twarzy i wydobywszy z kieszeni pękaty portfel Wilczura, wyciągnął z pliku banknotów jeden, wręczając go konduktorowi.

Obfita zawartość pugilaresu skonsternowała konduktora. Była dlań zupełną niespodzianką, gdyż swoim wprawnym okiem, już wchodząc do przedziału, ocenił tego pasażera w meloniku jako włóczęgę bez grosza przy duszy. Teraz przyszło mu na myśl, że może to być jakiś dziwak.

— Czy pan też jedzie do Ludwikowa? — zapytał rzeczowo.

— Do Ludwikowa? — zaciekawiał się Jemioł. — Tak, przyjacielu, podziwiam twoją intuicję. Istotnie jadę do Ludwikowa. Natomiast będę ci wdzięczny, Archimedesie, jeżeli mi powiesz, po kiego diabła.

Konduktor podał mu bilet i wzruszył ramionami.

— Pan tak do mnie doprawdy dziwnie mówi.

Gdy się wycofał, Jemioł westchnął:

— No i widzisz, generale, sam o tym nie wiedząc, zafundowałeś mi bilet do jakiegoś parszywego Ludwikowa. A to przyjm ode mnie w darze jako skromny rewanż.

Powiedziawszy to, podał Wilczurowi jego portfel.

— Ależ... ale to mój portfel — zdziwił się profesor.

— Tak — przyznał Jemioł — i tej właśnie okoliczności zawdzięczam to, że nie stał się moim. Ach, faraonie, wzbudziłeś słabość w moim lwim sercu. Niech tam. Wspaniałomyślnie zwracam ci ten opasły przedmiot, zdobyty nakładem znacznego doświadczenia i niejakej wprawy palców. A na przyszłość nie radzę ci, Midasie, wieszać palta tuż przy drzwiach przedziału.

Wilczur był widocznie zażenowany całym tym zdarzeniem, natomiast Łucja spoglądała na Jemioła z niedającym się ukryć niepokojem. Nie zwracając na to uwagi, perorował dalej. W pewnej chwili zapytał:

— Czy to czcigodni państwo jadą do owego Ludwikowa?

— Tak — potwierdziła Łucja.

— W każdym razie proszę mnie uprzedzić, kiedy będzie ta stacja, bo muszę kazać służbie zapakować moje liczne kufty.

— Ma pan dość dużo czasu — powiedziała Łucja. — Jakies jeszcze dwanaście godzin.

— Ach tak? Więc jest to gdzieś w pobliżu bieguna północnego.

— Nie, przyjacielu — zaśmiał się Wilczur. — Nie dojeżdżamy nawet do kręgu polarnego.

— To świetnie, bo nie zabrałem ze sobą psów pociągowych, sań ani innych Eskimosów. Ale czy możecie mnie poinformować, po kiego licha tam jedziecie? Na letniaku, cesarzu?

— Nie, przyjacielu. To przenosiny i po części ty jesteś ich sprawcą. Obrzydziłeś mi miasto...

— *Recte*<sup>46</sup>, uświadomiłem ci, *my dear*, twoje obrzydzenie do miasta. W człowieku jest cała dżungla nieświadomych upodobań, zagłuszonych zachcianek, sympatii i awersji. Fortepian stoi jak głupia krowa i nic nie wie o swoim wnętrzu, o tych setkach strun, które zdolne są wydawać najprzeróżniejsze dźwięki. Gdy jednak do tego pudła na pozór martwego zabierze się wirtuoz, wydobędzie zeń umiejętnymi manipulacjami całe piekło i niebo muzyki. Tak i ja zabieram się do dusz ludzkich. Morał?... Przystawaj ze mną, a osiągniesz ideał poznania siebie.

Wilczur uśmiechnął się.

— Nic nie mam przeciwko temu.

— Przeciw czemu?

— Przeciw przestawianiu z tobą. Jedź z nami, przyjacielu, i zostań.

— A, za przeproszeniem, po kiego diabła?

— Chociażby w charakterza wirtuoza. A zresztą nie masz przecież ani rodziny, ani nic cię nie zmusza do powrotu do Warszawy. Posiedzisz sobie na wsi wśród innych ludzi. O,

<sup>46</sup>*recte* (łac.) — dobrze, pięknie, właśnie. [przypis edytorski]



właśnie! Tam cię naocznie przekonam, ilu ludzi jest dobrych. Nie chciałeś wierzyć w ich istnienie.

Po krótkich certacjach Jemioł zgodził się. Ostatecznie było mu wszystko jedno, gdzie czas spędza, ponieważ zaś rozmowy z Wilczurem sprawiały mu przyjemność, powiedział:

— No cóż, na jakiś czas mogę skorzystać z twoich propozycji, milordzie.

Profesor ucieszył się.

— No widzisz, przyjacielu. Nasza ekipa wzmacnia się. I jestem przekonany, że poznawszy radoliskie strony już nie zechcesz stamtąd wyjeżdżać. Sądzę też, że obrzydnie ci próżniactwo i wraz z koleżanką Kańską będziesz mi pomagał.

— Z kim? — zapytał nieswoim głosem.

— Z doktor Łucją Kańską — powiedział Wilczur, ruchem ręki wskazując swoją vis-à-vis.

Wykrzywiona błazeńsko i cynicznie twarz Jemioła przybrała nagle skupiony, poważny wyraz. Wzrok długo błędził po twarzy i postaci Łucji.

— Pani nazywa się Kańska?... Nie wiedziałem o tym.

— Od urodzenia — zaśmiała się nieco zaskoczona jego tonem Łucja.

— Czy... czy pani pochodzi z Sandomierza? — nie spuszczał z niej oczu.

— Nie. Z Miechowskiego, ale w Sandomierzu miałam rodzinę.

Zapanowało milczenie.

— Zna pan tamte strony? — zapytała Łucja.

Jemioł długo nie odpowiadał. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Człowiek włóczy się wszędzie.

Widocznie jednak nazwisko Łucji odezwalo się w nim nader silnym wspomnieniem, gdyż od tej chwili umilkł i siedział zgarbiony, ponury.

— Byłem kiedyś w Sandomierzu — zaczął Wilczur, jakby nie dostrzegając zmiany w nastroju towarzysza. — To jeszcze za studenckich czasów. Ładne miasto. Stare mury... Pamiętam ratusz, piękny ratusz i tę uliczkę na prawo, i dom z czerwonej cegły, cały tonący w zieleni. Tam zatrzymaliśmy się z kolegą... A później kupiliśmy niewielką łódź i już łodzią w dół Wisły aż do Warszawy. Za owych czasów była to, ba, cała wyprawa i ogromnie byliśmy z siebie dumni. To na pewno jedne z najmiłszych wakacji, jakie pamiętam. Byłem wtedy na pierwszym roku. Później przyszły już lata ciężkiej pracy. Lato wyzyskiwało się na praktykę w klinikach zagranicznych albo po prostu na zarabianie, by było czym w roku szkolnym opłacić mieszkanie i utrzymanie...

Pociąg zatrzymał się na jakiejś niedużej stacji.

— Czy pani znała panią Elżbietę Kańską? — cicho odezwał się Jemioł.

Łucja skinęła głową.

— To moja stryjenka.

— Stryjenka — powtórzył Jemioł. — Więc Michał Kański był pani stryjem...

— Tak — potwierdziła Łucja. — Znał ich pan?

— O tyle, o ile człowiek może znać drugiego człowieka... Michał Kański. Uczniowie nazywali go tapirem. Na starość musiał się spaść. Wygląda pewno teraz jak nosorożec, tyjąc i pochrząkując w ciepłym oparzelisku mieszczańskiego gniazodka.

Łucja potrząsnęła głową.

— Nie żyje już od lat dwudziestu. Byłam małą dziewczynką, gdy umarł. Oboje umarli. Bo i stryjenka przed paru laty.

Zrobiła pauzę i dodała z naciskiem:

— Bardzo ją kochałam i wiele jej zawdzięczam. Była to najszlachetniejsza kobieta, jaką znałam.

Powiedziała to w intencji uchronienia pamięci zmarłej przed jakimiś niestosownymi żartami Jemioła. On jednak parsknął krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

— O, ja też jej wiele zawdzięczam.

Następnie jednak odsunął się w kąt przedziału i pogrążył się w ponurym milczeniu. Wilczura również opanowały jakieś myśli czy wspomnienia. Łucja wyjęła książkę i zaczęła czytać. Pociąg pędził pośród łagodnie sfalowanych wzgórz porośniętych młodym lasem i krzewami. Z rzadka wśród nich migły jasnozielone pólka wschodzącego zboża i szare, puszyste strzechy wiosek.

Słońce przeszło już na zachodnią stronę nieba, jego promienie wpadały do przedziału długimi, niskimi smugami.

## ROZDZIAŁ IX

Wczesnie śniadano w młynie Prokopa Mielnika. Mieszkali tu ludzie pracy, a wiadomo, że do pracy sił trzeba, których znikądinąd, jak tylko ze stawy nie weźmiesz. Toteż zanim jeszcze rudy Witalis poszedł podnieść zastawę, a stary Prokop obudził syna, baby postękując i drapiąc się po odleżałych bokach, ziewając i siakając nosami, krzątały się przy wielkim piecu. Zonia rozdmuchiwała wczorajsze węgle w boczny podpiecek zagarnięte. W czarnej masie gdzieś w głębi tlił się mały tylko ogieniek, lecz nie upłynęły i dwa pacierze, gdy pod wpływem jej wysiłków cała kupa węgla rozżarzyła się i przesunięta na środek pieca, buchnęła jasnym płomieniem w garści smolistych szczapek. Olga przydzwięgała z sieni potężną naręcz polan brzoźowych i z hurkotem rzuciła je na podłogę. Dobre drzewo, suche, jeszcze zeszłego lata w lesie zrąbane i zimą zwiezione, popiłowane, porąbane w zgrabne polana, w przewiewne sęgi ustawione, teraz zajęło się szybko i łatwo, od czasu do czasu tylko wydając głośnie trzaski i strzelając iskrami.

Stara Mielnikowa od dawna już była na nogach. Z kurami spać się kładła, a jeszcze przed kurami wstawała. Nie do snu jej było. Z biegiem lat, w miarę jak rosła zamożność jej Prokopa i domu, zdawało się jej, że coraz więcej trosk nad nią ciąży, bała się, że byle niedopatrzenie pociągnie za sobą nieobliczalne straty, że gdy czegoś sama nie dopilnuje, wszystko popadnie w ruinę. Toteż od świtu w chacie i w obejściu rozlegał się jej skrzypiący, gderliwy głos strofujący zarówno domowników, jak i przedmioty martwe, zarówno ludzi, jak i zwierzęta. W jej mniemaniu wszystko sprzysięgło się, by jej dokuczyć, a gospodarstwu szkodzić.

Zrzęczenie jej stałoby się dla wszystkich nieznośnie, gdyby ktokolwiek na nie zwracał jakąkolwiek uwagę. Zonia i Olga same wiedziały, że o świcie muszą w piecu napalić i ogromny, pękaty garnek do ognia wstawić, by wczorajsza smakowita i dobrze wędzonką okraszona kapusta przygrzała się, stół nakryć, miski postawić, chleba z komórki przynieść. Natalka i bez popędzania, zasnana jeszcze, biegła do obory, by Białoszkę i Lawonichę na pastwisko wygnać, gęsi i kaczki na wodę wypuścić, dla świń i rozkwiczanych parsiuków zielska i kartofli nasiekać w wielkim korycie stojącym przed chlewem. Wasyl młyn otwierał i w ruch puszczał, a jeśli na dziedzińcu nie było jeszcze furmanek z nowym zbożem, wychodził z taką miną, jakby gospodarskim okiem obejścia oglądał, dreptał w pobliżu tego okna, które już z daleka wyróżniało się pośród innych okien domu. I jakże miało się nie wyróżniać. Szczelnie zakrywały je firaneczki z białego, czystutkiego perkalu, pięknie ozdobione taśmami różowego i niebieskiego papieru gufrowanego, upiętego w środku w dwie prześliczne kokardy.

Było to jedno z okien świątecznej izby, czyli pokoju, a raczej tej jego części, która nazywała się „za przepierzeniem”. Od trzech miesięcy mieszkała tam Donka Soleniówna, daleka, ot, dziesiąta woda po kisielu, krewna Prokopa i jego rodziny. Daleka, a przecież bliska.

Nie od razu dobrze ją przyjęto w młynie. Z początku to stary Prokop musiał nieraz i fuknąć porządnie na baby, a Oldze to nawet raz wlepił zdrowego kuksańca, gdy miejskiej przywłoce, jak ją nazywała, tak podała miskę z grochówką, że połowa na kolana jej chlusnęła. Miał swoje powody stary Prokop, że do domu tego darmożjada sprowadził. Podobno kiedyś z rodzonym bratem i z jego rodziną tak postąpił, że z torbami poszli, o czym, choć to już lata minęły, do dziś dnia w okolicach Radoliszek często mówiono, zarzucając Mielnikowi chciwość, nieużytość i obojętność na niedolę i nędzę krewnych. Jak tam było kiedyś naprawdę — trudno wiedzieć, ale lata minęły, lata mijały, a wraz z nimi jakieś nowe myśli do osiwiałej głowy Prokopa przychodziły, a w jego sercu jakieś nowe odzywały się uczucia. Toteż gdy dowiedział się, że w dalekim Wilnie zmarł jego pociotek, Teofil Soleń, i młodą córkę na łasce losu zostawił, po krótkich medytacjach postanowił zabrać ją do siebie.

Nic nikomu nie mówiąc, zapakował tobolek i do Wilna wyruszył. Gdy dziewczynę zobaczył, to choć tego nie okazał, żalność się w nim wzmogła. Młode to było, zaledwie osiemnaście lat liczące, a chuchrowate, blade i na piersi słabujące. Donka i pracy dlatego

żadnej znaleźć nie mogła, chociaż i wykształcenie niemałe miała, bo szkołę powszechną z nagrodą skończyła, a potem jeszcze przez dwa lata do gimnazjum chodziła. Jej ojciec za woźnego u jednego pana służył, póki się nie rozchorował na płuca i nie umarł. Taka to już była piersiowa rodzina. Pomyślał tedy stary Prokop, że dziewczyna odkarmi się w młynie, odżyje, że i przydać się też może, bo Natalkę w tym i owym poduczy. Może i inne jeszcze plany żywił, ale o nich nawet i sam myśleć nie chciał.

Zjechała tedy Donka do młyna. Nieśmiała i zahukana, zdawała się bać wszystkich, zaczynając od wielkiego psa Rabczyka, a kończąc na dziadziu, bo tak Prokop kazał się jej nazywać. Mijały jednak tygodnie i dziewczyna zmieniała się w oczach. Tyła, rozrastała się, jej czarne oczy straciły swoje zamglone i pokorne spojrzenie i coraz częściej strzelały żywymi iskrami. Policzki zarumieniły się, a gęste, kasztanowate włosy jakby jeszcze bardziej zgęstniały i nabrały połysku niczym sierść u zagłodzonego konia, którego uczciwie się odkarmi, nie żałując owsa.

A właśnie Donce po początkowych fumach i afrontach nikt teraz w młynie niczego nie żałował. Spała dłużej niż wszyscy, dopiero na samo śniadanie się podnosząc, do żadnej roboty nikt jej nie zapędzał. Gdy sama chciała, szła to i owo dla Natalki, dla Zoni lub Olgi, czasem przepiórkę mniejszą zrobiła, ciasto zagniotła lub w sprzątanii pomogła. Jedną tylko miała pracę stałą: z Natalką nauki odbywać. Ale i tego nie było wiele. I tak jej obecność w młynie nikomu nie ciążyła, a już Wasylowi szczególnie w smak poszła, chociaż bynajmniej się tym nie przechwalał. Już z racji samego swego młodego wieku tęsknił za towarzystwem, a tak się mu jakoś układało, że towarzystwa tego nie miał. Panienki z miasteczka co lepsze kręciły nosem i z synem młynarza, chociaż i zamożnego, zadawać się nie chciały, że żadnych szkół nie ukończył. Na dziewczęta znowu z sąsiednich wiosek on niechętnym patrzył okiem. Za proste mu były. Donka zaś, choć panna z wielkiego miasta, obyta i kształcona, nie tylko nie okazywała mu niechęci czy swojej wyższości, ale traktowała go jak równego. Z przyjemnością słuchała jego piosenek, zawsze rada była iść z nim na ryby, a i sama takie mu piękne wiersze opowiadała, że po niektórych to i długo zasnąć nie mógł, rozmyślając nad losami pana Tadeusza, Hrabiego i Zosi.

W młynie Prokopa Mielnika spożywanie bożych darów nie było, tak jak u innych, li tylko zaspokajaniem głodu. Śniadanie, obiad czy wieczerzę uważano za rodzaj obrządku, od modlitwy się zaczynającego i na modlitwie kończącego. Do stołu zasiadali wszyscy razem, a gdy kogoś nawet i z ważnego powodu przy stole nie było, stary Prokop nie ukrywał swego niezadowolenia. I tego dnia wszyscy razem zasiedli. W pośrodku stołu stała wielka misa parująca sytym zapachem wędzonki i kapuśniaku, w drugiej dymiły kartofle i choć to był przednówek, na stole leżał ogromny bochen chleba. W młynie chleba nigdy nie brakowało. Drewniane łyżki zanurzały się kolejno w obu misach, bez pośpiechu, by żarłoczności nie okazać. Tylko trzem osobom podawano strawę na oddzielnych talerzach: głowie rodziny, Wasylowi i Donce. Uprzywilejowanie tej ostatniej również początkowo wywoływało mrukliwe protesty Olgi i Zoni. Z biegiem czasu jednak pogodziły się z tym wyróżnieniem. Jedno, że wiedziały, jak dalece nic nie może zmienić woli Prokopa, drugie, że same ją polubiły i nie mogły jej nie przyznać niejkiej nad sobą wyższości.

Śniadanie dobiegło końca. Prokop, otarłszy wąsy i brodę rękawem, zamierzał właśnie przystąpić do modlitwy, gdy drzwi izby otworzyły się i na progu ukazała się wysoka, nieco przygarbiona, lecz barczysta postać. Przybyły miał na sobie miejskie ubranie i miejski kapelusz. Przez chwilę stał, uśmiechając się, potem zdjął kapelusz i powiedział:

— Niech będzie pochwalony...

Dopiero teraz go poznali. Ani po twarzy, ani po ubiorze nie mogli go przecie poznać. Kiedy tu żył z nimi, nosił zwykłą siermięgę lub kozuch, miał brodę, co mu pół policzków zasłaniała...

— Antoni! — zerwała się pierwsza Zonia, aż wywracając ławę.

Natalka podskoczyła i już była przy nim. Prokop, tak czerwony z wrażenia, jakby go krew zalać miała, szedł ku Wilczurowi z wyciągniętymi rękoma. Wasyl powtarzał z rozradowaniem:

— Boże drogi... A to gość, a to gość...

Stara Mielnikowa, sama nie wiedząc dlaczego, zaczęła zmiatać okruszyny ze stołu, a Olga stała z szeroko otwartą gębą.

Nie było końca powitaniom. Z początku nieśmiało, ale później już wszyscy na zmianę ściskali go jak rodzonego. Żył tu przecież z nimi szmat czasu, z nimi i jak oni. Cóż im z tego, iż potem się okazało, że jest bogatym panem, że sławnym profesorem. W ich pamięci pozostał takim, jakim był, Antonim z przybudówki, dobrym, serdecznym przyjacielem, dla każdego życzliwym, dla każdego usłużnym, przez każdego lubianym.

Wilczura usadzono przy stole. Rozbiegane baby przyniosły ser, wędliny, postawiono butelkę nalewki na jarzębinie. Znalazł się i biały chleb. Zaparzono herbatę.

— Prędzej bym się świętego Prokopa, patrona mojego, spodziewał niż ciebie — mówił gospodarz. — Tu i dnia nie ma, żebyśmy cię nie wspominali. Ile razy na przybudówkę, bywało, spojrzę, tyle razy pomyślę: ot, zapomniał o nas, z serca wyrzucił. I żał się robiło.

Wilczur ścisnął jego rękę.

— Nie zapomniałem. A najlepszy dowód, że przyjechałem.

— Bóg ci zapłać za te odwiedziny. Hej, hej, naschodzi się tu ludzi, jak się dowiedzą, żeś przyjechał nas odwiedzić!

Olga zamachała rękami.

— O, naschodzi się!

Wilczur spojrzął po obecnych.

— Nie przyjechałem was odwiedzić — potrząsnął głową.

— Jakże to tak? — zdziwił się Wasyl.

— Przyjechałem tu, by już zostać z wami, by już zostać na zawsze...

W izbie zapanowało milczenie. Wszyscy spoglądali na Wilczura, to nawzajem na siebie z niedowierzaniem i zdziwieniem. Pierwszy odezwał się Prokop:

— Chyba nie żartujesz z nas?... Gdzież tobie teraz do nas?...

Wilczur przecząco potrząsnął głową.

— Nie żartuję. Zostaję z wami, jeżeli mnie tylko przyjmiecie.

— Boże drogi — jęknęła Zonia.

— O, tobie i sztuka! — Z podziwem potrząsnął rudą czupryną parobek Witalis.

Tylko jedna Natalka nic się nie zdziwiła. Pисnęła radośnie i rzuciła się Wilczurowi na szyję.

— Zostań, zostań.

Prokop poskrobał się po głowie, pogładził brodę, nieufnie spojrzął na Wilczura i zaczął:

— Bóg mi świadkiem, zem ci rad, żeśmy wszyscy ci radzi, ale nijak mi się to w głowie pomieścić nie może, żebyś do nas chciał wrócić. Czymże my, biedni, ciemni ludzie dla ciebie?... Toż ty pan jesteś wielki. U ciebie tam domy kamienne i pałace. Jakże my cię tu przymiemy, gdzie posadzim, gdzie spać położym, czym karmić będziemy?... Nijak tego pojąć nie mogę...

— Jeżeliście mi tylko radzi — odpowiedział Wilczur — to i nie ma się czym martwić, bom i ja rad, zem nareszcie tu między wami. Nie domów mi potrzeba i pałaców, ale tego serca, którego tam, w wielkim świecie, nie znalazłem, ale tej dobroci, której mi tam nie dali. Żli tam ludzie w mieście... ludzie chciwi, zawistni... Ciężko mi było wśród nich, a jak już zrobiło się tak ciężko, że wytrzymać dłużej nie mogłem, to i pomyślałem, że tu mnie po dawnemu serdecznie przyjmiecie, że u was po dawnemu kąć znajdę, że tutejszym ludziom przydam się. Tam, w mieście, dużo jest lekarzy, może lepszych, może rozumniejszych, a na pewno młodszych ode mnie. Niepotrzebny ja tam. Więc pomyślałem sobie: wróć do was, no i wróciłem.

Zonia rozpląkała się i pochlipując ocierała oczy wierzchem dłoni. Natomiast Wasyl, nie umiając ukryć radości, zawołał:

— Ot, szczęśliwy dzień przyszedł! Toż to dla całej okolicy będzie nowina!

Prokop zrozumiał, że Wilczur mówi poważnie, że rzeczywiście postanowił osiedlić się tu w jego młynie.

— Więc zostaniesz? — zapytał.

— Zostanę. — Wilczur kiwnął głową.

— I ludzi będziesz leczył? — Natalka pociągnęła go za rękaw.

— Będę.

— To i przybudówkę trzeba na nowo wyprzątnąć — zauważył Witalis.

— Szyby tam dwie wybite — wtrąciła Olga — może po szklarza polecę do miasteczka?  
— Idźże ty ze szklarzem — oburzył się Wasyl — przecież nie w przybudówce będzie mieszkał, tylko w pokoju.

— I pewno — potwierdziła Olga.

Wilczur zaśmiał się.

— Nie, nie chcę. Tylko w przybudówce. Tak już do niej przywykłem. Dobrze mi tam było. Lepszego mieszkania mi nie trzeba. A zresztą mam wielkie plany. Ho, ho, jakie plany... Zostało mi trochę pieniędzy i myślę, żeby tu w pobliżu domek pobudować, ambulatorium tam urządzić, ze dwa albo trzy łóżka postawić dla tych chorych, których od razu po operacji na wóz położyć nie można...

— To jakby lecznica — odezwała się Natalka.

— Ano, jakby — potwierdził. — Tylko mała lecznica, na miejscowe potrzeby.

Projekt ten zastanowił i olśnił wszystkich. Po dłuższej dopiero chwili milczenia powiedział Prokop:

— Dziwny z ciebie człowiek. Bóg mnie natchnął, kiedym cię wtedy przyjął do roboty. Ot, nawet już nie myślę, w rachunek nie biorę tego dobra, com od ciebie zaznał...

— Jakiego tam dobra — przerwał mu Wilczur.

— Nie przecz, nie przecz — z powagą zaoponował młynarz. — Do śmierci ci się nie wywdzięczę za to, żeś od kalectwa uwolnił mojego syna, żeś go wyratował, że, nie kuszając miłosierdzia boskiego, mogę teraz spokojnie do trumny się położyć, wiedząc komu dorobek całego życia swojego zostawię. Ale mówię, nie to tylko dla mnie dobro ważne, któregom ja od ciebie doznał. Ważne dla mnie i to, coś tu sąsiednim ludziom wyświadczył, nijakiej z tego korzyści nie biorąc. Toż przez ciebie ludzie już krzywo na mój dom nie patrzą, a który się obejrzy z gościńca, to i mówi: tutaj ten znachor mieszkał, tu ludzi leczył... A teraz słyszę, chcesz rzucić miasto i wielkie zarobki, żeby tu z powrotem zamieszkać. Dziwny z ciebie człowiek, święty człowiek. Niejeden tu tak powiadał...

— Nie gadajże byle czego, Prokopie, przyjacielu — wesoło przerwał mu Wilczur. — Dużo jest takich ludzi jak ja. Ot, masz i przykład. Nie sam tu przyjechałem. Przyjechała ze mną jedna lekarka, doktorka, która chociaż młoda i nie znała was, a więc do was mojego przywiązania mieć nie mogła, jak tylko się dowiedziała, że tu jadę, tu chce się osiedlić, sama się zgłosiła mi do pomocy.

— A gdzie ona? — Wasyl poderwał się, wyglądając przez okno.

— W Radoliszkach, w zajezdzie tymczasem została.

Zonia nieznacznie wzruszyła ramionami i nieśmiało, ale z widocznym niezadowoleniem zauważyła:

— Dawniej nijakiej doktorki nie było ci potrzeba... Moja pomoc albo i Natalki wystarczyła.

Wilczur zaśmiał się.

— Ho, teraz będzie inaczej. Nie to co dawniej. Teraz tu i apteczkę maleńką założymy, i narzędzia mam, i aparaty lekarskie takie, o jakich mi się dawniej nie śniło. Leczenie teraz inaczej pójdzie. Niejednego teraz uda się odratować takiego, któremu dawniej nic pomóc nie mogłem...

Nagle Prokop opamiętał się.

— Co wy, baby, poszwały? — krzyknął. — Gadacie i gadacie, a człowieka nie częstujecie, głodem chcecie zamorzyć. A ruszcieże się.

Kobiety poderwały się wszystkie razem i nuż przysuwać Wilczurowi talerze, nalewać herbatę i prosić jedna przez drugą, by nie odmawiał, by jadł i pił. Prokop przepił do gościa szklaneczkę jarzębinówki i w drodze wyjątku synowi również przepić pozwolił.

— Nu, niech tam — mruknął — jak taki gość w domu, to i ty jedną wypij, chociaż to dzisiaj nie święto.

Znowu izba wypełniła się gwarem pytań, okrzyków i odpowiedzi.

— Powiedźcie mi teraz, co u was słyhać? — zapytał Wilczur, gdy nieco się uspokoiło.

— Ano, wszystko po staremu — machnął ręką Prokop. — Żyje się, pracuje się przy pomocy boskiej.

Wilczur spojrział na Olgę i Zonię.

— Myślałem, że już dawno wybrałyście się za mąż.

Zonia poczerwieniła i niecierpliwie poruszyła swoimi szerokimi biodrami.

— Mnie tam nie w głowie był ożenek, a Olga to przez te trzy lata drugi raz zdążyła iść za mąż i owdowieć.

— Owdowieć? Nie może być!

— Prawda, prawda — potwierdził Prokop. — Wyszła za jednego tu kolejarza. I pół roku z nim nie pożyła. Nie ma szczęścia do mężów.

Olga wyszczerzyła zęby.

— Teraz już na pewno żaden się ze mną nie ożeni.

Wilczur pogłaskał po głowie Natalkę, która stała tuż obok niego.

— Niedługo z córką będziesz miała kłopot. Trzeba będzie i ją za mąż wydawać.

— Nie chcę za mąż — rezolutnie zaprotestowała.

— Ot, durna — z przekonaniem oświadczyła stara Mielnikowa.

Wzrok Wilczura zatrzymał się na twarzy Donki, później przeszedł na Wasylą i znowu powrócił do Donki:

— A ty, Wasyl, widzę, że pomyślałaś o sobie?

Wasyl poczerwieniał i nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Donka się uśmiechnęła, a Prokop uważał za stosowne wyjaśnić:

— To moja daleka krewna, Donka Soleniówna. Sierotą została w mieście, to ją i zabrałem. Żyje u nas. Natalkę uczy...

Zrobił pauzę i dodał:

— Bo kształcona.

— Kształcona? — uprzejmie zapytał Wilczur.

— Gdzie tam, proszę pana — swobodnie odpowiedziała dziewczyna. — Zaledwie skończyłam szkołę powszechną. Dwa lata byłam w gimnazjum. Uczyłam się, póki tatunio żył, a później wiadomo, nie było za co...

— I pewno — sentencjonalnie zauważył Witalis. — Bez pieniędzy nie ma nauki.

— A cóż tu w okolicy słychać? Jakie zmiany?

Teraz Prokop zaczął wyliczać systematycznie, kto umarł, kto się ożenił, kto wyemigrował.

— A córka leśniczego żyje? — zainteresował się Wilczur.

— Żyje, ale takie to i życie. Lepiej by już było, żeby umarła, tylko kłopot rodzicom, leży i stęka. Już z niej same kości zostały.

— No, a doktor Pawlicki w Radoliszkach mieszka?

— A jakże, tylko powodzi mu się teraz dobrze. Ożenił się. Folwark za żonę wziął, siedem włók, nie byle co. Samych krów osiemdziesiąt. Ziemia to nieważna, piaski, ale łąki ho, ho. I lasu dobry kawałek. Będzie ze trzydzieści dziesięcin.

— A może i czterdzieści — poprawił Wasyl.

— Jak mówię, że trzydzieści, to trzydzieści — rozgniewał się Prokop. — Od Czarnego Kamienia do Brodu będzie ci czterdzieści! Zdurniałeś chyba, czy co?... Dom ten, w którym mieszkał w Radoliszkach, wyremontował, blachą pokrył. Żyje teraz jak pan. Własnymi końmi do chorych jeździ.

— Ale żona to od niego najmniej o dziesięć lat starsza — pogardliwie wydeła usta Zonia.

— To i co, że starsza? — obruszyła się na nią Mielnikowa. — Panna gospodarna, porządna, nie żadna szlaja, co po wieczorynkach lata, a gospodarstwa nie patrzy.

Zonia wzięła się pod boki i zawołała wojowniczo:

— A niby kto się szlaja po wieczorynkach?

— A ty! — wrzasnęła staruszka.

— Ja?... Ja?... Że raz na rok pójdę do szkoły...

— A nieprawda!...

— Cicho, baby! — huknął Prokop szczerze oburzony — ot, czas znalazły na swoje babskie kłótnie. A do roboty! Co stoicie tutaj? Patrzcie, gęby rozpuściły. Tfu!

Interwencja Prokopa podziałała błyskawicznie. Kobiety jak na komendę zabrały się do swoich codziennych zajęć. Stary Mielnik umiał w swym domu utrzymać dyscyplinę, a jego autorytet nie osłabł z wiekiem.

Przy Wilczurze prócz niego pozostali jedynie Wasyl i Donka. Z niejakim niezadowoleniem dowiedział się Prokop, że Wilczurowi towarzyszy jeszcze jedna osoba, i to człowiek bez fachu. Pogodził się z tym, bo nie mógł się nie pogodzić. Uradzono, że Wilczur wraz

z Jemiołem zamieszkają w przybudówce, póki się dla Jemioła nie wrychtuje izdebki na strychu. W zimie wprawdzie izdebka była nie do zamieszkania, latem jednak nieraz nawet Wasyl tam sypiał.

Następnie wszyscy razem obejrzeni przybudówkę i omówili niezbędne poprawki, przy czym Wilczur postawił na swoim, że wszystkie koszty sam poniesie. Dogodniejsze to było dlań i z tego względu, że nie chciał być skrępowany w wprowadzeniu różnych ulepszeń. Chciał mianowicie wytynkować wnętrza izby i alkowy, pomalować podłogi, a w sieni podłogę położyć, przebić okno i ławy ustawić dla spodziewanych pacjentów: prowizoryczna poczekalnia.

Do czasu ukończenia tych robót Wilczur miał pozostać w radoliskim zajeździe. Remontem przybudówki postanowił zająć się sam Prokop, twierdząc, że nikt tego lepiej nie dopilnuje, lepszych majstrów nie postawi i prędzej nie załatwi niż on. Nie można było mu odmówić słuszności.

Tymczasem w Radoliskach przyjazd profesora Wilczura stał się już powszechnie wiadomą sensacją dnia. O niczym innym nie mówiono, gubiąc się w domysłach, co go tu sprowadza. Jedni twierdzili, że przybył w te strony, by odkupić dla córki Ludwikowo, które młody pan Czyński po śmierci swoich rodziców sprzedał. Inni utrzymywali, że nie dla córki, tylko dla siebie zamierza kupić w okolicy majątek i ożenić się z tą panią, z którą przyjechał. Jeszcze inni zapewniali, że profesor przeprowadzi ekshumację zwłok swojej żony na radoliskim cmentarzu, by przewieźć je do Warszawy, lub też że pomnik tu na jej grobie postawi. Znaleźli się nawet poinformowani, którzy ten pomnik na stacji ludwikowskiej widzieli na własne oczy.

W rezultacie całej tej gadaniny w miasteczku ruch się zwiększył w dwójnasób, bo komu tylko czas na to pozwalał, nie mógł wytrzymać, by nie pobiec do zajazdu i tam od właściciela dowiedzieć się tych kilku szczegółów dotyczących profesora, które znał. A szczegółów tych nie było wiele. Przyjechali późną nocą i śpią jeszcze, z wyjątkiem profesora, który o świcie już wstał i poszedł pieszo do młyna Prokopa Mielnika.

Zresztą już przed południem miasteczko zostało zelektryzowane powrotem Wilczura. Wszyscy zauważyli, że postarzał się bardzo. Szedł wolno, rozglądając się z uśmiechem dokoła i kłaniając się znajomym, a wielu ich było, bo przecież z okresu swego znachorstwa znał tu niemal wszystkich. Nikt jednak nie ośmielił się zatrzymać go na pogawędkę. Profesor doszedł do rynku, przystanął przed sklepikiem pani Szkopkowej i wszedł do środka.

Wzruszenie ścisnęło mu serce, gdy spojrzął po tych starych ścianach, po półkach zastawionych przeróżnymi towarami, na których z naiwną dekoracyjnością rozłożone były paczki gilz i tytoniu, ołówki, piórniki, kajety, arkusze kalkomanii, pretensjonalne ozdoby na biurko, przypłowiałe rolki kolorowej bibułki i wszystko to, co kiedyś Marysia tu układała, co sprzedawała, czego dotykały jej ręce... Lada nieco wykrzywiona, koło żelaznego piecyka poręcz schodów wiodących do piwniczki.

Za ladą siedziała młoda, tęga dziewczyna o twarzy zrytej śladami ospy, lecz o miłym spojrzeniu niebieskich oczu. Zerwała się na widok wchodzącego, domyślając się od razu kim jest.

— Czym mogę służyć, panie profesorze?

Przyjrzał się jej zdziwiony.

— Skądże panienka mnie zna?

Zaśmiała się.

— Tu miejscowych wszystkich znam, więc jak ktoś nowy przyjedzie, to zaraz wiadomo kto.

— I panienka wie, kim jestem?

— Naturalnie, że wiem. Wszyscy już wiedzą, że pan profesor przyjechał. Od rana. Pani Szkopkowa mówi, że na letniaki do dworu w Zielonej, ale ja wiem, że to nieprawda.

Rozbawiło to Wilczura.

— Skądże panienka wie? — zapytał z uśmiechem.

— Ano, bo strasznie dużo rzeczy pan profesor ze sobą przywiózł. To na letniaki tyle się nie wozi.

— Powinna panienka zostać detektywem. A jakże się miewa pani Szkopkowa?

— Jak to ona. Kwęka po trochu, narzeka na zastój, że się dzieci łobuzują, ale dobrze. Może ja skoczę po nią?

Nie potrzebowała jednak skakać. W miasteczku wszystkie wieści docierały z krańca na kraniec z szybkością telegrafu bez drutu. Toteż w minutę po wejściu Wilczura do sklepiku pani Szkopkowa została już zaalarmowana, nie zważając na zadyszkę, pędziła truchtem przez rynek, by profesora powitać. Honor to dla niej był niemały, że taki człowiek ją właśnie pierwszą w Radoliszkach zaszczycił odwiedzinami. Będzie z tego powód do dumy własnej i do zawiści ludzkiej na dobrych parę miesięcy. I tak zresztą miała prawo pani Szkopkowa uważać się za bliższą profesorowi niż inni w miasteczku. Raz, że córka jego pod jej opieką przebywała lat kilka, drugi, że przed dwoma laty pani Szkopkowa jeździła do Warszawy i tam osobiście profesora widziała.

Powitała go też teraz z całą wylewnością i rozrzewnieniem, przede wszystkim pytając o córkę.

Profesor zasępił się nieco, lecz opanował się i powiedział:

— Ha, cóż. Jest szczęśliwa. Siedzą w Ameryce, on zarabia ogromne pieniądze. Prowadzą wesołe życie. To im wystarcza.

— A nie wybiera się pan do nich w odwiedzinę?

— Nie... Droga daleka, a ja już stary...

— Komu to o starości mówić — kurtuazyjnie przerwała mu pani Szkopkowa.

— W każdym razie — ciągnął profesor — nie zajęłoby mnie to, co ich zajmuje. Nie chciałbym ich krępować swoją osobą. Starzy nie powinni się narzucać młodym. A jakże się pani powodzi?

Szkopkowa zaczęła obszernie opowiadać o sobie, o swoich dzieciach, o stosunkach w miasteczku, o tym, że się proboszcz zmienił, że ktoś kogoś wyprocesował i tak dalej.

Gdy się dowiedziała od Wilczura, że zamierza on na stałe osiąść w młynie, uszom nie chciała wierzyć i od tej chwili niecierpliwie spoglądała na drzwi, by jak najprędzej wybiec i podzielić się tą sensacyjną wiadomością z możliwie jak największą liczbą osób.

Po powrocie do zajazdu Wilczur zastał Łucję nieco zaniepokojoną. Okazało się, że Jemioł zaraz po przebudzeniu kazał sobie podać butelkę wódki, którą natychmiast wypróżnił, i wyszedł do miasteczka.

— Obawiam się — mówiła — by po pijanemu nie wywołał tu jakiej awantury.

Profesor zaśmiał się.

— Niech pani będzie spokojna, panno Łucjo. Jedna butelka nie grozi mu żadnymi konsekwencjami.

— Jemu może nie, ale innym.

— Wykluczone. Ręczę, że jest zupełnie trzeźwy.

Zamyśliła się i powiedziała:

— To też mnie nie pociesza. W ogóle mam wrażenie, że postąpiliśmy lekkomyślnie, zabierając go ze sobą. Nie twierdzą, że jest to człowiek zły z gruntu, przypuszczam, że nawet gdzieś na dnie tlą się w nim jakieś zapomniane iskierki uczuć, ale przecież sam cynicznie się przyznaje, że „cudza własność jest to taka własność, której jeszcze sobie nie zdążyliśmy przywłaszczyć”. Bóg wie, co gotów tutaj narobić. Może nam popsuć całą opinię na początku.

— Nie podzielam pani obaw — po namyśle odpowiedział Wilczur. — Jemioł nie jest człowiekiem, który kradnie z zamiłowania czy nałogu. Sięga po cudze wtedy, gdy nie może zaspokoić swoich potrzeb, a przyzna pani, że potrzeby jego są bardzo małe. Byle jakie ubranie, byle jakie jedzenie. No i ta wódka, jedyny zbytek... Czy zresztą można to nazwać zbytkiem?... Zastanawiałem się nad tym, może to jest dlań koniecznością taką jak dla innych chleb. Proszę mi wierzyć, panno Łucjo, że świadomość czasem bywa największą torturą. Zwłaszcza wtedy, gdy człowiek przestanie wierzyć w siebie, gdy nabierze do siebie pogardy i wstrętu, gdy cynizmem jak kubłem śmieci chce zasypać to, co w nim zostało szlachetnego, a co sam uważa za bezużyteczne. Droga panno Łucjo, możliwe, że swoim zachowaniem się Jemioł narobi tu nam kłopotu, ale proszę pomyśleć, co by się z nim stało, gdybyśmy go zostawili swemu losowi...

Pokiwał głową i dodał:

— Biedna, schorowana dusza. Niechże odżyje w tym klimacie dobra i prostoty. Schorowana dusza, a my przecież jesteśmy lekarzami!...



Łucja z powątpiewaniem podniosła brwi.

— Tylko że tym razem pacjent jest nieuleczalnie chory.

Wziął ją za rękę.

— A chociażby... Czy beznadziejnie chorego zostawiłaby pani bez opieki?...

Nic nie odpowiedziała, ale rozmowa ta odkryła przed nią nowe strony duszy profesora. Zrozumiała teraz, że człowiek ten nie zawaha się przed niczym w wypełnianiu swego powołania, które pojmował znacznie szerzej i głębiej, niż mogła się dawniej domyślać.

Zresztą obawy o Jemioła przynajmniej na początku okazały się na szczęście nieistotne. Większą część dnia spędzał wprawdzie w miejscowym szynku, lecz będąc z natury człowiekiem spokojnym, pozbawionym awanturniczych instynktów, nie wywoływał żadnej burdy. Sprawdziły się również przewidywania profesora co do jego względnej uczciwości. Nikomu nic nie ginęło z tej prostej przyczyny, że Jemiołowi nie brakło pieniędzy na jego skromne wydatki. Najzwyczajniej w świecie, idąc do szynku, bezceremonialnie zwracał się do Wilczura:

— Wyasygnuj, włodarzu, jeszcze pół piątaka na iniekcje. I tylko nie myśl, że korzystam u ciebie z nieograniczonego kredytu bez rachunku. Każdy wpływ zapisuję skrupulatnie, a co piątek podliczam. Jeżeli potem kartkę wyrzucam za okno, to tylko dlatego, że nie posiadam znajomości wyższej buchalterii. W każdym razie możesz liczyć na to, że mianuję cię moim jedynym spadkobiercą.

A gdy Wilczur śmiał się, Jemioł dodawał:

— Nie śmieję się, arcypasterzu. Nie zapominaj: *rira bien qui rira par derrière*<sup>47</sup>. Możliwe, że mój piękny strój i nakrycie głowy nie wydają ci się przedmiotami zbyt cennymi w doczesnej skali ekonomicznej. Posiadam jednak jeszcze moje boskie ciało, które możesz różnorodnie zużytkować. Byle rzeźnik da ci za nie okazałą sumkę. Pomyśl tylko: kielbasa od razu nasyciona alkoholem. Możesz też mnie kazać zabalsamować i wystawić w jakiejś galerii jako ostatnią replikę Apollina albo zużytkować osobiście, pokrajać lancetem na drobne strzępki i poszukać w nich duszy czy innych takich gazów szlachetnych, w których istnienie wierzysz święcie, nieustannie i głupio.

— I ty w nie wierzysz — pobłażliwie uśmiechnął się Wilczur. — Gdybyś nie wierzył w gazy szlachetne, nie tęskniłbyś tak do nieszlachetnych oparów alkoholu. To przecież jasne.

— Głędzisz, *amigo* — starając się ukryć irytację, mówił Jemioł. Nie cierpiał, gdy ktoś go podejrzewał, że pije z jakichś innych powodów, nie zaś ze zwykłego zamilowania do alkoholu. — *Primo*, alkohol jest gazem najszlachetniejszym.

I zaczynał wyliczać swoje stare argumenty. Rozmawiali tak nieraz chodząc do młyna, gdzie już remont był na ukończeniu. W młynie, jak to było do przewidzenia, przyglądano się Jemiołowi niechętnie i podejrzliwie, a już sposób jego wysławiania się napelniał wszystkich, poczynając od Prokopa a kończąc na Donce, niepokojem.

— Słucha go, czorta, człowiek, słucha. On niby po ludzku gada, a nic z tego nie wyrozumiesz, chociażbyś pękl. Takich ludzi my tu nigdy nie widzieli.

W ten sposób opinię ogółu mieszkańców młyna zdefiniowała Zonia.

Natomiast Łucja z miejsca i bez trudu pozyskała ogólną sympatię. Jej świeża młodość i bezpośredniość w obcowaniu z ludźmi wzbudzały zaufanie. Nawet Zonia, która początkowo przypuszczała, że ta doktorka jest konkurentką do ręki Wilczura, uspokoiła się, gdy ją zobaczyła. Różnica wieku między profesorem a Łucją zdawała się Zoni dostateczną gwarancją bezpieczeństwa.

Dzięki zabiegom starego Prokopa remont przybudówki został szybko ukończony i Wilczur wraz z Jemiołem przeprowadzili się do młyna. Łucja tymczasem została w miasteczku. Wynajęła pokój u pani Szkopkowej, która sama wystąpiła z tą propozycją. Codziennie rano szła do młyna, wracała dopiero wieczorem.

Więść o przybyciu „znachora” szybko rozeszła się po okolicy, gminie, po całym powiecie. Przed młynem Prokopa Mielnika znowu zaczęły się gromadzić furmanki przywożące chorych z bliskich i coraz odleglejszych stron. Sława Wilczura przez lata jego nieobecności nie tylko nie uległa umniejszeniu, lecz wzrosła jeszcze bardziej, a historia

<sup>47</sup> *rira bien qui rira par derrière* (fr.) — ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. [przypis edytorski]

jego życia stała się niejako miejscową legendą upstrzoną najfantastyczniejszymi dodatkami. Już nie tylko przypisywano mu własności cudotwórcze, lecz dopatrywano się w nim tajemniczego wysłannika nieziemskich mocy. Toteż powrót jego przyjęto z religijnym niemal entuzjazmem. Chłopi, bez różnicy wyznań, już na podwórzu młyna odkrywali głowy i żaden z nich nie ważył się krzyknąć czy nawet mówić głośniej. Przyjęcia chorych zaczynały się od wczesnego ranka i z niewielkimi przerwami trwały niemal do zachodu słońca.

Już po paru tygodniach Wilczur przekonał się, że zasoby jego apteczki wyczerpują się nader szybko i wymagają poważnych uzupełnień. Nowe zakupy pociągnęły za sobą konieczność okazałych wydatków. W świetle tej rzeczywistości Wilczur zrozumiał, że w żadnym wypadku nie wystarczy mu pieniędzy na wybudowanie i zaopatrzenie choćby miniaturowej lecznicy.

— Wie pani — powiedział pewnego dnia Łucji — że zdaje się nic nie będzie z naszej lecznicy, a pani będzie skazana na mieszkanie w Radoliszkach już na stałe, bo tu przeciw miejsca nie ma.

— Nie narzekam na pobyt u tej poczciwej kobieciny — pogodnie odpowiedziała Łucja. — A co do miejsca tutaj... znalazłoby się dla mnie, gdyby mieszkańcy młyna byli bardziej gościnni.

Profesor oburzył się.

— Co też pani mówi. Mógłbym ich postawić jako wzór gościnności każdemu.

Zaśmiała się.

— Ach, ja nie mówię o nich.

Wilczur nie zorientował się jeszcze.

— Nie o nich? Więc o kim?

— Nie mówię o dawnych mieszkańcach młyna, lecz o nowych. — Spojrzała mu w oczy.

Wilczur zrozumiał i zażenowany odwrócił głowę. By czym prędzej uniknąć drażliwego tematu, zaczął mówić:

— Widzi pani, nie przewidywałem aż tak dużego napływu pacjentów i ekspensu lekarstw. Niektóre są, niestety, bardzo drogie... No i muszę teraz pożegnać się, oczywiście, z nadzieją wybudowania lecznicy...

Martwił się tym szczerze, gdyż rzeczywiście często przywożono chorych, których czy to przed operacją, czy po niej należało mieć przez kilka dni w pobliżu. Na szczęście lato tego roku było ciepłe i pacjenci mogli nocować pod gołym niebem na wyprężonych wozach lub też w stodółce.

Któregoś dnia Prokop, idąc wieczorem do miasteczka wraz z Łucją, zapytał ją:

— A cóż to profesor taki markotny w ostatnim czasie?

— Smuci się, że nie mamy dość pieniędzy na wybudowanie lecznicy — wyjaśniła Łucja.

Prokop zdziwił się.

— Tak? A ludzie mówili, że on bogaty człowiek.

— Był bogaty, ale na bogactwie mu nie zależało. Część porozdawał, resztę zabrali mu i niewiele zostało.

Prokop nic nie odpowiedział i zamyślił się głęboko. Przez kilka następnych dni chodził milczący, wreszcie kazał Witalisowi zaprząć kobyłę do bryczuszki i nic nikomu nie mówiąc, wyjechał. Wrócił dopiero wieczorem, ale nazajutrz znowu powtórzyło się to samo. Wszyscy w młynie zaintrygowani byli zachowaniem się Prokopa. Powstały różne domysły, nikt jednak nie ośmielił się zapytać go wprost, on zaś sam nie kwapił się z udzielaniem wyjaśnień.

Najbardziej zaniepokojony manewrami ojca był Wasyl. Nie wiadomo skąd nasunęło mu się przypuszczenie, że chodzi tu o jego osobę, że ojciec odbywa swoje tajemnicze podróże w poszukiwaniu przyszłej synowej. Z wielu względów Wasyl z góry był przekonany, że wybór ojca nie przypadnie mu do smaku. Wychowany jednak od dziecka pod ręką Prokopa, pod ręką twardą, mocną i nieustępliwą, wprost nie wyobrażał sobie jakiegos zasadniczego oporu przeciw woli ojca. Tu coś zdziałać mogła jedynie perswazja i to perswazja kogoś, z czym zdaniem ojciec zechciałby się liczyć.

Rezultatem tych niepokojów Wasyla było to, że kiedyś wieczorem, gdy już chorzy się rozjechali, zapukał do drzwi przybudówki. Wilczur zajęty był właśnie porządkowaniem różnych przyborów lekarskich. Jemioł ustawiał na półkach flaszki i słoiki.

— No cóż powiesz, Wasyl? Jakże tam, dużo miałeś dzisiaj przemiału? — zapytał Wilczur.

— E tam, niewiele. Wiadomo, jak na przednówku. Na przednówku to zboża mniej, ale za to chorych więcej. Głodnego łatwiej choroba się chwyta.

Zapanowało milczenie.

— Siadaj, Wasyl! — powiedział Wilczur. — Masz pewno do mnie jakiś interes.

— Interes, nie interes. — Wasyl podrapał się za uchem. — Ot, pogadać chciałem, rady spytać.

— Rady? — Wilczur spojrzał nań. — W czymże ci mogę poradzić?

Wasyl zerknął na Jemioła i ociągając się, powiedział:

— Takie zaufane sprawy...

Wilczur uśmiechnął się.

— No dobrze. Zaraz skończę i pójdziemy pod las. Muszę zobaczyć, czy macierzanka zakwitła. Po drodze pogadamy.

Jemioł odezwał się tonem pozornie obojętnym:

— Z przyjemnością będę wam towarzyszył. Lubię macierzankę i zaufane sprawy. A tu już nic nie mam do roboty...

Wytrzymał pauzę i dodał:

— Wprawdzie należałoby dzisiaj jeszcze zrobić nalewkę na tych korzonkach walerianowych, ale jakiś pijak wypił cały spirytus i nie mam ani kropli w domu. Więc już pójdę z wami.

Wasyl chrząknął.

— Hm... Matka tam jeszcze ma pół butelki spirytusu.

— Ma?... — zainteresował się Jemioł. — Oto czasy, kiedy nawet matki zamiast mleka mają spirytus. Ale jakże, mój drogi Rochu Kowalski, wydostanę od twojej zacnej macierzy ten płyn? Jest to kobieta nieużyta i gotowa mnie posądzić o jakieś osobiste zainteresowania w kierunku tych kartofli w stanie ciekłym. Czy mogę zaufać twojej przebiegłości, młodzieńcze, i powierzyć ci funkcję transpatriacji owej butelki?

Wasyl popatrzył nań niepewnie.

— Co to, to nie. Ale przynieść ją panu mogę.

— Więc śpiesz się. Na co jeszcze czekasz? Czy nie widzisz, jak czas ucieka w klepsydrze terażniejszości? *Time is money*<sup>48</sup>.

Gdy Wasyl wyszedł, Jemioł ciągnął dalej:

— W twoim milczeniu, cesarzu, mogę domyślać się dezaprobaty mego postępowania. Wolalbys, oczywiście, bym napoił alkoholem te nędzne korzonki. Oto twój humanitaryzm! Z jednej strony *radix valerianae*<sup>49</sup>, z drugiej *homo sapiens, serenissimus rex naturae*<sup>50</sup>! I ty wybierasz korzonki. Oczywiście korzonki. I w jakim celu? Żeby poić tą tynkturką rustykanów, peżanów, kmieci, którzy i tak nerwy mają przytępione.

— Nie zawsze — zaproponował Wilczur.

— Zawsze, maharadzo. Obserwuję ich już od dłuższego czasu. To są stworzenia o wrażliwości ameby. Obcinasz im różne kończyny, zaszywasz brzuchy, dziurawisz epidermę, a oni nawet nie pisną.

— Ciężka praca od dzieciństwa nauczyła ich cierpliwości i wytrzymałości na ból — zauważył Wilczur. — Weź, przyjacielu, pod uwagę, że już kilkuletnie dzieci na wsi nie próżnują. Nieraz taki mały szkrab dźwiga ciężary, których i ty byś zbyt daleko nie unioś. Chodzą po rżysku i po kamieniach boso. Przyzwyczajają się do upałów, mrozów i słoty. To wszystko hartuje.

— I przytępia, przytępia wrażliwość, milordzie. Nie tylko fizyczną. Czyś zastanawiał się kiedy, czcigodny eskulapie, nad kwestią dostrzegalności zjawisk?... To jest sprawa rozmiarów świata. Rozmiarów i bogactwa. Z czego składa się, na przykład, świat takiego

<sup>48</sup>*time is money* (ang.) — czas to pieniądz. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*radix valerianae* (lac.) — korzeń waleriany. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*homo sapiens, serenissimus rex naturae* — człowiek myślący (a. jako gatunek biol.: homo sapiens), najjaśniejszy pan natury. [przypis edytorski]

perzu, zwykłego perzu, który tu rośnie pod oknem? Z gleby mniej lub bardziej soczystej, zawierającej mniej lub więcej soli odżywczych i wody, oraz z powietrza plus światło. To wszystko. Można by tu dodać jeszcze moment epilogu: pysek krowy i kilka ruchów jej dolnej szczęki. I weź teraz swój świat. Już w samych realiach i *l'embarras de richesse*<sup>51</sup>: kolory, dźwięki, subtelności smaku i powonienia, poczucie ruchu, temperatury, położenia w stosunku do centrum ziemi i dotyk wspomagany wzrokiem, a więc kształty! Dalej świadomość czasu, przestrzeni, przemian w środowisku, nie licząc już rzeczy perzowych: głodu, nasycenia, powietrza i światła. Słowem, perz plus nieskończoność. Nieskończoność oczywiście w skali perzu. A całe życie duchowe. Zewnętrzne i wewnętrzne. Tu już nawet w skali ludzkiej możemy mówić tylko o nieskończoności. I otóż, maestro, są gradacje. Nie będziesz się przecież upierał przy tym, że dostrzegalność zjawisk jest jednakowa u ciebie i u Wasyla lub też u mnie i u ciebie. Nie obrażaj się, *darling*, ale mój świat przy twoim jest tak wielki jak galaktyka przy meteorycie lub, jeżeli wolisz, jak glob ziemski przy główce od szpilki. Jakże tu ocenić wartość świata zwykłego pejzana? Gdzie go umieścić na dystansie między perzem a mną?...

Wilczur potrząsnął głową.

— Możesz się mylić, przyjacielu.

— Mogę, ale wolę nie.

— Nie zawsze w człowieku brak jest tego, czego nie wyraża lub czego nie umie wyrazić. Nie każdy potrafi słowami skonkretyzować swoje myśli, swoje uczucia czy odczucia...

Jemiół wzruszył ramionami.

— Opierając się na twojej hipotezie możemy przyjąć równie dobrze, że perz, ślimak lub główka kapusty przeżywa niesłychane wzruszenia i dostaje zawrotu głowy z rozkoszy, słuchając koncertu e-moll Szopena. Nie, *darling*. Wybacz, ale nie mogę przyjąć tej koncepcji. Pozwól, że nadal będę opierał się na tym, co mogę empirycznie stwierdzić. Jeżeli komuś pakuję szpikulec w najmniejszą część ciała na głębokość paru centymetrów, a ten ktoś ani głosem, ani wyrazem twarzy nie zdradza, że to zauważył, będę utrzymywał, że tego nie dostrzegł. Jeżeli mówię do kogoś wyraźną angielszczyzną: *Vous êtes, mon cher, le plus représentable crétin au monde*<sup>52</sup>, a on mi na to odpowiada, że nie ma przy sobie zapalek, pozostanę w przekonaniu, że włoski język jest dlań obcy. Innego sprawdzenia nie mam. Po jakąż zresztą cholerę mam szukać innego? Jeżeli ci taki rustykan wychodzi rano z domu i widzi purpury wschodzącego słońca, draperie rozwieszonych mgieł, rozfalowane lekko pola zbóż i zamiast stanąć z otwartą gębą w zachwyceniu, woła: „Znowu parsuki na nic cebulę zryli!...” — to daruj mi, hrabio, ale nie widzę żadnych dowodów tego, że wschód słońca został przezeń dostrzeżony. Jakiś facet w starożytności powiedział, że ile języków znasz, tyle razy jesteś człowiekiem. Zmieniłbym to: o ile szersza jest twoja zdolność dostrzegania zjawisk, o tyle bardziej jesteś człowiekiem. Naturalnie tylko w tym wypadku, jeśli dostrzeganie staje się podłożem myśli. Zastanów się nad tym, *dottore*, a przynasz mi słusność...

Dalsze wywody Jemiola uciał powrót Wasyla, który przyniósł zapowiedzianą butelkę. Od tej chwili cała uwaga Jemiola skoncentrowała się na niej i nawet zaczął zachęcać Wilczurę, by już szedł obejrzeć ową macierzanekę.

— Sam tu resztę uporządkuję — zapewniał.

Gdy Wilczur z Wasylem znaleźli się na ścieżce idącej wzdłuż stawu, profesor zapytał:

— No i o cóż ci chodzi?... Z ojcem masz jakieś przykrości?

— Przykrości, nie przykrości — po namyśle powiedział Wasyl — bo jeszcze nic na pewno nie wiem. Ale ojciec w ostatnich czasach coś sumuje w sobie, milczy i ciągle wyjeżdża.

— Więc cóż z tego?

— Właśnie nie wiem — ociągając się, bąknął Wasyl.

— Dlaczegoż to cię niepokoi? Jeździ, ma swoje sprawy i koniec.

Wasyl, pogryzając zerwaną trawkę, milczał czas dłuższy.

— Może swoje sprawy — odezwał się wreszcie — a może i moje... Ojciec jeszcze w wielkim poście wspominał, że czas byłby mi się ożenić.

<sup>51</sup>*l'embarras de richesse* (fr.) — problem bogactwa; klęska urodzaju. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Vous êtes, mon cher, le plus représentable crétin au monde* (fr.) — Jest pan, mój drogi, najbardziej reprezentatywnym kretynem na świecie. [przypis edytorski]

Wilczur zaśmiał się.

— A ty nie chcesz?

— Co mam nie chcieć. Wiadomo, jak pora przyjdzie, każdy musi się ożenić. Ale nie tak.

— Tylko jak? — zapytał Wilczur ubawiony przejrzyście dyplomacją Wasyla.

— No, nie tak, żeby ojciec wyszukał. Ojciec będzie patrzył na to, żeby bogata i robotna.

— A ty chciałbyś biedną i taką, co nie lubi pracować.

— A bo i po co ma pracować? Mało to bab w domu? Chleb jedzą, to niech i pracują. A czy biedna, czy bogata, co mi tam. Pieniądze rzecz nabyta.

Profesor nachylił się nad zboczem rowu okrytym gęsto drobnymi fiołkowymi kwiatami.

— O, jak zakwitła... Tyle jej tu... No więc i cóż, co ja mogę ci doradzić, w czym pomóc?

— Żeby tak pomówić z ojcem. Niech da spokój. Bo później, jak uprze się, to sposobu na niego nie będzie. A jak mu teraz przemówić, to może i machnie ręką. Powie: „Nie będę się mieszał, wybieraj sobie sam po swoim sercu...”

Macierzanki było tyle, że Wilczur przysiadł i garściami rwał ją do swego koszyka.

— No, dobrze — odpowiedział po namyśle. — Pomówię z Prokopem. Wiesz sam, że ci dobrze żyć. A oczywiście żonę każdy sam sobie musi wybrać według własnego serca... To masz rację, że pieniądze szczęścia nie dają... Masz rację... Pogadam z Prokopem.

Do spełnienia tej obietnicy nadarzyła się okazja jeszcze tegoż wieczora. Mielnik, jak to robił często, przyszedł do przybudówki na pogawędkę. Pogawędka ta wprawdzie polegała przeważnie na milczeniu zarówno Wilczura, jak i Prokopa, milczeniu, w które od czasu do czasu padała jakaś uwaga lub informacja o zdarzeniach dnia, o ludziach, o sprawach w okolicy.

W pewnej chwili Wilczur zapytał:

— Powiedz, Prokopie, co to knujesz ostatnimi czasy? Ciągłe jeździsz i jeździsz, w młynie cię całymi dniami nie ma. Aż dziwią się wszyscy.

Prokop zerknął chytrze na Wilczura i by zyskać na czasie, zaczął z wielką uwagą skręcać papierosa. Powoli sypał machorkę na duży płat bibułki, powoli grubymi palcami układał ją równomiernie, zwijał, lizał brzeg, zaklejał i zapalił. Wreszcie odrzekł:

— A ot tak, jeździ się popatrzeć, co ludzie robią, jak żyją. Cóż to, nie wolno?

— Pewno, że wolno, ale uważaj, żeby ludzie czego złego nie pomyśleli.

— A cóż złego mogą pomyśleć?

— Kto to może wiedzieć. Może znajdą się i takie, co będą posądzać, że do jakiej dziewczuchy jeździsz.

Wilczur zaśmiał się, lecz Prokop splunął, nie ukrywając zgorznienia.

— Tfu, na złe języki rady nie ma. Gdzie mnie tam do dziewczuchy. Do grobu bliżej. Mnie tam nie w głowie babskie rzeczy.

— No to może nie dla siebie dziewczuchy szukasz? — podstępnie zapytał Wilczur.

— A dla kogóż mógłbym szukać? Co ty myślisz, że zdurniałem?

— No, może dla Wasyla.

Stary wzruszył ramionami.

— Cóż ja dla niego mam szukać? Niech sam sobie szuka. On z nią będzie żyć, nie ja.

— Toś słusznie powiedział, Prokopie. Ale teraz to już ja naprawdę się dziwię, co ty za wyprawę robisz, co tam szykujesz... No, przyznaj się.

Mielnik spojrzał nań z ukosa i uśmiechnął się.

— Znadto ciekawy jesteś, ale przyjdzie czas, to i dowiesz się. O to i chodzi, żeby to dla ciebie tajemnica była.

— Dla mnie? — niedowierzająco zapytał Wilczur.

— A dla ciebie.

Więcej nic z Prokopa nie można było wydostać. Wilczur zresztą nie bardzo się też wysiłał, zadowolony był z pomyślnej wiadomości dla Wasyla, którą mu zaraz następnego ranka zakomunikował. Nie sądził, że chłopak przyjmie ją aż z tak wielką radością. Istotnie Wasylowi aż oczy się zaiskrzyły i poczerwieniał.

— Naprawdę ojciec powiedział, że nie chce się w to mieszać i że bym sam sobie żony szukał?

— Naprawdę. Powiedział: „Nie ja będę z nią żył, tylko on. Niech sam sobie wybiera”.  
Wasył zamyślił się i pokiwał głową.

— Ot... ojciec mądry... Nie na próżno żył tyle lat na świecie...

I poczuł dla ojca od tej chwili nie tylko jeszcze większy szacunek, nie tylko większe przywiązanie, lecz i jakieś nowe uczucie, serdeczne a głębokie. Wasył wprawdzie nie miał jeszcze żadnych konkretnych planów co do swej przyszłości. Donka wprawdzie podobała mu się od pierwszego wejrzenia i z każdym dniem podobała się więcej. Jednak będąc z natury bardzo ambitny, bał się układania jakichś planów, póty przynajmniej, póki nie miał pewności, że na drodze ich wykonania nie spotka zdecydowanego sprzeciwu ojca albo drwin ze strony Donki.

Po jej zachowaniu się w żaden sposób nie mógł wymiarkować, jak by się odniosła doń, gdyby zaczął jej wyrażnie nadszkakiwać. Dziewczyna była wesoła, żywa jak mały szczeniak, dla wszystkich jednakowo życzliwa, wszystkim jednakowo szczerząca zęby w uśmiechu, gdy jej ten czy ów młodzieniec powiedział jaki żart albo pochlebstwo. Żadnej pewności z nią mieć nie było można. Już nieraz Wasył miał na końcu języka pytanie, czy się jej który z młodych ludzi podoba, i za każdym razem nie pytał. Bał się, że usłyszy taką odpowiedź, która mu nie po myśli przyjdzie, bał się, że Donka zostawiła może w mieście jakiegoś chłopca, którego wspomina. Dlatego też nie mógł się zdobyć na wewnętrzne postanowienie, ba, nawet na wyraźne powiedzenie sobie: żadna mi się tak nie podoba jak ona i żadnej za żonę nie chcę, tylko ją. Były i inne obiekcje: czy taka inteligentna, kształcona dziewczyna miejska, prawie panienska, zechce wyjść za prostego chłopca wiejskiego, który nawet po miastach nie bywał i obejścia żadnego zachować nie umie. Nie uszło uwagi Wasyła, że przed paru tygodniami, gdy do młyna zajechał po drodze pan Latosik, pisarz gminny, ona na głowie jedwabną chusteczkę zawiązała, a rozmowę z nim prowadziła jakoś inaczej i śmiała się więcej, i Latosik, co niby wpadł na chwilę, do samego zachodu słońca przesiedział.

Przychodziła wówczas Wasyłowi myśl, by panu Latosikowi, który z Donką na przyzbie młyna siedział, z góry przez klapę worek otrębów na łeb wysypać. Nie zrobił jednak tego, choć mógłby się później tłumaczyć, że to nieumyślnie. Nie zrobił z tej przyczyny, że ścisnęło mu serce przypuszczenie: a nuż pan Latosik się jej podoba?... Wtedy nie pomogłyby i dziesięć worków ani nawet tęgij kij... Pan Latosik, choć skromny urzędnik, szkoły pokończył, elegancko wyrażać się umie, czy dzień powszedni, czy święto w kołnierzyku i w krawacie chodzi, i perfumami pachnie.

Po jego wyjeździe Wasył bacnie przyglądał się Donce, usiłując pomiarkować, czy po zalotach takiego sztywnego kawalera nie będzie go traktowała inaczej. Ale Donka nie zmieniła się w niczym. Tyle tylko, że jedwabną chusteczkę z włosów zdjęła.

Natura kobieca po raz pierwszy w życiu wydała się Wasyłowi pełną niezgłębianych tajemnic i zasadzek.

Na to jednak nie było rady. Z drugiej strony Wasył zdawał sobie sprawę z własnych walorów. Wiedział, że niejedna dziewczyna w okolicy chętnie by się zań wydała, już nie tylko dlatego, że dziedziczył po ojcu młyn, zasobne gospodarstwo i, jak ogólnie mówiono, sporo oszczędzonych pieniędzy, ale i z tej racji, że cieszył się najlepszą opinią. Za spółnicami nie latał, po karczmach nie chodził, pracę swoją znał, a przy tym nosił się czysto, zgrabny był, uchodził za przystojnego i nikt go jeszcze niezdarą ani głupim nie nazwał.

Toteż w medytacjach swoich i te atuty brał pod uwagę, nie tylko strony ujemne, a teraz, gdy dowiedział się od Wilczura, że ojciec żadnych konkretnych zamiarów co do jego przyszłości nie ma i że synowej mu wybierać nie myśli, uczuł się znacznie wzmocniony w swojej pozycji. Następstwem tego poczucia było uświadomienie sobie nieprzepartego przekonania, że żyć na świecie nie potrafi bez tej właśnie dziewczyny. Przez cały dzień pracy układał sobie w głowie, jak do Donki przystąpić, jak zacząć z nią rozmowę, co powiedzieć. Wieczorem, gdy się już przebrał, miał wszystko ułożone i niby od niechcenia zaproponował Donce, gdy znaleźli się razem przed domem:

— Haki na ryby mam przygotowane. Czy nie pojechałaś ze mną łódką zastawiać je na górnych stawach?

Nie patrzył jej przy tym w oczy, jakby się obawiał, że z jego spojrzenia wyczyta całą niezwykłość tej pozornie zwyczajnej propozycji. Donka jednak widocznie nie miała żadnych podejrzeń, gdyż zgodziła się od razu.

— Za chwilę — powiedziała. — Tylko wezmę stare kapcie.

— A spiesz się — krzyknął za nią — bo najlepiej zastawić o samym zachodzie.

— Dobrze, dobrze — krzyknęła mu już z sieni. — Poczekaj minutkę.

— Pójdę do łodzi, wodę wyleję — zawołał.

Chciał jeszcze trochę zyskać na czasie i ruszył w kierunku stawu. Łódka istotnie trochę przeciekała i trzeba było czerpakiem wodę z dna wylać, potem zsunąć ją z brzegu, na dziobie ułożyć haczyki z przynętami tak uważnie, by sznurów i włosia nie poplątać. Nim skończył te zabiegi, nadeszła Donka. W różowej perkalowej sukience w czerwone kwiatki, suto marszczoną w pasie i z białym kołnierzykiem spiętym pod szyją wyglądała tak ładnie, że Wasyl wołał wcale na nią nie patrząc.

„Całkiem mi się wszystko pokręci — myślał — i nic mądrego nie powiem”.

Łódź ześliznęła się szybko po piasku i wiosła zanurzyły się w wodę. Nad lasem wisiała wielka, czerwona, napęczniała kula słońca, dotykając rąbkiem najwyższych koron drzew. Na lekko pomarszczonej powierzchni stawu droga ku słońcu znaczyła się purpurowymi rozpryskami na tle seledynowego odbicia nieba.

— Powinna chwycić — odezwał się Wasyl przy trzecim czy czwartym zarzuceniu wiosła.

— Co mówisz? — spytała obudzona z zamyślenia.

— Mówię, że ryba będzie dobrze chwycić. Pora taka. W zeszłym roku szczupaka złapałem. Takiego na metr.

— A dużo ich tu jest?

— Pewno niemało. Ryby dużo, to i szczupaków dużo.

Rozmowa się urwała. Wasyl gorączkowo poszukiwał w głowie tematu. Wreszcie odezwał się:

— U Szymona w Koziatkach krowa dziś padła. Dobra krowa była. I padła.

— A dlaczego? — dość obojętnie zapytała Donka.

— Któż ją może wiedzieć. Pewno zjadła coś nie takiego.

Znowu zapanowało milczenie. Tym razem jednak Wasylowi nic nie przyszło do głowy i zaczął sobie nucić pod nosem jakąś piosenkę. Tak dopłynęli do przeciwległego brzegu. Korzenie olch powikłanymi czarnymi sznurami zanurzyły się tu w wodzie. Brzeg opadał stromo i niedaleko od niego zaczynała się już głębia. Wasyl z uwagą i z wprawą przyczepiał do długiego sznura poszczególne haki, potem zaczął je ostrożnie wypuszczać kolejno do wody. Koniec sznura przymocował grubym węzłem do mocnego korzenia i robota była skończona. Wytarł ręce, rozejrzał się i powiedział:

— A może posiedzimy tu na brzegu? Taka ładna pogoda i kwiaty pachną...

— A posiedzimy — zawołała wesoło. — Może zobaczymy, jak która chwyci.

Przywiązali łódkę i wyszli na brzeg. Między olchami rosła gęsta, wysoka trawa. Na tę stronę nie wypędzano ani bydła, ani świń, ani koni na nocleg. Usiedli obok siebie i właśnie Wasyl zaczął się głowić nad tym, od czego ma zacząć, gdy Donka spytała:

— A twój ojciec jeszcze nie wrócił. Dokąd on tak jeździ?

Wasyl uchwycił się nadarzającej się sposobności jak zbawienia.

— Właśnie — powiedział. — i ja nie wiem, dokąd jeździ. Nikomu nie mówi. Do wczorajszego dnia to nawet bałem się.

Donka zdziwiła się:

— Bałeś się? Czego?

— A tak... Nie wiedziałem, po co jeździ. To i myśli różne przychodziły.

— A teraz wiesz po co?

— Teraz nie wiem. Ale wiem, że nie o mnie chodzi.

— Jak to nie o ciebie? A dlaczego miało chodzić o ciebie?

Wasyl rozstawionymi palcami cesał trawę, wpatrując się w nią z taką uwagą, jakby chodziło o wykonanie nader ważnego i pilnego zadania.

— Widzisz, Donko, lata już swoje mam. Ojciec kiedyś wspominał, że żenić się mi pora. To teraz, jak zaczął jeździć po okolicy... Myślałem: może żony dla mnie szuka. Jeździ tam i ówdzie, żeby sobie synową wybrać.

Donka zaśmiała się.

— Jak to tak?... Szukać? Na drodze jaką spotka i patrzy, czy będzie dobra na żonę dla ciebie, czy nie?... To zabawa.

— Wcale nie — ujął się za ojcem Wasyl. — Przecież zna ludzi tych i owych. Wie, że ten ma córkę czy tamten. To trzeba zobaczyć, jaka ona w domu. Czy ładna, czy gospodarna, czy zdrowa, jak jest koło niej. To się zajeżdża niby przypadkiem na pogawędkę i patrzy się. Wszyscy tak robią. Taki zwyczaj na świecie.

Donka była ubawiona. Iskrzyły się jej oczy i rozchyłały w śmiechu wargi.

— No i co? — zapytała, przechylając kokieteryjnie głowę. — Wypatrzył coś dla ciebie?

— Nie wypatrzył, bo i nie o patrzeć mu chodzi. Swoje jakieś sprawy miał.

— To ty, biedny, jesteś zmartwiony — chichotała Donka, której nie opuszczał dobry humor.

Wasyl powiedział ponuro:

— A tobie, Donka, w głowie tylko jedno: naśmiewać się ze mnie.

— Wcale się z ciebie nie naśmiewam — spoważniała nagle. — Ot, po prostu wesoło mi.

— To dlaczego mówisz, że ja się mam martwić? Przecież wiesz, że się cieszę.

— Wcale nie wiem, że się cieszysz. Skąd mogę wiedzieć? Siedzisz smutny, w trawę oczy wbilesz, skąd mam wiedzieć, że się cieszysz?

Wasyl chrząknął kilka razy i spod oka spojrzął na nią.

— Cieszę się, że obawa przeszła, że mi ojciec dziewczynę nie po sercu wybierze. Pomyśl sama: gdyby tobie na przykład takiego chłopaka gwałtem dawali, którego się tobie nie podoba.

Donka lekko wzruszyła ramionami.

— E, który by tam mnie chciał. I nie w głowie mi takie rzeczy.

Wasyl znowu spochmurniał.

— Bo pewno w mieście zostawiłaś jakiegoś, który ci się podoba?

— Nikogo nie zostawiłam.

— Nikogo? — zapytał nieufnie. — A może i nikogo. Bo ci się tak ten pisarz z gminy, pan Latosik, podobał... Wiadomo, krawat zielony nosi, perfumami od niego zalatuje.

Donka prychnęła jak kotka.

— To i co, że zalatuje? Czy to ja perfum nie wachałam?

— A jednak jedwabną chusteczkę nałożyłaś.

— A cóż to, nie wolno mi chusteczki nałożyć?

— Pewno, że wolno. Czemuż nie? Głównie wtedy, kiedy jest dla kogo.

— Każdy gość jest gościem. A ten pisarz to nawet zezowaty.

— Zezowaty, nie zezowaty — zauważył Wasyl. — A wszystkie za nim latają.

— Jak wszystkie to nie ja. Coś ty, Wasyl, do niego upatrzył? A choćby mi się podobał, to dla ciebie przecież rzecz obojętna.

Wasyl wywiercił palcem w darni sporą dziurę, zanim odpowiedział:

— Jakby było obojętne, to ja by nic nie mówił. Widać nieobojętnie.

— Nie rozumiem, co ci może na tym zależeć — z niewinną minką powiedziała Donka.

— Widać zależy.

— A dlaczego?

Wasyl opuścił głowę i posępnie odpowiedział:

— Bo ty, Donka, bardzo mi się podobaasz.

— Ja? — zawołała z największym zdziwieniem, na jakie ją było stać.

— Pewno, że ty — mruknął Wasyl.

— Boże drogi, co tobie we mnie może się podobać!

— Nie wiem co... Skąd mogę wiedzieć... Wszystko mi się podoba.

— E, żartujesz ze mnie — zaśmiała się swobodnie.

Wasyl poczerwieniał.

— Jakież to żartowanie — powiedział prawie ze złością — kiedy chcę się z tobą ożenić? Ożenek to żadne żarty.

— Ty ze mną? — zapytała prawie szeptem. — Nie mogę uwierzyć.

Wasyl niecierpliwie machnął ręką.



— Ot, takie i gadanie z babami. Mówię jej wyraźnie, to ona nie chce wierzyć. Ojciec ma rację. Z babami najtrudniej. Gdybym chłopu powiedział: chcę się z tobą żenić, to ten dałby mi ludzką odpowiedź: tak albo nie.

Danka wybuchnęła długim, głośnym śmiechem.

— Oj, Wasyl, Wasyl. Z chłopem byś się żenił. Co ty opowiadasz!

Aż skuliła się ze śmiechu. Objęła swoje kolana, ukryła twarz między nimi i śmiała się bez przerwy. Nawet gdy umilkła, nie podniosła głowy.

Wasyl zapytał:

— No więc, jak będzie z nami?

Ponieważ nie odpowiadała, ponowił pytanie:

— Donka, no jakże?...

Wobec jej dalszego milczenia serce mu weszło goryczą i zaczął mówić jakby do siebie:

— Ja wiem, że nie przypadłem tobie do gustu... Prosty ja chłop, a ty kształcona panna. I z miasta... Pewno, że w mieście przyjemniej jest żyć... Kto już raz miasta zakosztuje, temu wieś nie w smak... Chociaż na przykład profesor na odwrót, a to nie byle kto... Człowiek rozumny, bywały... Ale u ciebie inna sprawa, no, i niejednego lepszego ode mnie znajdziesz... Jak woli w sercu nie ma, to i sposobu nie ma... Wiedziałem ja to, wiedziałem, że mnie nie zechcesz...

Głos mu drgnął i umilkł. Po chwili dodał tonem rezygnacji:

— Ale cóż, myślałem, popytać nie grzech...

Znowu zapanowało milczenie. U góry stawu, przy rzeczce rozlegały się pierwsze żabie głosy. Słońce skryło się już zupełnie, od łąk spłynął chłodny powiew. Donka wstała i powiedziała cicho:

— Późno już. Czas do domu.

Po chwilowej radości, która opanowała ją, gdy usłyszała wyznanie Wasyla, ogarnął ją nagły smutek. Zrozumiała, że chłopak ten, który tak bardzo się jej podobał, nigdy nie zostanie jej mężem. Przeraziła ją nawet myśl, że stary Prokop, gdy dowie się o wszystkim, nazwie ją niewdzięczną. Przygarnął ją pod swój dach, a ona tak mu się odplaciła, że zbałamuciła mu syna. Bo cóż, nie mogła tego przed sobą ukrywać, że od początku robiła wszystko, by się przypodobać Wasylowi. A rodzice jego gotowi pomyśleć, że robiła to, by złapać bogatego męża. Może to i prawda, co mówił Wasyl, że ojciec nie chce wtrącać się w wybór synowej, ale przecież nigdy się nie zgodzi, by została nią biedna sierota, uboga krewna, którą wzięł na łaskawy chleb.

Wolno schodziła do łodzi. Już przy samym brzegu Donka odwróciła się i zobaczyła tuż za sobą Wasyla. Błady był i wyraz twarzy miał tak smutny, jakim go jeszcze nigdy nie widziała.

W niespodziewanym dla samej siebie porywie nagle zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła ustami do jego ust. Czuli, jak obejmują ją mocno i coraz mocniej jego ramiona, jak unoszą ją w górę, tak że ledwie palcami nóg dotykała darni.

Nagły plusk wody przywołał ich do przytomności. Najbliższy pływak raz po raz zanurzał się pod powierzchnią wzburzoną gwałtownymi ruchami ryby, która połknęła haczyk.

— Musi być jakaś duża sztuka — powiedział Wasyl, lecz nawet nie ruszył się z miejsca i nie rozluźnił objęć.

— Puść już — odezwała się cicho Donka.

W odpowiedzi przygarnął ją mocniej, mówiąc:

— Widzisz, jaka ty jesteś... A już myślałem, że mnie nie lubisz. I tak ciężko mi się zrobiło na sercu...

— Lubię cię, Wasyl, strasznie cię lubię, ale co nam obojgu z tego przyjdzie?

Zaśmiał się.

— Co nam przyjdzie? Co ma przyjść? Pobierzemy się i zostaniesz moją żoną, i tak nam dobrze będzie na świecie jak nikomu.

Ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Nie, Wasyl. Nie mogę zostać twoją żoną. Twój ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

— Nie zgodzi się? Dlaczego?... Przecież sam powiedział, że to moja sprawa. Sam profesorowi tak powiedział. Dlaczegożby się miał teraz nie zgodzić?

— Bo jestem biedna.

— No więc co? — już mniej pewnie zaproponował Wasyl. — Tego, co mam, dla nas obojga starczy...

— Tak, ale twoi rodzice zechcą dla ciebie żony z posagiem...

— A ja nie chcę żadnej innej — zawołał porywczo. — Albo ty, albo żadna. Mam już swoje lata, nie jestem niedorostkiem i sam mam prawo wybrać sobie taką żonę, jaką chcę. Ot i wszystko. A jak ojcu się nie podoba, to jego łaski nie potrzebuję. Jestem zdrowy, silny, na chleb zarobię sam. Bo to mały świat?...

— Co ty opowiadasz, Wasyl — westchnęła Donka. — Sam wiesz, że przeciwko woli ojca nic nie zrobisz.

Wasyl zasepił się. Istotnie, jego stosunek do ojca polegał na bezwzględnej uległości i chociaż w nagłym porywie mogło mu przyjść na myśl, by się przeciw ojcu zbuntować, wiedział, że tego nie potrafi, że gdyby przyszło co do czego, podporządkuje się jednak jego woli.

— Tak czy owak — powiedział — najpierw trzeba ojca zapytać. W głowie mi się nie mieści, żeby raz mówił profesorowi, że to moja sprawa, a drugi raz zabraniał mi wyboru według mego.

— Bo i na myśl mu nie przyjdzie, że możesz wybrać sobie taką biedną jak ja. A co do pytania, to lepiej nie pytaj.

— Dlaczego mam nie pytać?

— Bo co ja nieszczęsna wtedy zrobię? Twój ojciec przepędzi mnie z domu, nazwie niewdzięcznicą, powie, że mu się tak odplaciłam za jego dobroć. Nie, Wasyl, lepiej nie pytać.

Wracali do domu w ponurym nastroju. Wasyl milcząco i wolno poruszał wiosłami. Ani przez moment nie godził się z rezygnacją Donki. Rzeczywiście, zawiadomienie ojca o małżeńskich zamiarach w stosunku do Donki mogło pociągnąć za sobą jego gniew i gniew ten mógł się skierować właśnie przeciw Donce. Na to Wasyl nie mógł jej narażać. Należało wymyślić taki sposób załatwienia sprawy, by w żadnym wypadku nic Donce nie groziło. A sposób taki był tylko jeden: wybadać opinię ojca, zanim mu się coś konkretnego powie. Tu oczywiście Wasyl nie mógł liczyć na własne siły i postanowił znowu udać się o pomoc do profesora.

Przywiązując do palika łódź, powiedział Donce:

— Zobaczysz, wszystko jeszcze będzie dobrze. Najważniejsze jest to, że teraz już wiem, że jesteś dla mnie przychylna.

— Jak dla nikogo innego — szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Chciał ją znowu przytulić do siebie, ale właśnie na mostku ukazał się rudy Witalis.

— Pójdiesz, Donka, ze mną po wieczery do Radoliszek? Dziś sobota i kino puszcją.

— Lepiej nie chodźmy — powiedziała po chwili wahania.

Nalegał jednak póty, aż się zgodziła.

## ROZDZIAŁ X

Nie była to taka niedziela jak inne. Prokop wcześniej niż zwykle wrócił z nabożeństwa. Z domu wynoszono pośpiesznie wszystkie ławy, stołki, krzesła, ustawiając je w cieniu pod drzewami. Nie upłynęła godzina, a podwórze zaroilo się od wozów i bryczek. Większość przyjezdnych byli to starsi, poważni gospodarze z okolicy najbliższej, nie brakło jednak i takich, którzy przybyli z wiosek odległych o dwadzieścia czy nawet trzydzieści kilometrów. Narada snadź nie miała trwać długo, gdyż koni nie wyprzęgano. Baby zostały na wozach, chłopci zaś udali się pod drzewa i tu zasiedli.

Obrady zagał pan Walenty Szuba, najpoważniejszy wśród wszystkich wiekiem i powszechnie ceniony gospodarz z Raczkowic:

— Zebrali my się tu na obgadanie pożytecznej sprawy, po myśli Prokopa Mielnika, a na użytek ludziom i na chwałę Bogu. Wszystkim wam wiadomo, o co chodzi, a choć my ludzie i niebogaci, i samych pewno nie byłoby stać na taką budowlę, ale wierzę, że jak się już zacznie, to niejedyn do nas się przyłączy, czy to swoją pracą, czy materiałem, czy pieniędzmi. Tylko dumny człowiek nie rozumie, że to nam wszystkim na korzyść wyjdzie,

nam i całej okolicy. A przy tym i wdzięczność należy się profesorowi okazać, bo zaszczyt to dla nas wielki, że w nasze strony powrócił, choć mógł w dalekim mieście siedzieć.

— Pewno, pewno — odezwały się liczne głosy.

Szuba ciągnął dalej:

— Tedy i jemu życzliwość okazać, i sobie pożytek zrobić musimy. Na żadne wielkie rzeczy nas nie stać, ale myślę, że dom czteroizbowy postawić możemy, gontem kryty. Nasz gospodarz, Prokop Mielnik, ofiarował się odpisać pod dom dziesięćcinę placu, gromada z Rudziszek obiecała drzewo. A teraz musimy uradzić, kto podejmie się zwózki, kto zadeklaruje murarską robotę przy fundamentach, ciesielską i inne. O cegły do pieców i kominów, a także samo o szkło do okien nie kłopotcie się już, bo to my z moim szwagrem Zubarem bierzemy na siebie.

Szuba skończył i zaległo milczenie tak długie, że zdawać by się mogło, że zebrani bynajmniej nie są zwolennikami wysłuchanego projektu. Mylili by się jednak, kto by tak sądził. Ludzie tutejsi nie lubią pośpiechu, nie lubią też wyrwać się pierwsi przed innymi. Nie jest to przyjemne być posądzonym o brak opanowania i wysuwanie siebie przed sąsiadów.

Pierwszy odezwał się brodaty osiłek Iwan Bałabun, staroobrzędowiec z Nieskupy, nie tylko dobry rolnik, ale i stolarz ceniony w całej okolicy. Ten w imieniu własnym jak i swoich braci przyrzekł wykonać wszystkie roboty stolarskie, czego zresztą po nim ogólnie się spodziewano. Następnie pan Józef Petrunis ze wsi Bierwinty obiecał w imieniu swojej gromady (jako że piastował godność sołtysa) gonty i robotę przy pokryciu dachu. Ludzie z Wiczkun, najlepiej w ciesielstwie obeznani, zadeklarowali, że zrąb postawią. I tak jedne po drugich sypały się zgłoszenia, a Prokop Mielnik detalicznie wszystko spisywał na wielkim arkuszu papieru. Gdy już wszystko było wyszczególnione, obecni jeden po drugim składali pod spodem swoje podpisy. Niewiele ich było. Na kilkudziesięciu zebranych zaledwie kilku naliczyć można było piśmiennych. Reszta zamiast nazwisk stawiała po trzy krzyżyki. Nic to jednak nie umniejszało ważności zobowiązania. Raz, że po długim namyśle zostało uczynione, a dwa, że z dobrej woli.

Teraz dopiero wszyscy hurmem udali się pod przybudówkę, a Prokop wszedł do środka. Chociaż to była niedziela, zastał Wilczura przy pracy, zajętego warzeniem jakichś ziół.

— Cóż tam, Prokop? — Wilczur podniósł głowę. — Zdaje się, że masz wielu gości.

— Nie goście to — zaprzeczył ruchem głowy młynarz. — W sprawie zajechali i już więcej do ciebie jak do mnie.

— Do mnie? — zdziwił się Wilczur.

— A tak. Ciekaw byłeś, dokąd jeżdżę i po co, to teraz wyjdź przed chatę, to się i dowiesz. Już tam czekają wszyscy.

Wilczur, zaintrygowany, pojęcia nie miał, o co chodzi.

— Cóż tam knujecie? — zapytał nieufnie.

— Ano chodź, to i będziesz wiedział.

Zebrani wieśniacy przyjęli Wilczura niskimi ukłonami. Najwymowniejszy zaś z nich wszystkich, Szuba, wystąpił naprzód i powiedział:

— Ot, przyszli my, panie profesorze, podziękować panu za to, żeś do nas wrócił. Ale że dziękowanie dziękowaniem, to wiadomo. Najlepsze słowa po wietrze się rozejdą i nic z nich nie zostanie. Tak ot, my uradzili, żeby nasza wdzięczność nie tylko w słowach była. Pieniądzy ty od nas, panie profesorze, za leczenie brać nie chcesz, a jeszcze i lekarstwa darmo rozdajesz. A słyszeli my od Prokopa, że zamiarowałeś tu w naszych stronach wybudować lecznicę, ale że tobie wszystkie pieniądze rozeszły się na te lekarstwa. Tak ot, Prokop przyjechał do mnie i mówi, żeby my tu sami dla twojej wygody i dla naszego, wiadomo, pożytku wspólnymi siłami pobudowali lecznicę. Radziliśmy, radzili i ot z narady tej co wyszło...

Tu Szuba rozwinął arkusz papieru, nałożył okulary i jękając się zaczął czytać, co kto przyrzekł i ofiarował. Następnie papier z szacunkiem złożył i podał profesorowi, mówiąc:

— Niewielka to rzecz, ale myślimy, że i tobie będzie miło, a i zaszczyt to dla naszej okolicy niemały, bo i w samym miasteczku lecznicy nie ma. Przyłożym się każdy, czym może. Bogatsi pieniędzmi czy materiałem, biedniejsi pracą, czyli też zwózką. Przyjm to od nas, panie profesorze, bo z serca dajem, co kto może. Niewielka to będzie chata, ale żyj w niej i lecz nas długie lata.

Wilczur był tak wzruszony, że nawet końcowa inwokacja rymowana nie powstrzymała łez, które mu napłynęły do oczu. Znał tych ludzi od dawna i dobrze, nie przypuszczał jednak, że żywią dlań tyle życzliwości, że zdolni są do tak poważnych ofiar. Uściskał kolejno Prokopa, Szubę, Bałabuna, Petrunisa i całą resztę.

— Nigdy wam tego nie zapomnę, dobrzy ludzie — powtarzał, nie ukrywając rozczulenia.

Natychmiast też przystąpiono do narad, jak ma być budynek lecznicy rozplanowany. Dla lepszej orientacji ruszyli wszyscy na wzgórek, gdzie miał stanąć. Budowlą miał kierować doświadczony cieśla z Wickunów, pan Kurkowicz, ogólny zaś nadzór powierzono Szubie i Prokopowi Mielnikowi.

Gdy się już wszyscy rozjechali, Wilczur powiedział:

— Toś mi naprawdę wielką niespodziankę zrobił, Prokopie. Domyślam się teraz, że jeździłeś wszędzie po sąsiedztwie, by namówić ludzi na tę lecznicę. Nielatwo to ci pewno przyszło...

— Z początku, póki nie wytłumaczyłem co i jak, to pewno, że niełatwo. Ale później, jak się zwiedzieli, że ten i ów już się zgodził, ten obiecał to, a inny tamto, to i więcej się znalazło. Jak zacniem roboty, na pewno zgłosi się jeszcze niejeden.

— A kiedy chcecie zacząć? — zapytał Wilczur.

— Nie ma po co odkładać. Jutro już zaczną kamienie zwozić na fundamenty, więc i kopanie jutro zacniemy.

Prokop mówił zwykłym tonem i starał się nie okazywać tej dumy, jaką czuł wobec realizacji swego zamierzenia. Istotnie, w poniedziałek od wczesnego rana zaczęły zajeżdżać furmanki z kamieniami, przyszło też kilku ludzi z Nieskupy, kilku z Radoliszek i trzech Litwini z Bierwintów z łopatami i oskardami. Pan Kurkowicz z żółtą calówką wystającą z cholewy i ze zwojem szpagatu wymierzał, obliczał i znaczył teren. Od rana wprawdzie padał niewielki deszcz, lecz to nie przeszkadzało pracującym.

Cały młyn i wszyscy jego mieszkańcy przejęci byli rozpoczętym dziełem. Ludzie, którzy przyjechali po poradę lekarską, o ile się czuli na siłach, też zabrali się do pomocy przy budowie. Wzgórze, na którym pracowano, oddalone było od młyna zaledwie o kilkaset kroków i widać je było jak na dłoni. Toteż gdy Łucja, o niczym jeszcze nie wiedząc, przyszła z miasteczka, była zaintrygowana tym nowym widokiem. Oczywiście w ciągu dnia podczas przyjmowania pacjentów, robienia drobnych operacji, nakładania opatrunków i temu podobnych czynności zdążyła dowiedzieć się od profesora, o co chodzi, li tylko w dorywczych informacjach. Wieczorem jednak profesor zaprowadził ją na miejsce budowy i objaśnił o wszystkim.

Był podniecony przedsięwzięciem, ożywiony, usposobiony niemal entuzjastycznie. Z młodzieńczą energią snuł plany na przyszłość.

— To dopiero początek, panno Łucjo. To dopiero początek. Zobacz pani! Za naszym przykładem pójdą inne okolice. Setki lekarzy skazanych na próżnowanie w mieście zrozumie nareszcie swoje posłannictwo i poświęci się cichej pracy na dalekich prowincjach, gdzie ludność jest prawie zupełnie pozbawiona opieki lekarskiej, gdzie śmiertelność wśród dzieci osiąga wręcz przerażające liczby.

Potakiwała mu z zachwytem, a on mówił dalej:

— Niech pani patrzy. Bez niczyjego nacisku ludzie ci wykazali, że wcale nie są obojętni na sprawy higieny, że rozumieją obowiązek społeczny, że chcą iść naprzód. O, widzi pani, deklarami prawie wszyscy podpisali się na tym papierze krzyżkami. Prawie wszyscy są niepiśmienni. Są ciemni, ale pragną światła. Pragną postępu. I każdy w miarę swoich możliwości chce się doń przyczynić. Nic ich przecie nie zmuszało do żadnych ofiar, żadne nakazy władz, żaden nawet obowiązek. A niech pani weźmie pod uwagę to, że mieszkają tu przeważnie ludzie biedni...

Zaśmiał się i dodał:

— A największy kawał zrobili Jemiolowi! Mam doprawdy z nim teraz sto pociech. Udaje, że niby nic, ale jest wyraźnie wytracony z równowagi tą historią. Jego cynizm i sceptycyzm gwałtownie tracą grunt pod nogami. Rzecz nie do wiary. Nie zdobył się dotychczas na żadną zjadliwą uwagę. Mruczy tylko pod nosem.

— Nie ma obawy — śmiała się Łucja. — Szybko odzyska swoją elokwencję. Niech tylko się oswoi z tą nową dlań rzeczywistością. Ale przyznam się profesorowi, że i ja się

nie spodziewałam ze strony tych ludzi gotowości aż do takiego wysiłku, chociaż znam ich może lepiej niż pan.

Profesor oburzył się.

— Pani lepiej niż ja? Chyba pani żartuje? W ciągu paru miesięcy!

Łucja spostrzegła, że palnęła gafę, i zawołała:

— Ależ oczywiście żartuję!

W istocie wcale nie żartowała. Od czasu przyjazdu w te strony zgodnie ze swoimi pierwotnymi planami nie ograniczała się do pomagania profesorowi, lecz bardzo często wybierała się w odwiedziny do pobliskich osiedli. Pod różnymi pozorami zaglądała do chałup, знаjomiła się zarówno z dziećmi, jak i ze starszymi. Przy sposobności rozdała lekarstwa, leczyła drobniejsze schorzenia, opatrywała zaniedbane skaleczenia. Ale głównie zajmowała się czymś innym. Tłumaczyła babom wiejskim znaczenie czystości, nakłaniała do częstszego mycia naczyń, do używania bielizny pościelowej, do używania kąpielni, nakłaniała do otwierania okien i wietrzenia dusznych izb, tłumaczyła, że trzymanie zwierząt domowych i drobiu w chałupie wpływa źle na zdrowie nie tylko ludzi, ale i owych zwierząt. Ponieważ zaś obdarzona była zdolnością wpływania na otoczenie, te wsie, do których zaglądała częściej, stopniowo zaczęły coraz porządniej wyglądać. Oczywiście nie bez wpływu na miejscową ludność pozostawał fakt, że Łucja była asystentką Wilczura i działała niejako w promieniu jego autorytetu. W każdym razie dość szybko zyskała zaufanie w pobliskich osiedlach i życzliwość ludzką.

Często zwracano się do niej o radę w różnych sprawach niemających już nic wspólnego z jej fachem. I rzeczywiście miała prawo powiedzieć, że lepiej od profesora znała okolicznych mieszkańców.

Toteż nie bez słuszności zauważyła teraz:

— Wie pan, profesorze, że nie należy żywić zbyt wielkiej nadziei na to, że czyn tych ludzi znajdzie szerokie naśladownictwo. Chyba że po kraju rozsiedli się kilka tysięcy profesorów Wilczurów.

— Mówiłem przecież, że lekarze na pewno ruszą na wieś.

— Tak — zaoponowała. — Ale chodzi tu właśnie nie o byle lekarza, lecz o człowieka, dla którego ludność będzie żywiła pietyzm taki, jaki żywi dla pana.

— Myli się pani, panno Łucjo. Moja osoba odgrywa tu bardzo drugorzędną rolę. Nie ja dałem inicjatywę ani też nie zachęcałem ich do budowania lecznicy. Sami to wymyślili, postanowili i zorganizowali. Ja nawet palca do tego nie przyłożyłem.

— Ale oni zabrali się do tego jedynie z tej racji, że pan tu jest, że pana uważają za swojego wielkiego dobrodzieja, że wierzą panu bezgranicznie, że chcą mu ułatwić pracę. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy z tego, jak wielkim mirem cieszy się pan u nich. Nie tylko mirem: czią, uwielbieniem.

Wilczur machnął ręką.

— Przesadza pani. Nie trzeba przesadzać, panno Łucjo.

— Nie przesadzam. Gdyby było inaczej, niż mówię, nie przychodziliby do pana jak Żydz do rabina z prośbą o rozstrzygnięcie ich sporów, o mediację, o poskramianie opornych lub przemawianie do rozsądku tym swoim bliskim, którzy chcą popełnić coś złego. I nie powinien pan, profesorze, pomniejszać swojej roli i swego znaczenia wśród nich. Nie powinien pan im odbierać wiary, że sama Opatrzność im pana zesłała. Taka wiara jest twórcza i pożyteczna...

— Ale nieuzasadniona — przerwał Wilczur. — Niczym nieuzasadniona.

Łucja patrzyła przed siebie w milczeniu i po chwili odezwała się cicho:

— Kto to może wiedzieć, profesorze?... Czy pan sam może wiedzieć?... W jaki sposób zdobyć pewność, czy nie jesteśmy zawsze tylko narzędziem ponadludzkiej mocy, które przez nas działają, które nami kierują?

Wilczur machnął ręką.

— Toteż i nie potrzebujemy wiedzieć — powiedział prawie surowo.

— A jednak... — zaczęła Łucja.

Przerwał jej:

— Nie trzeba. Nie trzeba zagłębiać się w to, co jest poza nami. Należy w sobie szukać i praw, i busoli. I po prostu robić swoje. Robić to, co sumienie nam nakazuje. Być w zgodzie z sobą. Tak zawsze myślałem...

— Tak, profesorze. Wiem o tym — odpowiedziała Łucja. — Trzeba jednak mieć tyle wewnętrznej wartości i równowagi ducha co pan, by sobie wystarczyć, by nie szukać na zewnątrz usprawiedliwień i wyjaśnień, by mieć poczucie własnej prawdy. Widzi pan, to w panu jest właśnie siłą, która pociąga, która narzuca innym nie tylko szacunek, ale i tę serdeczną, tę głęboką życzliwość, jaka pana otacza.

— Niechże pani nie opowiada takich rzeczy, panno Łucjo — powiedział prawie żenowany. — Jestem najzwyczajnym człowiekiem pod słońcem i Bogu za to dziękuję. Jemioł powiada, że trzeba być niczym, że dopiero wtedy można być szczęśliwym. Ja sądzę, że w tym jest dużo przesady. Trzeba być czymś, lecz czymś niewielkim. Ot, dobrym chirurgiem, dobrym młynarzem, dobrym budowniczym, mieć jakąś swoją małą pozycję we wszechświecie, cenić ją, w miarę możliwości udoskonalać i żyć po prostu, później umrzeć po prostu i zostawić po sobie pamięć dobrze spełnionego obowiązku... To wszystko.

Siedział na dużym kamieniu i patrzył przed siebie w zamyśleniu.

Łucja powiedziała:

— Jednego brak w tym programie...

— Brak?...

— Tak. To jest program bardzo samolubny. Trzeba być przynajmniej tak bogatym i tak szczodrym, by się z kimś drugim podzielić sobą, by komuś drugiemu dać bodaj cząstkę swoich uczuć, swoich przeżyć...

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Jeżeli są coś warte — powiedział. — Jeżeli nie są to strzępy, tylko strzępy, tylko resztki czegoś, co już od dawna spłowiło, zużyło się, zamarło...

Nie mówił zupełnie szczerze. Wyrażał tylko swoje obawy i oczekiwał od Łucji zaprzeczenia. Ona jednak milczała długo i potem powiedziała:

— Przecież pan wie, jak bardzo pana kocham. Przecież pan wie.

— Odprowadzę panią do Radoliszek. — Wilczur podniósł się.

Gdy już minęli młyn, zaczął mówić:

— Wiem, że pani tak się zdaje. Wiem, że pani wierzy w to, co mówi, droga panno Łucjo. Jakże jednak ja, który znajduję się u schyłku życia, mogę przyjąć od pani ten dar, dar pani młodości, urody, uczuć?... Muszę być uczciwy. Może nie jestem aż tak stary, by pragnienie jakiegoś osobistego szczęścia wyglądało u mnie na groteskę. Ale chcę być z panią szczerzy. Zbyt wiele żywię dla pani serdeczności i przyjaźni, bym miał odwagę sięgać po to, co pani mi tak lekkomyślnie chce ofiarować.

— Lekkomysłnie!

— Tak — powtórzył z naciskiem. — Lekkomysłnie. Pani jest jeszcze bardzo młoda. Nie wątpię, że żywi pani dla mnie wiele dobrych uczuć. Rozumiem też, że wydają się one pani czymś godnym miana miłości. Ale się pani myli!...

Potrząsnęła głową

— Nie myślę się...

— Może pani dzisiaj tak sądzić, droga panno Łucjo. Ale za rok czy dwa zmieni pani zdanie i wtedy będzie pani nieszczęśliwa, bo będzie uważała, że wycofanie się, rozstanie, że po prostu porzucenie mnie byłoby z pani strony czymś nieuczciwym... Znam przecie panią...

Wzięła jego rękę i powiedziała:

— Nigdy pana nie porzucę. I nigdy się z panem nie rozstanę. Dlaczego pan tak mało ma wiary w to, że jestem świadoma swoich uczuć i pragnień? Że nie są to jakieś przelotne i chimeryczne zachcianki, lecz cel życia, cel, który sobie postawiłam od dawna i który się nigdy nie zmieni. Jestem dojrzałą kobietą, jestem dojrzałym człowiekiem. Rozumiem siebie, ale nie mogę zrozumieć pana. Wiem przecież, że nie jestem panu wstrętą, że nie jestem panu obca. A z drugiej strony nie oczekuję od pana takich uczuć, jakich pan mi dać nie chce czy nie może. Najzwyczajniej w świecie pragnę być przy panu, pragnę być panu pomocna... Może nie zasłużyłam na to szczęście, by zostać pańską żoną, może sięgam po wartości, do których nie dorosłam, ale niech mi pan nie zabrania przynajmniej pragnąć tego.

Wilczur ścisnął jej dłoń.

— Panno Łucjo — zaczął, lecz mu przerwała:

— Nie, niech pan nie powtarza swoich perswazji. Umiem już je wszystkie na pamięć.

Podniosła nań oczy z uśmiechem.

— Profesorze! Jest pan pierwszym człowiekiem, którego usiłuję uwieść. Niech się pan ulituje nad moim brakiem wprawy!

Zaśmiał się szczerze.

— Droga panno Łucjo. Ja też jestem uwodzony po raz pierwszy w życiu. Nie mam żadnego w tym względzie doświadczenia.

— Zapomina pan o Zoni.

— Ach, o Zoni! Ta poczciwa kobieta zawsze darzyła mnie nadmiarem uczuć.

— Nietrudno to spostrzec. Zonia spogląda na mnie bardzo niechętnym okiem, przeczuwając we mnie rywalkę.

Profesor obruszył się.

— Cóż za zestawienie?!

— W tych sprawach wszelkie zestawienia są możliwe. Sama nie wiem, która z nas ma więcej szans.

Powiedziała to z wyraźną kokieterią i Wilczur odpowiedział zażenowany:

— Żartuje pani.

— Wcale nie żartuję. Tak się pan broni przede mną, jakbym była jakąś groźną megierą.

Potrząsnął głową.

— Bronię pani przed sobą.

— I wykazuje pan w tym zdumiewającą wytrwałość.

— Podyktowaną przeświadczeniem o słuszności bronionej sprawy — zauważył z uśmiechem.

— Raczej nieuzasadnionym uporem.

— Nie zdaje sobie pani nawet sprawy, jak trudno jest trwać w tym uporze. Kusi pani przeznaczenie. Ostrzegam!

— Nie boję się przeznaczenia.

— To właśnie jest dowodem lekkomyślności.

— Albo wiary, że przeznaczenie to jest nieuniknione!

— Nieuniknione — powtórzył po namyśle Wilczur.

Mówił prawdę. Istotnie, im dłużej przebywał z Łucją, tym częściej łapał siebie na wyszukiwaniu argumentów przemawiających za małżeństwem, tym mniej znajdował w sobie sprzeciwów, tym więcej wyszukiwał rozsądnych uzasadnień. Z zachowania się i ze słów Łucji miał prawo wnioskować, że nie jest to jej chwilowym i przemijającym pragnieniem, że naprawdę go kocha, że naprawdę chce zostać jego żoną. Kwestia różnicy wieku nie wyglądała zbyt zastraszająco. Ostatecznie na świecie wiele jest małżeństw właśnie takich. Nawet z punktu widzenia przyrodniczego dawało się to wytłumaczyć, chociażby tym, że u zwierząt na przykład samice wyraźnie wolą i poszukują samców starych. Zresztą nie mógł uważać swego małżeństwa z Łucją za zawiązanie jej życia. Zwróciłby jej przecież wolność, gdyby tylko tego zapragnęła.

Właściwie mówiąc, decyzja dojrzała w nim już od dawna, nie mógł jednak zdobyć się na jej wypowiedzenie, jakby oczekując czegoś niespodziewanego, jakby przewidując, że nastąpi coś, co rozstrzygnie sprawę poza jego wolą i poza jej dążeniem. Dlatego też starał się unikać rozmowy z Łucją, o ile tylko ta rozmowa mogła dotknąć niebezpiecznego tematu. Tym razem nie zdołał tego unikać i jak mu się wydawało, posunął się zbyt daleko. Dopiero słowo „nieuniknione”, które padło z jej ust, otrzeźwiło go. Nieraz już o tym myślał, że życie jego układa się zawsze w kategoriach nieuniknionych przeznaczeń. Małżeństwo z Beatą, kariera naukowa, rozgłos, sława, majątek, ucieczka Beaty, utrata pamięci, długie lata włóczęgi, potem intrygi Dobranieckich, upadek, Łucja i powrót do Radoliszek — wszystko to działo się poza jego wolą, było gdzieś zapisane, ułożone i nie miał na to żadnego wpływu. Rozumiał to, że w rzeczywistości każde jego posunięcie, każdy czyn, każda decyzja były jakby podyktowane, były jakby następstwem takich okoliczności, które uniemożliwiały mu wybranie jakiegokolwiek innej drogi. Zawsze zostawała mu jedna, narzucona, wskazana, jedyna.

„Nieuniknione — myślał. — Czy jestem pod tym względem wyjątkiem, czy też każdy człowiek od urodzenia znajduje się już na jakimś torze, który go niechybnie zaprowadzić musi do miejsc wytkniętych przez przeznaczenie?... Nieuniknione... A taki na przykład

Jemioł... Ten człowiek nie zadaje sobie nawet najmniejszego trudu myślenia o dniu jutrzejszym... Po prostu zdał się na los i pozwala mu rzucać sobą w każdym kierunku. Jak liść na wietrze. Z jaką doskonałą obojętnością ulega on wszelkim narzuconym przez życie zmianom czy trwaniom. Nawet nie zastanawia się nad nimi”.

Przypomnił sobie teraz Wilczur to, czego jeszcze w latach dziecińczych nauczył się w szkole, co niejako automatycznie przyjął jako dogmat: — Człowiek jest kowalem swojego losu... Cóż za absurd! Zapewne w niektórych drobniejszych sprawach przeznaczenie zostawia człowiekowi wolność decyzji, ale wolność ta jest uwarunkowana przecie niezliczoną masą czynników psychicznych, uwarstwionych i sformowanych przez życie, czyli właśnie przez obcą, narzuconą wolę...

— Nieuniknione...

Ileż w tym słowie mieści się tragedii i jednocześnie ile spokoju.

Droga skręcała tu w lewo, a tuż za zakrętem zaczynały się już pierwsze domki miasteczka.

— Do widzenia, panno Łucjo — powiedział Wilczur. — I niech pani nie zapomni, idąc jutro do młyna, wstąpić na pocztę i dowiedzieć się, czy nie przyszła paczka z bizmurem.

Pocałował ją w rękę i szybko zawrócił do domu, jakby się bał, że Łucja zechce ponownie wszcząć rozmowę. Nim doszedł do młyna, spotkał Wasylą, który nań widocznie czekał. Chłopak był ponury i zatroskany.

— Cóż, Wasyl, masz jakieś nowe zmartwienie? — zagadnął go Wilczur rad, że może się oderwać od własnych myśli.

— Pewno, że mam, panie profesorze. Jakże mogę nie mieć zmartwienia z tą dziewczyną — odpowiedział Wasyl.

Wilczur nie od razu się zorientował.

— Z jaką dziewczyną?

— Ano z Donką.

— Co, nie chce ciebie?

— I chce, i nie chce.

— Jakże to tak? — zaniepokoił się Wilczur.

— Ano powiedziała, że ma do mnie skłonność i że jej się podobam, ale że za męża za mnie nie wyjdzie.

— Że nie wyjdzie? A to dlaczego? Może już komuś przyrzekła rękę.

Wasyl przecząco potrząsnął głową.

— Nie, nie to. Tylko ona się boi, że mój ojciec na nią się pogniewa i że wyrzuci ją z domu.

— Niby za co ma się pogniewać? — zdziwił się Wilczur.

— Ja też nie myślę, że się pogniewa. To ona takie przypuszczenie ma. Zdaje się jej, że jak ojciec wziął ją do nas, to nigdy by się nie zgodził, żeby ona została moją żoną, że jej nawet i myśleć o tym nie wolno, bo ona jest biedna.

— Więc poradzę ci: po prostu zapytaj ojca. Nie zdaje mi się, by Prokop niezyczliwie na nią patrzył.

Wasyl podrapał się w głowę.

— Kiedy właśnie mi zabroniła. Ona mi zabroniła. Powiada, że ojciec się rozgniewa na nią za to, że mnie zbałamuciła.

— A cóż to ty smarkaczem jesteś, który sam nie wie czego chce? — obruszył się Wilczur.

— Pewno, że nie — potwierdził Wasyl. — Mam już swoje lata. A wiem to, że bez niej i żyć mi się nie chce.

Wilczur położył mu rękę na ramieniu.

— Więc mówię ci, nie zważaj na jej zakazy i pogadaj z ojcem otwarcie.

— I pogadałbym — powiedział Wasyl. — Ale jej obiecałem, że ani słowa nie pisnę. I teraz sam nie wiem, co mam robić. Jedyne nadzieje moja to w panu, panie profesorze.

— Ależ dobrze, mój chłopcze — zgodził się Wilczur. — Pomówię z Prokopem i jestem przekonany, że nie będzie ci robił trudności.

— Już i sam nie wiem, jak mam panu dziękować.



— Nie masz po co dziękować. To przecie rzecz naturalna, gdy jeden człowiek drugiemu pomaga, o ile tylko może. Pomówię z Prokopem. A tobie wieszczę wyboru. Ładna i dobra dziewczyna. A że biedna, to przecie nie ma żadnego znaczenia.

Wasył odszedł uradowany i pocieszony.

Do obiecannej jednak interwencji Wilczura nie doszło. A stało się tak dlatego, że wypadki potoczyły się własnym torem.

Po wieczerzy, a przed udaniem się na spoczynek Prokop Mielnik przypomniał sobie, że zostawił swój kij przy mostku. Nie był to żaden cenny kij. Zwykły tęgi dębczak, jakich w lesie wickuńskim można było wyciąć setkę. Ale Prokop przyzwyczaił się doń, od lat go używając, i nie chciał, by teraz mu zginął. Do mostku szedł prostą ścieżką i kij istotnie znalazł. Wracając jednak brzegiem stawu, bo noc była ciepła i księżycowa. A właśnie dlatego, że była księżycowa, na ławce pod czeremchą zobaczył dwie przytulone do siebie postacie i mógł je rozpoznać.

Byli to Wasył i Donka. Prokop zawahał się przez chwilę i przyspieszył kroku.

— Co wy tu robicie? — zawołał groźnie.

Młodzi odskoczyli od siebie. Tak byli zajęci sobą, że nie zauważyli zbliżającego się Prokopa.

Stary młynarz gniewnie i surowo przyglądał się im przez chwilę, zaciskając w rękę kij. Wreszcie krzyknął:

— Donka! Marsz mi zaraz do domu.

Gdy dziewczyna z opuszczoną głową odchodziła powoli, rzucił jeszcze za nią:

— Durna!

Wasył stał zupełnie skonfundowany, skubiąc listki czeremchy. Wiedział, że z ojcem nie ma żartów, i był przygotowany na najgorsze. Rzeczywiście Prokop sapał ciężko, a jego wzrok nie zapowiadał nic dobrego.

— Ja przecie nic... — odezwał się wreszcie Wasył.

Ojciec huknął nań:

— Milcz, ty czartowskie nasienie! Zaraz ja cię tu nauczę!...

— Niech ojciec... — spróbował znów bronić się Wasył, lecz umilkł, gdyż Prokop podniósł nad głową laskę.

— Przyznaj mi zaraz, czyś ją ukrzywdził? Ale mów prawdę, bo cię zabiję!

Wasył z oburzeniem uderzył się w piersi.

— Ja bym ją ukrzywdził?... Wolalbym skonać.

Młynarz w jego głosie usłyszał nutkę szczerości, ale kija jeszcze nie opuścił.

— Przysięgnij — powiedział.

— Przysięgam!

Prokop sapnął głośniej i wyrzucił z siebie z ulgą:

— Ach, czartowskie nasienie!

Otarł spocone czoło i ciężko usiadł na ławce.

— Ojciec to zaraz na mnie z kijem, zanim da się wytłumaczyć...

— Żadnych tu nie może być tłumaczeń! Jak ci nie wstyd! Pod własnym dachem takie rzeczy! Hańbę chcesz na mnie sprowadzić, żeby mnie ludzie palcami wytykali, żeby opowiadali głośno, że ja niby to pod opiekę sierotę wziąłem, żeby synowi na rozpustę!... Tfy, czartowskie nasienie! I to w moim domu! Na moje stare lata! Takiej się pociechy doczekałem od ciebie. Ale słuchaj mnie: niech ją tylko od ciebie krzywda spotka — zabiję. Jak psa zabiję! Wiesz chyba, że ja na próżno słów nie rzucam.

Wasył nagle zbuntował się.

— Cóż mi ojciec grozi. A ja ojcu i tak mówię, że bez niej żyć nie mogę. Nie mogę i nie chcę. Ot i cała sprawa! Taka sprawa!

Prokop zerwał się i z całej siły uderzając kijem o ławkę zawołał:

— To nie wiesz, czartowskie nasienie, jak po chrześcijańsku postąpić? Żyć bez niej nie możesz? To się z nią ożeń! Ożeń się, durniu, a nie romanse mi tu po krzakach!

Przez chwilę Wasył stał osłupiały. Wprost nie mógł uwierzyć własnym uszom. Nagle zrozumiał, skoczył i chwycił ojca za rękę i zaczął ją całować. Stary nie zorientował się, wyrwał rękę i krzyknął:

— Co ty znowu?...

— Dziękuję ojcu... Toż ja niczego więcej nie chcę... Tylko myślałem, myśleliśmy, że ojciec nie zgodzi się...

— Co ty, durny, gadasz? Że na co się nie zgodzę?

— A na mój ożenek z Donką.

Stary spojrział nań podejrzliwie.

— Oj, coś widzi mi się, że kręcisz.

— Gdzież ja mogę kręcić? Co ojciec mówi? Od dawna mnie ona do serca przypadła i ja jej też. Ja nawet chciałem ojca zapytać, czy da pozwolenie na nasz ślub...

— Więc czemuś nie zapytał? — przerwał mu Prokop.

— A bo Donka...

— Co Donka?

— Donka nie pozwalała. Mówiła, że ojciec się na nią strasznie pogniewa.

— Ot, głupstwa jakieś. Za cóż miałbym się gniewać?

— Ano za to, że ojciec może ją posądzić, że ona dla bogactwa chce wyjść za mąż. Powiada, że ojciec ją z łaski przygarnął, a ona taką niewdzięczność pokazała, że mu syna zbałamuciła.

Prokop niecierpliwie machnął ręką.

— Ot, zdurniała i tyle.

Chrząknął i podniósł się z ławki. W zamyśleniu rozejrzał się dokoła i bez słowa ruszył w stronę domu. Gdy już był o kilkadziesiąt kroków od ławki, odwrócił się i zawołał:

— A żeby jutro Romaniuki te cztery worki oddali. Mnie worki darmo nie przychodzą.

— Dobrze — odpowiedział Wasyl. — Jak nie oddadzą, to mąki nie wydam.

Gdy kroki ojca ucichły, opadł na ławkę i zamyślił się. Wszystko stało się tak niespodziewanie i tak nieprawdopodobnie szczęśliwie. Minęło jednak kilka minut, zanim zdołał to sobie dokładnie uświadomić. Wtedy zaczął się śmiać i z całej siły klepać po kolanach.

Gdy w pół godziny później, najostrożniej stąpając, zbliżał się do domu, w pokojach było już ciemno. Widocznie ojciec od razu poszedł spać i z Donką już nie rozmawiał. Biedna dziewczyna pewno i oka zmrużyć nie może, przewidując dla siebie na dzień jutrzejszy najgorsze rzeczy.

Długo głowił się Wasyl, jak ją wywołać. Niczego jednak nie wymyślił. Najlżejsze zapukanie w okno obudziłoby wszystkich śpiących.

Istotnie, po przyjeździe do domu Prokop Donce nic nie powiedział. Ani Donce, ani nikomu. Natomiast nazajutrz po śniadaniu, gdy wszyscy byli w izbie, wydobyl z kieszeni opasłą portmonetkę z niegdyś brązowej skóry, z niej wy dostał dwa papierki stużłotowe i kładąc je przed Donką powiedział:

— Masz tu dwieście złotych. Musisz sobie przecież jakieś tam łaszki przed ślubem posprawiać.

Pod wpływem tych słów wszyscy obecni zamarli w bezruchu. Stara Agata stała z szeroko otwartymi ustami, Olga popatrzyła na ojca jak na wariata, twarz Wasyla rozplywała się w uśmiechu, a Donka zbladła śmiertelnie.

— Przed ślubem? — jęknęła Zonia. — Przed jakim ślubem?

Prokop nie uważał za stosowne odpowiadać i podniósł się z ławy.

— Przed moim ślubem — nie bez chępliwości odpowiedział Wasyl. — Ja się żenię z Donką.

Obdarowana bez słowa rzuciła się do rąk Prokopa. Po twarzy jej ściekały łzy.

— Ot tobie i sztuka! — powiedział rudy Witalis z podziwem.

Prokop, opędzając się od podziękowań Donki, wyszedł z izby. Dopieroż tu zawrzało. Izba pełna była okrzyków i gwaru. Każdy chciał jak najprędzej dowiedzieć się, jak się to stało. Wasyl z dumną miną udzielał wyjaśnień. Natalka szarpała Donkę za spódnicę pokrzykując:

— Czego płaczesz, Donka? O durna, czego płaczesz?!

Odpowiedź Donki ginęła w chlipaniu.

## ROZDZIAŁ XI

Budowa lecznicy posuwała się szybko. I nie dziwota. Nie brakło rąk do pracy. Mało było w okolicy takich, którzy nie chcieliby się czymkolwiek przyczynić do wzniesienia tego

domu. Sława przedsięwzięcia rozeszła się szeroko. Nawet gazety o nim pisały, wychwalając szeroko uspołecznienie ludności wiejskiej.

Do żniw budynek już stał pod dachem. A teraz śpieszono się z układaniem podłóg, wprawianiem okien, by na gorący, żniwny czas zdążyć. Większość bowiem zatrudnionych przy budowie ludzi byli to chłopci, którzy podczas sprzętu<sup>53</sup> ani myśleć nie mogli o oderwaniu się od swego gospodarstwa.

W tymże czasie w miasteczku wykończono meble dla lecznicy, a Łucja wyjechała do miasta, by nabyć niektóre urządzenia. Nie wszystkie można było w mieście dostać, dlatego też napisała do doktora Kolskiego z prośbą, by resztę nabył w Warszawie i wysłał za zaliczeniem pocztowym.

Do Kolskiego pisywała dość często. Lubiała jego listy. A przy tym wyczuwała w nich szczerzy jego smutek i tęsknotę za nią. Niemał w każdym ją prosił, by pozwoliła mu przyjechać do Radoliszek bodaj na jeden dzień. Odmawiała zawsze stanowczo. Uważała, że nie ma najmniejszego sensu budzić w nim znowu jakiejś nadzieje, rozdrażniać znowu jego serce. Nic mu przecież poza przyjaźnią i sympatią ofiarować nie mogła, a przyjaźń i sympatia znajdowały dostateczny wyraz w listach i nie wymagały osobistego zetknięcia się.

Zwłaszcza teraz, w tym okresie, przyjazd Kolskiego byłby nie tylko dla niej, lecz i dla niego wyjątkowo przykry. W jej stosunku z profesorem wiele się zmieniło od pewnego czasu. A mianowicie od owego dnia, gdy Prokop ogłosił zaręczyny swego syna z daleką krewniaczką Donką. Ślub wprawdzie miał się odbyć dopiero po Bożym Narodzeniu, ale młoda, kochająca się para jakby przesycała swoją miłością atmosferę w młynie i wszyscy jego mieszkańcy, oddychając tą atmosferą, mimo woli żywiej odczuwali własne sprawy sercowe. Atmosfera ta przyczyniła się też do tego, że wreszcie między Łucją a Wilczurem doszło do czegoś, co ona mogła, co chciała uważać za zgodę z jego strony na małżeństwo.

Pewnego wieczora, jak to często zresztą robiła, po drodze do miasteczka wstąpiła na radoliski cmentarz, na grób Beaty. Jeszcze wiosną doprowadziła ten grób do porządku, zasadziła kwiaty i krzewy spirei. Teraz tylko należało od czasu do czasu powyrywać perz i inne zielska. Lubiała tu przychodzić. W ciszy i w szumie wysokich drzew tak dobrze było rozmyślać o życiu tej tragicznej kobiety, o głębokich, śmiertelnych niemal ciosach, które zadała swemu mężowi i sobie. O potędze, o straszliwej, niszycielskiej potędze miłości, która przecież jednocześnie jest największą potęgą tworzenia. O własnych uczuciach wreszcie i o tym, co dać mogą, co przyniosą jej samej, a przede wszystkim jemu.

Czy zdoła mu wynagrodzić krzywdę sprawioną przez tamtą?... Czy ciepłem i czułością zdoła ożywić w jego sercu zdolność kochania? Czy usłyszy kiedyś słowa: — Jestem szczęśliwy przez ciebie... Jestem bardziej szczęśliwy niż z tamtą.

Na to wszystko szukała Łucja odpowiedzi, wpatrując się w czarny krzyż u wezłowania mogiły. Mniej myślała o sobie. O swoim szczęściu. Od dawna zakreśliła wyraźnie granice tego szczęścia w służeniu jemu. W służeniu, pomaganiu, w dbałości o jego sprawy, o jego spokój, pogodę ducha... Czuliła w sobie niemal powołanie, wzięła na siebie niemal misję wynagrodzenia temu człowiekowi o wielkim sercu bodaj części tych krzywd, których zaznał. Oto wszystko, czego pragnęła.

Owego dnia, gdy pogrążona w takich rozmyślaniach wyrzywała zielska na mogile Beaty, usłyszała za sobą kroki. Obejrzała się i zobaczyła Wilczurę.

Stał chwilę w milczeniu, wreszcie powiedział:

— Domyślałem się, że to pani... Że to pani dba o ten grób.

— Nikt się nim nie zajmował — powiedziała jakby na swoje usprawiedliwienie.

Zdawało mu się, że w jej głosie dosłyszał jakby wyrzut, i uśmiechnął się ze smutkiem.

— Dla mnie ten grób jest naprawdę... grobem.

Odezwała się po chwili:

— W grobach zamknięte są wspomnienia.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie dla mnie... Nie mówię specjalnie o tej mogile, lecz w ogóle. Wspomnienia moje nie wiążą się prawie nigdy z cmentarzem. Czymże jest cmentarz?... Ot, śmietnisko, gdzie zsypano do dołów resztki, zużyte, niepotrzebne resztki po ludziach, którzy kiedyś

<sup>53</sup>sprzęt — tu: zbieranie zboża z pól. [przypis edytorski]

żyli. Tak to rozumiem może dlatego, że jestem lekarzem. Że obcując od tylu lat z materia, nauczyłem się patrzeć na nią jak na futerał, w którym zamknięty jest człowiek... Ciało. Tylko ciało. Mechanizm obdarzony zdolnością ruchu, odżywiania się i wydzielania. Ale tylko mechanizm.

— Jestem również lekarką — zauważyła tonem opozycji.

— No właśnie, i powinna pani tak patrzeć na te sprawy jak ja. Niechże mi pani powie, czy uważa pani, że trzeba otaczać pietyzmem na przykład palec albo rękę, którą pani komuś amputowała?

— To co innego.

— Jak to co innego?

— Po prostu to są cząstki ciała, w dodatku chore.

— Nie chore, lecz umarłe. Jeżeli zaś pani uważa, że na przykład martwa ręka nie zasługuje na szacunek, to niechże pani mi powie, którą część ciała powinniśmy czcić?

— Profesor żartuje.

— Przypuśćmy — ciągnął Wilczur — że bomba rozszarpała kogoś na kawałki. Przy którym z nich mieści pani swoją adorację?

Łucja zachnęła się.

— Ależ ja nie mówię o adoracji. Chodzi po prostu o związenie wspomnień o jakimś bliskim zmarłym z określonym miejscem.

— Właśnie tu się różnimy — zaprotestował Wilczur. — Zmarły nikomu nie może być bliski. Zmarły w znaczeniu zwłok. Bliski nam pozostaje człowiek, człowiek żywy. Dlaczegoż tedy wiązać swoje wspomnienia, wspomnienia o człowieku żywym z czymś, co jest po prostu antytezą życia, z trupem?... W mojej wyobraźni pamięć o kimś raczej kojarzy się z domem, w którym ten ktoś mieszkał, z przedmiotem, którego używał, z fotografią, nie z cmentarzem.

— A jednak... — zawahała się Łucja. — A jednak pan tu przychodzi.

— Przychodzę, gdyż miejsce to lubię, gdyż lubię szum tych starych drzew, ciszę i spokój, a po wtóre dlatego, że wiąże się ono z moim życiem. Jak pani wie, tu właśnie odzyskałem pamięć... Bywam na tym cmentarzu dość często i nigdy nikogo nie spotykam. Czasami trzeba szukać oddalenia od ludzi. Nawet od najbliższych i najmilszych.

— Wobec tego, przykro mi, że pan tu mnie spotkał, gdyż zakłóciłam mu samotność. Już uciekam i zostawiam pana samego.

— Ależ nigdy w świecie — nie zgodził się Wilczur, przytrzymując jej rękę. — Pójdę z panią.

Tuż za furtką kołysały się lekko w słońcu wysokie łąny żyta.

— Nie zdaje sobie pani nawet sprawy, jaką radością jest dla mnie pani towarzystwo.

Uśmiechnęła się.

— Więc nie zalicza mnie pan do najdroższych i najbliższych?

Zamyślił się i patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

— Właściwie mówiąc... pani jest jedyną drogą mi i bliską istotą na świecie...

Łucji łzy napłynęły do oczu i ruchem spontanicznym zarzuciła mu ręce na szyję.

Pochylił się nad nią i z wielką serdecznością pocałował ją w policzek. W następnej jednak chwili zdecydowanym ruchem uwolnił się z jej objęć, mówiąc:

— Chodźmy... Czy czuje pani, jak to żyto pachnie?... Taki piękny wieczór... Myślę, że jego piękno odczuwam tym głębiej, że tak mało miałem pięknych chwil w życiu. Oczywiście, nieraz się cieszyłem. Ale najczęściej radością cudzą...

Szli wąską polną drogą wijącą się kapryśnymi skrętami między żytem, u brzegów barwnie podszytych gęsto rosnącymi bławatkami i kąkolem. Tu i ówdzie jarzyły się sute kiście rumianków.

— Nie jestem filozofem — mówił Wilczur — i nawet czasu nie miałem, by zastanawiać się dłużej nad tymi sprawami. Ale teraz właśnie zadałem sobie pytanie, co to jest szczęście. Co należy nazwać szczęściem. I stwierdziłem rzecz zdumiewającą. Wie pani, panno Łucjo, że chyba nie można dać ścisłej definicji szczęścia, bo w różnym wieku człowiek zupełnie różnie je pojmuje. Pamiętam, kiedy byłem jeszcze w gimnazjum, uważałem, że mogę być szczęśliwy tylko wtedy, gdy stanę się podróżnikiem, żeglarzem dalekich oceanów. Później jako student wyobrażałem sobie szczęście w zdobywaniu sławy.

Następnie do sławy dodawałem jeszcze i pieniądze, po to oczywiście, by móc to wszystko złożyć u stóp kochanej dziewczyny... Ileż ewolucji, a raczej jaka nieustanna ewolucja.

— A jak pan teraz sobie wyobraża szczęście? — zapytała Łucja.

Nie odpowiedział od razu.

— Teraz... — uśmiechnął się do niej. — Tak właśnie wyobrażam sobie szczęście; tu wieczór ciepły i pogodny, i żyto pachnące, i pani dobre, kochane serce, tam życzliwi, zacni ludzie potrzebujący naszej pomocy, i ciche życie bez burz, bez wstrząsów, bez niespodzianek. Tak. Tak właśnie rozumiem szczęście dzisiaj... I chyba to już jest ostatnia jego edycja dla mnie.

Doszli do gościńca.

— Do widzenia, panno Łucjo, dziękuję pani bardzo — powiedział Wilczur i kilkakrotnie ucałował jej rękę.

Chciała znowu przytulić się do niego, lecz wydało się to jej czymś niezręcznym. Idąc w stronę Radoliszek, myślała:

„No, nareszcie, nareszcie...”

Była tak rozpromieniona, że aż zwróciło to uwagę pani Szkopkowej, która podając Łucji zsiadłe mleko i kartofle, zauważyła:

— A pani to dzisiaj musiało się coś pomyślnego zdarzyć. Taka pani wesola.

Łucja zaśmiała się.

— Zgadła pani. Rzeczywiście zdarzyło mi się coś bardzo pomyślnego.

Pani Szkopkowa nie byłaby kobietą, gdyby nie przyszło jej na myśl, że musi tu chodzić o jakiegoś mężczyznę. Ponieważ zaś lubiła swoją lokatorkę szczerze, powiedziała:

— Tak się głowią i głowią, kogo tu pani doktorka w naszej okolicy mogła sobie upatrzeć. Tu przecież nie ma żadnego odpowiedzialnego pana.

Łucja wybuchnęła serdecznym śmiechem.

— A jednak ja znalazłam.

Szkopkowa przymrużyła w zamyśleniu jedno oko.

— Bo chyba nie młody pan Czarkowski. To przecież jeszcze dzieciak.

— Nie, nie...

— I nie brat księdza proboszcza? Człowiek, ma się rozumieć, porządny, ale to nie dla pani. A może dziedzic z Kowalewa?

Łucja zaprzeczyła ruchem głowy, nie przestając śmiać się.

— No to już doprawdy nie wiem kto — z nieukrywaną troską w głosie powiedziała pani Szkopkowa. — Doprawdy nie wiem kto. Nikogo tu więcej takiego nie ma. To może ktoś dalej mieszkający?

— Nie, owszem, ktoś mieszkający blisko.

— No, to już nie odgadnę — z rezygnacją orzekła Szkopkowa. — Ludzie tu, jak widzieli panią doktorkę z tym młodym Czarkowskim, to już coś tam gadali. Inni wspominali, że dziedzic z Wickunów chce się z panią żenić. Ale to znowu zakamieniały stary kawaler, więc nie wierzyłam. Tak samo nie wierzyłam, kiedy pani Jankowska opowiadała, że pani doktorka za profesora Wilczura się wybiera. Powiedziałam jej: „Moja pani Jankowska. Co też pani za głupstwa gada. Przecież to człowiek wiekowy. Do trumny mu bliżej jak do ślubu”. Tak samo i z tym bratem księdza proboszcza. Nie nadaje się. Za mało wykształcony i co to za mężczyzna, co na łaskawym chlebie u kogoś żyje, a sam nic nie robi.

Łucja nic nie odpowiedziała. Skończyła właśnie kolację i wstając dała do zrozumienia pani Szkopkowej, że nie ma czasu na dalszą rozmowę.

W istocie wzmiankę tej kobiety o Wilczurze odczuła boleśnie. Czyż istotnie ludzie uważają go za tak starego?... Jego, jego tak pełnego energii, tak niestrudzonego w pracy, tak młodego duchem. A przecież i krzepkiego ciałem...

Przez kilka dni nie mogła przetrwać tego wrażenia. Pozbyła się go wreszcie podczas wyjazdu do miasta. Ostatecznie byłoby śmiesznością brać pod uwagę czyjekolwiek zdanie w tej sprawie. A już szczególnie ludzi prostych, rozumujących kategoriami najprymitywniejszymi.

Po powrocie zastała list Kolskiego. Donosił, że zakupił już wszystko to, o co go Łucja prosiła, i wysłał pocztą. O sobie pisał niewiele: pracuje bardzo dużo, zarabia coraz lepiej. W lecznicy ma stosunki dobre, gdyż popiera go doktor Rancewicz, który jest obecnie

zastępcą profesora Dobranieckiego. Dobraniecki rzadziej teraz i krócej bywa w lecznicy. Narzeka na jakieś dolegliwości. Skarży się na bóle głowy. Za radą Rancewicza zwołano nawet konsylium, które nic istotnego nie znalazło i orzekło, że przyczyną jest prawdopodobnie wątroba i ogólne wyczerpanie. Prawdopodobnie w tych dniach Dobraniecki wyjedzie na wątrobianą kurację do Marienbadu. Na czas jego nieobecności kierownictwo obejmie Rancewicz, stanowisko zaś Rancewicza Kolski.

„Dlatego — pisał dalej — nie proszę Pani tym razem o pozwolenie na przyjazd do Radoliszek. Nie puszczą mnie stąd nawet na jeden dzień. Dręczy mnie nieznośna tęsknota. W pani dawnym mieszkaniu zainstalowało się jakieś młode małżeństwo. Przechodzę często tamtędy. Przy oknach zawsze pełno kwiatów. Pewno są szczęśliwi. Im częściej myślę o pani, tym do głębszego dochodzę przekonania, że jednak Pani ma rację. Szczęście polega na możliwości ofiarowania wszystkiego, co się posiada, kochanej istocie. Dawniej nie umiałem tego zrozumieć. Widocznie trzeba cierpieć, jeżeli człowiek chce się czegoś nauczyć. Nie wspomniała mi Pani w swoim ostatnim liście ani słowem o własnych, o osobistych projektach. Wie Pani, o czym mówię. Jakże bardzo pragnąłbym mieć Pani fotografię. Zobaczyc, jak Pani obecnie wygląda. Chyba to nie jest prośba, której Pani spełnić nie może?...”

W *postscriptum* jak zwykle były zdawkowe pozdrowienia dla profesora Wilczura, pozdrowienia, które Łucja, powtarzając Wilczurowi, musiała ubarwiać zmyślonymi serdecznościami.

Tym razem Kolski musiał dłużej czekać na odpowiedź Łucji niż zwykle. Po pierwsze, wykonanie zdjęć u miejscowego fotografa półamatora zabierało dużo czasu, po wtóre, Łucja była bardziej niż kiedykolwiek zajęta instalowaniem lecznicy. Wyłoniły się przy tym jeszcze potrzeby załatwienia różnych formalności urzędowych w związku z otwarciem instytucji. Musiała nawet pojechać do starostwa odległego o dobre czterdzieści kilometrów.

Lecznica, jak na miejscowe warunki, wyglądała nader dobrze. Z ganku wchodziło się do obszernej sieni, która miała spełniać rolę poczekalni. Po lewej stronie były dwa duże pokoje. Jeden urządzony był jako sala szpitalna z czterema łózkami, drugi jako ambulatorium i, za przepierzeniem, sala operacyjna. Z sieni po prawej znajdowały się trzy mniejsze pokoje: jeden, osobny, miał służyć jako apteczka i skład ziół. Tu również przeznaczono locum dla Jemiola. Dwa pozostałe miały stanowić mieszkanie dla Wilczura i dla Łucji. Oczywiście ani profesor, ani ona nie mówili o tym z sobą. Gdy jednak podczas budowy pan Kurkowicz zapytał profesora, czy połączyć te pokoje drzwiami, Wilczur odpowiedział:

— Sądzę, że tak. Jeżeli nie będą potrzebne, to je zawsze można przecież zamknąć.

W istocie nie miał wielkiej ochoty na przeprowadzenie się do lecznicy. Chętniej pozostałby w starej przybudówce, do której się przyzwyczał. I tak jednak nie mógłby tam długo mieszkać, gdyż po Bożym Narodzeniu miał się odbyć ślub Wasyla i można się było domyślać, że młoda para zainstaluje się właśnie w przybudówce, chociaż nikt o tym Wilczurowi ani słowem nie wspomniał.

Pierwszej niedzieli po żniwach odbyło się poświęcenie lecznicy i jednocześnie jej otwarcie. Zebrały się tłumy ludzi z kilkunastu okolicznych wsi, przyjechał nawet z odległego starostwa lekarz powiatowy, który chciał poznać profesora Wilczura. Doktor Pawlicki, chociaż zaproszenie również otrzymał, demonstracyjnie świecił swoją nieobecnością. Poświęcenia dokonał proboszcz radoliski, ksiądz Grabek, który też wygłosił piękne przemówienie, dziękując Wilczurowi za to, że postanowił osiedlić się w tych stronach i pracować dla ludu tutejszego, oraz podkreślając zasługi tegoż ludu, który budując lecznicę, dał tak piękny przykład innym. Następnie Wilczur powiedział kilka serdecznych słów i uroczystość była skończona. Ludzie jednak długo nie rozjeżdżali się, oglądając wszystko dokładnie, interesując się szczegółami i chwalać solidną budowę domu.

Właściwie nowo wzniesiona lecznica była bardzo podobna do tych lecznic wiejskich, których setki i tysiące znajdują się na Zachodzie. Różniła się od nich tylko tym, że w sieni stała skrzynia, do której pacjenci mogli, jeżeli chcieli i było ich stać na to, składać przywiezione honoraria pod postacią czy to masła, czy jajek, czy kawałka słoniny, czy torby zboża. Zapasy te miały zarówno służyć dla żywienia obłożnie chorych, jak i na utrzymanie lecznicy. Obok skrzyni ustawiono też blaszaną skarbonkę na datki pieniężne, chociaż te zdarzały się bardzo rzadko.

Już nazajutrz po uruchomieniu lecznicy okazało się, jak bardzo była potrzebna. Przywieziono z Nieskupy córkę jednego z gospodarzy, która się nadziała na widły i była prawie umierająca. Pod wieczór z Wickunów przytransportowano parobka dworskiego ze zmiażdżoną nogą: wpadł do młocki. Ten pacjent różnił się tym od innych, że właściciel majątku obiecał opłacić jego kurację. Lecznica z zasady miała służyć wyłącznie ludziom biednym, okolicznym chłopom, którzy własnymi rękami lub rękami krewnych przyczynili się do jej wzniesienia.

Przeprowadzka profesora i Jemiola odbyła się dopiero w czwartek, a w piątek przywieziono z Radoliszek rzeczy Łucji. Ponieważ fama o otwarciu lecznicy rozeszła się szeroko, zwiększał się też napływ pacjentów. Toteż profesor z wdzięcznością przyjął propozycję Donki, która ofiarowała się z pomocą przy opatrywaniu chorych.

Praca w lecznicy weszła w normalny tryb. Od wczesnego rana przyjeżdżali chorzy. Wilczur i Łucja niewiele mieli czasu na rozmowy w ciągu dnia. Natomiast wieczory zawsze spędzali razem. Wtedy chodzili na długie spacerunki. Czasami towarzyszył im Jemiol. Wolał jednak przesiadywanie w karczmie w Radoliszkach. Swoje funkcje w lecznicy traktował z właściwą mu nonszalancją. Często bywał nieobecny wtedy, gdy go potrzebowano, lub też z podium ganku wygłaszał do chłopów przemówienia naszpikowane obcojęzycznymi zwrotami.

— To dziwne — mówiła Łucja. — Nie widziałam jeszcze nigdy tego człowieka w stanie trzeźwym, lecz równie nigdy nie widziałam go pijanego. Zdaje się, że on zupełnie świadomie utrzymuje się w stanie podniecenia alkoholowego.

— Tak — potwierdził Wilczur. — To jest swego rodzaju próba ucieczki od rzeczywistości, świadoma chęć deformowania wyobrażeń o otaczającym świecie. Oczywiście podłożem tu jest jakaś tragedia, którą ten biedny człowiek musiał przeżyć. Czy nie przypomina pani sobie niczego ze swoich sandomierskich czasów, co mogłoby naprowadzić na ślad jego przeżyć?

Łucja przecząco potrząsnęła głową.

— Byłam wtedy małą dziewczynką. Stryjenka wówczas miała już przeszło trzydziestkę. Nie pamiętam, by kiedyś w jej domu wymówiono nazwisko Jemiola.

— Nazwisko zapewne nie. Nie wiem zresztą, jak się on nazywa. Prawdopodobnie rozmyślnie ukrywa swoje nazwisko prawdziwe, podając pierwsze lepsze, jakie mu na myśl przyjdzie. Czy przypomina pani sobie naszą rozmowę w wagonie?

— Owszem — Łucja skinęła głową.

— Pamięta pani, jak wielkie wrażenie na nim zrobiło pani nazwisko. Nigdy przedtem ani później nie widziałem go tak wstrząśniętego. Nawet przestał się cynicznie uśmiechać. Wyzbył się na pewien czas pogardliwie ironicznego gadulstwa.

— Pamiętam — powiedziała Łucja. — Przyznam się panu, że sama byłam bardzo zaintrygowana wówczas. Wiem tylko jedno: że stryjenka przed ślubem uchodziła za jedną z najpiękniejszych panien w Sandomierzu i że cieszyła się dużym powodzeniem.

— Była piękna?

— O tak. Mój stryj kochał ją bardzo.

— A ona? — zapytał Wilczur.

— Sądzę, że była najlepszą żoną. Należała do tych kobiet, o których nawet przypuścić nie można, by zdradzały męża. Jeżeli kiedyś coś zaszło między nią a tym człowiekiem, jestem pewna, że nie był to romans.

— W tych sprawach nie można mieć nigdy żadnej pewności — zauważył Wilczur.

— Oczywiście — przyznała Łucja.

— Ta gorycz, z którą Jemiol wspominał pani stryjenkę, świadczy o tym, że musiało go z nią coś łączyć. I, jak sądzę, coś nieprzeciętnego. Mam wrażenie, że to właśnie zaważyło na całym jego życiu.

Łucja zamyśliła się i powiedziała:

— Po stryjence zostały papiery, których nie przeglądałam. Może w nich znajdę wyjaśnienie tej sprawy.

Wilczur zaciekawiał się.

— Papiery?... Ma je pani tutaj?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie. W Warszawie u państwa Zarzeckich. Jest to kufer z książkami, listami i różnymi drobiazgami stryjenki. Nie przeglądałam tego. Teraz jednak napiszę do Misi Zarzeckiej, by mi przysłała ten kufer wraz z resztą moich rzeczy.

Wilczur powiedział:

— Naprawdę radziłbym pani, droga panno Łucjo, wstrzymać się jeszcze ze sprowadzaniem tutaj swoich rzeczy. Kto wie, czy nie sprzykrzy się tu pani prędzej, niż pani sądzi, i czy nie zapragnie pani powrotu do Warszawy.

Mówił to jednak prawie żartobliwie. W rzeczywistości był przekonany, że postanowienie Łucji jest już ostateczne, że kwestia ich małżeństwa jest już tylko kwestią czasu, gdy oboje przesądzi ją pozytywnie. Łucja nawet nie oburzyła się.

— Ależ oczywiście! Jeżeli zdecyduje się pan na powrót, wrócę z panem.

Zaśmiał się i pocałował ją w rękę.

— Nie, to już niech pani lepiej sprowadzi te rzeczy.

Po tygodniu nadeszły. Oprócz kufra stryjenki przysłała też wielka paka zawierająca różne drobiazgi z dawnego mieszkania Łucji. Po paru dniach jej pokój w lecznicy przybrał zupełnie inny wygląd. Na nagich drewnianych ścianach rozwieszono zostały obrazki, makaty, na podłodze rozłożone kilimy, zjawily się wazony do kwiatów i dużo podobnych rzeczy, dzięki którym pokój stał się zakątkiem miłym i prawie wygodnym. Minęło sporo czasu, zanim Łucja zabrała się do zbadania papierów i listów. Z właściwą starszym osobom systematycznością stryjenka zostawiła wszystko w idealnym porządku. Listy były powiązane w paczki, notatki ściśle datowane. Kilka grubych zeszytów zapisanych drobnym pismem nosiło kolejną numerację. Były to pamiętniki stryjenki jeszcze z jej szkolnego okresu.

Łucja z dużym zainteresowaniem zabrała się do ich lektury. Pisane były ze zwykłą u młodych dziewcząt afekcją i naiwnością. Opisywały stosunki w szkole, drobne sprawy domowe, przyjaźnie i zatargi z koleżankami. Poczynając od klasy czwartej, pojawiły się nowe motywy: pierwsze budzące się uczucia.

Na przestrzeni wielu kartek mowa jest o jakimś panu Lucjanie, który swoją osobą zaprzątnął całą wyobraźnię dziewczynki. Dopiero przy końcu zeszytu okazało się, że owym nadzwyczajnym panem Lucjanem był uczeń z ósmej klasy, którego autorka zresztą osobiście nie znała. Następnym obiektem westchnień staje się profesor geografii, wkrótce jednak musi ustąpić miejsca księdzu prefektowi. Poważne uczucie wywołuje jednak dopiero jakiś pan Juliusz. Jest to młody nauczyciel, polonista, który wraz z nowym rokiem szkolnym zjawia się w gimnazjum. Nie podoba się ogółowi uczennic siódmej klasy. Jest niepozorny i według powszechnej opinii brzydki. Autorka pamiętnika jednak odnajduje w nim takie wartości, o jakich ani marzyć nie mogliby ani ksiądz prefekt, ani maturzysta Lucjan, ani profesor geografii. Pan Juliusz jest poetą. Godzina lekcji, tylko jedna godzina — to tak mało. Jakże pięknie on mówi! Jak głęboko wyczuwa myśli wieszczów, ile z obojętnych strof, których należało dawniej ze wstrętem uczyć się na pamięć, wydobywa blasku i ciepła.

Nie lubią go w szkole. Koledzy profesorowie odnoszą się doń jakby lekceważąco. Uczennice stroją zeń żarciki za jego plecami, a nieraz płatają mu wstrętne figle. Lecz za to tym bardziej trzeba go kochać. Trzeba mu wynagrodzić to wszystko uczuciami wprawdzie niewyznanymi, wprawdzie głęboko tajonymi, lecz tym niemniej wyrównującymi<sup>54</sup> gdzieś, poza rzeczywistością, te krzywdy, które go spotykają. Trzeba uczyć się pilnie, trzeba by wypracowania wykonane były z największą starannością, by odpowiedzi przy tablicy zadowolić mogły wysoki poziom jego wymagań.

Przez okres siódmej klasy wszystko pozostaje w takim stadium. Natomiast w ósmej następuje pierwsze spotkanie poza szkołą. Po spotkaniu tym pamiętnik przybiera ton egzaltowany, kartki gęsto pstrzą się od superlatywów, od płomiennych wyznań miłosnych, od marzeń o przyszłości.

Z wiernie powtórzonych tu rozmów widać, że między uczennicą a nauczycielem rozwinęło się naprawdę głębokie i wielkie uczucie. Pan Juliusz widuje się z nią codziennie. Często przynosi jej kwiaty, napisał dla niej, wyłącznie dla niej piękny poemat, którego nie wydrukuję nigdy, bo jest tylko dla niej napisany. Poemat nosi tytuł *Anemona*.

<sup>54</sup>wyrównującymi — dziś: wyrównującymi. [przypis edytorski]



Jest strasznie mądry, a tak trudno się przyznać, że się nie wszystko rozumie. Pan Juliusz pomimo swego młodego wieku, bo starszy jest od niej zaledwie o siedem lat, jest bez wątpienia najmądrzejszym człowiekiem, jakiego można spotkać na świecie. Nie tylko najmądrzejszym. Przede wszystkim najszlachetniejszym. Dopiero przez jego oczy zobaczyła świat tak piękny, jakim świat jest naprawdę. Dopiero przez serce odczuła bezgraniczną dobroć Boga, dopiero dzięki niemu potrafiła pojąć, jak wiele trzeba mieć w duszy miłości bliźniego.

Łucja ze szczerym wzruszeniem zamknęła pamiętnik. Kończył się on wraz z końcem szkoły, wraz z maturą. Ostatnie zdania zawierały radosną informację, że na okres wakacyjny autorka wyjeżdża z rodzicami do Szczawnicy i że tam również przyjedzie on.

Wśród listów stryjenki najwięcej pozycji zajmowały listy stryja. Nie były to listy specjalnie ciekawe. Pisał często, lecz krótko i rzeczowo. Nawet listy z okresu narzeczeństwa, podpisane sentymentalnie „Twój wierny paż Adam”, wydawały się trochę oschłe.

Czytając te listy, Łucja nie mogła pozbyć się uśmiechu. Przypominała sobie przecie stryja. Nie robił wrażenia pazia. Miał okazałą łysinę, duży brzuch i łopaciastą szpakowatą brodę. Całymi nocami grywał w winta i pił dużo piwa.

Dalej były listy od krewnych, od znajomych, od przyjaciółek, zawiadomienia o śmierci, zaproszenia na śluby, barwne kartki pocztowe z imiennymi i świątecznymi życzeniami. Na próżno wśród tych stert papieru Łucja szukała imienia Juliusza. Znalazła je wreszcie na samym dnie szkatułki. Była to sporych rozmiarów paczka związana sznurkiem i starannie zalakowana. Na wierzchu widniał napis zrobiony ręką stryjenki: „Własność JW Pana Juliusza Polańskiego. — Gdyby się nie zgłosił, proszę spalić po mojej śmierci”.

Łucja długo wahała się, co ma zrobić. Coś jej mówiło, że znajdzie tu rozwiązanie wielu tajemnic nie tylko z życia stryjenki.

Przez kilka dni nie mogła się zdobyć na decyzję. Nieraz brała do rąk nożyczki i nieraz je odkładała. Wreszcie pewnego dnia zapytała Wilczurą:

— W papierach stryjenki znalazłam paczkę przeznaczoną dla człowieka, którego kochała będąc młodą dziewczyną. Na paczce jest napis dysponujący nią w ten sposób, że jeżeli się po jej odbiór nie zgłosi niejaki pan Juliusz Polański, należy ją spalić bez otwierania. I teraz sama nie wiem, jak postąpić. Mogę się domyślać, że owym Juliuszem jest właśnie nie kto inny jak nasz przyjaciel Jemioł.

— Bardzo prawdopodobne.

— Obawiam się jednak — ciągnęła — że może być to moje przywidzenie. A sprawdzić rzecz można tylko otwierając paczkę wbrew życzeniu zmarłej.

— Jest jeszcze inny sposób — zauważył Wilczur. — Można zapytać Jemioła, czy to jego nazwisko.

Łucja potrząsnęła głową.

— Widzi pan, i co do tego mam wątpliwości. Czy wskazane jest budzić w nim znowu wspomnienia, jak to się banalnie nazywa: rozkrwawiać blizny.

Wilczur zamyślił się.

— Co do tego nie mogę mieć zdania i w ogóle nie może być zdania obiektywnego. W każdym razie uważam, że ani pani, ani ja nie mamy po prostu prawa dysponować czymś, co nie należy do nas. Jeżeli paczka jest przeznaczona dla niego, sądzę, że należy mu ją oddać. Postąpi z nią tak, jak będzie chciał. Może, nie czytając, wrzuci w ogień, a może zechce właśnie powrócić pamięcią do tamtych lat. Widziała pani przecież, że tkwią w tej pamięci bardzo mocno.

— Przeczytałam pamiętniki stryjenki z jej czasów szkolnych. Wynika z nich, że kochała się przez dwa lata, aż do ukończenia gimnazjum w tym Juliuszu. Trudno mi uwierzyć, że opisywany przez nią tam człowiek może być Jemiołem. Stryjenka charakteryzuje go jako istotę ponad ludzką miarę szlachetną, o idealistycznym światopoglądzie, o chrześcijańskiej etyce, o poetyckim usposobieniu. Wątpię, by tak dalece ktoś mógł się zmienić.

— Droga panno Łucjo. Bywają takie przeżycia, które ze zbrodniarzy robią aniołów i z aniołów zbrodniarzy.

— Zapewne — przyznała. — W tym jednak wypadku wydaje mi się to zbyt rażące.

Nazajutrz po tej rozmowie Łucja wieczorem zastała Jemioła siedzącego na ławce przy ganku lecznicy. Usiadła obok i powiedziała:

— Prysłano mi rzeczy po mojej stryjence. Wśród nich znalazłam paczkę zawierającą prawdopodobnie listy. Paczka jest zalakowana, a na niej jest umieszczony napis, by zwrócić ją komuś, jeżeli ten ktoś po nią się zgłosi. W przeciwnym zaś razie paczkę spalić.

Rysy Jemiola ściągnęły się. Spojrzał ostrym wzrokiem na Łucję i po chwili odezwał się cicho:

— I jakież nazwisko jest na tej paczce? Może mi to pani powiedzieć?

— Oczywiście. Polański, Juliusz Polański.

Zapanowało milczenie. Łucja już wiedziała teraz, że nie zachodziła tu pomyłka. Jemioł, usłyszawszy to nazwisko, skurczył się, zgarbił, zdawało się, zmniejszył o połowę. Jego palce kurczowo zacisnęły się na poręczy ławki. Wilczur miał rację, mówiąc, że wspomnienia muszą w tym człowieku być bardzo silne.

— Sama nie wiem, jak mam postąpić. Dotychczas nikt się nie zgłosił po te papiery...

Jemioł milczał.

— Minęło wiele lat — ciągnęła. — Może już ten człowiek nie żyje, może jest gdzieś daleko, za granicą. Może się nigdy nie zgłosi. Mówię o tym panu dlatego, że znał pan moją stryjenkę za czasów jej młodości, o ile mi się zdaje. Może pan wie coś o owym panu nazwiskiem Polański... Może pan go znał?

Zrobił krótki, przeczący ruch głową i powiedział:

— Nie znałem. Nie... Nie znałem...

W jego głosie była jakaś nutka okrucieństwa.

— Wobec tego chyba spalę te papiery.

— Niech je pani spali jak najprędzej. Wszystkie papiery należy palić. Łajdactwem jest przechowywanie papierów. Prawda nie daje się przechować! Rozumie to pani? Prawda z biegiem czasu staje się kłamstwem! Obrażliwym kłamstwem, oszczerstwem, potwarzą. Drwiną!...

Przyglądała mu się z zainteresowaniem, on jednak zdawał się tego nie dostrzegać.

— Tylko głupcy i ludzie nieuczciwi przechowują cudze myśli, cudze słowa, cudze uczucia, by delektować się nimi, wtedy gdy już nie mają do tego żadnego prawa, kiedy to jest zwykłą kradzieżą, rabunkiem, dokonanym na kimś bezbronny. Przecież pani to musi rozumieć.

— Rozumiem to — przyznała Łucja. — Ale to, co pan złego mówi o ludziach zatrzymujących czyjeś listy, nie może się odnosić do mojej stryjenki. Paczka zalakowana była od dawna i stryjenka zapewne nie zaglądała do niej wcale od czasu, gdy znała autora owych listów. Zresztą nie wiem, czy tam są wyłącznie listy. Paczka może zawierać również jakieś pamiątki...

— To jest zupełnie to samo — przerwał jej gniewnie. — Jakaż różnica? Pamiątki też pochodzą z jakichś uczuć, z jakichś myśli. Z chwili. Z danego momentu. Z danego nastroju.

Łucja udając, że nie dostrzega jego aż nazbyt osobistego stosunku do sprawy, zapytała:

— Więc sądzi pan, że raczej powinnam spalić?

— Nie raczej, lecz koniecznie i to jak najprędzej.

— Może i ma pan słuszność — powiedziała obojętnym tonem. — Zastosuję się do pańskiej rady.

Po chwili dodała:

— Miałam początkowo wprawdzie ochotę otworzyć paczkę i zobaczyć, czy wewnątrz nie znajdę bliższych wiadomości o adresacie. Pomyślałam sobie jednak, że może być to niedyskrecja, która kogoś skrzywdzi. Tak. Najlepiej będzie to spalić.

Jemioł zaśmiał się ironicznie.

— Gdyby ludzie byli mądrzejsi, paliliby takie rzeczy znacznie wcześniej: jeszcze przed ich wysłaniem. Później już trudno odzyskać listy. A niedyskretni szperacze z czasem je odszukują, ogłoszą drukiem. Najintymniejsze, najświętsze tajemnice człowieka rozwłóczą po swoich śmierdzących ulicach i rynkach jak psy, które odgrzebały kości nieboszczyka!... Oczywiście, żeby dostąpić tego zaszczytu, trzeba być sławnym. Trzeba przez całe życie wypruć z siebie flaki, być bohaterem czy wielkim poetą, obdarowywać naród swoją duszą, swoim umysłem, swoją krwią. Wtedy dopiero wdzięczni potomni uczczą cię wywlekaniem twoich tajemnic, twego prywatnego życia, twoich świętości. Jeżeli ktoś za

życia sławy nie zdobył, musi się kontentować mniejszym. Musi się ograniczyć do nadziei, że jego listy dostaną się do rąk nielicznej tylko garstki kochanych spadkobierców.

— Czasami bywa i inaczej — zauważyła Łucja. — Jak na przykład w tym wypadku. Sama adresatka, moja stryjenka, bynajmniej nie chciała, by listy owego człowieka dostały się do czyichś rąk.

Wzruszył ramionami.

— Dlaczego w takim razie ich nie spaliła?

— Zapewne dlatego, że sądziła, iż autor może zażądać zwrotu. I widzi pan, dostały się do moich rąk i ja również nie zajrzałam do nich. Wkrótce przestaną istnieć, nie narażając się na ciekawość ludzką.

Jemioł wstał. Twarz jego wyrażała dawny, cyniczny i obojętny stosunek do otaczającego go świata.

— Bardzo miło rozmawia się z panią, *carissima*, ale już więcej pani czasu poświęcić nie mogę. Wzywa mnie obowiązek. Muszę przyczynić się do dobrobytu ojczyzny, przelewając do swego żołądka pewną dozę płynnych kartofli.

— Oby tylko ta doza nie była zbyt wielka — z uśmiechem zauważyła Łucja.

— Nie ma obawy. Ograniczę się ściśle do takiej, która przypada na mnie jako na jedną głowę według urzędowej statystyki spożycia alkoholu. Jeżeli będzie to doza podwójna, proszę mi tego za złe nie brać. Różnica wynika stąd, że głowa taka jak moja warta jest dwa razy więcej.

Patrzyła za nim, gdy się oddalał. Jego dowcipkowanie nie wprowadziło jej w błąd. Wiedziała dobrze, że wszystkie jego myśli skupiają się wokół minionych przeżyć. Wydał się jej teraz bardziej zbliżony do owego Juliusza z pamiętnika stryjenki.

Tegoż wieczora powiedziała Wilczurowi:

— Teraz już wiem ponad wszelką wątpliwość, że Jemioł jest owym człowiekiem, który był pierwszą miłością mojej stryjenki.

Wilczur zapytał:

— Czy chciał, by pani mu zwróciła paczkę z listami?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie.

Wilczur uśmiechnął się.

— Spodziewałem się tego.

— Serio? Przyznam się, że dla mnie była to prawdziwa niespodzianka.

— Bo za mało go pani zna. Ludzie jego typu nie lubią grzebać się w przeszłości, którą raz przekreślili sami lub którym los tę przeszłość przekreślił.

— Przekreślić to nie znaczy jeszcze zapomnieć — zauważyła Łucja.

— Tak. Ale to znaczy chcieć zapomnieć. Co prawda w takich wypadkach chcieć nigdy nie oznacza móc...

Tegoż dnia Łucja spaliła wszystkie listy i papiery stryjenki. Nie powiedziała o tym Jemiołowi ani słowa, oczekując, że sam zapyta. On jednak dopiero po tygodniu podczas rozmowy rzucił niedbale pytanie:

— I cóż pani, *senorita*, zrobiła z pozostałościami po swej czcigodnej krewniaczce?

— Zrobiłam tak, jak pan radził — odpowiedziała. — Spaliłam wszystko. Ale przyznam się panu, że się boję, czy nie będę tego żałowała. Kto wie, czy osoba, której na tych papierach mogło zależeć, nie zgłosi się kiedyś i nie zapragnie zabrać tych rzeczy.

Jemioł wykrzywił usta.

— O, *darling*. O ile znam ludzi, na pewno to się nie przytrafi.

— Gdybym tak tego była pewna jak pan, nie miałabym wyrzutów sumienia, że postąpiłam zbyt lekkomyślnie.

— Lekkomysłności nie powinno się nigdy żałować. Przez całe życie byłem lekkomyślny i widzi pani, jakie wspaniałe rezultaty. Oplwam w dostatek, kobiety mnie kochają, mam rozum i wiem, jak powiada Fredro, czegoż mi jeszcze brak?... Lekkomysłność to zaleta prawdziwych filozofów. Niech pani to weźmie przez przeciwstawienie: ciężkomysłność! Ciężko myślą ludzie tępi i ponurzy.

Łucja uśmiechnęła się.

— I pan bywa czasami ponury.

Podniósł wskazujący palec.

— Ale tylko podczas niedyspozycji żołądkowych.  
— Albo pod wpływem jakichś refleksji.  
Potrzęsnał przecząco głową.  
— Refleksje są właśnie prostym skutkiem złego trawienia. Jako lekarka powinna pani to wiedzieć.

Zaśmiała się.

— Jako lekarka protestuję.

— Jest pani w błędzie. Przecież nic nie wiemy o istnieniu naszego organizmu, o istnieniu naszych organów, póki nie zaczną się nam przypominać przy pomocy bólów. Wtedy człowiek, jak powiada mędrzec Pański, patrzy w siebie. A patrzenie w siebie to właśnie refleksje. Podejrzewam, że Budda zapatrzony we własny pępek musiał cierpieć na niestrawność, na co zresztą wskazuje wyraźnie wzdęcie jego brzucha. W ogóle ludzie zbyt mało uwagi zwracają na łączność spraw duchowych z procesem trawienia. Freud łączy wszystko to ze sprawami płciowymi. Niech pani mu zrobi konkurencję i zwróci uwagę ludzkości na żołądek. Wówczas może się okazać, że cierpienia młodego Wertera powstały pod wpływem dyspepsji, na jaką w owym czasie cierpiał pan Goethe, że *Smutno mi, Boże* zrodziło się nie z nostalgii, lecz z nadmiaru makaronów w żołądku pana Słowackiego. Tak, *illustrissima*<sup>55</sup>, więcej uwagi skierować należy na jamę brzuszną. Kto wie, jakby wyglądał dziś świat, gdyby Napoleonowi przed bitwą pod Waterloo nie dano jajeczniczy z sześciu jajek. Kto wie, co by się stało z potęgą Anglii, gdyby Filipek hiszpański nie cierpiał na nadkwaśność żołądka.

— Kto wie — żartobliwie podchwyciła Łucja — jakby wyglądał pan Cyprian Jemioł, gdyby jego żołądek nie pochłaniał takich ilości alkoholu.

Wzruszył ramionami.

— Zaraz to pani powiem.

— Słucham.

— Wyglądałby jak jakaś bardzo sztywna rzecz opięta w tużurek, ubrana w buty o tekturowych podeszwach i trzymająca rączki grzecznie złożone na własnym popiersiu, a głowę na poduszce z siana. Mówiąc krócej, byłby to normalny standardowy trupek, zielony i smutny, w czterech deskach trumny. Zgadła pani. Istotnie, alkohol ma wielki wpływ na kwestie pozostawiania przy życiu osobnika zwanego Cyprianem Jemiołem. To jest jedyny płyn, który się krystalizuje w ten sposób, że przez jego pryzmat można jeszcze jako tako oglądać parszywą rzeczywistość dnia codziennego, twarze i pyski hołoty zamieszkującej ten glob i słońce, które bezmyślnie żywi na nim tak wiele niepotrzebnych stworów.

Łucja powiedziała poważnie:

— Może właśnie dlatego rzeczywistość wydaje się panu parszywą, że spogląda pan na nią przez pryzmat butelki.

— Droga pani. Są dwa rodzaje butelek: pełne i puste. A ja umiem porównywać. I upewniam panią, że przez pełną świat zupełnie inaczej wygląda niż przez pustą.

— I nie przyszło panu na myśl, że można patrzeć na świat nie używając żadnego „pryzmatu”?

Uśmiechnął się pogardliwie.

— Owszem. Były kiedyś takie czasy. Miałem kiedyś taki okres w życiu, który nazwałbym dzisiaj okresem cielejącym. Byłem wówczas tak straszliwie głupi, że dziś trudno mi uwierzyć, trudno mi ogarnąć rozmiar mojej ówczesnej głupoty.

— Obawiam się, że pan głupotą nazywa idealizm.

— Ale cóż znowu — zaprotestował Jemioł. — Idealizm nie jest głupotą. To jest ostateczne zidiocenie.

Łucja spojrzała nań z niedowierzaniem i machnęła ręką.

— Nie wierzę. Powiem panu, że nie wierzę w ten pański cynizm. To jest maska, którą zakrywa się pan przed samym sobą.

— Zgadła pani, *madame* — odpowiedział z powagą. — Naprawdę to ja jestem cherubinem, który chowa anielski puch swoich skrzydeł pod kamizelką. Dlatego właśnie nie kąpię się, by się nie zdemaskować.

<sup>55</sup>*illustrissima* (wł.) — najznakomitsza. [przypis edytorski]

— Nie przekona mnie pan żarcikami. Intuicja nie zawodzi mnie w takich wypadkach. W głębi duszy pozostał pan takim człowiekiem, jakim był wtedy.

— Kiedy? — zapytał podejrzliwie.

Zawahala się.

— No, za czasów swojej młodości. Za tych czasów, kiedy był pan, jak pan mówi, głupi.

Jemioł zmrugał oczy i skrzywił się.

— Dajmy temu spokój — powiedział innym tonem. — Gdyby nawet tak było, po co mi to pani przypomina...

Odwrócił się i odszedł wolnym, ociężałym krokiem.

## ROZDZIAŁ XII

Pociąg z Wiednia przychodził o dziewiątej dwadzieścia. Kolski o dziewiątej był już na dworcu. Zatelefonował do lecznicy, że się spóźni o godzinę. W kiosku kupił kilka róż i stał teraz z nimi na peronie. Wstydił się tych róż i sam sobie wydawał się śmiesznym młokosem, który na powitanie ukochanej występuje z kwiatami.

W istocie nie wiedział, po co tu przyszedł. Nie miało to żadnego sensu. Należało zignorować depeszę pani Niny. Co też jej strzeliło do głowy zawiadamiać go telegraficznie o godzinie swego przyjazdu!

A już w każdym razie mógł przyjść na dworzec oficjalnie, bez żadnych głupich kwiatów. Po prostu po to, by powitać żonę szefa. Dobrze by nawet było zabrać z sobą któregoś z młodszych kolegów.

„Cóż ona sobie wyobraża — myślał. — Na pewno zdaje się jej, że jestem w niej zakochany. Muszę jej powiedzieć w oczy, że nie”.

W tej chwili zdawało mu się, że nienawidzi pani Niny. W istocie uczucia, jakie dla niej żywił, były dlań niezrozumiałe. Była to mieszanina obawy, zaciekawienia i dość znacznej dozy pożądania. Działała mu na nerwy. Umiała działać na nerwy. Chwilami miewał wrażenie, że ta piękna kobieta bawi się nim jak foksterierem. W rozmowie z nią czuł się po prostu niewolnikiem. Swoimi powiedzeniami niejako narzucała mu odpowiedzi. Przy tym te jej oczy: zimne, czujne, ustawicznie obserwujące oczy. Bał się ich. Dopiero gdy przykrywała je powiekami (robiła to przepięknie, wolno, leniwie, podnosząc jednocześnie źrenice ku górze), nabierał pewności siebie. Przy pocałunkach zawsze zamykała oczy. I wtedy jednak dręczyła go wątpliwość, że pani Nina tylko udaje pożądanie. Gdyby pożądała go naprawdę, od dawna zostałaby jego kochanką. Właściwie mówiąc, wcale tego nie pragnął. Łapał się nieraz na uczuciu pewnego strachu przed tym, co kiedyś przecież musiało nastąpić. Strachu i obrzydzenia. Nie miał na to żadnych dowodów, lecz wiedział, że Nina jest kobietą złą, i przeczuwał, że w stosunku do niego uprawia rodzaj sportu.

Pomimo to jednak nigdy nie umiał zdobyć się wobec niej na tyle odwagi, by jej to otwarcie powiedzieć. Przed wyjazdem spotykała się z nim dość często: dwa, trzy razy tygodniowo. Chodzili razem na spacer, do Łazienek lub Ogrodu Botanicznego. W razie niepogody przesiadywali tę godzinę w cukierni.

Kiedys powiedziała:

— Jutro przyjdę do pana. Chcę zobaczyć, jak pan mieszka.

Musiał udawać uszczęśliwionego. W gruncie rzeczy był przerażony. Kupił jakieś owoce i butelkę wina, starannie posprzątał w swoim mieszkaniu, usuwając wszystkie przedmioty, które mogłyby jej się wydać brzydkie. Miała przyjść o piątej i nie przyszła. Zatelefonowała koło szóstej, mówiąc:

— Jerzy jest w domu i absolutnie nie mogę wyjść. Mam pecha. Czy nie gniewa się pan na mnie?

Czy gniewa się! Był tak uradowany, że omal nie powiedział jej, że błogosławi profesora za to, że siedzi w domu! Odetchnął z ulgą i napisał długi list do Łucji. W kilka dni później zaprosiła go do siebie. Ponieważ wiedział, że o tej porze Dobranieckiego nie będzie w domu, szedł pełen obaw. Na szczęście skończyło się wszystko na pocałunkach.

Sam nie wiedział, dlaczego się boi tej kobiety. Właściwie mówiąc, należało wyzyskać sytuację dla lekkiego romansu, lecz właśnie zdawało mu się, że romans z Niną stałby się dlań trwałym więzieniem. Że uzależniłby się od niej zupełnie. I chociaż go pociągała

zarówno swoją oryginalnością, jak i urodą, zarówno inteligencją, jak i aparycją wielkiej damy, wolał narazić się w jej oczach na posądzenie o sztubacką nieśmiałość i naiwność, niż zachować się jak mężczyzna.

I teraz te kwiaty. Bezsensowne kwiaty. Na parę minut przed nadejściem pociągu zaczął się rozglądać, gdzie by je wyrzucić. Niestety, wszędzie było pełno ludzi. Nie mógł się przecież narazić na śmieszność, wyrzucając świeżo kupione kwiaty. Może ktoś widział, jak je kupował. A zresztą chociażby i nie widział, każdy oczywiście od razu domyśliłby się motywów takiego postępku. Kolski był wściekły. Na domiar złego na sąsiednim peronie zauważył pannę Zarzecką. Nie uklonił się, udając, że jej nie dostrzegł, lecz ukląsała go myśl:

„Naturalnie, ta gęś zaraz napisze do Łucji, że widziała mnie na dworcu stojącego jak idiota z kwiatami. Tego tylko jeszcze brakowało”.

Wreszcie pociąg nadszedł. W oknie wagonu sypialnego stała pani Nina. Wydała mu się, jak zawsze, jak za każdym razem, znacznie piękniejsza niż ten obraz, który nosił w swojej pamięci. Powitała go promiennym uśmiechem i czułym, porozumiewawczym uściskiem ręki.

Panna Zarzecka, jak na złość, stała naprzeciw i gapiała się na nich z irytującą bezcelnością.

Przed dworcem czekała wielka limuzyna Dobranieckich. Dopiero siedząc w aucie, Kolski spostrzegł, że nie wręczył Ninie kwiatów i bezmyślnie międli je w rękach. Dostrzegła to i ona. Sama wyciągnęła po nie rękę i powiedziała:

— Jaki pan dobry. I to ten mój ulubiony kolor. Wie pan, że w mojej wyobraźni kolory łączą się każdy z pewnym uczuciem? Ten kolor jest dla mnie tęsknotą. Czy tęsknił pan za mną?...

— Oczywiście — odpowiedział z uczciwą miną.

— To bardzo ładnie — spojrzała nań czule i końcami palców przesunęła po jego wargach.

Chrząknął i zapytał:

— Jakże się miewa pan profesor?

Wyraz twarzy Niny zmienił się od razu.

— Ach, wie pan, że jestem naprawdę zaniepokojona. Zwiększają się bóle głowy i często opanowuje go melancholia. Nawet nie chciałam go zostawić samego i nie przyjechałabym do Warszawy, gdyby nie...

Uśmiechnęła się porozumiewawczo i ścisnęła go za rękę. Podniósł jej dłoń do ust.

— Cieszę się, że pani przyjechała.

Sam nie wiedział, czy mówi to szczerze. Nie mógł zaprzeczyć, że bliskość tej kobiety podniecała go zawsze. Działała nań jak prąd elektryczny. Miała coś kociego w ruchach, jakąś miękkość i zdradliwość. Używała mocnych perfum, a skórę miała niewypowiedzianie gładką.

Pochyliła ku niemu głowę, jakby zamierzała podać mu usta.

— Szofer — bąknął półgłosem.

— Jestem taka nieostrożna — powiedziała jakby ze skruchą. — Na szczęście pan zawsze o wszystkim pamięta.

Pochlebilo mu to.

— Przynajmniej staram się.

— Wie pan, że nawet czasami miewam panu za złe tę pańską wieczną przytomność umysłu. Czy pan nigdy nie potrafi się zapomnieć?...

Zrobił niezdecydowany ruch ręką.

— Owszem. Przypuszczam, że czasami może mi się to zdarzyć...

— Ale dotychczas się nie zdarzyło?

Zastanowił się i przypomniał sobie. Kiedyś w laboratorium ścisnął aż do bólu dłoń Łucji. Był wtedy prawie nieprzytomny.

— Trzeba panować nad sobą — powiedział zdawkowo.

— Ach, ci mężczyźni. Pojąć nie mogę, za co was kochamy. Jesteście trzeźwi, straszliwie trzeźwi. A przecież cały wdzięk życia polega na umiejętności zapominania o prawach, o obowiązkach, o faktach, o przedmiotach. Trzeba umieć żyć sobą, sobą i kimś drugim.

Auto dojeżdżało do Frascati.

— No, już jesteśmy na miejscu — odezwał się Kolski. — Pani pewnie położy się, by wypocząć po podróży.

Zaprotestowała żywo.

— Ależ bynajmniej. Wcale nie jestem zmęczona. Spałam świetnie. Nigdzie tak dobrze nie sypiam jak w sleepingu. Widocznie jestem stworzona do podróży. Czy pan lubi podróżować?

— Dotychczas podróżowałam bardzo mało. Byłam raz w Wenecji i raz w Berlinie. Ale przyznam się pani, że mnie jazda w wagonie bardzo męczy.

Uśmiechnęła się doń.

— Mój Boże. Mamy tak krańcowo różne usposobienia. Pociesza mnie tylko, że *les extrêmes se touchent*<sup>56</sup>.

Wóz zatrzymał się przed drzwiami pałacyku. Z wewnątrz wybiegł lokaj. Szofer otworzył kufer auta i wyjmował walizy. Kolski zdjął kapelusz.

— Pozwoli pani, że ją pożegnam...

— Ależ to wykluczone — powiedziała z udawanym oburzeniem. — Zje pan ze mną śniadanie.

— Już jestem po śniadaniu, proszę pani.

— O, egoisto. I dlatego chce pan mnie skazać na samotność?

Wzięła go pod rękę i skierowała się ku drzwiom.

— Będzie pan narażony na przykry widok nasycania się zgłodniałej istoty. Ludzie sygnalizują się tak nie brzydzą, jak obserwacją odżywiania się głodnych.

— Jeżeli o panią chodzi, to o obrzydzeniu nie może być mowy. Ale...

— Jeszcze pan znalazł jakieś ale?

— Muszę być już w lecznicy.

— „Koń gotów i zbroja, dziewczyno ty moja, uściśnij, daj miecz”... Niechże pan nie będzie zabawny z tym swoim pietyzmem dla obowiązków. Obejdą się bez pana.

— Niestety... — zaczął, lecz mu przerwała.

— Niestety nie umie pan wytrwać w dobroci dla mnie. Niechże pan mi nie odmawia. Cóż to za koszmar, pusty dom! Zaraz po powrocie! Będę się czuła fatalnie. Już dość mam odwagi i obowiązkowości. To departament mojego męża. Niechże przynajmniej pan będzie dla mnie pobłażliwy i miły. Chodźmy, chodźmy.

Już w hallu powiedział:

— Obiecałem, że będę. Czekają na mnie.

— Więc zatelefonuje pan stąd, że jakiś pacjent, że jakaś pacjentka zatrzymała pana na mieście. Przecież może być pacjentka gwałtownie potrzebująca pańskiej obecności, nieprawdaż?

Rozchyliła usta w uśmiechu i dodała:

— A ja właśnie gwałtownie potrzebuję pańskiej obecności, panie doktorze.

Nie mógł się nie uśmiechnąć również.

— Nie zauważyłem tego. Wygląda pani kwitnąco.

— Ach, jednak dostrzegł pan to?... Za to należy się panu nagroda.

Rozejrzała się. Nikogo ze służby nie było. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

— To jest pańskie honorarium uiszczone z góry. Teraz etyka lekarska nie pozwoli panu zostawić pacjentki bez opieki.

Naprawdę musiał być w lecznicy, lecz nie umiał jej o tym przekonać. Była usposobiona kapryśnie, wesoło i frywolnie. Zresztą ostatecznie do lecznicy można było rzeczywiście zatelefonować.

— Niechże pan zostawi swój kapelusz — przynagliła go. — Chodźmy.

W jadalni lokaj zdążył już postawić drugie nakrycie.

— Teraz musi pan grzecznie na mnie poczekać — mówiła, skubiąc klapę jego marynarki. — W wagonie było jednak dużo kurzu. Wezmę kąpiel, ale nie zajmie mi to więcej czasu niż dziesięć minut. O, może pan przez ten czas rozmówić się telefonicznie z lecznicą i wymyślić jakieś katolickie kłamstwo na swoje usprawiedliwienie.

Telefon był przeniesiony do sypialni. Nina rozmyślnie nie domknęła drzwi łazienki. Kąpiel widocznie była już przygotowana, gdyż po chwili do uszu Kolskiego dobiegł plusk

<sup>56</sup>*les extrêmes se touchent* (fr.) — przeciwności się przyciągają (dosł. dotykają). [przypis edytorski]

wody. Rozmawiał ze starszą pielęgniarką, panią Zaczyńską. Po kolei, systematycznie wydał dyspozycje co do wszystkich swoich pacjentów i powiedział, że ważne sprawy zatrzymują go na mieście. Gdy po pięciu minutach odłożył słuchawkę, usłyszał głos pani Niny:

— Skończył pan?

— Tak, proszę pani.

— No widzi pan, jak jest z pańską megalomanią. Zdawało się panu, że lecznica rozpadnie się w gruzy, jeżeli pan nie przyjdzie. Tymczasem świetnie się bez pana obejda.

— Świetnie, nieświetnie. Właściwie powinienem tam być. Czy pozwoli pani, że zaczekam na nią w hallu?

— Dobrze. Ale przedtem niech mi pan poda płaszcz kąpielowy. Tylko proszę na mnie nie patrzeć.

Kolski rozejrzał się po pokoju.

— Tu nie ma żadnego płaszcza, proszę pani.

— Oczywiście płaszcz jest tu. Tylko daleko ode mnie wisi i nie mogę poń sięgnąć.

— Więc jakże go pani podam? — zapytał zatroskanym głosem.

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Och, panie Janku, panie Janku! Po prostu wejdzie pan do łazienki, zdejmie pan płaszcz z wieszaka i poda mi. Czy dla pana jako dla lekarza widok kobiety... nieubranej jest czymś nadzwyczajnym?

— Zapewne nie — odpowiedział po namyśle. — Ale nie jestem tu w charakterze lekarza.

— A w innym charakterze nie widział pan nigdy kobiety nago?

Był zupełnie speszony i dopiero po chwili się odezwał:

— W każdym razie nie mogę tego powiedzieć o takich kobietach, które... szanuję, które wymagają szacunku.

Widocznie rozbawiło ją to jeszcze bardziej, gdyż wciąż się śmiała.

— Upewniam pana, że żadna kobieta, która może się pokazać bez ubrania mężczyźnie, nie wymaga od niego szacunku. No, niech pan mi da ten płaszcz.

Nie było innego wyjścia. Trzeba było spełnić jej żądanie. Przygryzł wargi i wszedł do łazienki. Był to dość duży pokój kąpielowy, wyłożony różowymi kaflami. Na szczęście wanna znajdowała się w przeciwnym rogu, płaszcz zaś tuż przy drzwiach. Starał się na nią nie patrzeć. Lecz nie mógł ukryć swego zakłopotania. Siedziała w wannie, splecionymi rękami zakrywając piersi. Nie mógł nie zauważyć ślicznej spadzistości jej ramion i gorącego, brązowego koloru jej skóry. Nadrabiając miną i starając się opanować niepotrzebną pośpieszność ruchów, zdjął płaszcz i zbliżył się do wanny.

— Służę pani — powiedział głosem ochrypniętym.

— Ostrożnie, niechże pan go nie wrzuci do wody. Dlaczego pan jest niedobry i przygląda mi się? Przecież prosiłam pana...

Mówiła to tonem zgorzienia.

— Wcale nie przyglądam się pani — zmarszczył brwi.

— Więc niech pan zamknie oczy i poda mi płaszcz.

Zastosował się do jej rozkazu. Usłyszał gwałtowny plusk wody, a później uczuł, jak trzymany przezeń włochaty płaszcz kąpielowy napęlnia się gorącym ciałem.

— Dziękuję panu — powiedziała swobodnie.

Owinęła się płaszczem i zanim zdążył odejść, zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jesteś czarujący z tą swoją wstydlivością — powiedziała mu szeptem i pocałowała go w ucho. — Czy będziesz mnie odtąd uważał za istotę wyuzdaną?...

— Cóż znowu — zaprotestował niepewnie.

Tuż przy swoich widział jej zielone, iskrzące się oczy, ciekawe i badawcze. Musnęła ustami jego podbródek.

— Zawsze jesteś starannie ogolony. No dobrze, niech pan na mnie zaczeka w hallu.

Gdy pośpiesznie wyszedł z łazienki, zawołała jeszcze za nim:

— A nie pogniewa się pan na mnie, jeżeli do śniadania przyjdę w szlafroku? Tak mi się nie chce ubierać!

— Ależ proszę panią.



— Naprawdę pan prosi? — zapytała zaczepnie. — Zawsze wydawało mi się, że jestem dla pana obojętna...

— Wydawało się niesłusznie — odpowiedział bez przekonania.

— Za pięć minut będę gotowa.

Istotnie nie czekał dłużej. Przyszła w jasnozielonym szlafrocisku. Zauważył, że w pośpiechu zostawiła na jednym policzku trochę więcej różu niż na drugim. Pomimo to wyglądała fascynująco. Śniadanie jadła z apetytem, nie przestając mówić. W pewnej chwili niespodziewanie rzuciła pytanie:

— I cóż się dzieje z tą pańską lekarką?

Powiedziała to lekkim tonem, lecz Kolski od razu najeżył się.

— Nie wiem, proszę pani. Jest poza Warszawą.

— I nie pisujecie do siebie?

— Nie — skłamał.

Pieszczotliwie położyła dłoń na jego rękę. Wiele dałby za to, by móc ją brutalnie odepchnąć.

— Widzi pan, panie Janku. Mówiłam panu, że to panu przejdzie. Czas robi swoje.

— Zapewne — mruknął niechętnie.

Był do głębi dotknięty jej słowami i gwałtownie szukał w myśli sposobu zemsty. Nie wiadomo dlaczego przyszło mu do głowy, że sprawi jej przykrość, jeżeli posądzi ją o jakieś bliższe stosunki z rotmistrzem Korsakiem. Widywał go w domu Dobranieckich dość często. Rotmistrz wprawdzie zachowywał się zupełnie poprawnie, nie można było jednak nie zauważyć, że jego uroda, rzeczywiście nieprzeciętna, i temperament podobały się kobietom.

— Czy pani równie łatwo zapomni rotmistrza Korsaka? — powiedział po pauzie.

Spojrzała nań ostro.

— Co pan przez to rozumie?

Wzruszył ramionami.

— Ja nic.

Zaśmiała się swobodnie.

— Wie pan, że czułabym się dotknięta pańską aluzją, gdyby nie jej absolutna bezprzedmiotowość i gdyby nie przekonanie, że pan o tym wie doskonale.

Opuścił oczy. Istotnie posądzenie pani Niny o romans z rotmistrzem było równie nieuzasadnione jak posądzenie jej o romans z pierwszym lepszym spotkanym przechodniem. Zdawał sobie sprawę, że jego złośliwość chybiła celu i mruknął:

— Nie była to żadna aluzja.

Nie przestawała się uśmiechać.

— Owszem, była. I pod pewnym względem sprawiła mi przyjemność.

— Przyjemność? — zdziwił się.

— Tak, przyjemność. Dała mi niezbity dowód, że pan jest o mnie zazdrosny.

Chciał wzruszyć ramionami, lecz opanował się i powiedział:

— O zazdrości nie może tu być mowy.

— Tak trudno się panu do niej przyznać?... Czy to taki wstyd być zazdrosnym o mnie?...

Milczał z opuszczoną głową. Pani Nina wstała, zbliżyła się do niego, delikatnie obu rękami uniosła głowę i pochylając się nad nim tak blisko, że czuł jej oddech, zapytała:

— Czyż jestem tak niepociągająca i aż tak brzydka?...

Zacerwienił się. Ponownie uderzyła go jej piękność i jakiś nieodparty czar wynikający z kontrastu zmysłowości ust i nozdrzy i chłodu wielkich, zielonych oczu.

— Jest pani piękna — powiedział cicho.

Przesunęła kilkakrotnie końcami palców po jego włosach i twarzy i szepnęła:

— Tak szalenie tęskniłam za panem...

W sąsiednim pokoju rozległy się kroki służącego. Wyprostowała się i zmieniła ton:

— Gorąco tu. Chodźmy do biblioteki. Tam jest najchłodniej.

W bibliotece okna były do połowy zasłonięte ciężkimi adamaszkowymi zasłonami. Panował tu przyjemny chłód i półmrok. Wskazała mu miejsce na szerokiej, wygodnej sofie. Kolski udał, że nie dostrzega jej gestu, i wybrał przepaścisty klubowy fotel. Lecz pani

Nina była zbyt doświadczoną kobietą, by zwrócić na to uwagę. Zapaliła papierosa i chodząc po pokoju, zaczęła opowiadać mu o swoim pobycie za granicą, o ludziach, których tam poznała, o rozrywkach i spostrzeżeniach, których przywiozła mnóstwo. Najdziwniejszym z nich było to, że po raz pierwszy tęskniła, naprawdę tęskniła do kraju. Umiała mówić interesująco. Jasnozielony szlafroczek finezyjnie uwypuklał wspaniałą budowę jej ciała i oczy Kolskiego mimo woli nie mogły się oderwać od niej, tak jak i jego uwaga. W pewnym momencie odłożyła papierosa i usiadła na szerokiej poręczy fotela i opierając się o ramię Kolskiego, mówiła dalej z taką miną, jakby pozycja ta była czymś najbardziej naturalnym:

— To najbardziej zdumiewające uczucie z tych, jakie znam. Tęsknota. Człowiekowi wydaje się, że jest całkowicie pochłonięty otaczającą go rzeczywistością, wżyty w nowe środowisko, zajęty nowymi sprawami. I nagle oślepiający błysk: czyjaś twarz, czyjeś oczy, czyjeś usta i ręce. Czuje się je na sobie z dojmującym realizmem i przychodzi świadomość, że wszystko, co nas otacza, jest nieważne, obojętne nawet wstrętne. Wstrętne właśnie dlatego, że oddala nas od tych rąk, od tych ust. Czy znasz ten ból serca, ten zupełnie fizyczny ból, który przez piersi przechodzi wówczas gwałtowną, krótką falą?...

Kolski poddał się sugestystywności jej słów i tonu. W mgnieniu oka nie tylko wspomniął liczne chwile tęsknoty za Łucją, lecz właśnie taka chwila ogarnęła go teraz. Jej serce... jej jasne, ciepłe spojrzenie... Jej usta, które przy mówieniu poruszają się tak, jakby w rozchyleniach warg formowały słowa, niczym dotykalne kształty z jakiejś niewidzialnej plasteliny... Usta, których nigdy nie całował i których nigdy nie będzie posiadał... Ból. Dojmujący, fizyczny ból w sercu... Jak ona to dobrze powiedziała... Skąd ona to wszystko wie? Jak trafnie potrafi ująć...

Wydała mu się teraz rzeczywiście jedyną istotą na świecie, która potrafi zrozumieć jego tragedię. Przecież na początku zbliżenia z takim naciskiem mówiła mu o tym, że cierpienia duszy stokroć łatwiej dadzą się ukoić, gdy czyjaś serdeczna pomoc, czyjeś mądre spojrzenie, czyjeś umiejętność, a głębokie uczucie weźmie na siebie część naszego strapienia. A jakże mógł wątpić o szczerości jej słów wypowiedzianych wówczas w nocy na tarasie, o uczuciach, o których mówiła teraz, o mądrości i znawstwie duszy ludzkiej, które odkrywał w niej za każdym razem? Czyż nie było szaleństwem to, że bronił się przed tym wszystkim, zamiast przyjmując jej dary z całą wdzięcznością i oddaniem?...

W milczeniu wyciągnął rękę i objął ją łagodnym, czułym ruchem. Jakby tylko na to czekała, zsunęła się na jego kolana miękko i ufnie.

— Tyle przeżyłam tam z dala od ciebie, tyle przemyślałam — mówiła cicho, ledwie dotykając policzkiem do jego skroni. — Bywały takie nerwowe dni oczekiwań, dni bezsensownych nadziei. Wyobraź sobie, że ogarniała mnie wówczas jakaś mania. Nazywałam to przecuciem. Oczekiwałam, że zrobisz mi niespodziankę i przyjedziesz. Wiedziałam, że to absurd. Śmiałam się sama z siebie, lecz przeczuć tych nie mogłam opanować. Pytali mnie wówczas, co mi jest.

Umilkła i dodała po chwili:

— Czyż ja wiem, co to jest? Czyż ja potrafię to nazwać? Jakże wiele jest wyrazów, jak wiele określeń! Można się zgubić w ich lesie i nie umieć wybrać. I nie znaleźć odpowiedniego. Mówić o uczuciach to tak, jakby się chciało słowami opowiedzieć utwór muzyczny. Niepodobiestwo! Czy prawda?

— Tak, tak — potwierdził i przytulił ją mocniej do siebie.

W skroniach mocno tętniła krew. Wszystkie mięśnie przenikała fala odczucia bliskości jej ciała.

Przywarła ustami do jego ust w długim, rozkosznym, męczącym pocałunku.

Nie oderwała warg i wtedy, gdy wstał i niosąc ją na rękach, złożył na sofie...

Od tego dnia, od tych godzin spędzonych z Niną w bibliotece radykalnie zmienił się stosunek Kolskiego do niej. Uwierzył. Uwierzył, że go kocha. I chociaż sam daleki był od podobnego uczucia do niej, tym bardziej pragnął to wyrównać pozorami miłości.

Ze względu na opinię otoczenia nie mogli sobie pozwolić na zbyt częste widywanie się. Przychodziła doń dwa razy, rzadziej trzy razy w tygodniu. Niestety, zostawała zbyt długo, uniemożliwiając mu w te dni wypełnianie swoich obowiązków w stosunku do pacjentów w lecznicy jak i poza lecznicą. Oczywiście nie wspomniął jej ani razu o tym. Jakakolwiek

wzmianka na ten temat byłaby wręcz niemożliwa. Z biegiem czasu przeszła mu nawet ochota do jakiegoś uregulowania tej sprawy. Przyzwyczajal się do Niny coraz bardziej. Stosunek z nią istotnie zdawał się skutecznym lekarstwem, a jeżeli nie lekarstwem, to przynajmniej narkotykiem, który zagłuszał w nim tęsknotę za Łucją. Do Łucji pisywał równie często jak dawniej. I może przy pisaniu tych listów odczuwał rodzaj jakby swojej winy, jakby zdrady, którą popełnił. Nie miało to żadnego uzasadnienia, a jednak słowami pełnymi czułości pragnął wyrazić jej niejako ekspiację.

Były to jedyne momenty, kiedy miłość do Łucji wzbierała w nim tak silną falą jak dawniej. Były to jedynie momenty, kiedy musiał zagłuszać w sobie przeświadczenie o bezwartościowości jego romansu z Niną. Poza tym romans ten wszedł już w jego życie niby naturalna i nieodzowna część programu tygodnia. Gdy zdarzało się czasami, że Ninie przeszkodziło coś w zjawieniu się o umówionej godzinie, irytował się i nie umiał sobie znaleźć miejsca. Więcej, bo dostrzegł też u siebie objawy zazdrości.

Było to pewnego wtorku. Miała przyjść do niego o szóstej. Na ogół była punktualna i w razie gdy jej coś przeszkodziło, zawsze zawiadamiała go albo listownie, albo telefonicznie. Tym razem było już po wpół do siódmej, kiedy zdecydował się sam do niej zadzwonić. Słuchawkę podniosła pokojówka. Wymienił swoje nazwisko i zapytał, czy może prosić panią profesorową. Usłyszał wyraźnie:

— Zaraz zamelduję, panie doktorze.

Pokojówka go знаła, a może nawet domyślała się, że łączy ją z jej panią jakieś bliższe stosunki. Toteż nie przypuszczała widocznie, że pani chce przed nim ukryć swoją obecność w domu. Po paru minutach wróciła i oświadczyła:

— Przepraszam pana doktora, ale pani nie ma. Pani wyjechała do Konstancina. Potwórzę pani, że pan doktor telefonował.

Odłożył słuchawkę w pełni świadomości, że został okłamany. Sam rozkład pokoiów w willi Dobranieckich i położenie aparatu telefonicznego wręcz uniemożliwiały to, by pokojówka nie wiedziała o tym, czy jej pani jest w domu. Musiała wiedzieć na pewno, że jest, skoro mówiła, że zamelduje. Widocznie istotnie zameldowała i usłyszała od Niny dyspozycję owego pomysłu o Konstancinie.

Opanowała go wściekłość. Oczywiście kłamstwo, popełnione w jakim celu?... Cel mógł być tylko jeden: inny mężczyzna. Podważało tę hipotezę tylko jedno: dlaczego w takim razie nie zatelefonowała doń sama z owym konstancińskim wykrętem? W ten sposób zaasekurowałyby się przed jego telefonem i przed zdemaskowaniem. Była przecież dość sprytna, by umiejętniej to zaaranżować.

Odpowiedź na te wątpliwości zjawiała się prędzej, niż się spodziewał. Zjawiała się pod postacią posłańca z listem. Na karcie papieru skreśliła kilka tylko słów:

„Muszę koniecznie odwiedzić Stefę w Konstancinie. Dostała znowu swego ataku. Jestem w rozpacz, że Cię dzisiaj nie zobaczę. — N.”

Sięgnął do kieszeni po napiwek i zapytał posłańca:

— O której pan dostał ten list?

— O piątej, proszę pana. Ale to nie ja dostałem, tylko mój kolega, tylko że on nie mógł, to mnie oddał. A ja nie myślałem, żeby to coś pilnego było.

Po wyjściu posłańca Kolski jeszcze raz przeczytał i z pogardą odrzucił kartkę daleko od siebie. Kartka jednak jak bumerang zatrzepotała w powietrzu i upadła mu pod same nogi. Podniósł ją i podarł na drobne kawałki.

— Więc to tak!... Tak, droga pani! Ano zobaczymy.

Wziął kapelusz i szybko zbiegł ze schodów. W pobliżu nie było taksówki. Gdy ją wreszcie znalazł, ochłonął już o tyle, że zamiast do Frascati, kazał jechać do lecznicy. Nie spodziewano się go tu, a ponieważ nikogo z wyższego personelu nie było, przyłapał dwie pielęgniarki w swoim gabinecie, popijające kawę i zjadające ciastka w towarzystwie jakiegoś obcego pana. Miał w sobie tyle gniewu i chęci zemsty, że brutalnie powiedział:

— Jakim prawem pan tu wszedł? Kto pan jest? I co za libacje w moim gabinecie?

Zażenowany młodzieniec zerwał się na równe nogi i z przerażeniem spoglądał na swoje towarzyszy, jakby od nich czekając ratunku. Te jednak milczały jak zakłete.

— Czy panie nie wiedzą — coraz ostrzejszym tonem prawie krzyczał Kolski — że to jest niedopuszczalne?! Że w lecznicy czegoś podobnego nie będę tolerował?! To jest

wykroczenie przeciw dyscyplinie, które nie ujdzie paniom płazem! Lecznica nie jest miejscem dla wyprawiania orgii. To nie jest knajpa. Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego.

— My bardzo przepraszamy, panie doktorze — odezwała się jedna z pielęgniarek, z trudem opanowując drżenie głosu.

— Nie ma tu miejsca na żadne przeprosiny. Proszę opuścić mój gabinet. Natychmiast.

Wychodzili tak śpiesznie, że aż stłoczyli się w drzwiach. Kolski usiadł przy biurku i nacisnął dzwonek. Na progu stanął sanitariusz.

— Cóż to do diabła za porządki?! — krzyknął Kolski. — Kto jest dzisiaj dyżurnym lekarzem?

— Pan doktor Przemianowski.

— Proszę do mnie poprosić pana doktora.

Po minucie Przemianowski, wystraszony, zjawił się w gabinecie Kolskiego. Wieść o przyłapaniu panny Budzyńskiej i Kołpikówny wraz z ich gościem przez doktora Kolskiego rozeszła się już snadź<sup>57</sup>, gdyż Przemianowski z miejsca sam zaczął się tłumaczyć:

— Doprawdy o niczym nie wiedziałem, panie dyrektorze...

Kolskiego, odkąd pełnił funkcje docenta Rancewicza, nazywano dyrektorem. Zazwyczaj sprawiało mu to przyjemność, choć oficjalnie nie miał tego tytułu. Teraz jednak powiedział surowo:

— Nie jestem żadnym dyrektorem. Powinien pan o tym wiedzieć, panie kolego. Ale niestety, pan tak mało interesuje się tym, co się w lecznicy dzieje, że podczas pańskich dyżurów możliwy jest podobny skandal, by w moim gabinecie pielęgniarki urządziły sobie libacje z jakimiś bubkami sprowadzonymi z miasta. Uprzedzam pana, że będę musiał o tym zawiadomić pana profesora Dobranieckiego po jego powrocie do Warszawy.

— Byłem właśnie na drugim piętrze przy krwotoku — zaczął młody lekarz.

Kolski przerwał mu ruchem ręki.

— Przecież nie proszę pana o wyjaśnienie. Jutro pan będzie łaskaw wpisać ten wypadek do kart personalnych obu pielęgniarek, z zaznaczeniem, że zdarzyło się to podczas pańskiego dyżuru.

Gdy Przemianowski wyszedł, Kolski zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Za każdym razem, gdy mijał biurko, machinalnie sięgał po małe kruche ciasteczko i ani się spozstrzegł, jak zjadł wszystkie. Stwierdzenie własnego roztargnienia rozchmurzyło go nieco i udobruchało. Spotkawszy podczas wieczornej inspekcji pannę Budzyńską powiedział jej:

— Niech pani poradzi swojej koleżance, by na przyszłość podobnych rzeczy nie robiła. Tym razem nie wyciągnę z waszego postępowania żadnych konsekwencji.

Również przy sposobności i Przemianowskiemu dał do zrozumienia, że cały incydent puszcza w niepamięć. Pomimo to wyszedł z lecznicy przygnębiony i pożerany zazdrością. Po drodze nie wiadomo skąd przyszło mu do głowy, że u Niny, gdy do niej telefoniował, był właśnie ów rotmistrz Korsak. Wprost gotów był ręczyć za to, chociaż wiedział dobrze, że rotmistrz przebywa obecnie na manewrach gdzieś w Małopolsce wschodniej. Gdy tylko znalazł się w swoim mieszkaniu, postanowił jednak zdobyć pewność. W tym celu zadzwonił do mieszkania rotmistrza. W aparacie rozległy się uspokajające przeciągłe dźwięki. Nikt słuchawki nie podnosił. Było już po dwunastej i w mieszkaniu rotmistrza nie było nikogo. Już chciał odłożyć swoją, gdy usłyszał zaspane i rozgniewane:

— Hallo?

— Czy mogę mówić z panem rotmistrzem? — zapytał, zmieniając głos.

— Jestem, u licha, ale czy nie mógłby pan wybrać odpowiedniejszej pory!

Kolski bez słowa położył słuchawkę i zaczął myśleć gorączkowo. Jak postąpić? Jak zareagować na niewątpliwą zdradę Niny?... Nie miał wprawdzie w ręku niezbitych dowodów, ale wystarczyło mu samo przeświadczenie. W pierwszej chwili chciał napisać do Niny długi, szyderczy list, list obraźliwy i obrażający. Przychodziły mu na myśl jadowite epiteti, zjadliwe porównania, ironiczne aluzje. Taki list byłby wspaniałą zemstą.

Czy jednak kobieta typu Niny, kobieta tchórzliwa, podstępnie zdradzająca kochanka, z którym przecież mogła uczciwie i po prostu zerwać, zasługuje na jakąś zemstę? O, bo co do jej moralnej wartości nie mógł już mieć najmniejszych złudzeń. Wszystko zdawało

<sup>57</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

się jasne. Nina przeznaczyła mu rolę jedynie czasowego zastępcy na czas nieobecności rotmistrza Korsaka.

Tak. Wystarczy krótki, chłodny list. Bez żadnych objaśnień, bez żadnych obelg, utrzymany w sztywnym, obojętnym tonie i przecinający wszystko nieodwołalnie.

Usiadł i napisał:

„Szanowna Pani! — Wobec tego, co zaszło, uważam za swój obowiązek zawiadomić Panią, że między nami wszystko jest skończone nieodwołalnie. — J. K.”

Przeczytał i doszedł do przekonania, że to na nic. Podarł list na drobne kawałki i napisał drugi:

„Pani! — Zawsze zdawałem sobie sprawę, że to, co nas łączyło, uważała Pani za przygodną zabawę. Wczoraj uznała Pani za stosowne tę zabawę zakończyć. Śpieszę donieść Pani, że całkowicie Jej decyzję akceptuję. Żegnam. — J. K.”

Tak. To było lepsze. Miało pewien polot, pewną swobodę i dawało do zrozumienia, że nie zależy mu na niej wcale.

W istocie nie zależało. A jednak męczył się i gryzł przez całą noc. Przyszło mu na myśl, że oto po raz wtóry w życiu został odtrącony. Nie chciała go Łucja, którą pragnął pojąć za żonę, którą kochał swoim pierwszym i, jak wierzył, ostatnim uczuciem. Teraz Nina porzuciła go dla innego mężczyzny. Po tych dwóch doświadczeniach nietrudno było stracić wiarę w siebie. Nietrudno było dojść do przekonania, że jako mężczyzna zasłużył jedynie może na rolę przygodnego kochanka.

„Kochanek — myślał — pełniący obowiązki kochanka, p.o. kochanka na okres urlopu...”

Jego ambicja była boleśnie skaleczona.

„I dlaczego? — myślał, stojąc przed lustrem. — Jestem przecież młody, silny, przystojny. Nie wyróżniam się oczywiście żadną nadzwyczajną urodą, ale zawsze uchodziłem za przystojnego. Nie należę też do typu mydlaków. Zajmuję poważne stanowisko, dobrze zarabiam, mam przed sobą pewną przyszłość. Nikt nie może mi odmówić wykształcenia i inteligencji. Więc dlaczego?...”

Utrata Niny nie tylko pod względem ambicjonalnym dotknęła Kolskiego. Jednak przyzwyczaił się do niej i wiedział dobrze, że przez pewien czas będzie odczuwał jej brak. Nie tak, ma się rozumieć, jak odczuwa brak Łucji, ale jednak...

Nazajutrz rano wysłał list przez chłopaka stróża i poszedł do lecznicy. Dzień był wyjątkowo ciężki. Przywieziono kilku nowych pacjentów, których trzeba było od razu wziąć na stół. Obie sale operacyjne były zajęte od ósmej rano do drugiej po południu bez przerwy. Kolski przeprowadził sam część drobniejszych operacji i asystował Rancewiczowi przy czterech poważniejszych. Gdy wreszcie zszedł do swego gabinetu, zastał tam kartkę na biurku oznajmującą, że pani profesorowa Dobraniecka telefonowała trzy razy. Zmiał kawałek papieru i wrzucił do kosza. Przyniesiono mu obiad. Zjadł z apetytem i wyciągnął się na sofie z papierosem w ustach. Zegar wybił trzecią. Miał jeszcze pół godziny na odpoczynek.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę — niechętnie rzucił Kolski.

Do pokoju weszła Nina.

Zerwał się z kanapy i sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Nina wyglądała prześlicznie. Śmiało patrzyła mu w oczy. Twarz miała posągowo spokojną. Powoli otworzyła torebkę, wydobyla z niej list Kolskiego i zapytała niemal wyniośle:

— Co to ma znaczyć?

Spojrzał na list, jakby go pierwszy raz w życiu widział. W palcach Niny wyglądał tak, jakby był czymś ohydny, wstrętnym, brudnym, czymś, co się bierze do ręki tylko po to, by natychmiast odrzucić. Zmarszczył brwi i odwrócił głowę.

— Chciałam zapytać, co oznacza ten niezrozumiały dla mnie list.

Kolski spojrzał na nią z nienawiścią: rozumiał, że ta kobieta chce wyzyskać to, że on nie posiada żadnych dowodów jej zdrady. Powiedział sucho:

— Sądzę, że nie mamy o czym dyskutować, proszę pani.

Wzruszyła ramionami.

— Nie zamierzam dyskutować i nie po to przyszłam. Chciałam zażądać wyjaśnień.

Kolski milczał.

— Przypuszczam, że mam do tego prawo. Że wysyłając do mnie podobny list, musiałeś mieć jakieś powody.

— Oczywiście miałem je.

— Czy mogę coś o nich wiedzieć?

Przygryzł wargi.

— Wiesz o nich znacznie więcej niż ja. Żadna komedia tu nie pomoże. Moje postanowienie jest ostateczne.

Zmierzyła go zimnym spojrzeniem i nie bez ironii zapytała:

— A skądże wiesz, że chcę wpłynąć na zmianę twego postanowienia? Skąd masz tę pewność?

Kolski zmieszał się.

— Więc tym lepiej. Lepiej dla nas obojga — mruknął.

— Być może, mój drogi. Jednakże rozumiesz, że twój list mnie obraził i że po prostu żądam od ciebie satysfakcji pod postacią wyjaśnienia, którego nie możesz mi odmówić.

— Służę ci — odpowiedział Kolski, nie patrząc na nią.

— Czy pozwolisz, że usiądę?

Przysunął jej krzesło i mówił:

— Zdradasz mnie. Przekonałem się o tym wczoraj ponad wszelkie wątpliwości.

— Ponad wszelkie? — podniosła brwi. — No, proszę!...

— Tak — wybuchnął. — Zdradasz. Gdy zatelefonowałem, by się dowiedzieć, dlaczego się spóźniasz do mnie, służąca oświadczyła mi, że jesteś w domu.

— Tak ci powiedziała?

— Powiedziała coś, co znaczyło to samo. Powiedziała, że zaraz cię poprosi do telefonu, a wróciła z oświadczeniem, żeś wyjechała. Gdybyś istotnie wyjechała, ona nie mogłaby o tym nie wiedzieć. Byłaś w domu i byłaś nie sama.

— Oczywiście — przyznała spokojnie Nina. — A w dodatku byłam tak naiwna, że nie uprzedziłam służby, by zataiła moją obecność w razie twojego telefonu.

Zaśmiał się ironicznie.

— O nie. Wcale nie byłaś naiwna. Tylko nie spodziewałaś się mojego telefonu. Bo byłaś pewna, że w porę otrzymam twój list. Niestety, najsprytniej obmyślane machinacje czasem zawodzą. Jakaś drobna przeszkoda, jak na przykład niedbalstwo posłańca, i wszystko wychodzi na wierzch.

W rysach jej twarzy nie było ani śladu zaniepokojenia. Zapytała spokojnie:

— I cóż wyszło na wierzch?

Zrobił zniechęconą minę.

— Po co mamy poruszać te nieprzyjemne sprawy? Nie chcę się wtrącać w twoje romanse. Już dzisiaj nie uważam się za uprawnionego. Więc po co?

— I cóż wyszło na wierzch? — powtórzyła z naciskiem.

Podniósł głowę i nie patrząc na nią powiedział tonem jak najbardziej obojętnym:

— Skoro koniecznie chcesz... Wyszło na jaw to, że jesteś kochanką rotmistrza Korsaka. Bo to on wczoraj był u ciebie.

Mówił to nie tylko z przekonaniem, lecz z jakąś zaciętością. Najniespodziewaniej w świecie Nina wybuchnęła długim, wesołym śmiechem.

— Ach, Janku, Janku. Powinna mi pochlebiać twoja zazdrość. Niestety w tym wypadku jest zupełnie bezprzedmiotowa. Przypuszczam, że Korsak bez większego sprzeciwu zgodziłby się na rolę, którą mu przypisujesz, a przynajmniej na to, by być w ogóle w Warszawie, zamiast męczyć się na manewrach pod Stanisławowem.

Kolski potrząsnął głową.

— Niestety, twój śmiech mnie nie przekonał. A to z tej prostej przyczyny, że pan Korsak wcale nie męczy się na manewrach, lecz najspokojniej w świecie przebywa w Warszawie. Popołudnie wczoraj spędził u ciebie, a wieczorem był we własnym mieszkaniu, co sprawdziłem telefonicznie.

Na twarzy Niny odbiło się prawdziwe zdziwienie.

— Ależ to niemożliwe. Nie dalej jak przedwczoraj otrzymałam od niego kartkę, w której wspominał, że wróci nie wcześniej niż za miesiąc. To jakieś nieporozumienie.

— Nie może być mowy o żadnym nieporozumieniu — zirytował się. — Nie potrzebuję robić przed tobą z tego żadnej tajemnicy. Więc o godzinie dwunastej zadzwoniłem do jego mieszkania i zapytałem, czy mogę prosić pana rotmistrza. Usłyszałem odpowiedź, i to poirytowaną odpowiedź, że jest przy aparacie i dziwi się, że mu w nocy nie dają spać.

Nina uśmiechnęła się.

— Prosiłeś rotmistrza? A czy wymienilesz też nazwisko rotmistrza?

— Po cóż miałem wymieniać? Nie przypuszczam, by w jednym mieszkaniu był cały szwadron rotmistrzów.

Przyglądała mu się przez kilka chwil z pobłażliwym wyrazem twarzy. Wreszcie powiedziała, cedząc słowa:

— Szwadron zapewne nie. Ale jeszcze jeden mógł być. Na przykład rotmistrz Supiński, który na czas nieobecności kolegi zainstalował się w jego mieszkaniu.

Kolski zmieszał się trochę, lecz natychmiast zauważył:

— To jest rzecz bardzo łatwa do sprawdzenia.

— Oczywiście — przyznała Nina. — Stoi przed tobą telefon. A obok leży spis abonentów. Zadzwon i zapytaj.

Kolski zamyślił się i odpowiedział:

— Ponieważ sądzisz, że tego nie zrobię, zrobię to zaraz.

Wyszukał numer Korsaka i zadzwonił. Usłyszał jakiś nieznamy i nieinteligentny głos męski, prawdopodobnie ordynansa.

— Czy mogę prosić pana rotmistrza Korsaka?

— Pan rotmistrz jest na manewrach — odpowiedział ordynans.

— A pana rotmistrza Supińskiego?

— Pan rotmistrz przyjedzie dopiero o czwartej — brzmiała odpowiedź.

Bąknął „dziękuję” i odłożył słuchawkę.

Nina paliła papierosa. Znalazł się rzeczywiście w głupiej sytuacji. Na poparcie swoich podejrzeń miał dwa argumenty i oto jeden z nich rozplynął się mu w rękę. Pozostawał drugi. Właściwie mówiąc i ten wystarczał wobec jego przeświadczenia o niewierności Niny. Jeżeli istotnie nie utrzymywała bliższych stosunków z rotmistrzem Korsakiem, musiał być jeszcze ktoś inny. Lecz był na pewno. Dałby sobie za to głowę uciąć.

— Czy może pan nacisnąć guzik dzwonka? — odezwała się Nina.

Wykonał w milczeniu jej polecenie. We drzwiach zjawił się sanitariusz.

— Proszę zawołać tu mego szofera — powiedziała mu krótko.

Gdy szofer wszedł do pokoju, zapytała go:

— Czy Pawłowski nie pamięta, gdzie ja mogłam wczoraj zostawić swego lisa?

— W aucie nie został, proszę pani profesorowej. Na pewno. Po przyjeździe do garażu oporzędziłem wóz i byłbym znalazł. A wczoraj pani profesorowa była tylko u fryzjera i w Konstancinie...

— Właśnie — przerwała mu. — Zdaje mi się, że zostawiłam lisa w Konstancinie. Niech Pawłowski pojedzie i zabierze. Ja wrócę pieszo do domu.

— Tak jest, proszę pani profesorowej — służbiście odpowiedział szofer i wyszedł.

W pokoju zapanowało milczenie. Nina powoli dopalała swego papierosa. Uważnie zgasiła go w popielniczce, wstała, z półuśmiechem skinęła Kolskiemu głową i bez słowa skierowała się do drzwi.

Zatrzymała się i spojrzała nań obojętnie.

— Nino! — zawołał Kolski.

— Czym mogę służyć?

Czuł się winny, zawstydzony, skompromitowany, ośmieszony. Miał przeświadczenie, że go zdradziła. Lecz podobne przeświadczenia z punktu widzenia rozsądku nie są niczym innym jak zwykłą histerią. Cienie fałszywych poszlak, bo to były zaledwie cienie, uznał za wystarczające dowody jej winy. Stworzył w swojej wyobraźni koncepcję niemającą żadnych realnych podstaw. Po prostu wszystko wyssał z palca. Znieważył tę kobietę, która, musiał to w duchu przyznać, zniżyła się przeciw, dając mu siebie. Zniżyła się, gdyż zarówno jej pozycja towarzyska, jak jej uroda i kultura dawały nieograniczone możliwości w wyborze kochanka. Powinna była spoliczkować go za te podejrzania, zignorować je milczeniem. Wyświadczyła mu wielką łaskę już tym, że chciała się usprawiedliwić. I zrobiła to tak po

pańsku, tak wytwornie i tak boleśnie, że podziałało to silniej od policzka. Zachował się jak gbur, zachował się jak zazdrosny smarkacz.

— Nino — zaczął mówić. — Winienem ci przeprosiny. Rzeczywiście postąpiłem zbyt pochopnie i niesłusznie cię obraziłem. Czy możesz mi przebaczyć?...

Uśmiechnęła się ironicznie.

— O, nie przepraszaj mnie jeszcze przedwcześnie. Możesz tego później żałować. Sprawdź, czy cię nie oszukałam. Przeprowadź śledztwo. Wybadaj służbę. Może przepuściłam szofera i tego tam ordynansa. Wynajmij detektywa.

— Nie zniżaj się nade mną — powiedział pokornie.

Ninie zaiskrzyły się oczy.

— Oczywiście wynajmij detektywa. Z takim nędznym płazem jak ja należy postępować metodami policyjnymi. Przecież ja jestem twoją kochanką nie dlatego, że cię kocham, tylko dlatego, że to jest dla mnie łaska i zaszczyt. Czyż mogłabym marzyć o takim szczęściu? Na kolanach co dzień powinnam za to dziękować dobrym losom. Bo któż inny mnie by chciał?!

Wziął ją za rękę i powiedział błagalnie:

— Nie drwij ze mnie, Nino.

— Nie drwię. Raczej drwię z siebie. Bo czyż to nie komiczne, że zabiegam o twoje uczucia, wówczas gdy ty poniewierasz moje? I naprawdę, Janku, najbardziej mnie zabolalo to, że posadzasz mnie o tchórzostwo i małoduszność. Zastanów się, człowieku. Co mogłoby mi przeszkodzić w tym, by przyjść do ciebie i powiedzieć otwarcie: „Mam dość ciebie, pokochałam innego!”...

— Tak, tak, Nino — przyznał obcałowując jej rękę. — Przebac. Przebac. Byłem niemądry. Czy zdołasz mi przebaczyć?

W jej oczach zjawiał się smutek.

— Nie zdołam nie przebaczyć — powiedziała cicho. — Tylko nie wiem, kiedy będę mogła cię widzieć. Sam to rozumiesz.

— Rozumiem — przyznał.

— Muszę się pogodzić z sobą. Nie dzwoń do mnie i nie pisz, póki się nie odezwę sama...

Lekko musnęła wargami jego policzek i wyszła.

Pierwszego dnia Kolski nie mógł oderwać myśli od tej przykrej sprawy, której był autorem dzięki swojej głupiej zazdrości i przesadnej imaginacji. Nazajutrz poprawił mu się humor. Był kontent, że wszystko dobrze się skończyło. Trzeciego dnia z rana, przechodząc przez plac Napoleona, przed samą pocztą spotkał rotmistrza Korsaka.

Stanął w miejscu tak, jakby nagle otrzymał silne uderzenie po ciemieniu. Zatrzymał się i rotmistrz. Był po cywilnemu. Miał na sobie sportowe, szare ubranie i sportową czapkę. Przez rękę przewieszony płaszcz. W rękę nieduży nesesor.

Kordialnie wyciągnął do Kolskiego dłoń.

— Witam, doktorze. Co słyhać w Warszawie? Ależ upał.

— To pan, rotmistrzu, nie na manewrach? — zdołał wydobyć z siebie Kolski.

Korsak podniósł ostrzegawczo palec do ust.

— Ssss. To wielka tajemnica! Wyrwałem się na krótko do Warszawy.

Kolski odzyskał już panowanie nad sobą i zaśmiał się prawie swobodnie:

— Oczywiście *cherchez la femme*? — rzucił pytająco.

— Jest pan zanadto domyślny, doktorze — rotmistrz przymrużył oko. — No, ale żegnam. W wagonie był taki kurz, że czuję się jak kundel wytarzany w piasku. Muszę się wykąpać.

— To wprost z dworca? — zaciekawił się z niedowierzaniem Kolski.

— Tak — potwierdził Korsak. — Czołem.

Przyłożył niedbale rękę do daszka sportowej czapki i zniknął w tłumie. Po chwili namysłu Kolski wsiadł w taksówkę i kazał się zawieźć na dworzec. Przejrzał rozkłady jazdy. Rzeczywiście, rotmistrz mógł mówić prawdę. Przed piętnastu minutami przyszedł pociąg ze Lwowa. Teraz już nic nie rozumiał.

Wieczorem miał wielką ochotę zadzwonić do Niny. Zamiast tego jednak zadzwonił do mieszkania Korsaka, by sprawdzić, czy jest w domu. Oczywiście, jeżeli w domu go nie



będzie, to znaczy, że przesiaduje u Niny. Jakież było zdumienie Kolskiego, gdy usłyszał od ordynansa:

— Pana rotmistrza Korsaka nie ma w Warszawie. Jest na manewrach. Wróci za miesiąc.

Jedno z dwojga. Albo zatrzymał się w hotelu, albo ukrywając swój pobyt w Warszawie, zakazał ordynansowi zdradzania jego obecności. Tak czy owak, należało rzecz wyjaśnić. Nie mógł dłużej pozostawać w niepewności. Szybko przebrał się i wyszedł z domu. Po pięciu minutach był już we Frascati. Zadzwoił.

— Czy zastałem panią profesorową? — zapytał.

Drzwi otworzył lokaj.

— Nie, nie ma, proszę pana doktora. Ale ma niedługo przyjechać. Może pan doktor zaczeka. Tu już czeka pan Howe.

— Kto taki? — zdziwił się Kolski, który nigdy tego nazwiska nie słyszał.

— Mister Howe. Ten Anglik.

Istotnie w hallu siedział bardzo przystojny, bardzo błady młodzieniec o zblazowanej twarzy, z monokłem w lewym oku. Ujrawszy Kolskiego wstał, wolno poprawił monokl, jeszcze wolniej wyciągnął rękę i wymówił swoje nazwisko. W ogóle cały był *au ralenti*<sup>58</sup>.

„Cóż to za mała” — myślał Kolski i skonstatował, że młodzieniec ma na sobie smoking.

— Mamy dziś szalony upał — zwrócił się doń uprzejmie.

Mr. Howe odpowiedział skrzywieniem jednego kąta ust, co mogło nawet przypominać uśmiech.

— *I do not understand. I'm sorry*<sup>59</sup>...

Okazało się, że ani słowa nie umie po polsku ani po francusku. Ponieważ język niemiecki znali bardzo słabo, rozmowy, którą prowadzili przez pół godziny, nikt nie mógł nazwać ani zbyt ożywioną, ani interesującą, zważywszy i to, że absolutnie nic sobie nie mieli do powiedzenia. W każdym razie Kolski dowiedział się, że Anglik bawi w Warszawie od miesiąca i że swój powrót do kraju uzależnia od pewnych spraw, dla których tu przybył. Dowiedział się też, że w Warszawie Mr. Howe nie zna prawie nikogo poza panią Dobraniecką, którą miał zaszczyt poznać na Riwierze francuskiej. Prawdziwą ulgą dla obojgu był dzwonek oznajmiający powrót pani domu.

Ninę ani zaskoczyła, ani zdziwiła obecność Kolskiego. Była w tak świetnym humorze, w jakim jej Kolski nie pamiętał od dawna. Wyglądała przy tym przynajmniej o pięć lat młodziej. Po krótkim powitaniu i paru zdaniach angielskich, rzuconych zblazowanemu młodzieńcowi, zwróciła się w przelocie do Kolskiego:

— Spodziewam się, że bawili się tu panowie dobrze.

— Nie umiem po angielsku — mruknął Kolski.

— Ach, jaka szkoda. Przepraszam was. Muszę się przebrać.

Jeszcze jedno zdanie po angielsku skierowane wraz z miłym uśmiechem do Mr. Jimmy'ego i znikła w głębi mieszkania, a pozostali panowie z powagą podzielili się poglądem, że jest to piękna i czarująca osoba.

W kwadrans później zjawiała się Nina we wspaniałej wieczorowej toalecie i jednocześnie otworzono drzwi do jadalni. Na stole były cztery nakrycia. Gdy usiedli, pani Nina powiedziała od niechcienia po polsku:

— Twoje podejrzenia, o dziwo, realizują się. Może jesteś jasnowiedzem. Właśnie dziś przyjechał rotmistrz Korsak. Telefonował i zaprosiłam go na kolację. Dzwoniłam też do ciebie, chociaż nie przewidywałam, że zechcesz odegrać rolę przyzwoitki. Ponieważ cię nie zastałam, zwróciłam się o pomoc do Mr. Howe.

Powiedziawszy to, Nina przysunęła Anglikowi salaterkę i zaczęła mówić po angielsku. Kolski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobieta ta powtarza słowo w słowo to samo temu blademu cymbałowi, bezczelnie wyzyskując to, że obaj nie mogą się porozumieć.

Jeżeli nawet tak było, pani Nina niedługo mogła się cieszyć swoją zabawą, gdyż zjawiał się Korsak, który świetnie władał zarówno angielskim, jak i polskim. Podejrzenia Kolskiego co do hotelu zdawały się sprawdzać, gdyż Korsak przyszedł w tym samym

<sup>58</sup>*au ralenti* (fr.) — spowolniony, na zwolnionych obrotach. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*I do not understand. I'm sorry* (ang.) — przepraszam, nie rozumiem. [przypis edytorski]

sportowym ubraniu, w którym był z rana na placu Napoleona. Przeprósł za swój wygląd i strzelając na przemian z Niną dowcipami, zjadał z wilczym apetytem. Zdawał się być w doskonałym humorze, po pewnym jednak czasie Kolski zauważył, że rotmistrz z wyraźną niechęcią spogląda na Anglika. Zwracał się doń bardzo rzadko, na pytania odpowiadał krótko i zdawkowo z niezachęcającym wyrazem twarzy. W pewnym momencie, gdy Mr. Howe zajęty był rozmową z Niną, rotmistrz burknął do siedzącego obok Kolskiego:

— Skąd się tu wziął ten angielski wymoczek?

Kolski nieznacznie wzruszył ramionami.

— Pojęcia nie mam. Widzę go pierwszy raz.

Zawsze czujna pani Nina dosłyszała jednak i objaśniła:

— Mr. Howe zwiedza Polskę. Jest to bardzo miły, chociaż nieco zmanierowany młodzieniec.

Korsak nieznacznie zmarszczył brwi.

— Owszem, jest sporo manieri w tej nonszalancji, z jaką mizdrzy się do pani.

— Ach, cóż za wyrażenie, rotmistrze.

I dodała po angielsku:

— Rotmistrz znajduje, że jest dużo nonszalancji w pańskiej kokieterii.

— To prawda — przyznał Anglik. — Nonszalancja tu jest moją maską. Gdybym chciał doprowadzić swoją kokieterię do poziomu uwielbienia, które żywię dla pani, stałbym się śmiesznym dla otoczenia z nadmiaru gorliwości i czolobitności.

Kolski nic nie rozumiał. Nie przypuszczał zresztą, by w słowach Anglika mogła być jakaś rewelacyjna treść, ale sposób, w jaki ten młodzieniec spoglądał na Ninę, mógł budzić poważne obawy. Tak patrzeć na kobietę ma prawo tylko człowiek, którego z nią łączą najbliższe więzy i zupełne spoufalenie.

Kawę podano w hallu. Tutaj już rotmistrz nie ukrywał zupełnie swojej antypatii dla Anglika. Nawet wobec Niny stał się chłodny i impertynencko uprzejmy. Rozmawiał tylko z Kolskim, rozmawiał bardzo serdecznie, jakby tą serdecznością chciał podkreślić różnicę, jaką robi między nim a resztą towarzystwa. Kolski był mile tym zaskoczony i sam coraz chętniej spoglądał na Mr. Howe.

Okolo jedenastej Korsak wstał z wyraźnym zamiarem pożegnania pani domu. W jego podniesionej głowie i w całej postaci było coś jakby obrażona godność.

— Niech pan zostanie — niezwykle ciepłym i miękkim tonem powiedziała Nina. — Przecież pański pociąg odchodzi dopiero o godzinie wpół do pierwszej.

— Dziękuję pani uprzejmie, ale chciałbym się jeszcze z kimś zobaczyć. Mam niektóre sprawy do załatwienia.

— Niech pan zostanie, proszę — powtórzyła z takim naciskiem i z takim spojrzeniem, że Kolskiemu krew uderzyła do twarzy, a młody Anglik demonstracyjnie sięgnął po jakieś czasopismo leżące na stoliku obok i zaczął je przeglądać.

Po długim milczeniu rotmistrz powiedział:

— Jeżeli pani sobie tego życzy...

Poddał się. Usiadł i nadržając nieszczerym humorem dodał:

— Ale za to żądam zapłaty pod postacią filiżanki kawy.

— Otrzyma pan ją natychmiast — powiedziała i wstała, by napełnić jego filiżankę.

W Kolskim wszystko się burzyło. Jeżeli nie zerwał się od razu, to tylko dlatego, że nie chciał narazić się na śmieszność. Teraz jednak zdołał już sobie ułożyć wszystko, cały scenariusz swego wyjścia. Więc: spojrz na zegarek, powie „zazdroszczę państwu, że obowiązki nie zmuszają ich do opuszczenia tak miłego towarzystwa, ja niestety muszę być w lecznicy. Taki już los lekarza”, potem wstanie i pożegna się.

Zdażył wykonać tylko pierwszy punkt swego programu, gdy bowiem wydobyl zegarek, pani Nina zwróciła się doń z czarującym uśmiechem:

— Ach, drogi doktorze. Na śmierć zapomniałam. Mój mąż przysłał dziś jakieś papiery dotyczące lecznicy i prosił, żebym to panu oddała. Zdaje się, że leżą w gabinecie na biurku. W niebieskiej kopercie. Znajdzie pan?

Wytrącony z programu Kolski chrząknął i wstał.

— Przypuszczam, że znaję.

Gdy zniknął w drzwiach salonu, za którym był gabinet, pani Nina przeprosiła pozostałych panów po angielsku:

— Nie jestem pewna, czy znajdzie. Zdaje się, że schowałam to do szuflady. Panowie wybaczą. Jedna chwila.

Przeszła szybko salon. W gabinecie zastała Kolskiego na próżno poszukującego na biurku niebieskiej koperty.

Gestem zmęczenia i prośby o litość wyciągnęła doń ręce.

— Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie z nimi. Oni się obaj we mnie kochają, gotowi doprowadzić do jakiegoś skandalu.

Spojrzał na nią surowo:

— Oni w tobie, a ty w nich, chociaż doprawdy trudno mi już wyznać się, w kim się kochasz.

— Nie wiesz w kim?... — zapytała mrużąc powieki.

Zanim zdążył się cofnąć, zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała pocałunkami.

— Ot, w kim... Ot, w kim... Ot, w kim... — powtarzała gorącym szeptem. — Chciałam cię ukarać za twoje brzydkie podejrzenie i nie odezwać się do ciebie przez tydzień. Ale jestem tylko słabą kobietą. Już dzisiaj dzwoniłam. A jutro... jutro przyjdę do ciebie o zwykłej porze... A teraz proszę cię, idź tam do nich i zajmij się jakoś nimi. Nie mogę przecież dopuścić do tego, by mój dom, by dom mego męża stał się terenem awantury. To by mnie skompromitowało. Sam rozumiesz. I mam prawo prosić cię o pomoc. Pamiętaj, że ty jesteś jedynym człowiekiem, którego mogę prosić o pomoc. Nie odmówisz mi jej, prawda? Idź, idź do nich...

Gdy się zawahał, dodała:

— Muszę sobie poprawić usta i włosy po tych pocałunkach. No i trochę ochłonać. Pewno mam wypieki.

Kolski, idąc przez nieoświetlony salon, myślał:

„Albo jest ona szatanem przebiegłości i zepsucia, albo nadzwyczajny zbieg okoliczności tak stale przemawia przeciw niej”.

Wbrew oczekiwaniom w hallu zastał obu panów zajętych spokojną i powolną wymianą zdań. Widocznie polor towarzyski wziął jednak górę nad wzajemną antypatią.

— Gdyby oni wiedzieli — myślał Kolski — że to, o co walczą między sobą, należy do mnie...

Nie dokończył tej myśli, gdyż wróciła Nina. Wywiązała się dość ożywiona rozmowa po angielsku, w której oczywiście Kolski nie brał udziału.

W pewnym momencie Nina spojrzała na zegarek i powiedziała:

— No, już teraz nie zatrzymuję panów. Mr. Howe ma tu swój samochód i jest tak uprzejmy, że odwiezie panów.

— Żałuję, że nie mogę skorzystać z tej uprzejmości — z uśmiechem odpowiedział rotmistrz. — Wolę przejść się. Mam jeszcze przeszło pół godziny czasu, a noc jest taka piękna.

Pożegnali się z Niną i jednocześnie wyszli. Przed willą rzeczywiście stał wóz Anglika, który ich śpiesznie pożegnał. Korsak i Kolski wyszli na Wiejską i przez plac Trzech Krzyży skierowali się w stronę Brackiej. Szli w milczeniu. Nagle rotmistrz zatrzymał się i chwytając towarzysza za ramię, powiedział przez zaciśnięte zęby:

— Gdyby nie to, że muszę jutro stawić się w pułku, że dałem dowódcy słowo honoru, że się stawię, wierz mi pan, obiłbym tego gigolaka, tego perwersyjnego chłystka szpicrutą po gębie!...

Puścił ramię Kolskiego i znowu przeszli w milczeniu kilkanaście kroków.

— Czy... czy sądzi pan, rotmistrzu, że... Mr. Howe jest... kochankiem pani Dobranieckiej?

Rotmistrz parsknął śmiechem.

— Paradny z pana facet! Czy sądzę! Ależ to oczywiście! Jest jego kochanką i boi się go w dodatku!

— Z czego pan wnioskuje, że się boi? — złamanym głosem zapytał Kolski.

— Jak to z czego? Przecież to zupełnie wyraźne. Miałem z nią zjeść kolację we dwójkę. Tymczasem przylaźł ten wymokły bęcwał i nie odważyła się go wyprosić. Dlaczego? Bo się go boi. Albo boi się go stracić. Takie międzynarodowe, zblazowane typki to różne rzeczy umieją, panie drogi.

I dorzucił po pauzie:

— Świnie!

Ulice prawie były puste. Pogaszono część latarni. Po upalnym dniu chłodne powiewy sprawiały wielką satysfakcję. Kolski jednak prawie tego nie dostrzegł.

— Naturalnie — odezwał się znowu rotmistrz. — Pana musiała też zaprosić w ostatniej dopiero chwili, by ratować wobec mnie sytuację.

— Wobec pana? — zauważył Kolski. — Wynikałoby z tego, że jest również pańską kochanką.

Rotmistrz spojrział nań jak na wariata.

— Ach, cóż znowu. Bynajmniej — powiedział niechętnie. — Kocham się w niej bez wzajemności.

Na zakończenie prychnął jakoś dziwnie i umilkł.

Dochodzili już do Marszałkowskiej, gdy rotmistrz zatrzymał się i wbijając palec wskazujący w lewe ramię Kolskiego powiedział:

— Czy zastanawiał się pan kiedy nad dziwną zagadką psychologiczną? Powiedzmy, masz pan romans z mężatką. Masz pan romans i już. Rzecz zwyczajna. Wiesz pan doskonale, że ona rzadziej lub częściej musi obdarzać męża swoimi względami. Tego męża spotykasz pan, do ciężkiego diabła, codziennie i w gruncie rzeczy nawet go lubisz. Jakże inaczej wygląda sprawa, gdy ta sama mężatka ma do czynienia nie tylko z mężem, lecz jeszcze z jakimś facetem! Flaki się wtedy panu przewracają! Rozszarpałbyś gacha na pięćdziesiąt kawałków! Co to może być u licha?! Skąd ta różnica?...

Kolski potrząsnął głową.

— Nie wiem. Nie znam się na tym.

— Właśnie. Filozofowie tam o różnych rzeczach piszą, o jakichś tam, panie, krytykach czystego rozumu i innych faramuszkach, które się nigdy nikomu na nic nie przydadzą, zamiast zająć się życiowymi sprawami. No, tak. Nie bój się pan. Za cztery tygodnie kończą się manewry i nie życzę temu skunksowi, bym go jeszcze zastał w Warszawie. A z pana to byczy chłop! Słowo daję. Po moim powrocie do Warszawy musimy się częściej spotykać. Gra pan w brydża?

— Bardzo słabo.

— No to się pan poducz. A teraz do widzenia, bo mi pociąg ucieknie. Czołem.

Kolski zawrócił w stronę domu. Miał takie uczucie, jakby unurzał się w bagnie. Lecz, o dziwo, główny ciężar jego oskarżeń nie zwracał się przeciwko Ninie. Wydała mu się istotą tak małą i tak płytką, że po prostu nie można jej było obarczać normalną, ludzką odpowiedzialnością za popełnione czyny. Ani obarczać, ani karać. Karanie jej byłoby takimż nonsensem, jak na przykład znęcanie się nad psem czy kotem za to, że zjadł kawałek mięsa pozostawionego bez dozoru.

— Zwierzątko. Sprytnie, przebiegłe zwierzątko, o prymitywnych instynktach...

Przed wszystkim odczuwał zmęczenie, to najcięższe z wszystkich moralne zmęczenie graniczące z apatią. I wstręt do siebie. Jak mógł znaleźć się w podobnej sytuacji! Wierzył tej kobiecie. Ale to jego wina, bo chciał wierzyć. Tylko jego wina. Absolutnie nie miał do niej żalu, tylko niechęć do siebie. W tym tkwiła najboleśniej nauczka na przyszłość: nie zbliżać się nigdy do tych kobiet, których etykę możemy postawić na chwilę bodaj pod znakiem zapytania!

Tej nocy pisał do Łucji:

„Zdaje mi się, że można przejść przez bagno, a wyjść zeń jeszcze czystszy, jeszcze lepszy, niż się było przedtem. Czy podziela pani moje zdanie?... Teraz dopiero rozumiem przypowieść o synu marnotrawnym i to, dlaczego zawsze głębiej do mnie przemawiała podświadomie świętość Marii Magdaleny niż świętość Teresy. Jakże mi trzeba wytchnienia i fizycznego, i duchowego. Jakże mi brak rozmów z panią. Zastępuję je sobie w ten sposób, że pisząc do pani lub czytając jej listy, jej drogie, dobre listy, mam przed sobą pani fotografię, z której patrzą na mnie te same, znajome, najpiękniejsze oczy na świecie...”

Istotnie napisanie tego listu wpłynęło kojąco na jego nerwy i gdy zasypiał, był już zupełnie spokojny. Wszystko, co przeżył ubiegłego dnia i w ciągu ubiegłych miesięcy, wydało mu się czymś niezmiernie odległym, jakąś mało interesującą historią opowiedzianą przez kogoś obojętnego i to bardzo dawno. Czuł się teraz od tego o sto mil.

Tak dalece przekreślił w sobie Ninę i związane z nią sprawy, że nie przyszło mu na myśl zawiadomić jej o tym. Toteż o godzinie piątej, gdy usłyszał dzwonek w przedpokoju, w pierwszej chwili nie przyszło mu nawet do głowy, by to mogła być Nina. Gdy ją zobaczył, nie mógł opanować zdziwienia, które ona wzięła za coś innego i udała, że nic nie dostrzega.

Wyciągnęła doń rękę znużonym ruchem.

— Ach, tak strasznie ci dziękuję za wczoraj. Nie możesz sobie wyobrazić, jakie to było dla mnie męczące. Jeszcze do tej chwili nie mogę ochłonąć z tych okropnych wrażeń.

Weszła do pokoju i bezwładnie usiadła na kanapie. W białej jedwabnej sukience bez rękawów, z malutkim dekoltem wyglądała prawie dziewczęco: naiwnie, kapryśnie i świeżo. Była prawie nieumalowana lub też robiła to tak umiejętnie, że jej opalenizna, niebieskie cienie pod oczami, brwi, rzęsy i wargi zdawały się mieć naturalny kolor.

Kolski przyglądał się jej powierzchowności z niedowierzaniem. Po prostu nie kojarzyła się w jego wyobraźni z tą sumą wiadomości, jaką zebrał o niej wczoraj.

— Kochanie, czy możesz mi dać papierosa? — odezwała się, dostrzegając w jego zachowaniu coś niecodziennego. Chciała zyskać na czasie, by się zorientować w nastroju Kolskiego i wybrać najodpowiedniejszą taktykę. On jednak w milczeniu podał pudełko z papierosami, zapalną i siadając naprzeciw niej nie odezwał się ani słowem.

— Powiedźże mi, Janku, jak się to wczoraj skończyło. Spodziewam się, że nie doszło do żadnej awantury między tymi szaleńcami.

— Nie, nie doszło.

— To tylko dzięki tobie. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo ci jestem wdzięczna. Zawsze można polegać na twoim umiarze i takcie. Jesteś prawdziwym mężczyzną.

Znowu zapanowała chwila ciszy i Kolski odezwał się spokojnie:

— Posłuchaj, Nino. Chcę z tobą poważnie i szczerze pomówić.

— Czy się coś stało? — zrobiła zdziwioną minkę.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie teraz. Stawało się stale. Tylko ja tego nie widziałem. Przejrzałem nagle.

Na jej twarzy odbiło się cierpienie.

— Och, Janku. Czuję, że chcesz mi zrobić jakąś przykrość — odezwała się błagalnie.

— Przejrzałem nagle — ciągnął Kolski. — Poznałem cię. Nie będę nudził cię żadnymi kazaniem ani naukami moralnymi. Po pierwsze dlatego, że nie czuję się do nich powołany, a po drugie z tej racji, że byłyby bezskuteczne. Jesteś dojrzałym człowiekiem, rozumiesz życie, wiesz doskonale, czego chcesz, postępujesz tak, jak ci nakazuje twój gust. Masz własny program życiowy.

Wstała i zbliżyła się doń w ten sposób, jakby zamierzała usiąść na jego kolanach, lecz Kolski powiedział z naciskiem:

— Proszę cię. Wysłuchaj mnie do końca.

— Czy... czy nie możemy tego odłożyć na... potem?

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie, Nino. Otóż ja również jestem dojrzałym człowiekiem, również mam zarysowaną drogę postępowania, własne poglądy, własny gatunek życia. Słowem indywidualność. Przyznam ci się, że nie mogę pojąć, co skłoniło cię do zajęcia się moją osobą. Być może w ogóle dla żadnej kobiety nie będę obiektem interesującym. Dla ciebie jednak w żadnym wypadku nie przedstawiam tych wartości czy braku wartości, których szukasz w mężczyźnie.

— Chcesz ze mną zerwać? — zapytała.

— Nie zerwać. Po co używasz takich słów? Po prostu rozstańmy się. Na krótko połączył nas niezrozumiały dla mnie kaprys losu czy twój kaprys, lecz to połączenie od początku było absurdem. Nie robię ci zarzutów z tego, że poza mną miałaś innych kochanków. To rzecz twego sumienia. Nie będę cię sądził, gdyż sam jestem winien. Byłoby śmieszne, gdybym ja, okradając twego męża za jego plecami z uczuć i pieśczęt, któreś winna jemu, gromił cię z kazalnicy dlatego tylko, że chciałbym sobie zastrzec monopol w tym okradaniu. Proponuję uczciwie i rozsądnie: rozstańmy się. Rozstańmy się nie jak para dobrych przyjaciół, ale jak ludzie, którzy popełnili omyłkę i bez żalu do siebie rozchodzą się w przeciwne strony.

— Nie zamierzam się bronić — powiedziała Nina. — Ani usprawiedliwiać. Chcę ci tylko zwrócić uwagę na jedno. Na to, czego sam nie dostrzegasz. Zdaje ci się, że postępujesz szlachetnie, a nie bierzesz tego pod uwagę, co ja czuję, co ja przeżywam. Powiadasz: rozstańmy się. Bo ciebie to nic nie kosztuje. A czy nie przyszło ci do głowy, że dla mnie może to być dramatem?

Wysoko podniósł brwi.

— Dramatem? Chyba farsą? Jedną z wielu fars.

Udała, że tego nie słyszy, i mówiła dalej:

— Zdaje ci się, że unikając nauk moralnych i potępień postępujesz wobec mnie lojalnie. A nie widzisz tego, że obrażasz mnie najboleśniej. Gdybyś żywił dla mnie bodaj odrobinę uczucia, nie mówiłbyś: rozstańmy się, bo jesteś inna, niż ja tego pragnę. Powiedziałbyś: stań się inną, zmień się, chcę mieć ciebie taką, jaką cię kocham. Uważam, że postępujesz źle. Pomogę ci. Znajdziesz we mnie oparcie moralne. Znajdziesz przyjacielską rękę.

Potrząsnął głową.

— Nie, Nino. To są puste słowa. Nie dlatego chcę rozstać się z tobą, że dowiedziałem się o twoich kochankach, lecz dlatego, że... uświadomiłem sobie, jak dalece wstrętna jest rola kochanka cudzej żony. Jak dalece niepodobna ustalić granicy między tym, co nazywasz miłością, a co twój mąż nazwałby łajdactwem.

Nina zaśmiała się ironicznie.

— Mój drogi, bardzo tanim kosztem chcesz osiągnąć etyczną wyższość nade mną.

Dotychczas starał się unikać czegoś, co mogłoby ją urazić. Teraz jednak powiedział:

— Bo to znowuż nie wymaga aż tak wielkich kosztów.

— Jesteś bardzo uprzejmy.

Umilkli oboje. Nina w milczeniu paliła papierosa. Kolski bawił się kluczami, które trzymał w ręku.

— Nie postępujesz jak mężczyzna — odezwała się wreszcie.

Wzruszył ramionami.

— Jakżeby postąpił mężczyzna?

— Zażądałby, bym zerwała z innymi.

Zrobił przeczący ruch głową.

— Nie rozumiesz mnie zupełnie.

— Ale chcę cię zrozumieć.

— Więc przede wszystkim nie wierzę w to, byś potrafiła zmienić swój dotychczasowy tryb życia. Tryb życia nie jest dziełem przypadku. Jest prostą konsekwencją natury danego człowieka. Ale nie o to mi chodzi. Gdybym nawet miał pewność, że porzucisz Korsaka, tego Anglika i innych, których nie znam, i tak nie mógłbym nadal być z tobą. W najmniejszym stopniu nie chcę cię dotknąć. Owszem, przyznaję ci wiele walorów. Jesteś inteligentna, jesteś wytworna i piękna. Wiem dobrze, że rozstając się z tobą nie czynię ci żadnej krzywdy. Bo nie zależy ci na mnie.

Przerwała mu:

— Sąd o tym pozostaw mnie.

— Może tu wchodzić w grę wyłącznie twoja podrażniona ambicja, podrażniona tym, że inicjatywa rozstania wyszła ode mnie. Otóż chcę cię uspokoić. Nie roszczę sobie z tego tytułu żadnych praw do zadowolenia z siebie. Nie widzę w tym żadnej przewagi. Przeciwnie. Uważam, że w tej grze ja przegrałem, ty bowiem pozostaniesz taką, jaką byłaś, jaką jesteś, ja natomiast zmuszony jestem do rewizji swego postępowania. Ty nie masz sobie nic do wyrzucenia, ja zaś... Zresztą nie mówmy o tym.

Nina podniosła głowę i zapytała:

— Chcę tylko jedno jeszcze wiedzieć. Spotkałeś inną kobietę?

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi:

— Ależ nie, Nino! O Boże, jak my jesteśmy daleko od siebie!

Wstała i zaczęła powoli naciągać rękawiczki.

— No, cóż — powiedziała z uśmiechem. — Nie pozostaje mi nic innego, jak pana pożegnać.

Wyciągnęła rękę, którą Kolski w milczeniu ucałował. Wolno szła do drzwi. Przy drzwiach odwróciła się.

— W gruncie rzeczy jest pan dobrym chłopcem.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, wyszła.

Od tego dnia nie widywał jej wcale. Minęły trzy tygodnie. Obchodził właśnie wieczorem pacjentów na drugim piętrze, gdy przybiegł sanitariusz:

— Panie doktorze. Na dole jest pani profesorowa Dobraniecka i prosi pana doktora.

Domyślał się od razu, że musiało się stać coś niezwykłego. Gdy jednak wszedł do dyrekcyjnego gabinetu i zobaczył Ninę, przeraził się. Była blada, oczy miała głęboko podkrążone, ręce jej się trzęsły.

— Co pani jest? — zapytał szczerze zaniepokojony.

Głos jej drżał, gdy mówiła:

— Mój mąż... Jest bardzo źle z moim mężem.

— Pan profesor wrócił?

— Nie. Otrzymałam list z Marienbadu. Doktor Hartmann pisze, że stwierdzono nowotwór pod czaszką... To już podobno tylko kwestia miesięcy czy nawet tygodni... Straszne, straszne...

Na pewno nie udawała. Jej rozpacz była szczerą. Było to dla Kolskiego niespodzianką. Nina musiała być jednak przywiązana do męża. A może nawet kochała go po swojemu. W oczach miała łzy.

Pochylił się nad nią.

— Niech pani nie traci nadziei — powiedział swoim zawodowym tonem pocieszającego lekarza. — Podobne diagnozy bywają mylne. A resztą tego rodzaju nowotwory dają się usuwać. Wątpię, by w Marienbadzie byli dość poważni specjaliści z tej dziedziny.

Otarła łzy.

— Dałby Bóg... Jerzy chce wrócić do Warszawy, ale nie może być mowy o tym, by wracał sam. Musi mieć w drodze odpowiednią opiekę. Czy... czy pan pojechałby ze mną?

— Ależ oczywiście, proszę pani.

— Doktor Hartmann radzi zabrać Jerzego jak najprędzej. Boże, Boże! Właśnie to naglenie przeraża mnie.

— Czy ma pani przy sobie list Hartmanna?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Chciałbym go przeczytać.

— Nie ma w tym liście żadnych ściślejszych danych. Ale mogę go panu przysłać.

Zamyślił się i powiedział:

— Nie widzę racji, dla której mielibyśmy odkładać wyjazd. Muszę się tylko porozumieć z Rancewiczem. Kiedy pani może być gotowa?

— Ach, każdej chwili.

Następnego ranka Kolski wraz z Niną wyjechali pociągiem pośpiesznym do Marienbadu.

## ROZDZIAŁ XIII

Nie ma piękniejszej pory roku niż jesień, niż wczesna jesień na rozległych ziemiach białoruskich. Po polach, po rżyskach i ugorach łagodny ciepły wiatr srebrne nici babiego lata unosi. Lasy stoją ciche, zaszuchane w purpurową i żółtą dojrzałość swych liści, w sadach jabłonie i grusze uwolnione od ciężaru owoców przeciągają się przed snem zimowym leniwym ruchem gałęzi. Po gumnach wróble gwarne wiece odbywają w złotej słomie. Na bladym błękitnie nieba klucze żurawi czarnymi znaczą się kresami. W stodołach rytmicznym tańcem hołubce wybijają cepy, tryska jędrne ziarno z wystających na słońcu kłosów, by przewiane i czyste zlać się sypkim strumieniem do pękających worków.

Cieszy się oko gospodarza dostatkiem. Cieszą się jego plecy ciężarem dźwiganego plonu. Postępując więcej z nawyku niż z wysiłku, układa worki na wózku. Całą górę. Mały, brzuchaty konik ma dość siły, by nie śpiesząc się, noga za nogą, zboże do młyna dociągnąć. A młyn, ten nienasycony potwór, dobrotliwie warczy i w ogromnych zębiskach przeżuwa i przeżuwa młode ziarno. Szerokim strumieniem spada woda na koło i dołem wypływa w bulgotach i pianie. Dzień i noc w otwartą paszczę sypie się żyto, dzień i noc w białych tumanach pachnących chlebem wysypuje się strumień mąki.

Ciężki bywa przednówek na chudych ziemiach białoruskich. Toteż kiedy jak kiedy, ale wczesną jesienią młyn odpoczynku nie zazna. Stęsknili się ludzie za chlebem, za czarnym, pachnącym chlebem, którego wielu od wiosny w ustach nie miało.

Na dobry porządek należałoby i na niedzielę młyna nie zatrzymywać. Ale stary Prokop Mielnik miał swoje zasady i od nich nie odstępował nigdy, chociaż wiedział, że Gajer w Poddubnej, a i Szymoniuk w Rakowszczyźnie po niedzielach pracują. Konkurencja konkurencją, a święto świętem.

Toteż w niedzielę milkły żarna w młynie Prokopa Mielnika. On sam, w odświętnej bluzie koloru wiśniowego, podwiązanej grubym, jedwabnym sznurem, szedł na pogawędkę do Wilczura, z którym zasiadał na ganku lecznicy. Reszta mieszkańców młyna również korzystała z odpoczynku. Zonia z Olgą szły do Bierwint lub do miasteczka, Natalka wymykała się chyłkiem w stronę Nieskupy, gdzie czekał na nią jej adorator i rówieśnik Sasza, Donka z Wasylem pływali łódką po stawie. W domu zostawała tylko stara Agata i Witalis, który chrapał pod topolą. Jemioł jak zwykle popołudnie spędzał w karczmie w Radoliszkach. Łucja godziny te poświęcała swoim sprawom prywatnym. Pisała listy do znajomych, reperowała swoją garderobę, także i garderobę Wilczura, oczywiście bez jego wiedzy.

Tymczasem na ganku toczyła się rozmowa. Wilczur wypytywał Prokopa o sprawy młynarskie, o ceny zboża, o to, co słychać w okolicy. Sam opowiadał o ciekawszych wypadkach w lecznicy. Prosperowała ona nieźle. Jak zwykle po żniwach, ludzie przypomnieli sobie swoje dolegliwości i to, że można się ich pozbyć, jeżeli tylko udać się do profesora. Z datków, które przynosili, można było opędzić wydatki lecznicy i własne bez znacznej oszczędności, ale przecież i bez biedy.

Gdy już wyczerpali te tematy, Prokop zaczął się rozwódzić nad swoimi planami na przyszłość. Najwięcej zajmowała go myśl przepisania młyna i ziemi na imię Wasyla.

— Człowiek już jestem niemłody — mówił — a choć, Bogu dzięki, zdrowia i siły nie braknie, zawsze zdarzyć się może nagła śmierć. Po cóż ja mam po sobie zostawiać nieporządek? Póki żyję, wszyscy oni mnie słuchają, ale jakbym umarł, to kto wie, czy między Wasylem a Olgą i Zonią nie zaprowadziłyby się jakieś kwasy. Nie daj Boże doszłoby jeszcze do ciągnięcia się po sądach, i tak cały dorobek mego życia zmarnowałiby. Więc sobie umyśliłem tak: jeszcze za życia przepiszę wszystko na Wasyla. Chłopiec jest uczciwy, ani siostry, ani bratowej nie ukrzywdzi, a takim prawem chudoba w jednym ręku zostanie i nie zmarnieje.

— A kiedyż to myślisz zrobić? — zapytał Wilczur.

— A ot, myślę, że po Trzech Królach wesele odbędziem, to pojedę z nim do powiatu i przepiszę. Radzisz czy nie radzisz?

— Pewno, że radzę — odpowiedział Wilczur. — A powiedzże mi ty, czy jesteś zadowolony z przyszłej synowej?

— Co ja nie mam być zadowolony?! Dziewczyna jak złoto, chętna, robotna, wesoła, a najważniejsze, że zdrowa już. Nie cherlaków będzie rodzić. Toż prawdę powiedziawszy ja ją z tą myślą z miasta przywiózł. I nawet martwił się ja z początku, że między nią a Wasylem nijakiej skłonności nie ma. Jak mężczyzna i kobieta obok siebie żyją, to i skłonność musi się zjawić. No i zjawiła się.

Zapanowało milczenie. Cisza była wokół, tylko od młyna dolatywał monotony szum wody i trzask sójki, która usadowiła się na jednej z brzoź gościńca.

— No, a jakże z tobą będzie? — odezwał się Prokop.

— Ze mną? — Wilczur ocknął się z zamyślenia.

— A jakże. Ty nie gniewaj się na mnie, że ja ciebie o takie rzeczy zagabuję, ale patrzę i patrzę, a jak patrzę, to i dziwię się.

— Niby pod jakim względem? Co cię tak dziwi?

— A ot, mieszkasz pod jednym dachem z tą panienką. Każdy widzi, że macie do siebie skłonność. Żeby o kogo innego chodziło, nie o ciebie, to jużby ludzie źle o was zaczęli mówić. Tak, broń Boże, nikt nic złego nie myśli, ale bo to raz mnie pytali: — kiedyż on się z nią ożeni ten nasz profesor?... to ja mówię: — a Bóg że jego wie. Bo i skądże ja mam wiedzieć? To oni: — popytaj się... — to ja im: — sami pytajcie się. Cóż to, języków w gębie nie macie?... Ale wiadomo, śmiałości nie czują.

Wilczur opuścił głowę.



— Sam nie wiem... Sam nie wiem, jak postąpić.

Istotnie nie wiedział. Wprawdzie przed tygodniem był już zupełnie zdecydowany na małżeństwo z Łucją, lecz wówczas właśnie zaszedł pewien drobny wypadek, który wiele dał mu do myślenia i jeżeli nie przekreślił planów małżeńskich, to w każdym razie mocno je podważył.

A było to tak:

Od dłuższego czasu leczył się tu dziesięcioletni chłopak, syn garncarza z Bierwint. Przy zbieraniu jabłek spadł z drzewa i doznał dość poważnych wewnętrznych obrażeń. Był najmłodszym pacjentem w lecznicy i pupilem wszystkich. Nawet Jemioł umiał godzinami przesiadywać przy jego łóżku, opowiadając mu najdziwniejsze bajki. Donka przynosiła mu różne smakołyki, Łucja uszyła dlań ładne ubranko, a Wilczur zaglądał do niego znacznie częściej, niż tego wymagała troska o jego zdrowie. Mały Piotruś stopniowo wracał do zdrowia. Najpierw pozwolono mu wstawać na kilka godzin dziennie, później już tylko noc spędzał w łóżku. Nikomu nie śpieszyło się z odesłaniem go do domu. Jednakże w domu był potrzebny. Młodsza jego siostrzyczka nie umiała dać sobie rady z wielkim stadem gęsi i po Piotrusia pewnego dnia zgłosił się ojciec. Z tą smutną wiadomością przyszła do Wilczura Łucja, przyprowadzając jednocześnie chłopca, by się pożegnał z profesorem.

— Podziękuj, Piotrusiu, panu profesorowi za to, że cię wyleczył. Ja tymczasem spakuję twoje manatki — powiedziała i wyszła do sieni.

Chłopak wyciągnął rączki tak, jakby chciał profesora objąć za szyję. Wilczur, rozczulony, pochylił się i podniósł malca, by go ucałować.

— Ale ciężki jesteś — powiedział zasapany, stawiając go z powrotem na podłodze.

Po chwili wróciła Łucja, a za nią na progu ukazał się ojciec Piotrusia. Chłop zaczął dziękować i przeproszać za kłopot, którego pewno jego syn tu narobił.

— Ale żadnego kłopotu — wesoło zawołała Łucja. — To najgrzeczniejszy chłopczyk, jakiego widziałam w życiu.

Nagłym ruchem porwała Piotrusia z ziemi, przytuliła i zaczęła go nosić po pokoju.

Nie zauważyła wcale, jak wielkie wrażenie wywarło to na Wilczurze. Przygryzł wargi i ze smutkiem przypatrywał się jej, jak bez najmniejszego wysiłku tańczyła po pokoju z chłopakiem na rękę, z tym samym chłopakiem, którego on ledwie zdołał podnieść. Nigdy przedtem w sposób bardziej dobitny przypadek nie podkreślił różnicy ich wieku i różnicy sił.

Nie spostrzegła tego i nie domyśliła się wcale, jak bolesny cios zadała jego nadziejom. Nie umiała też sobie później wytłumaczyć niczym nieuzasadnionego odsunięcia się Wilczura od niej i smutku, który go zaczął dręczyć. Na próżno szukała w swojej pamięci jakiegoś nierozważnego słowa, jakiegoś postępku, którym mogła sobie profesora zrazić. Obawiała się zwrócić doń z szczerym pytaniem, gdyż wiedziała, że nic nie odpowie, a przez to zostanie pogłębiona ta niewidzialna rysa, która znowu ich zaczęła dzielić.

Wilczur jeszcze bardziej odczuwał istnienie tej rysy niż Łucja. Widział, jak wbiegła na schody, jak bez niczyjej pomocy prześcielała łóżka chorym, dźwigając ich i przenosząc. Spostrzegwał, że po dniu ciężkiej pracy wybierała się na długie spacerzy, że pomimo zimnej wody w stawach kąpała się codziennie, pływając szybko i sprawnie, że słowem, była młoda, bardzo młoda, tak młoda, że on przy niej musiał się uważać za starca. Toteż teraz, gdy padło pytanie Prokopa Mielnika, odpowiedział:

— Nie wiem. Sam nie wiem.

Prokop wzruszył ramionami.

— A cóż tu i wiedzieć trzeba? Ona chce za ciebie?

Wilczur mruknął:

— Chce, bo nie ma jeszcze doświadczenia.

— No, jak chce, to i żeń się. Cóż to za porządek, żeby chłop bez baby był.

— Ale weź, Prokopie, pod uwagę różnicę wieku. Ona jest młoda i ładna, a ja już stary dziad. Przed nią przyszłość. Cóż ja jej będę życie zawiązywał.

Prokop zirytował się.

— Ot, mądry ty człowiek, a głupstwa gadasz. Mnie nie śmiech, kiedy durny głupstwa gada. Ale jak mądry głupstwa gada i śmiać się chce. Cóż z ciebie za dziad? Jak ty dziad,

to ja kto? Jaż od ciebie kudy<sup>60</sup> starszy. A jakby nie daj Boże Agata pomarła, tak i ożenie się.

— Widzisz, Prokopie, u was to co innego. U was to się bierze żonę, żeby mieć gospodynię. A u nas to z miłości, z kochania.

— To i niedobrze — orzekł Prokop. — Trzeba i dla jednego, i dla drugiego. A mało to ludzi w starszym wieku z młodymi kobietami się żeni? Ho, już w samej naszej okolicy naliczyłbym ci takich ze trzydzieści. A druga rzecz: cóż tobie brakuje? Co ty myślisz, że ona jedna by się za ciebie chciała wydać? Każda by chciała. Teraz mówisz taką rzecz: zawiążesz jej życie. Jedno z dwóch: albo będziesz zdrow i będziesz żył długo, to i nie będzie miała się na co skarżyć, albo zostawisz ją jako wdowę, to i życie będzie miała wolne. Ot co i sprawa jest jasna.

Po rozmowie z Prokopem Wilczur ponownie zawahał się w swoim przeświadczeniu o konieczności rezygnacji z małżeństwa. Istotnie nie zawiązywał życia Łucji. Była przecież kobietą dojrzałą, wiedziała, czego chce. Nie można wszystkich ludzi mierzyć jedną miarą. Może właśnie dla niej szczęściem, prawdziwym szczęściem będzie to, co on jej dać może. Spokojne, równe życie, pogodną przyjaźń, serdeczne przywiązanie, a ostatecznie przecież jako mężczyzna bynajmniej jeszcze nie skończył swojej kariery.

Gdy po obiedzie, jak zwykle w niedzielę, wybierał się z Łucją na cmentarz radoliski, postanowił otwarcie i szczerze pomówić z nią o tych wszystkich sprawach i dopiero potem powziąć decyzję.

Łucja dnia tego była trochę smutna. Odpisywała właśnie Kolskiemu na jego długi i pełen goryczy list. Wydawało się jej, że Kolski zabrnął w jakieś nieprzyjemne tarapaty, że się poddaje przygnębieniu z powodu spraw, o których nie chce czy nie może pisać. Była przekonana, że gdyby wyznał jej szczerze wszystko, potrafiłaby dlań znaleźć jakąś radę czy pomoc. Nie wątpiła też, że w osobistym zetknięciu Kolski nie robiłby przed nią tajemnic. W listach jednak nie mógł się zdobyć na zupełną otwartość. Domyślała się, że na dnie jego trosk i zmartwień jest jakaś kobieta. Była tego pewna, jak i tego, że owa kobieta nie zasługuje na jego miłość i że jest raczej w jego życiu przygodą. Pomimo to Łucja odczuwała coś, czego wprawdzie nie mogłaby nazwać zazdrością, ale czym jednak czuła się dotknięta. Pewną satysfakcją dawało jej to, że Kolski w próbie zapomnienia o niej nie znalazł niczego dość wartościowego, że przeciwnie ona, Łucja, zyskała tylko na konfrontacji z tamtą nieznaną.

— Nie jest pani dziś w najlepszym humorze — zauważył Wilczur, gdy się znaleźli na ścieżce wijącej się nad brzegiem stawu. — Czy spotkało panią coś przykrego?

— Ach, nie — zaprzeczyła. — Martwię się trochę z powodu Kolskiego. Otrzymałam od niego list. I chociaż nie pisze wyraźnie, wiem, że ma jakieś poważne kłopoty.

— W lecznicy?

— Nie. To są raczej kłopoty natury moralnej. Mam wrażenie, że wdał się w jakiś romans czy też zaręczył się z kimś, kto przysparza mu wiele zmartwień.

— Kolski nie wygląda mi na człowieka łatwo ulegającego dramatom sercowym. To jest bardzo porządny człowiek z dużym charakterem.

Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Kolskim i dodał:

— Może jego wadą jest zbyt pochopne sądzenie. Ale to jest wina młodości. Okupuje tę winę jego odwaga cywilna. To duża zaleta w naszych oportunistycznych czasach. Jak pani będzie pisała do niego, proszę pozdrowić go ode mnie.

Rozmowę ich przerwały okrzyki ze stawu. To Wasyl i Donka pokrzykiwali z łódki w stronę brzegu. Teraz dopiero Wilczur i Łucja zauważyli Jemioła wygodnie rozłożonego w cieniu krzaków. Obok niego stała do połowy już wypróżniona butelka wódki. Młodzi podpłynęli bliżej i wdali się z nim w rozmowę. Donka, wskazując za oddalającą się Łucję z Wilczurem, powiedziała:

— I czy nie ogarnia pana zazdrość, panie Jemioł?

— Zazdrość? O co?

— Ano, każdy ma swoją dziewczynę. A pan jest sam.

— Moja droga żabusiu. Tak. Jestem sam. Sam jak palec w nosie. Ale jeżeli sądzisz, że zazdrościsz innym, to się grubo mylisz.

<sup>60</sup>kudy (gw.) — gdzie; tu: o ile. [przypis edytorski]

Wasył zaśmiał się głośno.

— A bo pan nigdy nie jest sam, panie Jemioł. Tylko zawsze z butelką.

— Twoje szczęście, mój tubylcze, mój ty lokalny Romeo, że butelka nie jest jeszcze wypróżniona. W przeciwnym razie mógłbym ją przesłać drogą powietrzną. Uważaj, by nie wylądowała na twoim organie powonienia.

— Ho, ho, nie dorzuci pan tu — zaśmiał się Wasył i na wszelki wypadek machnął parę razy wiosłami, by się nieco oddalić od brzegu.

— A jeżeli chodzi o zazdrość, to zrozumiem, mikrocefalu, że w tej flaszcze mam nie jedną przyjaciółkę, lecz całe ich stado. Harem. Rozumiesz, harem?

— Nie rozumiem — szczerze przyznał się Wasył.

— Fu, pan takie świństwa mówi — zachnęła się Donka.

— Ja mówię, a wy macie ochotę robić. I czymże jesteście? Oto mimowolnym narzędziem fatum, które każe wam być funkcją populacyjno-demograficzną. Zakładem chałupniczym przyrostu ludności. Koncesjonowaną fabryczką zakładaną w celu wyprodukowania kilku egzemplarzy sobie podobnych indigène'ów<sup>61</sup>. Łypiecie jedno na drugie rozmarzonym okiem, a skutek? Kupa cuchnących pieluszek i parę kilogramów żywego mięsa, z którego wydobywa się dniami i nocami nieartykułowany wrzask. I na próżno bym wzywał was do kontemplacji tego problemu. Czy które z was zadało sobie kiedyś pytanie nieboszczyka Hamleta: „Be, or not to be?”... Czy które z was, w ślepym pędzie do podtrzymywania gatunku, miało refleksję, że gatunek ten jest w gruncie rzeczy bardzo podły? Gatunek homo pseudo sapiens rusticanus, nierzadko obdarzony kołtunem lub parchami. I zapytuję was gromkim głosem: po jaką cholere macie kontynuować to drzewo genealogiczne małpiaków pospolitych, istot antropoidalnych, zaludniających dorzeczcie Dżwiny i Niemna?...

Młodzi śmiali się, chociaż niewiele zrozumieli. Gadulstwo Jemioła było dla nich czymś nad wyraz zabawnym. On sam pociągnął nieduży łyk z butelki i podparłszy głowę ręką, wygodnie się ułożył w wysokiej trawie.

— Śmiejecie się, by zadokumentować swoje człowieczeństwo. Istotnie jest to jedyny dla was dostępny odruch organizmu, który odróżnia zwierzę od człowieka.

Donka zaprotestowała:

— A nieprawda. Bo i zwierzęta się śmieją. Na przykład pies.

— I koń — dodał Wasył. — W Nieskupej u Parafimczuka jest koń, co śmieje się jak człowiek.

— Na zdrowie. Niech się śmieje — mówił Jemioł. — Gdybyście byli obeznani z filozofią klasyczną, powiedziałbym wam, że wyjątki potwierdzają regułę, a wcale jej nie obalają. Zresztą w wyższym rzędzie śmiech przestaje być objawem człowieczeństwa. W wyższym rzędzie pozostaje tylko uśmiech politowania i pobłażliwej obojętności dla świata, nad którym należałoby zawiesić sztyl umieszczony przez Dantego na bramie piekielnej: „*Lasciate ogni speranza*”<sup>62</sup>, co znaczy po polsku: „ferfał di kaczkes mit di gance pastroj-kies”. Nie ubolewajcie tedy nade mną, że chodzę po świecie nieobarczony towarzystwem samicy. Jeżeli bym komukolwiek wierzył, to wierzyłbym przede wszystkim Weiningerowi, który, jak to dobrze wiecie, nie za dużo uprzejmych rzeczy powiedział o kobietach.

— To ten pan był niegrzeczny — rezolutnie zaopiniowała Donka.

— Zgadłaś, oblubienico.

Tak to oni się przekomarzali czas dłuższy, gdy od strony młyna rozległy się jakieś okrzyki. Musiało się tam stać coś złego, gdyż okrzyki były pełne niepokoju. Wasył pierwszy dojrzał ich przyczynę. Od strony młyna pędził duży pies, pędził ścieżką nad stawami. Nietrudno było zrozumieć znaczenie krzyków. Pies był obcy, w okolicy nieznaną. Z pyska ściekała pieniąca się ślina, ogon miał podwinięty.

— Panie Jemioł, niech pan ucieka! — wrzasnął Wasył. — To wściekły pies!

— Niech pan ucieka! — przeraźliwie zapiszczała Donka.

Ale łatwiej było doradzać ucieczkę niż wskazać jej kierunek. Wokół ciągnęła się otwarta przestrzeń, właśnie w tym kierunku, w którym biegł pies. Jemioł zerwał się na równe nogi.

<sup>61</sup>indigène (fr.) — krajowiec, tubylec. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>lasciate ogni speranza (wł.) — porzuć wszelką nadzieję. [przypis edytorski]

— Gdybym chociaż miał jakiś kij!

— Trzymaj pan — zawołał Wasyl i rzucił do brzegu wiosło, lecz odległość była zbyt wielka i nie dorzucił.

Pies biegł szybko. Nie pozostawało czasu do namysłu i Jemioł, porwawszy butelkę z murawy, skoczył do wody. Niestety, nie umiał pływać, a ponieważ staw w tym miejscu był głęboki, minęło sporo chwil, zanim się wynurzył. Tymczasem Wasyl doprowadził łódkę do miejsca, w którym zanurzył się Jemioł, i gdy tylko głowa tonącego ukazała się nad powierzchnią wody, uchwycił go za czuprynę, później za kołnierz i wciągnął do łodzi.

— Niech to wszyscy diabli! — kłął Jemioł, parszcząc i plując wodą. — Cóż to za porządki, żeby wściekle psy grasowały po okolicy w pogodne, niedzielne popołudnie i zmuszały obywatela zażywającego *dolce far niente*<sup>63</sup> do nurzania się w tej ohydnej cieczy. Uwważ, Wasyl, na Boga! Tam, tam płynie. Nie rozbij jej wiosłem.

Rzeczywiście w pobliżu dzioba łodzi ukazała się butelka. Na szczęście była zakorkowana i jej zawartość ocalała. Nie na długo wszakże, gdyż Jemioł natychmiast ją przełaził do swego żołądka.

Nad staw przybiegł zdyszany Witalis z wielkim drągiem, lecz pościg za psem okazał się już spóźniony. Z opowiadania Witalisa dowiedzieli się o przebiegu zajścia. Mianowicie drogą od gościńca przyszedł pies. Wcale nie wyglądał na wściekłego. Kręcił się jakiś czas po podwórzu i nagle rzucił się na Zonię, która na szczęście niosła puste wiadro. Uderzyła nim bestię w łeb i tym się obroniła. Wówczas pies skoczył w bok ku Witalisowi, a gdy dwa miejscowe psy nadbiegły, dotkliwie oba pogryzł.

— Nie ma rady, trzeba będzie je zabić — zakończył swe opowiadanie parobek.

— To bardzo przykro — ze smutkiem powiedziała Donka.

Przybili do brzegu i poszli obejrzeć pokaleczone psy.

Tymczasem Wilczur z Łucją wyszli z cmentarza i jak zwykle okrężną drogą skierowali się ku domowi, a właściwie ku gościńcowi, na którym mieli się rozstać, gdyż Łucja zamierzała wstąpić do chorej dziewczynki w Radoliszkach.

Rozmowa o Kolskim i o Warszawie, a później o owej małej pacjentce popsła szyki Wilczurowi. Nie było jakoś sposobności zacząć mówić o swoich zamiarach małżeńskich. Co prawda profesor nie kwapił się do tego i w gruncie rzeczy był rad, że ponownie może ten temat odsunąć na przyszłość.

Szli krętą drogą między rżyskami, brzegi jednak drogi były dość gęsto porośnięte krzakami. Na zakręcie, pod jedną z większych kęp zobaczyli dużego, rudego psa, który stał nieruchomo i wpatrywał się w idących.

— Jaki wspaniały seter — zawołała Łucja.

— Rzeczywiście piękny — przyznał Wilczur. — Musi być tu w okolicy od niedawna, bo nigdy go nie widziałem.

Zboczył w stronę psa i wyciągając doń rękę, zawołał:

— No, chodź tu piesku, chodź.

Nie zdołał ręki w porę cofnąć. Wyglądający tak spokojnie seter w mgnieniu oka wpił się zębami w dłoń, po czym zawrócił i pomknął cwałem w stronę cmentarza.

— Mój Boże! — powiedziała Łucja. — Ugryzł pana. Czy bardzo boli?

Wilczur uśmiechem pokrył ból.

— Ach nie. To drobiazg — skłamał.

W istocie czuł w całym ramieniu przejmujący ból. Zęby zwierzęcia musiały uszkodzić jakiś nerw. Z niedużej rany sączyły się kropelki krwi. Wyjął chusteczkę, otarł dłoń i zauważył:

— Czegóż wymagać od zwierząt, skoro ludzie tak często postępują podobnie, odpowiadając na przyjaźń i życzliwość zębami.

Łucja zatroszczyła się.

— Ze tu nie ma wody. W każdym razie niech pan natychmiast po powrocie do domu wydezynfekuje tę ranę. Musi mi pan to obiecać.

Zaśmiał się.

— Ależ, panno Łucjo. To drobiazg. Zresztą mogę pani obiecać, że to zrobię.

— Bardzo proszę.

<sup>63</sup>*dolce far niente* (wł.) — słodkie nicnierobienie. [przypis edytorski]

Doszli do gościńca i Wilczur zapytał:

— Długo pani zabawi w miasteczku?

— Nie — potrząsnęła głową. — Najwyżej pół godziny. Tej małej muszę zmienić opatrunek. To wszystko.

Uśmiechnęli się do siebie i rozstali się. Wilczur zawrócił w stronę lecznicy, Łucja ku Radoliszkom. Nie zdążyła jednak przejść kilkuset kroków, gdy spotkała obu radoliskich policjantów. Zнали ją od dawna i przywitali ją jak zwykle grzecznie salutując. Odpowiedziała im ukłonem głowy, gdy jeden z nich zapytał:

— Czy nie widziała pani gdzie tu takiego rudego psa?

Zatrzymała się.

— Owszem, widziałam. Pobiegł w stronę cmentarza. Czy to pański pies?

— Gdzież tam, proszę pani. To jakiś obcy, wściekły pies. W miasteczku pogryzł konia i trzy psy. Idziemy go szukać, żeby go zastrzelić.

Łucji wszystka krew zbiegła do serca.

— Jezus Maria! — szepnęła.

Teraz dopiero zauważyła, że policjanci mają ze sobą karabiny.

— Więc pobiegł w stronę cmentarza? — zapytał drugi policjant.

— Dziękujemy pani i moje uszanowanie.

Po chwili dopiero oprzytomniała. Najpierw chciała biec za Wilczurem, by go dopędzić i zakomunikować mu straszną nowinę, po namyśle jednak postanowiła czym prędzej iść do apteki. Po drodze dręczyła ją obawa, że w tak małej aptece nie znajdzie szczepionki pasteurowskiej. Nie omyliła się.

— Jedyńy sposób, proszę pani doktorki — oświadczył jej aptekarz — to wieźć profesora do miasta. I to jak najprędzej. Sama pani wie, że w takich wypadkach nie ma czasu na zwlekanie.

Łucja spojrziała na zegarek. Wieczorny pociąg z Ludwikowa odchodził za godzinę. O tym, by przez ten czas zdążyć do lecznicy i później kołmi na stację, mowy być nie mogło. Następny miał być nazajutrz o pierwszej po południu. Wychodziła już na ulicę, gdy aptekarz ją zatrzymał.

— Proszę pani, o ile wiem, pan doktor Pawlicki sprowadzał sobie szczepionkę pasteurowską, bo ostatnio było tu parę wypadków pogryzienia przez wściekłe psy. Może mu jeszcze zostało.

— Dziękuję panu. Bardzo dziękuję — zawołała Łucja i pobiegła szybko do mieszkania Pawlickiego.

Nie zastała go jednak w domu. Żona Pawlickiego przyjęła ją z wyraźną niechęcią. Początkowo nawet nie chciała powiedzieć, gdzie jest mąż.

— Wyjechał do chorego. To wszystko, co wiem.

— Jak to? I nie wie pani w jaką stronę?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Nie interesuję się tymi sprawami.

— Mój Boże! Tu chodzi o życie człowieka.

Pani Pawlicka zmierzyła Łucję zimnym spojrzeniem.

— Przecież, o ile wiem, pani jest lekarką. Oprócz pani jest tam jeszcze sam profesor Wilczur. Po cóż jeszcze mój mąż?

— Pani mąż — wyjaśniła Łucja — ma szczepionkę przeciw wścieklicznie. Profesor został pokąsany przez wściekłego psa.

— O! — zawołała pani Pawlicka takim tonem, że w jej okrzyku zarówno można było się dopatrzeć przestrawu, jak i zaciekawienia sensacją.

— Proszę pani — mówiła Łucja. — Mąż pani na pewno ma tę szczepionkę tu, w swoim gabinecie. Jestem lekarką. Znam się na tym. Niech pani mi pozwoli poszukać w gabinecie swego męża.

— Szukać w jego gabinecie? — oburzyła się pani Pawlicka. — Ależ proszę pani. Wybacz pani, to jest nie do pomyślenia. Ja, chociaż jestem jego żoną, nie ośmieliłabym się zrobić czegoś podobnego. A resztą mąż wszystko trzyma pod kluczem.

— Więc co mam robić? Co mam robić? — Łucja załamała ręce.

Po chwili wahania pani Pawlicka powiedziała:

— Niech pani zaczeka. Dowiem się od służącej. Może ona wie, dokąd mąż pojechał.

Znikła za drzwiami. Każda minuta oczekiwania zdawała się Łucji godziną. Wyobrażenia podsuwała najstraszniejsze obrazy. Oto szczepienie będzie spóźnione, oto profesor będzie umierał w najstraszliwszych, w najdzikszych męczarniach. W męczarniach, które zamieniają człowieka w dzikie zwierzę. W męczarniach, w których niepodobna przynieść żadnej ulgi.

Wreszcie pani Pawlicka wróciła.

— Mój mąż pojechał do majątku Kowalewo — powiedziała. — Do państwa Jurkowskich.

— Do Kowalewa?

— Tak.

— A pani nie wie, jak to jest daleko?

— Niestety, nie wiem. Sądzę, że te informacje otrzyma pani łatwo u ludzi z miasteczka.

— Dziękuję pani. Bardzo dziękuję.

Łucja wybiegła. W każdym razie należało wynająć konie. Ponieważ prawie wszyscy mieszkańcy Radolizsek chrześcijanie zajmowali się rolnictwem, sądziła, że wynajęcie podwojów do Kowalewa nie sprawi większych trudności. Niestety, już u pierwszego gospodarza spotkał ją zawód. Okazało się, że jak zwykle w dniu świątecznym konie są na dość odległym pastwisku. Drugą przykrą niespodzianką było to, że Kowalewo oddalone jest od Radolizsek o prawie sześć kilometrów piaszczystej drogi, którą przebyć można nawet parą koni jedynie stępa.

— Jest i bliższa droga — objaśniał chłop. — Ale tu można tylko piechotą. I to nie bardzo bezpiecznie. To będzie nie więcej jak trzy wiorsty. Do Muchówki dwie, a tam wiorsta albo półtorej przez torfowiska. Jakby pani chciała, to mogę mojego Staśka posłać.

— Nie, nie — zaprotestowała Łucja. — Sama pójdę. Strasznie mi się śpieszy.

— Jeżeli się pani śpieszy, to może pani pożyczyć rower od Wojdyłłów. Oni mają aż dwa rowery. Umie pani jeździć na rowerze?

— Umiem.

— No to do Muchówki może pani dojechać rowerem. A już później trzeba przez łąki i torfowiska pieszo. Ani rowerem, ani koniem nie przejdzie. I samej trzeba bardzo uważać, bo tam co roku ktoś się topi. Ot, i w zeszłym miesiącu Kulmaniuuka wyciągnęli, kiedy mu już tylko głowa z bagna sterczała. Trzeba bardzo uważać. Zimą, przy mrozie, tamtędy jest przejazd, ale teraz to nie.

— A nie mógłby pan pójść ze mną? — zapytała gorączkowo. — Zapłacę panu.

Chłop podrapał się w głowę.

— Cóż, nie o zapłatę chodzi, proszę pani doktorki. Ale dzień świąteczny. Niedziela. To i nijako.

Podziękowała mu za wskazówki i pobiegła do Wojdyłłów. Tutaj nie spotkała się z najmniejszymi trudnościami. Usłyszawszy, o co chodzi, Wojdyłło w tej chwili wyprowadził rower swojej synowej. Stary rymarz miał dawne długi wdzięczności wobec Wilczura i szczerze się zatroskał jego zdrowiem.

— A niechże pani doktorka nie kłopotuje się o rower. W Muchówce u sołtysa Jagodzińskiego może pani śmiało zostawić. To jutro synowa tam pójdzie i zabierze.

Droga do Muchówki prowadziła przez brzoźowe zagajniki, gdzie po niedawnych deszczach stały wielkie kałuże mętnogliniastej wody. Nim przejechała pół kilometra, była już cała zapryskana błotem. Nie ułatwiało jazdy też i to, że koła ustawicznie uderzały o wystające korzenie i że Łucja od czasów gimnazjalnych nie jeździła na rowerze i bardzo wyszła z wprawy.

Muchówka, nieduża wieś, leżała na dość znacznej wyniosłości chroniącej ją przed częstymi w tej okolicy zalewami. Mała rzeczka Liwinia, przecinająca torfowiska podczas wiosennych roztopów, zamieniała okoliczną łąkę i zagajniki w prawdziwe jeziora. Teraz jednak jej woda była tak płytka, że Łucja zamoczyła sobie nogi tylko do kostek, przeprowadzając rower przez bród. We wsi bez trudu znalazła chatę sołtysa, u którego miała zostawić rower.

Gdy zakomunikowała mu, że przez mokradła ma zamiar przedostać się do Kowalewa, sołtys wyraził zdumienie:

— Jak to? Pani chce tam przejść? Przecież to niebezpieczne. Zwłaszcza teraz pod wieczór, kiedy się już ciemno robi.

— Muszę — odpowiedziała. — Profesora Wilczura pokąsał wściekły pies. A w Kowalewie bawi obecnie doktor Pawlicki i tylko on ma na to lekarstwo.

Chłop klasnął w ręce.

— Boże mój! Profesora Wilczura pokąsał pies! Profesora Wilczura, tego znachora?

— Tak, tak.

— Tego, co żyje u Prokopa Mielnika?

— Tego samego.

— A Boże ty mój! Takiego człowieka! To pani chyba będzie tą doktorką, co to z nim razem leczy?

— Tak jest.

— Ot, nieszczęście. Dużo tu teraz wściekłych psów. Ot, nieszczęście! Jakże ja panią puszczę w tę drogę. Toż pani się utopi jak nic. Ja sam przechodziłem nieraz, ale jak byłem młody. Wtedy przejścia znałem. Bo co roku inne. Sama pani rozumie, woda podmywa... Dziś bym się już nie odważył.

Zamyślił się, kręcąc swoją brodę, wreszcie krzyknął w głąb chaty:

— Anuśka! Biegaj zaraz po Suszkiewicza Antoniego. Tylko żywo! Żywo, bo ciemnieje.

Z sieni wybiegła kilkunastoletnia dziewczyna, sprawnie przelazła przez płot i znikła w krzakach bżów. Czekali dobre piętnaście minut, zanim wróciła tą drogą. Od strony ulicy nadszedł oczekiwany Antoni Suszkiewicz. Był to kilkunastoletni wyrostek o białej jak len czuprynie, dość chuderlawy i wyglądający na gapia.

Zdjął czapkę przed przybyłą panią, wymamrotał: „Niech będzie pochwalony” i uśmiechnął się do swoich bosych stóp. Pomimo dnia świątecznego miał na sobie tylko rozchełstaną, zgrzebną koszulę i parcianki.

Sołtys położył mu rękę na ramieniu.

— Słuchaj, Antoni. A przejście przez torfowiska znasz?

— Co nie mam znać.

— Do Kowalewa przejdiesz?

— A co nie mam przejść?

— A tę panią przeprowadzisz?

— A co nie mam przeprowadzić?

— A do nocy przejdziecie?

— A co nie mamy przejść?

Sołtys sapnął z zadowoleniem i zwracając się do Łucji, powiedział:

— Ten Antoni to największy łazęga w całej wsi. Uczyć mu się nie chce, robić mu się nie chce, tylko wciąż po tych bagnach kaposzy się za kaczymi jajami, taki już on jest. Ale za to nikt lepiej od niego chodów na mokradłach nie zna. Niebezpieczna to wyprawa, ale już jak z kim ma pani iść, to tylko z nim. Tylko niech pani zaczeka. Zaraz coś przyniosę.

Poszedł pod stodołę i po chwili powrócił z długim, leszczynowym kijem.

— On to i bez kija da sobie rady — wyjaśnił. — Ale pani to lepiej, żeby wzięła. W razie jak pani będzie się zapadać, to kij trzeba na płask położyć, to zawsze człowiek dłużej się utrzyma na powierzchni.

Najserdeczniej wyraziła mu swoją wdzięczność i przypomniała, że jakby ktoś ze wsi zachorował, to żeby do lecznicy wstąpił, a otrzyma pomoc w miarę możliwości. Potem poprzedzana przez Antoniego wyszła na ulicę wioski. Przy końcu wsi droga spuszczała się ze wzgórza prawie stromo i w odległości kilkuset kroków zaczynało się bagno.

— Prędej, prędej — powtarzała wciąż Łucja chłopakowi, który widać nienawykły do pośpiechu włócił się powoli.

Przed oczami roztaczała się istna tundra, pustkowie porośnięte kępami gęstej, ostrej trawy, miejscami poźółklej. Tu i ówdzie zieleniły się na pokrętnych, białych pniach karłowate brzoźki, tu i ówdzie wąsata łoza strzelała pęczkami żółtych gałązek, gdzieniegdzie gęściło się od ciemnozielonej trzciny. Drugiego brzegu bagna widać nie było. Mógł się wydawać zarówno bliski, jak i niezmiernie daleki, gdyż przysłonięty był oparami, które podniosły się z moczarów.

Pierwsze kroki na torfowisku przeraziły Łucję. Grunt pod nogami uginał się jak sprężynowy materac, odbierając poczucie równowagi.

Chłopiec zatrzymał się.

— Niech pani idzie akuratnie za mną — powiedział flegmatycznie, dłubiąc w nosie.  
— Gdzie ja nogę postawię, tam i pani. Nie gdzie indziej, tylko akuratnie tam.

— Dobrze. Będę uważała.

— A jak stanę, to niech i pani stanie.

Kiwnęła głową i chłopak ruszył naprzód.

Jeżeli przedtem zdawało się Łucji, że posuwają się bardzo wolno, teraz z rozpaczą myślała, że idą żółwim krokiem. Istotnie przypominało to raczej żabie skakanie niż krok żółwi. Pod gęstą trawą strzelającą obficie z kęp przezierała woda. Czasem, gdy noga niewprawna do takich marszów obsuwała się, stopa zanurzała się w cieplej, gęstej i czarnorudej cieczy. Na pończosze pozostawały rdzawe plamy. Chwiejne, obrośnięte trawą kępy wydawały się Łucji jakimś lasem, zatopionym, gęstym lasem, z którego nad powierzchnią zostały tylko korony drzew. Po tych właśnie rozchwianych koronach trzeba było stąpać. Stąpać w pełni skoncentrowanej uwagi, gdyż każdy nieostrożny krok mógł grozić śmiercią. Łucja miała przedsmak tego, gdy oparłszy się kijem w przestrzeń między dwiema kępami, z przerażeniem stwierdziła, że kij nie spotyka prawie żadnego oporu i pomimo swojej dwumetrowej długości nie dosięga dna, dna, którego tu może w ogóle nie ma.

Po kilku minutach zaczął ją ogarniać strach. Obezwładniający, fizjologiczny strach zwierzęcia przed nieznanym otoczeniem. Na próżno wmawiała sobie, że przewodnik musi znać drogę i że przeprowadzi ją bezpiecznie. Lęk był silniejszy. Zagryzła usta do krwi, by powstrzymać okrzyki obawy, by nie prosić tego chłopca o zawrócenie do wsi.

— Muszę tam przejść — powtarzała z uporem. — Muszę go ratować.

Nisko zwisająca mgła ogarnęła ich chłodem. Teraz już nic nie było widać dokoła. Z trudem rozróżniała przed sobą ruchy sylwetki biało ubranego Antoniego i najbliższe kępy. Szli jak w mlecznym morzu. Nad głowami opary różowiły się lekko od zorzy na zachodzie. Z mgły wylaniały się czasami karłowate, chore brzoźki, które zdawały się tajemniczymi potworami o wstrętnych kształtach, potworami czyhającymi tu na śmiałków. Pomimo chłodu pot gęsto wystąpił na skórę, a serce to ustawało ze zmęczenia, to przy lada paromilimetrym poślizgu nogi zrywało się do gwałtownego łopotu.

Chłopak szedł wolno i Łucja przysięgała, że krążą, że zbłądzili. Przystawał od czasu do czasu, oglądał się na nią, uśmiechał się głupawo, rozglądał się gapiowato i wybrawszy jedną z sąsiednich kęp stawiał na niej nogę.

Łucji zaczęło się zdawać, że wszystko to, co ją otacza, straciło realne kontury rzeczywistości, że jest jakimś snem, męczącym i złym, z którego niepodobna się obudzić. To znowu przychodziło jej na myśl, że Antoni jest obłąkany i że nagle zostawi ją tu samą, bezradną, uciekając gdzieś i tonąc w mgle.

Toteż ilekroć chłopak zniknął jej na chwilę sprzed oczu, krzyczała rozpaczliwie:

— Antoni, Antoni! Gdzie jesteś?

Ogarniała ją niewypowiedziana ulga, gdy w mgle rozlegał się jego powolny, nosowy głos:

— Tu jestem. Tutaj.

I wracał z niezmaczoną cierpliwością, by wskazać jej przejście.

Ten strach omal nie stał się przyczyną wypadku. Mianowicie gdy przewodnik w pewnej chwili znikł, Łucja chcąc go dopędzić, zbyt szybko i zbyt nieostrożnie skoczyła na małą kępkę. Drżące kolana odmówiły jej posłuszeństwa i z głośnym pluskiem zsunęła się do wody. Było to ohydne, straszliwe uczucie. Wszystkie wiadomości, jakie znała o chłonnych bagnach, przypomniały się jej w jednej chwili. Do połowy ciała zanurzona była w jakiejś rzadkiej mazi. Piersią przywarła do kępy wpijając się palcami w trawę. Była tak nieprzytomna, że nie czuła nawet bólu. Ostre żdźbła trawy w wielu miejscach przecinały skórę rąk.

Na szczęście przy upadku kij oparł się o dwie sąsiadujące kępy i gdyby Łucja bardziej panowała nad swymi nerwami, zrozumiałaby, że bezpośrednie niebezpieczeństwo jej nie grozi.

Przeraźliwy jej krzyk zawrócił flegmatycznego wyrostka, który bez większych wysiłków pomógł Łucji wydobyć się z topieli. Trzęsła się cała i mówiła:

— Nie mogę teraz iść dalej. Muszę odpocząć. Muszę odpocząć.

Chłopak jednak potrząsnął głową.



— Tu nie można. Jak dłużej posiedzieć na kępie, to ona się zapadnie. Takie jej urządzenie jest. Jeszcze kawaleczek, a tam będzie takie miejsce, co ja znam, gdzie można, bo tam twardy grunt.

Z trudem podniosła się. Sukienka ociekała wodą, rdzawą i jakby tłustą. Lepiła się do nóg, utrudniając ruchy. Na szczęście miejsce, o którym mówił przewodnik, okazało się rzeczywiście niezbyt odległe. Była to kępa wielkości kilkumetrowej, pokryta tą samą trawą, lecz mocno zrudziała od słońca. Łucja wyciągnęła się na niej z uczuciem niewypowiedzianej ulgi. Przede wszystkim mogła odpocząć, a po wtóre przekonała się, że ten chłopiec istotnie dobrze się orientuje w terenie i że nie błądzi. Przez krótki moment ogarnęła ją błoga świadomość: stąd mogą nawet nie iść dalej. Mogę tu nawet przenocować. A nazajutrz wrócić przy dziennym świetle.

Skarciła siebie w myśli za tę słabość ducha.

„Nie. Muszę jeszcze dziś. Muszę jak najprędzej być w Kowalewie...”

Nagle opanował ją niepokój.

„A co będzie, jeżeli Pawlickiego już tam nie zastanę?”

Pod wpływem tej obawy pomimo znużenia zerwała się i powiedziała:

— Idziemy dalej. Szkoda czasu.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca.

— Niech lepiej odpocznie. Bo teraz to będzie trudniejsza droga.

— Jak to trudniejsza? — zapytała ledwo dosłyszalnym głosem.

Wprost nie mieściło się jej w głowie, by jakakolwiek droga mogła być trudniejsza od dopiero co przebytej.

— Ano, bo tu już będą kępy rzadsze, to trzeba dalej skakać. I niech pani uważa, jak ja skaczę. Tylko że pani spódnica będzie przeszkadzać. Niech pani ją podwinie.

Nie było innej rady. Ostatecznie obecność tego szesnasto- czy siedemnastoletniego wyrostka nie kępowała jej wcale. Podniosła dół sukni i zapchnęła za pasek, odsłaniając wysoko uda. Tak było rzeczywiście wygodniej. Chłopak przyglądał się tej czynności z uśmiechem.

— Chodźmy — już bardziej rześkim tonem odezwała się Łucja. — Robi się coraz ciemniej.

Prędko miała sposobność przekonać się, że Antoni nie przesadzał, mówiąc o trudności dalszej drogi. Zapewne nie jest sztuką przeskoczyć z jednego krążka wielkości dużego półmiska na drugi, na odległość metra, nie wtedy jednak, gdy między owymi krążkami czernieje bezdenne bagno. Łucja największym wysiłkiem woli powstrzymała się od niedorzecznego i samobójczego pragnienia: zamknięcia oczu podczas każdego skoku. W duszy zaczęła się modlić. Już nie o nic innego, tylko o to, by stanąwszy na następnej kępie, mogła skoczyć na brzeg. Na twardy brzeg. Poczuc twardy grunt pod nogami.

— Czy daleko jeszcze? — pytała raz po raz zdyszonym głosem.

— Niedaleczko — z niezmałym spokojem odpowiadał przewodnik.

Łucję ogarnął gniew na tego człowieka w Radolizkach, który jej powiedział, że trzeba odbyć przez bagno kilometr drogi. Ładny kilometr. Była przekonana, że zrobili ich już co najmniej dziesięć.

Chłopak zatrzymał się nagle i podniósł palec do góry.

— Słyszysz pani?

Istotnie w ciszy zalegającej torfowisko do jej uszu dobiegł dość odległy dźwięk jakiejś muzyki. Po chwili rozróżniła rytm. Ktoś na harmonii wygrywał polkę.

— To już Kowalewo — wyjaśnił Antoni. — W Kowalewie dzisiaj wesele. Córka kowala za mąż poszła za rudego Mićkę, co w zeszłym roku na Łotwę za robotą chodził.

Kępy stawały się teraz coraz gęstsze. Czekala ich jednak jeszcze niemiła przeprawa przez wysokie trzciny. Na tym brzegu bagna rósł ich szeroki pas, twardych, ostrych, nieustępliwych. Między trzciniami trzeba było brnąć po kolana w wodzie. Nogi jednak z przyjemnością opierały się o trwałe, chociaż nierówny grunt dna pokrytego korzeniami trzcin. Ostre liście ocierały się o twarz, kalecząc skórę.

Wreszcie wyszli na brzeg. Była to łąka łagodnie wznosząca się ku dość wysokiemu wzgórz, czarnemu od gęstych drzew. Nad głowami roztaczało się ciemnym seledynem niebo wyiskrzone gwiazdami. Łucja obejrzała się za siebie. Morze białej mgły otulającej te

straszliwe moczary. Wstrząsnęła się. Wprost nie mogła uwierzyć, że przed chwilą przebyła to piekło.

Szli teraz obok, szeroką ścieżką, dobrze wydeptaną. Mocne, sportowe buciki Łucji rozmiękły zupełnie, chłupotała w nich woda. Wśród drzew na wzgórzu zamigotały światła. Dźwięki harmonii odezwały się głośniejszą jakąś skoczną melodią. W gęstniejącej ciemności można było rozróżnić dwa wielkie czworoboki długich budynków: zabudowania folwarczne. Tu, na górze, zrobiło się znacznie cieplej.

Chłopak zatrzymał się.

— Ot, proszę pani, i dwór — wskazał ręką rząd oświetlonych okien poza drzewami.

Łucja wydobyła z kieszeni wszystkie drobne monety, jakie posiadała. Było tego coś około dziesięciu złotych. Wcisnęła chłopcu to wszystko do ręki, mówiąc:

— To niedużo, ale gdy przyjdiesz do lecznicy w młynie, dam ci więcej. Bardzo ci dziękuję.

— I ja dziękuję pani.

— A co, pewno przenocujesz tutaj w czworakach?

— Nie, proszę pani. Pójdę do domu.

— Jak to? Znowu przez moczary?

— A pewno.

— Nigdy ci na to nie pozwolę. To byłoby szaleństwo. Taka gęsta mgła i prawie zupełnie ciemno.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Ja bym i z zamkniętymi oczami trafił. Albo u mnie pierwszyna? Każdą kępę tam znam. A co ja tu będę nocował.

Na próżno Łucja perswadowała mu. Na próżno go namawiała i obiecywała zabrać koniami do Radoliszek. Antoni Suszkiewicz był upartym wyrostkiem i widocznie ambicją nie pozwalała mu wyrzec się wyprawy, którą ta pani uważała za ryzykowną. Może chciał jej zresztą zaimponować, dość że pożegnał się i już po minucie do uszu Łucji dobiegł plusk wody pod jego stopami w sitowiu.

Do dworu szło się przez niewielki park. Psy jeszcze widocznie nie były spuszczone, gdyż wprawdzie naszczekiwały groźnie od strony zabudowań folwarcznych, lecz żaden nie zabięł drogi Łucji. Miała wielką ochotę usiąść tu na suchej murawie i odpocząć, lecz znowu opanował ją strach, że Pawlickiego może już nie zastać.

Teraz dopiero zaczęła odczuwać na twarzy, rękach, szyi, na nogach dokuczliwe swędzenie. Tysiące komarów pozostawiły w jej skórze mikroskopijne kropelki swego jadu, który teraz, drażniąc tkanki, spowodował pojawienie się niezliczonych ilości bąbli. Na mokradłach tylko początkowo opędzała się tym żarłocznym owadom. Później strach i zmęczenie uczyniły ją nieczułą na bolesne ukłucia.

Przed gankiem dworu stała para koni zaprzężonych do bryczki. Na koźle drzemał parobek. Łucja odetchnęła z ulgą. Domyśliła się, że konie czekają na Pawlickiego. Zatem zastała go jeszcze tutaj.

Drzwi nie były zamknięte. Weszła do obszernej sieni i tu powitało ją zajadle szczekanie małego, pokracznego pieska. Ono z kolei wywołało z dalszych pokoi jakąś starszą panią, która obrzuciła Łucję zdumionym wzrokiem.

— Jestem doktor Łucja Kańska. Proszę wybaczyć mój wygląd, ale przyszedłam tu z Murchówki przez moczary. Czy zastałam jeszcze pana doktora Pawlickiego?

Staruszka złożyła ręce.

— Boże drogi! Po nocy przez moczary?

— Miałam przewodnika — wyjaśniła Łucja. — Czy mogę widzieć doktora Pawlickiego?

— Ależ naturalnie. Niechże pani usiądzie.

Obrzuciła zatroskanym wzrokiem zabloconą suknię Łucji i czyściutkie, białe pokrowce na meblach.

— Czy ja wiem? Może by się pani przebrała w coś suchego?

Odwróciła się i szybko podreptała do uchylonych drzwi.

— Wicku, Wicku — zawołała.

Do sieni wszedł wysoki, barczysty mężczyzna o czerwonej twarzy i jasnych, krótkich włosach.

— To jest doktor Kańska — wyjaśniła staruszka. — Wyobraź sobie, z Muchówki przez moczary tu przyszedła. Teraz, o tej porze! Pani pozwoli przedstawić sobie mego syna...

Mężczyzna zbliżył się do Łucji, skłonił się i wyciągnął rękę.

— Jestem Jurkowski. No, wiesz pani tej przeprawy. Znam tutejszą okolicę od dziecka i, do stu diabłów, nie uważam się za tchórza, a jednak zwłaszcza po ciemku nie odważyłbym się na takie coś.

Łucja uśmiechnęła się.

— Nie jest to żadne bohaterstwo, proszę pana, ale konieczność. Chodzi o życie człowieka. Musiałam się dostać czym prędzej do doktora Pawlickiego. A w Radoliszkach w żaden sposób nie mogłam znaleźć koni.

— Owszem. Jest tu doktor Pawlicki. Zaraz go poproszę. Ale, mam. Trzeba się zająć panią. Ależ panią pocięły komary. To paskudztwo nie ma żadnego szacunku dla płci pięknej.

Uśmiechnął się i sięgnął ręką do wąsów, lecz widocznie zmiarkowawszy, że Łucja w tym stanie nie jest usposobiona do przyjmowania duserów, zawołał:

— Wódki pani powinna wypić zaraz. Tęgi kieliszek wódki na jałowcu. Inaczej pani jakiejś febry dostanie. Mam, trzeba pani jakieś ubranie znaleźć. Jadzia wprawdzie jest wyższego wzrostu, ale coś tam się dla pani musi znaleźć.

Staruszka zadreptała gwałtownie na miejscu.

— Ależ oczywiście, oczywiście.

— Najserdeczniej państwu dziękuję — odpowiedziała Łucja. — Najprzód jednak chciałabym się zobaczyć z doktorem Pawlickim.

— W tej chwili skoczę po niego — powiedział pan Jurkowski. — Siedzi przy łóżku mojej siostry Jadwigi. Biedaczka ma atak kamieni żółciowych. O widzi mama, jak to dobrze, że pani jest także lekarką. Zaraz panią poprosimy i zrobimy tu nam całe konsylium. Niechże mama da pani wódki. Zaraz idę po doktora.

Znikł za drzwiami, a tymczasem jego matka przyniosła pękata karafkę i kieliszek. Łucja z prawdziwą przyjemnością wypila jego zawartość. Przyjemne uczucie ciepła rozeszło się w przelyku i żołądku. Tak by chciała usiąść. Nogi zupełnie odmawiały jej posłuszeństwa.

— Jeszcze jeden kieliszek pani nie zawadzi — z przekonaniem namawiała staruszka. — Przekąski żadnej pani nie dam, bo wkrótce siadamy do kolacji. Tymczasem się pani ogarnie i umyje. Przez moczary! Boże drogi! A któż to panią przeprowadził?

— Taki wyrostek z Muchówki. Nazywa się Antoni Suszkiewicz.

— A, ten włóczyki! I gdzież on jest?

— Poszedł z powrotem. Nie chciałam mu pozwolić, ale się uparł. Boję się, by nie spotkało go jakieś nieszczęście.

Staruszka machnęła ręką.

— Złego licha nie weźmie — orzekła konfidencjonalnie.

Drzwi się otworzyły i wszedł doktor Pawlicki. Dotychczas znali się tylko z widzenia. Łucja wiedziała, jak bardzo niezwykłym Pawlicki usposobiony jest do profesora Wilczura, a tym samym do niej i do ich obecności w okolicy Radoliszek. Nie stanowili wprawdzie dlań groźnej konkurencji, gdyż leczyli tylko biedotę, i to darmo lub prawie darmo, podczas gdy on miał pacjentów przeważnie w sferze ziemian, którzy nie korzystali z pomocy Wilczura z tej prostej przyczyny, że profesor przyjmował wyłącznie w lecznicy i do dworów jeździć nie chciał. Dotychczas zdarzyły się wszystkie dwa wypadki, gdy zgodził się przyjąć pacjentów zamożnych. Chodziło jednak wtedy o poważne zabiegi chirurgiczne i pacjentów tych kierował doń, acz niechętnie, sam doktor Pawlicki, którego specjalnością nie była chirurgia. Między Pawlickim a Wilczurem były dawne, zabliznione już, ale żywe w pamięci Pawlickiego zatargi, zatargi, które skończyły się dlań niemal kompromitacją. Toteż Łucja nie spodziewała się życzliwego przyjęcia.

I rzeczywiście, Pawlicki wszedł sztywny, z nieprzystępną miną. Był to przystojny, z lekka tyjący mężczyzna około czterdziestki. Miał na sobie bardzo jasne i świetnie odprasowane ubranie. Skłonił się nieznacznie i zwrócił się do Łucji:

— Pani chciała się ze mną zobaczyć?

— Tak, panie doktorze. Jestem doktor Łucja Kańska. Współpracuję z profesorem Wilczurem.

Wyciągnął do niej sztywną rękę.

— Mam przyjemność znać panią z widzenia i ze słyszenia. Czym mogę pani służyć?

— Cała moja nadzieja w panu. W aptecze radoliskiej nie ma szczepionki pasteurowskiej, a boję się zwlekać z odwiezieniem do miasta.

— Kogóż to pogryzł wściekły pies? — zaciekawił się.

— Profesora Wilczura.

Pawlicki nie mógł opanować wrażenia.

— Ach... Profesora Wilczura...

— Tak. I w aptecce powiedziano mi, że pan doktor niedawno sprowadzał szczepionkę...

— O której nastąpiło pogryzienie?

— Przed pięciu mniej więcej godzinami.

Pawlicki wydał wargi.

— No, jeżeli tak, to żadnego poważnego niebezpieczeństwa nie ma. Profesor Wilczur zdąży na czas dojechać do miasta.

— Bywają jednak wypadki — zauważyła Łucja — że nawet krótka zwłoka jest nie do naprawienia. I jeżeli pan doktor ma szczepionkę, byłabym nieskończenie wdzięczna.

Pawlicki przygryzł wargi i zmarszczył brwi. Wiedziała, że waha się, że walczy z sobą. Że nie może się zdobyć na decyzję.

Wreszcie powiedział:

— Nie przypominam sobie dokładnie. Zdaje się, że mi jeszcze została. W każdym razie nie mam jej tu z sobą, tylko w Radoliszkach.

— Byłam tam w pańskim domu. Małżonka pańska powiedziała, że bez pańskiej dyspozycji nie może nic wydać. Jeżeliby jednak pan doktor był łaskaw napisać kartkę...

Pawlicki przecząco potrząsnął głową.

— To nic nie pomoże. Wszystkie specyfiki mam zamknięte, a kluczy z zasady nikomu nie daję.

Łucja załamała rękę.

— Więc cóż ja pocznę!

Pan Jurkowski chrząknął głośno.

— Na to nie ma rady. Doktorek musi jechać sam. Gościnność gościnnością, kolacja już na stole, ale sam rozumiem, że zatrzymywać nie mam prawa.

— Pewno, że nie. Wielka szkoda, ale cóż na to poradzić — przyznała jego matka.

Pawlicki wzruszył ramionami.

— Doktor Kańska, o ile mi się zdaje, trochę przesadnie niepokoi się. Godzina zwłoki, czy nawet więcej, nie może tu robić różnicy.

— No więc dobrze — zawyrokował pan Jurkowski. — Jemy kolację w mazurowym tempie, a później jazda!

Pani Jurkowska zaprowadziła Łucję do swego pokoju i tam po prostu zmusiła ją do przebrania się w suknię córki i do natarcia się jakimś domowym środkiem, rzekomo niezawodnym na ukąszenia komarów. Gdy obie przyszły do jadalni, Pawlicki, gospodarz i jeszcze jakiś pan siedzieli już przy stole. Doktor ani razu nie zwrócił się do Łucji. W ogóle był małowówny i nadęty. Ponieważ gospodarz naglił, kolację skończono w niespełna pół godziny, a w pięć minut później sadowili się już na bryczce. Niespodzianką dla wszystkich było, gdy pan Jurkowski ukazał się na ganku w czapce i huknął na furmana:

— Złaż no, gamoniu, z kozła. Sam będę powoził.

Wskazując na kozioł odwrócił się do Łucji i Pawlickiego.

— Włóklby się z wami czort wie jak długo. A ja lubię kawalerską jazdę.

Zaśmiał się i strzelił z bata nad końskimi grzbietami. Bryczka targnęła, aż pasażerowie podali się w tył. Konie klusem ruszyły z miejsca.

Była to istotnie kawalerska jazda. Ponieważ środek drogi, a miejscami droga na całej szerokości była niewiarygodnie piaszczysta, tak że koła wrzynały się aż po osie, pan Jurkowski jechał brzegiem, czasem, gdzie rów był płytszy, rowem lub zjeżdżał po prostu na rżysko. Łucja z całych sił trzymała się żelaznej poręczy, Pawlicki, podskakując na wybojach, kłął pod nosem. Konie wciąż szły klusem. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie droga weszła pomiędzy dwa strome wzgórza i tu trzeba było się wlec nogą za nogą. Nawet kawalerski temperament woźnicy nic nie mógł już pomóc. Takiej drogi było ze dwa kilometry.

Pan Jurkowski wszczął z Łucją rozmowę, wypytując ją o lecznicę, o to, co ją skłoniło do porzucenia Warszawy, czy nie zamierza tam wrócić i wreszcie, czy nie jest zamężna.

— Pani wybaczy, że tak obcesowo o wszystko pytam, ale ja tam nie mam żadnej oglądy. Jestem sobie prosty wieśniak, co w myśli, to w gębie. Proszę mi tego za złe nie brać.

— Ależ bynajmniej. Wcale tego panu za złe nie biorę — musiała uśmiechnąć się Łucja. Ten młody człowiek wydał się jej bardzo sympatyczny. Żywiła zresztą dlań szczerą wdzięczność za jego żywe i serdeczne ustosunkowanie się do jej sprawy.

Starła się też nawiązać rozmowę z Pawlickim. Drżała na myśl, że Pawlicki może, nawet posiadając szczepionkę, nie przemóc swojej niechęci do profesora i powiedzieć, że szczepionki nie ma. Należało pozyskać jego życzliwość. Nie było to łatwe zadanie, gdyż odpowiadał mruklawie monosylabami. Siedział niechętny i nastroszony.

Wobec tego, że dyplomacja nie skutkowałą, Łucja postanowiła zaatakować go wprost, nie unikając drażliwego tematu.

— Wie pan — odezwała się w pewnej chwili — wydaje mi się to dziwne i niezrozumiałe. Pan, zdaje się, zachował żal do profesora Wilczura.

— Żadnego żalu — wzruszył ramionami.

— A jednak... Przyznam się, że nie rozumiem o co. Proszę mi wierzyć, że profesor Wilczur zawsze jak najlepiej się o panu wyraża. Pan nawet nie wie, jakiej to anielskiej dobroci jest człowiek.

— Nie znam go bliżej — mruknął.

— A dlaczego? Czy sądzi pan doktor, że to przyniosłoby panu jakąś ujmę?

— Ależ przeciwnie. Zaszczyt — ironicznie skłonił głowę. — Zaszczyt, na który nie zasługuję.

Łucja udała, że nie słyszy ironii w jego głosie.

— W lecznicy bardzo często miewamy pacjentów, którzy się kiedyś leczyli u pana. I prawie zawsze profesor poleca im stosować nadal te środki, które pan im zapisał. Profesor uważa pana za bardzo dobrego lekarza. Gdy budowano lecznicę, sam mi mówił, że ma nadzieję, że kiedyś i pan nią się zainteresuje.

— Uważam to za zbędne — odpowiedział Pawlicki. — Pan profesor i pani to chyba zupełnie wystarcza. Nikt mnie zresztą o to nie prosił, bym się interesował lecznicą. A sam nie chciałem się narzucać. Nie lubię, gdy mnie ktoś może nazwać intruzem.

— Myli się pan — zaprzeczyła żywo. — Nie mówiąc już o mnie, ale i profesor z wdzięcznością przyjąłby pańską współpracę.

— Pozwolę sobie w to wątpić — zauważył chłodno.

— Ależ dlaczego?

Odwrócił się do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

— Chce pani, żebyem był szczerzy?

— Bardzo proszę.

— Otóż rzeczywiście mam żal do profesora i żal do pani. Mam żal do was obojga. Przyjechaliście tu państwo, tutaj, gdzie jedynym lekarzem jestem ja. Oczywiście nie chcę się równać z profesorem. On jest wielkim uczonym, ja skromnym lekarzem wiejskim. Nawet nie chcę się równać z panią, która praktykując w stołecznych zakładach leczniczych, miała na pewno możliwość poznania najnowszych metod i środków lekarskich. Ale czułem się głęboko dotknięty tym, żeście państwo okazali dla mnie lekceważenie. Mogliście mnie lekceważyć, ale zdobyć się na tyle uprzejmości, by tego nie okazać!

— Na miłość boską! To chyba jakieś nieporozumienie! W jakiż sposób okazywaliście panu lekceważenie, którego wcale nie żywimy?

— W bardzo prosty sposób. Nie mówię o tym, by państwo mieli mi złożyć wizytę, ale wystarczyłoby mi, gdyby profesor napisał do mnie kartkę z życzeniem, bym go odwiedził. Nie. To było demonstracyjne unikanie wszelkiego kontaktu ze mną. Och, proszę pani. Mam na to świadków, jak na to czekałem. Właśnie nie z kim innym jak z panem Jurkowskim mówiłem o tym nieraz. Może zaświadczyć.

— Rzetelna prawda — przyznał pan Jurkowski.

— Czekałem. Byłem cierpliwy — ciągnął Pawlicki. — Sądziłem, że póki profesor mieszka w młynie, uważa swój pobyt w okolicy niejako za nieoficjalny. Gdy rozeszła się

wieść o budowie lecznicy, powiedziałem żonie: No, teraz na pewno zaproszą mnie do współpracy... Też przy panu mówiłem, panie Wincenty.

— Przy mnie, przy mnie.

— No i czekałem, czekałem całe tygodnie. Wreszcie słyszę, lecznica jest ukończona. Ma się odbyć poświęcenie. I wtedy nagle otrzymuję zaproszenie. Ucieszyłem się szczerze, ale patrzę na datę i widzę, że poświęcenie wyznaczono, że pan profesor raczył wyznaczyć akurat na ten dzień, kiedy mam zjazd w mieście.

Łucja wzięła go za rękę.

— Daję panu słowo, że profesor o tym wcale nie wiedział...

— Chcę wierzyć pani — powiedział z goryczą.

— Musi mi pan wierzyć.

— Jednakże w całej okolicy wiedziano, że wyjeżdżam, i wiadomość o tym dotrzeć powinna do państwa. A musiała dlatego, że przed wyjazdem zawiadomiłem wszystkich swoich pacjentów, że nie będzie mnie w Radolizkach przez tydzień i że w ciągu tego czasu mają się zwracać o pomoc lekarską do pana profesora Wilczura lub do pani. Żeby zaś nie być gołosłownym i żeby udowodnić pani to, że państwo to wiedzieć musieli jeszcze na długo przed ustaleniem terminu poświęcenia, pozwolę sobie przytoczyć pani aż sześć wypadków, gdy moi pacjenci podczas mojej nieobecności w Radolizkach zwracali się do państwa po poradę. A więc: Jamiołkowski, gorzelany z Wickunów, żona...

— Rzeczywiście tak było — przerwała Łucja. — Sądziliśmy jednak, że to pan umyślnie wyjechał, chcąc w ten sposób zademonstrować swoją niechęć do nas.

Pan Jurkowski odwrócił się na koźle i zaśmiał się głośno.

— A to historia! No, zawsze mówiłem, że wszystkie te kwasy, sztuczki i inne finty-fluszki opierają się na nieporozumieniu.

Klepnął mocno Pawlickiego po ramieniu, aż ten się przechylił ku Łucji.

— A nie gadałem to doktorowi mało sto razy: Napluć na wszystko, pojechać do profesora i powiedzieć: Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Zgoda między nami i koniec. Tak ja robię i, do wszystkich diabłów, nigdy na tym źle nie wyszedłem. No, a teraz trzymajcie się mocno, bo nareszcie możemy znowu porządnie jechać.

Rzeczywiście skończyły się piachy i konie ruszyły klusem po wyboistej, lecz twardej drodze. Minęli zakręt i ujrzeli światelka Radolizsek.

W domu Pawlickiego jeszcze nikt nie spał. Doktor zamienił jednak z żoną tylko kilka słów, zabrał z szafki do swego neseseru podręcznego potrzebne rzeczy i wrócił do bryczki. Ponieważ do młyna jechało się doskonałym, bitym traktem, po paru minutach już byli na miejscu. Łucja zaczęła dziękować panu Jurkowskiemu, ten jednak zaśmiał się.

— Ani myślę się żegnać. Tak łatwo się pani mnie nie pozbędzie. Po pierwsze, muszę jeszcze po tych waszych zabiegach odwiedzić doktora do miasteczka, a po wtóre, chcę skorzystać z okazji i zrewizytować panią i jednocześnie poznać profesora.

— Z miłą chęcią. Proszę uprzejmie.

Wbrew przewidywaniu Łucji, Wilczur wiedział już, że pies, który go ukąsił, jest wściekły. Policjantom udało się zabić nieszczęśliwe zwierzę nad samym prawie stawem, dokąd zawróciło spod cmentarza. Profesor sam je obejrzał i nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest to wścieklizna. Domyślił się też, że Łucja dlatego nie wraca, że udala się na poszukiwanie pasteurowskiej szczepionki.

Pawlickiego przywitał serdecznie, a dowiedziawszy się, że lekarz tylko trafem miał w domu szczepionkę, najgoręcej mu dziękował za to, że chciał się osobiście doń fatygować.

Po przeprowadzeniu zabiegu, czym się zajął Pawlicki wspólnie z Łucją, trzeba było zmienić opatrunek. Rana od ukąszenia bynajmniej nie była lekka. Lewa ręka nabrzmiała aż do łokcia, dłoń była spuchnięta bardzo, a dwa palce bezwładne. Nie ulegało wątpliwości, że został uszkodzony nerw i kilka naczyń krwionośnych.

— Tak czy owak — orzekł Pawlicki — musi pan profesor jechać do miasta. Sam pan widzi, że poza kuracją pasteurowską może tu zajść konieczność dokonania zabiegu chirurgicznego. Koleżanka Kańska jest internistką, a co do moich zdolności chirurgicznych — uśmiechnął się z przymusem — pan profesor ma już wyrobioną opinię.

— Niechże kolega nie ma o to do mnie żalu. Każdy z nas ma jakąś specjalność. A oglądając pańskie recepty muszę panu powiedzieć, że byłem zawsze pełen uznania,

dla pańskiego umiaru w dozowaniu radykalniejszych środków. Pan też jest doskonałym internistą.

Pawlicki zaczerwienił się z lekka.

— Zaszczyt to dla mnie niebywały słyseć wyrazy uznania z pańskich ust, panie profesorze.

Wilczur zaśmiał się.

— Dajże pan spokój, kochany kolego, z zaszczytami. A co do uznania, to dam panu najlepszy jego dowód, że zastosuję się do pańskiego wskazania i rzeczywiście pojedę zaraz jutro do miasta.

Łucja poszła, by zakrzatnąć się przy przyrządzeniu herbaty. Samowar był jeszcze ciepły. Trzeba było dosypać tylko węgla i przy pomocy małego mieszka rozżarzyć je. W trakcie tej czynności odczuła lekki zawrót głowy. Zdziwiona tym objawem, zbadła sobie puls. Naliczyła dziewięćdziesiąt sześć uderzeń.

„Mam gorączkę” — pomyślała.

Nie miała jednak czasu zmierzyć temperatury.

Wkrótce po wypiciu herbaty Pawlicki i Jurkowski zaczęli się żegnać.

— Jeżeli pan profesor pozwoli, to podczas pańskiej nieobecności będę tu zaglądał, by pomagać koleżance Kańskiej.

— Będę panu za to bardzo wdzięczny. Nie tylko podczas mojej nieobecności, ale zawsze będzie pan tu jak najmiej widziany.

— Może w ten sposób — śmiał się Pawlicki — jakoś się zrehabilituję. Mam opinię chciwca i dusigrosza. Chcę pokazać, że jest ona niesłuszna. Niech pan mi wierzy, panie profesorze, że i tak zawsze mam sporo bezpłatnych pacjentów. Przecież trudno inaczej w okolicy, gdzie tyle jest biedoty.

Gdy wreszcie odjechali, a Wilczur też udał się na spoczynek, Łucja zmierzyła temperaturę. Miała trzydzieści osiem z kreskami. Przeprawa przez mokradła nie mogła pozostać bez śladu. Nie przejęła się jednak tym zbyt. Przed snem zażyła sporą dżę aspiryny i zasnęła natychmiast twardym, kamiennym snem.

Nazajutrz z rana obudziła się z gorączką. Pomimo to wstała. Nie tylko czekali zwykli pacjenci, lecz trzeba było się zająć najważniejszym: wyekspediowaniem Wilczura na stację kolejową.

O siódmej rano tłusty wałach Wańka był już zaprzężony do bryczuszki. Powozić miała Zonia, gdyż żaden z mężczyzn nie mógł się oderwać od pracy w młynie. Łucja zapakowała walizkę Wilczura, który z obandażowaną ręką przyjmował jednak chorych. Około ósmej, po śniadaniu, wsiadł na bryczkę.

— Tak mi strasznie przykro, że puszczam pana samego — mówiła doń Łucja — ale przecież nie mogę zostawić tych wszystkich chorych bez opieki.

Wilczur przyjrzał się jej uważnie.

— Czy pani nie ma gorączki?

Zaprzeczyła stanowczo.

— Ależ nie. Jestem zemocjonowana tym wszystkim.

— Niechże pani mi się tu przynajmniej nie rozchoruje — mówił, całując ją w rękę.

— Będę tęskniła — powiedziała szeptem, tak by Zonia tego nie słyszała. — I błagam, niechże pan do mnie pisze.

— Dobrze, dobrze.

— Jeżeli nie otrzymam co dzień listu, to nie wytrwam tu na stanowisku i przyjadę do miasta. Sądzę, że ta groźba jest dostatecznie wymowna, by skłonić pana do pisania.

Zonia, która siedząc obok Wilczura kręciła się niecierpliwie, przerwała tę rozmowę:

— No, jak mamy zatrzymać się jeszcze u doktora Pawlickiego w Radolizkach, to już czas w drogę.

— Do widzenia — zawołał Wilczur.

Bryczka musiała się jeszcze zatrzymać przed młynem, gdyż cała rodzina Prokopa Mielnika z nim samym na czele wyszła, by pożegnać profesora.

— Z Bogiem i proszę wracać zdrowym.

Wilczur istotnie chciał wstąpić do Pawlickiego przede wszystkim po to, by mu podziękować za wczorajszą uprzejmość i złożyć niejako rewizytę, a po wtóre po to, by prosić

go o dotrzymanie obietnicy i zagładanie do Łucji, która zapracuje się, nie mając żadnej pomocy.

Pawlickiego wraz z jego żoną zastał przy śniadaniu. Tutaj dopiero w trakcie rozmowy dowiedział się o drodze przez bagna, którą musiała odbyć Łucja do Kowalewa.

— Wiem od tamtejszych mieszkańców, że przez te torfowiska przejście jest prawie niepodobiestwem — mówił Pawlicki. — A zresztą dzisiaj mam tego dowód. Bardzo smutny dowód.

Zrobił pauzę i powiedział:

— Pannę Kańską przeprowadzał młody chłopak z Muchówki, niejaki Suszkiewicz, uchodzący za najlepszego znawcę terenu. Przeprowadził ją szczęśliwie. Później sam wracał do domu tą samą drogą. Wracał, lecz dotychczas nie wrócił. Już nigdy nie wróci.

## ROZDZIAŁ XIV

Łucja nie dowiedziała się o śmierci Antoniego Suszkiewicza ani tego dnia, ani następnego. Podczas opatrunku w pokoju ambulatoryjnym dostała ponownego zawrotu głowy, lecz już znacznie silniejszego. Ledwo zdążyła pokryć pacjentowi ranę gazą i wydać Donce polecenie obandażowania. Półprzytomna, opierając się o ściany, doszła do swego pokoju. Przeżrana Donka pobiegła po Jemiola, który zmierzwszy nieprzytomnej temperaturę, sam się przestraszył. Rtcę w rurce przekraczała czterdzieści stopni. Zabrał się do ratowania, jak umiał.

Przede wszystkim napił Łucję odwarem z tych ziół, które profesor dawał chorym na obniżenie temperatury, potem kazał Donce rozebrać Łucję i ułożyć ją w łóżku. Dalej jego wiadomości lekarskie nie sięgały, wobec czego usiadł przy łóżku i kontentował się odpędzaniem much.

Na szczęście wczesnym popołudniem przyjechał doktor Pawlicki. Jemiol wyszedł na jego spotkanie:

— Spadło tu na nas, czcigodny eskulapie, siedem plag egipskich. Mego starego przyjaciela pogryzł pies, w apteczce wyczerpał się spirytus, no i panna Łucja leży w gorączce nieprzytomna. Zaaplikowałem jej dekokt z jakichś ziół na obniżenie temperatury, ale wciąż ma czterdzieści. Niechże pan zobaczy, co z nią jest. Mam nadzieję, że to nic poważnego, pomimo wysokiej temperatury.

Doktor Pawlicki zbadał chorą i doszedł do przekonania, że gorączka powstała na tle zaziębienia i wyczerpania nerwowego.

— Panna Kańska ma zdrowe serce — wyjaśnił Jemiolowi — wobec czego nie przewiduję żadnych poważniejszych komplikacji. Po paru dniach wróci do zdrowia. Zresztą będę tu codziennie zaglądał.

Istotnie dotrzymał przyrzeczenia. Co dzień po swoich normalnych przyjęciach w Radoliszkach przyjeżdżał do lecznicy, gdzie nie tylko interesował się stanem zdrowia Łucji, lecz zajmował się również tutejszymi pacjentami.

Po pięciu dniach Łucja odzyskała przytomność. Chciała wstać, lecz była tak osłabiona, że nie mogła się nawet ubrać. Udało się jej to dopiero nazajutrz. Była to niedziela i przyjechał ją odwiedzić pan Jurkowski.

Wiedział już od Pawlickiego o chorobie Łucji i przyjechał z ogromnym naręczem kwiatów.

— O, pewno pan miał dużo kłopotów z tymi kwiatami — dziękowała Łucja. — To bardzo miłe z pańskiej strony.

— Co tam miłe. Przecież, do licha, choroba pani to po części moja wina. A jeżeli nie moja, to moich dziadów i pradziadów, że się w Kowalewie osadzili. Bo pani pewno nie wie, że to paskudne błociszcze należy do Kowalewa. Głowiłem się już nieraz nad tym, jak te bagna osuszyć. Sprowadzałem nawet różnych inżynierów. Chodzili, kręcili głowami, mierzyli, a z tego wszystkiego figa z makiem.

Zaśmiał się głośno, klepnął się z rozmachem po kolanach i dodał:

— Po pięćset złotych wzięli i pojechali do diabła. A błoto jak było, tak i jest.

Mówił bardzo głośno, śmiał się szeroko. Cały dom napelnił się dudnieniem jego barytonu. Gdy poruszał się po pokoju, zdawało się, że poprzewraca wszystkie sprzęty. Pełno od niego było i głośno w lecznicy.



Ponieważ przyjechał wprost z sumy w Radoliszkach i była właśnie pora obiadowa, Jemioł zakrzętnął się, by przy jedzeniu nie zabrakło wódki. I nie zabrakło jej rzeczywiście. Pan Jurkowski okazał się dobrym kompanem. Obiad już był dawno zjedzony, a obaj przepijali do siebie nieustannie. Łucja, czując się zmęczona, pożegnała ich, by położyć się do łóżka. Gdy tylko wyszła, pan Jurkowski pochylił się ku Jemiołowi i powiedział szeptem, który doskonale słychać było w promieniu dwudziestu metrów dookoła domu:

— Ależ panie! Co to za nadzwyczajna kobieta! Na kamieniu takie powinny się rodzić.

Jemioł poważnie skinął głową.

— Nie mam nic przeciw tego rodzaju porodom, zacny agrariuszu. Chociaż mniemam, że one wołałyby rodzić się na czymś pulchniejszym.

Pan Jurkowski zmarszczył brwi z zainteresowaniem:

— Na pulchniejszym?

— Si, *signore*. No, nasze kawalerskie.

Wypili i pan Jurkowski zapytał rzeczowo:

— Pan jest kawalerem?

— Tak. Ale nie maltańskim.

— A wie pan co, że mnie już obrzydło kawalerstwo. Człowiek dojeżdża do czterdziestki, czas już. Najwyższy czas.

— I dlaczego pan się dotychczas nie ożenił?

— Właśnie czas. Czasu nie miałem. Śmiech powiedzieć, ale szczerą prawdą. Bo to tak, panie kochany: najpierw wojna. Człowiekowi wówczas takie rzeczy nie w głowie. A potem wracam do mego Kowalewa, a tu jak wymiół. Wszystko spalone do fundamentów. Fundamenty chłopci rozkradli. Jak się to mówi, nie było o co rąk zaczepić. Więc jakże żenić się? Trudno wziąć żonę, posadzić ją, panie kochany, pod gruszą i powiedzieć: siadaj no, umiłowana, tutaj i poczekaj, aż ja chałupę zbuduję i kawałek chleba dla ciebie z ziemi wyorzę. Gdy zaś już zabrałem się do odbudowy gospodarstwa, no to od świtu do nocy człowiek na nogach. Dopiero wszystko jako tako uładziłem, a tu kryzys. Myślę sobie: jakie лихо? Ludzie przecież jeść nie przestaną. Ziemia swoje dać musi. Ale przez kilka lat nie dawała. Metr żyta czy funt kłaków — jedna cena. Sam pan wiesz.

Jemioł przytaknął.

— Wiem, wiem. Bo wprawdzie żyta nie siałem, ale za to miałem plantację kłaków.

— Jak to? — zdziwił się pan Jurkowski.

— Całkiem zwyczajnie. Kłaków na czaszce. Jak pan widzi, Cyncynacie, plantacja funkcjonuje nieszczególnie. Zbyt słaba krescencja.

— Cha, cha, cha! — zmiarkował pan Jurkowski. — Że niby pan łysieje? Cha, cha, cha! Ale komik z pana zawołany! Więc co to ja mówiłem? Aha. Do żeniaczki nie przychodziło. Bo i prawdę panu powiedzieć, tutejsza okolica nieurodzajna na panny. A co były, to już powychodziły za mąż. Człowiek przyjdzie do tego sąsiada, do innego — każdy żonaty. U każdego po domu kobieta chodzi, dzieciaki...

— Na kamieniu urodzone — odpowiedział Jemioł.

— Na kamieniu urodzone — powtórzył z rozpędu pan Jurkowski i połapawszy się w niewinnym podstępnie towarzysza znowu wybuchnął śmiechem. — Ale z pana to wyszczekany warszawiak. Niech pana nie znam, kochany panie!... A pan nigdy nie był żonaty?

— Nigdy — potrząsnął głową Jemioł.

— I nigdy pana nie ciągnęło do żeniaczki?

— Owszem. Raz ciągnęło mnie dwóch facetów, żebym się ożenił z ich siostrą.

Pan Jurkowski porozumiewawczo przymrużył lewe oko.

— Tak się pan zagalopował?

— Jeżeli to można nazwać galopem, *carissime*.

Tak sobie gawędzili niemal do zmroku, kiedy gość zaczął się zbierać do odjazdu. Ponieważ niezdecydowanie chrząknął, zwlekał i rozglądał się, Jemioł odpowiedział:

— A może chciał się pan pożegnać z panną Łucją?

— O, właśnie, właśnie. Jeżeli dość dobrze się czuje i jeszcze nie śpi.

Łucja nie spała, lecz pożegnała się z panem Jurkowskim przez drzwi, a po jego odjeździe powiedziała Jemiołowi:

— Jaki to miły człowiek. Tyle w nim bezpośredniości i tej ujmującej prostoty, którą daje szczerze i dobre serce.

— Prawda — podstępnie przyznał Jemioł. — A przy tym uroda. Bary Herkulesa, bicepsy Tytana, kark żubra, fantazja Kmicica! Hej, hej! Biedny mój przyjacielu, biedny mój przyjacielu!

Łucja zdziwiła się.

— O kim pan mówi?

— O moim przyjacielu. O Wilczurze. Nieszczęsny leczy się tam w mieście i ani się domyśla, że Penelopa tu zapomniała o pruciu swojej tkaniny po nocach, że przeciwnie, nocami marzy, ale nie o nim, nieszczęsnym Odyseuszu!...

Łucja z lekka zaczerwieniła się i zaśmiała.

— Co też pan za głupstwa opowiada.

— O biada ci, biada, Orestesie — jęklwym głosem zawodził Jemioł. — Zaprawdę, powiadam ci, bezpieczniejszy byłeś wówczas, gdy cała kupa zalotników dybała na serce twej Penelopy, niż teraz, gdy jest tylko jeden! Jeden, ale jaki! Postura Zawiszy Czarnego, wąsik, psiakrew, Leszka Białego, no i w ogóle. Jedzie teraz sobie do swego Kowalewa, rumaki batogiem podcina, pogwizdując z zadowolenia, a w trop za nim biegną myśli i westchnienia pewnej uroczej Dulcynei z Toboso. Pędź, rycerzu, z wichrami w zawody! Są to zawody, w których zawód cię nie spotka.

Rozbawiona Łucja śmiała się bez przymusu.

— Słaby z pana prorok.

— Słaby?... Chce pani powiedzieć *nemo profeta*<sup>64</sup> w swojej lecznicy. Oby moje wypowiednie były błędne!

— Zapewniam pana, że nie mogą się sprawdzić — powiedziała z naciskiem.

— A mnie się zdawało, że ten *agricola* podbił pani serce od pierwszego wejrzenia.

— Rzeczywiście podbił moje serce, lecz nie w tym znaczeniu, jak pan myśli.

— A wie pani, że on najwyraźniej w świecie sunie do pani w koperczaki? To są konkury według wszelkich reguł wiejskich tradycji.

Łucja machnęła ręką.

— Jestem mocniej przekonana, że i tu się pan myli.

— Ręczę za to całym swoim majątkiem — upierał się Jemioł. — I kto wie, czy nie dopnie swego? Kto wie? Cierpliwością i pracą... Zobaczysz pani, że będzie nas odwiedzał coraz częściej!

Jemioł nie mylił się. Rzeczywiście nie było niemal dnia bez wizyty pana Jurkowskiego. Przyjeżdżał pod różnymi pozorami. Raz dlatego, że było mu po drodze do któregoś ze znajomych domów, raz z tej racji, że w miasteczku miał interesy, to znów, by przywieźć jakieś prowianty ofiarowane przez jego matkę lecznicy. Preteksty te nie były ani szczególnie przebiegłe, ani wyszukane. Uniemożliwiały jednak Łucji wszczęcie z nim otwartej rozmowy. Nawet wówczas, gdy zabrakło panu Jurkowskiemu konceptu sztucznych pozorów, mówił otwarcie:

— Niewiele mam teraz w gospodarstwie do roboty, a człowiek przez cały rok napracuje się tyle, że zasłużył przecież na jakieś wytchnienie. Gdy pojadę do sąsiadów, rozmowa, jak państwo wiecie, nie jest zanadto urozmaicona. Gawędzi się o sprawach życia codziennego, a to o życie, a to o krowach, a to o służbie. Darujcie mi tedy, że was najeżdżam, ale miło mi spędzić tu godzinkę czasu.

Godzinka wprawdzie przeciągała się zazwyczaj do kilku godzin, ale znów niepodobna było powiedzieć mu, że chociaż jego wizyty są i dla Łucji przyjemne, niemniej nie mogą doprowadzić do tego, czego się on spodziewa. Pan Jurkowski w swoich z nią rozmowach nigdy najmniejszym słowem nie zahaczał o te sprawy. Pomimo temperamentu i otwartości nie należał widać do ludzi agresywnych i wołał wprzód wybać grunt niż narażać się na przykrą odmowę.

Tak stały sprawy, gdy pewnego dnia przed wieczorem bez żadnej zapowiedzi powrócił profesor Wilczur. Siedzieli właśnie przy herbacie, gdy usłyszeli zajeżdżającą furmankę. Zanim Jemioł zdążył wyjść na ganek, do sieni wszedł Wilczur. Łucja i pan Jurkowski powitali go radosnymi okrzykami. Przy świetle lampy wyglądał zdrowo i normalnie.

<sup>64</sup>*nemo profeta* (łac.) — nikt (nie jest) prorokiem. [przypis edytorski]

Może zeszczupłał nieco i przybladł, ale to przypisać należało zejściu wiejskiej opalenizny. Dopiero gdy usiadł przy stole, Łucja zauważyła: lewa ręka profesora drżała, drgała nieustannie, a drganie to zwiększało się, ilekroć próbował utrzymać w niej widelec lub łyżeczkę.

Łucji łzy napłynęły do oczu. By je ukryć, wstała i wyszła do swego pokoju. Tu nie potrzebowała hamować płaczu. Niewątpliwie zarówno Jemioł, jak i pan Jurkowski również zauważyli to drżenie ręki, lecz tylko ona rozumiała cały tragizm sytuacji: Wilczur jako chirurg już nie istniał. Te najprecyzyjniejsze ręce, którym setki i tysiące pacjentów powierzały swoje życie, stały się aparatem zepsutym, aparatem nie do użytku. Żadnej poważniejszej operacji Wilczur odtąd już nie będzie mógł samodzielnie przeprowadzić. Wprawdzie wiele z nich nie wymaga koniecznie użycia obu rąk i przy asyście innego lekarza mogą być zrobione, jednak utrata części władzy nad swoimi rękami musiała być dla Wilczura straszliwym ciosem.

Łucja długo nie mogła się opanować. Była przecież lekarzem i rozumiała, że owo drżenie ręki nie może być objawem przemijającym. Podobne rzeczy w wyjątkowych wypadkach dają się usunąć przy pomocy naświetlań i elektryzacji, czyli zabiegów, których tutaj nie mogli stosować, nie posiadając potrzebnych aparatów. Lekarze na pewno nie puściliby Wilczura, gdyby rzecz uważali za uleczalną. On sam bez wątpienia zostałby tam na najdłuższej bodaj kuracji, byle nie utracić swoich możliwości chirurga. Stan zatem był beznadziejny. Należało się domyślać, że zęby wściekłego psa uszkodziły jeden z ważnych nerwów i że nic się już nie da naprawić.

Gdy wróciła do towarzystwa, pan Jurkowski zaczął się żegnać. Wkrótce i Jemioł poszedł spać. Zostali sami. Wilczur uśmiechnął się do niej ze smutkiem.

— Widzi pani?...

I wyciągnął ku niej rozdygotaną rękę. W porywie czułości i współczucia chwyciła jego dłoń i zaczęła ją okrywać pocałunkami. Widocznie sam był zbyt wstrząśnięty, by się przed nimi bronić.

— I niech pani sobie wyobrazi, panno Łucjo — mówił cichym głosem — niech pani sobie wyobrazi, że nie udało się stwierdzić uszkodzenia jakiegoś nerwu. Nie jest również nadwreżony żaden mięsień... Próbowaliśmy tam wszystkiego. Byli bardzo dobrzy specjaliści. Orzekli, a i ja skłaniam się do ich poglądu, że na to nie ma już rady. Zaobserwowałem, że to w dość znacznym stopniu uzależnia się od stanu psychicznego. Im bardziej jestem podniecony lub zniecierpliwiony, tym bardziej wzrasta natężenie drgań. A na przykład w nocy, podczas snu, ustaje zupełnie.

Łucja w obu rękach zaciskała jego dłoń, jakby pragnąc serdecznym uściskiem stłumić jej drżenie.

— To nic. To nic, proszę pana. Niech pan się nie smuci. Niech pan pamięta, że zawsze będę przy panu. Przecież i dotychczas nie wszystkie operacje pan sam przeprowadzał. W tak wielu wypadkach wystarczała tylko pańska diagnoza i pańskie instrukcje.

Wilczur pogładził ją po włosach.

— Wiem, wiem, droga panno Łucjo. Bywają przecież gorsze kalectwa niż to. Ostatecznie, któż bardziej ode mnie może być przyzwyczajony do kalectw... Będziemy sobie jakoś radzić.

Nazajutrz z rana przyjechał doktor Pawlicki, którego doszła wiadomość o powrocie Wilczura. Był również bardzo wstrząśnięty stanem ręki profesora i niby przypadkiem powiedział:

— Nie miałem wprawdzie szczęścia korzystania z wykładów i z kliniki pana profesora, ale teraz w swojej bezczelności chcę się posunąć aż tak daleko, by wykorzystać pańską obecność tutaj dla uzupełnienia swoich skąpych wiadomości z dziedziny chirurgii. Znając pańską dobroć sądzę, że nie odmówi mi pan wskazówek i możliwości praktykowania pod pańskim okiem.

Wilczur spojrział nań poważnie.

— Nie, panie kolego. Nawet wdzięczny panu będę za to. Najczęściej poważniejsze zabiegi chirurgiczne przeprowadzamy tu rano. Niechże pan zagłąda o tej porze do nas.

— Postaram się nie ominąć żadnej okazji — skinął głową Pawlicki.

Istotnie, niemal codziennie zaczął przyjeżdżać do lecznicy i pod kierunkiem Wilczura lub przy jego współudziale przeprowadzał operacje. A ponieważ rzeczywiście nie miał

w okolicy zbyt wielkiej praktyki, mógł sobie pozwolić na bezpłatną pracę. Zwłaszcza że będąc dzięki małżeństwu dobrze sytuowany materialnie, nie potrzebował uganiać się za dochodami.

Oprócz niego częstym gościem lecznicy po dawnemu był pan Jurkowski. Wilczur nie mógł nie zauważyć, kto jest głównym celem jego przyjazdów. I chociaż widział również, że Łucja odnosi się do młodego ziemianina li tylko ze zwykłą sympatią, spytał ją kiedyś:

— Jakże się pani podoba pan Jurkowski?

Spojrzała nań zdumiona.

— Czyżby to pytanie mogło mieć jakieś znaczenie?

Wilczur z lekka się zmieszał.

— No, nie, proszę pani. Zdawało mi się, że przyjeżdża tu głównie dla pani.

Wzruszyła ramionami.

— Być może. Jeżeli pan jest z tego niezadowolony, nic łatwiejszego, jak mu dać do zrozumienia, że bywa zbyt często.

— Ależ cóż znowu! — oburzył się profesor. — To jest bardzo przyjemny człowiek. A poza tym, po cóż pani ma się nudzić? W pani wieku i tak to duże poświęcenie przebywanie na tym pustkowiu z dala od wszelkich rozrywek i zabaw. Przecież jakieś towarzystwo pani musi mieć.

Spojrzała nań z serdecznym uśmiechem.

— Pan wie najlepiej, że nie tęsknię za rozrywkami i że towarzystwo pana najzupełniej mi wystarcza.

Nie mówiła tego zupełnie szczerze, choć może sama o tym nie wiedziała. W gruncie rzeczy bywały chwile, gdy się po trochu nudziła. Jeżeli wtedy nie przyjeżdżał pan Pawlicki ani Jurkowski, zabierała się do pisania listów i listy te były dłuższe niż zwykle. Miała zresztą i powody do obszerniejszych korespondencji. Kolski pisywał niemal codziennie, a ton jego listów stawał się coraz smutniejszy. Nietrudno było się domyślić, że popadł w rodzaj melancholii, i Łucja uważała za swój obowiązek pocieszać go i zachęcać do życia.

Pomimo sympatii, jaką żywiła dla pana Jurkowskiego, na skutek rozmowy z Wilczurem postanowiła rozmówić się z młodym ziemianinem i wyraźnie dać mu do zrozumienia, że jego wizyty w lecznicy nie mogą mieć tych następstw, których się spodziewa. Przypadek jednak zrządził, że pewnego popołudnia Jurkowski przyjechał wraz ze swoją siostrą. Była to niemłoda już panna o milej powierzchowności i chorowitym wyglądem. Przyjechała z zaprosinami. Z racji jej imienia w Kowalewie miał odbyć się bal i stara pani Jurkowska najusilniej zapraszała Wilczura i Łucję. Profesor, gdy usłyszał, zaśmiał się serdecznie.

— Ależ drodzy państwo! Bal i ja! Ja od niepamiętnych czasów nie byłem na balu. A nie tańczyłem od czasów studenckich. Na cóż ja wam się przydam?!

— Nie odmówi nam pan tego — odezwała się panna Jurkowska. — Przecież na balu będzie dużo osób starszych i nietańczących. A mamusia tak bardzo prosiła... Tak by chciała poznać pana profesora. Tyle o panu słyszała. I od brata, i od ludzi.

— Ależ ja i fraka nie mam — bronił się.

Okazało się jednak, że i to nie jest przeszkodą, gdyż w okolicy rzadko kto używa aż tak paradnego stroju na sąsiedzkich zabawach.

Wilczur spojrzał na Łucję, jakby oczekując od niej pomocy w obronie. Niespodziewanie jednak Łucja przyłączyła się do atakujących:

— Jeżeli istotnie balowe stroje nie są koniecznością, moglibyśmy skorzystać z zaproszenia.

Uśmiechnęła się do panny Jurkowskiej i dodała:

— Ja też strasznie dawno nie tańczyłam, a tak lubię taniec.

— No to i nie ma gadania — z rozmachem klepnął się po kolanach pan Jurkowski.

— Znaczący, w sobotę o szóstej przysyłam po szanownych państwa konie i rzecz załatwiona.

Wilczur nie oponował dłużej, istotnie nie miał prawa odmawiać Łucji przyjemności potańczenia, wiedział zaś, że nie pojechałaby bez niego. Że zaś było to dla niej przyjemnością nie tyle jaką, przekonał się nazajutrz, gdy zastał ją przy pruciu jakiejś sukni. Okazało się, że przy pomocy Donki zabrała się do przerabiania swojej warszawskiej wizytowej sukienki na coś, co mogłoby przypominać balową toaletę. Tak była tym zajęta, że ledwo dostrzegła wchodzącego Wilczura.

— Myślę, że jeżeli tu wyciąć ze trzy centymetry — mówiła z przejściem do Donki — a tutaj zmarszczyć, to fałdy dobrze się ułożą...

Udrapowała na sobie sukienkę, przykładając ją do biodra i do ramienia.

— Doskonale się układają — z pobłażliwym uśmiechem powiedział Wilczur.

— Rzeczywiście tak jest dobrze? — zapytała poważnie.

— Moja droga pani. Żebym ja się na tym znał choć odrobinę.

Donka przyklękła przed Łucją i obciągając w dół sukienkę, powiedziała:

— Jeżeli wypuścić tu obrąb na dwa centymetry, to i długość będzie jak raz.

Wilczur chrząknął.

— Hm. Gdy panie już to skończą, to proszę mi dać znać.

— Dobrze, dobrze — w roztargnieniu powiedziała Łucja. — Zaraz skończymy.

Wilczur wyszedł i usiadł na ganku obok Jemioła, który zajęty był robieniem papierosów. Dawniej się nigdy tym nie zajmował. Wilczur zwykł był sam robić papierosy dla siebie, a Jemioł zabierał z jego pudełka tyle, ile mu było potrzeba. Od czasu jednak powrotu profesora okazało się, że drgająca ręka uniemożliwia mu wykonywanie nawet tak prostej czynności. Któregoś dnia Jemioł to zauważył i odtąd, nie powiedziawszy słowa, sam przejął tę funkcję.

Dawniej, widząc profesora robiącego papierosy, mawiał:

— Oto drobny szczegół, charakteryzujący człowieka. Myśl o przyszłości. O najbliższej choćby, lecz o przyszłości.

— Czy widzisz w tym coś złego? — pytał Wilczur.

— *Naturellement, sire*<sup>65</sup>. Czyż można mieć łeb wiecznie zaprzątnięty przyszłością? Czy nie widzisz katastrofalnych skutków takiego *Standpunktu*<sup>66</sup>?

— Przyznam ci się, że nie widzę, przyjacielu.

— Bo nie umiesz na rzeczy patrzeć filozoficznie, *darling*. Zastanów się: ludzie myślą wciąż o jutrze. Co dzień o jutrze. I tylko o jutrze. Dzięki temu nie dostrzegają takiego drobiazgu jak dzień dzisiejszy. Nie dostrzegają terażniejszości. Wciąż żyją jutrem, a gdy to jutro staje się wreszcie rzeczywistością, gdy zegar przemierzy odpowiednią ilość godzin i przeniesie ich w to jutro, już na nie nie zwracają najmniejszej uwagi. Bo jak wariaci wpatrzeni są w następane jutro. Płyną koło nich zdarzenia, przewalają się sprawy, coś się dzieje. Oni tego nie mogą widzieć, nie widzą, nie potrafią skupić na tym uwagi, bo cała ich uwaga skoncentrowana jest na przyszłość. Gdybym pisał monografię naszych czasów, dałbym jej tytuł: *Ludzie bez terażniejszości*. W tych warunkach człowiek dopiero na łożu śmierci, gdy z ust lekarza słyszy, że już nie ma przed nim żadnego jutra, dostrzega swoje dzisiaj. Niestety, to dzisiaj jest mało pociągające. I oto takim *happy endem* kończy się długi film życia dwunogiej istoty pozbawionej upierzenia, a obciążonej bzikiem w pogoni za jutrem. Czy nie uważasz, maestro, że tkwi w tym paradoksalne marnotrawstwo?... Czy nie sądzisz, że ten system egzystencji spoczywa na niezachwianym fundamencie kretyństwa? Jeżeli mi oświadczysz, że system jest doskonałym narkotykiem przeciw świadomości prześmiertnej nudy dnia dzisiejszego, powiem ci, że widzę w tym głęboką moralność. Nie na próżno lekarze przez długie lata wrogo się odnoszą do używania narkotyków przy porodach. Musi w tym tkwić jakaś racja. Czemu tedy człowiek, rodząc swoje dzisiaj, ma być narkotyżowany gorączkową myślą o przyszłości? Nie można być mędrce, nie znając terażniejszości, nie widząc jej ani siebie w niej. Teraz już wiesz, dlaczego jestem mędrce.

Zastawszy obecnie Jemioła przy robieniu papierosów, Wilczur zauważył z uśmiechem:

— Ho, ho, przyjacielu. Gdzież się podziała twoja mądrość, twój wstręt do „systemu jutra”?

Nie przerywając swego zajęcia Jemioł, odpowiedział:

— Moją mądrość znajdziesz w jasnym spojrzeniu moich pięknych oczu, a wstręt w skrzywieniu moich zlotoustych warg. Jeżeli zaś myślisz, że zmieniłem zdanie, grubo się mylisz. Po prostu zauważyłem, że ostatnimi czasy niedbale robisz papierosy, a ponieważ lubię palić porządnie napchane, poszedłem na drobny kompromis z przeciwnościami życia i zrobiłem im małe ustępstwo.

Wilczur spojrzął na swoją drgającą rękę.

<sup>65</sup>*naturellement, sire* (fr.) — oczywiście, panie. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*Standpunkt* (niem.) — stanowisko. [przypis edytorski]

— Tak... Niedbale... Masz rację, przyjacielu. Stopniowo staję się zupełnym niezdara. Jemioł nieznacznie wzruszył ramionami.

— I jakież stąd wnioski?

— Smutne.

— Nie podzielam tego zdania. Mogę śmiało powiedzieć, że przeciwstawiam się mu całkowicie i z najgłębszym przekonaniem.

— Jakimże znowu poczęstujesz mnie sofizmatem? — Wilczur blade uśmiechnął się.

— Nie wmówisz mi chyba, że utrata ręki czy nogi, słuchu czy wzroku jest rzeczą radosną. Jemioł z uwagą układał gotowe papierosy w pudełku.

— Radosną to jest złe wyrażenie. Trafniej będzie powiedzieć: pożyteczną.

— W czymże jej pożytek?

— W stopniowości. Mądra natura wymyśliła niezgorszą regułę odzwyczajania istot żyjących od życia. Jakże mogła łatwiej to przeprowadzić, niż zamykając stopniowo kontakty człowieka z otaczającym go światem? Najczęściej śmierć przychodzi już wtedy, kiedy życie niewiele jest warte. Reumatyzm uczynił ręce niezgrabnymi, podagra wyeliminowała nogi, że tak powiem, z obiegu, żołądek nie przyjmuje żadnych smakowitych pokarmów i nie trawi nic oprócz obrzydliwej kaszki, nerki nie chcą przepuszczać ani najmniejszego kieliszka wyborowej, serce nie pozwala na biegi konkursowe, uszy nie usłyszą śpiewu słowików i szemrania strumyków, nos nie odróżnia zapachu starej fajki od zapachu konwalii, oczy nie dowidzą powabów najpiękniejszej kobiety, a gdyby i dowidziały, to i tak organizmowi nic by z tego nie przyszło, bo reszta jest już dawno na emeryturze... Wszystko to jest pięknie i logicznie skomponowane. Człowiek stopniowo staje się odizolowany od spraw tego świata. Pracuje w nim sprawnie tylko mózg, który oczywiście musi się czymś pocieszyć. Pociesza się tedy z reguły tym, że istnieje świat inny, gdzie można doskonale egzystować bez używania takich przyrządów jak kończyny, żołądek, organ powonienia i temu podobne łatwo dezeluujące się instrumenty. Powiedziałbym nawet, że to jest bardzo uprzejmie ze strony natury stwarzanie tak łagodnego przejścia między życiem a śmiercią. Starość z jej wszystkimi niedomaganiem jest dobrodziejstwem człowieka.

Wilczur zmarszczył brwi.

— Pod pewnym względem przyznaję ci słuszność. Ale wszystkie kalectwa i mankamenty, o których mówiłeś, nie zawsze są udziałem ludzi starych. Często spadają na tych, którzy znajdują się w wieku powszechnie uznanym za młodość lub dojrzałość.

Jemioł zapalił papierosa i wsmakowując się w zapach dymu, przecząco potrząsnął głową.

— Nie biorę pod uwagę kwestii wieku. Taka kwestia dla mnie nie istnieje.

Wilczur zaśmiał się.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak przyznać ci oryginalność i pod tym względem, przyjacielu. Bo chyba jesteś na świecie jedynym wyjątkiem, który nie bierze pod uwagę wieku.

— Mogę być jedynym. Czyż to w jakikolwiek sposób podważa prawdziwość moich twierdzeń i logikę rozumowania? Wiek to jest sprawa czasu. I tylko czasu.

— Gruntownie się mylisz. To nie tylko sprawa czasu, lecz i rozwoju indywidualnego w tym czasie. Kwestia osiągnięć wewnętrznych i zewnętrznych. Kwestia dojrzałości duchowej i umysłowej. Kwestia pozycji w społeczeństwie. Przechodząc od abstrakcji do rzeczywistości, weźmy przykład. Przykład możliwości bliski i oczywisty. Weźmy mnie. Bynajmniej nie czuję się zgrzybiały i sądzę, że o wiele bardziej mógłbym być przydatny, gdyby nie to uszkodzenie ręki, gdyby nie to kalectwo. A po wtóre, mylisz się sądząc, że człowieka trzeba odzwyczajać od życia, przerywając mu stopniowo z nim kontakty. Tu stan psychiczny decyduje mocniej i dobitniej niż mankamenty fizyczne. Jakieś stosunkowo drobne niepowodzenia wywołują czasem zupełne zniechęcenie do życia i zubożenie na śmierć. Ba, trzydniowe bóle żołądka u człowieka młodego i całkiem zdrowego mogą mu tak obrzydzić życie, że bliski jest samobójstwa. A miałem i takich pacjentów, którzy po amputacji obu rąk i nóg nie przestawali jak najżywiej interesować się wszystkim, co ich otacza.

Jemioł podniósł się.

— Wybacz, cesarzu. Zastrzegam sobie prawo kontynuowania tej dysputy, ale zrobię to innym razem. Teraz, niestety, nie mogę ci służyć, gdyż zbliża się właśnie pora mojej

codziennej procesji do Radolizsek. A ubezpiecz tymczasem swoją argumentację w jakimś towarzystwie asekuracyjnym. Zarobisz na tym na czysto, gdyż wypłacą ci grube odszkodowanie. Rozbiję ją tak, że nie zostanie kamień na kamieniu.

Podniósł nad głową kapelusz i zanucił dość ochryplym głosem:

— Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień.

I oddalał się, wciąż nucąc, podczas gdy Wilczur z uśmiechem patrzył za nim: doskonale wiedział, że Jemioł przyspieszył swoją wycieczkę do karczmy tylko dlatego, że właśnie nie umiał znaleźć kontrargumentów, a z zasady nie lubił komukolwiek w dyskusji przyznać słuszności.

Gdy Wilczur zajął do Łucji, zastał ją zajęętą szyciem. W ogóle stopień zainteresowania się Łucji oczekiwaną zabawą był dla Wilczura niespodzianką. O ile sobie przypominał, w Warszawie Łucja nader rzadko bywała na balach czy dancingach, nie przepadała nawet za takimi rozrywkami jak teatr i kino. Wilczurowi wydawało się to zupełnie naturalne, gdyż odpowiadało jego własnym zainteresowaniom. Uważał ją za dziewczynę poważną, która nie na próżno poświęciła się tak odpowiedzialnej i wartościowej pracy, jak praca lekarza.

Zaskoczony był teraz jej przemianą, bo za przemianę musiał uważać nagły pociąg do tańców. Jeszcze przed paru dniami śmiałyby się, gdyby mu powiedziano, że Łucja przez wiele godzin może poświęcać swoją uwagę takim śmiesznym drobiazgom jak przerabianie sukni.

Czekała go jeszcze większa niespodzianka. Oto w sobotę, pomimo tego, że w ambulatorium czekało na opatrunki jeszcze sześć osób, Łucja, zostawiwszy dla Donki instrukcje, sama poszła do Radolizsek. Gdy po dwóch godzinach wróciła i zapytał ją, co się stało, powiedziała tak, jakby chodziło o rzecz zupełnie zwykłą:

— Przecież dzisiaj mamy ten bal w Kowalewie i musiałam pójść do fryzjera, by mnie uczesał.

Teraz dopiero zauważył na jej głowie jakieś dziwne fioki i loki. Nawet ładnie jej z tym było. Nie mógł się jednak zdobyć na powiedzenie czegoś więcej jak:

— No, naturalnie, naturalnie.

W duszy jednak wcale nie myślał, by to było rzeczą naturalną. Przy obiedzie zauważył, że miała też paznokcie wylakierowane na różowo.

„Nie powinienem temu wszystkiemu się dziwić — perswadował sobie. — Jest młoda, a pędzimy tutaj taki szary i bezbarwny tryb życia. Ten bal jest dla niej zdarzeniem”.

Łucja jednak myślała nie tylko o sobie i o swoim wyglądzie. Przekonał się o tym, gdy szukając w szafie czarnego ubrania, nie znalazł go i dopiero rozejrzawszy się po pokoju, zobaczył je rozwieszane na krześle. Było świeżo wyczyszczone i wyprasowane.

O godzinie szóstej zajęły konie.

Sadowiąc się obok Łucji w bryczce Wilczur poczuł zapach perfum. To zdeprymowało go do reszty i by pokryć zmieszanie, zaczął obszernie opowiadać Łucji o jakiejś skomplikowanej operacji dwunastnicy, o której przeczytał w świeżo otrzymanym miesięczniku lekarskim. Ten temat zajął im całą drogę.

Bale w Kowalewie i we wszystkich innych dworach owych stron dość znacznie różnią się od podobnych zabaw w stolicy. Różnią się przede wszystkim tym, że zaproszeni goście nie uważają sobie za punkt honoru przyjechać jak najpóźniej, lecz właśnie na oznaczoną godzinę, a czasem i na kilka godzin wcześniej. Toteż gdy Łucja z Wilczurem wysiadali przed gankiem kowalewskim, wewnątrz już było rojno i gwarno. Na powitanie do bryczki wybiegł młody gospodarz, a za nim przydreptała jego matka. Na ganek wyszło jeszcze kilka osób, by zobaczyć, kto przyjechał.

Wilczur i Łucja spośród kilkudziesięciu obecnych gości znali zaledwie kilka osób. Poza Pawlickim i proboszczem byli to przeważnie ziemianie z bliższych i dalszych okolic, ich żony, siostry, córki lub matki. Nie dotarł tu jeszcze modny zwyczaj odmładzania się i matki wyglądały istotnie jak matki, żony jak żony, a córki jak córki. Matki obsiadły kanapy, żony skupiły się w bocznym saloniku zawzięcie rozprawiając o sprawach gospodarskich, panny stały grupkami szepcząc, śmiejąc się i zerkając ku jadalni, gdzie podano dla panów wódkę i przekąski.

Panowie bez różnicy wieku zgromadzili się stojąc przy stole. Rozmowa tu była ogólna. Przyszedł okres polowań i to zajmowało uwagę wszystkich, starych i młodych, doświadczonych myśliwych i początkujących.

Tymczasem w salonie rozległy się pierwsze tony strojonych instrumentów. Sprawdzone z Radoliszek zespół orkiestrowy nie był wprawdzie liczny, gdyż składał się z trzech osób: pianisty, skrzypka i harmonisty, ale za to wypróbowany i cieszący się w całej okolicy dużym wzięciem.

Z wolna młodzi panowie wynurzali się z jadalni i teraz dopiero pan Jurkowski zaczął przedstawiać ich Łucji i Wilczurowi. Oboje ze słyszenia znani byli już wszystkim od dawna. Nie tylko dlatego, ale i dzięki urodzie Łucji wkrótce dookoła nich zebrało się sporo młodzieży i wraz z dźwiękami pierwszego walca Łucja zaproszona została do tańca. Z kolei Pawlicki poprosił pannę Jurkowską i wkrótce salon zapełnił się wirującymi parami. Przekąska, a raczej wypite przy niej nalewki doskonale wpłynęły na humor mężczyzn i na ochotę do kręcenia się przy dźwiękach muzyki. Panie i tej podniety nie potrzebowały, gdyż sam taniec był dla nich podnieta.

Łucja wyglądała ładnie. Mówiło jej to nie tylko lustro, w którym za każdym okrzykiem salonu kontrolowała swoją powierzchowność, lecz i spojrzenia wszystkich mężczyzn. Były tu kobiety i młodsze od niej, i lepiej ubrane, lecz mogła się nie obawiać braku powodzenia.

Niestrudzona orkiestra prawie nie robiła przerw, a ponieważ danserów było więcej niż danserek, Łucja na krótkie zaledwie chwile przysiadła, by odpocząć, i znowu ją ktoś porywał do tańca.

W dalszych pokojach starsi panowie zasiedli do brydża. Wilczur jednak, który w ogóle w karty grać nie umiał i nie lubił, stał na progu salonu rozmawiając z panią domu. O ile to było możliwe, nie spuszczał wzroku z Łucji i nie mógł się pozbyć dziwnego uczucia, że stała się dlań obca i daleka. Wydawało mu się, że ten połysk w jej oczach, te żywe rumieńce, ten uśmiech zalotny, że wszystko to jest czymś nienaturalnym i jakby nieprzyzwoitym. Nie licowało z jej powagą i z jej wartością wewnętrzną, którą tak wysoko oceniał, owo bezmyślne kręcenie się w ciasnej przestrzeni, w natłoku tańczących, przeginanie się w biodrach, niemal kokieteryjne przechylenie głowy. To nie była Łucja.

Nie pomagały żadne refleksje. Na próżno tłumaczył sobie, że wszystko jest w porządku, że tak być powinno, że Łucja jest młodą dziewczyną, a taniec od wieków jest przywilejem właśnie młodych dziewcząt, że to raczej dobrze o niej świadczy: umie pracować intensywnie, pożytecznie i poważnie, umie głęboko patrzeć na sprawy życiowe i na swoje obowiązki, a jednocześnie potrafi być wesołą i naturalną, bawić się tak, jak bawią się inne kobiety w jej wieku. Wszystko to było słuszne i przekonujące. O ile jednak mózg przyjmował to do wiadomości i akceptował, o tyle gdzieś w emocjonalnych ośrodkach tym silniej występował sprzeciw.

Oto Łucja w objęciach swego partnera przesunęła się w tangu obok Wilczura i uśmiechnęła się doń ciepło i serdecznie. Odpowiedział jej uśmiechem, lecz natychmiast odwrócił głowę. Musiała to zauważyć. Gdy tylko orkiestra umilkła, zbliżyła się do niego.

— Jak tu przyjemnie, prawda? — zapytała.

— O tak — powiedział bez przekonania.

— Orkiestra może nie jest najlepsza pod względem muzycznym, ale do tańca przecież sam rytm wystarcza. I niektórzy z tych panów naprawdę świetnie tańczą.

Wilczur nic nie odpowiedział i teraz przyjrzała mu się zdziwiona.

— Pan, zdaje się, z czegoś jest niezadowolony?

— Ja? Ależ bynajmniej.

— Pan się nudzi?

— Cóż znowu...

— O, bardzo mi przykro. Namówiłam pana na ten bal, kochany profesorze. Jaka ze mnie egoistka...

Posmutniała i dodała szybko:

— Przed kolacją nie wypada wyjechać, ale zaraz później wrócimy do domu.

Wilczur wzruszył się jej gotowością.

— Za żadne skarby, panno Łucjo.

— Kiedy pana to wcale nie bawi!



Z uśmiechem rozłożył ręce.

— Ha, to już moja własna wina. Skoro nie tańczę, należałoby przynajmniej nauczyć się grać w brydża lub interesować się polowaniem. Miałbym wtedy dość interesującego zajęcia. Niechże pani da spokój wszelkim skrupułom. Musi pani raz wreszcie wybawić się za wszystkie czasy. Bo jeżeli...

Nie dokończył, gdyż orkiestra zagrała znowu i przed Łucją skłonił się nowy danser.

— Czy mogę panią prosić do fokstrota?

— Z przyjemnością — odpowiedziała Łucja i dopiero teraz spostrzegła, że Wilczur nie dokończył zdania. Nie mogła się jednak cofnąć. Skinęła mu głową i znalazła się w objęciach wysokiego bruneta o marzycielskich oczach. Znała go tylko z widzenia i wiedziała, że jest ziemianinem gdzieś z północnej części powiatu. Nazywał się Nikorowicz. Spotykała go czasami w Radoliszkach.

Nikorowicz też ją stamtąd pamiętał, gdyż powiedział:

— Widzę już panią po raz trzeci. Pani może na mnie nie zwróciła uwagi. Nie wszyscy mają takie szczęście jak Wicek Jurkowski...

— Czymże się to szczęście wyraża? — zapytała lekko rozbawiona.

— Ba, żeby umiał pani dokładnie odpowiedzieć. Ale Wicek to taka skryta bestia, że tylko chrząka i mruczy pod nosem. Wiem jednak, że widuje panią bardzo często. A czy już to samo nie jest szczęściem?

— Niechże pan ze mnie nie żartuje — zaśmiała się. — Rzeczywiście pan Wincenty zagląda dość często do nas do lecznicy, lecz takie „szczęście” dostępne jest każdemu, kto cierpi na niestrawność lub ma skaleczony palec.

Danser westchnął.

— Och, wobec tego będę się starał przy dzisiejszej kolacji nabawić się niestrawności, a jeżeli to nie poskutkuje, jutro sobie utnę palec.

— Widzę, że pan zdolny jest do poświęceń — zaśmiała się.

— O tak. Do każdego. Powtarzam jednak, że Wicek ma wyjątkowe szczęście. Bo braku apetytu nigdy u niego nie zauważyłem i nie dostrzegłem również, by brakowało mu palców. A jednak bywa u pani często. Czy nie może mi pani powiedzieć, w jaki sposób udałoby mi się dostąpić takiegoż przywileju?

— To nie jest żaden przywilej, proszę pana. Miło mi będzie, jeżeli pan nas kiedy odwiedzi w lecznicy.

— Dziękuję pani. I na pewno z tego skorzystam w najbliższym czasie.

Chwilę tańczyli w milczeniu, po czym Nikorowicz zapytał na pozór obojętnym tonem:

— Jakże się pani podoba Kowalewo?

— Bardzo tu ładnie i miło.

— A te braki, które tu jeszcze są, zostaną wkrótce uzupełnione.

— O jakich brakach pan mówi? — spojrzała nań zaciekawiona.

Zawahał się i odpowiedział:

— Właściwie mówię o jednym braku. O jednym braku: Wicek nie ma żony, a Kowalewo pani.

Domyśliła się, do czego Nikorowicz zmierza, i powiedziała:

— W Kowalewie są aż dwie panie. Nie słyszałam też, by pan Jurkowski zamierzał się żenić. Nie wspominał mi o tym.

— Ach, tak? — zdziwił się Nikorowicz. — Więc jeszcze nie oświadczył się pani?

Ponieważ zmarszczyła brwi, pośpieszył dodać:

— Bardzo przepraszam za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Pani łaskawie mi wybaczy, ale sądziłem, że to już jest tajemnica publiczna. W całym powiecie wszyscy mówią głośno, że Wicek stara się o pani rękę.

— To pomyłka — powiedziała z naciskiem. — Mogę zapewnić pana, że nie ma w tym źdźbła prawdy.

— Jednak... — zaczął Nikorowicz.

Przerwała mu:

— Pan Jurkowski jest znajomym profesora i moim i przykro mi, że jego odwiedziny w lecznicy mogą być tak nietrafnie komentowane.

Rozmowa ta wzburzyła Łucję. Nawet nie przypuszczała, by bywanie Jurkowskiego w lecznicy tak bardzo wszystkim rzuciło się w oczy. Teraz jednak dopiero ze spojrzeń

obcych, z niektórych powiedzeń i stosunku do siebie Łucja mogła wywnioskować, że uważają ją tu prawie za narzeczoną gospodarza. Długo wahała się nad wyborem sposobu zdementowania tych mylnych przypuszczeń. Wreszcie postanowiła rozmówić się jasno i otwarcie z Jurkowskim.

Wkrótce nadarzyła się ku temu sposobność: poprosił ją do tańca. Ponieważ mogli ich usłyszeć tańczący obok i z urywków dosłyszanych zdań domyślić się, o czym mówią, gdy już tango się kończyło, zaproponowała:

— Chciałabym z panem pomówić na osobności.

— Ależ z największą przyjemnością. Tym bardziej, panno Łucjo, że i ja panią o to chciałem prosić.

Przeprowadził ją przez sień i przez pokój, gdzie grano w brydża, do swojej kancelarii. Nie było tu nikogo.

— Proszę pana — zaczęła rzeczowo, siadając na fotelu, który jej przysunął — dowiedziałam się dzisiaj, że w okolicy krążą niedorzeczne plotki, jakoby pan w stosunku do mnie czy też ja w stosunku do pana żywymy zamiary małżeńskie.

Spojrzał na nią z niepokojem i zapytał:

— Dlaczego pani te pogłoski nazywa niedorzecznymi?

— Po prostu dlatego, że opierają się na czczym wymyśle. Na absurdalnym wymyśle.

— Jeżeli nawet na wymyśle, nie widzę bynajmniej jego absurdalności.

Chciała mu oszczędzić odmowy i dlatego potrząsnęła głową.

— Absurd polega tu na tym, że zarówno pan, jak i ja doskonale wiemy, że nie jesteśmy przeznaczeni dla siebie.

— Ja wcale tak nie sędzę — odrzekł, marszcząc brwi.

— Na pewno pan tak sądzi — powiedziała z naciskiem. — Po pierwsze, pan jest ziemianinem. Potrzebuje pan żony ziemianki, która by zajęła się gospodarstwem, która by prowadziła panu dom. Ja jestem lekarzem. Jak pan wie, przeniosłam się w te strony po to, by pracować społecznie. Nie mam pojęcia o gospodarstwie. Nie znam się na tym i uważałabym, że marnuję swoje zdolności, swoje fachowe przygotowanie, gdybym zarzuciła pracę lekarską. Pracę tę zresztą uważam za swoje powołanie i nigdy się jej nie wyrzeknę.

Milczał przez chwilę i odezwał się wreszcie prawie gniewnie:

— A któż pani powiedział, że ja wymagałbym od pani jakichkolwiek wyrzeczeń się? A któż pani powiedział, że ośmieliłbym się narzucać pani gospodarowanie w Kowalewie?... Niczego więcej nie pragnę, tylko tego, by pani została moją żoną, i w niczym pani nie zamierzam krępować. Będzie pani mogła robić, co się pani podoba. Zechce pani, to wybuduję tu w Kowalewie dla pani lecznicę jeszcze większą niż tamta. Powiada pani, że nie jesteśmy dla siebie przeznaczeni. A to nieprawda. Bo odkąd panią poznałem, to widzę, że żadna inna nie była dla mnie przeznaczona, tylko pani. Oczywiście, może nie jestem wart takiej żony jak pani. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale za to wiem, że potrafię być dobrym mężem, że nie zawiedzie się pani na mnie. Bo jak mówię, to mówię, a jak powiadam, że panią kocham, to nie ma w tym żdźbła kłamstwa. Umyślnie nie śpieszyłem się z wyznaniem, bo chciałem, żeby pani mnie mogła poznać i wyrobić sobie o mnie sąd. Co zaś dotyczy gospodarstwa, to do tej pory, dzięki Bogu, matka żyje i tym się zajmuje. Siostra już pewno za mąż nie wyjdzie, bo i ochoty do tego wielkiej nie ma. Słowem, o gospodarstwo nie ma się co kłopotać. Otóż, panno Łucjo, zapytuję panią, gdzie tu jest absurd? Gdzie tu jest niedorzeczność? Niech pani się nie obawia, nie jestem młokosem i zanim do pani się z tym zwróciłem, wszystko przemyślałam i wziąłem pod uwagę.

Łucja zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie wszystko. Bardzo mi przykro, że muszę to panu powiedzieć. Wcale nie wziął pan pod uwagę moich uczuć i moich zamiarów. Nie zgadzam się z tym, co pan mówił o sobie. Nie wierzę w to, bym mogła być dla pana odpowiednią żoną. To jedno. A po wtóre, nie mogłabym nią zostać i dlatego, że nie jestem wolna. Że mam pewne zobowiązania...

— A nie może się pani ich pozbyć?

— Nie chcę się pozbyć tych zobowiązań.

Opuścił głowę.

— To znaczy, że pani kogoś kocha.

— Tak — odpowiedziała krótko.

Milczał przez dobrą minutę, a później powiedział, usiłując się uśmiechnąć:

— A to rzeczywiście wyrwałem się jak Filip z konopi... Ale któż mógł wiedzieć?... Jakże nawet miałem przypuszczać... Nie słyszałem, by ktoś tu w okolicy starał się o panią, a znowu z Warszawy nie wyjeżdżałyby pani, gdyby tam... Bardzo przepraszam. Nigdy bym nie ośmielił się narzucać... gdyby nie przeświadczenie, że pani jest wolna. Najmocniej przepraszam.

W jego wyrazie twarzy było szczere zafrasowanie i smutek. Po dłuższym milczeniu nagle podniósł na nią oczy, w których błysnęło niedowierzanie.

— Proszę pani... — zaczął. — A może pani tylko w ten sposób chce osłodzić mi gorzką pigułkę? Byłoby to dla mnie nad wyraz krzywdzące, gdyby pani za moją szczerość i za moje uczucia odpłaciła mi takim wykrętem. Jednak naprawdę nie zauważyłem, by ktoś zabiegał tu o pani względy. A w naszej okolicy nic długo nie da się utrzymać w tajemnicy. Niechże mi pani powie szczerze i po prostu: nie podobasz mi się, będę czekała na lepszego.

Łucja potrząsnęła głową.

— Pańskie przypuszczenia są nieuzasadnione. Powiedziałam panu prawdę. Istotnie kocham innego i zostanę jego żoną.

Znowu umilkł i stał przed nią oparty o stół z oczyma wbitymi w ziemię.

— Czy... czy mogłaby pani wymienić mi jego nazwisko?

— Nie sądzę, by to było potrzebne — powiedziała chłodno.

— Ach, jeżeli to tajemnica... — zauważył z ironią.

— Wcale nie tajemnica. Nie zależy mi jednak na rozgłaszaniu tego, bo to jest moja prywatna sprawa.

— Czy pani mnie uważa za plotkarza? Interesuję się tym dla siebie i wyłącznie dla siebie.

— Więc dobrze. Mogę panu to powiedzieć. Mówiłam o profesorze Wilczurze.

Szeroko otworzył oczy.

— Jak to?...

Łucja wstała.

— Jeszcze sekunda — zatrzymał ją. — Czy chce pani powiedzieć, że kocha pani profesora i że zostanie jego żoną?

— Tak, proszę pana. I proszę, byśmy na tym skończyli rozmowę.

Gdy wrócili do salonu, właśnie proszono do stołu. W jadalni i w przyległym pokoju zrobiło się gwarно. Kolacja, jak zwykle w tych stronach, była aż nadmiernie obfita. Siedzący jednak obok Łucji gospodarz prawie nic nie jadł, natomiast dużo pił i był wciąż ponury, na próżno usiłując nadrobić miną. Musiało to zwrócić powszechną uwagę, gdyż zwłaszcza panie zerkwały w jego stronę zaciekawione i przenosiły swój wzrok z niego na Łucję, domyślając się, że między nimi musiało zajść jakieś nieporozumienie. Łucja, ratując sytuację, starała się być wesoła i ożywiona, rozmawiając z swoim drugim sąsiadem.

Po kolacji znowu zapytała Wilczura, czy nie lepiej byłoby pojechać do domu. Teraz naprawdę tego chciała, lecz Wilczur, wciąż dopatrując się w jej gotowości poświęcenia, najkategoryczniej odmówił.

— Poznałem tu bardzo interesujących dwóch panów i doskonale mi się z nimi gawędzi — zapewniał. — Jutro niedziela, możemy sobie pozwolić na jeszcze parę godzin zabawy.

Orkiestra znowu zagrała i Łucja znowu tańczyła prawie bez odpoczynku. Wilczur w poszukiwaniu owych dwóch interesujących panów zajrzał do jadalni, gdzie służba krzątała się przy sprzątanii ze stołu. Przy końcu jednego z nich siedział samotny pan Jurkowski i pił wódkę. Wilczurowi wydało się, że go nie poznał, zmierzył go bowiem prawie nienawistnym spojrzeniem. Musiał już być porządnie pijany. Zawsze bowiem odnosił się do Wilczura nader życzliwie.

Wkrótce potem spotkali się ponownie w małym saloniku. Ponieważ w salonie słynny mazurzysta pan Skirwoyn popisywał się właśnie swoim niezrównanym mazurem, tutaj było pusto.

— A, pan profesor. Jak to dobrze, że pana profesora widzę — odezwał się Jurkowski.

— Chciałem panu opowiedzieć jedną zabawną historyjkę.

Wyglądał przytomnie, lecz pewne niedokładności w dykcji świadczyły o nadmiarze pochłoniętego alkoholu.

Wilczur uśmiechnął się wyrozumiale.

— Z przyjemnością jej wysłucham. Chociaż przyznam się panu, że nie należę do znawców humoru.

Jurkowski podniósł palec do góry.

— O, na tym humorze to szanowny profesor pozna się z łatwością. Po prostu boki zrywać. No, mówię kochanemu profesorowi, boki zrywać.

Wilczur udął zaciekawienie.

— Słucham, słucham.

— Otóż niech pan sobie wyobrazi, mam tu polowego. Porządne chłopisko. Od dawna już u mnie służy. U ojca mego służył. Coś już będzie ze czterdzieści lat, jak jest u nas polowym. Dzieci wychował, doczekał się wnuków. A coś przed trzema laty owdowiał. Rozumie pan? Owdowiał.

— Rozumiem — łagodnie potwierdził Wilczur.

— I uważa profesor, wszystko byłoby w porządku, ale w zeszłym roku diabeł go opętał. Przychodzi do mnie, całuje mnie w rękę i mówi, że się chce żenić. Uważa pan: chce się żenić! Zdurniałeś, powiadam. Po co tobie się żenić?... Przy córce mieszkasz, baby nie potrzebujesz. Stary pryk z ciebie. I z kimże się chcesz żenić?... A, powiada, z Małgośką od Lawończuka. A Lawończuk, trzeba profesorowi wiedzieć, to biedak nad biedaki. Ziemi dziesięcin dwie czy trzy, a chałupa pełna dzieci. Głodem przymierają. Ta jednak Małgośka była niebrydką dziewczyną. Nieraz ją tam matka do roboty w ogrodzie brała, to zauważyłem, że niebrydka. Tylko zmizerowane to, zachudzone... No, ale pobrali się. Dałem im tam krowę i myślę sobie: co to z tego będzie?... Aż i niedługo czekałem. Patrząc, na folwarku parobki i dziewuchy wciąż się śmieją i śmieją, palcami polowego wytykają. Aż i on sam do mnie przychodzi. Prosi, by go nocnym stróżem zrobić. Zacząłem wypytywać o powody, a on mi do nóg. Rady nijakiej znaleźć nie mogę — powiada. — Jak mnie wielmożny pan nie wyratuje, to szesznać przyjdzie. Zacząłem się dopytywać. A okazuje się co. Że żona mu, gdy tylko się odpasała, na prawo i na lewo z parobkami się puszcza. On w pole, ona do parobków. A wie profesor, co ja mu na to powiedziałem?

— Skądże mogę wiedzieć? — Wilczur wzruszył ramionami.

— A ja mu powiedziałem: To i wszystko w porządku, durniu jeden. A cóż ty myślałeś, że młoda kobieta życia nie potrzebuje? Że wciąż na ciebie, starego grzyba, będzie się patrzeć i za tobą świata nie widzieć? Chciałeś się żenić, trzeba się było żenić z babą starą jak ty. A nie z młodą dziewczuchą. Prawo takie jest na świecie, że młody do młodego ciągnie. Więc jak byłeś durniem, to teraz cierp... Tak mu powiedziałem. Cha... cha... cha...

Złapał profesora za guzik i zbliżając twarz do jego twarzy, pytał natarczywie:

— Miałem rację czy nie?... No co, profesorze? Miałem rację czy nie?...

Wilczur przybladł. Już od połowy opowiadania pana Jurkowskiego zrozumiał aluzję. W pierwszej chwili uczuł się najboleśniej dotknięty, później zrobiło mu się wstyd za człowieka, który we własnym domu pozwala sobie na podobnie niegodne obrażanie swoich gości. Teraz zorientował się, że zarówno podchmielenie, jak i zaczepka musiały mieć jakąś poważną przyczynę. Prawdopodobnie Jurkowski oświadczył się Łucji, a otrzymawszy odmowę, popadł w rozgoryczenie, które podyktowało mu ten nielicujący nie tylko już z gościnnością, lecz ze zwykłą przyzwoitością postępek.

— No, profesorze, założę się o dwa konie z bryczką, że pan powiedziałby to samo. Czyż nie? Jest przecież pan lekarzem i rozumie pan, czego organizm wymaga, gdy jest młody, a czego nie może dać, gdy jest stary.

Ponieważ trzymał Wilczura za guzik i trudno było się z nim szamotać, profesor spojrzawszy nań i spokojnie powiedział:

— Znadto symplifikuje pan swoje poglądy, sądząc, że małżeństwo jest jedynie i wyłącznie sprawą organizmu.

— Ale i organizmu — upierał się Jurkowski. — Niechże mi profesor powie, co owa Małgośka miała robić. Powie pan, że jest niemoralna. Zgoda i na to. Ale gdyby była moralniejsza, to co zrobiłaby?... Co?... Ano, uciekłyby od niego. Rzuciłaby go do ciężkiego diabła i poszłyby z innym. A gdyby była jak ta lilia bezgrzeszna, no to zostałaby przy nim i cierpiała do śmierci. Takie jest prawo na świecie, profesorze. I nikt go nie zmieni. Ot, co.

Wilczur z trudem panował nad swoimi nerwami. Aluzja była bardziej dotkliwa, niż jej autor mógł przypuszczać. Przypomnienie Beaty i jej ucieczki odżyło z całą jaskrawością. Uczuł się nagle niewypowiedzianie starym, zmęczonym i zniechęconym do życia. Nie miał żalu do Jurkowskiego. Rozumiał, co ten człowiek przeżywa sam. Marzył teraz tylko o jednym: jak najprędzej stąd się wydostać. Korzystając z napływu gości do saloniku, wymknął się gospodarzowi i udał się na poszukiwanie Łucji. Zastał ją w salonie. Tańczyła. Minęła dobra godzina, zanim zdołał zamienić z nią kilka słów.

— Jakże się pani bawi? — zapytał.

Spojrzała nań z niepokojem.

— Co panu jest?

— Ach, nic — zbagatelizował. — Czuję się trochę zmęczony. Odzwyczaiłem się już od wielkich przyjęć, tłoku i hałasu.

— Więc może pojedziemy już do domu? — zaproponowała.

— Jeżeli nie sprawi to pani zbyt wielkiej przykrości...

— Ależ żadnej — przerwała mu. — Zaraz poproszę o konie.

Pani Jurkowska próbowała ich zatrzymać, lecz w końcu uległa. Niezbyt długo nawet czekali na konie.

Na dworze padał deszcz. Siedząc w otwartej bryczce okryci kapturami burek nie mieli ochoty do rozmowy. Prawie całą drogę odbyli w milczeniu. Każde z nich przeżuwało własne myśli. Łucja rozpamiętywała oświadczenia Jurkowskiego. Wiedziała, że postąpiła słusznie. Uważała go za człowieka miłego i na wskroś porządnego. W żadnym jednak wypadku, nawet wówczas, gdyby nie kochała się w Wilczurze, nie zostałaby żoną tego młodego człowieka. Nie tylko dlatego, że nie odpowiadał jej jako typ, ale i z tej racji, że była przekonana o słuszności swoich argumentów. Ludzie powinni się żenić w swojej sferze. Powinni się żenić tak, by zainteresowania jednej strony były jednocześnie zainteresowaniami drugiej. On nie mógł mieć pojęcia o jej pracy, ona o jego. Po prostu nie znaleźliby wspólnego języka. Byliby jak dwoje obcych skazanych na współżycie. Na przykład z takim Kolskim, chociaż go nie kochała, chociaż ich zapatrywania były często diametralnie przeciwne, zawsze miała o czym mówić, nie tylko dlatego, że był lekarzem, lecz dlatego, że wychował się i pracował w mieście, że oboje czerpali swe pojęcia, wyobrażenia, upodobania, zwyczaje z jednego środowiska, z tego samego gatunku kultury. Nie widzieli się teraz przecież od tylu miesięcy. Rozdzieliła ich tak duża przestrzeń i nawet odmienny tryb życia. A jednak korespondowali z sobą bardzo często i zawsze mieli sobie coś do powiedzenia.

A z profesorem na przykład. Czyż mogła się z nim nudzić? Była przekonana, że rozumie każde jego spojrzenie, każdy jego ruch. I zdawało się jej, że również on czuje się jej bliski, że nie widzi w niej żadnych dla siebie tajemnic. Przebywają przecież z sobą od tak dawna i każda z nim rozmowa nie przestaje być największą przyjemnością.

Patrząc w przyszłość, w przyszłość u boku tego człowieka, nie widziała przed sobą najmniejszej chmurki. Nie wątpiła, że będzie szczęśliwa. Może na chwilę gdzieś na dnie świadomości odezwało się w niej trochę żalu, że przyszłość ta nie będzie obfitowała w rzadkie bodaj rozrywki tego rodzaju jak na przykład dzisiejsza. Zaraz jednak przyszła rozsądna refleksja, że zdolna jest przecież do tak niedużych ofiar jak wyrzeczenie się tańca.

Ciemno już było zupełnie, gdy zajęli przed ganek lecznicy. Wilczur w sieni zapalił lampę i pierwszy zauważył jakiś papierowy pakiecik, oparty o kałamarz na stole.

— Cóż to jest? Depesza? — powiedział, biorąc do ręki.

Istotnie był to telegram adresowany do Łucji. Zbliżyła się do lampy i otworzyła. Spojrzała na podpis. Depesza była od Kolskiego. Podczas gdy Wilczur poszedł zajrzeć do szpitalnego pokoju, Łucja zaczęła czytać:

„Zwracam się do pani w imieniu profesorowej Dobranieckiej z gorącą prośbą. U jej męża stwierdzono niebezpieczny nowotwór w mózgu. Stan jest prawie beznadziejny. Minimalne szanse ratunku w operacji. Zabieg będzie trudny i skomplikowany. Dobraniecki nie chce mu się poddać w przekonaniu, że nie może się udać. Oświadczył, że zgodzi się na operację jedynie w tym wypadku, jeżeli zechce jej dokonać profesor Wilczur...”

Łucja przetarła ręką czoło. Wprost wierzyć nie mogła swoim oczom.

„Pani Dobraniecka błaga panią, a i ja do tej prośby się przyłączam, aby zechciała pani wpłynąć na profesora Wilczura, by nie odmówił ratunku umierającemu. Wie, że nie ma

prawa o to prosić. Że niczym sobie na taką przychylność nie zasłużyli i że profesor Wilczur uważa ich za wrogów. Dlatego zwraca się przeze mnie i do pani. Ufamy, że nie odmówi pani swojej pomocy. Czekamy telegraficznej odpowiedzi. — Kolski”.

Łucja zmięła depezę w rękę. Wiadomość spadła na nią obuchem. Ileż radości i dumy wypełniło jej myśli. Oto sam los w najzłośliwszy sposób mścił się na tych złych ludziach, oto samo fatum kazało im szukać pomocy i ratunku u człowieka, któremu wyrządzili tyle najokropniejszych krzywd.

„Ach, podli. Po trzykroć podli. — myślała. — Nazywali go pogardliwie znachorem. Rozpowszechniali oszczerstwa o nim. Twierdzili, że powinien porzucić chirurgię. A teraz, gdy zagroziła śmierć, jak psy skomlą o łaskę!”

Do sieni wszedł profesor. Impulsywnie chwyciła go za rękę. Spojrzał na nią zdziwiony. Jej oczy iskrzyły się triumfem, a na policzki wystąpiły silne rumieńce. Oddychała szybko.

— Czy coś się stało? — zapytał. — Pani jest taka wzburzona...

— A tak! Tak. Stało się. Stało się coś, co musi przekonać o sprawiedliwości boskiej! Niech pan posłucha.

Wyprostowała zgnieciony arkusik i przerywanym głosem zaczęła czytać depezę. Słuchał z rosnącym zdumieniem. A gdy skończyła, milczeli oboje przez dłuższą chwilę. Wilczur patrzył w ziemię. Na jego twarzy odbił się głęboki smutek. Wreszcie podniósł głowę i powiedział cicho:

— Bóg mi świadkiem. Nie mogę... Jakże... Nowotwór w mózgu... I taka ręka...

Wyciągnął przed siebie lewą rękę, która widocznie pod wpływem niespodziewanego wrażenia dygotała bardziej niż zwykle.

— Jakże ja z tą ręką... To przecież niepodobieństwo.

— Ale ta bezczelność — wybuchła Łucja. — Ta bezczelność tych nędznych płazów! Po tym wszystkim, co panu zrobili, ośmielają się!... Ludzie o miedzianym czole!...

Wilczur nic nie odpowiedział. Założył w tył ręce i ciężko chodził z kąta w kąt.

— Napiszę Kolskiemu, że dziwię się temu, jak mógł podjąć się pośrednictwa. I w dodatku mnie również o pośrednictwo prosi.

Wilczur zatrzymał się przed nią.

— Nie może mu pani z tego robić zarzutu, panno Łucjo — powiedział. — Nie wolno pani zapominać, że jest on przede wszystkim lekarzem. Że jako lekarz obowiązany jest nie pominąć żadnego, absolutnie żadnego sposobu ratowania pacjenta.

— Czy nawet wtedy, gdy ten pacjent jest zbrodniarzem? — zawołała w podnieceniu.

Wilczur spojrzał poważnie w jej oczy.

— Nawet wtedy. Nawet wtedy, proszę pani.

Znowu zapanowała cisza.

— Niech pani do niego zadepeszuje — odezwał się Wilczur. — Niech pani napisze, że nie mogę. Że nie władam jedną ręką... I depezę trzeba wysłać z samego rana. Czekają tam na odpowiedź... A teraz dobranoc, Łucjo. Niech pani śpi dobrze.

Oburącz ścisnęła mocno jego rękę.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, długo stała, nie ruszając się z miejsca. Jakże bardzo podziwiała tego człowieka. Przecież wiedziała doskonale, że musi on żyć do Dobranieckich już jeżeli nie chęć zemsty, jeżeli nie nienawiść, to w każdym bądź razie najgłębszy wstręt, najślusniejszą pogardę. Najhaniebniej go skrzywdzili, chwytając się ohydnych środków walki. Opluli jego dobrą sławę, wydarli mu jego majątek, zmusili do opuszczenia stanowiska, do wyjazdu z Warszawy. Nie. Ona nie znalazłaby w sobie dla nich cienia litości. Nie potrafiłaby na chwilę zapomnieć o doznanych krzywdach, tak jak wiedziała, że i Wilczur musi o nich pamiętać. A jednak on aż Boga musiał wzywać na świadka szczerości swojej odmowy.

I Łucja w tej chwili musiała w sobie stłumić jakby uczucie radości, że zły przypadek, nad którym bolała, przydaje się oto, by uniemożliwić ratunek tego lotra bez czci i wiary.

Profesor powiedział, że nawet zbrodniarza ratować trzeba. Tak. Tak. Ale są zbrodnie, są przecież takie zbrodnie, które wykluczają miłosierdzie.

Długo nie mogła zasnąć, wzburzona tym wydarzeniem. Obmyślała tekst depezy, którą jutro rano wyśle. Chciała ją zredagować w słowach cierpkich i dotkliwych, po namyśle jednak uznała, że byłoby to niełojalne w stosunku do Wilczura.

Nazajutrz rano sama postanowiła odnieść depeszę do Radolizek. Gdy wychodziła z lecznicy, spotkała konnego posłańca z Kowalewa. Miał list od młodego dziedzica. Ze zdziwieniem stwierdziła, że na kopercie nie było jej nazwiska, lecz nazwisko profesora. Zaintrygowało ją to. O czym mógł pisać pan Jurkowski do Wilczura?... Oddała mu list, nie pytając o jego treść. Wilczur w milczeniu otworzył kopertę, przeczytał i widząc oczekującą Łucję, uznał za potrzebne wyjaśnić:

— Ach, nic, proszę pani. To taki drobiazg. Rozmawialiśmy wczoraj o pewnej sprawie, którą pan Jurkowski uznał za tak ważną, że przysłał mi jeszcze dodatkowe informacje.

W istocie list brzmiał, jak następuje:

„Czcigodny Panie Profesorze! Wczoraj nieco nadużyłem alkoholu i nie byłem zupełnie przytomny. Zdaje się, że pozwoliłem sobie opowiadać Czcigodnemu Panu jakieś nieprzyzwoite historyjki. Zdaję sobie sprawę z tego, że nic mnie nie usprawiedliwia. Najmocniej jednak przepraszam, wyrażam najszczerzy żal i proszę Pana Profesora o niechowanie do mnie urazy. Z najgłębszym szacunkiem — Wincenty Jurkowski”.

## ROZDZIAŁ XV

Odkąd przywieziono profesora Dobranieckiego do lecznicy, cały korytarz „B” na pierwszym piętrze został opróżniony z pacjentów, by ciężko choremu zapewnić absolutną ciszę. Wchodzący tu lekarz, zarówno jak i służba musieli nakładać bambosze z wojsłoku, a mówili tylko szeptem.

W ostatnim pokoju, gdzie umieszczono Dobranieckiego, okna były zasłonięte i panował półmrok. Chory nie znosił światła, tak jak i głośniejszych dźwięków. Pod wpływem jednego czy drugiego dostawał straszliwych bólów pod czaszką, bólów, których nie uśmierzały najsilniejsze dawki pantoponu czy morfiny. Dzień i noc przy jego łóżku na zmianę czuwali lekarze. Oprócz nich godzinami przesiadywała tu żona profesora.

Gdy tylko odchodziła, chory zaczynał domagać się jej obecności. Stan jego od razu pogarszał się, tętno słabło, bóle się wzmagaly, po policzkach tak gęste ciekły łzy, że trzeba było je nieustannie ocierać. I nagle na jego twarzy zjawiał się wyraz ulgi. To jego nieprawdopodobnie wyostrzony słuch poznawał na korytarzu jej niedosłyszalne jeszcze dla innych kroki. Gdy siadała przy łóżku, brał jej rękę, zamykał powieki i albo milczał godzinami, albo mówił szeptem czule słowa, o tym, że ją kocha, że jest piękna, że dla niej żył i że wcale nieciężko mu będzie rozstać się ze światem, tylko jej nie może i nie chce zostawić.

Czasami, a zdarzało się to najczęściej w nocy, tracił przytomność. Dostawał wówczas drgawek, po których przychodziły wymioty, a następnie straszliwe bóle i obłąkane majaczenia.

Pani Nina szalała. Nikt z jej dawnych znajomych nie mógł jej teraz poznać. Nieumalowana, byle jak uczesana, z wielkimi sińcami pod oczyma, chodziła jak błędna. Tak jak przedtem wyglądała zadziwiająco młodo, tak teraz nagle zestarzała.

— Patrzcie, jak ona cierpi — mówili wszyscy. — Oto jest miłość.

Mylili się. Pani Nina cierpiała z innego powodu. Wiedziała, jakie nieuchronne następstwa pociągnie za sobą śmierć męża. Od czasu objęcia lecznicy po ustąpieniu Wilczura poprawił się wprawdzie ich stan materialny, nie zdążyli wszakże spłacić ani drobnej części długów. Śmierć męża równała się dla pani Niny zupełnej nędzy. Nędzy, za którą przyjść musiała utrata pozycji towarzyskiej, wygod, strojów, znaczenia, urody i powodzenia. Niewiele przecież osób wiedziało dotychczas, że zbliżała się do czterdziestki. Nakładem nieograniczonych kosztów i wielu poświęceń utrzymywała swą urodę, z której słynęła za czasów młodości. Teraz, gdy stała przed lustrem, ogarniała ją rozpacz. Dobrze rozumiała, że już nie będzie mogła zacząć nowego życia. Że jej kariera wraz ze śmiercią Jerzego zostałaby jak nożem ucięta. Mogła liczyć na powodzenie u mężczyzn póty, póki wypielegnowana, wytworna i poszukiwana w towarzystwie roztaczała swoje uroki. Na biedną, źle ubraną i znękaną kobietę żaden mężczyzna nie spojrzy.

I gdy namiętnym, rozkazującym głosem mówiła mężowi: „Musisz żyć!... Ty będziesz żył!...”, to oznaczało jednocześnie: „Ja chcę żyć, a twoja śmierć jest i moją śmiercią”.

Na koszt lecznicy sprowadzono najznakomitszych specjalistów krajowych i zagranicznych. Nad łóżkiem chorego co kilka dni odbywały się długie konsylia.

I nikt nie robił nadziei. Nie mógł jej robić. Narośl pod czaszką powoli, lecz nieustannie rozrastała się, uciskając zwoje mózgowe. Koniec już był kwestią krótkiego czasu. Ostatnie konsylium orzekło, że ze względu na rozgałęzienie nowotworu zabieg operacyjny jest już prawie niemożliwością. Słynny amerykański lekarz profesor Coleman, który przerwał swoje wywczasy na Riwierze, by pośpieszyć do łóżka chorego kolegi, powiedział Dobranieckiemu, gdy ten domagał się ścisłej prawdy:

— Nie podjąłbym się operacji, bo nie widzę jej celu.

Dobraniecki szepnął:

— Od dawna już jestem tego samego zdania... Jedna szansa na sto.

— Jedna na sto tysięcy — poprawił Coleman.

Tegoż popołudnia pani Dobraniecka, wysłuchawszy wyroku, powzięła postanowienie: jeżeli jest jedna szansa na sto tysięcy, to jednak należy spróbować operacji. Póty błagała Colemana, aż ten się zgodził.

— Absolutnie jestem przekonany, że operacja się nie uda. Przyspieszy tylko o tydzień lub o dziesięć dni śmierć chorego. Jednak jeżeli pani kategorycznie sobie tego życzy, mogę to zrobić. Wątpię tylko, czy profesor Dobraniecki zechce. Doskonale się orientuje w swoim stanie i sam jest zbyt dobrym chirurgiem, by nie rozumieć, że lancet tu nic nie pomoże.

Amerikanin nie mylił się.

Wszystko już było przygotowane. Sala operacyjna gotowa, gdy pani Nina zaczęła prosić męża, by zgodził się na zabieg chirurgiczny.

Z miejsca i kategorycznie odmówił.

Nie pomogły żadne nalegania, żadne prośby. Przeciwnie. W końcu chory się zirytował i gorzko zapytał:

— Czy chcesz mi odebrać te ostatnie kilka dni życia?...

— Ależ, Jerzy — załamała się.

— Męczy cię czuwanie przy mnie i chcesz się już mnie pozbyć...

Oczywiście zamknął jej tym usta. Umilkła. Siedziała przybita i zrezygnowana przy jego łóżku. Chory spędził noc spokojnie. A gdy z rana znów przyszła, zapytał:

— Czy profesor Coleman odjechał?

Nina ożywiła się.

— Tak, ale ma się zatrzymać w Wiedniu. Można go jeszcze zawrócić depeszą!

— O, nie, nie.

I po pauzie dodał:

— Jest tylko jeden człowiek na świecie, który potrafiłby może mnie uratować... Ale ten raczej wolałby mnie zabić...

— O kim mówisz, Jerzy? — szeroko otworzyła oczy.

— O Wilczurze — szepnął Dobraniecki.

Ścisnęło się jej serce. Powiedział prawdę. Od Wilczura nie mogli się spodziewać pomocy. Jakkolwiek jednak rozumiała to dobrze, jakkolwiek była przekonana, że nie ma na świecie takich skarbów, którymi mogłaby zdobyć przychyłość Wilczura, chwyciła się oburącz tej nadziei.

— Jerzy, zgodziłbyś się na tę operację, gdyby to on miał ją przeprowadzić?

— Tak — odpowiedział po chwili wahania. — Ale nie ma o czym mówić.

Była zgorączkowana i podniecona.

— Może by jednak warto spróbować? Może się zgodzi?

— Nie zgodzi się.

Nina jednak uczepliła się tej myśli. Nie mogła się jej pozbyć i gdy tylko wyszła z pokoju chorego, zapytała pierwszego spotkanego sanitariusza:

— Czy jest doktor Kolski?

— Jest na górze, w sali operacyjnej, proszę pani.

— Gdy tylko skończy się operacja, proszę go natychmiast poprosić na dół. Będę czekała w jego gabinecie.

Kolski wysłuchał projektu Niny z największym zdumieniem. Też nie wierzył, by Wilczur zechciał operować Dobranieckiego. Nie wierzył, by chciał w ogóle przyjechać do Warszawy.



— A jednak niech pan doń napisze — nalegała. — Niech pan doń zadeszkuje. Ja nie mogę. Sam pan rozumie. Nie chodzi mi o moją ambicję, ale wiem, że moją depeszę bez czytania wyrzuci. Lubił przecież pana.

Kolski potrząsnął głową.

— Moja prośba też nic nie wskóra.

— Więc niech pan napisze do doktor Kańskiej. On się w niej kocha. Jej prośbom może ulegnie. A mówił pan, że ona ma takie dobre serce. Przecież tu chodzi o litość. O litość dla konającego. Nie może mi pan tego odmówić!

Po długim wahaniu Kolski zgodził się, chociaż wiedział, że tym usposobi do siebie Łucję nieżyczliwie. Wspólnie z panią Dobraniecką zreagowali długą depeszę.

A teraz właśnie czekali na odpowiedź. Pani Nina raz po raz wychodziła z pokoju męża, by dowiedzieć się, czy Kolski nie otrzymał wiadomości. Depesza nadeszła koło południa. Kolski otworzył ją i przeczytał głośno:

„Profesor Wilczur cierpi na niedowład lewej ręki. Dlatego nie może podjąć się operacji. — Łucja”.

Nina bezsilnie opadła na fotel.

— Boże, Boże!...

Nagle zerwała się.

— To nieprawda. To nie może być prawda! To jest tylko wykręt. Nie wierzę w to!

Chwyliła depeszę i potrząsając nią gorączkowo mówiła:

— Przecież to jasne, że wykręt. On nie ma serca. Boże drogi! Co robić? Niechże pan radzi. Jak go skłonić?!... Na pewno jest zupełnie zdrow i cieszy się tam, że jego wróg umiera. Ten niedowład ręki jest zdawkowym wymysłem.

Kolski potrząsnął głową.

— Nie sądzę. Panna Łucja nie uciekałaby się do takich wybiegów. A i profesor też nie miałby do tego powodów. Mogliby przecież napisać, że brak mu czasu.

— Więc co to jest? Niechże pan mówi, co to jest!

Wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że prawda.

Pani Nina zaczęła płakać. Kolski przyglądał się jej zwichrzonym włosom, zaczerwienionej twarzy i spuchniętym od łez powiekom. Była odstręczająca. Odstręczająca i niekonsekwentna. Przez długie lata zdradzała i okłamywała swego męża, a teraz rozpacza, tak jakby była najwierniejszą dlań żoną. Jakby go najbardziej kochała. Może dlatego właśnie w Kolskim zrodziło się współczucie. Osobiście wprawdzie był przekonany, że życie Dobranieckiego jest nie do uratowania. Podzielał zdanie Collemana, że może tu być mowa o jednej szansie na sto tysięcy. A jednak... Jednak widział już niejednego pacjenta, który był w podobnej sytuacji. Czarodziejski lancet profesora Wilczura umiał pośród stu tysięcy szans odnaleźć jedną szczęśliwą.

Jeszcze raz przeczytał depeszę.

„Niedowład ręki — myślał. — Niedowład, a zatem nie całkowite porażenie... A resztą czy konieczne jest użycie przy tej operacji obu rąk?... Trepanację i tak przeprowadzi asystent. To drobiazg. Chodzi o usunięcie nowotworu. Tu przecież może wystarczyć jedna ręka. Mogą wystarczyć nawet wskazówki”.

Kolski wiedział z doświadczenia, że Wilczur ma jakiś zdumiewający instynkt momentalnego orientowania się w polu operacyjnym. Instynkt niezawodny. Narośl rozgałęziona i najbardziej skomplikowana była dlań jakby czymś od dawna znanym...

— Proszę pani — odezwał się, a Nina natychmiast przestała płakać, jakby oczekując nadziei — proszę pani, sądzę, że jeżeli nawet profesor Wilczur cierpi na ów niedowład ręki, mógłby jednak przeprowadzić operację.

— Mógłby?... O Boże! Na pewno mógłby?

— Na pewno. Oczywiście z niejakim utrudnieniem. Ale nie jest to niemożliwością.

— A czy on da się o tym przekonać?

Kolski nieznacznie wzruszył ramionami.

— Sam jako chirurg wie dobrze, że przy pomocy asystentów, zwłaszcza asystentów, którzy znają go od dawna i niejedną już z nim przeprowadzili operację, dokonać może tego zabiegu.

— Ale jak go do tego zmusić?

— O zmuszaniu w ogóle nie może być mowy. Pozostaje tylko prosić.  
— Więc czym prędzej wyślijmy drugą depeszę.  
Kolski potrząsnął głową.  
— Wątpię, by to poskutkowało.  
— Więc co robić? Co robić?... — zaciskała kurczowo palce.  
Kolski powiedział po dłuższym namyśle:  
— O ile znam profesora Wilczura i o ile mogę sądzić, przypuszczam, że najlepiej by pani zrobiła... jadąc tam do niego. Jeżeli potrafi go pani wzruszyć, jeżeli potrafi wyjednać przebaczenie... może się zgodzi. Oczywiście żadnej pewności tu być nie może...  
Pani Nina zerwała się z miejsca.  
— Ale czy jest dość na to czasu? Czy zdążę pojechać aż tam na kresy i wrócić z nim? Czy nie będzie już za późno?  
Rozłożył ręce.  
— Za to nikt ręczyć nie może.  
— Tak, tak. — zakrzętała się gorączkowo. — Nie wolno tracić ani minuty czasu. Nie zabiorę ze sobą żadnych rzeczy. Pojadę, jak stoję. Już wszystko mi jedno. Niech pan sprawdzi tylko, kiedy mam najbliższy pociąg.  
— Myślę, że lepiej pani zrobi korzystając z samolotu. Do Wilna pani doleci, a w Wilnie nie można już telegraficznie z Warszawy zamówić samochód i wprost z lotniska pojechać do Radoliszek. To znacznie będzie szybciej niż koleją. Droga w obie strony zajmie pani niespełna półtorej doby. Ściśle trzydzieści osiem godzin, wliczając w to dwie godziny pobytu na miejscu.  
— Jaki pan dobry — zdziwiła się. — Już to pan wszystko sprawdził i obliczył!  
Kolski nic nie odpowiedział. Obliczał już to sobie wiele razy. Tyle razy, ile oczekiwał, że Łucja pozwoli mu na krótkie odwiedziny.  
Pani Nina nie była już zdziwiona, że znał godzinę odlotu i przylotu do Wilna, że wiedział, w jaki sposób można zamówić w Wilnie samochód.  
— Jak to dobrze, że pan wszystko wie! Sama nie dałabym sobie z tym wszystkim rady. Jestem półprzytomna.  
Nagle chwyciła go za rękę.  
— Panie Janku! Panie Janie, niech pan jedzie ze mną!  
Kolski z lekka przybladł.  
— To jest niemożliwe — odpowiedział. — Nie mogę teraz wyjechać.  
— Dlaczego?  
— Mamy pełną lecznicę. Koledzy są zaorani. Nie mogę.  
— Ach, cóż mnie obchodzi lecznica! — oburzyła się pani Nina. — Zaraz rozmówię się z Rancewiczem i będzie pan wolny.  
Kolski skrzywił się.  
— Nie chodzi tu o doktora Rancewicza i o zwolnienie, lecz po prostu nie wypada mi zmuszać kolegów do większej pracy z tej racji, że ja mam ochotę przejechać się na kresy.  
Spojrzała nań z wyrzutem.  
— Nazywa pan przejażdżką wyprawę po ratunek dla swego konającego szefa?  
Kolski opuścił głowę i milczał. W istocie z zupełnie innych względów nie chciał towarzyszyć pani Ninie. Wiedział, jak bardzo Łucja jej nie cierpiała. Przypuszczał, że mogła go podejrzewać, na podstawie jego własnych zresztą listów, o bliższy stosunek z Dobraniecką. Gdyby zjawił się tam wraz z nią, podkreśliłby tym samym, że osądzenia były słuszne. Więcej, bo wobec Łucji i wobec Wilczura wystąpiłby niejako w roli sojusznika Dobranieckich. Nie chciał tego. Już i to, że podpisał się pod depeszą do Łucji, było z jego strony dostateczną ofiarą. Przekonał się o tym z depeszy Łucji. Z depeszy suchej, rzeczowej, bezosobistej. Dla niego nie dodała ani jednego słowa. Nawet pozdrowienia.  
— Może pani towarzyszyć choćby sekretarz profesora — powiedział.  
Potrząsnęła głową.  
— Nie, nie. Musi pan jechać. Nie chodzi mi wyłącznie o towarzystwo.  
— Więc o cóż jeszcze?  
— Jest pan w dobrych stosunkach z nimi. Pańskie namowy będą skuteczniejsze od moich.

— Wcale nie jestem o tym przekonany.

— Ale nie można zaniedbać niczego, co mogłoby się przyczynić do skłonienia Wilczura, by zdecydował się na operację. Musi pan jechać. Nie ma pan wobec mnie żadnych długów wdzięczności i nie z tego tytułu pana proszę. Ale tu chodzi nie o mnie, lecz o mego męża.

Uważał, że dłużej nie może oponować.

— W takim razie — powiedział — musimy za pół godziny być na lotnisku. Stamtąd ządępeszujemy.

— Dziękuję panu — wyciągnęła doń ręce, a w jej oczach znowu pojawiły się łzy.

W niespełną godzinę po tej rozmowie siedzieli już w samolocie, który lekko oderwał się od ziemi. Dzień był typowo jesienny. Nad lotniskiem nisko zwisały czarne chmury. Siąpił drobny, lecz gęsty deszcz. Samolot zatoczył wielkie koło i wzbijając się coraz wyżej, wsiąknął w grubą warstwę chmur. Wewnątrz zapanował prawie półmrok. Po kilku jednak minutach zrobiło się nagle nieprawdopodobnie jasno. Ujrzeni nad sobą słońce w czystym, nieskazitelnym błękitcie, a pod sobą zastygłe morze białych, wełniastych wzgórz i kurhanów, bezkresne morze, na którym jedyną ciemną plamą był ich własny cień, cień samolotu.

Tymczasem w lecznicy przy młynie nie spodziewano się gości. Pacjentów dnia tego było mało, gdyż od rana lał deszcz tak gęsty, że nawet Jemioł nie zdecydował się na swoją zwykłą wyprawę do miasteczka. Klął pod nosem i chodził ponury, a nikt nie usiłował go zabawić, gdyż Donka musiała czuwać przy chorym, Łucja zajęta była swymi myślami, a Wilczur również nie zdradzał najmniejszej ochoty do rozmowy. Siedział w swoim pokoju i czytał.

Zaraz po kolacji, tłumacząc się zmęczeniem, położył się do łóżka. Za jego przykładem poszedł również Jemioł. Łucja zajrzała jeszcze do chorych, uporządkowała wszystko w ambulatorium i zabrała się do spisywania rachunków. Przy tym jak zwykle zamknęła drzwi frontowe. O tej porze bowiem nigdy albo bardzo rzadko zgłaszał się ktoś do lecznicy.

Wkrótce odłożyła pióro i zamyśliła się. Nie mogło ujść jej uwagi dzisiejsze przygnębienie Wilczura. Wprawdzie nikt dziś nie wyróżniał się wesołym usposobieniem, ale profesor rzadko tylko bywał tak przybity. W podobnym stanie widywała go w Warszawie. Musiał znowu przeżywać jakieś ciężkie wspomnienia. Należało wątpić, by zostały one obudzone wczorajszą depeszą. Intuicja mówiła Łucji, że raczej wchodzi tu w grę bal w Kowalewie. Dla niej pomimo przykłej rozmowy z panem Jurkowskim bal ten zawsze będzie miłym wspomnieniem.

Rozumiała jednak, że Wilczur o nim zupełnie inaczej myśli. Gdy tańczyła, odczuwała wyraźnie jego dezaprobatę. Nie nagane, nie potępienie, lecz jakby niezadowolnienie. Może postąpiła źle, że tańczyła. Może w ogóle nie powinna go była namawiać do tej wizyty?...

Nie mogła jednak sobie z tego robić zarzutu. Tak mało ma przyjemności. Tak dalece wyrzekła się wszystkich rozrywek, że ma prawo oczekiwać od niego wyrozumiałości, gdy raz, raz jeden na wiele miesięcy zechciała się zabawić.

Rozmyślania te napęliły ją zniechęceniem i jakimś niewyraźnym smutkiem. Wstała. Postanowiła odłożyć rachunki do jutra i zaczęła układać papiery w szufladzie.

W tej właśnie chwili w okno uderzył jaskrawy blask elektrycznego światła. Od strony młyna zbliżył się samochód.

— Cóż to może być? — zdziwiła się Łucja.

Przez szum deszczu wyraźnie dobiegał odgłos pracy motoru. Samochód zatrzymał się przed gankiem i po chwili zastukano do drzwi. Ponieważ w sieni było ciemno, Łucja wzięła lampę z ambulatorium i trzymając ją w ręku, otworzyła drzwi.

W pierwszej chwili nie poznała Dobranieckiej i zapytała:

— Czy przywiozła pani chorego?

— Musiałam się bardzo zmienić — odezwała się przybyła. — Jestem Dobraniecka.

Łucja odstąpiła o krok. Krew uderzyła jej do twarzy. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, ujrzała za Dobraniecką Kolskiego. Opanowała się.

— Proszę. Niech państwo wejdą.

Postawiła lampę na stole i stała obok wyprostowana z zaciśniętymi szczękami. Zjawienie się tu tej kobiety było wręcz cynizmem. Wzbudziło w Łucji z dawną mocą całą falę nienawiści.

Pani Nina zbliżyła się do niej i wyciągnęła rękę.

— Nie przywita się pani ze mną? — zapytała pokornie.

Po chwili wahania Łucja podała jej końce palców, lecz ruchem tym wyraziła tyle pogardy, ile jej miała w sobie. Niemal równie obojętnie podała rękę Kolskiemu. W obawie, by rozmowa nie obudziła profesora, przeprowadziła ich do ambulatorium i po zamknięciu drzwi zapytała:

— Czy państwo nie otrzymali depeszy?

— Otrzymaliśmy, ale... — zaczęła Dobraniecka.

— Szkoda było tracić czas na podróż. Mogę powtórzyć pani tylko to samo, co było w depeszy.

— A czy zastałam profesora Wilczura? Za dwie godziny najpóźniej musimy wyjechać, by zdążyć na samolot.

Łucja wzruszyła ramionami.

— Nie zatrzymuję. Tym bardziej, że pani nie może zobaczyć profesora Wilczura. Jest późna noc. Profesor śpi po dniu pracy i nie mogę go budzić.

Dobraniecka cała się trzęsła.

— Błagam panią. Błagam. Tu chodzi o życie mego męża.

Oczy Łucji zwięzły się.

— A czy pani i pani mąż wtedy, kiedy nie potrzebowaliście Wilczura, umieliście znaleźć dlań choć isierkę ludzkiego uczucia? Jakim prawem, z jakim czołem przychodzi pani tutaj do człowieka, któregoście skrzywdzili, któregoście wyzuli z wszystkiego i omal nie zabiliście moralnie! Tak, bo to wy! Bo to pani mąż i pani sama byliście źródłem tych wszystkich łajdactw, którymi oplątano profesora. I teraz błagacie o łaskę? O! Wiem dobrze, co o was sądzić. Ja wiem i profesor Wilczur wie. Jeżeli się czemu dziwię, to tylko temu, że tak późno dotknęła was zasłużona kara. Trzeba nie mieć poczucia wstydu, by po tym wszystkim, co zaszło, zjawiać się tu, w domu profesora! Trzeba być cynicznym zwierzęciem, nie człowiekiem, żeby prosić go o ratunek!

Pani Dobraniecka ścisnęła skronie w obu rękach i powtarzała cicho:

— Boże... Boże... Boże...

Kolski milczący i blady stał, opierając się o poręcz krzesła, wpatrzony w iskrzące się nienawiścią oczy Łucji. Nie słyszał tego, co mówiła. Chłonał w siebie jej obecność, upajał się tym, że ją widzi.

— Niegodna jest pani, by przestąpić próg tego domu. Każde pani dotknięcie jest brudem i obrazą. Na próżno pani tu przyjechała, bo brzydzę się nawet tym, że widzę panią upokorzoną. Nie zobaczy pani profesora!...

— Jakże okrutnie pani się mści! — wyszeptwała Dobraniecka.

— To los się mści na was. Los, nie ja.

— Więc dlaczego pani nie chce umożliwić mi zobaczenia profesora? Czy to nie zemsta dyktuje pani tę nieustępliwość?

Łucja zmierzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

— Nie zemsta, bo wie pani, co wczoraj powiedział profesor? Powiedział, że nie odmówiłby pomocy nawet największemu zbrodniarzowi.

— Więc czemuż nam jej odmawia?

— Bo jej dać nie może. Nie obudzę profesora i nawet mu nie wspomnę o tym, że pani była. Nie chcę mu zakłócać spokoju. Och, wy, z waszą chciwością i zazdrością, nawet nie rozumiecie tych szlachetnych wyzyn, tego bezmiaru dobroci, tego poświęcenia, których pełna jest dusza skrzywdzonego przez was człowieka. Poznają panią już w tym, że pani tu przyjechała. Bo oczywiście nie uwierzyła pani słowom mojej depeszy. Sądziła pani, że to jest tylko wymysł. Co?... Prawda? Myślała pani, że to kłamstwo. Że profesor Wilczur chciał przez to dać do zrozumienia, że nie odmówiłby pomocy, pomimo doznanych krzywd, gdyby tylko mógł? Otóż myli się pani. Wobec pani nie jestem zobowiązana do żadnych wyjaśnień, ale powiem pani. Niedawno wściekły pies pogryzł rękę profesora i od tego czasu, chociaż przeprowadzono potrzebną kurację, lewa ręka znajduje się

w nieustannym drzeniu. Czy teraz rozumie pani, że profesor naprawdę nie może podjąć się operacji?

Pani Dobraniecka chciała coś powiedzieć, lecz Łucja przerwała jej ruchem ręki.

— Nie. Niech pani nie mówi. Niech pani nic nie mówi. Boję się, że usłyszę jakieś plugawe podejrzenie. Bo z tych ust, w których rodziły się najgorsze potwarze i oszczerstwa, niczego innego się nie spodziewam. Nie macie po co tu dłużej zostawać. Niech pani jedzie. Niech pani jedzie zaraz i pozwoli nam zapomnieć o sobie i swoim mężu!...

Dobraniecka niespodziewanie rzuciła się przed nią na kolana.

— Litości... Litości... — jęczała i wybuchła łkaniem.

Lecz Łucja była niewzruszona.

— Niechże pani wstanie. To jest wstrętne!

I zwracając się do Kolskiego, powiedziała niemal rozkazująco:

— Niechże pan podniesie tę panią.

Kolski pomógł wstać pani Ninie i usadowił ją na krześle. Nie przestawała szlochać i przez kilka minut w pokoju rozlegało się jej łkanie. Wśród płaczu zaczęła mówić:

— Strasznie pani mnie sądzi... Strasznie... Może zasłużyłam na to... Ale zniosę wszystkie upokorzenia.. Wszystkie... Tylko niech pani mi nie odmawia tej łaski... Ja się muszę widzieć z profesorem...

— Po co? — krótko zapytała Łucja.

— Bo pan Kolski powiada, że niedowład ręki profesora nie jest nieprzewyciężoną przeszkodą. Że przy pomocy asystentów profesor mógłby dokonać operacji jedną ręką...

Łucja wzruszyła ramionami.

— Dowodzi to tylko tego, że pan Kolski jest złym chirurgiem.

— Przepraszam, panno Łucjo — odezwał się po raz pierwszy. — Ale naprawdę to powiedziałem, i o ile mnie pani zna, wie pani, że niczego nie mówię na wiatr. Istotnie jest to zupełnie możliwe.

Łucja przecząco potrząsnęła głową.

— Nie mogę panu przyznać racji, gdyż wczoraj z ust samego profesora usłyszałam zdanie, że nie podjąłby się tej operacji.

— I ja bym się jej nie podjął — spokojnie odpowiedział Kolski. — Ale przecież gdybym był jedynym człowiekiem, który może ją przeprowadzić, zaryzykowałbym. Jestem przekonany, że profesor Wilczur, jeżeli jego odmowa nie była skutkiem innych względów, przyzna mi słusność.

Łucja spiorunowała go wzrokiem. Była do głębi oburzona jego zjawieniem się. Zrozumiała, że wyzyskał sposobność przyjazdu Dobranieckiej, by się tu zjawić, chociaż nie miał na to pozwolenia.

— Czyż muszę i panu — podkreśliła to z naciskiem — tłumaczyć, że profesor nie kierował się żadnymi „innymi” względami?

W sieni skrzypnęły drzwi i rozległo się człapanie pantofli. Wszyscy umilkli. Kroki wyraźnie kierowały się ku ambulatorium. Nic dziwnego. Smuga światła spod drzwi wskazywała, że to stąd dobiegają odgłosy rozmowy.

Drzwi się otworzyły i na progu ukazał się profesor Wilczur w szlafroku. Rozejrzał się i widocznie oślepiiony światłem zapytał:

— Panno Łucjo, co to takiego?

Zanim otrzymał odpowiedź, wzrok jego zatrzymał się na twarzy Kolskiego. W chwilę później poznał Dobraniecką i instynktownie się cofnął.

Dobraniecka wyciągnęła doń rękę.

— Panie profesorze! Ratunku! Przyjechałam prosić pana o ratunek!

Wilczur długo nie mógł wydobyć z siebie głosu. Widok tej kobiety wstrząsnął nim do głębi. W jednej chwili w jego pamięci ożyły wspomnienia tych miesięcy, podczas których prowadziła ona przeciw niemu najzawziętszą kampanię, kiedy szczyła nań opinię publiczną, kiedy nie przebierała w najgorszych oszczerstwach.

— Błagam pana o ratunek, profesorze. Tylko pan jeden może go uratować! Litości... Litości...

Wilczur podniósł wzrok na Łucję.

— Czy pani nie wysłała depeszy?

— Owszem, wysłałam.

— Otrzymaliśmy ją... — zaczęła Dobraniecka.  
— Skoro pani otrzymała — przerwał Wilczur — więc wie pani, że nic nie mogę jej pomóc.

— Może pan, panie profesorze, może pan.

Wilczur niecierpliwie się poruszył.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że pani nerwy nie są w porządku. Ale niech się pani uspokoi i zrozumie, że mówi pani do lekarza. Do uczciwego lekarza. Jeżeli odmówiłem pomocy, to widocznie wiedziałem, że nie jestem w stanie jej udzielić. Rozumie pani? Nie gra dla mnie żadnej roli to, kto o moją pomoc zabiega. Gdyby ktoś, chcąc mnie zabić, sam się skaleczył, ratowałbym go tak samo jak każdego innego. Wiem, że pani niełatwo jest w to uwierzyć, gdyż różnimy się biegunowo w poglądach etycznych. Ale skoro pani nie wierzy moim słowom, niech pani uwierzy własnym oczom.

Wyciągnął lewą rękę, drgającą w tej chwili bardzo wyraźnie.

— Widzi pani. Jestem kaleką. Jeżeli operacja ma być tak trudna, że nie podjęli się jej najznakomitsi specjaliści, jakże tego może pani oczekiwać ode mnie w tym stanie? Nigdy nie byłem cudotwórcą. Jako chirurg mogłem wprawdzie szczerzyć się swoją znajomością przedmiotu i pewnością ręki, chociaż i tego niektórzy mi odmawiali. Byłbym szaleńcem, gdybym teraz, zdając sobie sprawę z mego defektu, uległ pani prośbom.

Trzymał jeszcze przez chwilę przed jej oczyma tę drżącą rękę, po czym powoli odwrócił się, zmierzając ku drzwiom.

Dobraniecka wpiła się palcami w ramię Kolskiego, wołając:

— Niech pan nie pozwoli mu odejść. Niech pan mówi!

— Panie profesorze — odezwał się Kolski.

Wilczur zatrzymał się z ręką na kłamce i obejrzał się.

— Co pan mi jeszcze chciał powiedzieć? Przecież pan sam jako chirurg najlepiej to rozumie.

— Tak, panie profesorze. Przyznaję panu rację, że nie mógłby się pan podjąć samodzielnego przeprowadzenia operacji nawet znacznie lżejszej. Ale... tu nie chodzi o operację osobiście dokonaną przez pana. Chodzi o pańską obecność, o ścisłą diagnozę, o instrukcje, o wskazówki przy samym zabiegu chirurgicznym.

Na ustach Wilczura pojawił się uśmiech.

— Czy pan wierzy, że taka operacja *per procura* może się udać?

Kolski nie ustępował.

— Słyszałem o wypadkach, gdy mechanik okrętowy na pełnym morzu przeprowadził amputację nogi marynarzowi, nie mając pojęcia o anatomii i korzystając li tylko z wskazówek chirurga nadawanych z któregoś portu przez radio. Operacja się udała...

Pani Nina powtarzała wciąż szeptem wśród płaczu:

— Błagam, profesorze... Błagam...

Wilczur stał przez dłuższą chwilę ze ściągniętymi brwiami.

— Podobne rzeczy mogą się czasem udać, gdy chodzi o wypadki nieskomplikowane. Lecz pytam pana powtórnie: czy wierzy pan, by tu można było zastosować podobny system?

Kolski potrząsnął głową.

— Nie, panie profesorze. Ja w ogóle nie wierzę, by ta operacja mogła się udać. Stan chorego jest, moim zdaniem, beznadziejny. Ale...

Przerwał mu głośniejszy szloch pani Dobranieckiej.

— Ale — ciągnął po chwili — moja wiara lub niewiara nie może tu wpłynąć na fakt, że istnieje możliwość uratowania pacjenta. Profesor Coleman określił ją jako szansę jedną na sto tysięcy. Jeżeli zaś pacjent oświadcza, iż jest przekonany, że w razie przeprowadzenia operacji przez pana profesora może spodziewać się znalezienia tej jednej szansy, myślę, że pan nie odmówi. Myślę, że pan nie powinien odmówić.

Wilczur, jakby zaskoczony, spojrział mu w oczy.

— I dlatego pan myśli, że nie powinienem?

Kolski odpowiedział twardo:

— Byłem pańskim uczniem, panie profesorze.

W pokoju zapanało milczenie.

Nie ulegało wątpliwości, że słowa Kolskiego wywarły wielkie wrażenie na Wilczurze. Podszedł do okna i wpatrywał się w krople deszczu ściekające po czarnej szybie. Z boku przed gankiem żarzyło się czerwone tylne światło samochodu, rzucając słaby odbłask na zabłocony numer.

Wilczur, nie odwracając się, powiedział:

— Czy będzie pani taka dobra, panno Łucjo, i zechce pani przygotować moją walizkę?

— Zaraz to zrobię — cicho powiedziała Łucja.

Nim zdążyła za sobą zamknąć drzwi, usłyszała gwałtowny wybuch płaczu. To pani Nina upadła na kolana przed Wilczurem.

— Dziękuję. Dziękuję panu — wołała, usiłując chwycić jego rękę.

— Niechże się pani uspokoi — powiedział złamanym głosem.

— Do śmierci panu tego nie zapomnę...

Uśmiechnął się ze smutkiem i machnął ręką.

— Proszę wstać i usiąść.

A zwracając się do Kolskiego, wskazał półkę na ścianie:

— Panie kolego. Tu znajdzie pan krople walerianowe.

Kolski odłożył kapelusz, który dotąd trzymał w ręku. Rozejrzał się wśród wielu flakonów i znalazłszy właściwy, odliczył do szklaneczki trzydzieści kropel, bez pośpiechu dolał wody ze stojącej na stole karafki i podał pani Ninie. Przez cały ten czas Wilczur przyglądał mu się z uwagą i jakby z namysłem. Wreszcie położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

— Rzeczywiście był pan moim uczniem. I nie wstydzę się tego.

Kolski poczerwieniał.

— Niech pan mi wierzy, panie profesorze, że nie zasłużyłem na tak pochlebną opinię o mnie.

Wilczur zdawał się nie słyszeć jego słów, zajęty swoimi myślami. Myśli zaś te musiały być nieprzeciętnej wagi, gdyż czoło profesora pokryło się głębokimi, pionowymi fałdami. Nagle spojrzał Kolskiemu prosto w oczy spojrzeniem, w którym była decyzja:

— Przekonał mnie pan. I pojedę. Ale pod jednym warunkiem.

Kolski z lekką zaniepokoił się.

— Przypuszczam, że pani Dobraniecka zgodzi się na każde warunki.

— Tak, tak — potwierdziła Nina. — Przyjmuję wszystkie warunki z góry.

Wilczur nie zwrócił na nią uwagi i mówił do Kolskiego:

— To nie jest warunek dla nikogo innego, tylko dla pana.

— Dla mnie? — zdziwił się Kolski.

— Tak. I podkreślam, że jest to warunek *sine qua non*<sup>67</sup>.

— Słucham, panie profesorze.

— Otóż na czas mego pobytu w Warszawie pan, panie kolego, zostanie tutaj. Nie mogę porzucać, pan sam to powinien zrozumieć, swoich pacjentów. Doktor Kańska nie jest chirurgiem, a tu mamy dużo wypadków, gdzie konieczna jest pomoc chirurga. Zostanie pan tutaj, dopóki nie wrócę.

Kolski stał błądy jak płótno. Niespodziewana propozycja Wilczura spadła nań jak nadmiar szczęścia, pod którym ugięła się wyobraźnia. Zostać tu. Być razem z Łucją, widywać ją codziennie. Pracować razem, jak dawniej, jak w Warszawie... Najśmielszymi pragnieniami nie sięgał tak daleko. Już chciał odpowiedzieć, że zgadza się na warunek profesora, gdy zatrzymała go świadomość: jak też Łucja to przyjmie? Czy nie dopatry się w tym podstępu, czy nie będzie uważała go za intruza?... Zwłaszcza po tym, co usłyszał z jej ust, gdy mówiła do Dobranieckiej. W jej słowach mógłby dopatrywać się wręcz intencji zaliczenia go do wrogów profesora, których przez to samo Łucja uważała za swoich wrogów. Radość przebywania obok niej w ten sposób zmienić się może w nieznośną torturę dla obojga.

— Nie wiem — zaczął niepewnym tonem — nie wiem, czy mogę sobie na to pozwolić, panie profesorze.

— Dlaczego?

<sup>67</sup>*sine qua non* (łac.) — bez którego nie (jest coś możliwe itp.); nie do uchylecia, nieodwołalny. [przypis edytorski]

— W Warszawie mam moc pracy. Lecznica pełna... Poza tym prywatni pacjenci.

— Przecież musiał pan przekazać ich jakiemuś zastępcy?

— Tak... Ale w lecznicy... Doktor Rancewicz zwolnił mnie tylko na dwie doby.

Wilczur przyjrzał mu się uważnie.

— Panie kolego. Sądzę, że w tej sytuacji nie może to być argumentem, z którym należałoby się liczyć.

— Zapewne — jękał się Kolski. — Jednak z drugiej strony...

— Nie chcę wywierać na pana nacisku. Nie przypuszczałem, że pobyt tu byłby dla pana tak przykry. Wiem od doktor Kańskiej, że nieraz w listach do niej wyrażał pan zamiar odwiedzin u nas. W każdym jednak razie nie mogę cofnąć swojego warunku. Więc niech się pan zastanowi.

— Ależ tu nie ma o czym mówić — pani Dobraniecka zerwała się z krzesła. — Oczywiście, doktor Kolski zostanie. Rozmówienie się z Rancewiczem biorę na siebie. Byłoby czymś nieprawdopodobnym, gdyby Rancewicz mógł mieć jakiekolwiek pretensje z tego tytułu. Nie rozumiem, dlaczego pan się opiera. Nie rozumiem tym bardziej, że przecież wiem, jak wielką sympatią pan darzy...

— Zgadzam się — szybko przerwał jej Kolski. — Zostanę, póki pan profesor nie wróci.

— Oto i wszystko w porządku — uśmiechnął się Wilczur. — Niewygody tu nie są znowu aż tak straszne. Zamieszka pan w moim pokoju. I proszę bardzo korzystać ze wszystkiego, co się panu przyda. Bo pewno rzeczy niewiele pan tu ze sobą zabrał.

Kolski potrząsnął głową.

— Wcale nie zabrałem.

— Więc da mi pan swój warszawski telefon i zaraz po przyjeździe zadzwonię, by panu wszystko potrzebne wysłał.

— Już ja to załatwię — wtrąciła Dobraniecka.

— Nie zaszkodzi też panu, kolego, zapoznanie się z tutejszymi warunkami i z tutejszymi ludźmi. Ot, krótkie wakacje, chociaż pogoda niewakacyjna.

Kolski po namyśle powiedział:

— Chciałbym tylko prosić pana profesora o jedno...

— Słucham.

— Chciałem prosić, by... pan profesor zechciał zakomunikować pannie Łucji, że inicjatywa mego tu pozostania wyszła od pana i że postawił pan to jako warunek swego wyjazdu do Warszawy.

Wilczur odpowiedział nieco zdziwiony:

— Ależ owszem. Mogę jej to powiedzieć.

Pani Dobraniecka niecierpliwie spoglądała na zegarek.

— Tak boję się, byśmy się nie spóźnili na lotnisko. Drogi są nieprawdopodobnie zabłocone i na wszelki wypadek wołałabym wyjechać jak najwcześniej. Naturalnie, jeżeli pan profesor może.

Wilczur skinął głową.

— Zaraz się ubiorę. Za dziesięć minut będę gotów do wyjazdu.

Przeszedł do swego pokoju, gdzie Łucja kończyła pakowanie. Pomógł jej zamknąć walizkę.

— Bardzo pani ze mnie niezadowolona, panno Łucjo? — zapytał. — Niechże się pani zastanowi, jak w podobnym wypadku postąpiłaby pani sama.

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Nie wiem, jak bym postąpiła na pańskim miejscu. Ale gdybym to ja miała ratować tego człowieka, nie poruszyłabym ani jednym palcem. Taki potwór nie zasługuje na to, by żyć. Im prędzej się świat od niego uwolni, tym lepiej.

Uśmiechnął się.

— Odważna jest pani.

— Odważna? — zdziwiła się.

— Uzurpuje sobie pani boskie prawo osądzania. Jeżeli już jednak pani to robi, to trzeba jednocześnie przywłaszczyć i inną boską cechę: miłosierdzie. No, ale nie będziemy dyskutowali, bo nie mamy teraz na to czasu. Muszę się prędko ubrać.

— Nie zabawi pan w Warszawie chyba długo? — zapytała od drzwi.



— O, nie. Ani godzinę dłużej niż będzie trzeba. Aha. Żeby się tu pani nie nudziło i żeby pani miała pomoc, zostanie tu doktor Kolski. Prosiłem go o to. Nawet żądałem tego, by został do mojego powrotu. Nawet bardzo się wzbraniał, ale musiał się zgodzić, bo postawiłem to jako warunek.

Łucja patrzyła nań szeroko otwartymi oczami.

— Wzbraniał się?... Jeżeli tak bardzo się wzbraniał, to nie rozumiem, po co pan go do tego zmuszał. Doskonale sama sobie dam radę. Zwłaszcza że doktor Pawlicki zagląda tu prawie codziennie.

— No, nie zawsze, nie zawsze — łagodnie sprostował Wilczur.

— A poza tym nie rozumiem...

Przerwał jej:

— Uzgodnimy to innym razem. Tymczasem muszę się szybko ubierać.

Gdy wyszła, ubrał się prędko i po pięciu minutach zjawił się już w palcie i z walizką w rękę w sieni. W paru zdaniach wydał Łucji instrukcje co do różnych spraw lecznicy, po czym serdecznie pocałował ją w rękę i wyszedł na ganek, gdzie już czekała pani Dobraniecka. Pod gęstym deszczem przeszli do samochodu. Był to duży, ciężki wóz, nieco przestarzałego typu, lecz mimo to wygodny i osadzony na dobrych resorach. Pomimo błota na trakcie szedł równym tempem. Doświadczony kierowca trafnie wymijał większe kałuże i ryzykowniejsze wyboje.

Pani Dobraniecka usiłowała nawiązać z Wilczurem rozmowę, lecz ten zbywał ją monosylabami. Gdy nie ustępowała w poszukiwaniu wciąż nowych tematów, powiedział jej wreszcie:

— Jestem zmęczony, proszę pani. Spróbuję się zdrzemnąć.

Zrozumiała i umilkła.

Na razie wprawdzie o drzemce nie mogło być mowy, gdy jednak po godzinie wóz skręcił z traktu na szosę, profesor Wilczur, oparłszy się o poduszki siedzenia, zamknął oczy i zasnął. Na lotnisko przybyli o przeszło godzinę za wcześnie. Wolny czas poświęcił Wilczur na napisanie listu do Łucji z przypomnieniem paru spraw, o których wyjeżdżając nie pamiętał.

W dwie godziny później byli już na warszawskim lotnisku i wprost z Okęcia pojechali do lecznicy. Gdy samochód zatrzymał się przed podjazdem, Wilczur nie od razu mógł wysiąść. Nagle opuściły go siły. Widok gmachu, w którym tyle lat spędził, widok instytucji, którą sam stworzył, ścisnął mu serce. Z opuszczoną głową wszedł do środka i odruchowo z hallu skierował się ku swemu dawnemu gabinetowi. Pani Dobraniecka, która go wyprzedziła, zdążyła już komuś powiedzieć o jego przyjeździe. W przeciągu minuty na wszystkich piętrach wiedziano już o tym. Wiedzieli wszyscy, lecz nikt nie chciał wierzyć. Na spotkanie Wilczura wybiegł Rancewicz, doktor Michałowski, Kotkowski i inni lekarze. Otoczyli go kołem, ściskali ręce i wciąż nie wierzyli własnym oczom.

Było coś tragicznie nieprawdopodobnego w tym, że ten człowiek zdecydował się na krok tak wielkoduszny, na ponadludzkie zaparcie się siebie.

Gdy przedwczoraj dowiedziano się, że pani Dobraniecka wraz z Kolskim wyjechali do Radoliszek, by błagać Wilczura o przyjazd, wszyscy wzruszali ramionami. Nikt ani przez moment nie przypuszczał, by Wilczur dał się uprosić. Jeden Rancewicz, który go znał najdawniej i najlepiej, powiedział:

— Ludzie się zmieniają. Może i on się zmienił. Ale jeżeli się nie zmienił, nie trzeba tracić nadziei.

I dodał po chwili:

— Inna rzecz, czy jego przyjazd na co się przyda. Dobraniecki może nie dożyć do rana, a i operacja... Porównałbym tę operację z loterią, w której nie ma ani jednej wygranej.

Rzeczywiście, od dwudziestu czterech godzin stan Dobranieckiego wydatnie się pogorszył. Chory tracił raz po raz przytomność, a gdy ją odzyskiwał na krótko, charczał z bólu, gdyż już głosu z siebie wydobyć nie mógł. Nastąpiła też radykalna zmiana w objawach. Mianowicie w zaburzeniach słuchowych i wzrokowych. Narzekał teraz, że jest ciemno, i chociaż powiększono oświetlenie, nie rozróżniał twarzy osób najbliższej stojących. Chwilami głuchł zupełnie i domagał się, by głośniejsze doń mówiono.

Jeszcze przed pójściem do chorego profesor Wilczur odbył długą konferencję z Rancewiczem i z tymi lekarzami, którzy pielęgowali Dobranieckiego. Przedstawiono Wil-

czurowi obszerny i starannie sporządzony opis choroby oraz wykaz dokonanych badań i analiz. Musiał w duchu przyznać, że niczego nie zaniedbano. Zanotowano wszystkie objawy, nie pomijając nawet takich, które pozornie nie mogły mieć żadnego znaczenia, ani takich, których obserwujący lekarz nie umiał sobie wytłumaczyć. Posługując się tak obfitym materiałem, Wilczur mógł sobie wyrobić pogląd na stan chorego i na rodzaj choroby. Załączone diagnozy i opinie konsyliów zdawały się zawierać słuszny pogląd, że w okolicy mózdzku (według opinii Collemana między mózdzkiem a korą mózgową) wytworzył się nowotwór powstały ze zwyrodnienia tkanki pajęczej lub też miękkiej opony mózgowej.

Rancewicz też skłaniał się ku temu pogładowi, dodając, iż sam Dobraniecki wyraził zdanie, że początku nowotworu dopatruje się gdzieś w okolicy szyszynki, a to z tej racji, że pierwsze objawy choroby dotyczyły przemiany materii. Początkowo on sam, jak i inni lekarze, którzy go badali, oskarżali o to złe funkcjonowanie wątroby.

— Tak — przyznał Wilczur. — Wydaje mi się, że Dobraniecki miał rację. Niedokładność w pracy wątroby bardzo często bywa objawem wtórnym na tle niedostatecznej sekrecji gruczołu szyszynowego. Jeżeli jednak istotnie nowotwór tam się zagnieździł, usunięcie go przedstawiać będzie nader poważne trudności. Niewątpliwie stwierdzić można, że również ulegają naciskowi *corpora quadrigemina*. Wskazują na to aż nadto wyraźnie zaburzenia słuchowe i wzrokowe. Również i mózdzek jest zaatakowany. Wynikałoby stąd, że rozgałęzienia nowotworu idą w różnych kierunkach i są powikłane.

Zamyślił się, a Rancewicz zapytał:

— Czy w takim stanie rzeczy operacja w ogóle może mieć sens?

— Nie wiem. Zobaczę — odpowiedział Wilczur. — Chcę teraz go zbadać.

Dobraniecki był przytomny, nie poznał jednak Wilczura, który od razu zauważył u chorego objaw ważny, a niezanotowany w historii choroby: rozszerzone źrenice. Dawało to podstawę hipotezie, że zmniejszyła się wydajność również i przysadki mózgowej, gdyż rozszerzenie źrenic mogło być skutkiem jedynie nadmiernej produkcji nadnercza, produkcji regulowanej właśnie przez hormony przysadki. To z kolei nasuwało myśl, że rozmiar nowotworu istotnie musi być okazały, skoro jego nacisk poprzez most działa na przysadkę. Oznaczałoby to, że *aquaeductus Sylvii* jest przyciśnięty i połączenie między trzecią a czwartą komorą przerwane.

Dalszy ciąg badań nic nowego nie wniósł do koncepcji Wilczura. Ponieważ zaś praca serca była dostatecznie intensywna i ciśnienie krwi nie spadało poniżej 100, uznał, że można przeprowadzić operację.

Wieść o tym natychmiast rozeszła się po całym gmachu. Wobec tego, że Wilczur ze względu na stan swojej lewej ręki nie mógł osobiście przeprowadzić zabiegu, operować miał doktor Rancewicz, w asyście specjalisty od chirurgii mózgu, doktora Henneberga z Poznania, który już od tygodnia bawił w Warszawie.

Operacja została wyznaczona na godzinę dziesiątą wieczór. Tymczasem Wilczur z Rancewiczem i Hennebergiem zamknęli się w gabinecie anatomicznym. Tu na modelu mózgu Wilczur zaczął objaśniać szczegółowo swój pogląd na położenie i rozgałęzienie nowotworu.

Oczywiście do czasu otwarcia czaszki wszystko to opierało się tylko na jego hipotezach, ale obaj słuchacze starali się nie uronić ani jednego słowa objaśnień, obaj bowiem wierzyli w to, że hipotezy Wilczura wynikają z jego zdumiewającej intuicji, z intuicji graniczącej z geniuszem.

— Tak się, moim zdaniem, przedstawia sprawa — zakończył swój wykład. — Przyznaję, że operacja jest niezmiernie trudna i mało zostaje nadziei na jej powodzenie, wzięwszy pod uwagę to, że kilka cięć, że ściśle mówiąc, osiem lub dziewięć cięć trzeba będzie wykonać na ślepo, bez posługiwania się wzrokiem, a ufając jedynie swemu zmysłowi dotyku.

— A to ładnie nas pan pociesza, profesorze — skrzywił się Rancewicz.

Henneberg wstał i odsunął krzesło.

— Ja głosuję za zrezygnowaniem z operacji.

— Jestem przeciwnego zdania. — Wilczur potrząsnął głową.

— Ależ to przechodzi ludzkie możliwości!

— Wobec tego — poważnie powiedział Wilczur — należy wydobyc z siebie możliwości nadludzkie. Według mnie, pacjent w razie zaniechania operacji nie przeżyje do jutrzejszego wieczora. Ryzyko zatem jest żadne. Nie byłbym za operacją, gdyby nie fakt, że szczęśliwe wycięcie nowotworu z całą pewnością uratuje mu życie. Nie tylko uratuje życie, lecz pozwoli powrócić do zdrowia. Moi panowie. Chodzi tu o mechaniczne usunięcie narośli, a to właśnie należy do zadań chirurgii. Przyznaję, że w danym wypadku zadanie jest trudne. Może najtrudniejsze z tych, jakie spotkałem w życiu. Niemniej jednak uważam za swój obowiązek powiedzieć panom, że żadnemu chirurgowi nie pochwałalbym cofnięcia się przed nim. Zwłaszcza wtedy, gdy cofnięcie się oznacza bezapelacyjną śmierć chorego.

— Ma profesor rację — przyznał Rancewicz, wstając również i spoglądając na zegarek. — Przystępuję do operacji, co tu ukrywać, przeświadczony o fiasku, lecz przystąpić należy.

Poklepał po ramieniu Henneberga.

— No, kolego. Więcej ducha. Niech pan nie zapomina, iż jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że będziemy mieli przy operacji rezerwę w osobie profesora Wilczura. Jeżeli w trakcie zabiegu okaże się, że coś jest inaczej, niż tu przewidywaliśmy, otrzymamy natychmiastową radę.

Punktualnie o godzinie dziesiątej przywieziono Dobranieckiego do sali operacyjnej i uspio. Wstępnych zabiegów, czyli otwarcia czaszki, miał dokonać docent Biernacki, przy asyście doktora Żuka. Gdy trepanacja dobiegła końca, do sali wszedł profesor Wilczur wraz z Hennebergiem i Rancewiczem. Wokół zebrali się niemal wszyscy lekarze obecni w lecznicy. Profesor Wilczur zbliżył się do stołu i pochylił się nad otwartą czaszką.

Wszystko zdawało się potwierdzać trafność diagnozy. Na miejscu kości potylicznych, trzema wypukłościami wystawał odkryty mózg: dwa białe płaty kory mózgowej gęsto pokryte różowymi i sinawymi siatkami naczyń krwionośnych, a spod nich wystający szary, gąbczasty mózdzek o prążkach wyraźnie wyginających się w środku ku rdzeniowi pancerzowemu. Wzdęcie opony świadczyło o tym, że jakieś nieprzewidziane przez naturę ciało wewnątrz układu mózgowego wypycha płyn mózgowo-rdzeniowy. Profesor wyprostował się, poprawił maskę i skinał głową w stronę Rancewicza i Henneberga, po czym odstąpił i stanął koło doktora Żuka, trzymającego rękę na pulsie operowanego. Mógł stąd z największą dokładnością widzieć pole operacyjne i śledzić ruchy rąk Rancewicza i Henneberga.

Rozległ się pierwszy brzęk niklowych narzędzi na szklanym blacie. Operacja była rozpoczęta.

Wśród śmiertelnej ciszy długie, wąskie palce Rancewicza precyzyjnie poruszały się, połyskując w jaskrawym świetle niklem narzędzi. Na tych palcach skupione były oczy wszystkich obecnych. Mijały minuty.

Wreszcie w rozchyleniu trzech płatów ukazał się fioletowy, a miejscami żółty koniec narośli.

Teraz pokryte gumowymi rękawicami dłonie Henneberga przytrzymywały rozchylenie, zwiększając je stopniowo w miarę jak posuwał się lancet Rancewicza. Dotychczas przewidywania profesora Wilczura sprawdzały się z całą dokładnością. Istotnie nowotwór uciskał powierzchnię mózdzku, lecz uciskał swoim odgałęzieniem, które grubiało w miarę posuwania się w głąb. Mogło uchodzić za rzecz pewną, iż głównym siedliskiem nowotworu jest przestrzeń między spoidłem wielkim, mózdzkiem, szyszynką i czterema szarymi poduszczkami *corpora quadrigemina*. Nie można było jeszcze wiedzieć, czy boczne rozgałęzienia nie sięgają pod prawą i lewą półkulę.

Od czasu do czasu oczy operującego podnosiły się i spotykały wzrok Wilczura. Wówczas rozlegał się przytłumiony głos profesora:

— Dobrze.

I operacja szła dalej. Nie można tu było sobie pozwolić na żaden pośpiech, a każdy ruch wymagał niezmiernie wyteżonej uwagi. W trzydziestej drugiej minucie nieruchome ciało operowanego gwałtownie poruszyło się. Jakiś nieostrożny ruch Rancewicza spowodował nieświadomą reakcję mięśni. Przez jedną chwilę w oczach wszystkich obecnych zamigotał niepokój, a Rancewicz, zdenerwowany, przerwał operację. Nie było żadnego uszkodzenia mózgu i drobny ten wypadek właściwie nie miał znaczenia. Wpłynął jednak fatalnie na poczucie pewności siebie u operującego.

Dla wszystkich stało się to widoczne. Ruchy lancetu oddzielającego nowotwór od otoczenia były coraz mniej pewne, coraz wolniejsze. Na brwiach i powiekach Rancewicza wystąpiły małe kropelki potu. Coraz częściej wahał się, coraz częściej przerywał.

A zbliżała się właśnie najtrudniejsza faza operacji. Widoczność pola stawała się coraz gorsza. Wszyscy zrozumieli, że musi się to zakończyć katastrofą.

Doktor Henneberg rzucił Wilczurowi przerażone spojrzenie. Na szarej, prążkowanej powierzchni mózgu bezwładnie leżał wyrostek nowotworu, przypominający język jakiegoś płaza. Płaza ukrytego gdzieś w głębi. Niemal na oślep trzeba się było dobrać do jego gardzieli.

Niespodziewanie Rancewicz wyprostował się i rozkładając ręce, powiedział głośno:

— Nie mogę. Nie potrafię...

— Ależ wszystko idzie doskonale — uspokajająco odezwał się Wilczur. — Niech pan teraz oddzieli z góry od prawej półkuli i już będzie pan miał dostęp do spoidła.

Ton jego głosu przywrócił widocznie równowagę nerwom Rancewicza, który znowu wziął lancet do ręki. Po dwóch minutach jednak nowe poruszenie się operowanego wskutek niebaczego dotyku Rancewicza wytrąciło go ponownie z pewności siebie. Odstąpił i bez słowa potrząsnął głową. Stało się jasne, że nie może operacji przeprowadzić do końca.

— To jest beznadziejne — odezwał się któryś z lekarzy.

— Tak — kiwnął głową Henneberg. — Trzeba zamknąć czaszkę.

— Niech pan trzyma — rozległ się ostry, rozkazujący głos Wilczura.

Zanim obecni zdążyli zorientować się w jego zamiarach, Wilczur zajął miejsce Rancewicza, wziął lancet i pochylił się nad otwartą czaszką. Wszystkich ogarnęło zdumienie. Tak niedawno widzieli przecież drgającą bez przerwy dłoń profesora. Teraz ruchem pewnym ujęła koniec nowotworu, podczas gdy druga trzymając lancet w wielkich i pozornie niezgrabnych palcach wykonywała szybkie, sprawne ruchy.

Widocznie pod wpływem silnego napięcia woli drgania ręki ustały.

Niemal wszyscy spośród asystujących przy operacji znali Wilczura od dawna i widzieli go nieraz przy pracy. Poznawali go teraz, poznawali takim, jakim był dawniej. Ogromne ręce zdawały się zakrywać całe pole operacyjne, zdawały się grzebać w tej białej i szarej masie, miętosić ją i gnieść. Wprost nie do uwierzenia było, że dotykają mózgu tak lekko i ostrożnie, że niemal wcale niewyczuwalnie.

Mijała minuta za minutą, każda długa jak wiek. Oczy patrzących przenosiły się z rąk Wilczura na jego półprzymknięte oczy i na brwi ściągnięte wyrazem skupienia.

Gdzieś na dole rozległo się jedenaście uderzeń zegara. Mała metalowa łyżeczka zanurzyła się głęboko i ledwo dostrzegalnymi ruchami badała teren. Trwało to bardzo długo. Wreszcie z brzękiem upadła na szklaną płytę, a zastąpił ją równie mały, wąski nóż o krótkim ostrzu.

Obecni wstrzymali oddech. Niespodziewanie pośród białych zwojów ukazało się kilka kropel przezroczystego lekko mętnawego płynu. Ujrawszy to Henneberg był przekonany, że Wilczur przerwie operację. Było jasne, że gdzieś została przecięta opona pajęczna.

Profesor jednak nie przerywał.

„Czyżby nie widział? Czyżby nie zauważył?” — pomyśleli jednocześnie Henneberg i stojący tuż za nim Rancewicz.

Nieznośny żar jupiterów stawał się nie do wytrzymania.

Nagle Wilczur zanurzył dwa palce między rozchylone półkule i powoli wydobyl z wnętrza coś, co przypominało rozgwiazdę morską o kolorze sinawofioletowym z żółtawymi brzegami.

Docent Biernacki natychmiast podał mu lupę i Wilczur uważnie milimetr po milimetrze obejrzał wycięty nowotwór. W niektórych miejscach było na nim kilka skaz i zadrapań, lecz mogło uchodzić za pewne, że został wyjęty w całości, że wewnątrz nie pozostało nic.

— Można zamykać — ochrypniętym głosem powiedział Wilczur.

Pielęgniarka zbliżyła się doń, trzymając słój z formaliną. Profesor wyciągnął rękę, by wrzucić do niego nowotwór, lecz nie trafił i kawałek sinawego mięsa spadł na podłogę. Ręka dygotała znowu.

Biernacki i Żuk przystąpili do swojej pracy. Wilczur bez słowa skierował się do rozbieralni i tu ciężko opadł na krzesło. Był niesłyszalnie zmęczony i wyczerpany nerwowo. Operacja trwała godzinę i pięćdziesiąt osiem minut. Do rozbieralni weszli Henneberg, a za nim Rancewicz i inni. Nikt nie odezwał się ani słowem. W milczeniu zdejmowali kitle, rękawice i maski. Henneberg pomógł przebrać się Wilczurowi.

Dopiero po dłuższym odpoczynku Wilczur zszedł na dół, do dawnego swego gabinetu. Wkrótce zebrali się tu wszyscy. Teraz dopiero Biernacki zapytał:

— Czy pańskim zdaniem będzie żył, panie profesorze?

— Nie wiem — odpowiedział Wilczur.

— Przecież operacja się udała.

— Teoretycznie tak. Nie mogę jednak być pewien, czy nie doznał uszkodzenia mózgu od strony wewnętrznej. To jedno. A drugie, czy operacja w ogóle nie była spóźniona. Będziemy wiedzieli to dopiero po ustaniu działania narkozy.

Zwrócił się do Rancewicza:

— Oczywiście zarządził pan zastrzyki wzmacniające?

— Naturalnie, profesorze.

Wilczur wstał.

— No, to na razie nie mam tu nic do roboty — powiedział. — Jestem głodny. Do widzenia panom.

Zarówno Biernacki jak i Rancewicz zaczęli go prosić, by skorzystał z gościny u nich, lecz kategorycznie odmówił:

— Dziękuję wam bardzo, koledzy, ale mam inne plany.

Nie miał żadnych planów. Po prostu chciał być sam. Wstąpił do niedużej restauracyjki, zjadł tam kolację i poszedł do najbliższego, taniego hotelu, dokąd przedtem odesłał swoją walizkę. Przed udaniem się na spoczynek dowiedział się od portiera, że pociąg do Wilna odchodzi nazajutrz o godzinie dziesiątej rano. Najwygodniejszy, bo pośpieszny. Wilczur jednak nigdzie się nie śpieszył i dlatego postanowił jechać osobowym o dwunastą w południe.

Nie miał zamiaru dłużej pozostawać w Warszawie. Ani zamiaru, ani ochoty. Musiał wszakże odwiedzić nazajutrz Dobranieckiego i sprawdzić jego stan. Wiedział dobrze, że jeżeli Dobraniecki przeżyje dzisiejszą noc, obawa śmierci zupełnie nie będzie istniała.

Wiejskim zwyczajem wstał bardzo wcześnie, zjadł śniadanie, które podała mu zaspana pokojówka, i poszedł do lecznicy. Dyżurny lekarz przyjął go wieścią pomyślną:

— Dobraniecki żyje, panie profesorze. Doprawdy nie wiem, jakie mam panu profesorowi składać gratulacje. Od piętnastu lat praktykuję, a jeszcze przy takiej operacji nie byłem. Pan jest cudotwórcą, panie profesorze.

Wilczur machnął ręką.

— Niech pan da spokój, panie kolego. Wieloletnie doświadczenie i trochę wrodzonych zdolności. Ani jedno, ani drugie nie jest moją zasługą. Niech mi pan lepiej powie, jaki jest stan chorego.

Lekarz zdał szczegółową relację, kończąc ją tym, że Dobraniecki obecnie śpi. Podczas tej rozmowy przyjechał Rancewicz i obaj z Wilczurem udali się na pierwsze piętro.

Dobraniecki rzeczywiście spał. U wezłównia siedziała pielęgniarka. Oddychał spokojnie i miarowo. Wychudzona podczas choroby twarz świadczyła o ostatecznym wyczerpaniu organizmu. Gdy Wilczur dotknął palcami puls, chory podniósł powieki. Był przytomny. Od razu poznał Wilczur. Na zielonej jego twarzy zjawił się nikły rumieniec.

— Więc jednak pan przyjechał — odezwał się ledwo dosłyszalnym głosem. — Zdaję sobie sprawę, jak wielka to dobroć ze strony pana... Jestem tak bardzo chory, trudno mi zebrać myśli. Zdaje się, że nie ma dla mnie ratunku... Tylko panu wierzę... Niech pan sam uzna, czy można i czy warto robić operację.

Rancewicz uśmiechnął się.

— Już jest po operacji.

Powieki Dobranieckiego załopotały.

— Jak to?... Po operacji?...

— Tak. Pan profesor Wilczur operował pana wczoraj wieczorem i dzięki Bogu, operacja się udała.

Chory przymknął oczy, a Rancewicz dodał:

— Będzie pan żył.

Spod zamkniętych powiek Dobranieckiego zaczęły spływać łzy. Minęła dłuższa chwila, zanim otworzył oczy i spojrzął na Wilczurę tak, jakby czekał odeń potwierdzenia.

— Będzie pan żył — skinął Wilczur głową. — Pańska autodiagnoza była słuszna. Nowotwór rzeczywiście powstał w okolicy szyszynki, ale jego rozgałęzienia sięgały na mózdzek i pod obie półkule. Udało się nam usunąć wszystko. Według wszelkiego prawdopodobieństwa już po trzech tygodniach będzie pan zupełnie zdrow.

Po chwili milczenia Dobraniecki powiedział:

— Nie wiedziałem... Nie wiedziałem, że człowiek może być zdolny do tak wielkich przebaczeń.

Wargi Wilczury poruszyły się. W oczach zjawił się błysk, lecz zgasł natychmiast i Wilczur nic nie odpowiedział.

— Nie umiem wyrazić wdzięczności, którą czuję — odezwał się po pauzie Dobraniecki. — Nawet... nawet po panu nie spodziewałem się tego.

Wilczur chrząknął.

— No, na mnie już czas. Życzę pomyślnej rekonwalescencji i żegnam.

Skinął głową, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Na skrzyżowaniu korytarzy czekała nań pani Nina. Rzuciła się doń z bełkotem dziękczynień, chwyciła za rękę i ściskając ją mocno, płakała i śmiała się na przemian, opowiadając mu chaotycznie przebieg operacji, tak jakby z jej świadomości znikło to, że on najlepiej i najwięcej może o tym wiedzieć. Wreszcie uspokoiła się nieco i zapytała:

— Czy to prawda, panie profesorze, że Jerzy będzie żył?

— Prawda. Nic mu już nie grozi.

— Ach, panie profesorze... Gdy w nocy zawiadomiono mnie o tym, myślałam, że oszaleję ze szczęścia. I wtedy dopiero zrozumiałam, jak wielką pan ma duszę. Pan jest aniołem!

Wilczur potrząsnął głową.

— Nie. Ale jestem człowiekiem.

Umyslnie szedł bocznymi schodami, by uniknąć pożegnań i niepostrzeżenie wymknąć się z lecznicy. Wstąpił do hotelu, uregulował rachunek i poszedł pieszo na dworzec. Tu w poczekalni usiadł na ławce. Obok był kiosk z gazetami. Mimo woli oczy zatrzymały się na wielkim tytule:

„Sensacyjna operacja mózgu. Profesor Wilczur w Warszawie. Przyjechał ze swej pułstelni, by ratować życie przyjacielowi i koledze”.

Wilczur odwrócił głowę i pomyślał:

„Oto miasto. Miasto z jego krzykiem, z jego prawdą, z jego pustką...”

## ROZDZIAŁ XVI

Gdy tylko roztopił się w szumie deszczu odgłos oddalającego się motoru, a na brzozach, którymi był trakt wysadzany, zgasły ostatnie smugi reflektorów, Łucja powiedziała:

— Zaraz przygotuję dla pana pokój profesora.

— Czy mogę pani w tym pomóc? — zapytał nieśmiało Kolski.

— Nie. Dziękuję — odpowiedziała stanowczo i chłodno. — Sama sobie dam radę.

— A nie przeszkodzę pani, jeżeli będę przy tym obecny?

— Och, to mi jest zupełnie obojętne.

Podczas gdy zamykała drzwi, zauważył:

— Nie sądziłem, że państwo się tutaj tak dobrze urządzili. Toż to prawdziwa lecznica.

A co jest w tamtym pokoju?

— Tam leżą chorzy — krótko odpowiedziała Łucja.

Zmiana tematu nie przyczyniła się do przełamania lodów i Kolski powiedział:

— Pani, zdaje się, jest bardzo na mnie zagniewana. Żywi pani do mnie urazę o to, że namówiłem profesora do wyjazdu.

— Myli się pan. Nie żywię żadnej urazy.

— Więc nie może mi pani darować tego, że tu zostałem. Ale proszę mi wierzyć, że profesor ode mnie zażądał tego.

— Wiem. Mówił mi. Mówił mi również, że perspektywa pozostania tutaj tak pana przeraziła, że aż się pan bronił rękami i nogami.

— Dobrze pani wie dlaczego. Obawiałem się, że pani będzie z tego niezadowolona. Nie chciałem się narzucać. Zostać tu po to, by być uważanym za intruza...

— Któż panu powiedział, że uważam pana za intruza?

— Gdyby miało być inaczej — powiedział cicho — pozwoliłaby mi pani już dawniej przyjechać.

— To co innego — odpowiedziała po pauzie. — Ale skoro już pan tu jest... Mam okazję do wykazania staropolskiej cnoty gościnności.

Ujęła ją zażenowanie Kolskiego i już w nieco lepszym humorze zabrała się do siania dlań łóżka. Wydobywszy z szuflady piżamę Wilczura, zaśmiała się:

— Będzie pan w tym wyglądał jak w skafandrze. Dałabym panu swoją, lecz w mojej się znowu pan nie zmieści. Boże drogi, ile ja mam z panem kłopotu! No, a teraz dobranoc. Moi pacjenci wcześniej przyjeżdżają i nie zawsze zachowują się zbyt cicho. Niewiele panu czasu zostało na wypoczynek.

Podawała mu rękę, którą Kolski ucałował, i wyszła. Przez kilka jeszcze minut słyszał jej krzątanie się w sąsiednim pokoju. Później zapanowała cisza. Rozebrał się i położył do łóżka. Choć zamiast miękkiego materaca był zwykły siennik, zasnął prawie natychmiast.

Istotnie już o siódmej rano obudził go głos prowadzonej pod oknami rozmowy. Zerwał się i usiadł na łóżku. Ludzie na dworze rozmawiali niezwykle głośno, przyzwyczajeni widocznie do nawoływania się w lesie. Wyjrzał przez okno. Deszcz ustał, lecz niebo było wciąż powleczone grubym kożuchem chmur. Położył się i spróbował znów zasnąć. Obok w sieni jednak zaczęło płakać głośno jakieś niemowlę, a z daleka, prawdopodobnie z ambulatorium, w którym był w nocy, rozległ się przeraźliwy wrzask jakiejś kobiety. Widocznie Łucja robiła komuś opatrunek bolesnej rany.

Wczoraj powiedział Łucji, że jest pełen podziwu dla lecznicy. Nie powiedział prawdy. Pustawa, ponura sień, ordynarna podłoga, małe, chłopskie okienka z krzywymi szybami, wszystko to wywarło na nim przygnębiające wrażenie. Ścisnęło mu się serce na myśl, że ona dobrowolnie się skazała na to prymitywne życie, że wyrzekła się wszelkich wygód, jakie daje cywilizacja, i wszelkich przyjemności, jakie miałyby w środowisku kulturalnym. Przecież w tej głuchej okolicy nie mogło być ani teatru, ani kina, ani bibliotek, ani ludzi, którzy by dorównywali jej poziomem umysłowym i rozległością zainteresowań.

Teraz rozglądał się po izbie. Proste sprzęty sklecone z sosnowych desek, nagie ściany gdzieniegdzie przystrojone tanimi kilimami. Za oknami szary, ponury dzień i człapanie nóg po błocie. Obok dokuczliwy, monotony płacz niemowlęcia.

Wszystko to było przygnębiające, apatyczne, obezwładniające energię. I smutne. Przede wszystkim smutne.

Powoli zaczął się ubierać. Na blaszanej umywalce znalazł przybory do golenia, obok dwa drewniane kubły z wodą. Woda była zielonkawa i Kolskiemu zdawało się, że czuć ją rybami czy też wodorostami.

„Biedna Łucja — powtarzał w myśli. — Biedna Łucja...”

Gdy już był ubrany, jak umiał najlepiej zaścił łóżko i wyszedł do sieni. Tu uderzył go w nozdrza zapach stęchlizny i przemoczonej odzieży. Na ławkach pod ścianami siedziało ze dwadzieścia osób, bab i chłopów. Kilkoro brudnych dzieci bawiło się na podłodze. Wyszedł na ganek. I tu na ławkach siedzieli chłopcy. Przed gankiem, na obszernym podjeździe stało kilkanaście nędznych furmanek zaprzęzonych w małe, brzuchate koniki. Nieco niżej, w dole widniały zabudowania młynarskie. Wokół rozciągał się smutny, jednostajny widok aż do ogołoconego już na połę z liści traktu.

Ostrożnie stąpając po kamieniach rozrzuconych w błocie, okrążył budynek. Tu przynajmniej było suszej. Znalazł ubitą ścieżkę prowadzącą w kierunku stawu. Doszedłszy doń stał długo i patrzył na gładką tafłę wody, po której leniwie, z ledwie dostrzegalną szybkością przesuwały się jakieś żdźbła trawy, pożółkłe liście i małe gałązki.

„Biedna Łucja — myślał. — W tym wszystkim zamknąć swoje życie... W tej beznadziejności, w tej codziennej szarzyźnie...”

Ocieżył krokiem zawrócił do domu. Uprzytomnił sobie, że powinien pomóc jej w przyjmowaniu pacjentów. Zapukał do drzwi ambulatorium i wszedł. Na krześle siedziała

jakaś babina z odchyloną głową. Jeden rzut oka wystarczył Kolskiemu, by poznać, że cierpi na jaglicę. Łucja pochylona nad nią lapisowała jej oczy. Nie przerywając zajęcia, zerknęła w stronę Kolskiego i powiedziała:

— Już pan wstał? Obudzili pana, prawda? Niech pan idzie do mego pokoju, tam przygotowane jest dla pana śniadanie.

— Dziękuję pani. Nie jestem głodny. Chciałbym pani pomóc. Na śniadanie będę miał czas później.

— Nie, nie — zaprotestowała — najpierw niech pan się posili.

Do pokoju weszła Donka w białym kitlu i Łucja zwróciła się do niej:

— Donko, zaprowadź pana doktora do mego pokoju. To jest moja asystentka — uśmiechnęła się do Kolskiego — panna Donka.

Kolski podał jej rękę, wymieniając swoje nazwisko.

Pokój Łucji ładniej wyglądał niż sypialnia profesora. Był mniejszy, lecz znać było, że jest mieszkaniem kobiety. Na niewielkim stoliku, na szafce i na oknie stały garnczki z pękami sośniny, na ścianach rozpięte były haftowane ręczniki, widocznie arcydzieła pacjentki Łucji, wisiały tu też fotografie w skromnych czarnych ramkach. Wśród nich znalazł i swoją, i ze smutkiem stwierdził, że umieszczona była na uboczu. W samym środku była duża fotografia profesora Wilczura.

— A może pan woli gorące mleko, panie doktorze? — zapytała Donka.

— Nie, dziękuję. Wolę zimne.

— To życzę smacznego. — Kiwnęła mu głową i wyszła.

Na białym, zgrzebnym obrusie przygotowane było śniadanie. Zastawa składała się z niewielu przedmiotów: duży gliniany dzbanek z mlekiem, blaszany emaliowany kubek, bochenek chleba czarnego, nóż i maselniczka pełna masła. Rzeczywiście nie był głodny i wypił tylko dwa kubki mleka, po czym wrócił do ambulatorium. Na jego widok Łucja powiedziała:

— Koło drzwi wisi kitel profesora. Niech pan prędko nakłada, bo właśnie ten młody obywatel potrzebuje pańskiej pomocy.

I zakończyła po łacinie:

— Jestem pewna, że to zapalenie wyrostka robaczkowego. Nie wiem tylko, czy operacja jest konieczna.

Na długim, wąskim stole leżał piętnasto- czy też szesnastoletni chłopak, pojękując z cicha.

— Zaraz zobaczymy — już swoim „urzędowym” tonem mruknął Kolski.

Diagnoza Łucji była słuszna. Istotnie był to wypadek ropnego zapalenia. Termometr wskazywał 38,5. Wyraźne bóle wzdłuż pachwiny i w głąb jamy brzusznej wskazywały na to, że nie należało zwlekać. Chorego przeprowadzono do pokoju operacyjnego.

— Czy wystarczy panu pomoc Donki? — zapytała Łucja. — Donka już nieraz asystowała przy operacjach.

Kolski spojrział na dziewczynę niezdecydowanie.

— Ponieważ nie jestem jeszcze obeznany z tutejszymi warunkami, wolałbym tym razem...

— Dobrze. Przygotowania wszystkie załatwi Donka, a później ja przyjdę. Tymczasem wyrwę ząb jednemu poczciwcowi, który skręca się z bólu.

Łucja skinęła głową.

Kolski zdziwił się.

— Jak to? I dentystykę też pani musi uprawiać?

— Ach — zaśmiała się. — Wszystko. Najbliższy dentysta mieszka o trzydzieści kilometrów stąd.

W dwadzieścia minut później zjawila się znowu i Kolski przystąpił do operacji, klnąc w duchu jakąś opóźnioną a zjadliwą jesienną muchę, która go ustawicznie napastowała.

„To okropne — myślał — przeprowadzać operację w takich warunkach. Przecież tu lada chwila może usiąść mucha na otwartą ranę”.

Jakby odgadując jego myśli, Łucja powiedziała:

— Muchy są największą naszą plagą. Nie ma pan pojęcia, ile trudu kosztuje latem wypędzanie ich z tego pokoju. Zdają się przenikać przez ściany.

— Nie jest to najbezpieczniejsze z punktu widzenia antyseptyki — zauważył Kolski.



— Tak, ale na to nie ma żadnej rady.

Kolski miał już na końcu języka uwagę, że jest rada, mianowicie wyjechać stąd, w porę się jednak pohamował.

— Pomimo to nie mieliśmy, dzięki Bogu, dotychczas wypadku zakażenia i wszystkie operacje się udawały — mówiła Łucja.

Udała się i ta również. Dzięki pomocy Kolskiego wszyscy pacjenci byli załatwieni do godziny czwartej. Toteż doktor Pawlicki, który w parę minut później przyjechał, nie miał już nic do roboty i wystąpił do Kolskiego z żartobliwymi pretensjami, że mu chleb odbiera. Gawędzili czas dłuższy przy herbacie, przy czym Pawlicki wypytywał Kolskiego o stosunki w warszawskim świecie lekarskim, o nowe metody leczenia w niektórych chorobach i wreszcie o Dobranieckiego i jego stan. Ponieważ nie był poinformowany o zatargu między Dobranieckim a Wilczurem, wiadomość o wyjeździe profesora do Warszawy przyjął jako rzecz zupełnie naturalną. Wyraził nawet przypuszczenie:

— Kto wie, czy tam, w stolicy, nie namówią profesora do powrotu na stałe. Prawdę powiedziawszy nie jest to z korzyścią dla społeczeństwa, że taki znakomity uczyony ograniczył swoje pole działania do ciasnej prowincji.

Łucja potrząsnęła głową.

— Zapewne. Ale profesor już tyle zrobił dla ludzkości, że ma prawo pomyśleć o sobie. A tu właśnie czuje się najlepiej.

Po wyjeździe Pawlickiego Kolski nadmienił:

— Bynajmniej nie wydaje mi się to pewne, co twierdziła pani z takim przekonaniem.

— Że profesor się tu czuje najlepiej?

— Właśnie — skinął głową Kolski. — Porzucił Warszawę pod wpływem rozgoryczenia. I doprawdy nie zdziwiłbym się, gdyby go tam teraz zatrzymano.

Łucja uśmiechnęła się.

— Za mało go pan zna, jeżeli może pan tak mówić. Ręczę panu, że natychmiast po operacji wyjedzie z Warszawy. Nie zostanie tam ani jednego dnia dłużej, niż będzie to konieczne.

Kolski zamyślił się i odezwał po dłuższej pauzie:

— Być może ma pani słusność... Być może. Tłumaczyłoby się to zresztą wiekiem profesora. Ale pani... Teraz, gdy widzę całe to otoczenie, wszystkie warunki pracy i tę szarą, smutną codzienność, która tu panuje, nie mogę pojąć, jak pani tu może wytrzymać, panno Łucjo.

— Wcale tu nie jest tak źle — wzruszyła ramionami.

— Przypomina mi to — mówił w zamyśleniu — jakby przedświecie nirwany. Jakby wstęp na cmentarz. Tu wszystko zamiera w zatłaczającej ciszy, w leniwej, ciągnącej się, jednostajnej ciszy... Nie, niech pani nie sądzi, że chcę odstraszyć panią, że chcę pani obrzydzić to wszystko. Bynajmniej. Wydaje mi się tylko, że jest niezrozumiałym marnotrawstwem zostawienie tu swoich najmłodszych sił, najpiękniejszych lat życia.

— Zapomina pan o jednym, panie Janku, że bywają uczucia, które szarą jednostajność potrafią zmienić w najbarwniejszą bajkę. Które to, co pan nazywa smutkiem i beznadziejną ciszą, przemienić potrafią w pogodną radość.

Kolski wzruszył ramionami.

— Owszem. Rozumiem to.

— Nie rozumie pan. Zrozumieć to może tylko ten, kto sam jest do tego zdolny. Kto sam jest zdolny do odczuwania i przeżywania takich radości. Kogo mogą one nasycić i zaspokoić. Dam panu sprawdzian: czy zdolny byłby pan dla kochanej istoty wyrzec się Warszawy, kariery, pieniędzy, uciech, rozrywek i zamieszkać na głuchej prowincji, na przykład tu?

Kolski uczuł, że mu krew nabiega do serca. Powiedział:

— Byłbym zdolny.

Potrząsnęła głową.

— Nie wierzę.

Spojrzał jej prosto w oczy i wymówił z naciskiem:

— Niech pani spróbuje. Niech pani powie jedno słowo. Jedno słowo. Wystarczy jedno słowo pani.

Łucja zmieszała się. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Oczekiwała raczej długo-  
go wywodu popartego rozsądnymi argumentami, tłumaczenia w stylu właściwym jego  
umysłowi z czasów, kiedy jeszcze była w Warszawie. Wiedziała, że mówi prawdę, że istot-  
nie byłby zdolny dla niej tu zostać, że nie cofnąłby swego słowa. Oczywiście nie zamierzała  
z tego korzystać, była jednak wzruszona i tym, co powiedział, i tą zmianą, jaka w nim  
zaszła. Teraz dopiero spostrzegła zmarszczki koło jego oczu, wychudzone policzki i sporo  
siwych włosów na skroniach. Te troski, które odnajdywała w jego listach, i na jego twa-  
rzy zostawiły swe ślady. Nie tylko na twarzy, ale i w duszy. Biedak musiał mieć naprawdę  
ciężkie przeżycia...

I nagle Łucja doszła do przekonania, że musi, że powinna jakoś wynagrodzić mu te  
cierpienia, że była zbyt ostra i obojętna, że płaciła mu za jego naprawę wielką miłość,  
bo tylko wielka miłość jest zdolna do poświęceń, że płaciła mu oschłością, że świadomie  
unikala wglądu do jego przeżyć wewnętrznych. A wiedziała przecież, że umiałaby jego  
troski złagodzić, cierpieniom ulżyć. Nawet nic nie dając z siebie, poza ciepłym słowem,  
poza serdecznym spojrzeniem, poza życzliwym zainteresowaniem się.

Łagodnie położyła rękę na jego ramieniu i powiedziała:

— Panie Janku. Pan wie, że tego słowa nie powiem, że nie mogę go powiedzieć. Ale  
proszę mi wierzyć, że bardzo wysoko cenię pańskie uczucia i że, jak widzę, nie znalazłam  
dotychczas ich wartości.

Chwył jej dłoń i przywarł do niej ustami.

— Chcę również, by pan wiedział, że uważam pana za człowieka bardzo sobie bli-  
skiego, że najgłębiej obchodzą mnie pańskie sprawy, smutki i radości, i że zawsze może  
być pan pewien mojej prawdziwie głębokiej i czulej przyjaźni.

Od tej rozmowy w stosunku między Łucją i Kolskim zmieniło się wiele. Stał się  
szczerzy i bezpośredniejszy. Przebywali prawie całymi dniami ze sobą, gdyż Jemioł, który  
dawniej często przesiadywał w lecznicy na długich gawędach z Wilczurem, teraz, podczas  
jego nieobecności przychodził tu tylko na noc. Większość czasu spędzał w miasteczku,  
w karczmie lub też w młynie, gdyż ostatnio zaprzyjaźnił się z Prokopem ku zmartwieniu  
całej jego rodziny. Prokop bowiem na starość polubił zagłębienie od czasu do czasu do  
butelki. Nie pił wprawdzie tyle co Jemioł, lecz i to nie cieszyło ani jego żony, ani reszty  
kobiet. Wiadomości o tym do lecznicy przyniosła Donka, i Łucja szczerze się śmiała,  
opowiadając Kolskiemu o obawach niewiast z młyna. Sama nie uważała niebezpieczeństwa  
za groźne. Natomiast Kolski żartował:

— Nie można tego bagatelizować. Pamiętajmy o proajcu Noem, który w bardzo  
sędziwym wieku zabrał się do wina.

Minęły trzy dni od wyjazdu Wilczura i Łucja zaczęła się niepokoić.

— Obawiam się, czy nie przytrafiło mu się co złego — mówiła Donce.

Przed Kolskim przez delikatność nie zdradzała się ze swymi obawami. Powiedziała  
sobie, że jeżeli profesor przez jutrzejszy dzień nie da o sobie znaku, trzeba będzie zade-  
pszować do Warszawy.

Ale właśnie nazajutrz z rana Wasyl, który wrócił do Radolizsek, przyniósł list. List  
był adresowany ręką Wilczura, lecz datowany nie z Warszawy, a z Wilna. Łucja zdziwiona  
otworzyła kopertę. Profesor pisał:

„Droga panno Łucjo! W powrotnej drodze z Warszawy zatrzymałem się w Wilnie.  
W związku z różnymi sprawami będę tu musiał zabawić kilka dni. Może dłużej. Ponieważ  
Rancewicz nie ma nic przeciwko temu, by dr Kolski pozostał u mnie dłużej, będę mu  
wdzięczny za pomoc i zastępstwo. Sądzę, że swój pobyt w naszej lecznicy uważać będzie  
za odpoczynek. Sprawilo mi przyjemność, gdy w Warszawie stwierdziłem, że cieszy się  
on tam jak najlepszą opinią. Taką samą zresztą, jaką i ja o nim zawsze miałem. To dzielny  
chłopak. Jestem pewien, że doskonale mnie zastępuje. Zamieszkałem w Wilnie u kolegi  
Rusiewicza, który mnie leczył po wypadku z psem. Jest mi tu wygodnie i przyjemnie.  
Proszę się wobec tego nie dziwić, że nie będę zbyt śpieszył z powrotem. Załączam  
pозdrowienia dla wszystkich, a Pani ręce całuję. — Rafał Wilczur”.

Na dole kartki było *postscriptum*:

„Operowałem p. Dobranieckiego osobiście. Operacja mi się szczęśliwie udała. Pacjent  
będzie żył”.

Dla Łucji list Wilczura był prawdziwą niespodzianką. Musiała przeczytać go kilkakrotnie i wciąż nie rozumiała, co się stało. Przede wszystkim uderzyła ją wiadomość o nieprzewidywanym zamiarze Wilczura zatrzymania się w Wilnie. Mogła go do tego skłonić chyba tylko choroba. To znowuż nie zgadzało się z jeszcze bardziej dziwną informacją: profesor wyraźnie pisał, że operował Dobranieckiego osobiście. Oznaczałoby to, że jakoś zdołał usunąć drżenie swojej lewej ręki. Wszystko to wydawało się Łucji wysoce tajemnicze. Skoro zabiegał u Rancewicza o prawo zatrzymania Kolskiego, musiał już z góry w Warszawie wiedzieć, że nie powróci od razu i że na kilka dni zostanie w Wilnie.

Jeżeli tedy był zdrow, co mogło go skłonić do pobytu w mieście? Tu w grę wchodzić mogły jedynie jego sprawy rodzinne. Czyżby przyjazd córki lub zięcia?... Ale w takim razie dlaczego nie wspomina o tym?...

Łucja gubiła się w domysłach. Wreszcie zdecydowała się zapytać Jemioła, co on o tym sądzi. Przypuszczała, że profesor przed wyjazdem mógł z nim mówić o jakichś swoich tajemniczych planach.

Jemioł jednak nic nie wiedział. Przczytał list i wzruszył ramionami.

— Jeżeli tak go ciągnie do Wilna — powiedział — widocznie tam podczas swojej kuracji poznał jakąś dziewczynkę.

— Plecie pan głupstwa — skrzywiła się Łucja.

— Bo widzi pani — z niezmaconą pewnością siebie ciągnął Jemioł — gdyby to chodziło o mnie, mogłaby pani być pewna, że ugrzęznę gdzieś po drodze z racji odkrycia jakiejś wyjątkowo tentującej knajpy. Natomiast on nie hołduje Bachusowi. A trzeba pani wiedzieć, że oprócz Bachusa tylko Wenus rządzi światem. No, dodajmy jeszcze do tego Merkurego. Więc niechże pani sama osądzi, któremu z nich dwojga, Merkuremu czy Wenerze, mamy zawdzięczać płochą eskapadkę naszego przyjaciela.

Oczywiście ani przez chwilę nie brała poważnie tych nedorzecznych sugestii Jemioła i zdecydowała się pomówić z Kolskim. Tym łatwiej jej to przyszło, że przy sposobności mogła pokazać mu list profesora, list pełen tak pochlebnych słów o Kolskim.

— Właściwie mówiąc nie powinnam panu, panie Janku, dawać tego do rąk. Popadnie pan jeszcze w zarozumiałość — żartowała. — Ale jest tu niejako urlop dla pana, więc niech już pan to przeczyta.

Kolski rzeczywiście był trochę zażenowany superlatywami Wilczura o sobie. Nie mniej zdziwiła go decyzja profesora pozostania w Wilnie. Co dotyczyło operacji, powiedział:

— W tym nie widzę nic nadzwyczajnego. Takie rzeczy można robić jedną ręką przy wprawnej pomocy dwóch osób. A przecież tam nie brakowało chirurgów zgranych z profesorem od dawna. Nie chwałąc się, ja sam nieraz mu asystowałem, wiedziałem dobrze z całą dokładnością, co oznacza każdy jego ruch lub co nakazuje mi zrobić. Co zaś dotyczy Wilna, sądzę, że po prostu chciał odpocząć. Może ma tam szanse wyjednanie jakichś subsydiów dla tej lecznicy. A zresztą każdy człowiek miewa swoje osobiste sprawy, o których nie informuje nawet osób sobie najbliższych.

— Czy nie sądzi pan, panie Janku, że powinnam napisać do Wilna?

Kolski zrobił niepewny ruch ręką.

— Myślę, że raczej nie.

— Dlaczego?

— Bo gdyby profesor oczekiwał pani listu, na pewno podałby adres owego lekarza, u którego się zatrzymał. Czy pani zna ten adres?

— Nie — zaprzeczyła Łucja. — Ale przecież o to łatwo się dowiedzieć. Doktor Pawlicki prawdopodobnie ma spis lekarzy. Zresztą wiem, w którym szpitalu pracuje doktor Rusiewicz.

— Ja jednak myślę, że profesor nie oczekuje od pani listu. W przeciwnym razie nie zapomniałby o adresie. Profesor nigdy o niczym nie zapomina.

— To prawda — przyznała Łucja i sprawa została w ten sposób załatwiona.

Pobyt Kolskiego istotnie mógł uchodzić dlań za urlop. Przede wszystkim poprawiła się pogoda. Ustały deszcze, a pierwsze tego roku lekkie przymrozki ścięły błotniste drogi i ścieżki. Mogli i teraz odbywać w okolicy długie przechadzki. Łucja zaprowadziła go do lasu, na cmentarz, gdzie pochowana była Beata Wilczurowa, do miasteczka i do paru miejsc bardziej malowniczo położonych. Podczas przechadzek prowadzili długie rozmowy.

Przygnębienie Kolskiego zniknęło bez śladu. W jego wyglądzie zewnętrznym również na korzyść zaszły wielkie zmiany. Wróciła mu dawna energia, zdolność do interesowania się drobiazgami, wesoły śmiech z byle żartów.

— Czy naprawdę jest tu szaro i nudno, jak to się panu na początku zdawało? — pytała go Łucja nie bez ciepłej ironii.

W odpowiedzi patrzył jej w oczy i wzrokiem mówił, jak bardzo zmienił zdanie.

Któregoś dnia niby niechcący rzuciła uwagę:

— Widzi pan, panie Janku, o wszystkim można zapomnieć.

— Zapewne — przyznał. — Ale przecież są wyjątki. Mój pobyt tutaj na zawsze pozostanie mi w pamięci.

— Tak się panu tylko zdaje. Z czasem i w odpowiednich okolicznościach wywietrzeje on panu z głowy, tak jak wywietrzały te przeżycia, które pana w Warszawie gnębiły. Bo wydaje mi się, że już wywietrzały doszczętnie.

— Dzięki Bogu, zupełnie. Śladu po nich nie zostało.

Łucja zaryzykowała pytanie:

— A ona?

— Co ona?

— No, ta kobieta. Czy równie łatwo zapomniiała o panu?

Zaśmiał się z wyraźnym tonem szyderstwa.

— Nierównie łatwiej. Jestem przekonany, że już w godzinę po naszym rozstaniu nie myślała o mnie.

— To znaczy, że nie kochała.

Zmarszczył brwi.

— Ta kobieta nie rozumie w ogóle, co znaczy słowo miłość, choć częściej je ma na ustach niż jakieś inne.

— Dlaczego częściej?

— Z tej prostej przyczyny, że należy do jej... proceduru. Rozumie pani? Jeżeli się ma do obsłużenia tym słowem jednego człowieka... I jeżeli się ma, powiedzmy, dziesięciu...

— Ach, tak — szepnęła Łucja.

— Zresztą dziś dopiero widzę, że nie miałem prawa żądać od niej niczego, gdyż sam jej nic nie dawałem. Widzi pani, panno Łucjo, była to z mojej strony śmieszna pomyłka. Myślałem, że biorę lekarstwo, a nie był to nawet narkotyk. Zwykła trucizna.

Szli przez chwilę w milczeniu i Kolski dodał:

— Na szczęście nie pozostało po niej śladu.

Łucja zapytała:

— Nie rozmiem tylko, co mogło pana skłonić do tej przykrej przygody.

— Właśnie poszukiwanie narkotyku.

— Zgoda. Ale mógł pan zrobić lepszy wybór.

— Ja, panno Łucjo, doprawdy mam pod tym względem tak mało doświadczenia, że... Zresztą to już przeszłość, przeszłość, o której wolę zapomnieć.

— Jednak — odezwała się po pauzie Łucja — znając pana, nie mogę uwierzyć, by nie wiązała pana z ową kobietą jakaś nieduża bodaj doza sentymentu.

Kolski skinął głową.

— Zapewne. Sentyment ten był jednak złudzeniem. Był skutkiem autosugestii. I sugestii również. Widzi pani, tonący brzytwy się chwyta. Na szczęście pokaleczenia nie były zbyt groźne. Nauczyły mnie tylko ostrożności na przyszłość.

Łucja domyślała się od dawna, że chodzi tu o panią Dobraniecką. Przede wszystkim w listach Kolskiego z owego okresu spotykała czasami wyrażenia, które bezwzględnie nie mogły być jego wyrażeniami i były w stylu właśnie pani Dobranieckiej. Toteż teraz cieszyła się tym wstrętem, jaki żywił dla swojej bylej kochanki Kolski. Łucja zawsze uważała Dobraniecką za kobietę złą, podstępą, zdolną do najpodlejszych poczynań. W kampanii przeciwko Wilczurowi na pewno ona była inspiratorką.

W głębi duszy jednak Łucja czuła się dotknięta faktem, że Kolski mógł jednocześnie kochać się w niej i mieć romans z tamtą. Nie cierpiała na megalomanię, uważała jednak siebie za znacznie ładniejszą od Dobranieckiej, a bezsprzecznie była od niej młodsza, nie

mówiąc już o różnicy poziomu etycznego. Toteż dotknięta się czuła zestawieniem siebie z nią i choć sama by się przed sobą do tego nie przyznała, żywiła o to żal do Kolskiego.

— Słowem, stał się pan antyfeministą? — zapytała.

— O, nie. Byłaby to przesada. W każdym razie wolę nie ponawiać prób szukania narkotyku.

— I nie będzie on panu potrzebny. Cierpienia miną.

Potrząsnął głową.

— Nie, panno Łucjo. Nie miną nigdy.

— W słowach „nigdy” i „zawsze” jest dużo patosu, a rzadko tylko bywa w nich prawda.

— Cóż pocznę, że ten rzadki wypadek właśnie mnie dotknął?

— Dziwi mnie — po pauzie powiedziała Łucja — że pan, panie Janku, który tak trzeźwo umie patrzeć na życie, nie potrafi się uporać z czymś niewygodnym, nie potrafi się obronić przed czymś, co przynosi panu tylko strapienie.

— Ale panno Łucjo! Ja wcale nie chcę pozbywać się tego strapienia.

— To już jest nielogiczne.

— Być może — przyznał.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu.

— Niech pan mi coś o niej powie — niespodziewanie zagadnęła Łucja. — Co pana do niej pociągnęło? Dlaczego wybrał pan ją, a nie inną?

Kolski wzruszył ramionami.

— Nie wiem, proszę pani. Sam długo się nad tym zastanawiałem. Nie znalazłem na to odpowiedzi. Bodaj jedyną słuszną byłoby stwierdzenie, że wcale jej nie wybierałem, tylko ona mnie.

— A pan poddał się bez żadnej próby obrony?

— Tak, proszę pani. Nie miałem czego bronić. Musi pani to zrozumieć, że oddawszy wszystko i nie posiadając niczego, sam byłem zdumiony, że mogę dla kogoś stanowić atrakcję. Dla kogoś, a zwłaszcza dla niej.

— Zwłaszcza? Dlaczego zwłaszcza?

— Ach, właściwie to słowo jest tu nie na miejscu. Chciałem przez nie wyrazić, że owa kobieta cieszyła się znacznym powodzeniem, otoczona była rojem wielbicieli, słynęła z wdzięku i urody...

— Czy pan rozmyślnie używa czasu przeszłego? — spojrzała nań uważnie.

— Rozmyślnie — powiedział.

— To znaczy, że już nie posiada ani wdzięku, ani wielbicieli?...

— Tak — powiedział krótko.

Teraz już była pewna, że Kolski miał romans z Dobraniecką, i zauważyła mimo woli złośliwie:

— Niech pan nie traci nadziei. Może jeszcze odzyska swoje powaby i będzie pan mógł do niej wrócić.

Kolski zmarszczył brwi. Uczuł się głęboko dotknięty słowami Łucji. Nie miał wprawdzie najmniejszego prawa oczekiwać od niej specjalnych względów, nie zasłużył jednak również na szyderstwo.

— Dlaczego pani mnie chce skrzywdzić? — odezwał się ze smutkiem w głosie.

— Bynajmniej. Tylko sądzę, że skoro pan już zna ją, nie czekają pana z jej strony żadne rozczarowania. Nic pan nie ryzykuje.

Znajdowała jakąś dziwną i dla samej siebie niezrozumiałą przyjemność w dokuczaniu mu.

— Wcale nie żartuję — mówiła z naiwną miną. — Wybierając inną, byłby pan narażony na nowe niespodzianki. A w dodatku nowa bogdanka mogłaby przypadkiem nie być otoczona rojem wielbicieli i nie słynąć z urody.

Kolski opuścił głowę i milczał. Nie poznawał Łucji. Zaczynał żałować tego, że jej się zwierzył. Łucja odczuła jego nastrój, lecz jakiś upór nie pozwalał jej wycofać się z zajętego stanowiska. Myślała w duchu:

„Dobrze mu tak. Dobrze mu tak...”

Przez całą powrotną drogę nie zamienili ani słowa. Gdy wchodzili na ganek, Kolski powiedział:

— Może jutro wróci profesor...

— Nie potrzebuje się pan tak bardzo liczyć z jego powrotem. Serdecznie jestem panu wdzięczna za dotychczasową pomoc, ale jeżeli to dla pana jest niewygodne, nie chcę pana dłużej zatrzymywać.

Kolski zacisnął szczękę i odpowiedział:

— O, doskonale wiem, że pani mnie nie chce zatrzymać. I proszę mi wierzyć, że nie zostałbym tu ani godziny dłużej, gdyby nie zobowiązanie powzięte wobec profesora Wilczura.

— Pod niektórymi względami ma pan przesadnie wyczulone sumienie — obojętnie zauważyła Łucja.

— Tak, proszę pani. Cieszę się, że chociaż coś znalazła pani we mnie wyczulonego. Bo moją skórę uważa pani za tak grubą i tak niewrażliwą, że można ją zmienić w poduszkę do szpilek.

Łucja miała zupełnie popsuty humor. Była bardzo z siebie niezadowolona. Najnieśluszniej w świecie nagadała przykrych rzeczy Kolskiemu, może go nawet obraziła. I to wszystko w odpowiedzi na jego zaufanie, na szczere zwierzenia. Pojąć nie mogła własnych pobudek.

„Co mi się stało? — myślała. — Co mi się stało?”

Była dla niego wprost niegrzeczna. Jej ostatnie słowa na ganku oznaczały wyproszenie z domu. Wprawdzie on zaczął. On pierwszy wspomniał o powrocie profesora. Ale jednak zachowała się fatalnie. Siedzi tam teraz biedak u siebie i gryzie się. Jak mogła być dlań tak niedobra! Już to samo wydało się jej obrzydliwością, że wyzyskała swoją przewagę wobec człowieka, który ją kocha. I w dodatku bez najmniejszego sensu. Bo przecież lubiła go bardzo, przecież jest zadowolona z jego pobytu w lecznicy, przecież jego towarzystwo jest dla niej prawdziwą rozrywką i naprawdę chciałaby go zatrzymać jak najdłużej.

Długo przemyślała nad tą sprawą i postanowiła wynagrodzić Kolskiemu zaraz na jutro dzisiejsze przykrości. Trzeba mu okazać jak najwięcej sympatii. Tak. I przeprosić. Zwyczajnie przeprosić, gdyż zawiniła.

Do przeprosin jednak nie doszło. A nie doszło z następujących powodów:

Następnego dnia wczesnym rankiem przywieziono z Nieskupy parobczaka, który znalazłszy w rzeźni szrapnel z czasów wojny, zabrał się do rozkręcania zardzewiałego ładunku. Przywieziono go straszliwie poszarpanego i Kolski, nie dokończywszy śniadania, przystąpił przy pomocy Donki do cerowania biedaka. Gdy już operacja była skończona i chorego przyniesiono do łóżka, Kolski i Donka wrócili do pokoju operacyjnego, by zrobić porządek. Otóż ściana między pokojem operacyjnym i ambulatorium była ścianą zbitą z cienkich desek. W ambulatorium słychać było wyraźnie każde głośniejsze wypowiedziane obok słowo. Jeszcze wyraźniej słychać było śmiech. A właśnie Kolski i Donka śmieli się raz po raz, śmieli się wesoło i swobodnie. W głosie Donki wyraźnie można było wyczuć kokieterię. Rozmawiali o jakichś tańcach. Później Kolski chwalił Donkę za jej gorliwość w sprzątanii jego pokoju i w pewnej chwili powiedział:

— Gdy będę wyjeżdżał do Warszawy, to zapakuję panią do kufra i zabiorę.

— A pan doktor myśli, że Wasyl na to się zgodzi? — przekomarzała się Donka.

— Zrobimy to po cichu i ani się spostrzeże.

Łucja była oburzona. Chichotał tam z tą głupiutką dziewczyną. Zachowywał się jak sztubak. I co oni tam tak długo robią? Ta smarkata mizdrzy się, a jemu widocznie to sprawia przyjemność. To zupełna nieprzyzwoitość.

Nowy głośny śmiech poderwał Łucję.

— Już ja ją nauczę rozumu — powiedziała do siebie półgłosem.

Przy obiedzie z Kolskim zamieniła tylko kilka konwencjonalnych zdań, później zaś zawołała Donkę do apteczki i utkwivszy w niej surowe spojrzenie, powiedziała:

— Moja droga. Muszę ci zwrócić uwagę, że zachowujesz się bardzo niestosownie. Dziś słyszałam twoją rozmowę z panem doktorem w pokoju operacyjnym. Stanowczo lecznica nie jest miejscem do flirtów. Do flirtów i chichotów. A pan doktor nie jest dla ciebie odpowiednim partnerem. Wstydzilibyś się, mając narzeczonego, zalecać się do innych mężczyzn. Gdyby pan profesor o tym się dowiedział, bardzo by się gniewał na ciebie.

Donka, która z początku szeroko otworzyła oczy i trochę się przestraszyła surowego tonu Łucji, pomyślała teraz, że już kto jak kto, ale profesor na pewno by się na nią nie

gniewał. Przecież sam tak często z nią żartuje jak doktor Kolski. Nie poczuwała się do najmniejszej winy.

— Kiedy ja, proszę pani, nic takiego — zaczęła się bronić.

Łucja jej przerwała:

— Otóż właśnie proszę cię, żeby nic takiego więcej się nie powtórzyło. Że masz ładną buzię, z tego jeszcze nie wynika, byś ciągle miała strzelać do pana doktora oczami. Już i wcześniej to zauważyłam. Tak. A teraz posprzątaj tu te ziola. Pan Jemioł nigdy niczego nie utrzyma w porządku. Doprawdy trzeba mieć żelazne nerwy...

Powiedziawszy to, wyszła do swego pokoju, narzuciła na ramiona palto i sama poszła na spacer. Umyślnie przeszła przed oknami Kolskiego, by mógł to widzieć.

I nie myliła się. Kolski istotnie ją zobaczył, a chociaż nie osłabł w nim bynajmniej wczorajszy żal do niej, postanowił jednak ją dopędzić i bodaj przeprosić za winy, których nie popełnił. Nie mógł znieść jej chłodu.

Gdy wyszedł do sieni, zobaczył Donkę. Stała oparta o parapet okna i rzewnie płakała.

— Co pani jest? — zapytał zdumiony.

W odpowiedzi na to dziewczyna zaszlochala jeszcze głośniejszym głosem. Minęło sporo czasu, zanim wydobył z niej pierwsze słowa:

— Pani Łucja... skrzyzczała mnie... że już nie wiem jak... Jak najgorszą...

— Za co skrzyzczała?

— A za pana doktora...

— Za mnie? Jak to za mnie?

— Bo panna Łucja... powiedziała... że ja, że ja...

— Że co?

— Że ja flirtuję z panem doktorem — wyrzuciła z siebie Donka i wybuchnęła nowym płaczem.

— No, niechże się pani uspokoi. Co za niedorzeczność!

— Buuuu... — płakała Donka. — Że ja do pana doktora strzelam oczami... Buuuu... A ja przecież nic. Ja, broń Boże...

Powoli się uspokoiła i mniej więcej dokładnie powtórzyła Kolskiemu całą reprimendę, jaką usłyszała od Łucji. Był tym nie tylko zaskoczony, lecz dotknięty. Nie spodziewał się, by Łucja mogła się posunąć aż do podejrzewania go o jakieś konszachty tu, pod tym dachem. Widocznie postanowiła obrzydzić mu pobyt w lecznicy do reszty. Bo przecież nie mogła myśleć serio, że on wdaje się w jakieś flirty z tą dziewczyną. Nawet pozorów czegoś podobnego nie było. Donka wydawała mu się od początku miła i sympatyczna, toteż żartował z nią tak, jak zwykle żartował w Warszawie z pielęgniarkami, które lubił. W danym wypadku najprzykrzejsze było to, że ucierpiała niewinna Donka. Pocieszał ją, jak umiał i obiecał, że wobec panny Łucji wszystko wyjaśni. Istotnie postanowił rozmówić się z nią natychmiast.

Domyślał się, że poszła w stronę lasu, i ruszył w tamtym kierunku. Po dobrym kwadransie marszu dopędził ją na skrócie drogi. Usłyszawszy za sobą jego kroki, zatrzymała się i powiedziała:

— O, widzę, że i pan jest amatorem samotnych spacerów.

— Wcale nie samotnych. Właśnie szukałem pani. Pani poszła sama, nawet nie zapytała mnie, czy będę pani towarzyszył.

— Nie sądziłam, by mogło to panu sprawić przyjemność. To jedno. A drugie, przypuszczałam, że znajdzie pan miłą towarzyszkę przechadzki.

— O kim pani mówi? — zapytał.

— Ach, mój Boże! Czy to nie wszystko jedno? Chodzi w ogóle o kobietę, o jakąkolwiek kobietę. Stał się pan, jak widzę, prawdziwym kobiecierzem.

— I z czegoż to pani widzi?

— No, chociażby z pańskich zalotów do Donki.

— Jak pani może tak mówić? — zawołał niemal z rozpaczą w głosie.

— Ale niech pan będzie ostrożny — ciągnęła, jakby nie dosłyszawszy jego okrzyku. — Wasył to tęgi chłop. Nie tak łatwo panu będzie zapakować jego narzeczoną do kufra.

Wybuchła śmiechem.

— Ileż w tym romantyzmu. Młody lekarz z Warszawy porywa oblubienicę młynarczyka i wozi ją w wagonie bagażowym do stolicy.

Teraz spojrzal na nią z prawdziwym niepokojem.

— Pani Łucjo! Co się pani stało?

Zarumieniła się i nie patrząc mu w oczy, powiedziała zbyt głośno:

— Stało się to, że uważam za nieprzyzwoitość pańskie zaloty do tej dziewczyny. Może pan skierować swoje uwodzicielskie zamiary do kogo innego i konkury odprawiać gdzie indziej. A przynajmniej nie tutaj. Rozumiem wprawdzie, że pan się tu nudzi, ale wolałabym, by znalazł pan jakieś inne rozrywki niż bałamucenie Donki.

Był wprost oszołomiony tym, co słyszał.

— Co się pani stało, panno Łucjo? — powtórzył i przyszło mu na myśl, że są to najwyraźniejsze objawy początków hysterii. Oczywiście siedząc w tym zapadłym kącie, przestając z chłopstwem i nudząc się, musiała mieć nadwerżone nerwy.

Po dłuższej pauzie, wobec jej milczenia, zaczął mówić, zaczął tłumaczyć całą niedorzeczność jej podejrzeń.

— Jak pani nawet może przypuszczać, że kochając panią i mając szczęście przebywać z nią pod jednym dachem mógłbym bodaj w najmniejszym stopniu zainteresować się jakąś inną kobietą. Panno Łucjo!

Jego argumenty, a zwłaszcza ostatni przemówiły jej do przekonania. Nie ulegało wątpliwości, że zbyt pośpiesznie i ze zbyt luźnego materiału wyciągnęła niesłuszne wnioski. Skrzywdziła nie tylko Boga ducha winną Donkę, lecz i Kolskiego. Ogarnęło ją przykre zawstydenie. Sama nie wiedziała, czym usprawiedliwić się przed nim ze swego niedorzecznego zachowania się. W końcu doszła do przekonania, że wszelkie wykręty nie licowały z godnością ich wzajemnego stosunku, i ulegając swojej naturze, która kazała jej zawsze postępować prosto i szczerze, wyciągnęła doń obie ręce.

— Bardzo pana przepraszam, panie Janku. Rzeczywiście mogło mi się zdawać to tylko. Niech pan nie żywi do mnie żalu.

Chwył jej ręce i zaczął obsypywać je pocałunkami.

— Żalu?... Ależ ja do pani nie żywię najmniejszego żalu! Tylko było mi tak smutno, tak bardzo smutno... Że pani nie wierzy, że pani posądza mnie o to, co ja sam nazwałbym... świętokradztwem.

Miał w oczach łzy. Poczucie własnej winy wzmogło jeszcze bardziej wzruszenie Łucji i chęć zadośćuczynienia. Nie wiedziała, jaką formę nadać swojej ekspiacji. W każdym razie chciała być dlań jak najserdeczniejsza.

— Panie Janku — powiedziała. — Może nie pozwoliłabym sobie na urządzenie panu tej bezsensownej awantury, gdyby nie to, że naprawdę uważam pana za kogoś bardzo bliskiego. Powinien pan trzymać mnie ostrzej. Rozpuściłam się jak dziadowski bicz.

— No, już teraz nie mówmy o tym. Wszystko szczęśliwie się skończyło. A jeżeli pani to dogadza, to proszę, niech pani codziennie krzyczy na mnie przez dwanaście godzin, byłem tylko później mógł mieć jeden kwadrans taki jak w tej chwili.

Z żartobliwym smutkiem potrząsnęła głową.

— Widzę, że nie ma rady i że od dziś będzie mnie pan już uważał za megierę.

W najlepszej komitywie spędzili resztę wieczoru. Po kolacji długo jeszcze rozmawiali, przy czym Łucja nie żałowała wysiłków, by wynagrodzić mu poprzednie przykrości. Wysiłki te zresztą nie wymagały z jej strony żadnego poświęcenia. Naprawdę była szczęśliwa, że doszło między nimi do zupełnej zgody. Przelotna burza raczej jeszcze bardziej pogłębiła jej sympatię i przywiązanie do tego przemilego chłopca i uprzytomniła Łucji, że w każdym wypadku miłość jego zasługuje na wysoką ocenę. Jeżeli nie mogła odpowiedzieć mu na nią równie silnym uczuciem, nie znaczyło to, by jego uczucie należało lekceważyć. Przeciwnie. Sama świadomość, że istnieje na świecie człowiek zdolny dla niej do wszelkich poświęceń, człowiek, na którym zawsze można polegać, na którego pomoc można liczyć, sama ta świadomość napawała ją jakby pewnym poczuciem bezpieczeństwa. Krótko mówiąc, zauważyła w sobie nieoczekiwaną dla siebie samą zmianę: o ile dawniej miłość Kolskiego uważała za pewien ciężar, za przeszkodę w swoim życiu, o tyle teraz była mu za nią wdzięczna.

Przed samym zaśnięciem myśl wróciła do tego przykrego incydentu. Łucja przypomniała sobie, jak ostrych użyła słów w stosunku do Donki i do niego. W pokoju było ciemno, lecz czuła, że się rumieni.

— Zachowałam się jak pensjonarka — powiedziała półgłosem.



I nagle w mózgu błysnęła świadomość:

„Jak zazdrosna pensjonarka...”

Odkrycie to było tak niespodziane, że Łucja aż usiadła na łóżku, poderwana nagłym niepokojem. Oczywiście o zazdrości tu nie mogło być mowy. Cóż za absurd! A jednak kto wie, czy Kolski tak tego nie potraktuje? Wszystkie pozory mogły tu przemawiać właśnie za zazdrością. I to za zazdrością nieuzasadnioną. Po prostu zrobiła mu scenę!

Długo nie mogła zasnąć, usiłując przypomnieć sobie wszystkie szczegóły zachowania się Kolskiego i uspokajając siebie przy tym, że w jego sposobie bycia nie było nic, co by wskazywało na to, że posądza ją o zazdrość. Wreszcie znużona zasnęła z postanowieniem, że w każdym razie należy mu umilić jak najbardziej pobyt w lecznicy. Przecież jeszcze kilka dni i rozstaną się, rozstaną się może na zawsze. Chyba że Kolski zechce na przykład przyjeżdżać na wakacje do Radoliszek. To byłby wcale niezły pomysł.

## ROZDZIAŁ XVII

Profesor Wilczur nie wysłał depeszy o swoim powrocie z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciał, by robiono jakieś przygotowania na jego przyjazd, a po wtóre, musiał się liczyć z pieniędzmi. Otrzymał wprawdzie ostatnio od wydawcy swoich dzieł naukowych dość pokaźną sumkę, lecz zużył ją na nabycie wielu lekarstw potrzebnych w lecznicy. Zresztą i pobyt, trzytygodniowy pobyt w Wilnie pochłonął sporo. Zostało zaledwie tyle, by wystarczyło na bilet kolejowy i na wynajęcie furmanki w Ludwikowie.

Był i trzeci powód. Powód może najważniejszy, lecz taki, którego Wilczur nie chciał sobie uświadomić. Oto pragnął po prostu zjawić się w lecznicy niespodziewanie, zjawić się nieoczekiwany, by od pierwszego rzutu oka przekonać się, jak stoją sprawy między Łucją a Kolskim. W takim powrocie bez uprzedzenia był jakiś nieprzyjemny posmak, posmak zaskoczenia i Wilczur wołał przed samym sobą tłumaczyć się oszczędnością na depeszy. Jeżeli chodziło o meritum sprawy, bynajmniej bowiem siebie nie oszukiwał. Przecież tylko dlatego przez trzy tygodnie siedział w Wilnie, by ułatwić Łucji zbliżenie się do Kolskiego, by swoją nieobecnością umożliwić jej rewizję własnych uczuć, pragnień i zamiarów.

Rozsądek mu mówił, że postępuje słusznie. Od czasu balu w Kowalewie, od owego pamiętnego wieczoru, gdy brutalne, lecz jakże słuszne słowa pana Jurkowskiego wstrząsnęły sumieniem Wilczura i obaliły wszystkie plany, zdruzgotały wszystkie jego nadzieje, od owego dnia zapadło już w duszy profesora postanowienie. Niespodziewany przyjazd Kolskiego ułatwił realizację tego postanowienia. Początkowo Wilczur zamierzał pod jakimś pozorem wysłać Łucję do Warszawy na dłuższy okres czasu. Nie myślał specjalnie o Kolskim, lecz i jego osobę brał w rachubę. Chodziło mu o to, by Łucja, znalazłszy się w atmosferze dużego miasta, w innych warunkach i wśród innych ludzi, miała możliwość skonfrontowania swego sentymentu, który nazywała miłością, z rzeczywistym stanem własnej psychiki. Chodziło mu o to, by mogła spotkać jakiegoś młodego mężczyznę i zbliżyć się doń, bo tylko w ten sposób mogłaby stwierdzić, że uczucia, jakie żywi dla Wilczura, w żadnym wypadku nie wytrzymają próby czasu.

Na szczęście przyjazd Kolskiego dał Wilczurowi możliwość uniknięcia skomplikowanych machinacji. Sytuacja układała się jak najlepiej i Wilczur nie wątpił, że próba, na jaką wystawił Łucję, zostawiając ją na trzy tygodnie z górą sam na sam z Kolskim, będzie próbą skuteczną. Istniały bowiem dwie ewentualności: albo Łucja nie zmieni się w niczym i wtedy Wilczur będzie miał świadectwo trwałości jej uczuć, albo ta przyjaźń, którą zawsze żywiła dla Kolskiego, przybierze inny ton i inne zabarwienie, pogłębi się, wzmocni, słowem, stanie się tym, co ludzie nazywają miłością.

Za tą drugą ewentualnością według mniemania profesora Wilczura przemawiało wiele. Głównym jej atutem bezsprzecznie był młody wiek obojga, wspólnota upodobań i zainteresowań oraz miłość Kolskiego. Wilczurowi wydawało się bardzo nieprawdopodobne, by atuty te nie miały dojść do głosu w wytworzonej sytuacji, w warunkach, gdy oboje młodzi zmuszeni okolicznościami spędzają całe dnie z sobą.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że Wilczur wracał w pogodnym nastroju ducha. Przewidywał wprawdzie to, że będzie musiał się rozstać z Łucją, że będzie musiał wyrzec się wszelkich swoich nadziei, bynajmniej jednak nie cieszył się z tego powodu. Uważał, że spełnia swój obowiązek, że postępuje uczciwie, lecz wiedział również, że tym postępowa-

niem zamyka niejako ostatni rozdział swego osobistego życia. Że świadomie i ostatecznie wyrzeka się własnego szczęścia.

Na stacji w Ludwikowie znalazł wolną furmankę jednego z radoliskich Żydów. Chuda szkapina wlokła się noga za nogą, tak że gdy dojeżdżał do młyna, panował już lekki zmrok. Na rozstaju zapłacił Żydowi i wzięwszy walizkę ruszył pieszo do lecznicy. Drzwi nie były zamknięte. Nacisnął klamkę i wszedł. W sieni nie było nikogo. W całym domu panowała zupełna cisza, w której jego kroki rozległy się hałaśliwie. Nagle ze „szpitalnego” pokoju odezwał się głos Donki:

— Hej, a kto tam?

— Jak się masz, Donko? To ja.

— Jezus Maria! — odpowiedział mu radosny okrzyk. — Pan profesor wrócił!

I dobra Donka wpadła do sieni rozradowana i zemocjonowana. Po przywitaniach pomogła mu zdjąć palto i żywo zabrała się do przygotowania herbaty, papląc przez cały czas bez przerwy.

— A gdzie jest panna Łucja? — zapytał Wilczur.

— Na spacerze. Co dzień na spacerzy z panem doktorem Kolskim chodzą i wracają dopiero na kolację. Strasznie daleko chodzą. Czasami aż na Wickuny.

— No, a jakże, nie nudzi się tu doktor Kolski?

Donka zaśmiała się.

— Gdzie tam jemu do nudzenia się. Ja tak myślę, że on tu i rok by chętnie siedział.

— To bardzo miły człowiek — zauważył Wilczur pozornie obojętnym tonem. — Jakże ci się on podoba, Donko?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Co on mi się tam ma podobać czy nie podobać? Albo to on dla mnie? Ja mam swojego Wasylą i innych nie potrzebuję. A jak się komuś przywiduje, że ja do doktora strzelam oczami, to to nieprawda.

— A komuż się to przywiduje? — z zaciekawieniem zapytał Wilczur. — Wasylowi?

— Nie Wasylowi, tylko pannie Łucji.

— Skądże ty o tym wiesz, że jej się tak przywiduje?

— A bo tu jednego razu tak nakrzyczała na mnie, że nie wiem. Nawet groziła, że się panu profesorowi poskarży. Że ja niby do pana doktora jakieś flirty robię. Potrzebny mi on akurat. Niech go sobie ma. Ja nie dla niego, on nie dla mnie. Ale pierwszy raz słyszę, żeby się nie było wolno pośmiać. Pan profesor też nieraz ze mną się śmieje.

Wilczur chrząknął i powiedział w zamyśleniu:

— Pewno, że wolno.

— No, właśnie. Ja wiedziałam z góry, że pan profesor na mnie się nie będzie gniewał.

— Na nikogo się nigdy nie gniewam, drogie dziecko — westchnął Wilczur, zasiadając do przygotowanej herbaty. — No, a cóż tu poza tym nowego? U Prokopa wszyscy zdrowi?

— Co nie mają być zdrowi? Dziadzio co dzień mnie pyta, czy od pana profesora wiadomości nie ma o powrocie.

— Przychodzi tu co dzień?

— Z początku to przychodził, ale ostatnimi czasy to się czegoś na pannę Łucję boczy i tu nie zagląda.

Wilczur zdziwił się.

— Dlaczego się boczy?

— A bo on doktora Kolskiego nie lubi. Powiada, że nie wiadomo po co pan profesor pozwolił mu tu zostać. Coś nie przypadł dziadziowi do smaku. A sama nie wiem dlaczego, bo to bardzo sympatyczny człowiek. Kiedy w zeszłym tygodniu pan doktor chciał konie wynająć, to mu nie dał.

— A po cóż mu były konie?

— A do konnej jazdy. Bo pan doktor z panną Łucją to często konno jeżdżą. Konie wynajmują teraz od jednego starowiera z Nieskupy, a siodła od rymarza Wojdyłły z miasteczka. O, tu leżą — wskazała ką w sieni.

Wilczur spojrział i skinął głową.

— Rzeczywiście leżą.

— A teraz to pewno doktor będzie musiał wracać do Warszawy, bo i miejsca dla niego tu nie ma. Chyba żeby w sieni tu spał albo w operacyjnym. Tak widzę, że i z tych imienin nic im nie wyjdzie — nie bez pewnej złośliwości zakończyła Donka.

— Z jakich imienin?

— Z imienin pani Pawlickiej. Mieli tam pojutrze jechać do jej majątku. Pani Pawlicka tu sama była i zapraszała jeszcze w poniedziałek. Tam będzie duży bal. Panna Łucja nawet sobie nową sukienkę szykuje. Taką niebieską, przybraną tiulem. Ach, żeby to ja sobie mogła taką zrobić!

Profesor dopił herbatę i siedział milczący. Donka kręciła się po pokoju, a wyjrawszy oknem, zawołała:

— O, o! Już wracają. Jakoś dziś wcześniej. Niech pan profesor zobaczy. Przez płot przełazą.

Wilczur zbliżył się do okna. Istotnie przez płot odgradzający dziedziniec od pola przełaził Kolski. Zeskoczył i wyciągnął ręce, pomagając Łucji. Nie było słyhać ich rozmowy, lecz widocznie byli rozbawieni i w doskonałym humorze. Zarumieniona twarz Łucji promieniowała wesołością. Śmieli się, patrząc sobie w oczy, po czym wolno ruszyli ku domowi, trzymając się za ręce. Raz po raz przystawali i teraz było już wyraźnie słyhać ich śmiech.

Wilczur cofnął się od okna. Już nie miał najmniejszych wątpliwości, jakie rezultaty dała przygotowana przezeń próba. Najchętniej zamknąłby się teraz, by ich nie widzieć. Było to jednak niemożliwe.

Drzwi się otworzyły i weszła najpierw Łucja, a za nią Kolski. W pierwszej chwili zatrzymali się zaskoczeni widokiem Wilczura, Łucja krzyknęła:

— Profesorze! Wrócił pan!

Wilczur zmusił się do uśmiechu.

— Jak się macie, moi drodzy!

Pomimo serdeczności w powitaniach przewijała się nutka ogólnego zażenowania. Gdy zasiedli do kolacji, Wilczur z przesadną rozwlekłością opowiadał, co robił w Wilnie, opowiadał o tamtejszych stosunkach w świecie lekarskim, a gdy ten temat się wyczerpał, przystąpił do równie obszernego opisu operacji Dobranieckiego.

Natychmiast po kolacji Wilczur powiedział:

— Zrobi mi pan tę łaskę, kochany kolego, i zostanie jeszcze kilka dni. Nie będę pana ruszał z miejsca, a sobie urządzę legowisko w operacyjnym.

— O, nigdy się na to nie zgodzę, panie profesorze — niezręcznie odpowiedział Kolski. — Nie wiem, czy nie sprawię kłopotu tym, że pozostanę, jeżeli pan profesor pozwoli. Ale w żadnym razie nie mogę zajmować nadal pańskiego pokoju. Mnie w operacyjnym będzie zupełnie wygodnie.

Natychmiast po urządzeniu posłania dla Kolskiego i po przeniesieniu jego rzeczy, profesor, tłumacząc się zmęczeniem po podróży, pożegnał się i udał się na spoczynek.

Ze smugi światła, która do późnej nocy padała z okna ambulatorium, mógł się domyślić, że Łucja i Kolski nie poszli spać, lecz rozmawiali.

Rozmawiają o czym?... Czy już doszli do porozumienia? Czy Łucja przyjęła jego oświadczenia?... Jeżeli tak jest, naradzają się teraz, w jaki sposób ma się ona uwolnić od zobowiązań wobec starego, poczciwego profesora. W jaki sposób zakomunikować mu o zmianie swoich uczuć?...

Wilczurowi wydało się to nieprawdopodobne. Aczkolwiek wszystko, co tu zastał, dobitnie świadczyło o zbliżeniu się Łucji do Kolskiego, niepodobna było wyobrazić sobie, by ta dziewczyna o mocnym i zdecydowanym charakterze cofnęła się, by się wyparła swych zobowiązań. Należało raczej liczyć się z czymś wręcz odwrotnym. Należało przewidywać, że Łucja, nawet kochając Kolskiego, nie zechce przyznać się do tego, nie zechce nawet sama przyjąć tego do wiadomości. Będzie uważała za swój święty obowiązek wytrwanie w postanowieniu, dotrzymanie obietnic, niezdradzenie niczym zmiany, jaka w niej zaszła. Wilczur prawie tego był pewien.

Zamknął oczy i leżąc w ciemności analizował dzisiejsze zachowanie się Łucji. Bez wątplenia była nieco speszona jego przyjazdem, lecz przywitała go z taką serdecznością jak dawniej. Później w ciągu wieczoru nie była wprawdzie zupełnie swobodna w obejściu,

jednakże bynajmniej nie unikała jego wzroku, a wypytywała o wszystko z takim zainteresowaniem jak zawsze. I nic tu nie uderzyło Wilczura. Być może chyba to, że przez cały czas ani razu nie odezwała się do Kolskiego. Kolski również zwracał się tylko do profesora. Zdawali się wzajemnie siebie nie dostrzegać, co stanowiło tak jaskrawy kontrast z niedawnym rozbawieniem, póki jeszcze nie wiedzieli o jego powrocie, że musiało to zastanawiać.

Przypomniał sobie siodła leżące w kącie sieni. Oczywiście jeżdżą konno, zimą będą jeździli na nartach czy chodzili na ślizgawkę, latem będą robili wycieczki górskie. Są młodzi, mają zbliżone upodobania i dość sił fizycznych do ich realizacji.

Piały już koguty w zagrodzie Prokopa Mielnika, gdy Wilczur zasnął.

Wczesnym rankiem wszyscy razem jedli śniadanie jak zwykle w pokoju Łucji. Humory nie poprawiły się i tylko Jemiół gadał bez przerwy ku zadowoleniu wszystkich pozostałych, którzy dzięki temu mogli milczeć. Nawiązując do operacji Dobranieckiego perorował:

— Wyciąłeś mu nowotwór z mózgu, *darling*. Ale czyś się zastanowił nad tym, że właściwie mówiąc, cały nasz mózg, a ściślej, cała nasza kora mózgowia mieszcząca wyższe władze ustroju, czyli po prostu ducha, jest najszkodliwszym nowotworem, jakim dywagacja natury napełniła nasze czaszki? O ile się nie mylę, tam jest właśnie siedlisko myśli, czyli rzeczy najbardziej niepotrzebnej i najbardziej niebezpiecznej na świecie. Zastanów się, jak pięknie wyglądałoby życie, włodarzu, gdybyśmy nie myśleli, pokornie spełniając narzucone nam przez przyrodę funkcje odżywiania się i rozmnażania się. O ileż bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyśmy nie powtarzali za Kartezjuszem: *cogito, ergo sum*, lecz za pierwszym lepszym bydlątkiem: *coito, ergo sum*<sup>68</sup>. Logika natury została zniekształcona przez nasze myślenie, bo wszystko w naturze jest celowe. Z chwilą zaś ukazania się w niej rozumu ludzkiego przekonaaliśmy się, że nie wiemy, po co ten rozum mamy. Gdybyśmy pozostali zwierzątkami jaskiniowymi, byłoby oczywiste, że jesteśmy jedynie jedną z form przemiany materii w świecie, że mamy za zadanie w określonej liczbie lat naszego smrodliwego żywota wchłonąć pewną ilość tlenu z powietrza, wody ze strumyczka, pokarmów roślinnych i zwierzęcych, by pozostawić pewne quantum kwasu węglowego, malowniczo rozsianych po glebie ekskrementów i wreszcie własne ścierwo. Wszystko w porządku. W łańcuchu przemiany spełniamy swoją rolę. Ale co z myślą? Ale co z Iliadą, co z Hamletem? Co z dwumianem Newtona, z teorią względności i z kwantami Plancka? Po jasną cholere to wszystko? Ku czemu to zmierza? Jeżeli mi powiecie, gentlemen and ladies, że dzięki temu rośnie cywilizacja, a z nią proporcjonalnie wzrasta się przyrost naturalny gatunku homo sapiens, to zapytam was, czy leżało w planie matki-przyrody nadmierne użyźnianie gleby onymiż wspomnianymi ekskrementami i padliną? To może zakłócić cały porządek rzeczy i doprowadzić do nieprzewidzianych katastrof.

Orację Jemiół przerwało przybycie pierwszych pacjentów i trójka lekarzy zabrała się do pracy. Dopiero około trzeciej w lecznicy znowu zapanowała cisza. Korzystając z tego, że Łucja jeszcze w pokoju szpitalnym robiła opatrunki, Wilczur poprosił Kolskiego do swego pokoju i częstując go papierosem, zapytał.

— Jakże, kolego? Bardzo pan przeklina mnie za to, że go tu uwięziłem na tak długo?

— Ach, nie, panie profesorze. Był to dla mnie prawdziwy odpoczynek.

— Słyszałem, że pan jest w Warszawie bardzo zapracowany. Ma pan coraz większą praktykę. Szczerze się ucieszyłem. Teraz czeka pana po powrocie dużo roboty. Niechże pan siada.

— Dziękuję — bąknął Kolski, sadowiąc się na twardym taborecie.

— I dochody panu też rosną?

— Nie narzekam na to.

— Jednego tylko nie rozumiem — po namyśle odezwał się Wilczur — dlaczego pan trwa w celibacie? Powinien pan się ożenić. Tego nie należy przeciągać. Wiem o tym z własnego doświadczenia.

Kolski poczerwieniał.

— Niestety, jest to niemożliwe.

Wilczur podniósł brwi.

<sup>68</sup>*cogito, ergo sum* (...) *coito, ergo sum* (łac.) — myślę więc jestem; parzę się, więc jestem. [przypis edytorski]

— Aż niemożliwe?... Wybacz pan, kolego, że wtrącam się w pańskie prywatne sprawy, ale sądzę, że upoważnia mnie do tego nasza stara znajomość i mój wiek. Czy może mi pan powiedzieć, na czym ta niemożliwość polega?

Kolski odpowiedział nie od razu:

— Kocham kogoś...

— No, to chyba jest najmniejsza przeszkoda — uśmiechnął się Wilczur.

— Kobieta, którą kocham, nie jest wolna — wyjaśnił Kolski.

— Ach, tak?... Mężatka?

— Nie. Jest zaręczona z innym.

— To rzeczywiście przykre. I kocha tego innego?

— Tak przynajmniej mówi.

— Ale przecież do pana, kolego, nie czuje chyba nienawiści?

— O, nie — pośpiesznie zaprzeczył Kolski.

Wilczur przyglądał mu się przez chwilę z uśmiechem.

— Dziwna rzecz, panie kolego. Nie wygląda mi pan na ślamazarę, a postępuje pan jak zalękniona panienka. Z kobietami trzeba ostro, panie kolego. Zdecydowanie. Po męsku. Jeżeli jest panu przychylna, to śmiało atakować. Niech pan pamięta o tym, żeby nie dać się odstraszyć pozorami. Czasami coś bardzo groźnie wygląda. Jakaś skała piętrzy się przed nami i wydaje się nie do zdobycia, a trochę przedsiębiorczości i uporu wystarczy, by dostać się na jej szczyt.

Kolski nerwowo gniótł palce. W pierwszej chwili zdawało mu się, że profesor zeń kpi. Później przyszło mu na myśl, że chce go wy badać. Teraz już sam nie wiedział, co o tym myśleć.

— Tak, tak — mówił Wilczur. — O małżeństwie, panie kolego, trzeba myśleć zawczasu i kuć żelazo, póki gorące. Człowiek ani się spostrzeże, gdy się zestarzeje. Ile pan sobie lat liczy?

— Trzydzieści pięć, panie profesorze.

— No, widzi pan. To najwyższy czas. Gdy ja się żeniłem, miałem już za wiele. Już między mną i żoną była zbyt wielka różnica wieku. I oczywiście takie małżeństwo nie mogło być szczęśliwe.

Kolski znowu poczerwieniał i szeroko otworzył oczy. Czyżby profesor chciał mu dać do zrozumienia, że nie myśli o małżeństwie z Łucją?

Wilczur mówił dalej:

— Ma się rozumieć, kwestia lat sama przez się nie jest tak ważna, nie wchodzi tu bowiem w grę sprawa seksualna. Wie pan dobrze, że nie zawsze zależne to jest od wieku. Chodzi o co innego. O kwestię zamiłowań i upodobań. Te trzeba mieć mniej więcej jednakowe, aby być z kobietą szczęśliwym i by jej dać szczęście. Nie można popełnić większego błędu, niż żeniąc się z dziewczyną młodszą od siebie o więcej niż dziesięć lat.

Kolski przełknął ślinę i zapytał:

— Czy pan profesor serio jest tego zdania?

— Jak najbardziej serio, panie kolego. Niech pan tedy nie zwleka, bo jeszcze ktoś pana ubiegnie. I nie bać się rywala. O kobietę trzeba walczyć. To nie jest pieczony gołąbek, co sam panu spadnie do otwartej buzi. A gdy już ją pan będzie miał, niech pan pamięta, by więcej jej czasu poświęcać niż swojej pracy zawodowej. To szalenie ważne. O tym również przekonałem się na własnym smutnym doświadczeniu. Kiedyś, gdy pan zechce tu mnie odwiedzić, opowiem panu tę historię. Bo nie wątpię, że latem zajrzy pan tu chociaż na kilka dni.

— Z największą przyjemnością, panie profesorze — Kolski skłonił się zmieszany.

Do pokoju weszła Łucja. Zdjęła już kitel i była w ciemnej wełnianej sukience, a w rękę trzymała jakąś robótkę.

— Ho, ho, panno Łucjo — zwrócił się do niej Wilczur. — Czuję w powietrzu jakąś zabawę. Założyłbym się, że produkuje pani nową suknię.

— Skąd pan wie? — zdziwiła się Łucja.

— Jasnowidzenie! — podnosząc palec do góry tajemniczo odpowiedział Wilczur. — Czyż na darmo uważają mnie wieśniacy w okolicy za czarownika? Jasnowidzenie!

Zmarszczył brwi i zmrużył oczy.

— Zaraz, zaraz... Już widzę... Tłum tańczących par... Orkiestra... Oto pani domu... A to jej mąż... Wysoki, przystojny... Założyłbym się... Ależ tak. Na pewno jest lekarzem... Na Boga! To doktor Pawlicki!

Łucja i Kolski zamienili spojrzenia pełne podziwu. Wreszcie Łucja zawołała ze śmiechem:

— Ależ oczywiście! Profesor musiał spotkać w Radoliszkach Pawlickiego i dowiedział się od niego o tym balu.

Wilczur gwałtownie zamachał ręką.

— Niech pani nie przerywa mi wizji: to wcale nie są Radoliszki. Widzę, widzę... To jest dwór. Bal na wsi... Oto jakieś toasty... Tak... To wznoszą zdrowie pani domu... Jej imieniny... Widzę panią... A obok doktora Kolskiego... Pani jest jakby otoczona obłoczkami czegoś przezroczyściego... Tak... To tiul... Niebieski tiul... I cała suknia jest niebieska...

— Nie, to doprawdy niewiarygodne! Skąd profesor może wiedzieć, że suknia istotnie będzie niebieska! Bo przecież nie z tego paska, który robię. Pasek jest czarny. Profesorze, niechże pan już dłużej nas nie intryguje!

Wilczur spojrział na nią groźnie.

— Widzę, że pani ośmiela się nie wierzyć w moje nadprzyrodzone uzdolnienia.

— Ośmielam się — Łucja skinęła głową.

— Ha, wobec tego nie będę już dalej pani przepowiadał.

— Niech pan jeszcze tylko przepowie, czy nie widzi pan na tym balu słynnego chirurga, profesora Rafała Wilczura?

Wilczur energicznie zaprzeczył ruchem głowy.

— Stanowczo nie widzę. Jego obfite kształty rysują się przed oczyma mej duszy wygodnie rozpostarte na tym oto łóżku i pogrążone w krzepiącym śnie.

— To i my w takim razie też nie pojedziemy — zawyrokowała Łucja.

— Ani mi się ważcie! Jeżeli nie pojedziecie, będę to uważał za osobistą obrazę. Przekonam się bowiem, że swoim powrotem pokrzyżowałem wasze przyjemne plany. Kto wie, czy wobec tego nie ucieknę z powrotem do Wilna?

Po krótkich certacjach Łucja zgodziła się być na balu u Pawlickich. W istocie bardzo tego pragnęła. Wiedziała, że spotka tam Jurkowskiego, a właśnie jemu chciała się pokazać w towarzystwie Kolskiego, by mu udowodnić, że ma i młodych, i przystojnych adoratorów. Jeżeli zaś wybrała Wilczura, to widocznie dlatego, że profesor jest znacznie więcej wart od najprzystojniejszych i najmłodszych.

Chociaż rzecz była postanowiona, w chwili wyjazdu opadły Łucję wyrzuty sumienia i omal nie zrezygnowała z balu. Nie postąpiła może tak jedynie dlatego, że profesor zdawał się bynajmniej nie martwić samotnie spędzonym wieczorem (Jemioł poszedł do karczmy i nie zapowiadał szybkiego powrotu). W zachowaniu się profesora raczej można było się dopatrzeć zadowolenia, że będzie miał wolny czas dla siebie. Wesóło żartując odprowadził ich do bryczki. Z samotności jednak nic nie wyszło. Zaraz po odjeździe Łucji i Kolskiego przyszedł Prokop. Swoim zwyczajem przywitał się w milczeniu i wszedł za Wilczurem. Gdy już zasiedli w jego pokoju, zapytał:

— I cóż tam słyhać na szerokim świecie?

— Jak zawsze — kiwnął głową Wilczur. — Użerają się ludzie o kawałek chleba jak głodne psy o kość. Otumanieni swoimi sprawami, zagonieni. Nic nowego na szerokim świecie.

— A jednak długo cię nie było — zauważył Prokop. — A to niedobrze.

— Dlaczegoż niedobrze? — Wilczur spojrział nań uważnie.

— A bo widzisz, w moim rozumieniu to tak: jak ktoś coś ma, to zawsze lepiej pilnować. Chatę samą zostawisz, drzwi nie zamkniesz, to cię i okradną. Miejscowi, wiadomo, nie ruszą, ale mało to różnych przybłędów po kraju się włóczy? Ani się obejrzysz, jak ci wszystko wyniosą.

Wilczur potrząsnął głową.

— Mądrze mówisz, Prokopie. Tak mądrze, że i zrozumieć mi trudno. Toż przyjechałem i niczego tu nie brak. Powiedz wyraźniej, co masz na myśli.

— Cóż ja mam tu mówić — burknął Mielnik i z wielką uwagą zabrał się do skręcania papierosa.

— Zostałem wszystko w porządku — ciągnął Wilczur. — Wszystko tak, jak powinno być. Nikomu się nic nie stało, chorzy dopatrzni.

— I nie tylko chorzy...

— Cóż to znaczy?

Prokop zmarszczył brwi i wolną ręką przesunął kilka razy po swojej siwej brodzie.

— A ja tobie co powiem: ty tego młodego doktora to pędź w szyję. Niepotrzebny on tu jest. Posiedział trzy tygodnie albo i więcej, a teraz i dosyć. Niech jedzie k'czortu. Nahasał się tu, nakręcił, to i dosyć. Myślałem, że jak powrócisz, od razu go przegonisz, ale ty za miękki człowiek. Wierzę, że tu będzie jeździć i takie rzeczy. Niech wraca, skąd przyjechał. Nie było tu jego i dobrze było. Ty jego po karku i won! Ot, co!

W miarę tego jak mówił, stary aż się zasapał z długo tłumionej irytacji. Skończył i jeszcze pomrukiwał przez parę minut.

Wilczur udał zdziwionego.

— Uszom swoim nie wierzę. Doktora Kolskiego znam od dawna. To bardzo porządny lekarz i miły człowiek. Nic mu zarzucić nie mogę. Czyżby on tu podczas mojej nieobecności coś złego robił?

Prokop wzruszył ramionami.

— Złego, nie złego. Ale ty byś lepiej zrobił, nie zostawiając go tutaj.

— Ludzie, których leczył, wcale się nie skarżyli na niego...

Prokop machnął ręką.

— Leczenie leczeniem, a więcej on patrzy w zdrowych niż w chorych. Myślałem, że sam to zauważysz i położysz temu koniec. A ty ich jeszcze teraz na jakieś wieczorynki razem wysyłasz.

Wilczur zaśmiał się z przymusem i poklepał Prokopa po ramieniu.

— A cóż mam robić, stary przyjacielu? Młodzi są, oboje młodzi, to niech się sobie wytańczą. Dla nas z tobą pogawędka, ciepły piec, a dla nich zabawa. Ot, i wszystko w porządku.

Prokop pokręcił głową.

— Dziwne rzeczy mówisz. Ja bym tam swojej kobiecie, a zwłaszcza gdyby była młoda, nie pozwolił na to.

— Swojej?... — Wilczur machnął ręką. — A czy może być swoja kobieta, przyjacielu? Swoja może być chałupa, swoja kurtka, swoja krowa, ale kobieta? Przecież ona też myśli i czuje tak samo jak i ja. Takie same ma prawa jak i ja. Przeciw woli ją trzymać? Toż to więzienie. I jakież miałbyś pożytek z takiej, co wbrew swemu sercu przy tobie siedzi i tylko myśli o tym, jakby się wyrwać, i na swój los narzeka?

— Prawo takie boskie jest — surowo powiedział Prokop.

— Ech, przyjacielu. Właśnie żeby to prawo było przestrzegane, to trzeba dobrze namyślić się, zanim się kobietę tym prawem z sobą zwiąże. Prawo to tylko wtedy moc swoją będzie miało, gdy zatwierdzi to, co w dwóch sercach zostało postanowione.

Prokop zamyślił się i powiedział:

— A ja myślałem, że u was już postanowione.

— Dzięki Bogu, nie było jeszcze postanowione — ze smutkiem odpowiedział Wilczur i zaczął mówić o innych sprawach, dając tym do zrozumienia Prokopowi, że poruszony przezeń temat jest dlań przykry.

Tymczasem w gościnnym domu państwa Pawlickich serdecznie i z wylaniem witano gości. Łucja nie omyliła się. Istotnie pan Jurkowski wydawał się zaskoczony tym, że przyjechała nie w towarzystwie Wilczura. Przyglądał się uważnie Kolskiemu, zwłaszcza wtedy gdy Łucja z nim tańczyła. Sam pan Jurkowski demonstracyjnie nie tańczył, natomiast często odwiedzał bufet, by wracać znów do salonu i podpierać odrzwia.

Łucja najwięcej tańczyła z Kolskim. Był świetnym partnerem, a poza tym dnia tego jeszcze bardziej miłym niż zwykle. Zupełnie wyzbył się owych zamyśleń, które go poprzednio raz po raz nawiedzały, był wesoły, pogodny, zadowolony i sprawiał wrażenie kogoś, kto z trudem ukrywa jakąś niezwykle radosną tajemnicę, Łucja czuła się świetnie. Nie spieszyło jej nawet przypadkowo zasłyszane zdanie jakiegoś starszego pana, który wskazując swojej towarzysze Łucję i Kolskiego powiedział z rozmysłem dość głośno:

— Zobacz, jaka to dobrana para.

Wkrótce po kolacji pan Jurkowski poprosił Łucję do tanga. Oczywiście nie miała powodu mu odmówić. Okazało się jednak, że postąpiła nierozważnie. Musiał już mieć w czubie, gdyż zaraz w pierwszym okrążeniu, zapytał z wyraźną intencją:

— I cóż tam profesor Wilczur? Zostawiła go pani w domu?

— Profesor czuł się zmęczony — odpowiedziała zdawkowo. — Nie lubi hucznych zabaw.

— Ale wynalazł sobie do tych zabaw godnego zastępcę...

Łucja zbyła tę uwagę milczeniem.

— A zastępca bynajmniej nie wygląda na zmartwionego swoją misją. Może by profesor i nie był z tego kontent. Jak pani sądzi?

W jego głosie zabrzmiała wyraźna ironia. Łucja lekko wzruszyła ramionami i chcąc zmienić temat, powiedziała:

— Doktor Kolski jest dawnym uczniem i przyjacielem profesora. A dlaczego pan nie tańczy?

— O, ja nie tańczę, bo mam taki widok, jakiego jeszcze w życiu nie miałem. Muszę się przyglądać, by na przyszłość wiedzieć...

— Co wiedzieć? — zdziwiła się Łucja.

— Ano, wiedzieć, jak wygląda zakochana kobieta. Przecież pani wpatruje się w tego Kolskiego jak w tęczę. A on w panią jak kot w szperkę. Do stu diabłów! Oczu od siebie oderwać nie mogą! I cóż mi pani naopowiadała o profesorze, kiedy się pani kocha w tym doktorku.

Łucja czuła, że blednie. Słowa Jurkowskiego zaskoczyły ją i przeraziły do tego stopnia, że nie pomyślała nawet o tym, jak dalece Jurkowski przekracza przyzwoite formy, wtrącając się do jej prywatnych spraw.

— Pan się myli — odpowiedziała. — Z doktorem Kolskim łączy mnie koleżeństwo i stara przyjaźń. Nic poza tym.

— Tere fere kuku! Ładne koleżeństwo! Cała pani promienieje do niego. Ślepy by to zauważył. Owszem, może pani myśleć nawet, że mówię to przez zazdrość. Niech i tak będzie. Jestem zazdrosny. Ale zazdrość nie może mi o tyle przesłonić oczu, bym nie dostrzegł, że pani się w nim kocha. Nie rozumiem tylko, po co mnie pani wtedy w Kowalewie okłamała, mówiąc o profesorze. A może profesor ma być od małżeństwa, a ten młody doktor od przyjaźni?... Nie ma co, dobry żart!

Łucja oprzytomniała.

— Pan jest nietrzeźwy. Pan będzie łaskaw odprowadzić mnie na miejsce.

— Oczywiście, odprowadzę panią. Tam już on czeka stęskniony... Jakże mogę narażać panią na tak długie rozstanie z ukochanym!

Zatrzymał się przed Kolskim i kłaniając się Łucji szarmancko, dodał:

— Oto zwracam panu wypożyczony skarb...

Kolski, nie domyślając się wcale, co zaszło, odpowiedział z uśmiechem:

— Niewielu dziś jest ludzi, którzy tak sumiennie zwracają pożyczone skarby. Tak sumiennie i tak prędko...

Jurkowski uklonił się ponownie z przesadną galanterią.

— Zdecydował o tym sam skarb, który już dłużej nie mógł wytrzymać bez właściciela.

Powiedziawszy to, odwrócił się i wyszedł z salonu. Teraz dopiero Kolski spostrzegł wzburzenie Łucji.

— Co pani jest, Łucjo? Co pani jest? — zapytał zaniepokojony.

Potrząsnęła głową.

— Ach, nic, nic. Tu jest duszno — odpowiedziała — a w dodatku... ten pan był pijany i mówił głupstwa.

Kolskiemu krew przyplynęła do twarzy.

— Chyba nie obraził pani?!

— Nie, nie. Broń Boże. Wyjdźmy stąd.

Zgodził się skwapliwie.

— Poszukamy pokoju, gdzie jest więcej powietrza. Pani tak blado wygląda...

W przejściu spotkali Pawlickiego, który ich zatrzymał.



— Zmęczyli się państwo tańcem?  
— Nie — wyjaśnił Kolski. — To panna Łucja niezbyt dobrze się czuje. Chciałaby trochę odpocząć.

— Odpocząć? Ależ służę koleżance — zawołał Pawlicki. — Zaprowadzę państwa do pokoju żony. Będzie pani mogła nawet się położyć na kanapie.

— Nic mi nie jest — protestowała Łucja.

Nie wypadało jednak opierać się zbyt kategorycznie i Pawlicki wprowadził ich do obszernego pokoju, który był czymś pośrednim między sypialnią a gabinetem. Na biurku paliła się stojąca lampa. Nikogo tu nie było.

— Tu pani wypocznie i nabierze sił do dalszej zabawy — powiedział Pawlicki. — I wybaczą państwo, że muszę wracać do gości.

— Dziękujemy uprzejmie — skinął głową Kolski, a gdy drzwi się za Pawlickim zamknęły, zwrócił się do Łucji:

— Może by pani rzeczywiście się położyła na chwilę?

Łucja potrząsnęła głową i odwróciła się. Nie mogła nań patrzeć. Brutalne słowa Jurkowskiego jakby uderzeniem pięści rozbili w niej wszystkie te tak mozolnie nagromadzone, tak skrzętnie i precyzyjnie ustawione obłonki, za którymi chciała ukryć, ukryć przed samą sobą wzbierające w niej uczucie.

„To nieprawda, nieprawda...” — gorączkowo powtarzała w myśli, lecz głośnie zaprzeczenie nie mogło już podważyć tego, co stało się jasne, przeraźliwie jasne. Jakże dokładnie teraz widziała wszystko. Wszystko! Od początku. Więc tak. Była zazdrosna o Dobraniecką, a później nawet o tę małą Dońkę. Cieszyła się z każdego dnia przedłużającego się pobytu Kolskiego w lecznicy i bała się, tak, bała się chwili jego wyjazdu. A powrót profesora... to podle, to nikczemne... Powrót profesora przeraził ją.

Ileż wysiłku zużyła na uparte wmawianie w siebie, że nadal kocha Wilczurę, że nadal chce zostać jego żoną. Z jaką zawziętością zamykała oczy na jego starość! Jak mu bardzo była wdzięczna za to, że nie pozwolił Kolskiemu natychmiast odjechać. Kryła to w sobie, kryła przed sobą, lecz widocznie nie umiała ukryć przed innymi. Wszystko w niej martwiło na myśl, że i profesor mógł w niej to dostrzec. Ileż pogardy czuła dla siebie! Wykazała całą małość swojej duszy, całą słabość charakteru. Uległa uczuciu, które powinna była w sobie zwalczyć, które mogła wykorzenić zawczasu. Jakże niskie i niegodne było to, że pozwoliła mu się rozwinąć, że zasłaniając je różnymi pretekstami, tolerowała jego rozrost w swym sercu. W tym sercu, które przyrzekła innemu.

„Przyrzekłam i muszę obietnicy dotrzymać. Choćby się ziemia waliła! Choćbym miała umrzeć!”

Słowa te z coraz większą wyrazistością utrwaliły się w jej mózgu. Och, gdyby chodziło o kogoś innego! Na przykład o Jurkowskiego, nie o profesora. Wówczas nie wahałaby się wcale. Ale wiedziała przecież, jak straszliwie samotny jest Wilczur. Porzucenie go byłoby zbrodnią. Niedotrzymanie danej mu obietnicy byłoby hańbą.

„Muszę z nim zostać i zostaną... zostaną!...”

Oto na szalę padło ostatnie słowo, słowo, którego już nic w niej nie zmieni. Odwróciła się i spojrzała na Kolskiego. Serce ścisnęło się w nagłym skurczu. Powiedziała drżącym głosem:

— Musi pan jak najprędzej, zaraz jutro wracać do Warszawy. Koniecznie.

— Dlaczego, panno Łucjo? Co się stało? — zapytał przerażony.

Potrząsnęła głową.

— Nic. Nic. Ale jeżeli żywi pan dla mnie choć odrobinę dobrych uczuć, wyjedź pan zaraz.

— Ależ dlaczego?

Łucja nie mogła dłużej wytrzymać. Łzy napłynęły jej do oczu, w piersi odezwało się spazmatyczne łkanie. Zaskoczony Kolski chwycił ją w objęcia i mocno przytulił do siebie.

— Kochana — powtarzał — uspokój się, kochana.

Ona jednak nie mogła opanować szloch. Czuła podtrzymujące ją ramiona, nie miała jednak siły, by się z nich wyrwać. Czuła na włosach jego pocałunki łagodne, serdeczne i tak pożądane. I tym wyraźniej odzywała się w niej świadomość, że musi wyrzec się ich na zawsze, do końca życia.

Kolski usadowił Łucję na fotelu i klękawszy przy niej błagał ją najczulszymi słowami, by się uspokoiła. Stopniowo odzyskiwała zdolność mówienia. Wycierał jej oczy i policzki swoją chusteczką.

— Nie zostawię cię nigdy, kochana — mówił. — Nie oddam cię nikomu.

— Janku... Janku — szepnęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

W nagłym porywie przyciągnął ją do siebie.

— Kochasz mnie! Wiem, że kochasz!

— Ciebie, tylko ciebie!

— No widzisz, jakie to szczęście! Jakie to wielkie szczęście — mówił głosem nabrzmiałym wzruszeniem. — Pobierzemy się i już nie rozstaniemy się nigdy. Nic nas nie rozłączy. Najdroższa moja, jedyna!...

Łucja przygryzła wargi, odsunęła go od siebie i potrząsnęła głową.

— Nie, Janku... Nie... Kocham cię, ale wiesz dobrze, że nie jestem wolna, że nie mogę sobą rozporządzać. Musimy się oboje z tym pogodzić. Na to nie ma żadnego sposobu...

Spojrzał na nią z lękiem.

— Jak mam to rozumieć, że nie jesteś wolna? Co przez to chcesz powiedzieć?

— Że mam zobowiązania, z których się nie mogę wycofać.

Ujął ją za rękę w przegubie.

— Łucjo, czy to ma znaczyć, że jesteś jego... że łączy cię z nim...

Zrozumiała pytanie, którego nie mógł wydobyć z siebie, i zaprzeczyła żywo:

— Ach, nie. Broń Boże. Ale są przecież zobowiązania stokroć mocniejsze od tego...

— Żadne zobowiązania — wybuchnął — nie mogą być mocniejsze od prawdziwego uczucia.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Zbyt proste ujęcie. Nie. Nie mogę. Nie umiałabym zacząć z nim o tym mówić. Te słowa nie przeszłyby mi przez usta. Och, dość pomyśleć o tym, jakie ten człowiek miał tragiczne życie, ile krzywd spadło nań najbardziej niezasłużenie, ile nieszczęść go spotkało, jego, człowieka o największej dobroci, o najczulszym sercu, o najwyższej wartości duchowej. Nie, Janku. Pokochałam pana zbyt późno, niestety. Dziś już nie mogę, nie mogę się cofnąć. Brzydziłabym się sama sobą, gdybym musiała zaliczać siebie do tych wszystkich ludzi, którzy go pokrzywdzili. Nie, Janku. Nie umiałabym żyć z przeświadczeniem, że popełniłam podłość... Ciężko mi, Bóg widzi, jak ciężko, ale na to nie ma rady.

— Łucjo — zaczął, lecz mu przerwała:

— Nie mówmy o tym. Po co mamy na próżno szarpać swoje nerwy.

— Ależ wysłuchaj mnie. Jestem najmocniej przekonany, wiem o tym, że profesor bynajmniej nie zamierza domagać się od ciebie dotrzymania obietnicy.

— Skąd możesz o tym wiedzieć? — zapytała zdziwiona.

— Sam mi o tym powiedział.

— Jak to?... Ty z nim o tym mówiłeś! To niemożliwe!

— Nie o tym. Ale jestem przekonany, że umyślnie chciał mi dać do zrozumienia, bym nie tracił nadziei zdobycia ciebie.

— Ach, do zrozumienia? — powiedziała z smutnym uśmiechem.

Kolski zniecierpliwił się.

— No więc powtórzę ci naszą rozmowę. Ni z tego, ni z owego zapytał mnie, ile mam lat i dlaczego się nie żenię. A później zaczął namawiać mnie do małżeństwa i najwyraźniej w świecie powiedział, że nie wolno jest żenić się w późnym wieku i że nie wolno żenić się z kobietą znacznie młodszą. To najwyraźniej w świecie brzmiało jak oświadczenie: jeżeli ją kochasz, to ją bierz. Z mojej strony możesz się nie spodziewać żadnych przeszkód, gdyż ja się z nią nie ożenię.

Przez chwilę w oczach Łucji zabłysła radość. Nie mogła wątpić w prawdę słów Kolskiego. Na pewno Wilczur powiedział mu to, i powiedział, być może, z tą intencją. Jednakże to bynajmniej nie rozwiązywało rąk Łucji, nie otwierało dla niej wolnej drogi.

Sytuację należało rozumieć w ten sposób, że profesor po powrocie doszedł do przekonania, iż podczas jego nieobecności w uczuciach Łucji zaszła zmiana. Tak jak pan Jurkowski, jak i ów starszy pan, który nazwał ją i Kolskiego dobraną parą, Wilczur odkrył jej miłość do Kolskiego. I ten szlachetny człowiek, którego życie było jednym pasmem

wyrzeczeń się dla dobra innych, i tym razem postanowił postąpić tak samo. Nowa rezygnacja i jeszcze jedna karta bolesna w pamiętniku życia. Ale Łucja nie mogła, nie miała prawa podpisać tej karty. Za żadne skarby. Oczywiście wolno mu zrobić szlachetny i może najszczęśliwszy gest wyrzeczenia się, lecz ona byłaby istotą bez czci i sumienia, gdyby taki dar przyjęła od niego, który już wszystko rozdał, którego odarto ze wszystkiego. Jest przy nim i musi przy nim pozostać.

Wiedziała, jak ma postępować. Jak najszybciej wyprowadzić Kolskiego do Warszawy, opanować swoje nerwy i każdym słowem, każdym gestem, dzień po dniu udowodniać Wilczurowi, że bynajmniej się nie zmieniła, że nadal jedynym jej pragnieniem jest zostanie jego żoną.

Wstała i poprawiając przed lustrem włosy, powiedziała spokojnie:

— Nie, panie Janku. To w niczym nie zmienia sytuacji.

— Jak to nie zmienia? — zdziwił się. — Przecież on najwyraźniej zwraca pani wolność. Łucjo, co pani mówi?

— Zwraca, ale dlaczego? Jakimi motywami się kieruje?

— O to już mniejsza.

— Wcale nie. Rezygnuje tylko dlatego, że sądzi, iż ja pana... Kocham.

— Ale to przecież prawda!

— Gdyby jednak tego się nie domyślał, jestem pewna, że nie wyrzekłby się mnie.

— Skoro się już jednak domyślił — zauważył Kolski — sprawa się stała dlań jasna.

Cóż pani na to poradzi?

— Przekonam go, że się myli.

Kolski się oburzył.

— To nonsens. To jest zbrodnia przeciwko własnemu uczuciu!

— Jeszcze większą zbrodnią byłoby skazanie go na samotność, zdeptanie jego uczucia, odebranie mu resztek nadziei. Nie, panie Janku. Nie może pan tego ode mnie wymagać. Gdybym tak postąpiła, wspomnienie o tym zatrułoby mi całe życie. Skaziłoby każdą minutę naszego szczęścia. Nie, panie Janku. Nie wolno nam tak postąpić.

— Na miłość boską, panno Łucjo! A czy nie zdaje pani sobie sprawy, że zostając przy nim, raz na zawsze przekreśla pani i swoje szczęście, i moje?

Potrząsnęła głową.

— Wiem. Ale wszyscy dotychczas przekreślali szczęście profesora. Żona go rzuciła dla jakiegoś chłystka, przez długi szereg lat żył w tragicznej nędzy, poniewierany, wtrącany do więzienia, by wreszcie gdy odzyskał pamięć, stać się celem najohydniejszej potwarzy, najpodlejszych podkopów, najwstrętniejszych intryg. Pozbawili go majątku, stanowiska, wygryźli ze stolicy. Nawet rodzona córka prawie o nim zapomniała. Nie, panie Janku. Nie. Wolałabym umrzeć niż znaleźć się wśród tych wszystkich ludzi, którzy za jego wielkoduszność, za jego bezgraniczną dobroć i szlachetność zapłacili podłością. Jeżeli pan tego nie zrozumie, to naprawdę przekonam się, że ma pan serce oschłe i że nie znajdziemy z panem nigdy wspólnego języka.

W jej głosie zabrzmiała gorzycz, a Kolski opuścił głowę i po pauzie powiedział:

— Rozumiem to. Jakże mogę nie rozumieć. Tylko pogodzić się z tym nie umiem.

Do pokoju wszedł Pawlicki.

— No, jakże się droga koleżanka czuje? Nie lepiej? — zapytał serdecznie.

— Wie pan, że przykro mi sprawiać państwu kłopot, ale naprawdę nieszczególnie. Widocznie w ostatnich dniach za dużo pracowałam.

— Ach, to i moja wina — zawołał Pawlicki. — W ostatnich dniach zaniedbywałem lecznicę. Solennie przyrzekam poprawę. Ale to szkoda, że pani się źle czuje, bo zaraz będzie kotylion.

Łucja uśmiechnęła się doń blado.

— Załuję bardzo, że nie mogę w nim wziąć udziału. Jeżeli pan będzie tak dobry, to prosiłabym wydać polecenie, by zaprzęgano nasze konie.

Po krótkich ceregielach Pawlicki zgodził się i poszedł wydać dyspozycje.

W kwadrans później otuleni w ciepłe burki siedzieli już w bryczce. Noc była ciemna. Żelazne obręcze kół twardo się odbijały od zamarznętej grudy. Woźnica, pomachując od czasu do czasu batem, niepotrzebnie przynaglał konie, które i tak szły dobrym kłusem.

Nie mówili zupełnie. Tylko Kolski wsunął rękę do rękawa burki Łucji i w milczeniu ścisnął jej dłoń.

W lecznicy było ciemno. Tylko nikły płomyk nocnej oliwnej lampki mdło oświetlał okna szpitalnego pokoju. Starając się stąpać jak najciszej, weszli do sieni i tu zdejmowali burki.

— Dobranoc — Łucja wyciągnęła rękę.

Chciał ją przytulić i pocałować, lecz zasłoniła się stanowczym ruchem.

— Nie. Nie trzeba... I niech pan jutro wyjedzie.

Jej szept brzmiał, zdawało się, zupełnie naturalnie, lecz w oczach zakręciły się łzy.

— Łucjo, Łucjo — Kolski ścisnął jej rękę.

— Dobranoc. Niech pan weźmie lampę. Ja trafię do siebie po ciemku.

Kolski, wszedłszy do pokoju, usiadł i zamyślił się. Zbyt dobrze znał Łucję, by nie wiedzieć, że nie zmienia ona zbyt łatwo swoich postanowień. Wysłuchawszy zresztą jej argumentów, zdawał sobie sprawę z tego, że nie potrafi jej przekonać. Popeliła świadomie szaleństwo, skazywała jego i siebie na rezygnację ze szczęścia, na szare, bezbarwne życie, na wieczną gorycz. Ale nie umiał znaleźć słów dość wymownych, nie umiał znaleźć dość przekonujących argumentów, by ją od tego odwieść.

Pałac jednego papierosa po drugim, przesiedział tak resztę nocy na rozpamiętywaniu tej beznadziejnej sytuacji. Gdy zaczęło świtać, wstał i przystąpił do pakowania rzeczy. Musiał zastosować się do prośby Łucji. Sam to zresztą rozumiał, że należy jak najprędzej wyjechać. Po śniadaniu wstąpi do młyna i poprosi o furmankę do stacji. Nie mógł już dłużej wytrzymać w tym pokoju i narzuciwszy palto, wyszedł się przejść.

Powietrze było chłodne, a wszystko dokoła, drzewa, płoty, dachy i ziemia, pokryte było gęstym szronem. Na wschodniej stronie nieba w seledynie jaskrawiały pierwsze purpurowe smugi. Dzień zapowiadał się pogodnie i mroźnie. Skręcił ku stawom. Jeszcze nie zamarzyły. Zaledwie po brzegach tu i ówdzie na płytszej wodzie szkłiscie rysowała się powierzchnia lodu. Doszedł do końca drugiego stawu, a gdy zawrócił, zobaczył smugę białego dymu nad kominem lecznicy. Widocznie przyszła już Donka i przygotowuje śniadanie.

Na ganku spotkał profesora.

— Dzień dobry, panie kolego — przywitał go Wilczur. — Piękny mamy wschód słońca. Widzę, że i pan lubi wczesne, samotne spacerki. Zapukałem do pana i zajrzałem. Cóż to jest? Dlaczego pan spakował swoje rzeczy?

Kolski, nie patrząc nań, odpowiedział:

— Muszę już jechać. Muszę koniecznie. Zbyt długo tu siedzę.

— Mowy nie ma. Nie puszczę pana. Jeżeli chodzi o lecznicę, niech się pan nie kłopotuje. Ostatecznie, pan profesor Dobraniecki winien jest mi trochę wdzięczności i jeżeli pana zatrzymuję, nie może o to żywić urazy, tym bardziej że i wobec pana ma do spłacenia poważny dług moralny.

— Wiem to wszystko, ale niestety, chociaż mi tu tak miło, dłużej pozostać nie mogę.

Wilczur wziął go pod rękę.

— No, o tym pogadamy sobie później. A teraz niechże mi pan opowie, jak bawiliście się wczoraj u Pawlickich. Sądząc z tego, żeście wcześniej wrócili, nie było tam najweselej.

— Owszem — powiedział Kolski. — Zebrało się moc gości, podano wyśmienitą kolację, dużo tańczono...

Wilczur przyjrzał mu się uważnie.

— A minę ma pan taką, kolego, jakby nie z balu wracał, lecz z pogrzebu.

Kolski uśmiechnął się krzywo i powiedział:

— Może i ma pan rację, profesorze.

Wilczur chrząknął i przez dłuższy czas obaj milczeli. Kolski myślał gorączkowo, czy nie najlepiej będzie, wbrew Łucji, natychmiast i otwarcie powiedzieć profesorowi, co się stało, szczerze powtórzyć swoją z nią rozmowę i prosić o pomoc. Dużo go kosztowało zmuszanie siebie do milczenia.

Pierwszy odezwał się Wilczur:

— Niech pan spojrzy, jak pięknie wschodzi słońce. Tu, na kresach, nawet późna jesień jest zawsze piękna. W tym ożywczym powietrzu płuca inaczej oddychają niż w mieście. Zwłaszcza stare płuca.

Zrobił pauzę i dodał:

— A chociaż pan ma młode, nie puszczę pana tak łatwo.

— Kiedy doprawdy, panie profesorze... — zaczął Kolski.

— Nie ma o czym mówić — przerwał Wilczur. — Cóż to za niesubordynacja?! No, chodźmy. Tam już pewno śniadanie przygotowali.

W pokoju Łucji istotnie czekało na nich śniadanie. Łucja nalewała mleko do kubków, Donka kręciła się przy stole.

Łucja przywitała się z Kolskim zupełnie swobodnie, wyglądała jednak blado.

— Jakże się pani bawiła u państwa Pawlickich? — zapytał Wilczur, całując ją w rękę.

Uśmiechnęła się doń wesoło.

— Ach, doskonale, profesorze. Psuło mi zabawę tylko to, że pana nie było. Wszyscy wypytywali, dlaczego pan nie przyjechał, a gospodarze szczerze byli zmartwieni. Doprawdy czułam się szczęśliwa słysząc, jak się wszyscy wyrażają o panu. W przyszłym tygodniu będziemy musieli pojechać tam z panem koniecznie.

Kolski przyglądał się Łucji spod oka ze zdziwieniem, które z trudem ukrywał. Była usposobiona niemal zalotnie. Podczas śniadania zwracała się tylko do profesora, uśmiechała się doń, przysuwała mu chleb i masło, mówiła dużo i swobodnie.

Gdy już wstali od stołu, obojętnym tonem zwróciła się do Kolskiego:

— Czy pan już był u Prokopa i zamówił furmankę?

— Jeszcze nie — spuszczać oczy, odpowiedział Kolski.

— Bo jeżeli pan chce zdążyć na pociąg, trzeba wyjechać przed dziewiątą.

— Dobrze. Zaraz pójdę do młyna.

Wilczur chrząknął.

— Kolega Kolski jeszcze dziś nie wyjedzie. Uprosiłem go, by został. Musi mi pomóc. Będziemy dziś mieli przecież dwie poważniejsze operacje, a wątpię, by Pawlicki po balu miał ochotę zajrzeć do nas. Pewno jest zmęczony i wyleguje się w łóżku.

Nikt na to nic nie odpowiedział.

W sieni czekali już pacjenci. Nie było ich wielu. Trzy zakutane w grube chusty babiny, jeden Litwin z Bierwint, dwoje dzieci z Nieskupy z przepuklinami. Oprócz nich był i rudy Witalis, parobek z młyna, który pośliznął się z rana na zastawie i spadając, zwichnął sobie nogę.

Do godziny dwunastej Wilczur i Łucja załatwili ich wszystkich. Kolski zajęty był jeszcze w pokoju operacyjnym zestawianiem powikłanego złamania ręki jednej z pacjentek. Miała słabe serce i wobec tego zabieg musiał odbywać się bez narkozy. Krzyki operowanej rozlegały się raz po raz.

Profesor zdjął kitel i myjąc ręce, powiedział:

— Niech pani teraz wstąpi do mnie, panno Łucjo. Coś pani pokażę.

— Ach, tak — zawołała. — Domyślam się. Wczoraj przecież miała nadejść paczka z zakupionymi przez pana aparatami.

— Przyszła rzeczywiście — potwierdził Wilczur. — Lecz oprócz niej otrzymałem coś jeszcze. Coś bardzo ciekawego.

— Naprawdę jestem zaintrygowana.

— Wie pani, że podczas pobytu w Wilnie nawiązałem znajomość z doktorem Józwińskim, który wyklada na tamtejszym uniwersytecie. Bardzo świątły i miły człowiek. Wiedział już o naszej lecznicy i bardzo się nią zainteresował. Opowiadałem mu wiele o tutejszej pracy, a teraz napisał do mnie list. Chcę go pani pokazać.

Przeszli do pokoju Wilczura i profesor podał Łucji złożony arkusik papieru. Rozwinęła i przeczytała:

„Czcigodny Profesorze i drogi Kolego! Wczoraj otrzymałem Pańską kartkę i ucieszyłem się, że będę się mógł Panu na coś przydać. Ja i moi pupile. Rozmawiałem już z kilkoma. Większość przyjmuje Pańską inicjatywę z entuzjazmem. Pracować pod pańskim kierownictwem — nie owijajmy rzeczy w bawełnę — to przecież zaszczyt dla każdego lekarza, nie tylko dla początkującego. Niezupełnie zgadzam się z Panem, że należy wybierać kandydatów posiadających jakie takie dochody. Na razie mam ich trzech. Na pierwszy ogień przyślę Panu najzdolniejszego z nich, doktora Szymona Jasińskiego. Jest to młody chłopak z dobrej rodziny, pracowity, sumienny i zapowiadający się na doskonałego lekarza. Jestem przekonany, że pod pańską ręką stanie się nim rzeczywiście. Półroczny staż

w pańskiej lecznicy świetnie mu zrobi. Po sześciu miesiącach przysłę Panu następnego. Rozmawiałem już z dziekanem i oczywiście bez najmniejszego sprzeciwu zgodził się na zaliczanie im praktyki u Pana. Może Pan być pewien, drogi Profesorze, że pamiętamy tu o Panu i nie zostawimy Go samego bez pomocnika ani na jeden dzień. Dr Jasiński wyjeżdża pojutrze. Najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia dalszej owocnej pracy przesyła szczerze oddany — F. Józwiński”.

Łucja skończyła czytać i podniosła na profesora oczy.

— Jakże się to pani podoba? — zapytał Wilczur.

— W zasadzie... — zaczęła Łucja — w zasadzie to jest rzeczywiście bardzo piękna myśl. Ale...

— Jakie ale?

— Nie rozumiem tu jednego: dlaczego w liście jest powiedziane, że nie zostawią pana samego? Przecież skoro profesor opowiadał tam o naszej lecznicy, pewno wspomniał pan również i o mnie?

Głos Łucji z lekka drgał. Przeczuciwała, co usłyszy od Wilczura. Profesor skinął głową.

— Ach, nie tylko wspominałem. Podnosiłem pod niebiosy pani poświęcenie, droga panno Łucjo. Nie wyobrażam sobie lepszej pomocy niż ta, jaką miałem od pani.

Łucja przygryzła wargi.

— Dlaczego pan używa czasu przeszłego?

Wilczur odpowiedział spokojnie:

— Dlatego, panno Łucjo, że z pomocy tej, niestety, będę musiał zrezygnować.

— Profesorze!...

— Przecież rozumiemy to oboje, panno Łucjo.

Zmarszczyła brwi.

— Ja tego... nie rozumiem — powiedziała z przekonaniem. — Nie rozumiem i nie zrozumie nigdy. Jeżeli pan był zadowolony ze mnie, a jestem przekonana, że tak, dlaczego chce mnie się pan pozbyć? Profesorze! Jak pan może nawet bez porozumienia się ze mną przekreślać wszystkie nasze wspólne plany!

Wilczur uśmiechnął się, a w jego oczach zamigotał smutek.

— Nie ja je przekreśliłem. Przekreślił je los. Przeznaczenie. A przekreślone zostały dlatego, że nigdy nie miały racji bytu.

— To nieprawda — zaprotestowała żywo.

— Najprawdziwsza prawda — profesor pokiwał głową.

— Więc udowodnię to panu.

— W jaki sposób?

— W najprostszy. Zostanę z panem. Zostanę na zawsze. Przysięgam panu, że niczego innego nie pragnę, że byłabym głęboko nieszczęśliwa, gdyby pan mnie odrzucił, gdyby pan mnie teraz odrzucił. Ułożyłam całą swoją przyszłość i całą swoją przeszłość widzę przy panu. Nie chcę innej. Nie mogę żadnej innej przyjąć. Owszem, jeżeli pan chce, by przyjeżdżali tu młodzi lekarze na praktykę, nic przeciw temu nie mam. Ale i ja zostanę. Zostanę jako pańska pomocnica, jako pańska żona. Inaczej być nie może.

Na twarzy Łucji wystąpiły jaskrawe rumieńce. Jej ręce drżały.

— Nie wiem, co pana skłoniło do zmiany postanowień powziętych od dawna. I nie chcę o tym wiedzieć. Prawdopodobnie uległ pan jakimś złudzeniom. Ale myli się pan sądząc, że zrezygnuję tak łatwo z tego, do czego mam prawo.

Wilczur łagodnie wziął jej rękę.

— Panno Łucjo. Pomówmy spokojnie.

Zerwała się z miejsca.

— Ach, nie, nie. Nie mamy tu w ogóle o czym mówić. Bardzo boleśnie pan mnie dotknął.

Chciała odejść, lecz Wilczur nie puścił jej ręki.

— Niechże pani usiądzie i wysłucha mnie, droga panno Łucjo.

Prawie przemocą usadowił ją z powrotem na krześle. Trzęsła się cała, a w oczach miała łzy.

— Widzi pani — mówił spokojnym głosem. — Popelnia pani jeden błąd. W swoich rachubach pomija pani zupełnie moją osobę. Zupełnie pani nie bierze pod uwagę, że istnieję również i ja. Że ja też myślę, że też czuję. Chce mnie pani potraktować jako jakąś

pozycję abstrakcyjną. A przecież ja jestem żywym człowiekiem. Bardzo starym, ale przecie żywym. Czemu pani nie chce wziąć pod uwagę, że i ja tu mogę mieć jakiś głos?

— Nie rozumiem pana.

— Chce pani zostać. Chce pani tu zostać jako moja żona. I uważa pani, że powinienem być tym uszczęśliwiony. Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, że ja mogę mieć o tym wręcz odmienne zdanie.

— Kiedyś... — zaczęła Łucja.

Wilczur przerwał jej:

— Kiedyś i ja mogłem tak myśleć. Ale dzisiaj jestem odmiennego zdania.

— Dlaczego dzisiaj? — podniosła nań odważnie oczy.

— Bo dzisiaj wiem, że pani kocha innego.

Łucja zacisnęła szczęki. Serce zatłukło się jej w piersi. Opanowała się jednak i powiedziała z przekonaniem:

— Nikogo nie chcę kochać. Chcę kochać pana i tylko pana.

Wilczur zaśmiał się.

— Ach, droga panno Łucjo. Jest to jedna z tych dziedzin, gdzie chcieć nie znaczy móc. Gdzie największe chcenie nic nie pomoże. Niestety, żaden człowiek nie jest panem swego serca. Panno Łucjo, wtedy nawet, gdy pani zdawało się, że żywi dla mnie miłość, wtedy nawet byłem przekonany, że pani źle ocenia swoje uczucia. Zawsze byłem wdzięczny i wdzięczny będę za tę przyjaźń, za serdeczną życzliwość, za tyle dobra i ciepła, ile doznałem od pani. Ale to nie była miłość. Sama przekonała się pani o tym teraz, gdy pokochała pani Kolskiego. Nie, niech pani nie przeczy. Tego nie trzeba ukrywać, a co więcej, tego niepodobna ukryć.

Łucja potrząsnęła głową.

— To są pańskie przywidzenia.

— Nie, panno Łucjo. To jest niewątpliwa prawda. I teraz niech pani zrozumie, niech pani weźmie pod uwagę moją sytuację. Wbrew sercu chce pani zostać ze mną. Jakże tu pani wyobraża sobie moją rolę?... Czy sądzi pani, że nie będzie to dla mnie największym ciężarem wiedzieć, iż stałem się dla pani przeszkodą w zdobyciu szczęścia, iż jest pani przy mnie tylko dlatego, że fałszywie sobie interpretuje poczucie obowiązku?... Przecież nie miałbym dnia spokojnego ani spokojnej nocy. Przecież czułbym się krzywdzicielem, czułbym się zawadą. Nie, panno Łucjo. Pani obecność tutaj i pani poświęcenie nie sprawiłyby niczego dobrego, lecz wiele zła. I pani, i mnie, i Kolskiemu. Byłoby to po prostu szaleństwo. Skazywać na męczarnie troje ludzi dla jakiejś zasady, która nie ma żadnego sensu.

Łucja zakryła twarz rękami i płakała.

— Nie mogę zostawić pana. Nie mogę.

— I jeszcze coś pani powiem. Takie wyrzeczenie się ze strony pani po prostu obrażałoby mnie. Oznaczałoby, że uważa mnie pani za bezradnego starca, który już sobie rady dać nie może. Byłoby to poświęcenie oparte na litości. A chyba nie sądzi pani, bym zasługiwał na litość.

— Tak — odezwała się wśród łkania. — Ale dlaczego pan się zawsze poświęca?

Wilczur wzruszył ramionami.

— Tu o poświęceniu z mojej strony nie może być mowy. Nie wyrzekam się pani, droga Łucjo, dlatego przede wszystkim, że pani nie jest, nie była i być nie może moją własnością. Nie może pani, bo pani sama do siebie nie należy. Serce pani już jest własnością innego. Tak, droga Łucjo. Nie będę przed panią ukrywał, że smutno mi tu będzie bez pani, że tam czasami potęsknię, powspominam, ale przynajmniej będę miał tę radość, że nie stanąłem na drodze do waszego szczęścia, że was nie skrzywdziłem.

Wciąż nie mogła się uspokoić.

— Po co on tu przyjechał? Po co przyjechał?!...

— Bardzo dobrze się stało. Niech pani pomyśli, Łucjo, że byłoby gorzej, gdyby on lub ktoś inny zjawił się nie teraz, lecz za rok lub dwa. Bo to było nieuniknione. To musiało się stać wcześniej czy później. Jest lepiej, że stało się wcześniej. Lepiej dla pani i dla mnie.

Wciąż płakała. Wilczur wstał i gładząc jej włosy, mówił:

— Taki już jest los, droga Łucjo, i nie trzeba z nim walczyć. Te kilka lat, które mi do życia zostały, spędzę tu w ciszy i spokoju, a przed panią całe długie życie. Mąż, dzieci,

własny dom. Kolski to naprawdę dzielny chłopak. Dzielny i uczciwy. Będzie wam z sobą dobrze. A im lepiej wam będzie, tym i moja radość będzie większa. Bo lubię was oboje, a dla pani, drogie dziecko, do końca życia zachowam najcieplejsze uczucia.

Chwyciła jego rękę i przywarła do niej ustami. Nie bronił jej i powiedział:

— Mam nadzieję, że od czasu do czasu przyjedzie tu pani mnie odwiedzić. Będzie to dla mnie prawdziwe święto... No, a teraz już trzeba się uspokoić. Już jest po wszystkim. Proszę wytrzeć oczy. Zaraz przyjdzie Donka, bo pewno już obiad gotów. Nie trzeba przed ludźmi demonstrować tych naszych spraw. No, proszę wytrzeć oczy.

Wilczur zapalił papierosa i umilkł. Łucja pomału odzyskiwała równowagę. Po dłuższym milczeniu odezwała się:

— Nie przebaczę sobie tego nigdy. Nigdy...

— Ale czego, drogie dziecko? Czy tej miłości? Czy tej szczęśliwej miłości, która uratowała i panią, i mnie od fałszywego kroku?... Powinniśmy ją błogosławić. Pomówmy teraz o sprawach praktycznych. Otóż Kolski rzeczywiście powinien już wracać do Warszawy. Najmądrzej zrobicie, jeżeli pojedziecie razem. Sądzę, że do wieczora zdąży się pani zapakować. A jutro rano wyjedziecie.

Łucja wybuchnęła nowym płaczem.

— Dlaczego... dlaczego pan tak prędko chce mnie się pozbyć? Pan na pewno mną pogardza!...

— Cóż za głupstwa! — oburzył się Wilczur. — Jak pani może mówić podobne nonsensy, droga Łucjo! Po prostu chcę, byście jak najprędzej mogli się połączyć, a sądzą, że im prędzej wasz wyjazd nastąpi, tym lepiej i z tego względu, że zarówno pani, jak Kolski i ja musimy mieć trochę czasu dla życia się z nową sytuacją, dla przemyślenia jej... Jedźcie jutro...

— Chyba serce mi pęknie, gdy będę stąd wyjeżdżała! — zawołała Łucja z rozpaczą.

Stała pośrodku pokoju, zalana łzami i zupełnie złamana. Wilczur objął ją, przyciągnął do siebie i mówił:

— Cicho, drogie dziecko... Cicho. I dla mnie to rozstanie nie będzie łatwe. Ale cóż. To konieczność.

Zapukano do drzwi. To istotnie Donka pytała, czy można już podawać obiad. Wilczur powiedział jej, by jeszcze się z tym wstrzymała, a sam udał się do ambulatorium, gdzie zastał Kolskiego. Nie patrząc mu w oczy zaczął mówić:

— Prosiłem pana, kolego, by pan został jeszcze. Domyślał się pan zapewne, o co mi chodziło.

— Tak jest — cicho odpowiedział Kolski.

— Otóż panna Łucja wyjedzie razem z panem... Wiem, że się kochacie, i szczerze życzę wam najlepszego szczęścia...

Umilkł, Kolski stał błąd jak płótno i również nie umiał wydobyć z siebie ani jednego słowa.

— Uradziliśmy — odezwał się po dłuższej pauzie Wilczur — że wyjedziecie jutro rano. Tak będzie najstuszniej. A teraz niech pan pozwoli, kolego, że złożę mu powinszowania. Będzie pan miał żonę wyjątkowej wartości. Daj wam Boże...

Nie mógł dokończyć. Wyszedł z pokoju i wrócił do siebie. Nie zastał już tam Łucji. Ciężko opadł na łóżko i wsparłszy głowę na rękach, długie godziny siedział nieruchomy.

Tego dnia nikt nie jadł obiadu w lecznicy. Już o zmierzchu Łucja zaczęła pakować swoje rzeczy przy pomocy Donki. Wieczernę podano w sieni. Wilczur musiał niemal przemocą sprowadzić Łucję. Panował posępny nastrój. Tylko Jemiół snuł swoje długie monologi, udając, że niczego nie dostrzega. Przy końcu Łucja rozplakała się i uciekla do siebie. Przez całą noc oka nie zmrużyła. Nie spał również i Wilczur. A gdy pokazał się z rana, wyglądał, jakby przeszedł ciężką chorobę.

O ósmej przed ganek lecznicy zajechał wóz drabiniasty, na którym Wasyl przy pomocy Kolskiego układali rzeczy Łucji. Chociaż wieść o jej wyjeździe już wczoraj dotarła do młyna, nikt poza Wasylem, który miał ją odwieźć na stację, nie przyszedł jej pożegnać.

Gdy już wszystko było gotowe, Wilczur jeszcze raz uściskał Łucję i życzył jej szczęścia. Oboje nie mogli powstrzymać łez. Kolski już siedział na wozie, niecierpliwie spoglądając na zegarek. Wasyl pomógł Łucji usiąść obok niego. Sam wskoczył na przednie siedzenie, machnął batem nad końskimi grzbietami i wóz potoczył się drogą ku traktowi.



Na ganku zostali Wilczur i Jemioł. Gdy już wóz zniknął za zakrętem, Jemioł powiedział:

— Ano, pojechali...

— Pojechali — po chwili milczenia odezwał się Wilczur. — Wszyscy odjeżdżają...

Wszyscy... I ty odjedziesz.

Jemioł potrząsnął głową.

— Nie odjadę. Zostanę. Cóż chcesz? Polubiłem cię. Polubiłem cię za to, że jesteś głupi, cesarzu.

Wilczur uśmiechnął się.

— Głupi... — powtórzył.

— Tak. A w dzisiejszych czasach, gdy rozum po to tylko istnieje, by tworzyć zło, czymże jest głupota, jeśli nie najwyższym dobrem? A czymże dobro, jeśli nie mądrością? Życie staje się paradoksem. Może tedy i mądre jest to, że ty, *carissime*, żyjesz, by dawać szczęście innym.

— Może i po to zostałem stworzony — w zamyśleniu powiedział Wilczur.

— Ty żyjesz dla innych, inni dla samych siebie, tylko ja nie wiem, dla kogo i po co żyję... Od wielu lat szukam odpowiedzi, szukam odpowiedzi na to pytanie na dnie każdej flaszki. I nie znajduję... Widocznie na odpowiednią flaszkę trafić nie mogę. Ale nie obawiaj się! Przyjdzie kolej i na nią... Przechyłę ją i w ostatnim łyku poznam prawdę...

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/profesor-wilczur>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga Mostowicz, *Znachor*, Profesor Wilczur, wyd. Labos, Warszawa 1990

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://www.wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0193-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).